

Lucianne Goldberg

Panienki Madame Cleo

Dla Williama R. Grose'a , który zabrał mnie na tańce. Dziękuję, Bill.

PROLOG

W majowy poranek 1990 roku nisko zawieszony srebrny Citroen wjechał na rozległy Place de la Concorda. Wiele osób rozpoznało samochód z przyciemnianymi szybami i tajemniczą, pojedynczą literą C na tablicy rejestracyjnej, jako własność niesławnej madame Cleo.

Ci, którzy nie dysponowali wiadomościami z pierwszej ręki o kobietach pracujących dla niej, wiedzieli, że dziewczyna madame Cleo to ktoś znacznie więcej niż prostytutka. Dziewczęta madame Cleo były najpiękniejszymi, posiadającymi najwyższe kwalifikacje dziewczynami do wynajęcia, które, odpłatnie, spełniały najskrytsze marzenia możliwych tego świata.

Młody mężczyzna siedzący za kierownicą miał na sobie czarną liberię, czapkę szofera i skórzane rękawiczki. Z tyłu siedziała elegancka starsza kobieta w dużym berecie z czarnych norek, opadającym fałdami na prawy rękaw takiego samego futra. Obok niej siedział młody człowiek o długich, prostych, jasnych włosach. Plotkowali nie zwracając uwagi na poranny tłok uliczny, który zakorkował centrum Paryża.

Kiedy szofer zmienił pas ruchu, kobieta nagle zamilkła, wpatrując się w coś ponad ramieniem towarzysza. Zamarła, z przerażeniem otworzyła szeroko oczy i zaczęła krzyczeć do szofera:

- Mon Dieu! Armand! Uważaj!

Szofer ścisnął kurczowo kierownicę, odwrócił głowę w lewo i zaklął pod nosem. Niewinnie wyglądające czarne Renault wpychało się na pas obok Citroena. W rogu otwartego tylnego okna widniała lufa karabinu skierowana wprost na Citroena. Pierwsza seria, która zagrzechotała po karoserii, zmusiła parę na tylnym siedzeniu do przywarcia do podłogi; na ich ciała posypały się odłamki szkła. Druga seria, wystrzelona z bliższej odległości, przeszła całą długość samochodu.

Czapka szofera poleciała na tylne siedzenie, Citroenem zarzuciło na krawężniku i uderzył w latarnię.

Przerażeni przechodnie zastygli na chodniku, widząc jak kierowca czarnego Renault traci panowanie nad kierownicą. Pojazdem skręcił na sąsiedni pas, tuż pod nadjeżdżającą furgonetkę. Nastąpiło ogłuszające zderzenie, a ludzie rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

Chłodne poranne powietrze rozdarły krzyki, ogłuszający pisk opon i trzask metalu. Samochody, furgonetki, ciężarówki, autobusy i motocykle grzęzły w chaotycznym karambolu. Ludzie znajdujący się najbliżej strzelaniny porzucali pojazdy i uciekali w popłochu.

Z przedniego siedzenia podziurawionego kulami Citroena dobiegł cichy jęk. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Leżał rozciągnięty na siedzeniu, ściskając lewe ramię, które kula przeszła na wylot.

Na tylnym siedzeniu leżeli mężczyzna i kobieta. Żadne nie śmiało się odezwać. Ulica zaczęła rozbrzmiewać tupotem kroków i okrzykami umundurowanych policjantów, trzymających broń gotową do strzału. W oddali rozległa się pulsująca syrena karetki pogotowia.

Pierwszy policjant, który dotarł do Citroena pomógł rannemu szoferowi wydostać się z samochodu i położył go na chodniku. Pozostali zajęli się przerażoną parą. Ich eleganckie ubrania były w nieładzie; we włosach tkwiły odłamki szkła.

Rozdygotany blondyn patrzył, jak dwóch policjantów delikatnie prowadzi kobietę do krawężnika.

- Je suis bien, merci - powiedziała do policjantów z niesamowitym spokojem. - Zajmijcie się, proszę, moim przyjacielem.

- O, mój Boże, o, mój Boże - powtarzał blondyn. - Wiedziałem, że tak się stanie. Po prostu wiedziałem. Oni chcą nas zabić!

Kobieta podeszła do niego.

- Martin, weź się w garść - warknęła.

- Mówiłem pani, madame, mówiłem - jęczał przyciskając kostki dłoni do szczękających zębów.

Znajdowała się o cal od jego twarzy.

- Martin, jeśli wpadniesz w histerię, uderzę cię - szepnęła. - Uspokój się.

- Madame? - rozległ się za nią głos. Odwróciła się i ujrzała wysokiego policjanta w średnim wieku, ze złotym sznurem na daszku czapki. Postąpił w jej stronę i otworzył skórzany notatnik. - Czy mogę prosić o nazwisko?

Kobieta chwyciła kurczowo norkowy kołnierz i zamrugała oczami.

- Słucham? - spytała.

- Czy mógłbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości? - Polizał czubek ołówka i zbliżył go do notatnika.

- Tożsamości? - wykrzyknęła kobieta z oburzeniem. Ponad ramieniem policjanta spostrzegła zbliżającą się znajomą twarz. - O, kapitan Dusseau! Dzięki Bogu, że pan tu jest.

- Ja się tym zajmę - powiedział opryskliwie do młodszego policjanta. - To jest madame Cleo. Nie trzeba jej przesłuchiwać. Proszę się zająć tamtym panem.

Twarz policjanta zastygła, usta zwiotczały. Potem skinął głową i podszedł do blondyna, który nie przestawał się trząść.

Kapitan wsunął dłoń pod łokieć madame Cleo i pomógł jej obejść wrak samochodu.

- Moja droga Cleo - powiedział, ścisząc z szacunkiem głos. - Cudownie cię znowu widzieć, chociaż wolałbym, żebyśmy się spotkali w szczęśliwszych okolicznościach.

Nie kłopotuj się o szofera, nic mu nie będzie. To czysta rana. Martwię się o ciebie.

- Nic mi nie jest - zapewniła ze słabym uśmiechem. - Może doznałam lekkiego szoku. To stało się tak nagle.

- Czy przychodzi ci do głowy, kto mógłby zrobić coś takiego?

Madame Cleo powoli potrząsnęła głową.

- Jeden z tysięcy, drogi kapitanie. Mam wielu wrogów, zwłaszcza teraz.

- A także wielu przyjaciół, ze mną włącznie. - Delikatnie wyjmował odłamki szkła z jej włosów i ubrania. Inny policjant wręczył jej beret z norek, który znalazł na podłodze samochodu.

- Merci - powiedziała z lekkim skinieniem głowy. - Kim byli ci ludzie? Złapaliście ich? - spytała zwracając się do kapitana.

- Kiedy ich samochód zderzył się z furgonetką, wmieszali się w tłum, madame.

Proszę się jednak nie obawiać, dostaniemy ich. Przeprowadzimy drobiazgowo dochodzenie. Moi ludzie przeczeszą każdy centymetr samochodu napastników.

Cleo spojrzała na zmiażdżony pojazd. Furgonetkę, która na niego najechała, ściągnięto na krawężnik i chodnik.

- Co mam robić, kapitanie? Czy mogę iść do domu?

- Oczywiście. Osobiście cię odprowadzę. Proszę mi dać tylko chwilę na rozmowę z moimi ludźmi. Tamten porucznik odprowadzi cię do mojego samochodu.

- Dziękuję - odparła odwracając się do asystenta, który przestał jęczeć, chociaż wciąż stał oniemiały. - Chodź, Martin. Kapitan odwiezie nas do domu.

Idąc do wozu policyjnego minęli rozbitego Citroena. Maski były groteskowo odwinęta w tył, a zderzak zwisał luźno. Kule rozorały dach. Z opon zeszło powietrze, a po tylnym zderzaku płynęła strużka benzyny.

Madame Cleo i Martin właśnie zamierzali wsiąść do samochodu policyjnego, lecz kapitan Dusseau powstrzymującym gestem położył dłoń na ramieniu kobiety.

- Moi ludzie właśnie znaleźli to na ulicy - oświadczył, wręczając jej plastikową torebkę z jakąś metalową zawartością. - Czy to ci coś mówi?

W torebce znajdowała się złota zapalniczka z wygrawerowanym misternym herbem. Rozpoznała ją momentalnie.

- Mam taką samą. Istnieje tylko kilka. Zostały zrobione u Cartiera dla jednego z moich przyjaciół.

- Skąd wiesz, że ta nie jest twoja? - spytał kapitan, ostrożnie wyjmując zapalniczkę z jej dłoni.

- Nie mam wątpliwości - odparła zdecydowanie. Sięgnęła do kieszeni futra i wyjęła zapalniczkę identyczną z tą, którą kapitan umieścił w torebce na dowody.

- Czy mogę pomówić z tobą na osobności? - spytał kapitan, rzucając spojrzenie Martinowi. - Jeden z moich ludzi może zawieźć twojego przyjaciela, dokąd tylko zechce.

- Oczywiście - odparła. - Martin, muszę chwilę pogadać z tym miłym panem.
Zobaczymy się w domu.

Asystent niechętnie skinął głową, po czym zajął miejsce w samochodzie policyjnym. Kapitan objął opiekuńczym gestem odziane w norki ramiona madame Cleo i zaprowadził ją ku trawnikowi, z dala od ciekawskich słuchaczy.

- Kto chce cię zabić, Cleo?

Cleo zatrzymała się i oparła o żelazne ogrodzenie. Powoli pokręciła głową i spuściła wzrok.

- Nie masz pojęcia? - pytał kapitan.

- Nie, Alain. Nawet nie chcę myśleć, że to prawda.

- Jakich jeszcze dowodów ci trzeba oprócz strzelaniny w biały dzień? Nie sądzę, żebyśmy tu mieli do czynienia z pomyłką, kochanie. Nie w tym samochodzie. - Spojrzał na zniszczonego Citroena, którego policjanci podczepiali do wozu holowniczego.

Cleo popatrzyła na rozległy plac.

- Tak się właśnie dzieje, kiedy ktoś sprzedaje duszę.

- Pardon?

- Zgodziłam się opowiedzieć historię swojego życia, która ma się ukazać w Ameryce w formie książki.

- Słyszałem. Powiedz, kochanie, czemu zrobiłaś coś takiego?

- Pieniądze, Alain, pieniądze. Mam milionowe długi podatkowe.

Na zmęczonej twarzy policjanta odmalował się wyraz niedowierzania.

- Czemu ich po prostu nie spłacisz? Cleo, taka bogata kobieta, jak ty? Po co masz sprzedawać swoje sekrety? Sprzedaj obraz albo trochę biżuterii.

- Rząd twierdzi, że moje pieniądze pochodzą z wyzysku kobiet. Jeśli ich użyję, przyznam się do stręczycielstwa i pójdę do więzienia. Oczywiście jeśli nie zapłacę tych podatków, też mnie zamkną. - Cleo uśmiechnęła się powolnym, smutnym uśmiechem. - Widzisz teraz, czemu muszę sprzedawać swoje sekrety.

- Swoje i innych.

- Oui. - Madame Cleo westchnęła i spojrzała na zegarek. - Muszę wracać do domu, Alain. Czuję się bardzo słaba.

- Naturalnie - przytaknął, ujmując ją pod ramię, kiedy ruszyła w stronę samochodu.

- To zrozumiałe.

Madame Cleo spojrzała na kapitana i bez słowa pogładziła jego policzek wierzchem dłoni. Był to częściowo gest czułości, a częściowo przeprosin za to, że go okłamała.

Wiedziała dokładnie, do kogo należą pozostałe zapalniczki Cartiera. Jednak zanim jej stary przyjaciel dowie się, że go zwiodła, Cleo zdąży zrobić to, co musi.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Peter Shea, redaktor czasopisma „Fifteen Minutes”, zamknął oprawioną odbitkę szcztokową nowej powieści. Obiecał autorowi, że ją przeczyta, ale spojrzawszy na pierwszą stronę, pojął, że nie zdoła się skoncentrować. Wepchnął książkę do kieszeni fotela znajdującego się przed nim, po czym zamknął oczy. Czuł się wymięty i poirytowany. Powietrze w pierwszej klasie nie przewyższało jakością powietrza w klasie turystycznej, a samolot od blisko godziny tkwił na pasie lotniska Montego Bay z wyłączoną klimatyzacją.

Otworzył oczy na dostatecznie długą chwilę, by znaleźć jedną z maleńkich, wydzielających przykrą woń gąbeczek, które linie lotnicze nazywają poduszkami. Wepchnął ją między ramię a policzek, kiedy coś zwróciło jego uwagę.

Wydawało się, że para zajmująca pierwsze fotele w prawym rzędzie pierwszej klasy usiłowała połknąć nawzajem swoje głowy. Ciało obojga zakrywał długi płaszcz deszczowy z białego jedwabiu, a sądząc z ruchów pod materiałem, ręce i nogi wykazywały niezwykłą aktywność.

Kobieta o lśniącej, opalonej na złoty brąz skórze przerzuciła długie, ciemnorude włosy przez oparcie fotela, gdzie zwisały, falując lekko w powiewie wentylatora. Co pewien czas jęczała cicho i wierciła się na fotelu. Nawet najbardziej niedbały obserwator zrozumiałby, że towarzysz kobiety wprowadzają w stan ekstazy.

Właśnie ta para była przyczyną opóźnienia startu samolotu, a przynajmniej tak poinformowała Petera stewardesa. Wiadomość, że czekali na ważną osobistość, wzbudziła jego zainteresowanie. Peter Shea zarabiał na życie zaspokajając ciekawość swoją i innych.

Kiedy para weszła wreszcie na pokład, a stewardesa ceremonialnie zaprowadziła ją na miejsce, Peter podniósł wzrok i otworzył szerzej oczy z zaciekawieniem. Rozpoznał oboje. Mężczyzna, obejmujący kobietę w pasie, był nowojorskim finansistą, Johnem Wesleyem Aylerem, którego prasa nazywała „Black Jackiem” z powodu, jak przypominał sobie Peter, jego dokonań wojennych. Posługując się prostą arytmetyką, Peter wydedukował, że musiało chodzić o drugą wojnę światową. Shea wiedział, że kobieta nie jest panią Ayler. Znał ją jedynie jako Christine; stanowiła główne źródło informacji Petera, kiedy pisał artykuł o hollywoodzkim skandalu narkotykowym. Christine była bardzo stylową, bardzo drogą, najwyższej klasy dziewczyną na telefon.

Wiedział o Jacku Aylerze dość, by nim gardzić. Arogancki, hipokrytyczny i bogaty Ayler cieszył się prawie nieskazitelną reputacją.

Peter wyjął z kieszeni koszuli mały notatnik i zapisał, że ma do pogadania z redaktorem o artykule na temat Black Jacka. Podróżowanie z dziewczyną na telefon całkowicie kłóciło się z wizerunkiem publicznym Aylera, za którego propagowanie słono płacił. Być może w życiu tego człowieka istniały aspekty, którym należało się bliżej przyjrzeć.

Scenka rozgrywająca się na przednich fotelach poprawiła humor Petera. Cieszył go bezpośredni dowód ludzkiej słabości. Jego praca polegała na zwracaniu uwagi na to, co widział i słyszał. Leżało to też w naturze Petera.

Shea spędził miniony weekend na przeprowadzaniu wywiadu z pewnym amerykańskim malwersantem, który krył się w nieuczciwie nabytym przepychu pośród wzgórz nad Kingston. Wywiad, którego przygotowanie zajęło mu wiele czasu, nie był udany. Shea z radością powitał rozrywkę, jakiej dostarczała mu teraz para kochanków.

Odkręcił nakrętkę miniaturowej buteleczki czerwonego Johnnie Walkera, wlał zawartość do szklanki z dwiema kostkami lodu, upił łyk, po czym zaczął w myślach szkicować początek artykułu o Aylerze. Rozpocznie plastycznym opisem sceny, która rozgrywała się przed nim na fotelach. Oto doskonały przykład ironii, którą tak lubił w opowiadaniu: człowiek znajdujący powszechną akceptację i słowa uznania oddawał się sprawom intymnym w miejscu publicznym. Fakt, iż jego towarzyszką była dziewczyną na telefon, dodawał sytuacji należytą pikanterii. Peter Shea wiązał z takim artykułem aspekt bardzo osobisty.

Zemstę.

Pociągnął kolejny łyk szkockiej i zastanowił się, czy po całym bolesnym samopoznawaniu, po wiekach spędzonych na kozetce psychoanalityka, po publicznym biczowaniu, które musiał znieść, czy po tym wszystkim kiedykolwiek uzna, że dostatecznie się zemścił? Czy wewnętrzna presja, by okazać się najlepszym i żądza szacunku ze strony równych sobie zostały zastąpione obsesją wyrównania rachunku? Być może, powiedział sobie, zdrapując kciukiem nalepkę z plastikowej buteleczki. Gdzie to jest napisane, że Jackowi Aylerowi może ujść na sucho postępowanie, które o mały włos nie zniszczyło Shei?

Minęło już blisko trzy lata i potrafił sobie z tym radzić.

Ale czy na pewno?

Dał znak stewardesie, żeby uzupełniła mu szklankę; wiedział, że nigdy się z tym nie upora. Gniew zawsze będzie mu towarzyszył. Nie ta rozżarzona do białości furia, którą kiedyś odczuwał. Wściekłość, która omal nie doprowadziła go do klęski, została utemperowana przez intuicję, pomyślność i czas. Mimo to scena na przednich fotelach wywołała dawne demony, o których sądził, że w końcu posłał je na spoczynek.

Peter Daniel Shea był ostatnim dzieckiem w południowym Bostonie, które zachorowało na paraliż dziecięcy. Jego matka do dziś przechowywała wycinek z „Globe”, gdzie o tym pisano.

Trzymała go w albumie wraz ze zdjęciami z imprez, które ojciec Petera i Policyjny Klub Chłopców organizowali w celu zebrania pieniędzy na fizjoterapię.

Ironia polegała na tym, że właśnie w tym czasie, gdy temperatura Petera osiągnęła niebezpieczny poziom trzydziestu dziewięciu i pół stopnia, gdzieś w laboratorium dopracowywano cud doktora Jonasza Salka.

Choroba przykuła Petera do łóżka na trzy lata. Kiedy wreszcie znowu mógł chodzić, miał jedną nogę krótszą. W szkole średniej nauczył się ograniczać zauważalne utykanie do lekko posuwistego kroku, uważanego za przejaw zawalectwa

chłopaka, który przeszedł ciężką walkę i zwyciężył. Tylko Peter pamiętał okrutne uwagi, piekące epitety, jak „lebiega” czy „kręcidupa”, które rozbrzmiewały na boisku podstawówki.

Na szczęście dla Shei, tamten najeżony facet z południowego Bostonu dzisiaj uchodził za zrównoważonego Irlandczyka. Shea wcześniej nauczył się, że chcąc iść naprzód, musi tłumić gniew. A miał gwałtowny, wściekły temperament, który zbyt często brał nad nim górę. Wiedział jednak, że kiedy będzie kolekcjonował przypadki niesprawiedliwości, nikt nie weźmie go za gracza zespołowego. Dowcip i spryt stanowiły monety, za które mógł kupić sukces.

Po studiach zaczął się piąć po szczeblach kariery dziennikarskiej, najpierw jako lokalny reporter „The Boston Globe”, a potem w górę, wciąż w górę. W latach osiemdziesiątych zrobił olśniewającą karierę dziennikarską jako zagraniczny korespondent WorldWide International News Service.

Kiedy WorldWide przeniosła go do biura w Paryżu, życie otworzyło się przed Peterem jak nigdy dotąd. Paryż wielbił każdego, kto miał dojście do amerykańskich środków przekazu, a nikt w mieście nie dysponował lepszym dostępem niż Peter.

Panie domu były się o niego. Dzięki wysokim dietom jadał w najlepszych restauracjach. Uwielbiał, gdy cytowano jego słowa na temat spraw światowych. Niewielu liczących się ludzi odrzucało prośbę Petera Shei o wywiad dla WorldWide International News. Niepowodzenie małżeńskie oraz kilku zapiekłych wrogów uznał za niewielką cenę za nieograniczone korzyści płynące ze sławy i władzy.

W drugim roku pobytu w Paryżu popełnił błąd służenia własnej świetności wierniej, niż służył WorldWide.

Pewnego letniego wieczoru 1987 r., kiedy ubierał się na kolację w apartamencie hotelowym, zatelefonował recepcjonista z informacją, że zaraz będzie u niego posłaniec.

Idąc do drzwi, Peter włożył smoking. Spodziewał się ujrzeć jednego z posłańców z biura, przynoszących w późnych godzinach naręczne amerykańskich gazet i książek przysłanych z Nowego Jorku. Otworzywszy drzwi zobaczył jednak mężczyznę w nieskazitelnym czarnym garniturze i bezsensownej czarnej czapce z daszkiem.

- Pan Peter Shea?

- Tak - odparł, unosząc z zaciekawieniem brwi.

- Czy może pan tu podpisać? - Nieznajomy wsunął pod łańcuch drzwi podkładkę z pojedynczą kartką papieru.

- Co to jest?

- Przesyłka dla pana.

- Domyśliłem się - prychnął Peter. - Ale co?

- Zaproszenie, sir. Proszę podpisać.

Peter wzruszył ramionami, podpisał kwit i wręczył go z powrotem.

Właśnie wtedy zauważył, że walizeczka, którą trzymał posłaniec, była przypięta do jego ręki kajdankami. Mężczyzna zręcznie otworzył walizkę i wyjął lśniąca, czarna kopertę.

- Dziękuję, sir powiedział, wręczając kopertę Peterowi. Odwrócił się i ruszył korytarzem do windy.

Z lekkim dreszczykiem zaciekawienia Peter wrócił do salonu i obrócił kopertę. Na skrzydełku widniała plama prawdziwego wosku, w którym odcisnięto misterny herb. Jakiś agent prasowy przeszedł samego siebie, pomyślał Peter, zakładając, że koperta zawierała zaproszenie jednej z organizacji handlowych, której zależało na rozgłosie w amerykańskiej prasie. -Wyjął zawartość koperty i spojrzał na nią w zdumieniu. Nie do końca wierzył własnym oczom. Zapraszano go na weekend do wiejskiej posiadłości jednego z najbogatszych ludzi w Europie, barona Feliksa d'Anjou. Impreza ta odbywała się każdego roku i znano ją pod nazwą La Fantastique. Pragnąc być choćby potencjalnym gościem, człowiek musiał skupiać w swych rękach określoną władzę i wpływy. Prasa nie zamieszczała ani relacji z imprez, ani nazwisk uczestniczących w nich osób. Lista gości była równie ekskluzywna i tajna, co przebieg imprez. Peter słyszał, rzecz jasna, plotki o wyuzdaniu na wielką skalę, o zawieranych porozumieniach i ubijanych interesach. W miarę jak docierały do niego osobiste implikacje zaproszenia, zaczął się zastanawiać, dlaczego go wybrano. La Fantastique nie potrzebowała rozgłosu, ponieważ mówić o niej oznaczało nigdy więcej nie zostać zaproszonym. Dlatego, wnioskował, zaproszenie miało charakter ściśle towarzyski. Zaproszono go z tego samego powodu, co światowych przywódców politycznych, rekiny przemysłowe i innych: ponieważ każdy był na swój sposób potężny i ważny. Obrócił kopertę, pragnąc się upewnić, że nie zaszła pomyłka. - Niech mnie szlag - powiedział na głos. - Niech mnie słodki szlag trafi! - Ponownie przeczytał zaproszenie i wolno pokręcił głową. Czarno na białym „Uprzejmie proszono” o obecność Petera Shei. Mniejsza kartka informowała, że w piątek w południe pod hotel podjedzie samochód, który zawiezie go do zamku barona w dolinie Loary.

Peter Shea nareszcie dotarł do celu.

Podobało mu się to uczucie. Tak bardzo mu się podobało, że stojąc samotnie w pokoju, zarumienił się. Cała praca, politykowanie i przepychanie się łokciami, wyścig żeby być najszybszym i najlepszym, wreszcie się opłaciły. Nagle podskoczył i krzyknął na wiwat, wydając radosny odgłos frajerskiego irlandzkiego chłopaka z południowego Bostonu, który nareszcie dobił do poziomu życia, na którym można powiedzieć „pierdol się”. Zaproszenie, które trzymał w ręce, stanowiło niezbity dowód.

Tak podekscytowany nie uwierzyłby nikomu, gdyby ktokolwiek usiłował sprowadzić go na ziemię. Ludzie, z którymi miał się zetknąć w zamku barona, nie byli i nigdy nie mieli być jego partnerami. Petera zaproszono wyłącznie z powodu pozycji i ewentualnej przyszłej użyteczności dla pozostałych gości.

Baron nie życzył sobie może rozgłosu wokół La Fantastique, ale to nie znaczyło, że jemu i gościom nie zależało na kluczowym kontakcie z prasą. Dla takich ludzi liczyła się znajomość z korespondentem WorldWide; sam Peter Shea był nikim.

Pomimo nieprzyjmowania do wiadomości tego faktu Peter nie był całkiem wolny od obaw. Po pierwsze, musiał wrócić do Paryża w sobotę z powodu ważnego spotkania. Po drugie, powinien poinformować zwierzchników. W czwartek przed wyjazdem na

La Fantastique zadzwonił do redaktora w Nowym Jorku. Spróbował mówić jak najbardziej nonszalanckim tonem: „rutynowe przyjęcie z udziałem kilku nowych źródeł, wazeliniarstwo na skalę światową, gadanie o władzy”. Plan rozmowy miał obmyślony.

- To nie jest najlepszy pomysł, Peter - zahuczał do słuchawki Gordon Jimison, jego redaktor.

Peter poczuł, że mała żyłka na skroni zaczyna mu pulsować.

- Co powiedziałaś?

- Oczywiście, jeśli zamierzasz o tym napisać...

- Nie bądź śmieszny, Gordo - przerwał mu tonem sugerującym, że trudno tolerować brak obycia, z jakim zdradził się redaktor.

- Czemu nie?

- Bo... bo... - Och, jak nienawidził, kiedy zmuszano go do udzielania wyjaśnień. - Tego się tu po prostu nie robi.

- Ach, w takim razie przepraszam. Czy nadal pracujesz dla firmy, czy może pozwoliłeś żabojadom mianować cię honorowym księciem?

- Daj spokój, Gordo. Nie muszę pisać o każdym ruchu, który tutaj robię.

- Zgoda, ale kiedy rozniesie się, że tam byłeś i o tym nie napisałeś, kilku osobom w tym biurze cholernie się to nie spodoba, a mianowicie szefowi. Bracknell słyszał o La Fantastique. Może mówi się tam dużo o władzy, ale jest też gorzała i dupy. Szef nie cieszy się zbyt, kiedy kompromituje się firmę.

- Tu, w tym hotelu, też jest gorzała i dupy, a Bracknell za nie płaci - zauważył Peter.

- Pete - powiedział Gordon po chwili wahania. - Oszczędź sobie zmartwień. Nie rób tego.

Pokusa była zbyt wielka. Sam fakt, że został zaproszony, oznaczał, że nie musiał słuchać poleceń jakiegoś zasmarkanego, zazdrosnego redaktorzyny, który pewnie zamieniłby się w galaretę, gdyby znalazł się w tym samym pokoju z którymkolwiek gościem La Fantastique.

- Pierdolę cię! - warknął Peter, tuż przed rzuceniem słuchawki na widełki. - Ciebie i konia, na którym przyjechałeś! - wrzeszczał do ścian hotelowych. - Twój kapelusz też pierdolę!

Był Peterem Shea. Człowiekiem, którego słowa czytały miliony. Człowiekiem, który odmieniał umysły i życia jednym uderzeniem w klawisze maszyny do pisania. Czy nie strzelano do niego i nie spudłowano? Czy nie przechadzał się z królami? Nie miał zamiaru wysłuchiwać, że nie może spędzić weekendu na wsi - i to od kogo? Od jakiegoś nowojorskiego dziubdziusia, który musiał pędzić do domu i zajmować się dziećmi, żeby żona zdażyła na drugą zmianę do pracy.

Resztę wieczoru spędził na picu w barze hotelowym i śpiewaniu przy pianinie z fotografem „Paris Matcha”, którego poznał w Afganistanie w czasie przeprowadzania wywiadu z przywódcą mudżahedinów.

Ludzie obecni w barze tej nocy wyszli z dokładną wiedzą o tym, gdzie Peter Shea z WorldWide International News zamierza spędzić weekend.

Na wielu wywarło to duże wrażenie.

Chrzęst żwiru pod oponami czarnego Rollsa poderwał służbę. Kiedy samochód wjechał powoli na kolisty podjazd przed zamkiem, służba barona wyszła na powitanie. Lokaje w liberiach i pokojówki w czarnych jedwabnych sukienkach i koronkowych fartuchach uformowali zgrabne półkole u góry podjazdu. Samochód zatrzymał się i główny lokaj pomógł dwóm kobietom wysiąść. Lekki wiatr dmuchnął w ich czarne jedwabne suknie i szerokie słomkowe kapelusze, aż materiał i tasiemki kapeluszy zafurkotały wesoło. Nieuświadomiony obserwator mógł wziąć kobiety za córki arystokratów zaproszone na weekend na wsi.

Dudley, niezwykle szacowny, niezwykle brytyjski majordomus barona, który służył mu już z górą trzydzieści lat, przyglądał się przybyciu kobiet stojąc obok wysokiego wejścia do zamku. Nie uczynił wysiłku, by ukryć lekki grymas dezaprobaty, jaki wykrzywił mu górną wargę.

Baron posyłał do Paryża po dziewczęta począwszy od pierwszej La Fantastique w 1957 r. Początkowo pomysł ten rodził same kłopoty. Przysyłane dziewczęta nie były w rodzaju, jaki Dudley uznawał za stosowny dla tego typu imprez. Pojawiały się problemy z alkoholem i narkotykami. W jednym ponurym przypadku, po La Fantastique w 1959 r., wynikła sprawa zakażenia chorobą weneryczną i nad imprezą zawisła groźba skandalu. Na szczęście baron zdołał sprawę zatuszować. Dudley nie miał pojęcia, ile to kosztowało jego chlebodawcę, ale w ciągu następnych lat podsłuchiwał w rozmowach, że w jednym z nowojorskich szpitali wybudowano nowe skrzydło, które nazwano na cześć gościa, który doznał szwanku.

Wszystko to zmieniło się, od kiedy baron zaczął się zwracać po dziewczęta do madame Cleo. Dudley wspominał z niemalą satysfakcją, że to on usłyszał o paryskiej damie, zatrudniającej kobiety spełniające najwyższe wymagania pod względem urody, sposobu bycia i inteligencji. Majordomus czerpał informacje z jednego z najpotężniejszych źródeł wywiadowczych na świecie - od szoferów, służących i kamerdynerów możnych Europy.

Pierwsze dziewczęta madame Cleo przybyły na La Fantastique w roku, kiedy baron gościł w zamku szacha oraz prezydentów trzech krajów południowoamerykańskich. Dudley słyszał później, że szach poprosił o dziewczynę madame Cleo leżąc już na łożu śmierci.

Każdego roku przyjeżdżała jedna lub dwie zamówione dziewczyny. Przeznaczano je dla szczególnego gościa, któremu baron pragnął się przypodobać. Po takie dziewczęta wysyłał czarnego Rollsa.

Dudley otrząsnął się ze wspomnień. Należało zająć się przybyłymi dziewczętami. Pozostałe miały przyjechać później, ale za te dwie odpowiadał Dudley. Obecność tego typu kobiet na tej imprezie zawsze napełniała Dudleya mieszaniną łagodnej dezaprobaty i mimowolnego voyeuryzmu. Jego zdaniem, płatne kobiety nie były w najlepszym guście, jednak dziewczęta madame Cleo, o doskonałych manierach i w pięknych kreacjach, stanowiły miły widok i, dzięki Bogu, zawsze potrafiły się zachować.

Podczas gdy lokaje uganiali się wokół niego z bagażami, Dudley przypomniał sobie szybko opisy zawarte w dossier, które asystent madame Cleo dostarczył z Paryża. Mrużąc oczy w jasnym zachodzącym słońcu, majordomus przyjrzał się najpierw

blondynce. To ją madame Cleo i baron przeznaczyci dla lorda Mosby'ego. Dudley umieści ją w pokoju, gdzie wcześniej tego popołudnia zainstalował pewne przedmioty służące prywatnej przyjemności lorda Mosby'ego. Udzielenie instrukcji dziewczynie zajmie Dudleyowi zaledwie kilka chwil.

Druga dziewczyna schowała ciemne włosy pod siateczkę. Dudley obserwował ją przez chwilę. Była szczupła, gibka, ubrana jak primabalerina. Poznał ją ze zdjęcia dołączonego do dossier. Miała na imię Sandrine, jej matka była podobno zamożną amerykańską projektantką mody. Baron wyznał figlarnie Dudleyowi, że podczas jednego z weekendów matka Sandrine romansowała z trzema znakomitymi gośćmi: z włoskim hrabią, który przyjechał wcześniej i teraz grał w golfa na prywatnym polu barona za winnicą; z szefem niemieckiej spółki samochodowej, teraz w drodze do zamku, oraz z potężnym szwajcarskim bankierem libańskiego pochodzenia, który przyjeżdżał na imprezę odkąd Dudley sięgał pamięcią.

Umieści dziewczynę w pokoju przylegającym do pokoju amerykańskiego dziennikarza, pana Petera Shei, znajdującego się na tym samym piętrze, co pokój lorda Mosby'ego.

Odwrócił się i pospieszył do domu. Pozostałe kobiety, goście przylatujący prywatnymi samolotami, muzycy i kelnerzy wynajęci w mieście, wszyscy mieli się zjawić w ciągu najbliższej godziny. Należało dopilnować wielu spraw.

Peter Shea strzepnął nie istniejącą nitkę z nieskazitelnie skrojonego smokingu i przejrzał się w stojącym lustrze umieszczonym pod oknem wysokiego pokoju, który mu przydzielono. Uśmiechnął się lekko. Był to rodzaj półwykrzywienia wargi, wywołanego aprobatą własnej osoby, a towarzyszyło mu nieznaczne skinienie głową, rozprostowanie ramion i pociągnięcie obiema dłońmi za atlasowe kłapy smokingu.

Pokój znajdował się w odległym skrzydle zamku. Lokaj w białych rękawiczkach, który wprowadził go tu przed godziną, energicznie pokazał gościowi wygody: jak działa stara, ale pierwszorzędna hydraulika, gdzie znajduje się telefon, telewizor z wideo oraz dyskretna kolekcja kaset w języku francuskim, niemieckim, włoskim i angielskim. Lokaj poinformował gościa, że wszelkie prośby o jedzenie czy napoje może kierować do służącego o każdej porze dnia i nocy. Peter musiał przypomnieć sobie, że znajduje się w domu prywatnym, a nie w trzygwiazdkowym pensjonacie.

Nie przyjął propozycji lokaja, który zaoferował, że wypakuje i wyprasuje mu ubrania. Zastanawiał się, czy wypadało wręczyć napiwek służącemu. Uznał, że nie. Przed odejściem lokaj powiadomił Petera, że drinki zostaną podane w ciepłarni na parterze punktualnie o siódmej. Gdyby pan Shea był tak dobry i zadzwonił pod wewnętrzny siedem, kiedy będzie gotowy do zejścia, lokaj wróci, żeby go zaprowadzić, ponieważ wątpi, by Peter chciał tracić czas na szukanie drogi na własną rękę.

- Rozumiem, że wszyscy się ubierają - powiedział Peter, czując się nieco niezręcznie. Na wszelki wypadek wziął ze sobą smoking, ale nie mógł nie zapytać.

- Tak, sir - odparł lokaj. - Smokingi, sir, czarne lub białe. Wciąż siłąc się na nonszalancję, Peter zapytał:

- To będzie wyłącznie męski wieczór, tak?

- Drinki i kolacja, sir - potwierdził lokaj skinieniem głowy. - Po kolacji baron zaprasza kilka dam do biblioteki na brandy.

Skłonił się i wyszedł, zostawiając Petera nieco zakłopotanego. Czego się spodziewam? - beształ sam siebie. Dziewczyn wyskakujących z tortu, wpadających do pokoju, tańczących kankana, z halkami zarzuconymi ponad głowy, piszczących i wykopujących kieliszki szampana z rąk możnych? Dziwek przysyłanych przez służbę do pokoju niczym kanapki z kurczakiem? Może gdyby wszedł do łazienki, jedna z nich zmaterializowałaby się naga na krawędzi wanny, trzymając słoiczek maści stymulującej. Co ze mnie za wsiór, pomyślał, otwierając torbę i zaczynając rozwieszać ubrania. Połowa rozmów o seksie, które prowadzą mężczyźni, to życzeniowe myślenie, a druga połowa to brednie. Po chwili zastanowienia stwierdził, że nigdy nie rozmawiał z nikim, kto uczestniczył w jednych z takich weekendów, nie mówiąc już o tym, by kogoś tu przeleciał. Wszystko, co Peter wiedział o baronie i jego talentach gospodarza, pochodziło z plotek. Wyobraził sobie damy, które baron zaprosił na brandy. Wszystkie wyglądały jak Margaret Thatcher.

Teraz, ubrany i gotowy do zejścia na dół, cieszył się, że wieczór miał być wyłącznie męski. Znajdował się w wewnętrznym kręgu władzy i sukcesu. Baron znał się na rzeczy. Kobiety zmieniłyby tonację i chemię tego wyjątkowego momentu w życiu Petera. Odczuł ulgę.

Podczas kolacji na sześćdziesiąt osób, podanej w sali udekorowanej flagami, nad którą dominowały największe żyrandole, jakie Peter widział w życiu, rozmawiał z włoskim ministrem finansów siedzącym po jego prawej ręce oraz usiłował rozmawiać z siedzącym po lewej szwedzkim laureatem nagrody Nobla w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych. Była to ciężka próba, a Peter zbyt dużo zjadł i wypił.

Na znak dany przez barona wszyscy wstali i powoli przeszli długim korytarzem ozdobionym siedemnastowiecznymi portretami do biblioteki, tylko trochę mniejszej niż sala jadalna. Kwartet smyczkowy z towarzyszeniem fletu grał tam Mozarta, a w każdym razie tego dowiedział się Peter od dosyć posępnego biskupa idącego kilka kroków przed nim.

O jedenastej Peter musiał zaciskać usta, by stłumić ziewanie. Od blisko godziny stał w kółku mężczyzn rozprawiających na temat irańskich zakładników, kiedy spojrzał przez ramię francuskiego fabrykanta plastyku i zobaczył je. Kilka niezwykle wytwornych i opanowanych kobiet w modnych sukniach wieczorowych pojawiło się jak łabędzie na tafli prywatnego jeziora. Goście nie zostali w żaden sposób ostrzeżeni, kobiet nie przedstawiono. Po prostu się tam znalazły.

Nie było wśród nich Margaret Thatcher. Wysokie, piękne, cudownie ubrane. Ktoś mógł odnieść wrażenie, że baron wynajął modelki, by ozdobić pokój. Może były utytułowanymi krewnymi barona. Ale aż tyle! Zaskakujące, pomyślał Peter.

Wyobrażał sobie te kobiety, wyciągnięte gdzieś w odległym zakątku zamku, w czarnych rajstopach, skropione Chanel nr 5, mające flirtować z potentatami handlu. Patrzył zafascynowany. Kim były? Katolicki chłopiec zakorzeniony głęboko w jego południowobostońskiej duszy wciąż zastanawiał się nad tą zagadką kiedy niemiecki handlarz bronią, z którym Peter wcześniej rozmawiał, urwał w pół zdania i powiedział z westchnieniem:

- O, wreszcie przyszły dziewczęta madame Cleo. Królestwo za każdą z nich. Ty mieszkasz w Paryżu, Shea. Poznałeś kiedyś którąś?

Peter odwrócił się do Niemca odrobinę za szybko.

- Dziewczęta madame Cleo? Chce pan powiedzieć, że to prostytutka? - wyrzucił zanim poczuł, jak gorący rumieniec rozlewa mu się po szyi na policzki. Zamknął usta, nienawidząc wypowiedzianych słów.

Niemiec zmierzył go zimnym wzrokiem.

- Zazwyczaj nazywa siebie inaczej, panie Shea. Jeżeli istnieje coś takiego, jak doskonałość w postaci kobiety, jest to dziewczyna madame Cleo. Sądziłem, że wy, dziennikarze, macie subtelniejszą wyobraźnię.

Peter zmieszał się, odszedł i zaczął krążyć po pokoju. Przez następną godzinę jego uwaga była rozdarta między zdobywaniem informacji w luźno prowadzonych rozmowach a obserwowaniem kobiet. Były naprawdę niezwykle. Trzymały się prosto, z ramionami odciągniętymi do tyłu, głowami uniesionymi wysoko; chodziły od gościa do gościa, rozsyłając ciche słowa powitania. Każdego mężczyznę, do którego się zwracały, obdarzały pełną podziwu, niepodzielną uwagą.

Skończył trzecią brandy, kiedy poczuł w chorej nodze znajome klucie od zbyt długiego stania. Podeszedł do jednej z głębokich, obitych brokatem kanap stojących po obu stronach kominka. Zanim kieliszek Petera dotknął polerowanego blatu niskiego stolika stojącego przed kanapą, ktoś podsunął lnianą serwetkę. Podniósł wzrok i ujrzał młodą kobietę uśmiechającą się do niego. Jej włosy tworzyły jakby ciemną zasłonę nad twarzą o doskonałych rysach.

- Baron przywiązuje dużą wagę do tych przedmiotów - powiedziała miłym tonem. Słyszałam, że ten stół należał kiedyś do cesarzowej Eugonii.

Peter chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał. Bardziej ze zdenerwowania, niż autentycznej potrzeby, szybko wyjął papierosa z otwartej paczki w kieszeni smokingu. Ustnik nie dotknął jeszcze jego warg, kiedy błysnął złotobłękitny płomyk. Zaciągnął się, a potem uśmiechnął do dziewczyny, która zatrzaskała wąską, złotą zapalniczkę.

- Dziękuję - powiedział Peter, na którym gest nieznajomej wywarł spore wrażenie. Było coś niezwykle ponętnego w kobiecie domyślającej się potrzeb mężczyzny, o czym to piękne stworzenie niewątpliwie wiedziało. Gdyby miał do czynienia z osobą seksowną o nie najlepszym guście, zrobiłby jakąś przemądrzałą może zabawną uwagę, jednak z tą dziewczyną się nie dowcipkowało.

- Nazywam się Madeleine - powiedziała, najwyraźniej wyczuwając wrażenie, jakie na nim wywarła. Położyła zapalniczkę na stoliku, milcząco sugerując, że później może mu się przydać. - Czy mogę się do ciebie przyłączyć?

Peter spróbował się podnieść, ale usiadła, zanim zdążył wstać.

- Jak się masz, Madeleine? - powiedział, ścisząc głos, by ukryć zdenerwowanie. - Jestem Peter, Peter Shea. Czy masz nazwisko?

- Nigdy go nie używam - odparła. - Nie używam też prawdziwego imienia.

Peter zaśmiał się, wdzięczny z nadarzającej się okazji.

- Poważnie?

- Poważnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ istnieję tylko w tej chwili. Wiemy, kim jesteśmy, a nazwiska nie grają roli.

- To bardzo romantyczny pogląd.

- Mhm. - Spuściła wzrok.

- Wobec tego będę cię nazywał Madeleine.

- Dziękuję - odparła wyciągając rękę. Potem wstała z niskiej kanapy. - Chodź, pokażę ci piwnicę barona. To niezwykle miejsce, gdzie możemy być zupełnie sami. Peter wstał, rozkosznie zdziwiony. Spostrzegłszy zapalniczkę, podniósł ją, podziwiając wagę i smukły kształt luksusowego przedmiotu.

- Nie zapomnij tego - powiedział, wsuwając jej zapalniczkę do ręki.

Pozwolił się zaprowadzić przez pokój do wysokich drzwi biblioteki. Chcąc się przeciwstawić, musiałby użyć sił, których nie posiadał. Dziewczynie nie sposób było się oprzeć.

Przeszli przez taras, wstąpili w niebieską noc i ruszyli po opadającym trawniku ku długiemu, niskiemu budynkowi.

Po wejściu do środka dziewczyna zapaliła dwie grube świece, stojące na stopniu, z których jedną wręczyła Peterowi. Nawet te proste gesty wydawały mu się niewiarygodnie kuszące.

- Nie wolno tu palić światła elektrycznego - powiedziała głosem równie miękkim, jak blask świec. - Najlepsze wina spoczywają tu od końca amerykańskiej wojny secesyjnej.

Uśmiechnęła się powoli i przez chwilę, kiedy trzymała twarz przy twarzy Petera, myślał, że go pocałuje. Odwróciła się jednak i poprowadziła go korytarzem; jej gibkie ciało przemykało się przez ciemne cienie.

Kontynuowali zwiedzanie piwnic, a Peter dreptał za dziewczyną jak przestraszony uczeń w obawie, że zbłądzi się przed piękną, nową nauczycielką.

- Czym się zajmujesz, Peter? - zapytała, kiedy dotarli do końca szeregu olbrzymich beczek.

- Jestem pisarzem. Właściwie reporterem. Piszę o sprawach międzynarodowych.

- To fascynujące. Czyli interesują cię tylko rzeczy natychmiastowe i ekscytujące.

- Można tak to ująć - odparł z uśmiechem. Teraz jednak już jej nie słuchał. Był gotów się na nią rzucić. Musiał uczynić jakiś krok. Ujął dziewczynę za rękę, żeby pomóc jej wyjść po dwóch nierównych stopniach z podziemnego świata. Weszli w noc, a Madeleine nie puszczała jego ręki. Odwrócił się i przyjrzał jej twarzy.

- A co ciebie interesuje? - spytał, modląc się do Boga, by nie popełnić gafy. Czy dziewczynie na telefon składało się propozycję? Czy należało być zabawnym, przebojowym? Po raz pierwszy w całym dorosłym życiu Peterowi zabrakło języka w gębie.

- W tej chwili interesuje mnie to, co natychmiastowe i ekscytujące - powiedziała gładko.

Peter poczuł, że oddycha płytko i gwałtownie.

- Noga ci dokucza, prawda?

- T... t... tak, chyba trochę - wyjąkał. - Skąd wiedziałaś?

- Ponieważ ją oszczędzasz. Jest trochę krótsza od drugiej. To pewnie heinemedina, chociaż jesteś trochę za młody. Musiałeś być jednym z ostatnich.

- Dobry Boże - wykrztusił zszokowany. - Czyżbyś była na dodatek czarownicą? Jeszcze nigdy nikt...

Dziewczyna szybko podniosła palec i przycisnęła do ust Petera.

- Óóóó - szepnęła. - Chodź ze mną. Znam coś, dzięki czemu poczujesz się znacznie lepiej.

- Ale... - Zawahał się. Może powinien wrócić do biblioteki i nawiązywać kontakty? W końcu po to przyjechał. Ale pragnął tej dziewczyny. Czy nie na tym polegał sukces życiowy? Czy oto nie spełniały się marzenia? Dziewczyna go uwodziła. Nie czułby się bardziej pijany, gdyby wypił cały zapas win barona. Ze wszystkich bogatych, potężnych i znacznie przystojniejszych mężczyzn w bibliotece to właśnie jemu, Peterowi Shei, przypadła w udziale ta niewiarygodna dziewczyna. Od tej myśli kręciło mu się w głowie.

Z domu dobiegały śmiech i muzyka rozpoczynającego się przyjęcia. Pod ich nieobecność przyjechał zespół muzyczny. Dziewczyna wyczuła jego wahanie.

- Nie obawiaj się, Peter. Nikt nie będzie za nami tęsknił - szepnęła. - Wiesz, nie musimy iść do twojego pokoju. Możemy robić wszystko, czego twoje serce zapagnie. Wszystko, czego moje serce zapagnie! Jego serce pragnęło teraz, by zanurzył twarz w miękkiej, atlasowej kotlince między jej piersiami i nigdy się od niej nie oderwał. Znowu wziął Madeleine za rękę. Bez słowa przeszli przez trawnik i weszli przez otwarte drzwi od tarasu. Mijając długi bar, Madeleine nachyliła się nad barem i szepnęła coś do barmana.

Kiedy Peter otworzył drzwi od swego pokoju, do którego Madeleine w jakiś sposób nieomylnie go zaprowadziła, spostrzegł, że na stoliku przy kominku postawiono tace z kieliszkami i butelką szampana.

Madeleine weszła przed nim do pokoju. Zamknął drzwi i oparł się o nie patrząc, jak Madeleine sprawnie otwiera butelkę i nalewa im po kieliszku. Uniosła swój w toaście.

- Twoje zdrowie, Peter. Mam nadzieję, że jestem wszystkim, czego pragniesz. Podeszła z oboma kieliszkami, potem przechyliła głowę i pocałowała go. Był to długi pocałunek, z prawie otwartymi ustami; smakował jak świeże brzoskwinie. Peter wyjął jej kieliszki z dłoni i postawił na stole obok drzwi. Obejmując jej gładkie, obleczone w atlas ciało, pomyślał: To jest to, Shea, ty szczęśliwy sukinsynu. Lepiej już być nie może.

Było lepiej.

Było lepiej i lepiej, aż przestał liczyć orgazmy.

Leżał na ogrodowym szezlongu na skraju tarasu, ubrany w lniane spodnie i niebieską koszulę Lacoste. Ciemne okulary chroniły go przed jasnym, porannym słońcem i potencjalną groźbą rozmowy. Kelner wręczył mu filiżankę kawy, którą oparł na piersiach, udając, że śpi. Pragnął jedynie powtórnie przeżyć najcudowniejszą noc swego życia.

Od bardzo dawna nie kochał się przez całą noc. W młodości przestał to robić, ponieważ tylne siedzenie samochodu przysparzało zbyt wielu trudności. Czasami

zdarzało mu się to podczas studiów, jeśli cholerny współlokator nie domagał się wpuszczenia do pokoju o pierwszej w nocy. Po studiach, kiedy zaczął pracować jako reporter od czarnej roboty na nocnej zmianie w „Globe”, był zazwyczaj zbyt zalany, zbyt zmęczony, a towarzyszka nie miała dość klasy, by mógł dokonać czegokolwiek wartego zapamiętania.

Potem poznał Sarę Jane Finney, która pracowała dla „Globe”.

Umawiali się na randki, kochali podczas przerwy na lunch w mieszkaniu Petera przy ulicy Boylstone, aż Sara Jane zaszła w ciążę. Jej zdaniem jedno z boskich praw głosiło, iż ciężarna Irlandka wychodziła za męża. Peter kochał ją na tyle, że kiedy poroniła, nawet nie rozważał możliwości odwołania ślubu.

Oczywiście, że się łajdaczył. Po rozwodzie zdarzyło mu się nawet parę razy zakochać. Jednak zazwyczaj seks był czymś, co wydarzało się po przyjęciu prasowym, po kolacji, której nikt nie pamiętał, bo wszyscy za bardzo się upijali. Jeśli Peter nie pamiętał kolacji, zazwyczaj nie pamiętał też seksu, poza tym, że był przyjemny i rozjaśniał mu umysł. Jednak to, co przeżył z Madeleine, kobietą, która wpłynęła do jego życia w chwili, gdy wreszcie odniósł sukces, było czymś więcej niż seks. To było wyzwolenie.

Przechodziła z jednej pozycji do drugiej z płynnością pływaczki olimpijskiej. Kiedy wypróbowali wszystkie, przysunęła usta do jego nagiego ramienia i spytała, czy istnieje coś, czego nigdy nie robił. Peter czuł się już wtedy zbyt nasycony, zbyt oszołomiony erotyczną euforią, by okazywać zażenowanie czy nieśmiałość.

- Chcę tylko więcej.

Jednym płynnym ruchem zsunęła się wzdłuż jego ciała i wzięła członek w usta. Kiedy znalazł się na skraju wybuchu, delikatnie siadła mu okrakiem na twarzy i zaczęła zataczać biodrami, które zdawały się nic nie ważyć. Prawie się nasyciła, a potem znowu się położyła i wsunęła sobie pulsujący członek między nogi.

Skąpany w doznaniu, brodził w pożądaniu i mógł przysiąc, że czuje, jak umysł opuszcza jego ciało.

Uświadomił sobie, że jeśli nie przestanie rozpamiętywać, jego myśli wywołają zenującą reakcję fizyczną, opuścił więc ciemne okulary i zlustrował zalany słońcem taras. Dostrzegł tylko mężczyzn, siedzących w grupach, plotkujących, czytających, jedzących śniadanie. Kobiety zniknęły, jak gdyby nigdy nie istniały. Czy wróca? Gdzie się znajdowały? Zastanawiał się, gdzie jest Madeleine, a w jego sercu wzbierała tęsknota.

Przyjął kolejną filiżankę kawy i odpędził niezdolną myśl: istniało duże prawdopodobieństwo, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Odeszła tuż przed świtem, co Peter bardziej wyczuł niż spostrzegł. Kiedy się w pełni przebudził, zdał sobie sprawę, że nie zna jej prawdziwego nazwiska. Wiedział jedynie, że pracowała dla madame Cleo w Paryżu i, co bardzo prawdopodobne, nie odpowie na żadną próbę Petera skontaktowania się z nią.

Podniósł wzrok na zbliżającą się znajomą postać. Lord Mosby, magnat prasowy, któremu nie dość było czasopism i gazet, jakie już posiadał, toteż kiedyś podjął, zakończoną niepowodzeniem, próbę zawładnięcia WorldWide. Peter nie odczuwał szczególnej ochoty na rozmowę z człowiekiem zmierzającym wolno w jego stronę,

jednak walczyły w nim sprzeczne pragnienia. Chciał, żeby Mosby zobaczył, że został tu zaproszony.

Mosby zbliżał się, podkreślając każdy krok uderzeniem biczka o lśniące buty. Obcisłe bryczesy i jasny golf bynajmniej nie skrywały otyłości. Shea odstawił filiżankę i podniósł się z szezlongu.

- Lordzie Mosby - powiedział, wyciągając rękę. - Peter Shea. WorldWide.

Mosby, niczym gigantyczny żółw, cofnął na moment głowę.

- Spotkaliśmy się w zeszłym roku w Berlinie na przyjęciu z okazji konferencji NATO.

- Oczywiście. Shea. Tak, tak. - Lord Mosby mówił w typowy dla Angoli sposób, jakby miał usta z marmuru; jego wargi prawie się nie poruszały.

- Czy napije się pan ze mną kawy?

Lord Mosby skinął głową, po czym osunął się na krzesło obok szezlongu Petera.

- Wybiera się pan dziś po południu na polowanie? - spytał Mosby'ego.

- Niestety nie. Obawiam się, że dziś wieczorem mam spotkanie w Paryżu - odparł Peter. - Muszę wracać.

Rzeczywiście musiał wracać do Paryża. Przygotowywał wywiad. Nie chciał jednak używać słowa „wywiad” w rozmowie z człowiekiem zatrudniającym setki pismaków, którzy przeprowadzali wywiady.

- No, tak. - Lord Mosby przerwał na chwilę, gdy kelner podawał mu kawę. - Dziwne, że tu pana spotykam, Shea. Mam nadzieję, że nie przyjechał pan tu ze względów zawodowych. Dzieją się tutaj rzeczy, hm, nie nadające się do rozpowszechniania. To całkowicie nieformalna historia, rozumie pan.

- Absolutnie, lordzie Mosby. Nie, nie. Jestem tu z przyczyn czysto towarzyskich.

Lord Mosby chrząknął, po czym siorbnął kawę.

- Baron zorganizował nadzwyczajne przyjęcie, hę? - powiedział, głośno łykając.

- Bez wątpienia, sir.

Peter miał gonitwę myśli. Chciał zagadnąć Mosby'ego o kobiety. O mało nie podskoczył, gdy Mosby odstawił filiżankę i zapytał nonszalancko:

- Jak pan sądzi, co się dzieje z damami w ciągu dnia? Przyjeżdżam na tę imprezę od lat. Jedyne rzecz, której baron skąpi, to kobiety. Widujemy je tylko po zmroku.

Peter zaśmiał się nerwowo.

- Sam jestem ciekaw - powiedział, pochylając się do przodu. - Zeszłej nocy spotkałem jedną z nich i nie miałbym nic przeciwko kolejnemu spotkaniu.

Lord Mosby odwrócił do Petera dużą twarz, która nagle złagodniała.

- Ach, tak. Ja również, Shea - oświadczył, jakby nieco onieśmielony. Potem się uśmiechnął. - Wspaniała. Po prostu wspaniała.

- Przypuszczam, że nie możemy mieć nadziei na następne spotkanie z tymi damami - powiedział ostrożnie Peter.

- Na pana miejscu bym o to nie pytał, Shea. To w złym stylu. W Peterze zwyciężył dziennikarz. No więc co z tego, jeśli przycisnie Mosby'ego? Może posiadał połowę światowych środków przekazu, ale nie WorldWide. Najgorsze, co mógł zrobić, to popsioczyć w swoim klubie na tego namolnego Petera Shea. W świecie Petera namolność nie należała do najgorszych cech.

- Słyszałem, że te dziewczyny pracują dla madame Cleo. Ona działa w Paryżu, prawda?

- Do czego pan zmierza, Shea?

- Pomyślałem, że zadzwonię do tej madame Cleo i opiszę dziewczynę.

Mosby opuścił podbródek na pierś, jakby szukał w kawie robaków.

- WorldWide musi sobie radzić lepiej niż przypuszczałem.

- Dlaczego?

- Taki telefon kosztowałby pana co najmniej sześć tysięcy funtów.

- Za dziewczynę?

- Mój dobry człowieku - odparł lord Mosby najbardziej protekcyjnym tonem, na jaki stać Anglików. - Za numer telefonu madame Cleo.

Najwyraźniej mając dosyć rozmowy z nieobytym amerykańskim dziennikarzem, Mosby wstał z krzesła i podniósł ze stołu biczyk.

- Nigdy wcześniej nie był pan na La Fantastique?

- Nie, sir, nigdy, ale muszę przyznać, że to niezwykle...

- Tak też myślałem - odparł Mosby. Odwrócił się i ruszył przez taras w kierunku stajni barona.

Peter odprowadzał go wzrokiem, nie czując do lorda ani odrobinę więcej sympatii niż przed rozmową. Ze swego punktu obserwacyjnego Shea widział stajennego, który stał obok sfatygowanych drzwi stajni trzymając za uprząż dwa konie: jednego nakrapianego, drugiego lśniącoczamego.

Peter wyprostował się na szeszlunku i zsunął okulary. Na czarnym koniu siedziała atrakcyjna blondyneczka.

- Pieprz się, lordzie Wazeliniarzu - mruknął pod nosem. Spojrzał na zegarek. Po lunchu zdąży się wykapać, potem ruszy do Paryża.

O trzeciej był po prysznicu i spakowany. Miał zamiar powiadomić służącego, że jest gotowy do odjazdu i polecić, by wezwano dla niego samochód.

Podniósł słuchawkę. Cisza. Wykreślił numer, który podał mu lokaj. Nic.

Klnąc, wyjrzał na pusty korytarz. Ani żywego ducha. Cofnął się do pokoju, podniósł bagaże i ruszył do wyjścia.

Znajdował się w połowie dusznego, ciemnego korytarza, kiedy usłyszał głosy dobiegające spoza uchylonych drzwi po prawej. Nie mógł się oprzeć chęci zajrzenia do środka. Nie spodziewał się widoku, jaki ukazał się jego oczom.

Na środku pokoju, podobnego do tego, który dopiero opuścił, stała monstrualnie otyła kobieta w absurdalnej czerwonej bieliźnie i szpilkach. Za jej plecami stała druga kobieta, blondynka, która właśnie miała narzucić suknię na gigantyczną fryzurę grubaski. Peter nigdy nie wyobraziłby sobie równie dziwacznej sceny.

Grubaska musiała wyczuć jego obecność.

Uniosła jedną, obutą w szpiłkę nogę, i kopnęła drzwi, które zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Gong znaku świetlnego, nakazującego zapięcie pasów, wyrwał Petera z zamyślenia. Zapiął pas, myśląc o tym, jak bardzo się zmienił w ciągu trzech krótkich lat. Zawsze uważał, że po czterdziestce ludzie się już nie zmieniają. Jakże się mylił. W tamtych

czasach, w Paryżu, kiedy był dawnym Peterem Shea, najczęściej przyjmował postawę gniewnie defensywną, by ukryć własne poczucie nieprzystawalności. Stale musiał się bronić przed piekącym przekonaniem, że jest w istocie oszustem w świecie ludzi lepszych od niego, bardziej wytwornych, wpływowych i często bardziej wartościowych. Jeżeli w życiu Petera istniał jakiś punkt zwrotny, to wszystko zaczęło się od ceny, jaką musiał zapłacić za jedną noc z tą anielską dziewczyną. Jadąc do Paryża myślał prawie wyłącznie o Madeleine i szansach zobaczenia jej ponownie.

Kiedy późnym popołudniem dotarł do hotelu, recepcjonista wręczył mu dwie wiadomości. Jedna kartka informowała, że kolacja ze źródłem informacji, haitańskim uchodźcą, który miał mu zorganizować wywiad z chwilowo obalonym prezydentem, „Baby Doc” Duvalierem, została opóźniona.

Druga wiadomość przysłała z Nowego Jorku. Gordon Jimison prosił, by Peter zadzwonił do niego natychmiast po powrocie do hotelu. Dziwne, pomyślał Peter, Jimison zawsze grywał w sobotę w golfa, choćby się waliło, paliło. Miał nadzieję, że nie odsuwano go od sprawy Duvaliera.

- Pakuj manele, Shea - powiedział zrzędlawie Jimison, kiedy tylko Peter uzyskał połączenie.

- Co jest grane?

- Doigrałeś się. Władza chce cię tu widzieć natychmiast. Peter usiadł na brzegu łóżka.

- Co się, do diabła, dzieje, Gordo?

- Szef odebrał właśnie telefon. Wygląda na to, że jednak pojechałeś na weekend do barona.

- Zgadza się, pojechałem. Co z tego?

- Mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od tej cholerniej sprawy.

- Jezus Maria i wszyscy święci! Nie wierzę własnym uszom!

- Przykro mi, Peter. To nie jest nic osobistego. Ostrzegłem cię, że ruchawcza impreza barona jest złym pomysłem, chyba że przedstawiś się jako dziennikarz i napiszesz relację.

Peter poczuł, że zaczyna go dławić wściekłość.

- Posłuchaj, ty tępy sukinsynu...

- Nie, to ty posłuchaj, Peter. Przemykamy oczy na wiele smrodliwych spraw, bo jesteś cholernie dobry w tym, co robisz, ale ostatnio zacząłeś przeginać. Bracknell już kilka razy robił piekło z powodu twoich wybryków. Próbowałem ochraniać twój tyłek, ale przyjęcie zaproszenia barona przebrało miarę. Zwłaszcza dziwki.

- Dziwki? - powtórzył Peter, postanawiając kłamać. - Nic nie wiem o żadnych dziwkach. Ktoś tu wstawia kit, i nie jestem to ja.

- Wobec tego kituje ktoś naprawdę wysoko postawiony.

- Gordon - powiedział Peter, próbując się uspokoić. Sens słów Jimisona zaczynał do niego docierać. Wyczuł, że jego przełożony wie o czymś, o czym Peter nie wiedział. - Skąd masz te informacje?

- Peter, będę z tobą szczery. Najwyraźniej twoja obecność tam okazała się irytująca dla kogoś, kto był na tyle silny, że zadzwonił do szefa i zrobił z tego sprawę.

- To znaczy, że to gadanie o tak zwanych dziwkach to tylko zasłona dymna, tak?
 - Nie mogę zaprzeczyć, Pete. Ja tylko wykonuję polecenia. Zdaje się, że komuś nie spodobało się to, co tam szykowałeś. Radzę ci pędzić tutaj i przedstawić własną wersję.
 - Jaką znowu wersję? - wykrzyknął z wściekłością. - Mam umówiony wywiad z Duvalierem. Nie zechce rozmawiać z nikim oprócz mnie. W czwartek mam być w Londynie na konferencji Thatcher, a potem lecę do Genewy. Nie mam czasu na te bajduły o Myszce Miki. Przedstawić własną wersję! Nie przyszło ci na myśl, że ktoś mógł mnie zrobić?
 - Nie zostałbyś wrobiony, gdybyś się trzymał z daleka, tak jak ci radziłem. Nie o to chodzi.
 - Cholera.
 - Wracasz?
 - Nie.
 - Jeśli nie wrócisz, grasz na własną rękę, kolego.
- Miara się przebrała. Nie sposób było sobie wyobrazić większego upokorzenia, niż wezwanie do centrali w celu złożenia wyjaśnień. Wyczerpany, czując niedobór słów, które pozwoliłyby mu wyrazić się dostatecznie dobitnie, Peter zakończył rozmowę głupim chwytem.
- Możesz powiedzieć temu dupkowi, że nie może mnie wylać. Odchodzę!
- Jego gniew był jak obca osoba, stojąca z boku i mordująca go. To samo zdarzyło się, kiedy w końcu rozstał się z Sarą Jane. Podczas ostatniej kłótni wykrzyczał rzeczy tak raniące, nieuczciwe, tak upokarzające dla nich obojga, że już w momencie wypowiedzania ich wiedział, że zabija małżeństwo słowami. Jednak opanowanie się było równie niemożliwe jak oddychanie pod wodą - zresztą w przyływie gniewu tak właśnie się czuł. Nigdy się nie nauczył brać na wstrzymanie choćby na okres jednego czy trzech uderzeń serca, żeby odzyskać zdrowy rozsądek. Nieugięta furia rozbijała mózg Petera na bezużyteczną miazgę.
- Kiedy się uspokoił, upór, jak zwykle, przywdział znajomą, wesołą maskę. Szef zrozumie, że ktokolwiek na niego doniósł, kłamał; Jimison zadzwoni i zasypie Petera przeprosinami. Tymczasem odpowiedzią miała być gorzala.
- Odwołał kolację z haitańskim pośrednikiem i zszedł do małego baru hotelowego. Przybył wcześniej. Tradycyjny tłumek jeszcze się nie zebrał.
- Ogrzewając w dłoniach pierwszego drinka, powiedział do Ronniego, wyrozumiałego barmana-emigranta:
- Kto wie? Może odejście z WorldWide to w istocie błogosławieństwo? Wciąż jeszcze mam małe mieszkanie w Village. Nadszedł czas odwetu, napiszę Wielką Amerykańską Powieść.
 - Mhm.
 - Z moim nazwiskiem musi się stać bestsellerem. Poza tym są miniseriale. Nawet film. Zresztą zaczynał mnie męczyć ten wyścig szczurów.
 - Jasne, panie Shea.

To właśnie Ronnie powiedział mu później tego wieczoru, po tym jak Peter postawił kolejkę gromadzie nowych „przyjaciół” przy barze, że musi zapłacić gotówką. Firma przestała pokrywać jego wydatki w hotelu.

Dzięki słowom Ronniego zrozumiał, że nieodwołalnie rozpada się jego świat przywilejów i zrobił coś, czego nie robił od czasów dzieciństwa.

Peter Shea, były korespondent zagraniczny działu informacyjnego WorldWide, człowiek niemałego pokroju i cieszący się niemałym szacunkiem, zwymiotował na mahoniowy blat baru eleganckiego lewobrzeżnego hotelu, gdzie mieszkał Oskar Wilde i gdzie, według niektórych, Frank Sinatra pił szampana z włoskich pantofli wieczorowych Avy Gardner.

W holu znajdowało się kilka osób. Wszyscy widzieli, jak odnoszono Petera Shea do pokoju.

Pasażerowie wydali zbiorowy jęk, kiedy pilot ogłosił, że lądowanie opóźnia się. Będą kołować nad lotniskiem JFK przez „kilka krótkich chwil”. Jasne, pomyślał Peter, wierząc się z irytacją w fotelu.

Spojrzał przed siebie, w stronę toalety pierwszej klasy. Coś się działo przed drzwiami. Wychylił się z fotela, żeby lepiej widzieć.

Stewardesa przykladała czoło do drzwi i mówiła coś gorączkowo do człowieka znajdującego się w środku. Peter uchwycił zaledwie parę słów. Zdaje się, że ostrzegała kogoś, że samolot podchodzi do lądowania. Drzwi pozostały zamknięte. Odpowiedź, jaką otrzymała stewardesa, sprawiła, że popędziła przejściem między fotelami. Mijając Petera, mruknęła coś i przewróciła oczami.

- Wspaniale - powiedział sarkastycznie. Teraz będą kołować przez godzinę, póki załoga nie wyciągnie gościa, który utknął w toalecie.

W parę sekund później przejściem przebiegł inny członek załogi, a za nim młody steward, który przed startem zaprowadził Petera na miejsce. Pochód zamykała niezwykle zaaferowana stewardesa.

W pierwszej klasie znajdowało się zaledwie sześciu innych pasażerów. Poruszenie pod drzwiami toalety zwróciło uwagę wszystkich. Shea zerknął na przeciwległy rząd foteli i spostrzegł, że miejsca Aylera i dziewczyny były puste. Peter rozparł się w fotelu z uśmiechem, zachwycony tym, co się działo. Istniało tylko jedno miejsce, gdzie mogli się znajdować kochankowie.

Posługując się jakimś metalowym narzędziem, steward wyważył cienkie drzwi toalety. Shea spostrzegł, jak stewardesa zakrywa dłonią usta, podczas gdy cała trójka zagląda przez otwarte drzwi. Członek załogi sięgnął za siebie, wyciągnął spod fotela koc i wręczył go pasażerom okupującym toaletę.

Po chwili w przejściu pojawił się upokorzony Jack Ayler, którego świeża opalenizna zbladła o kilka odcieni. Był przepasany niebieskim kocem lotniczym na modłę włoskich kelnerów, oprócz tego miał na sobie różową koszulę z golfem. Odsunął się na bok, żeby ustąpić miejsca stewardowi pomagającemu Christine, która najwyraźniej znajdowała się na podłodze toalety.

Christine, w stroju w nieładzie, wyszła potykając się, a stewardesa rzuciła Aylerowi jego majtki, chwyciła z pustego fotela drugi koc, którym zasłoniła kobietę.

Kiedy steward przechodził pospiesznie, usiłując stłumić uśmiech, Peter zapytał:
- Co się stało?

Młody człowiek zatrzymał się, nachylił do Petera i szepnął:

- Oparł ją o umywalkę. Poślizgnęła się i zablokowała nogą drzwi. Kiedy otworzyliśmy, oboje mieli gołe tyłki.

Steward ruszył dalej, a Peter przycisnął mocno pięść do zębów, żeby stłumić duszący go śmiech.

To było to! myślał, momentalnie zmieniając artykuł, jaki zamierzał napisać o Jacku Aylerze.

Jeśli jego szefowa nie zechce tego materiału, Peter znajdzie kogoś, kto zechce; umowa o wyłączność z „Fifteen Minutes” nie grała roli.

Skinął głową i zamknął oczy. Ona zechce, przekonywał sam siebie. Nie było mowy, by Fedalia Nuli, nieustraszona redaktorka, dzięki której czasopismo osiągnęło tak oszałamiający sukces, tym razem mu odmówiła. Zawsze wychodziła Peterowi naprzeciw.

Rozdział drugi

w czasach, kiedy Peter Shea znajdował się u szczytu powodzenia w Paryżu, zachnąłby się na samą wzmiankę o czasopiśmie w rodzaju „Fifteen Minutes”.

Nikogo, kto zniżyłby się do publikowania w podobnej szmacie, nie brano by poważnie.

- Amatorzy - prychnąłby znad szklanki szkockiej. - Japiszońskie śmieci - dodałby, ignorując wewnętrzny głos, ostrzegający go, że coś nowego i istotnego działo się w świecie, który zostawiał Petera w tyle. W tych czasach, kiedy chodził upojony własną ważnością i pozornie nieograniczoną władzą, powiedziałby ludziom słuchającym go jak wyroczni, że „Fifteen Minutes” nie praktykowało dziennikarstwa, ale rozrywkę informacyjną; nazwałby to pisaniną schlebiającą najprymitywniejszym gustom i niewartą drzew, jakie ścięto na papier.

Tak niska ocena czasopisma mogłaby być uzasadniona, gdyby nie niewiarygodna i śmiała młoda kobieta, która postawiła „Fifteen Minutes” na nogi.

Kiedy Mosby Media zakupiło czasopismo, które później miało się stać „Fifteen Minutes”, była to szmata pod tytułem „Star Watch”, mieszanina wywiadów z agentami prasowymi i artykułów pisanych w oparciu o plotki o gwiazdach oper mydlanych. „Star Watch”, drukowane na papierze makulaturowym farbą, która zostawała na rękach, reklamowało motele z karaluchami i oferowało sprzedaż wysyłkową nylonowych pończoch „drugiego gatunku” oraz torebek winylowych z dużą ilością zapinanych na suwak kieszeni za dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów sztuka (lub dwie za piętnaście dolarów). Posiadanie tego czasopisma nie oznaczało wiele, poza dysponowaniem listą adresów ponad siedmiu milionów Amerykanów, którzy co tydzień czekali na plotki o znanych osobach.

Brytyjski magnat prasowy, lord Billy Mosby nie wiedział wtedy dokładnie, że nabył „Fifteen Minutes”. Stanowiło część transakcji wiązanej, wraz z czasopismem o starych samochodach i miesięcznikiem o zapasach.

Gdzieś na południe od Czternastej ulicy amerykańscy łowcy głów lorda Mosby'ego znaleźli odważną, młodą kobietę z głową pełną pomysłów i burzliwą przeszłością zawodową. Redagowała wówczas mały miesięcznik przeznaczony dla czytelników z zamożnych dzielnic.

Nazywała się Fedalia Nuli.

Fedalia nie przypominała innych gładkich, modnych kobiet prowadzących w latach osiemdziesiątych lukratywne, popularne czasopisma.

Fedalia Nuli była inna.

Dano jej wolną rękę, budżet wysokości trzech milionów dolarów i rok, żeby postawić „Star Watch” na nogi. W ciągu miesiąca zwolniła wszystkich pracowników z kierowniczych stanowisk, przeniosła redakcję do domu przy Siedemdziesiątej Piątej Wschodniej ulicy będącego własnością Mosby'ego i zabrała się do reorganizacji pisma według własnego planu.

Fedalia sprowadzała wszystkich i wszystko do prawa Warhola o piętnastu minutach sławy. Posługując się nim jak kompasem, zaczęła wydawać miesięcznik koncentrujący się na ludziach, którzy niedawno przeszli ów test.

Zdarzenie, które wprowadziło pismo do świadomości ogółu było dokładnie w stylu Fedalii. W roku 1987 kupiła nakręconą przez księgowego na urlopie kasetę wideo przedstawiającą senatora Gary'ego Harta zabawiającego się na pokładzie Monkey Business. Fedalia poleciła działowi grafiki uwiecznić jedno z bardziej spektakularnych ujęć senatora i Donny Rise zlizujących z siebie nawzajem olejek do opalania. Zdjęcie zamieszczono na okładce.

Pismo wykupiono jeszcze przed lunchem i narodziły się dwie gwiazdy: miesięcznik „Fifteen Minutes” oraz Fedalia Nuli.

W ciągu dwóch dni, podczas których inne środki przekazu nadganiały z sensacyjną wiadomością, Fedalię zapraszano do tyłu programów telewizyjnych, do ilu mogła zdążyć nowo wynajętą limuzyną.

Nawet jeśli członkowie establishmentu środków przekazu skrywali szydercze uśmiechy, Fedalia tego nie widziała albo o to nie dbała. Zastosowała się po prostu do pierwszej reguły gospodarki wolnorynkowej: znalazła coś, czego ludzie chcieli i sprzedawała im to.

Pomalowała gabinety dyrektorskie pomarańczowym lakierem. Nie był to jednak pomarańczowy kolor Howarda Johnsona z lat sześćdziesiątych, lecz pulsująca, płomienna sjena o barwie eksplodujących lilii tygrysich. Zamiast krzeseł kazała wstawić szezlongi obite imitacją skóry żrebięcej. Szerokie na trzy metry biurko Fedalii z polerowanego drewna miało kształt bumerangu. Zasiadała przy nim w fotelu będącym repliką tronu papieża Hadriana, który wycyganiła od projektanta wewnątrz z Broadwayu. Aztecko-watykański wystrój gabinetu pasował do Fedalii równie dobrze, jak siatkowe pończochy oblekające jej zgrabne nogi.

Podobnie jak wiele tęgich młodych kobiet miała bardzo ładną twarz o szeroko osadzonych jasnoniebieskich oczach i ustach w kształcie łuku Kupidyna. Nikt nigdy nie opisał jednoznacznie koloru jej włosów, ponieważ zmieniała go w zależności od nastroju. Twierdziła, że świeża, nieskazitelną cerę zawdzięcza słabości do Haagen-

Dazs i majonezu, a ponadto wiedziała, ponieważ kiedyś była szczupła, że pod tym wszystkim kryło się oszałamiające ciało.

Fedalia nie potrafiła zostawić samej siebie w spokoju ani zdecydować się na jeden wygląd. W ciągu ponad dziesięciu lat wypróbowała wszystkie gadzety, kosmetyki, peruki i fatalaszki, jakie podsuwali jej gorliwi agenci prasowi i promotorzy zabiegający o rozgłos. Fedalia Nuli wyglądała jak jednoosobowy bal kostiumowy. Kiedy wreszcie złapała wiatr w żagle, a pismo „Spy” poświęciło jej artykuł, nazwano ją „przedobrzoną”.

Fedalia przysłała na świat głodna i taka też pozostała nawet po tym, jak lord Mosby, uradowany i wdzięczny za sukces „Fifteen Minutes”, podwyższył jej pensję wraz z premiami do rzędu sześciocyfrowego.

Gdyby Fedalia miała nieco lepsze pochodzenie, wstydziłaby się mówić o sobie, jednak opowiadanie o ponurej przeszłości ubarwiało rozmowę. Robiła to, gdy pragnęła ożywić przyjęcie, często ku zmartwieniu ludzi, chcących, by osoba, która odniosła taki sukces, miała bardziej przewidywalne pochodzenie.

Matka Fedalii była piętnastoletnią zbiegłą dziewczyną którą „ocalił” dyrektor supermarketu w St. Paul. Przyłapał ją gdy kradła w jego sklepie, chcąc nakarmić córeczkę. Później nastąpiły dalsze przypadki „ocaleń”, a może także małżeństw. W czternastym roku życia Fedalia przestała liczyć „ojczymów”. Spakowała swój skromny dobytek i ruszyła w drogę, gnana pragnieniem, by znaleźć się wszędzie, byle nie tam, gdzie była.

Podróżowała posługując się kciukiem. Po dwóch latach w drodze wylądowała, niczym fosforyzująca piłka, na ulicach West Side w Nowym Jorku, w liczącym sześć przecznic labiryncie nędzy. We wczesnych latach siedemdziesiątych policja określała ten rejon „Pasem Minnesoty”, ponieważ wiele z tamtejszych prostytutek było, jak Fedalia, niebieskookimi zbiegami ze Środkowego Zachodu.

Zarabiała się tam pieniądze, kupowało narkotyki, a alfonsi osaczali każdą nową zastraszoną dziewczynę. Głodna i wychudła, pierwszej nocy skuliła się w cuchnącej bramie przy Ósmej alei. Podniósłszy wzrok ujrzała uśmiechającą się do niej kobietę w dżinsach i skórzanej kurtce.

- Chcesz kanapkę z białego chleba z tuńczykiem czy z masłem orzechowym i dżemem? - spytała kobieta, sięgając do płóciennej torby na ramieniu.

Fedalia zamierzała się jakoś odszczeknąć, kiedy nieznajoma wyciągnęła rękę.

- Nazywam się siostra Jo. Nie bój się, jestem zakonnica - powiedziała ze słodkim uśmiechem, który przypomniał Fedalii, że istnieją ludzie o czystych zębach. - Musiałaś zmarznąć. Jeśli nie masz ochoty na kanapkę, co powiesz na gorący prysznic i zupę?

Fedalia spojrzała na swoje podarte ubranie. Nie pamiętała, kiedy się ostatnio przebierała, nie mówiąc o kąpieli. Gorące łzy, o których myślała, że już dawno temu wyschły na zawsze, stanęły w jej oczach, a potem wolno popłynęły po policzkach.

- Dlaczego płaczesz? - spytała cicho siostra Jo.

- Bo śmiech za bardzo boli - odparła Fedalia. - Mówiłaś poważnie o gorącym prysznicu?

Misja Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny zajmowała pięć wymalowanych na biało piętrowych budynków z piaskowca przy zachodniej Czterdziestej Szóstej ulicy, niedaleko rzeki. Fedalia znalazła tam ciepłe jedzenie, czystą pościel oraz pokój na tyłach ze stertą starych numerów pisma „Rolling Stone”. W misji, otoczona zakonnicami i dziewczętami, którym nie powiodło się bardziej niż jej, Fedalia znalazła coś jeszcze: bezinteresowną miłość w postaci Jezusa Chrystusa.

Wyobrażenie Fedalii o Jezusie było nieco spaczone. Stanowił dla niej połączenie figury ojca, mistycznej prawdziwej miłości, oraz Huntera Thompsona. Każdy z tych aspektów dawał jej coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Zakonnice nie miały nic przeciwko temu. Podczas swojej posługi zrozumiały, że istniały bezsprzecznie gorsze rzeczy dla dziewczyny, niż pielęgnowanie wyobrażenia o Chrystusie Gonzo. Fedalia odkryła niewzruszone zasady, według których mogła żyć. Zakonnice, niewyjaśnionego pochodzenia poczucie humoru oraz głowa na karku pomogły jej zdać egzamin maturalny i dostać się do Fordham.

Po ukończeniu studiów ruszyła za tym, co uważała za swoje przeznaczenie i zgłosiła się do pracy w „Rolling Stone”. Przyjęto ją, co zawdzięczała encyklopedycznej wiedzy o piśmie, począwszy od jego powstania.

Dziesięć lat i kilka posad później Mosby Media zatrudniło ją na stanowisko redaktora nowego pisma. Fedalia nigdy nie straciła wiary, że Jezus Gonzo ją kocha oraz że każdy zasługuje na drugą szansę i dostaje ją

Pewnego październikowego ranka 1988 r. Fedalia podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach gabinetu swoją sekretarkę, oszalałającą czarnoskórą dziewczynę imieniem Vickie.

- Przynieśli torbę ze śmieciami oznajmiła melodyjnie Vickie. Dwoma palcami jednej ręki trzymała dużą torbę, a drugą zatykała nos. - Chcesz ją teraz przejrzeć?

„Torbę ze śmieciami” przynosił co tydzień goniec od agentki nazwiskiem Wendy Klarwine. Agencja Klarwine słynęła z reprezentowania autorów i ich książek pisanych przez „murzynów”. Wendy Klarwine miała czterdzieści dwa lata, była niezamężna, drobniutka i prawie piękna - same włosy i zdecydowanie. W ciągu dwudziestu lat w interesie zdołała przekonać ludzi z przemysłu wydawniczego, płacących pisarzom za ich prace, że jeśli nie będą zwracać uwagi na śmieci, którymi handlowała, nie da im szansy kupienia utworów wartościowych. Chcąc nie chcąc redaktorzy czasopism stawali w kolejce, ponieważ zależało im na możliwości kupowania i publikowania chwytliwych fragmentów z książek Wendy. Stąd cotygodniowa „torba ze śmieciami” od Wendy i bezwartościowe artykuły pióra autorów z końca jej listy.

Fedalia jęknęła, kiedy Vickie opróżniła torbę na biurko w kształcie bumerangu.

- Spójrz tylko na ten szajs - powiedziała, trącając gumką ołówka stertę papierów, jakby nie chciała ich nawet dotykać.

- Musisz to przynajmniej przejrzeć - rzuciła przez ramię Vickie wracając do siebie. - W tym tygodniu Klarwine wystawia na licytację dziennik fryzjerki Imeldy Marcos. Musisz z nią porozmawiać.

Fedalia przewróciła oczami. Już miała odsunąć całą stertę na bok, kiedy coś przykuło jej wzrok. Podniosła kilka spiętych spinaczami kartek i przeczytała pierwszy akapit artykułu zatytułowanego „Dziewczyna o oczach bez dna”.

Łądowisko wycięto pośród gęstego lasu otaczającego zamek barona. Jako pierwsze wylądowały większe, szybsze odrzutowce, należące do przywódców państwowych i międzynarodowych korporacji. Po nich przyleciały mniejsze samoloty. W południe na terenach otaczających wspaniałą osiemnastowieczną kamienną posiadłość stacjonowało coś na kształt prywatnych sił powietrznych.

Rozpoczęło się La Fantastique, otoczone najwyższą tajemnicą spotkanie najpotężniejszych ludzi świata. Piękne dziewczyny madame Cleo miały pojawić się później, wyjść z nocy, eleganckie, egzotyczne, zdolne na trwałe zmienić wyobrażenie mężczyzny o seksie za pieniądze.

Bardziej niż rewelacje o najdroższych prostytutkach Fedalię zaintrygował fakt, że najbardziej wpływowi ludzie spotykali się potajemnie, by oddawać się rozpuście. Doczytała artykuł do końca, a potem wróciła do początku, żeby sprawdzić, kto go napisał.

- Vickie! - zawołała. - Kim jest ten reporter, który dostał szału na wydanej przez Biały Dom kolacji dla prasy?

Vickie wczepiła się obcasami w dywan i podjechała z krzesłem do drzwi.

- To było coś, nie? Ten biedak przegrał wszystko. Wyrwać w ten sposób mikrofon. Słyszałam, że Patrick Buchanan i służba specjalna musieli go ściągać z mównicy. Fedalia zamknęła oczy i powiedziała bardzo wolno.

- Jak on się nazywał, Vickie?

- O, przepraszam. To był Peter Shea z WorldWide.

- WorldWide go wylała, tak?

- Myślę, że już był wylany, kiedy to zrobił. Czytałam, że wysłali go do czubków.

- Victorio, jesteś prawdziwą kopalnią informacji - powiedziała chichocząc Fedalia. - Zadzwoń teraz do Wendy Klarwine i powiedz, żeby ten Peter Shea do mnie wpadł. Chcę, żeby coś dla nas napisał.

- Znalazłaś Petera Shea w torbie ze śmieciami? - spytała Vickie, unosząc brwi. - Jakież to odpowiednie miejsce.

- Nie bądź niemila, Victorio. To, że masz świetne nogi i jesteś wygadana, nie oznacza, że nie możesz kiedyś zrobić z siebie głupiej. Połącz mnie z Wendy.

W tydzień po tym, jak jego agentka powiedziała mu, że redaktorka „Fifteen Minutes” chce się z nim widzieć, Peter Shea szedł z zakłopotaniem turkusowym korytarzem wiodącym do gabinetu Fedalii Nuli.

Ściany po obu stronach zdobiły oprawione zdjęcia ludzi, którzy przeszli test Warhola: Meagan Marshak, „asystentka” Nelsona Rockefellera, kiedy umarł w jej mieszkaniu; sprzedawca słodczy, który uderzył Franka Sinatrę; Henry Weinberg, chłopiec Elizabeth Taylor, który utrzymał się najkrócej oraz wielu innych, których Peter nie potrafił rozszyfrować. Na honorowym miejscu, nad wejściem do gabinetu, widniała fotografia Valerie Solanis, kobiety, która postrzeliła Andy Warhola.

Peter przesunął wzrokiem po zdjęciach i uśmiechnął się. Gust tej kobiety był może dziwaczny, ale bez wątpienia konsekwentny.

Po telefonie Wendy Klarwine, która powiedziała mu, że miesięcznik okazał zainteresowanie jego artykułem, przez ponad godzinę siedział wyglądając przez okno. Artykuł o La Fantastique był pierwszą rzeczą, którą spróbował napisać od czasu załamania. Teraz, o ironio, właśnie ten artykuł sprawił, że włożył garnitur, krawat i pojechał do centrum.

Kiedy Wendy po raz pierwszy wspomniała o miesięczniku, Peter zmusił się, by na niego spojrzeć. Ze zdziwieniem stwierdził, że dostarczał konkretnych informacji, był inteligentny i odświeżająco błazeński. Mimo to nie chciał rozmawiać bezpośrednio z redaktorką. W ciągu minionego roku jego kontakt z ludźmi ograniczał się do doktora Benedicta, jego psychiatry, i Wendy Klarwine. To doktor Benedict skłonił go wreszcie do obdzwonienia połowy agentów w mieście. Kiedy Peter opisał swój kruchy, agorafobiczny stan, jedynie Wendy zgodziła się go reprezentować. Na szczęście nie tylko po niego przysłała, ale kazała czekać swojej limuzynie.

Kiedy wszedł do sekretariatu, znad biurka podniosła wzrok oszalamiająca czarna kobieta.

- Cześć - powitała go pogodnie. - Pan musi być Shea. Jestem Vickie.

- Dzień dobry, Vickie - odparł Peter, zezując na pomarańczowe ściany. Sprawiły wrażenie mokrych.

- Może pan wchodzić. Pani Nuli właśnie skończyła rozmawiać przez telefon. - Vickie skinęła na drzwi w głębi i wróciła do edytora tekstu.

Fedalia Nuli siedziała za biurkiem przypominającym odrzutowiec Deltę. Jej opadające na ramiona, białe jak papier włosy stanowiły negatyw włosów Glorii Steinem. Pięcioletniej szerokości czarne pasma falowały po obu stronach jej ładnej twarzy niczym nawiasy. Wstała, a pod czymś, co wyglądało jak atlasowy namiot, Peter dostrzegł zgrabną sylwetkę. Ciekawe, pomyślał, w czasach, kiedy większość pracujących kobiet jest tak chuda, że wydaje się być narażona na czyhające nie opodal sępy, oto kobieta, która raczej jest stworzona dla wygody, niż pośpiechu.

- Peter - powiedziała z promiennym uśmiechem, wyciągając rękę.

- Pani Nuli - odparł ściskając jej dłoń.

- Proszę, nazywaj mnie Fiddle.

- Zgoda, Fiddle - powiedział kiwając głową.

- Proszę usiąść.

Peter rozejrzał się po pokoju, po czym, nie mając innego wyjścia, przycupnął niezręcznie na skraju szeslongu obitego jakąś imitacją czarno-białego futra.

- Zachwylił mnie twój artykuł - oświadczyła Fiddle wracając na swój fotel wielkości tronu. Wyglądał, jakby ściągnięto go z ołtarza kościoła Świętego Patryka.

- Dziękuję.

- Fascynujące. Zawsze intrygowały mnie dziewczęta madame Cleo. Mówi się, że niektóre z najbardziej ekskluzywnych nowojorskich kobiet do towarzystwa to były dziewczyny madame Cleo. Twój artykuł powinien zaciekać pewnych ludzi.

Dlaczego postanowiłeś go napisać?

- Nikt wcześniej tego nie zrobił.

- Cóż, mnie on zachwyił. Szkoda, że nie możemy go wykorzystać.

Peter zmarszczył brwi.

- Słucham?

- To nie jest materiał dla nas, Peter. Jeśli jesteś zaznajomiony z naszym pismem, to wiesz, że koncentrujemy się na znanych osobistościach. Gdybyś, na przykład, przeprowadził wywiad, powiedzmy, z jedną z dziewczyn i ujawnił, bo ja wiem, że została popchnięta do prostytucji z powodu tragicznego romansu z Edem Kochem, wtedy moglibyśmy to kupić.

- Chyba nie rozumiem - powiedział ściśniętym głosem Peter. - Wydawało mi się, że jestem tutaj z powodu tego artykułu. - W myślach powtarzał mantrę doktora Benedicta, uspokój się, uspokój się.

Nie powinien był przychodzić. Wciąż miał zbyt cienką skórę, wciąż był gotowy reagować na choćby najdrobniejszą oznakę odrzucenia. Jeśli ta dziwaczna kobieta i jej obleśne pismo nie chcieli jedynej rzeczy, jaką zdołał przelać na papier w ciągu całego roku, mogła sobie wsadzić ten artykuł...

- Jest natomiast coś, co chciałabym, żebyś dla nas napisał. - Przerwała mu wewnętrzną diatribę przeciwko nadziei.

- Naprawdę nie piszę o znanych osobistościach.

- Wiem. Jesteś myślącym korespondentem zagranicznym. Potężnym, sławnym facetem - powiedziała sympatycznie.

- Byłem myślącym korespondentem zagranicznym.

- Bosko. W takim razie rozumiesz, o co mi chodzi - stwierdziła, już nie tak sympatycznie.

Peter posłał jej gniewne spojrzenie. Co tu jest grane, robi sobie z niego jaja? O co idzie tej kobiecie?

- Nie, obawiam się, że nie.

- Miałeś swoje fascynujące piętnaście minut, Peter. Wybryk w ogólnokrajowej telewizji to niemała rzecz. Fakt, że zniknąłeś czyni tę historię jeszcze bardziej interesującą. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego tak się stało, a najlepiej będzie, jeśli to ty im powiesz.

Peter wstał z łamiącego kręgosłup szeslongu i wepchnął ręce do kieszeni.

- Pamiętasz o tym, co?

- Czy pamiętam? Zapomniałeś, że jestem dziewczyną kolekcjonującą ludzi, którzy przeszli test Warhola? Smutne jest to, że po tylu latach ciężkiej pracy akurat takie było twoje piętnaście minut. Co się stało?

- Stało się to, że jakiś skurwysyn doprowadził do wylania mnie za to, że przyjąłem premię w postaci dziewczyny o oczach bez dna - mówił, stukając palcem w kopię artykułu leżącego na biurku Fedalii. - Kiedyś się odkuję i poświęcę wiele czasu na odkrycie gościa, który dźgnął mnie w plecy.

- Szkoda, że nie skupiłeś się na tym w swoim artykule. Tak się składa, że dla mnie jest to fascynujące, a moi czytelnicy myśleliby podobnie.

- Tak się składa że według mnie to żałosna sprawa, o której najlepiej zapomnieć.

Fedalia potrząsnęła głową, sprawiając, że włosy zakryły jej oczy.

- Błąd. Pomyłka. Pudło, panie Shea. Jest w tym znacznie więcej. Zawsze jest więcej. Właśnie dlatego to pismo ma takie powodzenie. Docieramy do lat, jakie kryją się za kwadransem sławy. - Przerwała posyłając mu długie, surowe spojrzenie. - Co mam powiedzieć, żeby pan zmienił zdanie?

Peter wziął głęboki wdech.

- Nic - powiedział cicho. - Nie potrafiłbym. To byłoby zbyt bolesne.

- Co? Pisanie o załamaniu nerwowym? Świrowanie nie jest powodem do wstydu, a może nie widziałeś gości w programie Phila Donahue? Jeśli nie wyleczyli się właśnie z nerwowego mycia rąk, albo nie są leczącymi się lesbijskimi matkami bliźniaków, to zwiedzili dokładnie klinikę Betty Ford. I wiesz co? Ludzie, którzy opowiadają o tym, że upadli, a potem się podnieśli, robią wiele dobra. Chodzi o znalezienie drogi powrotnej z krainy świrów. Nie ma tu mowy o wstydzie. Jest mowa o dodawaniu otuchy. Gra się toczy o triumf.

- Jak możesz być tak bezlitośnie niefrasobliwa? - spytał Peter, marszcząc brwi. - Kurwa, ja o mały włos się nie zniszczyłem.

Fedalia wzruszyła ramionami, unosząc obie dłonie.

- No i co? Wykorzystaj to. To twoje przeżycie. Może w ten sposób pomożesz komuś innemu.

Peter potrząsnął głową.

- Jest za wcześnie. Jeszcze nie wyzdrowiałem.

- Wygląda na to, że nie chcesz wyzdrowieć.

Wziął kilka płytkich wdechów, żeby osłabić dławiący niepokój.

- Dzięki, ale już mam psychiatrę - warknął, ale natychmiast pożałował tych słów. Pomimo całej pozornej twardości, było w tej kobiecie coś słodkiego.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedziała cicho. - Myślisz, że jeśli kiedykolwiek opowiesz światu o tym, co się stało, zrobisz to na łamach jakiegoś ekskluzywnego pisma, jak „Times” czy „Vanity Fair”.

Peter spojrzał na nią i powoli skinął głową.

- Może i tak.

- Czy zwrócili się do ciebie?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wiedzą, że żyję.

- Może nie żyjesz. A mógłbyś. Zapłacę ci dziesięć kawałków za to, żebyś się dowiedział. - Podniosła ołówek, napisała coś na bloczku, wyrwała kartkę i wręczyła Peterowi. - Przyklej to na lustrze w łazience. To zobowiązanie wypłaty.

- Dzięki, ale nie. Duże, grube, nie pozbawione wdzięczności nie.

Fedalia ściągnęła usta i zerknęła w bok na okno. Potem odwróciła się do Petera, patrząc mu prosto w oczy.

- Kiedy masz zapłacić czynsz?

- Słucham?

- Nie potrzebujesz pieniędzy? Stary, tani chwyt. - Zrobiła znaczącą minę.

- Nie mam problemów z czynszem.

- Czy to nowy garnitur?

Peter spojrzał na sfatygowany szary flanelowy garnitur od Brooks Brothers.

- Wszystkie moje rzeczy są wciąż spakowane - powiedział. - Zresztą i tak nigdzie nie chodzę.

- Nawet do kina, albo na przedstawienie na Broadway? Kiedy ostatnim razem jadłeś w naprawdę eleganckiej restauracji, takiej jak te, w których z pewnością jadałeś w Paryżu?

- Proszę posłuchać, pani... Nuli. Nie przyszedłem tu po to, żeby mnie chłostano. Wendy mówiła, że jest pani zainteresowana moim artykułem. Nie twierdziłem jednak, że jestem gotów napisać coś więcej.

- Zmienisz zdanie - powiedziała z uśmiechem. - Miałeś zły okres. W każdym razie twój wybryk to był czysty teatr. Ludzie mówili o tym tygodniami. Daj spokój, Peter, nie popełniłeś morderstw w trzech stanach. Nie traktuj się tak poważnie.

Peter uśmiechnął się, a potem wybuchnął śmiechem. To było cudowne uczucie. Nie śmiał się od bardzo dawna.

- To samo mi mówi psychiatra.

- Może rozminęłam się z powołaniem. Wsunął jej kartkę do kieszeni.

- Pozwól, że o tym pomyślę. Fiddle, dobra?

- Dobra. Mam nadzieję, że myślisz szybko.

- Przepraszam, jeśli zachowałem się niegrzecznie. Dzięki. Prośba o napisanie czegokolwiek jest jak promień słońca po roku spędzonym w ciemnościach.

Fedalia wstała i znowu wyciągnęła do niego rękę.

- W takim razie, stary, opalaj się, póki możesz.

W ciągu miesiąca bezsennych nocy, jaki nastąpił po ich spotkaniu, Peter myślał głównie o propozycji Fiddle. Borykał się z tą myślą tak, jakby trącał chory ząb.

Wiedział, że każde szturchnięcie gwarantowało kolejne ukłucie bólu, a mimo to nie potrafił się powstrzymać. Zainteresowanie Fiddle jego osobą nappełniło go przekonaniem, po raz pierwszy od załamania nerwowego, że wciąż jeszcze przedstawia jakąś wartość dla kogoś oprócz psychiatry, agenta i właściciela koreańskiej pralni po przeciwnej stronie ulicy.

Chodząc tam i z powrotem po maleńkim mieszkanku wytłumaczył sobie, że nic się nie stanie, jeśli spróbuje napisać to najbardziej osobiste wyznanie. Żadne duchy nie zaglądały mu przez ramię. Nikt się nawet nie dowie, że to on napisał te słowa. Jeśli artykuł okaże się śmieciem, będzie mógł go podrzeć i zjeść, jak postaci w filmach szpiegowskich żujące tajne szyfry.

W pewną sobotnią noc, w miesiąc po spotkaniu z Fedalia Nuli, Peter zasiadł do starej, wiernej, przenośnej maszyny Remington. Stanowiła już niemal zabytek i zwiedziła z nim cały świat. Ilekroć natykał się na podobny egzemplarz w sklepie ze starzyzną, kupował go i magazynował w szafie na części zamienne.

Drżącymi rękami wkręcił kartkę papieru i położył palce na klawiaturze.

Nie był w stanie nimi poruszyć.

Za plecami Petera stał włączony telewizor, rzucający migotliwe odbicia na szybki przed biurkiem. Ten widok coś mu przypomniał - drogę wyprowadzającą go z paraliżu. Gra była warta świeczki. Zanurkował pod kanapę po książkę telefoniczną, otworzył na literze N. Znalazł tylko dwie osoby nazwiskiem Nuli. Franklin Nuli mieszkał przy Dziewięćdziesiątej Czwartej wschodniej ulicy, i F. Nuli przy

Gramercy Park. To musiała być Fiddle. Wszyscy wiedzieli, że inicjał imienia oznaczał niezamężną kobietę.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Świetnie, pomyślał gorzko. O tej porze w sobotnią noc na Manhattanie z pewnością bawi się gdzieś szampańsko. Zostawi wiadomość elektronicznej sekretarce.

- Pani Nuli? Jest pani człowiekiem czy maszyną? - spytał, usłyszawszy jej głos po pierwszym sygnale.

- To brzmi jak nieprzyzwoity telefon od Camusa - odparła ze śmiechem. - Cześć, Peter.

- O, poznałaś mój głos?

- Oczywiście.

- To mi pochlebia - powiedział, opierając się i z łomotem kładąc obcas butów na wysłużonym stoliku do kawy. - Wybacz, że dzwonię do ciebie do domu o takiej godzinie.

- Jedyna rzecz, jakiej nie wybaczę, to fakt, że nazwałeś mnie panią Nuli.

- Przepraszam, chyba za długo żyłem w Europie... Fedalio.

- Fiddle - poprawiła go. - Przycisz telewizor. Nie słyszę cię najlepiej.

Peter wyłączył głos i ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Tak lepiej. Co oglądasz na wideo? - zapytała.

- Wideo? Aha. Nie mam tej zabawki.

- Dobry Boże! Czy masz już splukiwany klozet?

- Właśnie go przynieśli - odparł podtrzymując grę. - Słuchaj, dzwonię, bo...

- Mhm?

- Ta rzecz, no wiesz, ten komputer, który widziałem u ciebie na biurku. Jak bardzo jest skomplikowany w obsłudze? To znaczy, czy to jest jak prowadzenie myśliwca, czy istota o dwóch lewych rękach potrafi to obsługiwać?

- Kiedy się nauczysz, jest to proste jak drut. Dlaczego pytasz?

- Przysięgałem, że nigdy nie zaniecham maszyny do pisania, ale coś się stało z moją zdolnością pisania. Nie jestem w stanie pisać. Patrzą na nią i zamieram. Myślałem, że nowe narzędzia pracy mogłyby się okazać pomocne.

- O, z całą pewnością. Odmienia twoje życie - odparła z nagłym ożywieniem. - Ale nie powinienes mieć jednego z tych wielkich potworów, jakie mamy Vickie i ja.

Potrzebujesz laptopa. Chcesz?

- Nie wiem, czego chcę. Wiem tylko, że nie potrafię napisać ani słowa na maszynie, której używałem przez dwadzieścia lat. Chyba za dużo wspomnień. Mam uczucie, że cokolwiek na niej napiszę, będzie ociekało nienawiścią.

- Coś ci powiem. Jeśli obiecasz, że napiszesz na laptopie ten artykuł, dostaniesz go od firmy.

- Czyżbyś mnie uwodziła?

- Absolutnie. Masz czas jutro po południu? Zabiorę cię na zakupy. Ja kupię laptop, ty kupisz VCR. Pokażę ci, jak na nich pracować.

- Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła - powiedział poważnie. - Ale przyjmuję twoją propozycję, że pomożesz mi w zakupie. Czy jesteś pewna, w co się pakujesz? Dopiero co nauczyłem się posługiwać telefonem z przyciskami.

- Zaufaj mi, i witaj.

- Witaj? Gdzie?

- W nowym, wspaniałym świecie, Peter.

Fiddle znalazła szefa sklepu ze sprzętem elektronicznym na jednej z trzydziestych ulic. Spędzili sobotnie popołudnie siedząc w jego biurze na tyłach sklepu, gdzie Fiddle, z cierpliwością fizjoterapeutki na nowo uczącej dorosłego człowieka chodzić, demonstrowała Peterowi, jak obsługiwać niezwykle urządzenie. Początkowo odnosił się do niego z wyniosłym niesmakiem, z jakim weteran traktuje wszystko, co nowe, jednak po kilku minutach przekonał się, że to nie takie trudne. Bezgłośnie, przyjazne urządzonko chwyciło wszystko, co wystukiwał na klawiaturze i wyraźnie wyświetlało jego słowa na jasnym ekranie.

Kiedy Fiddle rozsądnie zostawiła Petera samego i poszła wybrać drukarkę, stwierdził, że ręce i umysł mu latają. Z tym samym uczuciem zachwytu, jakiego doznał przed wielu laty, kiedy sprzedał gruchota Forda z czasów studenckich i za pierwsze pieniądze zarobione w dużym mieście kupił sportowy samochód, zakochał się bez pamięci.

Pijany wdzięcznością i olśnieniem, zaprosił Fiddle na kolację. Szli w ciemniejącym świetle popołudnia do restauracji, którą zaproponowała, a Peter miłośnie ścisnął pod pachą dwukilogramowego towarzysza. W drugiej ręce trzymał przenośną drukarkę. VCR mieli mu dostarczyć w poniedziałek.

Na początku kolacji Peter uświadamiał sobie niejasno, że czuje się niezręcznie. Po raz pierwszy od załamania nerwowego jadł z kimś kolację, na dodatek z kobietą. Jednak Fiddle ułatwiła mu zadanie. Mówiła o codziennych wiadomościach, o świrach stanowiących część jej życia jako redaktorki pisma, przyciągającego ludzi odrzuconych i odbiegających od powszechnie przyjętych norm. Później opowiedziała mu o tym, jak zakonnice uratowały ją z rynsztoka. Wspominała, co zrobiła, żeby przetrwać; mówiła bez przebiegłości czy tonu przeprasającego, jakby relacjonowała historię jakiejś innej osoby.

Kiedy skończyła upiorną opowieść, wyraziła nadzieję, że go nie znudziła. Nie czuł się ani trochę znudzony i tak też powiedział.

- Mój Boże. Nie wiem, skąd czerpiesz tyle sił.

- To nic wielkiego, Peter - odparła lekko. - Nic nie jest straszne, jeśli spojrzysz temu prosto w oczy i wybaczysz samemu sobie.

Milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu Fiddle powiedziała:

- A więc pójdiesz do domu i napiszesz dla mnie artykuł na tej nowiutkiej maszynie? Potrafił tylko skinać głową.

Znowu ułatwiła Peterowi zadanie, podsuwając mu wymówkę dla jego gorliwości.

- Już się zdążyłeś uzależnić od tej maszynki, prawda? Ponownie skinał głową, tym razem uśmiechając się do niej ciepło.

- Poczekaj, aż dostaniesz VCR. Potem będziesz potrzebował połączenia kablowego, potem faksu. Będziesz też potrzebował modemu, żeby się połączyć z jedną z tych agencji, dostarczających materiałów. Dla zabawy mógłbyś sobie sprawić walkmana, a może odtwarzacz płyt kompaktowych?

- Hola, hola! - zaśmiał się. - Dostanę zboczenia elektronicznego. Tylko jedna bzycząca rzecz, nigdy dwie naraz.

- Przepraszam, ale to taka frajda - powiedziała, odrzucając z twarzy kosmyk włosów. Dopiero teraz zauważył, że coś zrobiła z włosami. Wyglądały inaczej, niż je pamiętał. Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, potem odwrócił wzrok. Lubił ją, była dobrym kompanem, czuł się swobodnie w jej towarzystwie; należała do kobiet, które nazywał „niskobudżetowymi”. Zabawianie jej nie kosztowało go wiele. Stanowiła dokładne przeciwieństwo długonogich, neurotycznych modelek, z jakimi zadawał się w innym, bardziej szalonym życiu.

Szybko odepchnął od siebie te myśli. Jeśli miał cokolwiek zaczynać z kobietą, nie byłaby to Fedalia Nuli. Uosabiała jego rehabilitację i powrót do prawdziwego życia. Nie zamierzał stwarzać przeszkód; dopilnuje, by ich znajomość ograniczyła się do przyjemnych, nieco formalnych relacji zawodowych.

Podniósł wzrok i skinął na kelnera.

- Nie potrafię ci dostatecznie podziękować za dzisiejszą pomoc, Fiddle - powiedział nieco sztywno. - To wszystko jest bardzo ekscytujące.

- Na koszt pisma, Peter - powiedziała, dwoma palcami wręczając kelnerowi kartę kredytową. Najwyraźniej trzymała ją już od pewnego czasu. - Przyzwyczaj się do tego - dodała, kiedy otworzył usta, chcąc zaprotestować. Uśmiechnęła się, sięgając po torebkę. - To nie jest nasza ostatnia kolacja.

Odprowadził ją do taksówki, a potem stał ściskając nowe urządzenie, co do którego miał nadzieję, że uzasadni wiarę, jaką pokładała w nim Fiddle. Patrzył jak taksówka włącza się we wczesnowieczny ruch uliczny. Czuł lekkie poczucie winy, ponieważ ta kipiąca życiem kobieta nie miała pojęcia, jak bardzo był kruchy.

Odwrócił się powoli i pospieszył do domu.

Zamknął za sobą drzwi mieszkania i rzucił płaszcz deszczowy na kanapę. Delikatnie postawił nowy nabytek na miejscu i włączył. Łagodny, zielony blask ekranu stanowił jedyne oświetlenie w pokoju.

Przysunął krzesło, położył dłonie na klawiaturze i zaczął pisać. Początkowo ostrożnie, potem coraz szybciej, dwa razy szybciej, niż był w stanie robić to na starym Remingtonie.

Słowa na ekranie zaczynały żyć własnym życiem. Pisał przez całą noc. O świcie zrobił krótką przerwę na prysznic i kawę. Potem przeczytał instrukcję obsługi drukarki. Wydrukował to, co napisał, po czym poszedł do salonu, żeby przeczytać. Do południa skończył najdłuższy artykuł, jaki kiedykolwiek napisał. Był on też najbardziej szczery.

Wiedział, że jeśli zacznie nanosić poprawki, rozmyśli się i nie opublikuje tak bolesnego wyznania. Zebrał kartki, wsunął do grubej koperty i wysłał przez gońca do biura Fiddle.

Fiddle nie zmieniła w artykule ani słowa. Zamieściła go w styczniowym numerze „Fifteen Minutes” w 1989 r., z czerwonym napisem w prawym, górnym rogu: „Podróż do krawędzi i z powrotem. Napisał Peter Shea”.

Artykuł wywołał sensację.

W ciągu następnych miesięcy Fiddle zamówiła u Petera kilka kolejnych artykułów. Teraz, wiosną 1990 r. Peter Shea był gwiazdą o ustalonej pozycji. Pewnego dnia Fiddle relacjonowała Peterowi poranną rozmowę z Billem Mosby, w której ten nazwał Petera swoim „protegowanym”. Fiddle i Peter po raz pierwszy nawiązali ów trwający ułamek sekundy kontakt wzrokowy, w którym dwoje znajomych uświadamia sobie nawzajem, że ma do siebie pełne zaufanie. Fiddle zastanawiała się, czy nie dodać: „Nie ma lepszego dezodorantu, niż sukces”, ale spojrzenie, jakie wymienili, powiedziało jej, że nie musiała nic dodawać. Była przekonana, że ludzie kupowali pismo głównie ze względu na Petera. Jego artykuły odsłaniały ukryte znaczenia życia. Wkrótce stały się lekturą obowiązkową i niekiedy wywoływały większe skandale, niż sprawy, o których traktowały.

Wraz z ukazywaniem się kolejnych artykułów goiły się rany psychiki Petera. Powoli, ostrożnie odzyskiwał szacunek kolegów i poczucie własnej wartości. Różnica polegała na tym, że obecnie wiedział, jak szybko mogło to zniknąć. Nie uważał już sławy za coś oczywistego. Była warta jedynie tyle, ile jego ostatni artykuł. Zapal Fiddle, by wprowadzać Petera w tajniki urządzeń elektronicznych nie wpływał z czysto zawodowych pobudek. W ten sposób miała pretekst, by się z nim kontaktować. Jeśli nie było tematu na nowy artykuł, o którym dyskutowali, zawsze mogła mu przynieść nowy gadżet, o którym sądziła, że powinien mu się przydać. W ciągu tego pierwszego roku nauczyła Petera posługiwać się niezliczonymi zabawkami elektronicznymi i zainstalowała w jego mieszkaniu system telefoniczny, który robił wszystko, może z wyjątkiem prasowania koszul. Rezerwowała dla Petera najbardziej ekscytujące, najciekawsze tematy, troskliwie publikowała jego artykuły, czekając, czasem z niepokojem, aż zauważy, że się w nim zakochała.

Nabrała zwyczaju zapraszania go do biura późnym popołudniem. Często jedli kolację albo wypijali kilka drinków. Wspólnie spędzane wieczory miały charakter ciepły, swobodny, ale nie romantyczny. Kiedy, wiosną 1990 r. Peter powiedział Fiddle, że jest jego najlepszą przyjaciółką, wpadła w silną depresję. Właśnie zleciła mu przeprowadzenie wywiadu z malwersantem z Jamajki. Po wyjściu Petera Vickie wsunęła głowę przez drzwi gabinetu.

- Widziałas jego płaszcz? - spytała Vickie, z podziwu otwierając szeroko oczy na wspomnienie miękkiego kaszmirowego płaszcza Petera.

- Oczywiście - odparła pośpiesznie Fiddle zza biurka. - To ja pomogłam mu go wybrać. W każdym razie pokazałam mu ogłoszenie i załatwiłam, żeby kupił go poniżej ceny hurtowej.

- Boże, ale on jest boski - powiedziała Vickie podchodząc do barku, żeby przygotować drinki na zakończenie dnia. - Kiedy ten irlandzki ziemniak załapie? Widzę, jak na niego patrzysz.

Fiddle spojrzała na zegarek i skinęła głową.

- Nasze pieprzone pismo zawdzięcza wszystko temu irlandzkiemu ziemniakowi, ty rasistko. Poza tym - dodała mniej pewnie - jestem jego najlepszą przyjaciółką.

- Wspaniale - stwierdziła Vickie przewracając oczami.

- Wiem, wiem. - Fiddle pokiwała ponuro głową, zapisując coś w oprawionym w skórę notatniku, którego elegancję zmniejszyła znak firmowy wytwórni napojów. Vickie nalala im po czystej wódce, wrzuciła kostki lodu, jedną szklanę wręczyła szefowej.

- Czyli masz to, czego zawsze chciałaś, tak? - powiedziała cicho Vickie, siadając na końcu szezlongu.

Fiddle cisnęła piórem od Marka Crossa. Przysłał je agent prasowy Elizabeth Taylor w ramach promocji perfum gwiazdy filmowej. Pióro odbiło się od przeciwległej ściany i upadło na dywan.

- Hej, to jest pióro Liz Taylor - zauważyła Vickie oglądając się przez ramię.

- Błąd. To moje pióro i guzik mnie obchodzi. Moje życie jest pełne tych śmieci. Pióra, karafki, srebrne gówny z wygrawerowanymi nazwami najbardziej eleganckich hoteli. Komplet toreb podróżnych z napisem Gucci, którego nie chcieli przyjąć z powrotem w sklepie, ponieważ oświadczyli, że nie pochodził od nich.

- To ja próbowałam zwrócić te śmieci - powiedziała Vickie wykrzywając twarz. - Co za kompromitacja. Kto ci je dał?

- Och, nie wiem - odparła Fiddle, wzruszając ramionami z niezadowoleniem. - Jakieś linie lotnicze. Kogo to, kurwa, obchodzi?

- Może dać ci trochę gwoździ do żucia? - spytała Vickie, dostrzegając w pełni siłę gniewu Fiddle.

Fiddle usiłowała coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Ukryła twarz w dłoniach.

- Fuj, chyba nie zamierzasz płakać, co? - spytała Vickie i zanuciła falsetem Frankie Valliego: „Duże dziewczynki nie płaczą...”

- Odpuść sobie - rzuciła Fedalia, pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę higieniczną. Wydmuchała nos, po czym rzuciła chusteczkę mniej więcej w kierunku kosza na śmieci.

- Przepraszam - powiedziała Vickie.

- W porządku.

Vickie pociągnęła łyk wódki.

- Cholera, nie lubię cię widzieć w takim stanie - powiedziała ze współczuciem. - Jest ciężko, tak?

- Mhm - odparła Fiddle, ocierając oczy i zostawiając na obu policzkach duże plamy czarnego tuszu.

- Może po prostu wyłóżysz karty na stół i powiesz mu, co czujesz? Wy dwoje tak świetnie wyglądacie razem.

Fiddle powoli pokręciła głową.

- Tylko bym go wystraszyła. Jest zbyt rozbity, żeby kochać cokolwiek poza własną pracą.

- Ale ty jesteś jego pracą Fiddle nachyliła się do przodu.

- Victorio, wiem, że nie mogłybyśmy się bardziej różnić. Ty jesteś śliczną, czarną, agnostyczną dwunastolatką, a ja osiemdziesięcioletnią niedoszlą katoliczką w różowe cętki. Jednak obie jesteśmy kobietami, tak? Musisz mi pomóc.

- Daj spokój - powiedziała ze śmiechem Vickie. - Tak bardzo się znowu nie różnimy. W każdym razie, na użytek tej rozmowy, jesteśmy dziewczynami. - Odstawiła szklankę na dywan i podciągnęła kolana pod brodę.

- Gdzie się nauczyłaś tego rozróżnienia? Na uniwersytecie Brown?

- Niezupełnie. Życie mnie tego nauczyło. Być kobietą to jakby sprawa polityczna. Kiedy człowiek, którego kochamy, nie odwzajemnia naszej miłości, wszystkie jesteśmy dziewczynami.

Fiddle podparła dłonią czoło, patrząc na bałagan na biurku.

- Co ja mam zrobić, Vicks? Niezależnie od tego, co mówią w tym mieście aż się roi od facetów. Mogłabym mieć ich na pęczki. Jednego, który umie tańczyć, jednego, który mnie rozśmiesza i jednego, z którym kochałabym się szaleńczo. Ale nie. Musiałam stracić głowę dla tego, który nawet nie widzi we mnie kobiety.

- Nie mów tak - zaprotestowała Vickie. - Peter Shea umarłby za ciebie.

- Nie chcę, żeby za mnie umierał. Chcę, żeby zauważał, kiedy zakładam nogę na nogę. Chcę, żeby siadał przed moim kominkiem i pozwalał mi się karmić. Fascynuje mnie od dnia, kiedy wszedł tu w tym garniturze Tweedleduma i białych skarpetkach. On jest taki... - Fiddle podniosła wzrok na sufit, szukając właściwego słowa. - Bezbronny - powiedziała w końcu.

- Całkiem pociągająca cecha w mężczyźnie - stwierdziła Vickie kiwając głową.

Fiddle wykrzywiła z niesmakiem usta i zaczęła układać papiery na biurku. Jej drink wciąż stał nietknięty.

- Cholera! Powinnam być już w Cosmo i pisać artykuł dla Mouseburgera, czekając, aż zmienią mi podeszwy w butach ortopedycznych.

- A może on jest za bardzo rozbity, żeby ktokolwiek miał nim sobie zawracać głowę? Pomyślałaś kiedyś o tym?

Fiddle potrząsnęła głową i założyła na włosy czarną atlasową opaskę.

- Kiedyś sama tak o sobie myślałam, Vicks. Miałam kiedyś inne życie. Upadłam tak nisko, że nie sądziłam, że kiedykolwiek się podniosę. Ktoś się pojawił i uratował mnie. Chyba to samo chcę teraz zrobić dla Petera.

- Może opowiesz mi o tym innym życiu? - spytała Vickie.

- Absolutnie nie. Wymyśl dla mnie jakiś niezawodny plan. Jeden z tych, które znają piękne kobiety, a te, które nie są piękne, nie znają.

Vickie podniosła szklankę i upiła nieco.

- Hmm - mruknęła w zamyśleniu. - Mogłabyś zrzucić z dziesięć kilo tłuszczu. O, cholera, właśnie straciłam pracę.

- Cóż to za frajda - powiedziała Fiddle wykrzywając się. - Cieszę się, że tak sobie gawędzimy.

- Przepraszam, szefowo, ale pytałaś.

- Dobra, dobra. Ale wiesz, co? Nie dbam o to. Ten tłuszcz to nie jestem ja.

- A co z ubraniami, włosami, paznokciami, postawą - mówiła Vickie, coraz bardziej się rozkręcając. - Jesteś jakby... cóż, ekscentryczna.

- Powtarzam, Vickie, taka właśnie jestem. Chcę, żeby Peter zakochał się we mnie, a nie w kimś, kogo udaję.

- Odrzucasz moją radę, mon general.

- Nieprawda - odparła Fiddle ze śmiechem. - Odrzucam propozycję kariery aktorskiej. No, dalej, słoneczko.
 - Szczerze mówiąc, Fiddle, wątpię, czy on jest wart twojego bólu serca. Kiedy ten facet tu przyszedł, był zerem do kwadratu, a ty zrobiłaś z niego najbardziej wziętego dziennikarza w mieście. Może mimo wszystko jest nieudacznikiem.
- Fiddle podniosła w końcu szklankę. Od blisko półtora roku stawiała na Petera Shea. Nie mogła się teraz zatrzymać. Zaczęła opowiadać Vickie o nieudanym małżeństwie Petera, o jego picciu. Vickie słyszała już dawniej o tym, jak wypadł z łask w WorldWide, ale Fiddle opowiedziała jej o tym znowu, bo lubiła mówić o Peterze Shea.
- Kiedy Fiddle wreszcie skończyła, Vickie wstała i zebrała puste szklanki.
- Dobrze, komendancie, widzę, że nie wybije ci go z głowy. Niniejszym uznaję to senne przyjęcie za zamknięte.
- Fiddle wstała i strzepnęła nie istniejące okruszki z oblekającego ją sztruksowego namiotu.
- Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła, Victorio - powiedziała cicho.
- Vickie odwróciła wzrok nieco zakłopotana.
- To nieprawda. Najlepsza rzecz, jaka ci się przydarzyła, o, nieustraszona, to ty sama. Nie martw się. Zwróci na ciebie uwagę, zobaczysz.

Rozdział trzeci

Czarny helikopter Super Puma zawisł na moment nad wznoszącym się w centrum Londynu biurowcem Mosby Media, a potem potężna maszyna opuściła się z jasnego majowego nieba na lądowisko na dachu.

Pilot wyłączył silnik, a z helikoptera wyskoczyło czterech mężczyzn w ciemnych garniturach. Podmuchał śmigła rozwiewał marynarki, odsłaniając przypięte pod pachami kabury.

Po chwili wysiadło jeszcze dwóch mężczyzn, którzy stanęli na baczność po obu stronach drzwi. Przez moment nic się nie działo, aż wreszcie w otwartych drzwiach ukazała się różowa głowa lorda Mosby'ego. Jedną rękę przyciskał do głowy, podtrzymując starannie ułożoną siwą „pożyczkę”. W drugiej trzymał nadmiernie wypchany, sfatygowany neseser, który wręczył stojącemu najbliżej asystentowi. Mosby odskoczył od helikoptera nieprawdopodobnym susem otyłego mężczyzny, pragnącego pokazać, że potrafi się lekko poruszać. Pasek opadających spodni opinał jego wydatny brzuch.

Jeden z asystentów podbiegł ku niemu po dachu, także przyciskając dłoń do głowy, w daremnej próbie zachowania starannie ułożonej fryzury. W drugiej dłoni ścisnął plan dnia lorda Mosby'ego.

- Dzień dobry, Gerardzie - krzyknął Mosby w wiatr, kiedy asystent stanął przed nim. - Co dziś mamy?

- Dzień dobry, sir. Mieliśmy drobny problem z pańską konferencją z Japończykami, więc trochę zmieniliśmy plan. Pomyślałem, że najpierw zechce się pan spotkać z Amerykanami. Podano im kawę w sali konferencyjnej.

Lord Mosby pochylił głowę i wszedł w otwarte drzwi na dachu.

- Kto dokładnie przyszedł? - zawołał.

- Obawiam się, że to spora delegacja, sir. Jest, oczywiście, panna Klarwine, a z nią Dawson Segura z pańskiego nowojorskiego wydawnictwa oraz dwóch prawników, pan Horowitz reprezentujący pana Segurę i ktoś z Paryża, monsieur Andre Guibbaud.

- Znam Guibbauda. Sympatyczny gość. Co on tu robi?

- Sądzę, że jest osobistym przedstawicielem damy, sir.

- Damy? - spytał Mosby z roztargnieniem.

- Tak, sir, madame Cleo. Ona też tu jest.

Właśnie weszli do budynku. Lord Mosby zatrzymał się gwałtownie u szczytu schodów, przez co asystenci musieli się stłoczyć na małej przestrzeni między drzwiami a schodami.

- Chcesz powiedzieć, że ona jest tutaj?

- Ależ tak, sir. Czy to jakiś problem, sir?

Lord Mosby potrząsnął głową odrobinę zbyt energicznie.

- Nie... nie. W porządku. Spotkanie z tą damą będzie z pewnością bardzo interesujące - wykrztusił. Po tych słowach odwrócił się i ruszył po wyłożonych dywanem schodach, niczym wielki szary wieloryb ciągnący za sobą ławicę ryb. Budynek Mosby Media stanowił światową centralę imperium prasowego lorda Mosby'ego. Konsorcjum posiadało gazety, czasopisma, wytwórnie filmowe i sieci telewizyjne w Ameryce i Europie. Liczące trzydzieści cztery piętra brzydactwo z czarnego szkła i betonu tak bardzo kłóciło się z londyńskim otoczeniem, tak bardzo raziło zmysł estetyczny, że książe Karol publicznie je skrytykował jeszcze przed ukończeniem budowy.

Ileokroć lord Mosby lądował na dachu, członkowie zarządu zajmujący najwyższe piętro biurowca stawali na baczność. Kiedy Mosby i jego ludzie szli po dywanie korytarza wiodącego do sali konferencyjnej, pracownicy wyglądali przez drzwi, otwierając szeroko oczy, a ci, którzy na swoje nieszczęście zostali przyłapani w korytarzu, pospiesznie szukali kryjówek.

Pomimo tuszy, Mosby poruszał się szybciej niż jego młodszy i sprawniejszy towarzysze podróży. Dotarł do końca korytarza, wyciągnął ręce i pchnął mahoniowe drzwi sali konferencyjnej. Ciężkie drzwi odskoczyły, uderzając z głośnym łupnięciem o polerowane ściany z orzecha włoskiego, co sprawiło, że siedzący wokół długiego stołu konferencyjnego podskoczyli na krzesłach. Wszyscy oprócz Uli Divers, sekretarki lorda Mosby'ego, mającej ustaloną pozycję w firmie i dwie własne sekretarki. Ula siedziała przy odległym końcu lśniącego stołu, obok pustego krzesła lorda Mosby'ego. Kiedy wszyscy podskoczyli, Ula nawet nie podniosła wzroku. Już dawno przyzwyczyła się do wejść szefa.

Goście siedzący za stołem, pijący kawę z wykwintnych filiżanek Royal Crown Derby, odzyskali panowanie nad sobą, jak przestraszone stadko ptaków ponownie sadowiące się na grzędzie. Mężczyźni poklepalili drogie krawaty. Dwie obecne kobiety uśmiechnęły się uprzejmie i odstawiły filiżanki.

Lord Mosby okrążył stół, zachowując charakterystyczną pochyloną postawę. Ula przedstawiała kolejnych gości, a on ścisnął dłonie, mamrocząc:

- Dobry... dobry... się pan miewa... dziękuję... dziękuję... Na koniec podszedł do madame Cleo i wyciągnął rękę.

- Madame - powiedział opuszczając siwe, krzaczaste brwi. Schylił się i musnął ustami wierzch jej dłoni, a ona przywitała go mówiąc po angielsku z silnym akcentem:

- Dzień dobry, lordzie Mosby. - Potem wyprostowała się i szepnęła: - Bonjour, Billy, kochanie.

Jak na kobietę, która już zaliczyła sześćdziesiątkę, wyglądała cudownie. Drobną, szczupłą, o doskonałej figurze, miała na sobie tylko szary kaszmir. Na suknię do łydek założyła długą marynarkę podszytą jasnoróżowym jedwabiem. Szyję owinęła zwojami różowych pereł takiej wielkości i blasku, że każda z nich musiała być warta majątek. Równo przycięte, sięgające podbródka włosy koloru kości szesała z wysokiego czoła, żeby podkreślić niezwykle oczy o srebrnych tęczęwkach z czarnymi obwódkami.

Wilcze oczy, pomyślał Mosby, przyglądając się jej przez chwilę. Mrugnął do niej korzystając z tego, że stoi tyłem do innych.

Mosby zajął główne miejsce przy stole, zerkając pobieżnie na stertę notatek, które rozłożyła przed nim Ula. Odepchnął je na bok, po czym popatrzył po ożywionych twarzach zebranych.

- Zaczniemy? - spytał energicznie.

Wendy Klarwine odchrząknęła. Lord Mosby często zastanawiał się, czemu używała tytułu agentki „literackiej”. W interesach, jakie robił z nią w przeszłości, z pewnością nie było nic literackiego.

Wendy Klarwine była niską, ostrą i twardą, kędzierzawą fretką w wyprasowanym w ostre kanty kostiumie o fatalnym odcieniu niebieskiego. Miała talent do reprezentowania ludzi, którym Mosby Media zawdzięczało nagłówki i pieniądze. Specjalizowała się w znanych osobistościach, ich historiach i skandalach. Ludzie ci nie potrafili napisać książki, ale roilo się wokół nich od pismaków, których Klarwine także reprezentowała. Pisywali jako „murzyni”, czasem ich nazwiska pojawiały się pod artykułami. Wyszukiwanie pisarza, który przelewał na papier historie, jakie Klarwine sprzedawała Mosby Media po niesłychanie wyśrubowanych cenach, nigdy nie należało do problemów Mosby'ego. Nie interesował go sposób, w jaki produkowano towar, a jedynie efekt końcowy i to, jak bardzo szokujące okaza się nagłówki.

Historie klientów Klarwine często były na tyle obszerne, że przybierały formę książek, które Mosby publikował w Haddon Brooks, amerykańskim wydawnictwie należącym do jego imperium. Niegdyś była to szanowana firma, opatrzona nazwiskami dwóch starych, patrycjuszowskich dżentelmenów, od których Mosby ją nabył. Plotka głosiła, że przejście od dzieł literatury pięknej do brukowych szmatławców drukowanych pod egidą nowego zarządu Mosby'ego, stało się przyczyną przedwczesnej śmierci świeżo wzbogaconych panów Haddona i Brooksa.

Po przejęciu wydawnictwa przez Mosby'ego agencja Klarwine znalazła zbyt na pisane przez „murzynów” rewelacje o spiskowcach, zdrajcach i szpiegach. Spece, którzy znajdowali ludzi porwanych przez UFO albo Elvisa na deptaku, wiedzieli, że przede wszystkim należy zadzwonić do Wendy Klarwine. Ta w trybie przyspieszonym znajdowała szybko pracującego pisarza oraz zamożnego wydawcę, po czym organizowała światowy syndykat, nagłaśniający całą historię. Wystarczyło, żeby była wiarygodna. Fakt, że główny bohater posiadał czystą koszulę i potrafił siedzieć prosto dostatecznie długo, żeby wystąpić w telewizji, był pomocny lecz niekonieczny. Wendy zarabiała miliony dla wszystkich - dla swoich klientów, wydawców i siebie.

Kiedy tydzień wcześniej Wendy skontaktowała się z Mosbym, mówiąc, że dysponuje prawami autorskimi na pamiętnik madame Cleo, doznał szoku. Lord Mosby znał madame Cleo od lat. Łączył ich niezwykle osobisty związek, o którym nie lubił rozmawiać. Uwzględniając zawód i kontakty damy, z natury rzeczy otoczone tajemnicą i dyskrecją, trudno mu było uwierzyć w to, co wykrzykiwała Wendy w telefonicznej rozmowie przez Atlantyk. Próbował dodzwonić się do paryskiego mieszkania madame Cleo, jednak bez powodzenia. Pragnąc zaspokoić ciekawość, musiał przystać na spotkanie, które właśnie się rozpoczęło.

Obecność madame Cleo wydała się Mosby'emu szokująca. Oznaczała, że rzeczywiście zdecydowała się to uczynić, opublikować pamiętnik. Wendy rzadko zdarzała się podobna okazja, a Mosby zamierzał kupić książkę za każdą cenę. Najpierw jednak musiał się dowiedzieć, dlaczego jego wieloletnia przyjaciółka postanowiła zrobić coś tak niewiarygodnego.

Wendy otworzyła duży czarny neseser z krokodylej skóry i postawiła na stole mały magnetofon.

- Rozumie się samo przez się, że wszystko, co tu powiemy, ma ściśle poufny charakter.

- To nie będzie potrzebne, Wendy. - Mosby kiwnął głową w stronę magnetofonu. Przez chwilę Wendy wyglądała na zagubioną i zerknęła na dwóch prawników, szukając wzrokiem u nich pomocy.

- Możesz przegrać sobie moją taśmę - wyjaśnił Mosby z szerokim uśmiechem. - W tej sali jest podsłuch.

Chichocząc z zakłopotaniem, Wendy schowała magnetofon do nesesera i odchrząknęła.

- Lordzie Mosby - zaczęła unosząc podbródek - jak panu wiadomo, madame Cleo zdecydowała się na opublikowanie swoich wspomnień. Proponujemy światowe prawa na książkę za zaliczkę wysokości czterech milionów dolarów amerykańskich. Wysokość honorarium możemy ustalić w późniejszym terminie. Podczas dzisiejszego spotkania zależy nam głównie na dojściu do porozumienia w sprawie zaliczki.

- To dużo pieniędzy - zauważył Mosby.

- Chodzi o światowe prawa, lordzie Mosby. Obejmowałyby one książkę dla pańskiego amerykańskiego wydawcy - skinęła na siedzącego po jej lewej ręce Dawsona Segurę - drukowanie w odcinkach w dowolnym piśmie lub wszystkich pańskich czasopismach i gazetach, a także prawa na tłumaczenia we wszystkich krajach poza

angielskim obszarem językowym. Wydaje mi się, że to uczciwa cena. Rewelacje madame spotkają się z międzynarodowym zainteresowaniem. Jak pan się orientuje, jej kariera trwa od pół wieku, znała najpotężniejszych, najbardziej wpływowych... Lord Mosby uniósł dłoń.

- Proszę nie sprzedawać więcej, niż jest pani w stanie dostarczyć, panno Klarwine. Wiem doskonale, kim jest pani klientka i co może powiedzieć. Pragnąłbym jednak zadać madame Cleo kilka pytań.

- Naturalnie - zgodziła się Wendy zbyt gorliwie.

- Na osobności.

Zadowolona mina zniknęła z twarzy Wendy. Spojrzała na dwóch prawników. Obaj marszczyli czoła. Dawson Segura opuścił wzrok, chcąc uniknąć uczestniczenia w niezręcznej sytuacji.

- Cóż, ja, hm... - duknęła Wendy, która najwyraźniej straciła głowę.

Mosby wiedział, że zafundował jej koszmar agenta: zezwolenie klientowi na rozmowę w cztery oczy z potencjalnym kupcem. Przy stole panowała napięta cisza, którą przerwał Andre Guibbaud, paryski adwokat madame Cleo. W przeciwieństwie do Segury i amerykańskiego prawnika, Guibbaud nie był zatrudniony w Mosby Media. Odwrócił się do madame Cleo i zapytał po francusku:

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, madame?

Madame Cleo, która siedziała w milczeniu patrząc na zdobiącą przeciwległą ścianę reprodukcję „Gmachów Parlamentu” Moneta, uśmiechnęła się słodko i opuściła wzrok.

- Oczywiście, że nie - powiedziała. Mosby wstał.

- Panno Divers, proszę dopilnować, żeby nikomu nie zabrakło świeżej kawy. Może szklaneczka sherry przed lunchem byłaby nie od rzeczy. Proszę nam wybaczyć. Kiedy Mosby i madame Cleo zbliżali się do podwójnych drzwi, stojący obok nich asystent wystąpił do przodu. Machnięciem ręki Mosby dał mu znak, żeby został, po czym wyszedł z sali.

Poprowadził madame Cleo długim korytarzem w zacisze swego wielkiego gabinetu, gdzie zamknął drzwi.

- Usiądź, kochanie - powiedział wskazując na skórzane krzesło przed biurkiem.

Usiadł za biurkiem, zdjął okulary i otarł twarz dłonią, jakby chcąc zetrzeć zmęczenie. Potem zmarszczył brwi. - Dobrze, gdzie byłaś? Próbowałem się z tobą skontaktować po telefonie Wendy Klarwine. Nie mogę uwierzyć, że pakujesz się w to szaleństwo.

- Kochanie, nie krzycz na mnie - powiedziała madame Cleo, patrząc na niego błagalnie jasnymi oczami.

- Kazałem Uli zadzwonić do Paryża, potem do domu na wsi. Doprawdy, kochanie. Jeśli potrzebowałaś pomocy, dlaczego, na Boga, nie zwróciłaś się wprost do mnie? - Głos Mosby'ego trochę złagodniał, mimo iż wciąż czuł irytację.

Po policzku madame Cleo spłynęła pojedyncza łza.

- Billy, kochanie, nie mogłeś się ze mną skontaktować, ponieważ siedziałam w więzieniu. - Drżącą ręką wyjęła z torebki chusteczkę obszytą belgijską koronką. - Czy dasz wiarę? W więzieniu!

- Ależ to szaleństwo! - krzyknął Mosby.

- Zamknęli mnie w celi z ohydnyimi kobietami. Podłoga była poplamiona krwią. Nie uwierzyłybyś, jak mnie traktowali. Przyszli do mnie do domu jak zbóje. Miałam na sobie tę piękną suknię od Diora, a oni wyciągnęli mnie jak zwykłą kryminalistkę! Początkowo nie pozwalali mi zadzwonić. Pomyśleć, ile pieniędzy zapłaciłam policji w ciągu tych wszystkich lat! W końcu Martin i mój kochany adwokat wyciągnęli mnie za niewiarygodną kaucję.

- To odrażające - stwierdził Mosby kręcąc głową. - Jak do tego doszło?

- Och, Billy, próbowałam już wszystkich sposobów uciezki. Moi przyjaciele w rządzie mogą ich powstrzymać od zamknięcia mojego interesu, ale nikt nie powstrzyma urzędu skarbowego. A te pieniądze, jak twierdzą, muszą być czyste. Skończył się mój czas i możliwości.

- Dobry Boże, co za ambaras.

- Widzisz teraz, że muszę sprzedać pamiętnik. Tylko w ten sposób zdołam zebrać pieniądze. Im chodzi o pieniądze, nie o mnie. Kiedy się dowiedzą, że sprzedałam pamiętnik i zaczną wpływać zyski, przestaną po mnie przychodzić w nocy jak naziści. - Poczęstowała Mosby'ego czarną cygaretką z wysadzanej drogimi kamieniami papierośnicy.

Mosby potrząsnął głową i sięgnął nad biurkiem, żeby podać jej ogień.

- Pomyśleć, że to właśnie ty robisz taką rzecz - powiedział smutno. - Całe życie dyskrecji i zaufania wyłożone na bufet jak kupa zimnego mięsa.

- To nie będzie zimne mięso, kochanie, ale wrzący gulasz - zaoponowała spokojnie. - Może nawet zatruty - dodała, wydmuchując długą smuzkę szarego dymu.

- Kontynuując analogię, moja droga, mam nadzieję, że pewne składniki nie zostaną dodane.

Odgarnęła kosmyk jasnych włosów za ucho.

- Nigdy bym cię nie zdradziła, Billy.

- Nie chodzi mi o siebie. Nie zniósłbym, gdyby lady Mosby została zraniona.

- Ach. - Twarz madame Cleo złagodniała. - Nasza droga SueBee. Jak ona się miewa? A dziecko?

- Cudowne - odparł Mosby, promieniejąc. - Ku mojej najwyższej radości, oboje. Nie chcę, żeby wyrządzono im jakąkolwiek krzywdę.

- Rozumiesz, Billy, że to byłaby również twoja książka.

Lord Mosby wpatrywał się w przestrzeń przez dłuższą chwilę, usiłując podjąć właściwą decyzję. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do sensacyjnego charakteru pamiętnika czy zysków finansowych. Ale czy zdoła kontrolować wersję książki, kiedy projekt wejdzie w fazę realizacji? Znał dobrze charakter Cleo. Jeśli spróbuje forsować zmiany, które nie przypadną jej do gustu, znajdą się inni wydawcy. Kto będzie dla niej pisał? Czy zdoła kontrolować także autora?

- A co z twoimi zamożnymi przyjaciółmi? - spytał w końcu.

- Nie mogłabym prosić o taką sumę ani ciebie, ani żadnego z moich przyjaciół.

- Ktoś mógłby ci ją pożyczyć.

- Za nic nie zwróciłabym się do ludzi, którzy okazali mi tyle dobroci, żeby prali dla mnie pieniądze - powiedziała nagle niezwykle konkretnym tonem. - Przynoszę ci

najcenniejszą rzecz, jaką posiadam: własne życie. Proponuję ci je, ponieważ chcę kupić wolność. - Wbiła w niego wilcze oczy. - Nigdy bym cię nie zdradziła, Billy, nigdy. Jeśli w to nie wierzysz, nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

- Cztery miliony dolarów, szesnaście milionów franków, dwa miliony funtów. To interesująca suma. Ile dokładnie jesteś winna rządowi?

- Trzy miliony.

- A ten czwarty?

- Wendy twierdzi, że tyle muszę zapłacić dobremu pisarzowi.

- Aż tyle?

- Tyle zażąda właściwy. Zresztą, drogi Billy, bez niego nie dałabym rady.

Lord Mosby przez długą chwilę tarł podbródek, wpatrzony w przestrzeń oddzielającą go od starej przyjaciółki.

- Dobrze, Cleo, zrobię to, ale pod jednym warunkiem. Madame Cleo przekrzywiła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Muszę mieć ostatnie słowo. Wszystko, na co się nie zgodzę, wylatuje z rękopisu.

- Ja też mam warunek - powiedziała. - Nie chcę, żeby to się dostało do wiadomości publicznej, zanim książka zostanie ukończona.

- Wobec tego, umowa stoi - powiedział. Wstał, przeszedł po perskim dywanie i pomógł jej wstać. Wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał Cleo po chłodnym i gładkim policzku.

- Zirykujesz wielu ludzi, moja droga. Madame Cleo podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Czy właśnie to nas obojga nie podnieca?

Przez wiele lat był żonaty z Seleną Ortund-Wick, miłą córką szóstego księcia Relling. Wydali na świat dwóch synów, obecnie dorosłych. Małżeństwo, z pozoru olśniewające, stanowiło w istocie żalosny, nudny układ. Zona zaspokajała wiele jego potrzeb zawodowych i towarzyskich, jednak żadnych osobistych. Orfund-Wickowie zawsze uważali Mosby'ego za swego rodzaju nachalnego brutala. Nie mógł zdradzić się przed nimi ze swymi nietypowymi potrzebami seksualnymi, dlatego zaczął spotykać się z wychowankami niesławnej madame Cleo.

Z usług dziewcząt madame Cleo, choć nie tylko ich, korzystał już w czasie studiów w Oksfordzie. Tylko dzięki prostytutkom, ich płatnemu, wolnemu od osądu udziałowi w jego fantazjach, potrafił znaleźć zaspokojenie.

We wczesnej fazie małżeństwa, posługując się fikcyjnym nazwiskiem, wynajął mieszkanie w innej części miasta. Miało to być sanktuarium, kryjówka, gdzie mógłby zaspokajać demony, nie dające mu spokoju od czasów dzieciństwa.

Jedną sypialnię trzypokojowego mieszkania przeznaczono na stroje. Znajdowały się tam fura rekwiizytów, peruk, pantofli na szpilkach i rękawiczek do łokci. Każdy ze strojów został uszyty na zamówienie przez krawcową zaprzyjaźnioną z madame Cleo. Mosby wynajął projektanta wewnątrz, dając mu do zrozumienia, że urządza mieszkanie dla kochanki. Sypialnia stanowiła sanktuarium godne królowej ekranu: morze białego atlasu, białe futrzane dywaniki, poduszki w koronkach, a wszystko skąpane w różowym świetle rzucanym przez niskie lampy z jedwabnymi kloszami. Kiedy dzieło zostało ukończone, Mosby zwolnił projektanta, pozostawiając ostatnie

muśnięcie pędzla dla siebie. Jego teatr fantazji potrzebował teraz najbardziej potrzebnego elementu: widowni.

Cleo przysłała wyborną rudowłosą dziewczynę, która albo dostała staranne instrukcje, albo była urodzoną, pełną inwencji aktorką. Mosby nie musiał nic robić. Natychmiast weszła w rolę, nazywając go Daphne i prowadząc do stojącej w białej sypialni toaletki w stylu art deco. Zrobiła mu piękniejszy makijaż, niż Mosby kiedykolwiek zdołałby zrobić sam. Zręcznie posługiwała się przyniesionymi pędzelkami z sobolich włosów, nakładając subtelne warstwy podkładu i różu. Pracowicie nakleiła czarne rzęsy, jedną po drugiej, po czym nałożyła trzy stonowane odcienie kredki do powiek.

Pracując, wesoło paplała o wiosennych wydarzeniach w Paryżu, o planach projektantów mody na nadchodzący sezon. Wtrącała plotki o znanych osobistościach i gwiazdach, udzielając Mosby'emu informacji, które jego gazety dopiero miały zamieścić. Wiedział, że mówiła do niego jak do najbliższej przyjaciółki. Poczł, jak pod suknią którą starannie osłoniła ochronną płachtą, zaczyna narastać w nim podniecenie.

Skończywszy twarz, wprawnymi ruchami uczesała długą, ciemną perukę, do złudzenia przypominającą żywe włosy, po czym zaprowadziła go do owalnego lustra obok szafy.

Krzyknął w ekstazie, obawiając się, że zbyt wcześnie osiągnie orgazm. Dziewczyna odnalazła kobietę, którą w sobie wyśnił.

Nakazał sobie opanowanie. Nie chciał, żeby ten wieczór się kończył.

W ciągu tej pamiętnej nocy były dwiema dziewczynami; piły wino, słuchały Vivaldiego, rozmawiały o rzeczach, o których mogą mówić jedynie kobiety, o swoich uczuciach, marzeniach. Później, bez ostrzeżenia, złożyła tak zaskakującą, niewiarygodną propozycję, że lord Billy Mosby zaczął dygotać.

- Nie mogę, nie mogę - prosił drżącym głosem.

- Ależ, kochana Daphne, oczywiście, że możesz - zaszczebotała. Podeszła do szafy, wybrała pelerynę i narzuciła ją na nagie ramiona Mosby'ego. - To będzie bardzo ekscytujące.

- Przestań, proszę. - Zaczął gwałtownie oddychać. Zignorowała jego stan.

- Dziś wieczorem tylko spacer po parku. Następnym razem, jeśli będziesz grzeczna, może wstąpimy do pubu na rogu. Usiądziemy z tyłu, gdzie jest ciemno. No, chodź, sama zobaczysz.

Zerwał pelerynę.

- Przestań! - krzyknął porzucając falset, jakiego używał podczas ich gry. - Nie waż się nawet sugerować czegoś takiego. Wszystko zepsułaś.

Zranił jej uczucia. Nie rozumiała. Lęk i zmartwienie Mosby'ego nie brały się z niebezpieczeństwa zdemaskowania, ale z wszechogarniającej, erotycznej tęsknoty, by zrobić właśnie to, co tak nonszalancko zaproponowała. Jednym z najsilniejszych, tłumionych pragnień jego życia była chęć pokazania się publicznie jako kobieta. W obrębie mieszkania potrafił panować nad tą fantazją ale obawiał się, że jeśli choć raz odważy się wyjść, na zawsze straci kontrolę nad obsesją.

Wyraz twarzy dziewczyny powiedział mu, jak grubiańsko się zachował. Spędzili razem urocze chwile, a ona była taka słodka.

- Och, kochanie - powiedział biorąc ją za rękę. - Wybacz, proszę. Nie rozumiesz tego. Michelle osunęła się na podłogę i oparła głowę na jego kolanie.

- Oczywiście, że rozumiem, Daphne. Źle to wymyśliłam - powiedziała cicho. - Może coś ci zaproponuję. Spróbuj, to będzie nasz sekret.

Począwszy od tego wieczoru, lord Mosby nosił pod ubraniem kobiece stroje. Obsesja trwała nadal, podobnie jak poczucie winy.

Gdyby kiedykolwiek miał spisać kronikę swego życia, jak to planowała madame Cleo, rok 1987 uznałby za czas ponownych narodzin, początek życia wolnego od demonów winy. Wydarzyło się to w gwiazdzistą noc w dolinie Loary, w zamku pewnego francuskiego barona. Po kolacji wyszedł z kieliszkiem brandy na taras, chcąc uniknąć rozmowy z ludźmi, z którymi nie chciał lub nie potrzebował rozmawiać. Właśnie podnosił kieliszek do ust, kiedy usłyszał za sobą cichy głos, pytający go, czy życzy sobie towarzystwa. Odwróciwszy się, ujrzał bardzo ładną blondynkę o dużych, pełnych wyrazu niebieskich oczach. Rozpoznał ją jako jedną z kobiet, które baron sprowadzał dla rozrywki gości, dziewczynę madame Cleo. Później, kiedy znaleźli się sami w pokoju Mosby'ego, patrzyła, jak się rozbierał. Oczekiwał lekkiego grymasu niesmaku czy nawet zdziwienia na widok tego, co miał na sobie pod strojem wieczorowym. Nic takiego nie nastąpiło. Kiedy odsłonił szkarłatny stanik, dziewczyna podeszła.

- Pozwól mi to zrobić - powiedziała, delikatnie pomagając mu zdjąć jedwabną koszulę.

Nazajutrz wszystkie dziewczęta zniknęły, ale, ku zdumieniu Mosby'ego, jego partnerka zgodziła się towarzyszyć mu w konnej przejażdżce. Potem wrócili do jego pokoju w zamku, gdzie spędzili popołudnie w erotycznym oparzu, a Mosby mógł w pełni odegrać wszystkie swoje fantazje. Nikt nigdy nie przyniósł mu takiej radości i wyzwolenia. Po raz pierwszy w życiu się zakochał. Obiecał dziewczynie wszystko, czego pragnęła, byle zgodziła się z nim zostać, ale ona odmówiła, twierdząc, że pragnie jedynie być z nim, dopóki będzie ją chciał.

Kolejny tydzień, który spędzili w Paryżu, w apartamencie hotelu Crillon, okazał się najcudowniejszym okresem w życiu Mosby'ego. W dzień kochali się i spali. Nocą spacerowali ulicami Lewego Brzegu, jedli w ukrytych kafejkach i tańczyli w klubach półświatka, w których dwie kobiety, a w każdym razie dwoje ludzi wyglądających na kobiety, mogło tańczyć do świtu. Dopiero ostatniego dnia wyjawiała mu swoje prawdziwe nazwisko, ponieważ poprosił, by odeszła od madame Cleo i została z nim do czasu, kiedy uzyska rozwód.

Susanna Beatrice Slyde. Jego najdroższa SueBee. Kobieta, której powierzył pełną kontrolę nad swoim życiem, życiem, które bez niej byłoby niemożliwe. Mógł przynajmniej pomóc jej wymazać przeszłość, a czy istniał lepszy sposób na osiągnięcie tego celu, niż kontrolowanie wszelkich rewelacji madame Cleo?

Rozdział czwarty

Peter spóźnił się kilka minut na lunch z Fedalia. Spodziewał się zobaczyć wesołą twarz, toteż zdziwił się na widok Fiddle wpatrzonych ponuro w kieliszek wina. Usiadł na obitej czerwona skórą kanapie w przedniej części Rosyjskiej Herbaciarni.

Przekrzywił głowę, usiłując dojrzeć wyraz jej na wpół schowanej twarzy.

- Wszystko dobrze, staruszek? - spytał, nieco zatroskany.

- Nie - odparła nie podnosząc wzroku.

- Co się stało? - spytał, rozglądając się za kelnerem i rozpościerając sobie serwetę na kolanach. - Miałem być twoim powiernikiem na wypadek kryzysu. Czemu nie zadzwoniłaś?

Powoli podniosła wzrok.

- To bardzo świeży kryzys.

- Podoba mi się ten monokl. Nowy?

Fedalia dotknęła monokla tkwiącego w prawym oku. Wzdłuż policzka zwisał czarny jedwabny sznurek.

- Przyszedł pocztą. To część promocji filmu dokumentalnego o budownictwie mieszkaniowym. Dziś czuję się, jakbym żyła w Republice Weimarskiej, więc założyłam ten monokl.

Kelner nalał Peterowi wina ze stojącej na stole butelki, po czym zniknął.

- Nadaje ci milej pruskiej aury. Myślę, że zawsze powinnaś go nosić.

Fedalia rozejrzała się po sali, jakby chcąc się upewnić, że nikt nie podsłucha jej słów.

- Potrafisz dochować tajemnicy, tak, Peter?

- Wiesz, że potrafię, Fiddle.

- Dobra, po prostu muszę ci to powiedzieć. Obiecuj, że nie powiesz, od kogo się o tym dowiedziałeś.

- Obiecuję - zapewnił niedbale Peter, podnosząc otwartą dłoń.

- Dziś rano zadzwoniła do mnie Wendy Klarwine. Zaproponowała projekt, który jest tak ekscytujący, że chciałaby go natychmiast zacząć realizować. To wielka tajemnica. Powiedziała mi o tym tylko dlatego, że mamy publikować fragmenty.

- Może nie powinnaś mi mówić, Fiddle - powiedział z uśmiechem Peter. - Ale mam nadzieję, że to zrobisz. Poczekaj chwilę. - Znowu przywołał kelnera i zwrócił się do Fedalii: - Chcesz bliny, tak?

- Zgadza się.

Zamówił je dla Fiddle, a dla siebie sałatkę z kurczaka. Fedalia zatknęła sobie serwetę za bluzkę, w stylu kliniki dla rekonwalescentów. Po półtora roku pracy z nią wciąż go zaskakiwała. Początkowo brał jej dziwne zwyczaje za oznaki afektacji, ale z czasem przekonał się, że Fedalia Nuli była całkowicie sobą, nie do podrobienia. Zamówili stałe zestawy, więc przyniesienie dań zabrało kelnerowi zaledwie kilka minut.

- Dobrze, Fiddle, strzelaj.

Nachyliła się tak, jak tylko pozwalał jej obfity biust.

- Madame Cleo ma zamiar wydać pamiętnik - szepnęła. Peter milczał przez chwilę, trawiając tę informację.

- Jasny gwint - powiedział powoli. - Jak do tego doszło?

- Słyszałam, że grało tu rolę kilka sił - ciągnęła, nie spuszczać wzroku z twarzy Petera. - Ale nie to jest ważne.

- Nie? - spytał zawieszając widelec w pół drogi.

- Zapłaci pisarzowi równy milion, żeby napisał pamiętnik jej stylem, ze wszystkimi pieprzonymi sekretami, które zbierała przez lata. - Dla podkreślenia słów, Fedalia dźgnęła widelcem miękki blin.

- Niezła robota! - powiedział z podziwem Peter. Fedalia skinęła głową.

- Kto jest wydawcą?

- Oczywiście Haddon Brooks.

- Czy muszą wyrazić zgodę co do autora?

Fedalia skinęła głową z pełnymi ustami, potem przełknęła i powiedziała:

- Zgodę musi wyrazić madame Cleo, a następnie Dawson Segura. To kawał pruderyjnego fiuta. Jestem po prostu zachwycona, że powierzono mi kontrolę nad książką. Potnie pewnie każdą stronę. Pomyślałby kto, że swoją sześciocyfrową pensję zawdzięcza wydaniu „Owadów znad Jeziora Walden”.

- Cóż, to wszystko jest bardzo ekscytujące - powtórzył Peter niedbałym tonem.

Wiedział, do czego zmierzała Fiddle, ale chciał to usłyszeć z jej ust.

- Peter, czy ty celowo strugasz głupka?

- Słucham?

Fedalia westchnęła i odłożyła widelec.

- To robota dla ciebie, kochanie. Jeśli kiedykolwiek istniał idealny obiekt i idealny autor, to jest to zestaw madame Cleo i Peter Shea. Wystarczy, że zadzwonisz do Wendy i powiesz, że się zgadzasz. Ona oszaleje. Dostaje premię, dostaje jednego z najlepszych pisarzy w Stanach i... no, zapomnijmy już o tym, co ty dostajesz.

Zaczynam bełkotać.

- Ależ, Fiddle, ja już pisałem o Cleo, w każdym razie o dziewczynie o oczach bez dna.

- Kogo to obchodzi, Peter? Jesteś najlepszym pisarzem, na jakiego Cleo może liczyć. Będziesz dla niej pracował.

Peter dostrzegł słony rogalik w koszyku z pieczywem i automatycznie wręczył go Fiddle.

- Masz, twój ulubiony.

Fiddle wzięła rogalik ze słowami:

- Nie zmieniaj tematu. Co myślisz o tej książce? Peter wzruszył ramionami.

- Jak myślisz, ile czasu by to zajęło? To znaczy, napisanie książki?

Fedalia zawiesiła widelec nad talerzem.

- A więc chcesz ją? - spytała z uśmiechem.

Peter napił się wina i zastanowił, czy zaszedł dostatecznie daleko, czy na tyle oswoił się sam ze sobą, by móc przyznać, że czegoś chciał. Zanim kompletnie zwariował, otwarte stawianie spraw zabijało go. Jeśli czegoś chciał, dzwonił do odpowiednich osób, i mimochodem lub w sposób aluzyjny wspominał o przysługujących mu należnościach. Nigdy nie wprost, wszystko, tylko nie otwarta szczerłość. Ujawnianie

potrzeb było jak odsłanianie słabych punktów. Wystawiało na łatwy cel. A Peter w tamtych czasach był chodzącą potrzebą.

Chęć zemśczenia się za zwolnienie z pracy pchnęła Petera do wyłudzenia zaproszenia na organizowaną przez Biały Dom kolację dla korespondentów. Włożył smoking, żeby wszyscy, obcy czy znajomi, wiedzieli dokąd się udawał, wiedzieli, że jeszcze się nie skończył, że jego, Petera Shea wciąż zapraszano na ważne wydarzenia.

Pijany i zamroczony proszkami, których nie wolno mu było brać, kiedy pił, podszedł do mównicy w wielkiej sali balowej waszyngtońskiego hotelu i wyrwał mikrofon zdumionemu dziekanowi wydziału prasowego Białego Domu. Tam, w obecności kongresmenów i senatorów, członków administracji i przedstawicieli prasy, zwrócił się do prezydenta Stanów Zjednoczonych chcąc opowiedzieć o niesprawiedliwości, jaka go spotkała. W napadzie szału tak obrazowo zaczął opisywać egzotyczną schadzke we francuskim zamku, że nikt nie śmiał drgnąć. Gdy zszokowani świadkowie skandalicznej sceny oprzytomnieli, rozległa sala eksplodowała oburzeniem. Przez opar szaleństwa Peter usłyszał krzyk. Czyjeś dłonie brutalnie chwyciły go za ramiona, w uszach rozbrzmiewały mu głosy. Wciąż krzyczał, kiedy ściągano go z mównicy. Pamiętał jeszcze, że leżał na zakurzonej podłodze za zasłoną. Otaczali go agenci służby bezpieczeństwa, mówiący z ożywieniem do klap swoich marynarek. Poczul ostre ukłucie igły przez spodnie smokingu i zapadł w ciemność.

Nigdy nie czytał relacji prasowej ze swego zawodowego samobójstwa ani nie widział jej w wieczornych wiadomościach. Nie czytał też nazajutrz spekulacji, że istniały obawy, iż planowano zamach na prezydenta.

Później lekarz Petera w Silver Hill powiedział mu tyle, ile chciał wiedzieć, tyle, ile był gotów wtedy przyjąć; lekarz ostrzegł go, że rozmyślanie o całym zajściu tylko spowolni proces zdrowienia. Teraz powinien wracać do życia. Droga powrotna jednak wydawała mu się tak trudna, że niemal nie do przebycia. Jego kompas moralny uległ rozbiciu. Każdy dzień wydawał się przepaścią, każde kolejne spotkanie upadkiem we wściekle, wzburzone morze.

Pozwolono mu wrócić do mieszkania w Village, ponieważ nie mógł już pokrywać kosztów leczenia, a dlatego, że wyzdrowiał na tyle, by mógł mieszkać sam. Kuracja trwała rok.

Minał tydzień, zanim odpowiedział na zaproszenie Fiddle. Zanim napisał zamówiony przez nią artykuł o swoim upadku minął miesiąc.

Artykuł nie przyniósł Peterowi nagrody Pulitzera, ale zapewnił mu powrót do prawdziwego życia. Jego telefon nie przestawał dzwonić. Wendy zorganizowała serię spotkań, zainteresował się nim człowiek z programu „Today”. Wydawcy chcieli wiedzieć, czy z historii Petera mogłaby powstać książka. Odmówił zarówno programowi „Today”, jak i wydawcom. Wszystko, co miał do powiedzenia, zawarł w artykule. Spłacił dług i kroczył ku większym sprawom. Był wolny.

- No więc? - spytała Fiddle, która czekała cierpliwie, aż podejmie decyzję.

- Jeśli zadzwonię to Wendy dowie się, że nie potrafisz dochować tajemnicy.

- Dla dobra sprawy, Peter, przyjmę na siebie winę. Poza tym będzie tak podekscytowana, że zapomni, iż zabroniła mi mówić.
- Zamów deser, Fiddle, a ja zadzwonię do niej teraz - powiedział szukając w kieszeni ćwierćdolarówki.
- Pięć, pięć, pięć, siedem, dwa, dziewięć, osiem. Ma telefon ze sobą - poinformowała go z wymownym uśmiechem. - Je lunch w Aurorze.
- Dobra - odparł Peter z uśmiechem, idąc do telefonu przy barze.

Wendy Klarwine lubiła odbierać telefony siedząc przy swoim stoliku w Aurorze. Przepraszała obecnych, wyjmowała przenośny telefon z olbrzymiej torby będącej skrzyżowaniem torebki, nesesera i plecaka, po czym mruczała uwodzicielskie „halo”. Jej ciepły humor miał krótkotrwały żywot.

- Chcę pisać książkę dla madame Cleo - powiedział Peter bez wstępu.
- Jezu Chryste! - wrzasnęła Wendy. - Jak się tego, kurwa, dowiedziałeś? Cholera! Nie ma już tajemnic!
- Nie dla ludzi naszego pokroju, Wendy, kochanie.
- Od kogo to wiesz, Peter? Chcę, żebyś mi powiedział.
- To tajemnica - odparł bawiąc się jej udręką.
- Od tej krowy, Fedalii Nuli, tak?

- Słuchaj, Wendy... - Peter skrzywił się na obelgę wymierzoną w przyjaciółkę. - Wiem, zgoda? I chcę spróbować. - Czuł, że Wendy zaraz zmieni płytę. Wiedział, że dotychczas popisywała się głównie przed ludźmi, z którymi siedziała przy stole.

- Przyjdź do biura około trzeciej - zaszczebiotała. - Porozmawiamy. To może być bardzo ekscytujący układ.

Obiecał, że przyjdzie, jeszcze przez minutę wsłuchiwał się w potok słów, po czym odłożył słuchawkę. Oczywiście, że mógł to być ekscytujący projekt. Piętnaście procent zaliczki madame Cleo i piętnaście procent jego honorarium podnieciłyby każdego agenta.

Nie dbał o to. Nie dbał o honorarium ani o zaliczkę, ani nawet o starą handlarke żywym towarem, która miała historię do opowiedzenia. Intrygowała go sama historia. Kryła się w niej odpowiedź na pytanie, kto doprowadził do wylania Petera z pracy, a także informacje o dziewczynie o oczach bez dna.

Peter wiedział, że leciutkie poczucie winy, jakie nagle się pojawiło, może szybko odegnać wyznaniem. Wrócił do stolika i natychmiast zaczął:

- Wie, że mi powiedziałaś.
- Co mówiła?
- Kłęła, że nie ma już tajemnic.
- Nie, co mówiła o książce. Weźmie cię pod uwagę?
- Najwyraźniej tak. Mam być u niej o trzeciej.
- Dostaniesz tę książkę - stwierdziła Fiddle, wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Petera dla dodania mu otuchy.
- Naprawdę tak myślisz?
- Absolutnie - odparła Fiddle, żarliwie kiwając głową. - Pamiętaj tylko o jednym, Peter.
- O czym?

- Nie ufaj nikomu.

- He?

- To duża sprawa. Wszyscy zainteresowani zechcą mieć udział w sławie. Nie ufaj Wendy. Nie wierz, że madame Cleo nie zechce przy okazji upiec jakiejś pieczeni przy tym ogniu. Nie obchodzi mnie, że wszyscy podpiszą własną krwią kontrakty, oświadczenia i zapewnienia o dyskrecji. Nikt, mówię ci, nikt nie oprze się pokusie uzyskania rozgłosu, jaki zapewni ta książka.

Peter roześmiał się pomimo uczucia skrępowania wywołanego tyradą Fiddle. Bardzo chciał mieć tę książkę i był gotów zignorować wszelkie ostrzeżenia.

- Straszna z ciebie cyniczka, moja droga Fiddle. Czemu tak mówisz?

- Ponieważ Wendy ma rację. Nie ma tajemnic.

Wendy Klarwine szczyliła się tym, że potrafiła doprowadzać sprawy do końca.

Dopóki projekt nie nabral realnych kształtów, był tylko pisaniną na wodzie. W pracy agentki najbardziej nie cierpiała bezczynnego siedzenia, nie kończących się zebrań i rozmów telefonicznych, w których dziewięćdziesiąt procent stanowiła próżna gadanina.

Po spotkaniu z Peterem zrozumiała, że pomysł napisania książki Cleo wszedł w fazę, którą uwielbiała, w fazę realizacji.

To musiało się udać. Nie tylko ze względu na wysokość wynagrodzenia; Wendy nie miała nic przeciwko okrągłej sumce. Bardziej niż na pieniądzech zależało jej na rozgłosie, jaki zapewniała jej aktywna rola przy tworzeniu tej książki.

Te same pieniądze mogła zarobić sprzedając prawdę o firmach ubezpieczeniowych, jednak takie działania nie przynosiły satysfakcji, aplauzu ani szansy słyszenia i oglądania własnego nazwiska w środkach masowego przekazu.

W ciągu tygodnia, jaki nastąpił po jej spotkaniu z Peterem, Wendy rzadko nie rozmawiała przez telefon. Obie centralki telefoniczne, na biurku i obok łóżka, nie przestawały migotać, informując o telefonach od prawników wszystkich zainteresowanych stron.

Wiedziała, że musi się sprężyć. Bez trudu odkryła, że opór przejawiała strona madame Cleo; jej prawnicy guzdrali się od czasu zawarcia umowy w Londynie.

Ponadto Wendy przypuszczała, że Peter Shea leży w bezsennej nocy, wyobrażając sobie, jak wyda pieniądze. Ostatecznie, pomyślała, on również był jej klientem. Jeśli jemu się powodziło, to i jej.

Talent Wendy w doprowadzaniu spraw do końca wreszcie zaowocował i mogła odbyć najbardziej satysfakcjonującą rozmowę telefoniczną.

- Gratuluję, Peter, mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Chcesz powiedzieć, że umowa stoi? - spytał z niedowierzaniem.

- Podpisana i przypieczętowana. Mój faks wyrzucił właśnie kontrakty opatrzone wszystkimi niezbędnymi podpisami.

- Wendy, jesteś zdumiewająca.

- Po prostu wykonuję swoją pracę - odparła. Komplement nie pozostawił jej jednak obojętną, więc spytała: - Ale co cię zaskoczyło?

- Cóż, ta kobieta kupiła kota w worku. Co będzie, jeśli się jej nie spodobam?

- Spodobaś się, wkrótce się przekonasz. Zarezerwowałam ci miejsce w samolocie Air France na poniedziałek. Pasuje?

- Musi. Dziękuję.

- Peter, o co chodzi?

- Nic, nic. Po prostu to wszystko dzieje się tak szybko, że trudno w to uwierzyć.

- Uwierz, misiu - zapewniła Wendy. - Złapaliśmy pana Boga za nogi. To będzie największy hit dziesięciolecia. Moje gratulacje!

Nie przesadziłam, pomyślała Wendy, kiedy Peter podziękował jej raz jeszcze i odłożyła słuchawkę. To był kontrakt jej życia. Musiała się z kimś podzielić swoim zachwytem. Pozostała jej jeszcze jedna rozmowa telefoniczna.

- Wiedziałam! - krzyknęła Fiddle, widząc nagłówek na pierwszej stronie „Timesa”. Zerwała się od kuchennego stołu i związując pasek aksamitnego szlafroka podeszła do ekspresu do kawy i naląła sobie drugą filiżankę. Skończyła czytać artykuł i zaniósła kawę do telefonu. Drżącą z gniewu dłonią wystukała numer Petera. Odebrał po pierwszym sygnale i odezwał się rozbudzonym głosem:

- Tu Shea.

- Widziałeś gazetę? - spytała Fiddle.

- Dzień dobry, Fiddle. Nie, jeszcze nie. Poczekaj, zaraz po nią pójde.

- Nie zawracaj sobie głowy. Jestem taka wkurzona, że chcę ci to przeczytać.

- O, Chryste, co znowu?

- Twoja słodka, wspaniała, cudowna suka-agentka nie potrafiła trzymać gęby na kłódkę. Ostrzegałam cię, Peter. Pamiętasz, co ci powiedziałam podczas lunchu? Nie ufaj nikomu.

- Wolnego, maleńka. Co się, do diabła, dzieje?

Fiddle zacisnęła zęby, po czym odczytała mu nagłówek z powolnym warknięciem.

„Amerykański wydawca podpisuje siedmiocyfrowy kontrakt na pamiętnik madame”.

- O, cholera, tylko nie to mruknał Peter. - Ale dlaczego obwiniasz Wendy?

- Najpierw posłuchaj, to może sam mi powiesz - oświadczyła Fiddle, przyciskając słuchawkę podbródkiem do ramienia i podnosząc gazetę do światła. - „Haddon Brooks, amerykańskie wydawnictwo będące własnością Mosby Media International, potwierdziło wczoraj wieczorem, że podpisało kontrakt na wydanie pamiętników osławionej francuskiej madame, znanej jako madame Cleo. Wydawca Haddon Brooks, Dawson T. Segura nazwał umowę „wydarzeniem bezprecedensowym”. Czyż to nie słodkie? - spytała Fiddle przerywając czytanie. - Ta sprawa jest tak tajna, że Dawson Segura nie chciał mi nawet o niej powiedzieć, ale niech tylko zadzwonią do niego z „Timesa”, a zamienia się w prawdziwą Zsę Zsę Gabor.

- Czytaj dalej, Fiddle.

- „Madame Cleo jest od dawna tajemniczą postacią w świecie międzynarodowej śmietanki towarzyskiej. Mówi się, że kieruje agencją prostytutek, skupiającą najpiękniejsze, najbardziej wyrafinowane kobiety. Jej dochody ocenia się na wiele milionów dolarów”. - Fiddle wzięła głęboki wdech. - Dobra, dochodzimy do sedna. Jesteś gotów?

- Jasne - odparł Peter. Fiddle podniosła głos.

- „Według Wendy Klarwine, nowojorskiej agentki literackiej, która prowadziła skomplikowane negocjacje, madame Cleo napisze pamiętnik we współpracy z korespondentem „Fifteen Minutes”, Peterem Shea. Panna Klarwine, która reprezentuje również madame Cleo, powiedziała «Timesowi»: Ona jest jedną z najbardziej fascynujących i barwnych kobiet naszych czasów. Jej pamiętnik stanie się wydawniczą sensacją dziesięciolecia. Współpracownik madame Cleo, Peter Shea, należy do najwybitniejszych dziennikarzy amerykańskich. Nikt nie mógłby sobie wymarzyć bardziej ekscytującego połączenia doświadczenia i talentu”. - Fiddle przerwała czytanie i oparła głowę o ścianę. - Peter, zaraz rzucę pawia.

- Czytaj dalej - polecił jej ostro Peter.

- „Nie zdołaliśmy dotrzeć do lorda Mosby'ego, który, jako właściciel Mosby Media, nabył prawa autorskie do pamiętnika, toteż nie uzyskaliśmy potwierdzenia ceny, jaką zapłacił za niezwykle towar”.

- To wszystko? - spytał Peter, kiedy Fiddle wreszcie zamilkła.

- Wszystko? Wszystko? - piekliła się Fiddle. - Nie wierzę własnym uszom, Peter. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że to, co ci właśnie przeczytałam, spowoduje zerwanie umowy. Nie wydaje mi się, żeby wymuskani paryscy adwokaci madame Cleo byli zachwyceni. Mogą się wycofać.

- Wendy mówiła, że umowa jest podpisana. Jak mogą się wycofać?

- Mogą się powołać na złamanie zobowiązania do dyskrecji. Peter, madame Cleo od początku podkreślała, że nie chce rozgłosu - mówiła Fiddle, czując, jak jej gniew na Wendy udziela się Peterowi. - Założę się, że jej telefon urywa się od dzwoniących klientów, których ten artykuł przeraził tak, że robią pod siebie, nie mówiąc o byłych pracownikach Cleo. Nie masz pojęcia, jak jestem wściekła. Czy ciebie nie wprowadziło to z równowagi?

- Tylko wówczas jeśli ten artykuł rzeczywiście spowoduje zerwanie umowy.

- A oprócz tego? - Fiddle zdawała sobie sprawę, że usiłuje nakłonić Petera do ataku na Wendy, ale nie dbała o to.

- Nie - odparł cicho Peter. - Wiesz dlaczego? Fiddle wzięła głęboki wdech.

- Nie, Peter, dlaczego?

- Bo dobrze się z tym czuję.

- Z czym? - wrzasnęła Fiddle. - Z tym, że wymieniono twoje nazwisko w gazecie?

- Mhm.

Fiddle zachciało się krzyczeć.

- Peterze Shea! Jesteś jeszcze większym dupkiem niż Wendy Klarwine. Oboje macie świra na punkcie własnej osoby. Nie mogę tego znieść. Porozmawiamy kiedy indziej. Może jeszcze w tym życiu, a może nie.

Fiddle trzasnęła słuchawką a Peter wzruszył ramionami. Wiedział, że nie będzie się długo na niego wściekać. Może gdyby w artykule wymieniono jej nazwisko, nie rozgniewałaby się tak bardzo. Droga Fiddle, pomyślał. Taka życiowo mądra, bystra, zawsze potrafiąca przewidzieć trudności, konsekwentnie dążąca do celu. Czyżby nie wiedziała, że Peter przez całe życie obserwował, jak całkowicie normalne, skromne kobiety zamieniają się w dziwki na dźwięk głosu dziennikarza zadającego pytania,

dzięki którym ich nazwisko pojawi się w porannej gazecie i cały świat będzie mógł je zobaczyć przy porannej kawie?

Nie, przekonywał sam siebie, artykuł w porannej gazecie nie zdoła doprowadzić do zerwania kontraktu. W poniedziałek będzie leciał samolotem do Paryża na spotkanie nowej przygody.

Tak przynajmniej uważał do poniedziałku, kiedy wczesnym rankiem zadzwonił telefon.

- Nie lecisz tym samolotem - warknęła Wendy. Peter poczuł, że zamiera mu serce.

- Dlaczego? - spytał bojąc się odpowiedzi.

- Madame Cleo poleciała do Londynu. Twierdzi, że wyniknęła jakaś pilna sprawa, coś w związku z interesami. Powiedziała, że spotka się z tobą w tygodniu.

- Co ona robi w Londynie? - zapytał, usiłując nadać głosowi niedbałe brzmienie.

- Nie wiem, Peter - zaskowyczała Wendy, czego Peter nie znosił. Był to obraźliwy skowyt, sugerujący rozmówcy, że jest „głupim fiutem”. Petera doprowadzało to do szału.

- Chyba nie sądzisz, że poleciała spotkać się z Mosbym w sprawie tego artykułu, co?

- spytał Peter poddając się paranoi.

- Peter, cały świat nie obraca się wokół twojego tyłka. Może poleciała na zakupy.

Może postanowiła sobie zrobić operację plastyczną twarzy. Kogo to obchodzi? -

krzyczała Wendy. -Zadzwoń do ciebie, kiedy się czegoś dowiem. Tymczasem uspokój się. Wszystko się ułoży.

Kolejne kilka dni okazały się najgorszymi, jakie Peter spędził od czasu opuszczenia wariatkowa w Connecticut. Nie miał nad czym pracować. Rzeczy spakował już wcześniej. Jego redaktorka i najlepsza przyjaciółka była na niego wkurzona, jego agentka była na niego wkurzona. Zlecenie życia rozłaziło się pewnie w szwach, a on nic nie potrafił na to poradzić. Nie mógł myśleć, nie mógł spać, gorzała tylko go wnerwiała, nie mógł sobie ulżyć, nawet jeśli chciał. Po co płacić dziewczynie na telefon, skoro mu nie stawał?

Oglądał program „Geraldo”, w którym odbywała się dyskusja narzekających lesbijek-motocyklistek, gdy po raz pierwszy od dnia, kiedy Wendy odłożyła słuchawkę, zadzwonił telefon.

- Pakuj skarpetki, szefie - powiedziała radośnie Wendy. -Wylatujesz.

- Wszystko gra? - spytał Peter przygryzając wargę.

- Wszystko gra. Cleo spotka się z tobą jutro - zaszczębiotała Wendy.

- Nie próbowała zerwać umowy?

- Ani trochę. Jej adwokat powiedział, że nie może się doczekać, kiedy zaczniecie, więc ruszaj się, koleś.

Peter odłożył słuchawkę i podskoczył, wydając okrzyk ogromnej ulgi.

Później, siedząc w pierwszej klasie nocnego samolotu Air France do Paryża, popijał podwójną whisky i wreszcie się rozluźnił. Nawet jeśli w ciągu minionych dni nic nie robił, przypomniały mu one, jak potworne było życie, kiedy kontrolowali je inni.

Zapewne cały świat nie obracał się wokół jego tyłka, ale jeśli nie mógł mieć wpływu na to, czy ktoś go w niego kopał, wówczas nic nie miało sensu.

Zamknął oczy i przywołał w pamięci piękną twarz Madeleine.

Aby dotrzeć na Ile de la Cite, jedną z dwóch eleganckich wysp na Sekwanie, wystarczyło przejść przez mały most z kutego żelaza. Chcąc posiadać jedną z eleganckich willi stojących wzdłuż ocienionego drzewami molo, należało przebyć znacznie dłuższą drogę.

Madame Cleo nigdy nie uzyskałaby pozwolenia na kupienie domu przy Quai aux Fleurs numer cztery na swoje okryte złą sławą nazwisko, toteż wykorzystwała uczynność jednego z zamożnych klientów. Dzięki swoim pieniądзом i jego wpływom, weszła w posiadanie domu, w którym kiedyś mieszkała kochanka Baudelaire'a. Madame Cleo siedziała sama, zastanawiając się, jak wyglądałoby życie bez wygody i bezpieczeństwa, jakie zapewniał ten piękny, stary dom. Peter Shea, o którym wszyscy, włącznie z Billym Mosbym, mówili, że jest najwłaściwszym człowiekiem do napisania jej książki, miał się niedługo stawić, by omówić sposób odsłonięcia tajemnic, których Cleo strzegła przez tyle lat.

Wkrótce rozpocznie niezwykle wysiłek w celu ocalenia samej siebie.

Nerwowo obróciła bransoletę wielofasetowego zegarka, by znaleźć tarczę wskazującą czas paryski. Martin obiecał zadzwonić, kiedy wszystko zostanie przygotowane.

Z górnej szuflady wyjęła oprawioną w skórę księgę i otworzyła na stronie opatrzonej wczorajszą datą. Dwadzieścia dziewcząt znajdowało się gdzieś w Paryżu, Londynie lub Nowym Jorku. Trzy na pewno były w Rzymie. Dwie poleciały samolotami na spotkania trwające dłużej niż noc. Cleo wykonała w pamięci kilka szybkich obliczeń. Wpływy z minionej doby będą znaczne, ale nie wystarczą, żeby ją uratować. Nie dokonałoby tego nawet sto dziewcząt i sto nocy.

Jeśli nie uniknie więzienia, każe Martinowi zorganizować tyle proszków, ile będzie trzeba. Nie zamierzała przechodzić tego ponownie.

Sięgnęła do srebrnej tacy na stole za biurkiem. Stała na niej kryształowa karafka i dwa kieliszki. Nalała sobie brandy z gruszek, pociągnęła długi łyk i podniosła wzrok na odgłos otwieranych drzwi. Pokojówka zajrzała ostrożnie do pokoju.

- Oui, Nanti? - spytała.

- Dzwoni Martin, madame - powiedziała drobna Hinduska. - Jedzie tu. Czy chce mu pani coś przekazać?

- Ah, oui - odparła energicznie madame, szybko sięgając po telefon. - Martin? Jakież problemy?

- Wszystko przygotowane. Jeśli wyjrzysz z domu, powinnaś już zobaczyć kilka osób.

Madame Cleo odchyliła się i odsłoniła jedną z ciężkich zasłon. Biała furgonetka z wydrukowaną nazwą krajowej sieci telewizyjnej parkowała tuż przed żelazną bramą. Cleo uśmiechnęła się, puściła zasłonę i podniosła słuchawkę.

- Właśnie przyjechał wóz telewizyjny - oznajmiła.

- Doskonale. Przyjedzie ich więcej. Powinny być na miejscu, kiedy zjawi się Shea - mówił szybko Martin, przez co jego angielski akcent stawał się jeszcze wyraźniejszy.

- Czy wszyscy wiedzą że dziś rano do mnie strzelano?

- Tak, zadzwoniłem do wszystkich.

- Martin, jesteś cudowny. Plan się uda w stu procentach.

Fakt powrotu do Paryża dotarł do Petera w pełni dopiero w piątek rano, kiedy minął wysokie drzwi Ritza i rozejrzał się po eleganckim holu. Stał przez chwilę, pozwalając, by chłopiec hotelowy niosący jego bagaż wyprzedził go i poszedł w stronę recepcji. Peter poczuł, jak uginają się pod nim kolana; zalała go fala wspomnień. Jakież życie kiedyś tu prowadził!

Trzygwiazdkowa restauracja w ogrodzie wiązała się ze wspomnieniami o wyśmienitych posiłkach zakrapianych najlepszymi winami, wszystko na koszt firmy, wspomnieniami o muzyce skrzypiec, blasku księżycy i życiu, które nie mogło być lepsze.

Uszczypnął się w nos, żeby odpędzić te myśli, po czym podążył za chłopcem hotelowym. Recepcjonista przywitał Petera wylewnie, jak na Francuza, a następnie wręczył mu kartkę z informacją że dzwonił niejaki pan Bourke-Lyon, który zostawił wiadomość, iż madame Cleo oczekuje Petera o trzeciej dziś po południu.

Odświeżony krótką drzemką i prysznicem w zbyt dużym pokoju, Peter poprosił chłopca hotelowego, żeby wezwał taksówkę. Jego nastrój nieco się poprawił.

Sadowiąc się w taksówce, usłyszał nosowe upomnienie Wendy Klarwine - „cały świat nie kręci się wokół twego tyłka” - ale odpędził je.

Taksówka zjeżdżała pochyłą Quai aux Fleurs, a Peter zauważył, że ulica była pełna ryzykownie zaparkowanych samochodów. Tuż przed domem numer cztery stała furgonetka telewizyjna.

- O, Jezu - szepnął na widok ludzi tłoczących się na chodniku obok furgonetki.

- Comment? - burknął taksówkarz.

- Czy te domy mają wejścia od tyłu? - spytał po francusku.

- Nie, monsieur, ciągną się przez całą przecnicę do następnej ulicy. Wejście dla służby znajduje się pod frontowym tarasem.

Peter zaklął pod nosem i rzucił kierowcy kilka franków.

- Dobrze, wysiadę tutaj.

Poznano go, zanim zdążył zatrzaskać drzwi taksówki.

- Hej! Peter! Peter Shea!

Peter zamarł. Odwróciwszy się, ujrzał dawnego konkurenta, Terry'ego Duggana z United Press, który stał na chodniku o kilka kroków dalej i szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Ty stary sukinsynu! - zawołał wesoło Duggan. - Gratulacje!

Z lekkim uczuciem zażenowania Peter podszedł i uściśnął wyciągniętą dłoń Terry'ego.

- Jak się masz, Terry.

- Witaj z powrotem! Czytałem o tobie w gazecie, człowieku. Upolowałeś grubego zwierza, co? Poniedziałkowa „Herald Tribune” pisała, że dama płaci ci milion doliczów! Jestem pełen podziwu.

- No, tak... cóż... - jąkał Peter. Za plecami Terry'ego rozpoznał inne znajome twarze.

Ujrzał Juana Ruiz-Marti z paryskiego biura „El Diario”, który stał na chodniku kilka metrów dalej, gawędząc leniwie z Danem Forte, człowiekiem, który zastąpił Petera w WorldWide. Ruiz-Marti dostrzegł go, Peter pomachał mu niewyraźnie, pytając Terry'ego:

- Słuchaj, co tu się, do diabła, dzieje? Reporter wskazał kciukiem na dom.
- Wygląda na to, że ktoś wygarnął z Uzi do twojej kontrahentki.
- Co? - spytał zdumiony Peter. - Gdzie? Kiedy?
- Nie zapomnij o „kto?“, „co?“ i „dlaczego?“ - zauważył z uśmiechem Terry.
- Zgadza się, ale powiedz coś więcej.
- Z tego, co zdołałem się zorientować, dziś rano ktoś podjechał do jej samochodu i podziurawił go na sito. Nic jej się nie stało, ale samochód nadaje się na złom.
- Czy to dlatego wszyscy się tu zebrali? - spytał Peter, wskazując na tłum.
- Zwołała konferencję prasową.
- Żeby rozprawać o zamachu na jej życie? - spytał z niedowierzaniem Peter.
- To pretekst, człowieku. Ważne, że postanowiła mówić niczym Greta Garbo. Nikt z nas nie widział tej kobiety. W archiwach zdjęciowych nic o niej nie mamy, ani my, ani nikt inny. Teraz zwołuje nagle konferencję prasową przed swoim domem, jak jakaś Madonna.

Zanim Peter zdążył odpowiedzieć, zauważył wysokiego mężczyznę o długich, żółtych jak nowojorskie taksówki włosach, machającego do niego gorączkowo przez jedno z okien okalających drzwi frontowe.

- Przepraszam, Terry, miło cię było spotkać. - Odwrócił się i wbiegł po schodach. Kiedy wskoczył na ostatni stopień, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Peter wszedł do środka, a młody człowiek chwycił go za łokieć.

- Gdzie pan się podziewał? Ona czeka na pana - powiedział z barwnym brytyjskim akcentem.

- Chyba nie miałem przyjemności.

- Proszę mi wybaczyć, panie Shea. Jestem asystentem madame Cleo, Martin Bourke-Lyon. Pan jest Peter Shea, prawda? Ma pan amerykański wygląd.

Peter spojrzał na siebie mimowolnie.

- Naprawdę?

- Blezer od Brooks Brothers, spodnie khaki, mokasyny - mówił nonszalancko Martin.

- Proszę za mną madame jest w gabinecie.

Bourke-Lyon odwrócił się i skinął na pomarszczoną starą kobietę w jaskrawym sari.

- Nanti pokaże panu drogę.

Peter posłusznie ruszył za Hinduską ciemnym korytarzem prowadzącym na tyły willi.

Otoczyło go duszące powietrze urządzonego z przesadnym przepychem małego pokoju. Egzotyczny zapach zdawał się być mieszaniną woni perfum i, co dziwne, dymu z cygar. W wysokim oknie wisiały ciężkie zasłony, ale domyślił się, że musiało wychodzić na rzekę. Kiedy wzrok Petera przywykł do półmroku, raczej wyczuł niż dostrzegł kruchą postać siedzącą za misternie rzeźbionym biurkiem przypominającym eksponat muzealny. Głowę siedzącej spowijał błękitny obłok dymu.

Peter usłyszał za sobą szcęk zatraskiwanych drzwi. Zapadła cisza.

Domyślił się, że postać siedząca za biurkiem była kobietą gotową zapłacić mu równy milion za napisanie jej biografii. Po kroju rękawów beżowego kostiumu poznał, że

był drogi. Jasne włosy ukryła częściowo pod dużym beretem z jasnego futra. Spisywała coś z oprawionej w skórę książki rozłożonej na biurku.

Uniosła palec, dając mu znak, że zaraz skończy, potem odłożyła pióro i podniosła wzrok z olśniewającym uśmiechem.

- Panie Shea - powiedziała matowym głosem. - Jest pan znacznie młodszy, niż sobie wyobrażałam. - Na moment opuściła głowę i przyglądała mu się spod gęstych czarnych rzęs. - I znacznie przystojniejszy, jeśli mogę sobie pozwolić na tak osobisty ton. Proszę usiąść. - Wskazała na pikowaną kanapę stojącą równolegle do biurka. Nie podała mu ręki, więc Peter tylko się uśmiechnął i usiadł. Madame Cleo podniosła z biurka grubą kopertę.

- Panna Klarwine przysłała mi kilka pańskich artykułów. Jest pan doskonałym dziennikarzem, panie Shea.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - powiedział zachwycony.

- Czy napije się pan Poire Williams? - spytała sięgając po karafkę.

Peter podniósł dłoń w obronnym geście.

- Nie, dziękuję - odparł z uśmiechem.

- W takim razie kawy, herbaty? Każę Nanti przynieść tacę.

Zanim Peter zdążył zaprotestować, madame Cleo nacisnęła przycisk na biurku.

Potem sięgnęła po długą czarną cygaretkę, którą zapaliła ciężką złotą zapalniczką.

Ułamek sekundy, w którym się zaciągnęła, wystarczył Peterowi na przejęcie kontroli nad rozmową.

- Zaniepokoiła mnie wiadomość o pani, hm, wypadku.

- Oui - westchnęła przez obłok dymu. - Chociaż nie mogę powiedzieć, że było to dla mnie całkowite zaskoczenie.

Peter uniósł brwi.

- Naprawdę? Chce pani powiedzieć, że spodziewała się, iż ktoś spróbuje panią skrzywdzić?

- Tak - odparła łącząc opuszki palców. - Kiedy tylko w prasie pojawiła się notatka o książce, wiedziałam, że zdarzy się coś złego. - Uniosła rękę, naśladując serię z broni maszynowej. - Mój szofer, Martin i ja, wszyscy mogliśmy zginąć!

- To szokujące - przyznał szczerze Peter, powoli kręcąc głową.

Madame wydeła policzki w typowo francuskim grymasie rezygnacji.

- Jestem pewna, że nie zdziwi się pan, kiedy powiem, że prowadziłam życie, które gwarantuje zyskanie sobie wrogów.

Peter skinął głową i uśmiechnął się.

- A także interesujące życie, madame. Dlatego tutaj jestem. Nie był pewien, czego oczekiwał - może przebiegłej staruchy, leżącej i gadającej w kółko o sobie, uniemożliwiającej napisanie czegokolwiek w rodzaju realistycznej „autobiografii”. Nie wierzył we własne szczęście, widząc tę pełną godności i wdzięku uroczą czarodziejkę.

- Jestem bardzo szczęśliwą kobietą panie Shea - powiedziała szczerze.

- Proszę pozwolić, że spytam, madame - zaczął, na tyle pewien jej reakcji, że zdecydował się bez wstępów zadać pierwsze konkretne pytanie. - Czy ma pani pojęcie, kto mógłby chcieć zrobić coś takiego?

Powoli pokręciła głową jakby starannie zastanawiała się nad odpowiedzią.

Podniosła z biurka ciężką złotą zapalniczkę.

- Policja znalazła na miejscu zajścia tylko jeden ślad - powiedziała, wręczając Peterowi zapalniczkę. - Złotą zapalniczkę identyczną z tą. Znaleźli ją w pobliżu samochodu napastników.

Peter wziął zapalniczkę, przez chwilę ważąc ją w dłoni.

- Ładna sztuka. Cartier.

- Tak. - Cleo skinęła głową. - Proszę ją odwrócić.

Po drugiej stronie Peter ujrzał wygrawerowaną pieczęć czy herb.

- Co to oznacza? - zapytał.

- To herb rodowy jednego z moich starych klientów, barona Feliksa d'Anjou.

Peter zdał sobie nagle sprawę z gwałtownego bicia serca i uczucia duszności.

- La Fantastique - powiedział ochryple. Twarz Cleo rozjaśniła się zdziwieniem.

- Mon Dieu, panie Shea! Wie pan o La Fantastique?

- Raczej tak. - Ręce mu zdrętwiały, a zapalniczka wydała się nieznośnie ciężka.

Oddał ją madame Cleo. - Byłem tam raz, w zamku barona. W lecie 1987 - powiedział patrząc jej prosto w oczy.

Madame Cleo położyła dłonie na policzkach, a z jej ust wyrwał się krótki okrzyk.

- Mój Boże - powiedziała, "odzyskawszy panowanie nad sobą. - Jak strasznie mały jest ten świat.

- Rzeczywiście, madame.

- Wobec tego poznał pan którąś z moich dziewcząt. Zawsze posyłam dziewczęta. Te, które wybiorę, dostają upominki. Tamtego roku były to zapalniczki.

- W takim razie musi pani podejrzewać jedną z dziewcząt. Madame Cleo nachyliła się nad biurkiem i spojrzała mu prosto w twarz jasnoszarymi oczami.

- Być może - powiedziała ostrożnie. - Albo jeden z mężczyzn, z którymi zawarły bliską znajomość, a pan, panie Shea, niezwykłym zrzędzeniem losu poznał może człowieka, który usiłował mnie zabić.

Peter nachylił się do przodu. Miał nadzieję, że nie dał po sobie poznać podniecenia, ale implikacje jej słów były fascynujące. Madame Cleo już miała odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi.

- Tak, Martin? - spytała marszcząc brwi.

- Prasa, madame - oznajmił głosem graniczącym z histerią.

- Zaczynają mieć dość czekania. Obawiam się, że wkrótce mogą stać się agresywni.

Madame Cleo zerwała się z krzesła.

- O, mój Boże. Pan Shea tak mnie zafascynował, że kompletnie straciłam poczucie czasu.

Peter wstał ułamek sekundy po madame Cleo, czekając na jej kolejny ruch. To on był zafascynowany - samą kobietą otoczeniem oraz niezwykłym zbiegiem okoliczności, który sprawił, że La Fantastique z lipca 1987 r. miała decydujące znaczenie również dla madame Cleo.

Cleo wyszła zza biurka i delikatnie wsunęła dłoń pod łokieć Petera. Kiedy spojrzał na nią poczuł lekki zawrót głowy od niedoboru snu i nadmiaru szkockiej wypitej podczas lotu przez Atlantyk.

- Proszę pójść ze mną - powiedziała z uśmiechem. - Razem wyjdziemy do dziennikarzy.

- Razem? - zapytał. Zapach jej perfum nie pomógł Peterowi w myśleniu. - Dlaczego ja?

- A jak pan myśli, dlaczego zwołałam konferencję prasową?- spytała opuszczając wzrok. - Z pewnością nie po to, by mówić o przykrym zajściu dzisiejszego ranka. W drodze do drzwi frontowych minęli Martina a madame uściśnęła mu rękę, jakby chcąc go uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze, Martin, nie ma obawy.

Kiedy Peter wyszedł na jasne paryskie słońce w towarzystwie niesławnej madame Cleo, nie miało dla niego znaczenia, że większość twarzy, jakie ujrzał, była znajoma, że większość ludzi, czekających na jej przemowę, stanowili dawni kumple i rywale z innego, ciemniejszego życia. Za moment Peter miał wypić mocne wino odwetu, odkupienia i zemsty. Oto on, człowiek wart milion dolarów, powrócił, by stawić czoło równym sobie.

Rozdział piąty

Wendy Klarwine siedziała przy swoim stoliku w Aurorze, wciąż podniecona porannymi wiadomościami z Paryża.

Nie tknęła lososia z rusztu i zaledwie dziobnęła sałatki aru-gala prowadząc roztargnione rozmowy z ludźmi zatrzymującymi się przy jej stoliku. Znajomi, którzy widzieli poranne wiadomości, stale dzwonili z gratulacjami, a ignorowany towarzysz Wendy, klient, którego powieść gotycka została tego ranka odrzucona przez piątego wydawcę, zaczynał się niepokoić.

Wendy dostała poufną informację, że madame Cleo zorganizowała konferencję prasową, którą, ze względu na różnicę czasu, wszystkie większe stacje telewizyjne wyemitują podczas porannych wiadomości.

Nie pamiętała podobnego nagłośnienia sprawy swego klienta od czasu, kiedy żona piłkarza futbolowej drużyny narodowej zaprosiła kamerzystów do szatni piłkarzy i oświadczyła, że zamierza napisać książkę o kobietach, narkotykach i łapówkach męża.

Dzisiejsze poranne wiadomości okazały się tym większym przebojem, że obok madame Cleo Wendy ujrzała swój produkt -uśmiechniętego, słodkiego Petera Shea - niezwykle przystojny, zabawny i popieprzony. W każdym razie był taki, zanim przywróciła go życiu i zrobiła z niego najbardziej rozchwytywanego autora w mieście. Masz rację, że się uśmiechasz, pomyślała.

Wiedziała, że przedwczesna informacja o książce zdenerwowała wiele osób, ale Wendy się tym nie martwiła. Zawsze słuchała własnego instynktu i tym razem okazało się, że postąpiła słusznie. Kiedy ujawniła informację, rozpętało się piekło. Przez kilka dni obawiała się, że odkryją iż rewelacje pochodzą od niej, ale teraz, po próbie zabicia madame Cleo, Wendy była bezpieczna. Kto miał czas na węszenie wokół niej, skoro istniał znacznie ważniejszy materiał?

Podniosła wilgotny liść sałaty i spojrzała na producenta miniseriale telewizyjnych, który robił podchody w celu zakupienia od niej praw autorskich. Wendy nie słuchała. Czego tu słuchać? Pomyślała o tym, jak projekty w rodzaju biografii madame Cleo wynagradzały denerwujące strony jej pracy. Jakież to cudowne, jaka frajda. Pomyśleć tylko: strzelają do twojego klienta!

Powiedziała do producenta:

- Niech twoja sekretarka zadzwoni do mojej. Umówimy się na lunch. - Wszyscy wiedzieli, że oznacza to: „Zejdź mi z oczu, frajerze”.

Zwróciła się do ponurego towarzysza przy stoliku.

- Czy jesteś na mnie wściekły? - spytała Wendy wydymając dolną wargę. - Nie wściekaj się, słodziutki. Nie będę już z nikim więcej rozmawiać. Teraz zajmę się tylko tobą.

Powieściopisarz rozluźnił się i sięgnął po wino.

- A teraz - oświadczyła Wendy trzepocząc powiekami - powiem ci, dlaczego według mnie wszyscy odrzucają twoją książkę.

W piątek około jedenastej Fedalia Nuli zwilżyła palec i rozpoczęła poszukiwania ostatniego złotego okruszka czekoladowego rogalika, który spadł na zdjęcia Marli Marples, dziewczyny z okładki lipcowego numeru. Minionej nocy Fedalii śniło się, że płynie tratwą pełną masła i sosu po morzu puree ziemniaczanego ze śmietaną i parmezanem. Obudził ją widok wznoszącej się ponad tratwą fali topionego cheddaru.

Skopała kołdrę i leżała nieruchomo w ciemnej sypialni, dopóki panika i płytki oddech nie minęły. Sublimowała pragnienie Petera w sny o jedzeniu. Nie potrafiła już radzić sobie z frustracją, więc nie śniła o spacerowaniu z nim w deszczu, ale o tym, że trzymając się za ręce biegli w ulewie mleka czekoladowego, a słodkie gąbeczki prawoślazu spadały jak różane płatki. Skapany w słońcu pokład żaglówki, gdzie ona i Peter leżeli nadzy i opaleni, spleceni w uścisku, zmieniał się w nie dosmażony filet podskakujący na oceanie sosu bernaise.

Vickie zapukała i weszła w momencie, kiedy Fiddle dopijała kawę.

- Nagrałam dla ciebie poranne wiadomości. Kasetą leży koło lampy - oznajmiła Vickie po krótkim powitaniu. - Lepiej ją obejrzyj. Wiadomości dotyczą znanej nam osoby w Paryżu.

Fiddle chwyciła kasetę i wepchnęła do stojącego na telewizorze odtwarzacza wideo. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się twarz Petera Shea. Patrząc na niego zrozumiała, jak czuje się szczęśliwy, stojąc przed lasem mikrofonów. Miała nadzieję, że rozgłos nie spowoduje jakiegoś nawrotu choroby Petera. Nagle zapragnęła, by za jego plecami, podobnie jak za plecami powożącego rzymskim rydwanem, pojawił się niewolnik szepczący: „Pamiętaj, jesteś tylko człowiekiem”.

Nagle dotarło do niej, że mówili o próbie zamachu na madame Cleo. Zdjęta paniką, krzyknęła do Vickie:

- Natychmiast odszukaj Petera w Paryżu! Vickie odkrzyknęła:

- Jest na linii pierwszej! Fiddle sięgnęła po słuchawkę.

- Peter? Właśnie oglądałam kasetę z wiadomościami, w których występujesz. O co, do cholery, chodzi z tą strzelaniną?

- Ktoś strzelał do naszej panienki.

- Wiem, ale kiedy? Dlaczego? Chyba nie z powodu książki. Fiddle siedziała w milczeniu, słuchając relacji Petera.

- To straszne. Wiedziałam, że gadulstwo Wendy przysporzy nam kłopotów, ale nie sądziłam, że aż takich.

- Nie obawiaj się, Fiddle, wszystko jest pod kontrolą. Muszę przyznać, że polubiłem tę kobietę. Jest twarda, a jednocześnie pełna wdzięku. Wszystko, co będzie chciała mi powiedzieć, powinno być fascynujące.

- Kiedy zaczynasz? - spytała Fiddle.

- Dziś o ósmej spotykam się tu z nią na kolacji. Ustalimy harmonogram rozmów. Przypuszczam, że ona też mnie lubi, spodobałiśmy się sobie.

Fiddle odczekała chwilę, potem dwie, w nadziei, że powie coś o tym, jak bardzo się za nią stęsknił, coś osobistego, czego mogłaby się trzymać. Nic takiego nie nastąpiło. W przestrzeni między Nowym Jorkiem a Paryżem rozlegał się cichy syk, nic więcej.

- Cóż, hm, no dobrze, Peter - powiedziała, nie mogąc przedłużyć milczenia. Zadzwoń do mnie, dobrze?

- Jasne - odparł.

Odłożywszy słuchawkę, ponownie włączyła wideo. Kiedy na ekranie pojawiła się twarz Petera, Fiddle zatrzymała kasetę. Będzie miała jego twarz na ekranie przez cały dzień, w ten sposób tęsknota stanie się odrobinę mniej dotkliwa.

Czy to konieczne? - zapytała lady Susanna Mosby, kiedy usłyszała, że powinna jak najszybciej przybyć do Londynu.

Przed upływem godziny jednak jechała do miasta małą Testarossą, którą lord Mosby podarował jej na dwudzieste piąte urodziny. Włączyła radio, chcąc uatrakcyjnić sobie podróż. Wciąż myślała o niedawnej rozmowie telefonicznej z lekarzem. Jaki jest naprawdę stan zdrowia Billy'ego? Dlaczego lekarz nie chciał powiedzieć jej wszystkiego?

Poranne wiadomości BBC były oszalamiające.

Wiedziała, że jeśli natychmiast nie zjedzie z szosy, nie zdoła opanować paniki. Nacisnęła pedał hamulca szybkiej Testarossy tak gwałtownie, że aż chrupnęło jej w stawie kolanowym. Mały samochód, znany z krótkiej drogi hamowania, spisał się na medal. Zatrzymał się na pochyłym poboczu, nie zostawiając na szosie ani odrobiny gumy.

Susanna Beatrice Slyde Mosby, od dziecka nazywana Sue-Bee, oparła się, usiłując zebrać myśli. Wiadomości, jakie przed chwilą usłyszała, sprawiły, że zamarło jej serce.

- Boże, Boże, Boże, czemu ona chce otworzyć tę puszkę z robakami?

Głos rozbrzmiewający w jej uszach należał do innej SueBee oraz do życia, jakie porzuciła. Głos ten mówił z akcentem, którego tak pracowicie się pozbywała. Udało jej się to po latach, między innymi dzięki kobiecie, na którą teraz się wściekała. Tylko w chwilach silnej irytacji SueBee wracała do teksaskiego akcentu z dzieciństwa i prostego słownictwa z pogrzebanej przeszłości.

Poczuła, jak duże niebieskie oczy napęcznieją się gorącymi łzami, stanowiącymi jeden z jej najsilniejszych atutów. Okres, który SueBee spędziła u madame Cleo, był

tajemnicą jej i Billa, nieznaną jego arystokratycznej rodzinie. Kiedy rozwiódł się dla niej, godziła się z głupimi nagłówkami londyńskich brukowców, ponieważ bez względu na domysły, jakie snuto na jej temat, nigdy nie dotarto do prawdy. Teraz firma wydawnicza należąca do jej męża zakupiła biografię madame Cleo! SueBee nie dostrzegała w tym sensu, chyba że Billy miał jakiś plan, który pozwoli na wyłączenie ich nazwisk z opowieści.

Sprawdziła w lusterku makijaż i sięgnęła po torebkę, by naprawić szkody.

Niezależnie od powodu, dla którego londyński lekarz Billa chciał się z nią widzieć, musiała to przyjąć z opanowaniem godnym lady, ponieważ tego od niej oczekiwano.

Nie mogła sobie pozwolić na zaczerwienione oczy ani postrzępione różowe mapy Brazylii, które znaczyły jej skórę w chwilach wzburzenia.

Uspokoila się myślą, że madame Cleo nie zdoła napisać książki w ciągu jednego dnia, a Billy powie jej w końcu, o co chodzi. Zajmie się tym po ustaleniu, co się stało Billowi.

Tego ranka, kiedy wróciła z codziennej konnej przejażdżki, kamerdyner oznajmił SueBee, że dzwonił lekarz Billa z wiadomością, że wydarzył się „drobny wypadek”. SueBee pospieszyła długim korytarzem wiodącym do gabinetu męża, gdzie podniosła słuchawkę najbliższego telefonu.

- Tu lady Mosby - powiedziała, spodziewając się usłyszeć głos pielęgniarki lub recepcjonistki.

- Dzień dobry, kochanie - przywitał ją doktor Jasper Wells, stały lekarz Billa. - Nie ma powodu do obaw Susanno, ale czy mogłabyś natychmiast przyjechać do Londynu? Chciałbym z tobą porozmawiać.

- O, Boże. Co się znowu stało, Jasper?

Lekarz wyjaśnił, że jej mąż, lord William Mosby, został potracony przez ciężarówkę, kiedy wychodził z klubu. Nic mu się nie stało, a teraz odpoczywał wygodnie w prywatnym pokoju w szpitalu Świętego Jakuba.

- Skoro nic mu się nie stało, Jasper, to dlaczego przebywa w szpitalu? - zapytała.

- Chcemy przeprowadzić obserwację - wyjaśnił lekarz. - To rutynowa praktyka. Nic mu nie będzie.

- Naprawdę nie rozumiem, czemu miałabym przyjeżdżać. To znaczy...

Lekarz przerwał jej, powtarzając, że pragnąłby z nią porozmawiać. Zgodziła się niechętnie.

SueBee wiedziała, że lekarz użył określenia „drobny wypadek”, żeby jej nie niepokoić. Był to typowo brytyjski eufemizm oznaczający coś paskudnego. Czyżby znaleźli nowotwór? Jakies zgrubienie czy cień na zdjęciu rentgenowskim?

- Jesteś pewien, że nic mu nie jest, Jasper? - spytała z intonacją z jaką klasy wyższe zadają pytania.

- Całkowicie - odparł. - Będę w gabinecie od dwunastej. Po rozmowie telefonicznej SueBee stała uderzając biczykiem o krawędź stojącego obok kominka długiego stołu do map. Przebiegła w myślach listę możliwych dolegliwości męża. To pewnie wątroba. Pasztet i szampan, wędzone mięsa i czerwone wino musiały w końcu wystawić rachunek. Jeśli nie chodziło o wątrobę, to krem malinowy z kwaśną śmietaną i całe to dziecięce jedzenie, za którym przepadał, bez wątpienia

zablokowało mu wszystkie żyły, zwłaszcza te duże, wiodące do serca. Poza tym były cygara, dwanaście dziennie; więcej, kiedy miał ważne spotkania. Mimo to nigdy nie miewał zadyszki. Niezależnie od tego, czy wyskakiwał z helikoptera na dach drukarni, czy kochał się żywiołowo, wydawało się, że Billy Mosby nigdy się nie męczył. Energia, jaką dysponował, była niespożyta jak jego apetyty. Kochał SueBee w ten sam sposób, w jaki żył - niezwykle intensywnie.

Teraz, wysłuchawszy trzydziestosekundowej informacji BBC, pojęła, jak kruche było wszystko, co dobre w jej życiu: Billy; zielona posiadłość na pofałdowanych terenach Gloucestershire Cotswolds, gdzie w jej własnej dolinie wiała się rzeka; dwunastopokojowy apartament w Londynie, urządzony przez dekoratora księżniczki Fergie. Niedawno nabyta willa na Sardynii, utrzymana w odcieniach białego i ciemnoniebieskiego koloru. Poza tym domek rybacki Billa na wyspie u wybrzeży Szkocji, gdzie łowił łososie. Zrezygnowali z wartego dwa miliony dolarów apartamentu w Trump Tower na Manhattanie, ponieważ odkąd go kupili, spędzili tam zaledwie dziesięć dni. Oprócz tego była oczywiście mała Hildy.

SueBee obiecała Billowi, że nie będzie żadnych dzieci. Tak stanowczo podkreślał, że pragnie mieć ją tylko dla siebie. Zdumiewające, jak bardzo może zmienić twoje życie parodniowe zapomnienie o zażywaniu jednej małej różowej pigułki.

Początkowo nie widział w tym nic zabawnego. Kiedy jednak Hildy przyszła na świat, a Bill ujrzał, że SueBee nie zamierza karmić piersią ani zostawać wieczorami w domu, przestał się dąsać. Nie rozumiał potrzeby posiadania dzieci, pomimo dwóch dorosłych synów, których miał z Seleną. Wzdrygnęła się na samo imię. Selena oświadczyła „Mirror”, że SueBee stanowiła szaleństwo „starzejącego się mężczyzny” i że w końcu lord Mosby pójdzie po rozum do głowy. Ha! Pokazała jej! Myśląc o Selenie SueBee uspokajała sumienie, mówiąc sobie, że małżeństwo było już martwe, kiedy madame Cleo wysłała ją do barona, polecając odszukać lorda Mosby'ego i umilić mu weekend. Nie przypuszczała, że wystarczyło, by kiwnęła palcem, a cała władza i bogactwo lorda Mosby'ego stały się jej udziałem.

Magnat prasowy Billy Mosby, potężny i imponujący, o tak delikatnej skórze, że sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie musiał się golić, był największą osobistością, jaką SueBee kiedykolwiek poznała. Udając się na weekend do zamku barona, nie wiedziała, czego się spodziewać, ani też szczególnie o to nie dbała. Przekonała się, że Billy Mosby jest pierwszym mężczyzną w jej życiu, który autentycznie chciał z nią rozmawiać, chciał słuchać tego, co miała do powiedzenia. Jego słonności seksualne nie miały dla niej znaczenia. Ważne, że szanował ją za to, kim była. Kiedy szła ku niemu tamtego wieczoru w bibliotece, nie śniło jej się, że odtąd nigdy go nie opuści. Po rozmowie telefonicznej z lekarzem SueBee udała się do skrzydła dzieciennego, by powiadomić nianię Hildy, że planowany piknik będzie przełożony. Białe-różowy salonik pachniał świeżymi kwiatami z ogrodu. Na półkach tłoczyły się pluszowe zwierzęta Steiffa, lalki ze wszystkich krajów, w których Billy robił interesy oraz stały pięknie ilustrowane, opatrzone autografami książki dla dzieci, a między oknami ustawiono drewniane zwierzątka. Na podłodze leżał nieskazitelnie biały, puchaty dywan. Dziecięcych rozmiarów krzesła i foteliki w stylu Chippendale

zrobiono na zamówienie w znajdującej się na terenie posiadłości stolarni i obito białym materiałem.

Kiedy Susanna weszła, pani Macintosh czytała Hildy. Na widok matki w stroju jeździeckim roczna dziewczynka, małeńka kopia SueBee, wydała podniecony pisk.

- Mamo! Mamo! - zanuciła z zachwytem, drepcząc po grubym dywanie z podniesionymi rękami. Wplecione w blond włoski wstążki z niebieskiego atlasu powiewały za nią. Pani Macintosh zmarszczyła się nieco na tak niegodne damy zachowanie. - Mamo! Mamo!

SueBee uklękła na jedno kolano i podniosła córeczkę z wielkiego dywanu.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała cicho. - Przyszłam ci powiedzieć, że nie możemy dziś pojechać na piknik. Mama musi się spotkać z lekarzem tatusia. -

SueBee pocałowała pulchną rączkę Hildy. - Piknik zrobimy jutro, obiecuję.

Pomimo miłości SueBee do Hildy, Billy zajmował pierwsze miejsce. Odganiając wspomnienia poranka, przekreśliła klucz w stacyjce Testarossy. Słuchała przez moment potężnego warkotu silnika, obejrzała się przez ramię chcąc sprawdzić, czy droga jest wolna, po czym wyjechała na autostradę.

Musiała pomówić z Billym o sprawie madame Cleo. Gdyby w książce padło jej nazwisko, istniało prawdopodobieństwo, że dowie się o tym policja z Wayleen i dotrze do niej. Nie mogła wytłumaczyć tego Billowi, ponieważ pewnych rzeczy z jej przeszłości nigdy by nie wybaczył. Ostatnią rzeczą, jakiej Billy potrzebował, było powiadomienie rodziny, że ożenił się z dziewczyną na telefon.

Musiała pomówić z Billym. Najpierw jednak zabierze go z tego ponurego szpitala z powrotem do ich ślicznego, wygodnego mieszkania przy Albany, gdzie był szczęśliwy. Zmieniła bieg i wjechała na pas do wyprzedzania.

Billy Mosby poczuł zapach, który znał aż za dobrze, zapach skapanych w słońcu brzoskwiń i jaśminowej soli do kąpieli.

Otworzył oczy. SueBee nachylała się nad nim, przyciskając usta do jego czoła.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na męża; w jej policzkach pojawiły się dołeczki, a twarz promieniała otuchą. Nie wiedział, jaki środek uspokajający mu podano, ale kręciło mu się w głowie i czuł się zdezorientowany.

Spojrzał na żonę i uśmiechnął się.

- Kochanie - powiedział. Chciał ją przyciągnąć bliżej i przytulić, zatracić się w jej miękkości. Poranne wydarzenia napełniały go przerażeniem. Pragnął tylko SueBee, jego pielęgniarki, matki, anioła i kochanki. Chciał ją objąć w pasie i nigdy nie wypuszczać.

Siedzący w rogu pielęgniarz o kamiennej twarzy zmarszczył czoło.

- Czy mógłby nas pan zostawić samych? - zapytała SueBee głosem słodkim, ale nie znoszącym sprzeciwu.

Pielęgniarz wstał z krzesła z chromu i plastyku. Chrząknął z dezaprobatą, po czym powoli, z irytacją, wyszedł z pokoju.

SueBee przysiadła w rogu szpitalnego łóżka, opierając się jedną nogą o podłogę.

- Kochanie? - zagadnęła wesoło. - Właśnie wracam z gabinetu Jaspera.

- Powiedział ci?

- Tak. Myślał, że nie wiem i doznam szoku - szepnęła chichocząc, a potem podniosła głos, przyjmując ton dyrektorki szkoły. - Bardzo, bardzo niegrzecznie. Wiesz o tym. Po wszystkich obietnicach.

Lord Mosby spojrział na swoje dłonie. Wymówki SueBee podniecały go. Ich gra polegała na tym, że udawał, iż wstydzi się, gdy go karała.

- Co ci powiedział? - zapytał nieśmiało.

- Czerwona lilia francuska bez gumki.

Nie odpowiedział, poddając się fali rozkosznego upokorzenia.

- Czerwone koronkowe majtki bikini!

- Mhmmm. - Skinął głową, wciąż nie patrząc jej w oczy.

- Zabrałeś je z mojej szafy, tak?

- Gniewasz się na mnie?

- Zamierzałeś je założyć na poranne spotkanie, tak? Lord Mosby powoli kiwnął głową, skubiąc szpitalny koc.

- O tym właśnie myślałeś, kiedy potrąciła cię ciężarówka.

- Tak - odparł patrząc jej w oczy. Przygryzienie wargi nie ukryło uśmiechu, który przebijał się przez ponurą minę.

- Wiesz, że mógł tam być jakiś fotograf.

Lord Mosby wydał okrzyk udawanego przerażenia.

- Jutrzejczy „Times” mógł zamieścić twoje zdjęcie szerokie na osiem szpalt. Czy to byłoby miłe?

Lord Mosby uniósł się, krzywiąc z powodu bólu w plecach. Odkrył cienki koc i prześcieradło.

- Chodź - szepnął.

SueBee zsunęła sandały i weszła do wysokiego łóżka. Lord Mosby objął ją i przytulił.

- Opisz to zdjęcie - poprosił, przyciskając uniesiony członek do jej krzyża. - Zaczynaj od podpisu.

SueBee sięgnęła za siebie i wsunęła go między nogi.

- Dobrze, ale pospiesz się, kochanie. Potem zabiorę cię z tego przykrego szpitala do domu, gdzie jest twoje miejsce.

Duża, wychodząca na południe sypialnia była ulubionym pokojem SueBee w całym apartamencie przy Albany. Przypominała eksplozję kwietnego perkalu, foteli, szezlongu i wysokiego łoża, które należało do rodziny Billa od pokoleń. SueBee nie pamiętała, by kiedykolwiek poza dzisiejszym wieczorem czuła się tu nieszczęśliwa.

- Ale dlaczego, kochanie? - spytała po raz trzeci.

- Ponieważ nie mogę temu zapobiec. Ile razy muszę ci to tłumaczyć? Jeśli nie wydam tej cholernej książki, pójdzie do kogoś innego. W ten sposób mam nad nią kontrolę - powiedział lord Mosby, z irytacją potrząsając różowymi kartkami „Financial Times”. Siedział w łóżku, wsparty na stercie poduszek. Przyniesiona przez pokojówkę taca z jedzeniem stała nietknięta w nogach łóżka. Sprzeczka z żoną odebrała Mosby'emu apetyt.

- Skąd możesz mieć pewność? - spytała SueBee. Klęczała na przystawionych do łóżka mahoniowych schodkach.

Lord Mosby przewrócił oczami.

- Powtarzam ci po raz dziesiąty, kochanie: to część umowy.
- Ale umowy się łamie. Ludzie obiecują różne rzeczy, których potem nie dotrzymują. Boję się o nas wszystkich! - krzyknęła.
Lord Mosby odłożył gazetę i spojrzął spod okularów do czytania.
- Wpadasz w histerię, SueBee. Zaufaj mi. Wstała z klęczek i odeszła od łóżka.
- A co z moimi przyjaciółkami? One też na to nie zasługują.
- O kogo ci konkretnie chodzi?
- O Sandrine i Angel. Ponownie podniósł gazetę.
- Też mi przyjaciółki. Kiedy ostatnio miałaś z nimi kontakt? SueBee wpatrywała się w koronkowy wzór na dywanie.
- Mam kontakt z Sandrine - powiedziała niepewnie. - Czasami. Jest jej ciężko. Bez przerwy podróżuje. Wiesz, jaki jest Jourdan Garn... taki... intymny.
- Nie martwiłbym się o nią kochanie.
- A Angel - ciągnęła SueBee nie słuchając go. - Nie wiem, gdzie ona teraz jest. Pewnie się gdzieś zagubiła. Mimo to... Madame Cleo potraktowała ją tak niesprawiedliwie, że Angel nie zasługuje na coś podobnego po raz drugi. Mosby wziął żonę za rękę.
- SueBee, kochanie, nie możesz być pielęgniarką całego świata. Nie zależy mi na osłanianiu tych kobiet. Mogę chronić jedynie ciebie i obiecuję ci to. W książce madame Cleo nie będzie żadnej wzmianki o twoich związkach z nią. A teraz przestań się niepotrzebnie zamartwiać i chodź do łóżka.
SueBee spełniła polecenie. Rozebrała i wślizgnęła się pod lniane prześcieradła, obok mężczyzny, który nigdy nie złamał danej jej obietnicy. Mimo to sen nie przychodził. W końcu usłyszała ciężki, regularny oddech męża. Przez długi czas leżała martwiąc się o inne kobiety i o to, jak odmieni się ich życie. Dlaczego Billy nie mógł powstrzymać madame Cleo? Dlaczego w ogóle ona chce opublikować tę okropną książkę? Musiał istnieć jakiś sposób. SueBee zrobiłaby wszystko, żeby uniemożliwić madame Cleo napisanie tej książki. Wszystko.
W każdym ze swych okazałych domów Sandrine miała ulubione miejsce. W Nowym Jorku było to przeszklone atrium w apartamencie przy Sherry Netherland. W domu paryskim i londyńskim wolała sypialnie. Tutaj, w letnim domku pod Zurychem, faworyzowała taras wychodzący na jezioro.
Tego ranka, gdy nadeszły ponure nowiny, taras był skąpany w słońcu. Młoda, szczupła żona niezwykle bogatego człowieka siedziała przy osłoniętym parasolem stole, czytając poranną gazetę, nie dbając o nic. Sandrine pociągnęła za związane rękawy morelowego kaszmirowego swetra, który zarzuciła na podobnego koloru jedwabną bluzkę. Podmuch znad jeziora łagodnie szarpał brzeg parasola. Postronny obserwator nigdy by się nie domyślił, że za ciemnymi okularami słonecznymi kryły się oczy zaczerwienione od alkoholu. W stojącej na stole szklance z sokiem owocowym znajdowało się dosyć wódki, by uspokoić drżenie dłoni trzymających gazetę, w której przeczytała o zagrożeniu, jakie zawisło nad dostatnim i dobrze ułożonym życiem.
Znajdujący się za jej plecami dom, niegdyś letni pałac zagranicznej rodziny królewskiej, stanowił najnowszy nabytek męża Sandrine, posiadającego okazałe

posiadłości na całym świecie. Stare kamienne ściany domu porastał mech, który zdawał się mieć ten sam odcień i fakturę, co powierzchnia jeziora pod tarasem. Sandrine dopiła drinka i ściągnęła ciemne okulary. Przez balustradę tarasu widziała dwie maleńkie żaglówki sunące po ciemnozielonej wodzie po przeciwnej stronie jeziora. Patrzyła na samotnego ptaka, który leniwie szybował ku niej, skręcił, okrążył zwieńczoną blankami wieżę starego zamku i odleciał w stronę gór. Ukończenie remontu domu miało zająć jeszcze wiele lat. Mąż Sandrine, Jourdan Garn, dał jej wolną rękę w przywracaniu świetności staremu zamkowi. Pragnął jedynie, by odnowiła wspaniałe pokoje i wypełniła je dziełami sztuki, które z wielką zachłannością zbierał w ciągu minionego dziesięciolecia, a większość wciąż znajdowała się w magazynach w Nowym Jorku i Londynie.

Kiedy Sandrine postanowiła wyjść za Jourdana, rozważała czy powinna zataić przed nim fakt, że pracowała jako dziewczyna na telefon. Wkrótce przekonała się, że jej obawy były bezpodstawne. Jourdan Garn należał do mężczyzn, którzy stale muszą podnosić własną seksualną wartość, toteż podniecał go pomysł poślubienia kobiety, której inni mężczyźni płacili. Sandrine wiedziała, że myślałby inaczej, gdyby była pospolitą dziewczyną na telefon. Pochodziła jednak z kręgu dziewcząt madame Cleo, i jako taka miała do czynienia z najpotężniejszymi ludźmi świata, co sytuację czyniło o wiele pikantniejszą. Tamci mężczyźni dysponowali majątkiem i władzą zatem Jourdan wnioskował, że zdobycie i zatrzymanie przy sobie takiej kobiety zawdzięcza własnej sprawności seksualnej. Oczywiście gdyby ktokolwiek z ludzi jego pokroju, tych samych mężczyzn dysponujących majątkiem i władzą dowiedział się prawdy o przeszłości jego żony, Jourdan umarłby albo zabiłby Sandrine. Miał obsesję na punkcie własnej reputacji, która znaczyła dla niego nie mniej niż zgromadzony majątek. Po poślubieniu Sandrine poniósł znaczne koszty, aby zatrzeć zawodową przeszłość żony.

Małżeństwo pozwoliło Sandrine wzgardzić spadkiem, którego odmówiła jej sławna matka. Jourdan zyskał wymarzoną żonę - szczupłą, piękną, wspierającą go bez zastrzeżeń w życiu publicznym. W życiu prywatnym Sandrine stale borykała się z irracjonalną zazdrością Jourdana. Wydawało się, że w miarę upływu lat coraz trudniej mu było uwierzyć, że zdobył boginię, nie mówiąc już o tym, by mógł ją uszczęśliwić. Nękał go brak seksualnego bezpieczeństwa; zaczął wierzyć, że przeszłość Sandrine roi się od mężczyzn, którzy zechcą mu ją odebrać. W restauracjach kazał żonie siadać twarzą do ściany. Jeśli rozmawiała ze sprzedawcą czy kelnerem dłużej niż kilka sekund, przerywał jej grubiańsko. Podśluchiwał jej rozmowy telefoniczne i kazał służbie śledzić żonę.

Życie Sandrine przypominało więzienie. Pomimo ciemnych stron małżeństwa, przywykła jednak do niewiarygodnego luksusu, jaki zapewniał jej mąż. Nie wyobrażała sobie powrotu do życia, w którym nie dysponowałyby nieograniczonymi sumami pieniędzy.

Złożyła poranną „Tribune” i wepchnęła ją głęboko do słomianej torby, w której kryła wódkę. Madame Cleo i jej cholerna książka mogą zniszczyć wszystko, pomyślała z wściekłością.

Opary porannego alkoholu nagle się rozwiały. Trzeba porozmawiać z SueBee. Ona musi wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Zapewne istniało racjonalne wytłumaczenie faktu, dlaczego mąż SueBee zamierza wydać tę książkę. Z pewnością ochroni swoją żonę. Cóż, pomyślała gniewnie Sandrine, ja chcę takiej samej cholernej ochrony. Jeśli SueBee zawiedzie, może odszukać Angel. Sandrine i Angel znalazły się dłużej i mogły sprzymierzyć się przeciwko SueBee, gdyby ta nie chciała im pomóc. Poza tym Angel miała pierwszorzędny umysł. Z pewnością wymyśli coś, by powstrzymać ten niebezpieczny bezsens.

Wychyliła się spod cienia parasola i zawołała angielskiego kamerdynera Jourdana, który stał w odległości kilku metrów i wycinał sadzonki z zielnika.

- Tak, madame? - spytał stawiając kosz na ziemi.

- Czy mógłbyś mi przynieść telefon, Woodward? Kamerdyner stał nieśmiało na skraju tarasu, nie robiąc ani kroku w kierunku domu.

- O co chodzi? - spytała ostro Sandrine.

- Madame, jeśli chodzi o telefon...

- Na miłość boską Woodward, nie mów mi, że pan Garn znowu zamknął go na klucz.

- Obawiam się, że tak, madame.

- Wobec tego wydobądź go, do cholery! On robi to tylko po to, żebym nie dzwoniła do wsi po alkohol.

- Wiem, madame - odparł Woodward wpatrując się w ziemię. Wiedział dobrze o podejmowanych przez chlebodawcę próbach powstrzymania żony od picia jednak on i Sandrine darzyli się wzajemną sympatią. - Obawiam się, że wziął klucz ze sobą madame. Dziś rano przed wyjazdem do Paryża zostawił mi instrukcje...

Spostrzegła, że był zakłopotany, więc mu przerwała.

- Masz jeden u siebie w domku, Woodward - powiedziała słodko.

Twarz kamerdynera pojaśniała.

- Tak, madame, to prawda. Czy mam go przynieść?

- Zrobiłbyś to, Woodward? Jakie to miłe z twojej strony. Kiedy tylko kamerdyner postawił telefon na stole, Sandrine chwyciła słuchawkę i połączyła się z telefonistą ze wsi.

- Tu pani Garn, Ghislaine. Czy mógłbyś zadzwonić do londyńskiej informacji?

Chodzi mi o numer londyńskiego „Daily News” i wewnętrzny do pana Wallace'a. -

Nigel Wallace, prowadzący kronikę towarzyską w „Daily News”, wiedział wszystko, a w przeszłości odnosił się do Sandrine z sympatią. W ciągu kilku minut zdobyła nie tylko domowe numery SueBee na wsi i w mieście, ale również informację, że lady Susanna Mosby przebywała w mieszkaniu Mosbych w Albany oraz że przed godziną lady Mosby odwołała zapowiadany udział pary w planowanej na ten wieczór imprezie dobroczynnej. Dziennikarz właśnie zamierzał odkryć powód zmiany planów, kiedy przerwał mu telefon Sandrine.

Odłożyła słuchawkę, myśląc o tym, jak pomocni mogą być zaprzyjaźnieni dziennikarze. To jakby mieć prywatną CIA.

Sandrine? - Słodki, znajomy głos SueBee przebył setki mil dzielące Zurych od Londynu, gdzie podniosła słuchawkę.

- Cześć, słoneczko, jak się masz?

- W porządku, kochanie. Gdzie jesteś?
- W Szwajcarii - odparła Sandrine. - Nudzę się i umieram ze strachu.
- Co się stało?
- Madame sprzedała pamiętnik i to twojemu mężowi!
- Ja też nie jestem tym zachwycona, kochanie, ale Billy zapewnia mnie, że wszystko będzie dobrze.
- Słyszałaś, kto będzie dla niej pisał? Peter Shea, facet, z którym byłam na La Fantastique.
- Sądzisz, że zechce pisać o tobie?
- To dość logiczne.
- Chyba posługiwałaś się innym imieniem, co? - spytała SueBee.
Spokój SueBee w obliczu tego, co Sandrine postrzegala jako bezpośrednie zagrożenie, był irytujący.
- Tak, SueBee, ale co z tego? Ten człowiek jest dociekliwym dziennikarzem.
- Pomówię jeszcze z Billem, kochanie.
- Och, SueBee, rozumiem, że Billy cię ochrania, ale mnie nic nie jest winien. Poza tym nienawidzi Jourdana od początku procesu Litchfielda. Nie wyświadczy mi żadnej przysługi, nawet po twoim wstawiennictwie.
- Pozwól mi spróbować, Sandrine. Tyle przynajmniej mogę zrobić.
Sandrine rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu znajduje się ktokolwiek ze służby poza kamerdynerem.
- Coś sobie pomyślałam, SueBee - powiedziała zasłaniając dłonią słuchawkę. - Myślę, że powinniśmy odszukać Angel.
- Nie mam pojęcia, gdzie ona może być.
- Założę się, że ten jej gangster-adwokat wie. On może się nam nawet przydać. - Sandrine przyszło na myśl, że rozmowa z Nowym Jorkiem z telefonu kamerdynera mogła się wiązać z kłopotami. - SueBee, zadzwoniłabyś dla mnie do Barry'ego Rizza? Wolałabym, żeby Jourdan nic o tym nie wiedział.
- Dobrze, jeśli ci na tym zależy.
- Oddzwoń do mnie, kiedy zdobędziesz numer Angel. Zatelefonuję do niej z automatu we wsi.
- A co potem?
- Myślę, że potem powinniśmy się gdzieś spotkać.
- Czy mogłabyś tu przylecieć? - spytała SueBee. - Billy musi spędzić kilka dni w łóżku z powodu nogi. To mieszkanie jest takie duże, że nawet się nie zorientuje, że ktoś tu jest.
Sandrine zastanowiła się chwilę. Mogła powiedzieć Jourdanowi, że w Londynie ma się odbyć ekskluzywna aukcja i że SueBee ją zaprosiła. SueBee była jedyną osobą z przeszłości, co do której nie miał zastrzeżeń, być może ze względu na jej małżeństwo z Mosbym, o którego względy Jourdan zabiegał podczas procesu Litchfielda. Możliwe, że obecnie ich stosunki uległy ochłodzeniu, jednak Jourdan najwyraźniej uważał, że przyjaźń Sandrine z SueBee może mu tylko pomóc. Ponadto sądził, że żona ma talent do kupowania dzieł sztuki. Gdyby pozwolił jej wziąć Learjeta, mogłaby wylecieć natychmiast.

- Wyruszę natychmiast, kiedy znajdziemy Angel, kochanie. Sandrine dała SueBee numer telefonu kamerdynera, odłożyła słuchawkę i czekała. Po kilku minutach SueBee oddzwoniła z informacją, że Angel znajdowała się w hotelu Seraglio w Las Vegas.

- Poproś, żeby przywołali księżniczkę Fatimę - powiedziała chichocząc SueBee.

- Dobry Boże - krzyknęła Sandrine. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że ona ciągle pracuje?

- Na to wygląda nie sądzisz? - odparła SueBee. Już się nie śmiała.

W holu najbardziej okazałego nowego hotelu w Las Vegas roilo się od ludzi. Była to noc walk, długa noc dla dziewcząt obsługujących kasyno.

Nosowy głos hotelowego przywoływacza zazgrzytał w uszach Angeli.

- Księżniczko Fatimo, księżniczko Fatimo. Odbierz telefon wewnętrzny. - Telefon do „księżniczki Fatimy” oznaczał, że Angela miała pracę.

Dopiła resztkę Bloody Mary, wzięła z baru papierosy i wyszywaną cekinami torebkę, po czym zsunęła się ze stołka ze zmęczonym westchnieniem.

W porównaniu z młodszymi, świeższymi dziewczętami obsługującymi kasyna Angela prezentowała się lepiej w przyciemnionych pomieszczeniach. Lata pracy jako panienska zaczynały dawać o sobie znać. Wciąż była atrakcyjna: miała gęstą szopę rudych włosów, wysokie kości policzkowe i szeroko osadzone oczy. Pomimo iż nieco przytyła w biodrach, biust jak na razie skutecznie opierał się nieuniknionej sile grawitacji.

Mimo to wyglądała jak ktoś, kto zbyt długo pozostał na balu.

W roku 1987, kiedy madame Cleo ją zwolniła, Angela nie miała wyboru: musiała podjąć się jedynej pracy, na jaką mogła liczyć. Cleo rozesłała wici o Angel, ograniczając liczbę miejsc, w których mogłyby się zatrudnić. Ani na kontynencie, ani w Stanach nie było wysokiej klasy madame, która zechciałaby z nią rozmawiać, a Angel czuła się zbyt przegrana, by samodzielnie podejmować pracę madame. Mogła pracować jedynie tam, gdzie królował hazard, ponieważ władza kontrolująca tę domenę była o wiele wyżej zorganizowana i agresywna niż władza Cleo.

Kiedy szła w stronę telefonów na przeciwległej ścianie kasyna, podeszły do niej dwa zjedzone przez mole wielbłądy, które co pół godziny oprowadzano pod namiotem holu. Mijając Angelę jeden z nich splunął.

Przepychała się przez tłum, aż drogę zastąpił jej mężczyzna obwieszony najpaskudniejszymi łańcuchami, jakie można było zobaczyć poza południowym Bronxem. Zezował na jej biust.

Podniosła rękę i trąciła pawie pióro tkwiące w jego białym kapeluszu Borsalino.

- W grudniu po południu - powiedziała zniecierpliwionym tonem, jaki rezerwowała dla jeleni, o których wiedziała, że splukali się na automatach do gry.

- Co masz dla mnie, laleczko? - warknął.

- Kondona na całe ciało, przyjemniaczku - odparła przeciskając się obok natręta z opuszczonymi powiekami. Angela nie zadawała się z obcymi. Jeśli klient nie był znany i nie dowiadywała się o nim przez centralę, nie miał na co liczyć.

Nienawidziła nocnych walk i nieuniknionego napływu klientów ze złotą biżuterią kokainą gorzałą i chamstwem. W noc walk wszystkie dziewczyny w Vegas podwajały cenę, ale nikogo to nie odstraszało.

Oparła się o poślaczaną ścianę i podniosła słuchawkę.

- Fatima - powiedziała ziewając.

- Angel, tu Maxine - odezwała się telefonistka. Maxine należała do starej gwardii; Angel czuła do niej szczególną sympatię. Maxine zawsze sprawdzała, w którym miejscu rozległego hotelu znajdowała się Angel i szukała jej, gdy zbyt długo nie było z nią kontaktu. To Maxine wezwała gliny, kiedy ten świr związał Angelę w apartamencie na poddaszu.

- Co masz? - spytała Angela.

- Nie chodzi o pracę, kochanie. Rozmowa międzynarodowa, ni mniej, ni więcej tylko ze Szwajcarii.

Dziwne, pomyślała Angela. Może któryś ze stałych klientów był w podróży służbowej, nie mógł znaleźć panienki i zapragnął seksu przez telefon.

- Masz nazwisko, Maxine?

- Jasne, że mam. To jakaś dama, brzmiało bardzo wytwornie. Mówiła, że to pilne. Poczekaj chwilę. Mam to tutaj. O... Sandrine Gam.

Na dźwięk imienia Sandrine Angela drgnęła. Wróciły wspomnienia o dniach spędzonych u madame Cleo. Kiedyś sądziła, że praca dla Cleo to jej wielka szansa. Zamierzała po cichu podejrzeć, jak stara prowadzi interes, poznać najlepsze dziewczyny, a potem namówić je, żeby odeszły z nią, kiedy rozpocznie działalność na własną rękę. Stara okazała się jednak kuta na cztery nogi. Teraz Angela szwendała się po hotelach w Las Vegas i tylko wspomnienia dotrzymywały jej towarzystwa.

- Jesteś tam? - spytała Maxine.

- Jasne, jasne, jestem.

- Pięćset jeden właśnie się zwolnił. Pójdź tam sobie i odpocznij. Vinnie pracuje w ochronie na czwartym piętrze. Powiem mu, żeby cię wpuścił.

- Dzięki, wielkie dzięki, Maxie. Jesteś słodka. - Miała gonitwę myśli. „Sandrine, Sandrine. Jak ona mnie, na Boga, znalazła? I czego, u licha, może chcieć?”

- Dajesz sobie spokój na dzisiaj?

Angela nie myślała o tym, ale właściwie czemu nie.

- Tak, chyba dam sobie spokój. Za dużo tu dzisiaj śmieci.

- Ty mi to mówisz! - Maxine się roześmiała. - Nie uwierzyłabyś, jakie tu odbieram telefony. Sama mogłabym dziś wykręcić kilka numerów.

- Możesz brać moich klientów - zawtórowała jej Angela.

- Zabawne, żaden z tych gości, którzy dzwonił, nie mówił, że pieką go nogi spuchnięte w kostkach i żylaki.

Angela wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój, Maxie. Jesteś cholernie słodka.

- Moje wnuki też tak uważają - odparła Maxine ze śmiechem. - Słuchaj, daj mi znać, kiedy dotrzesz do pokoju, to cię połączę.

Mąż Maxine, Vinnie, wpuścił Angelę do pokoju pięćset jeden, ostrzegając, że wkrótce zostanie wynajęty, więc nie powinna długo zabawić.

Angel zadzwoniła do Maxine i powiedziała, że może rozmawiać. Zsunęła pantofle, wyciągnęła się na szerokim łóżku i spojrzała na zdobiony sufit gipsowy medalion przedstawiający powiększoną lampę Alladyna. Skoro Sandrine zadała sobie trud, żeby ją znaleźć, może miała jakieś dobre wiadomości? Sandrine była teraz bogata. Dzwonek stojącego przy łóżku telefonu przywołał Angel do rzeczywistości.

Usłyszawszy głos Sandrine, poczuła ucisk w piersiach.

- Boże, miło mi cię słyszeć. Jak się masz?

- Angel! Nie mogę uwierzyć, że udało mi się ciebie znaleźć. Co, na Boga, robisz w Las Vegas?

- A jak ci się wydaje?

- O, rany. Miałam nadzieję, że się urządziłaś.

- Możliwe, ale nie w takim sensie, jaki miałaś na myśli - odparła Angela sięgając do nocnego stolika i wyjmując z torebki papierosy. - Jak ci się udało mnie znaleźć?

- Przez Barry'ego Rizzo.

- Barry - prychnęła Angela. - Ten cholerny, gangsterski skurwysyn. To on mnie przysłał do tej dziury. Zapewniam cię, że to nie zamek w Szwajcarii.

- Zdziwiłam się, kiedy SueBee powiedziała mi, gdzie jesteś, Angel. Kiedy odeszłaś od madame Cleo, wszystkie myślałyśmy, że otworzysz własny interes. Co się stało?

- Brak gotówki - odparła Angela.

- Ona o nas dbała, co? - powiedziała nostalgicznie Sandrine.

- Po tym bajzlu polecałabym do niej natychmiast.

- Tak się składa, Angel, że dzwonię w jej sprawie.

- W sprawie madame? - spytała Angel, czując dawne podniecenie. Opuściła Paryż i patronat madame w stanie stresu. Teraz pragnęła pamiętać jedynie przyjemne rzeczy.

- Madame Cleo zamierza napisać pamiętnik.

- Nie wierzę!

- To prawda, Angel. Denerwuję się jak diabli.

- A co z SueBee? Czy ona nie wyszła za jakiegoś brytyjskiego ważniaka? Chyba nie jest zachwycona.

- Nie jest, ale przynajmniej jej mąż jest wydawcą książki.

- Wspaniale - powiedziała sarkastycznie Angel. - Mimo to denerwowałabym się na miejscu SueBee. - Angel spuściła nogi z łóżka, nagle zupełnie przytomna. - Nie dbam o to, co stara o mnie napisze. Na tym etapie może mi to nawet pomóc, ale wy dwie... Kurczę! Macie przecież wszystko.

- Angel, czy mogę cię o coś zapytać... tylko żebyś się na mnie nie wściekła?

- Jasne, maleńka.

- Czy pozwolisz, żebym kupiła ci bilet do Londynu?

- Pewnie - odparła ze śmiechem Angel. - Dlaczego?

- Żadna z nas nie jest w stanie trzeźwo myśleć - powiedziała Sandrine. -

Pomyślałyśmy, no, zawsze miałaś najlepsze pomysły z nas wszystkich. Może przyszedłby ci do głowy jakiś genialny pomysł na powstrzymanie tego szaleństwa. Zresztą obie chciałybyśmy cię zobaczyć.

- Zmienieć zdanie, kiedy przyjadę. Nie wyglądam zbyt atrakcyjnie.

- Nie wierzę, Angel. Zawsze wyglądałaś wystrzałowo.
- Dzięki - odparła szczerze. Już dawno nie słyszała komplementu od przyjaciółki. Właściwie od dawna nie miała przyjaciółki. Podróż do Londynu, spotkanie ze starymi kumpelkami -dokładnie tego potrzebowała jej zmęczona dusza. - Kiedy chcecie, żebym przyleciała?
- Natychmiast. Wylatuję stąd rano.
- Sprawdzę loty z Los Angeles. Postaram się być w Londynie we wtorek.
Angel odłożyła słuchawkę i przez minutę wspominała dni spędzone u madame Cleo. Ponownie przyglądając się medalionowi na suficie, pomyślała, że nie doceniała luksusowego życia, dopóki go nie porzuciła. Okres spędzony u madame Cleo był jedynym w jej życiu, kiedy pieniądze nie stanowiły problemu. Postąpiła głupio odchodząc. To była jej wina.
Postanowiła, że przed wyjazdem zadzwoni do Maxine i uprzedzi, że na kilka najbliższych dni rezygnuje ze wszystkich „randek”. Wyjeżdża z miasta. Może, jeśli faktycznie wyświadczy przysługę dwóm bogatym przyjaciółkom, dopilnują, żeby nigdy nie musiała wracać.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział szósty

Dziennik Petera - Paryż, pierwszy czerwca 1990

Musiałem się wynieść od Ritza. Zamawiana u służby hotelowej szklanka soku pomarańczowego i gotowane jajko kosztowały trzydzieści dwa dolce amerykańskie, a tylko Aga Khan mógł sobie pozwolić na minibar.

Dzięki madame rozlokowałem się w mieszkaniu na najwyższym piętrze uroczonego starego domu przy ulicy St.-Denis. Taksówkarz, który mnie tu przywiózł, opowiadał, że podczas wojny mieścił się tu niemiecki burdel, co, moim zdaniem, jest adekwatne do całej mojej misji. Podłogi są na tyle pochyle, że upuszczony ołówek stacza się wolno pod ścianę. Stół i laptopa umieściłem pod otwartym oknem, gdzie mogę słyszeć (i czuć) życie uliczne. Kiedy się trochę wychylę, widzę rzekę. Na parterze urzęduje wiekowa konsjerżka zwana madame Solange, która odzywa się wyłącznie przez szparę w drzwiach. Od mojego dawnego paryskiego stylu życia dzieli mnie nie mniejsza odległość niż Saturna od firmy Smith & Wollensky.

Do domu madame pieszo idę kwadrans, dzięki czemu mam czas na uporządkowanie w myślach notatek przed codziennymi rozmowami. Spotykamy się co rano. Dziś po południu pozwoliła mi zostać w gabinecie i obserwować, jak pracuje. Posiada mniej nowoczesnego sprzętu niż goniec-rowerzysta na Manhattanie.

Z pomocą zaledwie trzech linii telefonicznych madame i Martin rozsyłają pudrowaną armią do klientów w dowolnym punkcie globu. Ta dama bynajmniej nie jest handlarką żywym towarem. Z radością informowała mnie o tym, że dzwonił człowiek, którego nazwisko mogłem znać; wydało mi się to czarujące. Odnoszę

wrażenie, jakby chciała zaimponować mi zasięgiem swoich kontaktów. Mam nadzieję, że to oznacza, iż ma do mnie zaufanie.

Pomimo ruchu w interesie twierdzi, że jest już na emeryturze i że to, co podsłuchuję, jest nudne w porównaniu z okresem rozkwitu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kiedy ją spytałem, odkąd prowadzi działalność, odparła: „Od wojny” i na tym poprzestała. Wypytywałem ją więcej o przeszłość, ale uchylała się od odpowiedzi, mówiąc, że pragnie, bym przede wszystkim pomógł jej odkryć, kto próbował ją zabić w tak gwałtowny i jawny sposób. Ja również chcę od tego zacząć. Wydaje się zafascynowana faktem, że uczestniczyłem w La Fantastique w 1987 r. i przejawia ochotę mówienia o tym więcej. Ciekawe, czy podejrzewa, jak bardzo interesuje mnie tamten weekend? Muszę się mieć na baczności i nie zdradzić z uczuciami, jakimi darzę Madeleine oraz człowieka, który doprowadził do wylania mnie z pracy.

Moją korespondencję (jestem przekonany, że zawdzięczam to kontaktom madame u paryskich władz pocztowych) przynosi mi każdego popołudnia - alors! - niczego sobie listonoszka -podwójne alors!

Na rogu mojej ulicy jest stragan z kwiatami. Może zaniosę madame naręczę. Kręcąc się wczoraj po sklepie przy St. Germain natrafiłem na stoisko z próbkami perfum. Zapach w jej gabinecie to paczula. Gryzie mnie w oczy - być może kwiaty trochę go stłumia.

Jutrzejsza sesja ma dotyczyć SueBee, dziewczyny, która wyszła za „naszego” wydawcę.

SueBee urodziła się w roku 1965 w Wayleen w Teksasie, o trzy godziny nudnej drogi na południe od Dallas.

Na zachód od Wayleen, na spalonej ziemi, pod rozległym białym niebem przycupnął Fort Harris, kompleks niskich zabudowań wojskowych z blachy falistej, w większości pozbawionych okien. Ciągnął się mila za milą na spękanej, czerwonej ziemi znaczonej skupiskami karłowatych sosen.

Od dziesięcioleci Fort Harris był poligonem wojsk czołgowych. Żonaci wojskowi bez stopni oficerskich mieszkali na bezdrzewnym obszarze wokół bazy. Dwusypialniowe pudełka, podobne do siebie jak dwie krople wody, tylko czasem wyróżniały się ogrodzeniem Cyclone lub małym, przenośnym basenem z plastyku. Za tymi domkami znajdował się plac przyczep, gdzie ruchome domy ze zdjętymi oponami stały na maleńkich, starannie utrzymanych działkach, oddzielonych żwirowymi ścieżkami.

W latach sześćdziesiątych mieszkalną przyczepę można było nabyć za niecałe pięć tysięcy dolarów. Od zawodowego żołnierza nie wymagano zaliczki. Bank wiedział, gdzie go szukać.

Na Placu Przyczep Zachodzącego Słońca ostatnia przyczepa po prawej, tuż za Strawberry Walk, należała do sierżanta artylerii Darryla T. Slyde'a, niskiego, silnego „zawodowca”. Darryl Slyde, który wstąpił do wojska w siedemnastym roku życia, pracował w pojeździe opancerzonym M60A1, zwałistym, bezokim, stalowym potworze, uzbrojonym w pięciometrowe działo kalibru sto pięć milimetrów oraz dwa karabiny maszynowe. Sierżant Slyde nie miał wykształcenia ani nie odbył szkoleń,

niezbędnych do zostania oficerem. Mimo to napawał go dumą fakt, że jest czołgista. Czołgiści uważali się za szczególny gatunek ludzi. Twardzi jak stal, wredni jak diabli, zdolni przepić, pokonać w walce i wyrolować każdego człowieka w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Ulubione słowo Darryla to „skurwysyn”. Ulubiony drink to whisky Seagram's Seven z 7up, czyli „siedem i siedem”, mikstura wzmagająca jego niemal wrodzony gniew na świat za to, że rozdał mu znaczną talię kart. Życie Slyde'a zastygło na dobre. Nie miał szans na awans, nadziei na zmianę, przestrzeni ani zdolności rozwoju. Dla człowieka dysponującego wyobraźnią i marzeniami tak duszące życie mogłoby się stać bodźcem do zmian. Darryl, któremu brakowało obu tych rzeczy, przyjął postawę cichej wściekłości, którą wyładowywał na rozmaite sposoby. Jego wyobrażenie o humorze sprowadzało się do robienia głupich dowcipów jakiejś bezbronnej ofierze w rodzaju barmanki, kelnerki czy zmiętego pracownika stacji benzynowej. Jego wyobrażenie o sprawiedliwości wyrażało się w rozcinaniu czyjejs wargi pokrytą bliznami pięścią.

Pomimo pojawiających się czasem problemów dyscyplinarnych armia wołała ludzi w rodzaju Darryla Slyde'a, niskich i twardych jak żelazo. Sprawdzali się w sytuacji, kiedy czterech mężczyzn musiało siedzieć, tyłek przy twarzy, na przestrzeni niewiele większej niż przeciętna trumna.

Darryl był najszczęśliwszy w czołgu. Wiele godzin spędzał w toczącym się stalowym piecu, znajdując ukojenie w ogłuszającym hałasie i duchocie. Jeżeli miał jakąkolwiek słabość, była nią malutka śnieżynka, Susanna Beatrice, która przyszła na świat w szpitalu w bazie wiosną 1965 r. Nazwano ją po matce, słodkiej wiejskiej dziewczynie, którą Darryl poślubił, kiedy oboje mieli po siedemnaście lat. W dwa tygodnie po wydaniu na świat córki umarła na chorobę, którą miejscowi określali mianem „mlecznej gorączki”. W rzeczywistości zabił ją wirus oraz brak odpowiedniej opieki medycznej.

Na Darryla Slyde'a spadła odpowiedzialność wychowania niemowlęcia tak kruchego, bladego i delikatnego, że przez kilka tygodni po śmierci żony bał się brać córeczkę na ręce. W końcu przekonała go do tego kobieta, którą wynajmował do opieki nad dzieckiem wtedy, gdy miał ćwiczenia w polu. Od tego czasu otaczał dziewczynkę niezwykłą adoracją. Darryl wyciągał się na rozkładanej kanapie w salonie przyczepy, a córeczka zasypiała mu na piersi. Być może nie potrafił marzyć o własnym życiu, ale marzenia, jakie snuł dla córki, nie miały granic.

Darryl, którego życie nie głaskało, wiedział z własnego doświadczenia, że wykształcenie otwiera drogę do lepszego życia. Marzył o studiach dla SueBee, niezależnie od ceny, jaką miałby ponieść. Wykluczone, by jego dziewczynka pracowała jako fryzjerka albo przed wyjściem za mąż podawała piwo pijanym czołgistom. W istocie na samą myśl o tym, że mogłaby wyjść za mąż, Darryl zaciskał pięści i szczęki.

SueBee mając prawie dziesięć lat zaczęła zwracać uwagę na mężczyzn, przychodzących w sobotnie wieczory do przyczepy na alkohol i karty. Ojciec pozwalał jej siadać obok siebie, kiedy grał. Uwielbiała to i przez cały tydzień wyczekiwała soboty. Wkrótce potrafiła grać w myślach lepiej niż ojciec i jego znajo-

mi. Karty były łatwe; miały numerki, które mogła zapamiętać. Różniły się od liter, których czytanie sprawiało SueBee wielką trudność. Niemożność zrozumienia słów w książkach i czasopismach stanowiła jedyną rzecz, jaka wyciskała jej łzy z oczu. Kiedy jednak po raz pierwszy odrzuciła podręcznik szkolny i ukryła twarz w dłoniach, wyraz zagubienia na twarzy ojca zmartwił ją jeszcze bardziej niż brak umiejętności czytania.

Pewnej sobotniej nocy, po sesji karcianej, SueBee znalazła wyjście z sytuacji. Ojciec stał przy maleńkim zlewie i zrzucał resztki makaronu z serem do papierowej torby, a ona wpadła na ten pomysł. Leżała na brzuchu na jasnopomarańczowym dywanie, jednym okiem patrząc, jak Ben Casey i doktor Zorba usuwają nowotwór mózgu. Myśli SueBee koncentrowały się wokół faktu, że w poniedziałek ma oddać wypracowanie z historii, które wymagało przeczytania całego rozdziału o drugiej wojnie światowej.

- Tato! - zawołała.

- Tak, kochanie - odparł zza drzwi lodówki.

- Na historię muszę napisać wypracowanie o wojnie. Strasznie bym chciała, żebyś mi o tym przeczytał. - Zacisnęła oczy, odgradzając się od ewentualnej odmowy.

- Jasne, maleńka. Odłożę tylko te rzeczy i zaraz do ciebie przyjdę.

Tej nocy czytał jej po raz pierwszy. Przytuliła się do ramienia ojca i słuchała, jak nigdy dotąd. Bez trudu poznawała, w którym miejscu strony czytał, ponieważ każde słowo podkreślał palcem. Wolne tempo umożliwiało SueBee zapamiętywanie informacji.

Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę leżała nieruchomo. W końcu zamknął książkę.

- Jak było, kochanie?

- Cudownie, tato. To była najwspanialsza rzecz. Obiecuję, że będziesz to robić co wieczór.

Darryl przycisnął jej mały nosek.

- Nie mogę obiecać, że co wieczór - powiedział z chichotem. - Ale jeśli tak ci się spodobało, to wkrótce znowu poczytamy.

Tej nocy, skulona na rozkładanej kanapie za kordonkową zasłoną którą ojciec zawiesił dla intymności, SueBee zaczęła cicho recytować to, co jej przeczytał.

Stwierdziła, że pamięta tekst prawie co do słowa.

W następnym tygodniu była klasówka z drugiej wojny światowej. SueBee dostała piątkę.

Ojciec nadal jej czytał. Ilekroć to robił, zawsze dostawała dobre stopnie, jednak to było za mało. Nie mogła bowiem wciąż posługiwać się ojcem jak proteżką a świat przygotowywał dla niej coraz więcej pułapek i był siedliskiem lęku. Żyła w stałym konflikcie między tym, co świat mówił SueBee na jej własny temat, a tym, co wiedziała w głębi serca. W szkole zawsze wybierała ławkę na samym końcu klasy, nie dlatego, że nie interesowały jej lekcje, ale dlatego, że tam mogła pozostać niezauważona. Gdyby usiadła z przodu, utonąłaby w mętliku liter na tablicy. Kiedy Darryl jej pomagał, dostawała doskonałe stopnie, ale kiedy tego nie robił, jej prace były beznadziejne. Nauczyciele zwrócili uwagę na ten kontrast i, nie wiedząc o pomocy ojca, kładli go na karb lenistwa dziewczynki. Nie wahali się przed

zwróceniem jej na to uwagi, a co gorsza, zwracali na to uwagę innym uczniom. Zanim dotarła do szkoły średniej, musiała przełknąć wiele upokorzeń, na które reagowała coraz większym zamykaniem się w sobie.

Podobnie jak człowiek niewidomy, który jest zależny od innych zmysłów, a tym samym je wyostrza, SueBee nauczyła się udawać.

Nieśmiałość i uporczywa nauka oddalały ją od innych dzieci. Chłopcy droczyli się z nią ponieważ była ładna i delikatna. Wkrótce się jednak przekonali, że zwracanie zbyt wielkiej uwagi na SueBee Slyde prowadziło do tego, że uzbrojony sierżant Slyde walił w drzwi ich rodziców. Gra nie była warta świeczki. Dziewczęta zazwyczaj po szkole szły się bawić, SueBee zapraszano rzadko albo wcale. Była zbyt cicha, grzeczna, za mało zabawna, w każdym razie nie w sensie zabawy, jakiej poszukiwały dorastające dziewczęta. Najwyraźniej nie interesowała się chłopakami, makijażem, muzyką rockową ani ciuchami. Co więcej było w życiu? Jednak w życiu SueBee, chociaż wiedziała o tym chyba tylko ona, liczyła się tylko walka.

Dorastając, SueBee zachowała jasne jedwabiste włosy koloru kukurydzy, z którymi się urodziła. W dwunastym roku życia jej zgrabne ciało zaczęło zakwitać. W ostatniej klasie szkoły średniej w Wayleen przeobraziła się w prawdziwą piękność, obciążoną sekretem, który czynił ją odludkiem.

Ostatnią przeszkodę do pokonania stanowił egzamin końcowy. Nie miała możliwości przygotowania się z góry. Był to najważniejszy sprawdzian całkowitej wiedzy ucznia, zadanie przekraczające zdolności SueBee.

Hilda Weissman zajrzała do kalendarzyka i przypomniała sobie o spotkaniu o dziewiątej trzydzięci, które groziło potencjalną migreną. Prośba rodzica o rozmowę zazwyczaj oznaczała konfrontację, coś, czego Hilda nie znosiła. Jednak jako dyrektorka szkoły średniej w Wayleen nie mogła tego uniknąć.

Otrzymała list od niejakiego sierżanta Darryla Slyde'a, ojca uczennicy ostatniej klasy, który prosił o spotkanie. Hilda się zdziwiła. Miała do czynienia z zatroskanymi rodzicami i wiedziała, którzy uczniowie miewali kłopoty. W ciągu czterech lat, odkąd pełniła funkcję dyrektorki, ani razu nie rozmawiała z tym rodzicem. Musiała wysilić pamięć, żeby przypomnieć sobie Susanne Slyde. Ach, tak, dziewczyna, która przez krótki czas należała do kółka śpiewaczego zorganizowanego przez Hildę. Hilda pamiętała ją jako piękne, żałośnie nieśmiałe dziecko.

Po otrzymaniu listu sierżanta Slyde'a kazała sobie przynieść teczkę dziewczyny. Znajdowało się tam jej wypracowanie. Hildzie wystarczyło spojrzeć na poprzestawiane litery, skreślone i wymazane słowa, by rozpoznać problem.

Dziewczyna cierpiała na dysleksję. Fakt, że wyszło to na jaw tak późno, nappełnił Hildę wściekłością.

Przed przeprowadzką do Teksasu Hilda uczyła angielskiego w ekskluzywnej nowojorskiej szkole prywatnej, gdzie podobne problemy wykrywano w pierwszej klasie. Susanna Slyde po raz kolejny przypomniała Hildzie, jak bardzo oddaliła się od domu.

Nie przeniosła się do Teksasu z ochotą. Jej teść, który przez całe życie prowadził w Wayleen praktykę lekarską nagle umarł, a Alfred, mąż Hildy, nalegał, by wrócić do

domu i przejąc po ojcu praktykę. Jediną przyjemną stroną przeprowadzki była oferta kierowania szkołą średnią a zatem coś więcej niż tylko nauczanie.

W porównaniu z życiem na wschodzie, warunki panujące w Teksasie przypominały życie na księżycu. Początkowo nienawidziła upału, czerwonego kurzu, tęskniła za kręgiem podobnie myślących przyjaciółek. Lokalnego systemu szkolnictwa nie darzyła wielką estymą a przypadki w rodzaju Susanny Slyde obrażały zmysł nauczycielski Hildy.

Pozwolono dziewczynie prześlizgnąć się przez szkołę podstawową i większość średniej, chociaż jej umiejętność czytania znacznie odbiegała od średniej. Fakt, że dotarła tak daleko, stanowił cud woli i zdecydowania, który Hilda chciała dokładniej zbadać. Być może rozmowa z ojcem rzuci nieco światła na tę sprawę. Jeśli wiedział o problemie córki, Hilda nie miała pojęcia, dlaczego zwraca się do niej dopiero teraz. Usłyszawszy pukanie do drzwi gabinetu, przyglądała przetykane siwizną włosy i ścisnęła palcami skronie.

- Proszę wejść - zawołała.

W drzwiach stanął odziany w mundur sierżanta krępy mężczyzna o czerwonej twarzy. Rozchylił usta w czymś, co z pewnością miało być uśmiechem. Po dwóch brakujących przednich zębach poznała w nim czołgistę z Fort Harris. Większość z nich miała ubytki w uzębieniu, które brały się z obijania o ściany czołgu jak jajka w pojemnikach.

Najwyraźniej przywiązywał dużą wagę do własnego wyglądu. Koszula została zwężona na zamówienie. Po obu stronach jego potężnej piersi, od czubków kołnierzyka do pasa, biegły dwa ostre kanty. Zdjął czapkę i stanął na baczność, jakby czekając na dalsze rozkazy.

Hilda Weissman uśmiechnęła się.

- A, proszę wejść, sierżancie Slyde. - Wstała i wskazała na stojące przed biurkiem krzesło z twardym oparciem.

Skinał głową wyprostowany jak struna pomaszerował do krzesła gdzie usiadł.

Dłonie trzymające czapkę oparł sztywno na kolanach. Miał sfatygowaną pomarszczoną twarz, chociaż z pewnością nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Nie dostrzegła w jego twarzy ani karnacji nic, co mogło mieć związek z jasnowłosą dziewczyną o porcelanowej cerze, która stanowiła powód ich spotkania

Sierżant Slyde wpatrywał się prosto przed siebie, koncentrując wzrok gdzieś na kalendarzu ściennym za plecami Hildy.

- Przyszedłem porozmawiać o mojej córce - zaczął, przechodząc prosto do rzeczy.

- W czym mogę pomóc, sierżancie?

- Chcę wiedzieć, do którego college'u mam ją posłać i ile to będzie kosztowało.

Hilda mrugnęła zdziwiona.

- Do college'u?

- Tak, proszę panią.

Hilda milczała przez minutę. Lepiej z nim uważać, pomyślała. Tego rodzaju ludzie łatwo się obrażają.

- Czy rozmawiał pan z Susanna o college'u? - Wybrała taktykę wyczekującą ponieważ musiała lepiej go poznać, zanim odwiedzie go od tych planów. Susanna Slyde w żadnym razie nie była materiałem na studentkę.

- SueBee - poprawił ją.

- Słucham? - spytała przekrzywiając na bok głowę.

- Ona nazywa się SueBee. To imię jej matki.

- Ach, tak, rozumiem, rozumiem - powiedziała Hilda nieco zbyt energicznie. - No, tak... SueBee.

- Jej matka nie żyje.

- Tak, przykro mi. Czytałam w aktach.

- Sam ją wychowałem - oświadczył, po raz pierwszy patrząc Hildzie w oczy. Miał niemal buntowniczy wyraz twarzy. - Ona jest wszystkim, co mam, ona i wojsko. W tym roku minęło dwadzieścia lat służby. Mogłem przejść na emeryturę, ale nie wystarczyłoby na college.

Hilda ponownie przycisnęła palce do skroni. O Boże, pomyślała, nie pójdzie tak łatwo. Otworzyła leżącą przed nią teczkę.

- Sierżancie Slyde, obawiam się, że to, co powiem, rozczaruje pana.

- Słucham? - spytał mrużąc oczy.

- Nie wiem, jak inaczej mogłabym to panu powiedzieć, sir. Zdolności Susanny... przepraszam, SueBee w czytaniu i pisaniu odbiegają od poziomu college'u. Będzie miała szczęście, jeśli w czerwcu uda jej się ukończyć naszą szkołę razem z resztą klasy. - Proszę, powiedziała to. Teraz musiała się tylko oprzeć i czekać na jego reakcję.

Czoło sierżanta Slyde'a pokryło się siecią zachodzących na siebie fałd, które zdawały się niemal zasłaniać małe czarne oczy. Usta zacisnął w cienką kreskę.

- Co pani mi mówi?

- Oto klasówki pańskiej córki - powiedziała Hilda, popychając teczkę w jego stronę, wiedząc doskonale, że nie był w stanie zrozumieć umieszczonego na wierzchu wykresu ocen.

Nachylił się, zmarszczył brwi, udając że czyta, choć musiała to być dla niego chińszczyzna. Kiedy się wyprostował, miejsce troski zajął na jego twarzy gniew. Czuł się tak, jakby Hilda osobiście go obraziła.

- Nie rozumiem - powiedział. - Ona się nie szwenda. Nie łązi z chłopakami, jak niektóre z tych wywłok. Nie pozwalam jej na to. Odrabia lekcje, wiem, bo jej pomagam. SueBee jest najlepszym graczem w karty, jakiego widziałem, lepszym ode mnie. Chyba trzeba umieć czytać, żeby grać w karty, co? -Z każdym słowem mówił coraz głośniej. - Nie wierzę w to, co mi tu pani mówi. Ta dziewczyna doszła do ostatniej klasy. Jak mogłaby to zrobić, gdyby była taka tępa?

Hilda celowo ściszyła głos.

- Ja jej nie krytykuję, sierżancie, pana też nie. Dokonał pan zdumiewającej rzeczy, wychowując ją samotnie. To wspinała dziewczyna. Pomimo przeciwności, przezwyciężyła swój problem. Zrobiła to, dotarła do ostatniej klasy. Zasługuje za to na najwyższy podziw.

- Chce pani powiedzieć, że ona jest tępa, tak? - Wstał z krzesła i zaczął zwijać czapkę w wąską rurkę. - Taka tępa, że nie przyjmą jej do żadnego college'u?

- Błagam, sierżancie Slyde. Wcale nie to chcę powiedzieć. Mówię tylko, że pańska córka nie ma stopni, które pozwoliłyby jej dostać się do college'u. Mówię, że dla dobra SueBee powinien pan zmienić plany. Cierpiałyby w college'u, nawet gdyby się dostała. Ona ma problem. Ten problem ma nazwę. Jest bardzo konkretny, ale można mu zaradzić.

Slyde poczerwieniał jak burak. Hilda nie miała wątpliwości, że gdyby była mężczyzną, uderzyłby ją. Najwyraźniej nie przywykł do kobiecego autorytetu, zwłaszcza takiego, który mówił mu rzeczy, których nie chciał słyszeć.

Ta dziewczyna była sprytna. Wyprowadziła w pole wszystkich, a co najtragiczniejsze, nawet tego człowieka pełnego dobrych intencji.

Hilda sięgnęła po teczkę i przewertowała kartki.

- Spróbuję to panu wytłumaczyć. Wyobraźmy sobie wielką tablicę rozdzielczą. Kiedy coś pan podłącza, następuje połączenie. Kiedy czytamy, oko widzi słowo lub zdanie i wysła sygnał do tablicy rozdzielczej mózgu. W przypadku pańskiej córki oko wysła sygnał, ale tablica rozdzielcza albo nie łączy, albo łączy błędnie. Proszę tu spojrzeć - powiedziała, wyjmując kartkę z teczki. - To jest wypracowanie SueBee. Widzi pan te wszystkie przekreślone słowa? Widzi pan, jak papier się rozdarł w miejscu, gdzie tak mocno przycisnęła długopis, usiłując uzyskać połączenie? Nie ma to żadnego związku z tym, jak inteligentna czy tępa jest dana osoba, podobnie jak nie odgrywa tu roli jej kolor włosów.

Sierżant Slyde wziął kartkę i przyjrzał jej się uważnie.

- Kiedy oko SueBee widzi na przykład słowo „k-o-t”, jej mózg tłumaczy je „t-o-k”. Kiedy widzi słowo „m-a-k”, czyta je jako bezsensowne „k-a-m”. Od wielu lat musiała wiedzieć, że coś jest nie w porządku, więc wyćwiczyła umysł, by uczył się rzeczy na pamięć, jak obrazków. Taka wada, a jest ona częstsza, niż większość osób sądzi, nosi nazwę dysleksji.

Sierżant Slyde podniósł na nią wzrok; gniew na jego twarzy tłumila nieco konsternacja.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział o tej dys... dys...

- Dysleksji - powiedziała Hilda. Przerwała, by ocenić jego nastrój, a potem mówiła dalej. - Mogę jedynie spekulować, sierżancie. Sądzę, że nikt nie zwracał należytej uwagi na pańską córkę, a ona wykształciła w sobie bardzo sprytną zdolność kompensowania dysleksji.

Udręczony rozczarowaniem, Slyde złożył kartkę z wypracowaniem SueBee na pół i przesunął kciukiem po krawędzi.

- To nie wystarczy - mruknął.

- Słucham?

- To nie wystarczy - powtórzył z większą siłą. - Pani powód nie wystarczy. Pani powód śmierdzi. Przez te wszystkie lata... -Przerwał i odwrócił się do okna. - Teraz ona nie pójdzie do college'u. - Ponownie odwrócił się do Hildy; miał zaczerwienione oczy. Sprawiał wrażenie pokonanego, bezradnego człowieka. Przez długą chwilę

przyglądał się własnym dłoniom. Wreszcie spojrział na dyrektorkę. - Co ja mam zrobić, pani Weissman? - Gniew zmienił się w rozpacz.

Czuła pulsowanie dużego naczynia krwionośnego w prawej skroni i wiedziała, że za kilka minut dostanie silnej migreny, która powędruje do żołądka i zrujnuje jej już i tak zrujnowany dzień. Musiała coś zrobić, nawet jeśli miała to być tylko namiastka.

- Sierzancie Slyde, czy mogę porozmawiać z SueBee?

- Tak... jasne - odparł z westchnieniem i wstał z krzesła. - Powie jej pani, czy ja powinienem to zrobić?

- O tym, że wiemy o jej problemie?

- Nie, chodziło mi o to, że nie pójdzie do college'u.

- Może poczekamy, aż się dowiem, co SueBee zamierza zrobić z własnym życiem?

Może ma jakiś plan, o którym panu nie powiedziała.

Rozwinął czapkę i założył ją przytrzymując przód i tył, starannie przekrzywiając ją po kątem. Odkąd przyjechała do Wayleen, widziała wielu mężczyzn robiących ten gest, jak gdyby właściwie założona czapka dawała im pewne poczucie kontroli.

- Dziękuję, pani Weissman - powiedział po prostu, po czym odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Nie szedł już jednak wyprostowany jak struna, lecz przygarbiony.

Hilda Weissman położyła głowę na biurku, czekając na nadejście migreny.

- O Boże - westchnęła. - W co ja się wpakowałam. Asystentka do spraw uczniów znalazła SueBee, kiedy ta przebierała się na lekcję wychowania fizycznego i powiedziała jej, że dyrektorka chce się z nią widzieć.

- Dlaczego? - spytała SueBee przyglądając się notatce opatrzonej podpisem dyrektorki.

- Nie pytaj mnie, Slyde. - Dziewczyna uśmiechnęła się szyderczo. - A co, pieprzyłaś się na parkingu?

Słowa zapiekły, jak wszystkie uwagi dotyczące seksu. SueBee wiedziała, że dzieci mówiły jej świństwa tylko po to, żeby zobaczyć, jak się rumieni. Wszyscy wiedzieli, że nie miała prawa umawiać się na randki. Wiedziała też, że nigdy nie zrobiła nic złego. Wezwanie na rozmowę do dyrektorki musiało mieć związek z jej ocenami. Starannie złożyła kartkę i umieściła w kołonotatniku. Poszła do dyrektorki. Usłyszawszy, jak SueBee odchrząknęła, Hilda Weissman podniosła wzrok znad biurka.

- Dzień dobry, pani Weissman. Jestem Susanna Slyde. Chciała się pani ze mną widzieć? - spytała cicho, przyciskając podręczniki do białej bawełnianej bluzki z krótkimi rękawami.

Twarz pani Weissman pojaśniała.

- Oczywiście, dziękuję, że przyszedł.

Widok dyrektorki ponownie wpędził SueBee w poczucie winy za odejście z chóru. Stało się to w dniu, kiedy rozdano im śpiewniki, a ona poczuła zbliżanie się znajomego ataku paniki.

Nigdy nie wyjaśniła pani Weissman, dlaczego nie wróciła. Miała nadzieję, że dyrektorka nie sądziła, że stało się tak, ponieważ SueBee jej nie lubiła.

SueBee ostrożnie podeszła do biurka. Pachniało płynem do czyszczenia oraz perfumami pani Weissman.

- Dostałam pani notatkę - powiedziała, uzmysławiając sobie, jak głupio to musiało zabrzmieć. Naturalnie, że otrzymała jej notatkę. Dlatego właśnie tu przyszła. Proszę, pomyślała, wiem, co pani powie; proszę, niech mam to już za sobą. Usiadła na samej krawędzi stojącego przed biurkiem krzesła, opierając podręczniki na kolanach. Widziała leżącą przed dyrektorką teczkę i zastanawiała się, czy były w niej wyniki egzaminu końcowego.

Pani Weissman oparła się na krześle i uszczypnęła w nos, jakby miała silny ból głowy.

- Susanno, czy zastanawiałaś się nad tym, co chcesz robić w przyszłym roku?

W ciągu trzech i pół roku szkoły średniej SueBee myślała prawie wyłącznie o tym, ale było to tak niemożliwe, że z nikim nie podzieliła się przemyśleniami. W głębi serca wiedziała, że pewnego dnia ktoś się dowie i będzie musiała zrezygnować z planów. Zdała sobie sprawę, że jej marzenie miało żyć jeszcze około pięciu minut.

- Mój ojciec zawsze chciał, żebym poszła do college'u, ale wiem, że to niemożliwe.

- Ale co z tobą? Czego ty chcesz?

SueBee odwróciła się i wyjrzała przez okno. Gabinet znajdował się na parterze, a okna wychodziły na boisko futbolowe. Było puste; widziała w oddali, jak wiatr zrywa kłęby krzewów i toczy je po zakurzonej ziemi.

- No, kiedyś... myślałam, że chciałabym zostać pielęgniarką.

- Wiesz, Susanno, że w tym celu musiałabyś skończyć college. SueBee wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze.

- Pani Weissman, jeśli chodzi o mój egzamin końcowy... proszę. Przypuszczam, że go położę. Zawsze źle mi idzie na egzaminach, zwłaszcza kiedy nie znam z góry pytań.

Pani Weissman podniosła żółty ołówek i zaczęła go obracać w palcach.

- Dlaczego to sprawia różnicę?

SueBee czuła, że dyrektorka znała odpowiedź. Chciała tylko, żeby SueBee ją wypowiedziała. Spojrzała na swoje biało-niebieskie buty do biegania.

- Ponieważ potrafisz jedynie uczyć się rzeczy na pamięć.

- SueBee - powiedziała pani Weissman. - Mogę cię tak nazywać, prawda? Tak cię nazywa twój tata.

SueBee gwałtownie podniosła głowę.

- Skąd pani o tym wie? - spytała z niepokojem. Zaczęła węszyć zdradę.

- Poprosił mnie o rozmowę. Spotkałam się z nim dziś rano.

- Był tutaj?

- Tak.

- O Boże! Chyba mu pani nie powiedziała! - Szybko zacisnęła wargi. Dlaczego to powiedziała?

- O czym, kochanie? - spytała łagodnie pani Weissman.

- No wie pani. - SueBee ponownie opuściła wzrok.

- SueBee, nie masz się czego wstydzić. Wielu ludzi ma taką samą trudność.

No proszę, pomyślała SueBee, ktoś wreszcie wie. Ale nawet teraz, po tym całym czasie, po ukrywaniu się, kłamaniu, nawet teraz nie zrozumieli, w czym rzecz.

- To nie jest tylko trudność, pani Weissman - powiedziała zbyt głośno. - Ja nie umiem czytać! Wszystko mi się płacze. Niektóre słowa poznaję, a niektóre

wyglądają jak bazgranina kurzym pazurem. Staram się, ale nie potrafię się zmusić do zrozumienia. Jestem tępa! Jestem po prostu tępa! - krzyczała. Poczula w gardle łzy i rozpaczliwie chciała je połknąć. - Zawsze będę.

- Susanno, wcale nie chcesz, żebym w to uwierzyła - powiedziała szorstko pani Weissman. - Myślisz, że to właśnie chcę usłyszeć? Nie jesteś tępa. Daleko ci do tępoty.

Łzy zwyciężyły i SueBee ukryła twarz w dłoniach.

- Wszyscy zawsze tak mówili. Wszyscy oprócz mojego ojca.

- Cóż, wszyscy oprócz twojego ojca się mylili - odparła pani Weissman.

SueBee poczuła, jak pani Weissman otacza ją ramieniem, a tuż nad głową usłyszała jej głos.

- Twój problem nosi nazwę dysleksji. Jest to stan, w którym oczy przesyłają do mózgu niewłaściwy sygnał. Serce mi krwawi, ponieważ gdybyś była w innej szkole, w innym miejscu, ktoś postawiłby tę diagnozę wiele lat temu i oszczędziłby ci mnóstwo cierpienia.

SueBee nie wiedziała, czy ma wierzyć własnym uszom. Jak to możliwe, że udręka jej całego życia mogła zostać tak łatwo rozwiązana? A jeśli nawet pani Weissman mówiła prawdę, to co można było zrobić?

- Nie płacz, kochanie - powiedziała pani Weissman, wciąż obejmując SueBee i klękając obok krzesła. SueBee nie mogła się opanować. Czula, jakby w jej głowie przerwała się tama. Nie wiedziała, czy utonie we wstydzie, czy w uczuciu ulgi. Ktoś przynajmniej wiedział.

Pani Weissman wstała i wróciła za biurko.

- Posłuchaj, SueBee, czy twój tata pozwoliłby ci kiedyś przyjść do mnie na kolację? Chciałabym, żebyś poznała mojego męża. Mam pewien pomysł.

SueBee znalazła chusteczkę higieniczną i wytarła nos. W tej chwili nie była w stanie myśleć o planach towarzyskich; miała na głowie znacznie większe zmartwienie.

- Pani Weissman? - spytała odzyskując panowanie.

- Tak, kochanie.

- Ja nie zdam, prawda?

Nastąpiła długa chwila ciszy. SueBee wstrzymała oddech.

- Myślę, że coś się da załatwić, SueBee. Zobaczę, co zdołam zrobić.

- Dziękuję - odparła cicho SueBee.

- No więc co z kolacją?

- Dobrze odparła słabo. - Zapytam tatę, ale zazwyczaj gotuję dla niego w tygodniu.

- W takim razie umówmy się na sobotę.

- Dobrze, pani Weissman, myślę, że będę mogła przyjść. - SueBee schyliła się po swoje rzeczy, poszła do drzwi, potem się odwróciła. - Dziękuję pani - powiedziała ze słodkim uśmiechem. - Za wszystko.

- Nie ma za co, kochanie - odparła dyrektorka odwzajemniając uśmiech.

SueBee miała wrażenie, że umarła i poszła do nieba. Doktor i pani Weissman mieszkali w prawdziwym domu z podjazdem i dużym trawnikiem dookoła. W mieszkaniu było piętro i prawdziwe, jasnoniebieskie dywany, w niczym nie przypominające jaskrawego, pomarańczowego łachmanu w przyczepie, w który

zawsze zaplątywały się jej obcasy i z którego odrywały się małe kłębki materiału. W wielkiej kuchni stała lodówka i oddzielna zamrażarka. Mieszkanie miało dwie łazienki. W tej na dole, przeznaczonej wyłącznie dla gości, znajdowała się tylko umywalka i toaleta. Ściany wyłożono tapetą w biało-srebrne paski, a ręczniki i dywan pasowały do ścian. Na umywalce stało naczynko w kształcie muszli, a w nim małe, nigdy nie używane kulki mydła. Jak to możliwe, żeby łazienka mogła być tak piękna? Bała się użyć mydła i małych ręczników wiszących obok umywalki, więc tylko opłukała ręce, wytarła papierem toaletowym, który splukała w toalecie, żeby nikt nie poznał, że czegokolwiek dotykała.

Kolacja była przepyszna. Doktor Weissman przygotował ją na ruszcie w ogrodzie otoczonym ceglany murem. SueBee domyśliła się, że musieli być bardzo bogaci; przecież on był lekarzem, i w ogóle.

Jedli kurczaka z rusztu i kukurydzę w kolbach, a doktor Weissman, wysoki, chudy, z bardzo rudymi, kręconymi włosami, w półokularach, zapytał nawet, czy ma ochotę na wino. Odmówiła; nigdy nie kosztowała wina, i niech Bóg ma ją w opiece, gdyby tata się dowiedział.

Rozmawiali o wszystkim, co interesowało SueBee - o telewizji, filmach i życiu Weissmanów przed przyjazdem do Teksasu. Po kolacji doktor wniósł dużą tacę z miseczkami orzechów i dodatków do lodów. SueBee, która zazwyczaj jadła lody z pudełka, nigdy nie widziała czegoś równie wytwornego.

Siedziała zadowolona na wiklinowym krześle wyłożonym poduszkami i jadła lody oblane gorącą czekoladą, które sobie przyrządziła. Światło z kuchni padało na stół ogrodowy. Na ciemnym podwórzu małe latarniki świetlików zapalały się i gasły w ciepłym nocnym powietrzu. SueBee czuła się wyśmienicie i niemal przestała się zastanawiać, po co ją zaprosili.

Doktor Weissman dolał sobie kawy, a potem usiadł obok SueBee.

- SueBee, żona mówiła mi, że interesuje cię pielęgniarstwo. Spuściła wzrok z zażenowaniem, chociaż pochlebiali jej, że o niej rozmawiali.

- Tak, sir, interesowało mnie.

- A teraz już nie?

SueBee spojrzała na panią Weissman. Uczucie paniki złagodził nieco przyjazny wyraz twarzy dyrektorki.

- Widzi pan, sir, ja mam problem... - Urwała. Nie mogła tego wykrztusić.

- Mój mąż wie o wszystkim, SueBee - wtrąciła pani Weissman. - Zastanawialiśmy się, czy nie chciałabyś przychodzić do jego gabinetu na pół etatu. Gdyby ci się to spodobało, po ukończeniu szkoły mogłabyś rozpocząć pracę na pełnym etacie.

SueBee spojrzała najpierw na doktora Weissmana, potem na jego żonę, potem znowu na niego. Doktor Weissman kiwał głową.

nie rozumiem - powiedziała SueBee. - Co miałabym robić?

- Potrzebuję kogoś do odbierania telefonów - wyjaśnił doktor Weissman, dokładając sobie lodów pistacjowych. - Mam pielęgniarkę, ale ona większość czasu spędza ze mną na tyłach albo w laboratorium. Potrzebuję kogoś w recepcji, żeby pacjenci czuli się wygodnie. To rutynowe zajęcie, ale dla mnie bardzo ważne.

SueBee musiała zapytać, chociaż obawiała się, że słowa ugrzęzną jej w gardle.

- Czy musiałabym czytać? - spytała oblewając się rumieńcem.

- Och, trochę - odparł lekko. - Głównie książkę wizyt. Serce SueBee zabiło gwałtowniej.

- Potrafię to zrobić! Potrafię przeczytać linijkę albo nazwisko. Wpadam w panikę tylko wtedy, kiedy widzę całą kolumnę słów.

- Z twojego tonu wnioskuję, że przyjdiesz mi pomóc - zauważył doktor Weissman z uśmiechem.

- Boże, Boże, Boże - powiedziała powoli SueBee, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nigdy nie myślałam, że coś takiego mi się przydarzy. Oczywiście, że przyjdę, doktorze Weissman. Najpierw muszę zapytać tatę.

Pani Weissman zmarszczyła się nieco.

- Czy sądzisz, że się zgodzi? - spytała.

- Jestem pewna, że ucieszyłby się, gdybym pracowała dla lekarza - powiedziała SueBee, modląc się w duchu, żeby miała rację.

- Wobec tego umowa stoi - oświadczył doktor Weissman, uderzając rękami o kolana.

- Hildo, poszukaj rano odpowiedniego fartucha dla SueBee, dobrze?

SueBee otworzyła szeroko usta. Fartuch! Spojrzała na panią Weissman.

- To znaczy, że będę nosiła fartuch pielęgniarki!

- Myślę, że pacjenci lepiej będą się wtedy czuli, nie sądzisz?

- Ależ, tak... tak, z pewnością. - SueBee z najwyższym wysiłkiem starała się opanować bezgraniczną radość. Tata zawsze powtarzał, że nie powinno się okazywać uczuć. Teraz przychodziło jej to z trudem. Chciała podskoczyć w górę i wykrzyknąć swoje podniecenie.

- Dziękuję powiedziała cicho. - Bardzo, bardzo wam obojgu dziękuję.

Po powrocie do domu, kiedy znalazła się w bezpiecznym miejscu za kordonkowymi zasłonami, usiadła w wezłowniu łóżka i podciągnęła kolana do piersi. Powinna była powiedzieć więcej. Powinna była objąć i ucałować Weissmanów. Powiedziała jedynie: „Dziękuję wam”, bo na nic więcej nie pozwoliło jej serce. Chciała powiedzieć: „Dziękuję wam za to, że mnie zechcieliście. Dziękuję za pokazanie mi, że dwoje inteligentnych ludzi uważa, że jestem mądra i warta zachodu”. Może istniała możliwość, że ktoś oprócz jej ojca jej potrzebuje.

Proszę się rozluźnić, pułkowniku. Proszę podciągnąć wyżej kolana i wyciągnąć łokcie przed siebie. O, tak, już lepiej. - Głos SueBee brzmiał jak mruczenie kota. Mówiąc, delikatnie gładziła muskularną rękę przestraszonego mężczyzny klęczącego na czworakach na stole lekarskim. Najwyżej położoną częścią jego ciała były pośladki. Opierał się głównie na łokciach. SueBee gładziła go, aż przestał łkać. Doktor Weissman, z lampką przymocowaną do czoła, siedział na stołku na kółkach w nogach stołu. Wsuwał metrową stalową rurkę w odbył pułkownika. Pomimo potężnej dawki Valium podanej mu przed zabiegiem, upokorzony oficer był w rozpacz.

SueBee asystowała doktorowi Weissmanowi w gabinecie, odkąd pielęgniarka, pani Nichols, odeszła, by urodzić dziecko. Doktor Weissman uczył SueBee w trakcie pracy. Od czasu ukończenia szkoły pracowała u niego na pełnym etacie, robiąc wszystko, od mierzenia ciśnienia do wykonywania prostych czynności

laboratoryjnych. Wszystko wydawało jej się bardzo łatwe i dziwiła się, że trzeba było uczyć się chemii, żeby rozpoznać, czy papierek lakmusowy przybierał kolor różowy czy niebieski.

W ciągu minionych kilku miesięcy dowiedziała się między innymi, że do doktora Weissmana przychodziło wielu wojskowych, którzy nie chcieli, by ich problemy wyszły na jaw w szpitalu w bazie. Widziała kilka przypadków zaawansowanego syfilisu oraz żołnierzy o skłonnościach homoseksualnych, którzy przychodzili z poważnymi ranami odbytu. Napatrzyła się na narośle rakowate i wrzody, których pacjenci nabawili się w burdelach; widziała żonę oficera z pochwą pełną zainfekowanych oparzeń od papierosów. W Teksasie lekarz miał prawo przeprowadzać badania ginekologiczne tylko w obecności kobiety. Z tego powodu SueBee przeszła chyba najbardziej dogłębny kurs dolegliwości kobiecych. Bardzo szybko zrozumiała, że źródłem większości chorób kobiecych był seks.

Za każdym razem, kiedy stykali się z nowym, nietypowym przypadkiem, SueBee sprawdzała go w cudownej książce, którą dostała od doktora Weissmana. Były tam czterokolorowe obrazki na całą stronę, przedstawiające wszystko, co może się stać z ludzkim ciałem.

Początkowo doktor Weissman obawiał się, że tak nagłe wprowadzenie w mniej chwalebny dziedzinę ludzkiego życia przyprawi SueBee o mdłości. Był przyjemnie zdumiony jej bezwarunkową, pogodną akceptacją nawet najbardziej odrażających widoków, zapachów i stanów. Mała dziewczynka, która nie umiała czytać, nigdy nie umówiła się na randkę i nigdy, był tego pewien, nie widziała członka, nie mówiąc już o członku w stanie, do jakiego mógł go doprowadzić szeregowiec podczas weekendu w burdelu, wypełniała nowe obowiązki z żarliwą radością i skutecznością, które zapierały lekarzowi dech w piersiach.

- Zapomnij o jej planach zostania pielęgniarką, Hildy - powiedział Alfred Weissman do żony podczas jednej z codziennych rozmów telefonicznych w porze lunchu. - Ta dziewczyna powinna zostać lekarką! Pamiętasz, jak ją nauczyłem przecinać wrzody? Dziś rano przyszedł tu oficer, który miał na tyłku wrzód wielkości twojej pięści. SueBee przecięła go jednym ruchem. Ropa trysnęła na cały gabinet, poplamiała jej fartuch, włosy, twarz. Nawet się nie wytarła, tylko pracowała, a ten darł się jak zarzynana świnia.

- Faj! - powiedziała Hilda, częściowo z obrzydzenia, częściowo z fascynacji szybkimi postępami protegowanej.

- Zachowała przy tym niesłychaną pogodę ducha. Kiedy skończyła, żołnierz zapytał, ile czasu zajmie spuszczenie ropy. SueBee na to, że chwilę. Tamten był podenerwowany, ponieważ go bolało. „Ile to jest »chwila«?” pyta, przedrzeźniając ten jej akcent. SueBee popatrzyła na niego i powiedziała: „Chwila to jest tyle, ile trzeba, żeby spuścić ropę”. Nawet ten facet ze skaleczonym tyłkiem musiał się roześmiać. - Spojrzał na światelko sygnalizujące, że SueBee ma pacjenta. - Muszę lecieć, kochanie. Do zobaczenia wieczorem. - Szybko odłożył słuchawkę i podniósł interkom. - Słucham, siostró - powiedział oficjalnym tonem.

- Czy mogę na moment wejść?

- Oczywiście, SueBee. Już skończyłem rozmawiać.

Po chwili SueBee weszła i zamknęła za sobą drzwi. Hilda wybrała dobry fartuch. Dziewczyna musiała go prać w wybielaczu, bo nigdy nie widział na nim ani plamki. Oderwał wzrok od jej krągłych piersi i wąskiej talii.

- Co się stało?

- Mam tam pewną panią która skarży się na silny ból. Powiedziała mi tylko, że ma dużą gułę w udzie, która boli ją tak, że z trudem może chodzić.

- Hmm. Skąd ona jest?

- Nie mam pewności, ale widziałam ją na Best Western, gdzie żołnierze chodzą się zabawić. Ma na sobie jaskrawe spodnie i liliową bluzkę bez ramion.

Doktor Weissman zachichotał.

- Nigdy nic nie przeoczysz, co?

- Staram się - odparła ze słodkim uśmiechem. - Nie mam pewności, doktorze, ale sądząc z odpowiedzi, jakich mi udzieliła, myślę, że może mieć zapalenie gruczołu Bartholina. Po sposobie, w jaki przyciskała ręce do ciała, kiedy mówiła „w udzie”, domyśliłam się, że musi mieć na myśli pochwę. Sprawdziłam w książce, że te wrzody mogą być naprawdę wielkie. A jeśli ona robi seks... uprawia seks? No, jeśli robi to z tymi wszystkimi żołnierzami, to pewnie...

Doktor Weissman podniósł rękę, usiłując stłumić uśmiech.

- Wolnego, wolnego. To ja tu jestem lekarzem.

- No, tak. - Uśmiechnęła się.

- Może wprowadzisz tę panią?

- Jasne - odparła SueBee i zniknęła.

Doktor Weissman mógł wreszcie pozwolić sobie na uśmiech, kręcąc powoli głową. Wiedział, że SueBee przypuszczalnie ma rację.

Był wrzesień. W południe temperatura doszła do czterdziestu sześciu stopni Celsjusza. Jak okiem sięgnąć lśniła spieczona skorupa ziemi. Na polu manewrowym położonym na południe od bazy stał stalowy piec, który Darryl Slyde nazywał swoim biurem. Wewnątrz siedziała jak zwykle czteroosobowa załoga: kierowca, celowniczy, ładowniczy Slyde i dowódca. Termometr w czołgu wskazywał pięćdziesiąt dwa stopnie.

Było to coś więcej niż rutynowe manewry. Dowódca został ostatnio zasypany depezsami z Pentagonu i posłusznie zaczął organizować w Fort Harris manewry wojenne.

Darryl siedzący na metalowym siedzeniu obok celowniczego otarł pot z czoła i przygotował się do załadowania kolejnego pocisku do lufy kalibru 105 milimetrów. Nagle coś się stało. Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć słowo, pocisk eksplodował. Sierżant Joe McGraw, kierowca czołgu manewrującego tuż obok czołgu Darryla Slyde, jeden z jego sobotnich kompanów od kart, jako pierwszy ujrzał, że kłapa czołgu Darryla odskakuje. Chwilowo oślepiiony błyskiem ognia, który wystrzelił w powietrze, McGraw zasłonił oczy ręką i krzyknął. Każdy czołgista wiedział, że siła wewnętrznej eksplozji była tak wielka, że dosłownie miażdżyła ludzi znajdujących się w środku.

McGraw opuścił rękę i wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną. Czołg Darryla stał dygocząc. Joe McGraw wiedział, co znajdzie w środku, kiedy czołg ochłodzi się na

tylę, że będzie można się na niego wspiąć. Wiedział też, że ten widok pozbawi go śniadania.

Kiedy zadzwonił telefon, SueBee Slyde wsunęła ilustrowany podręcznik medycyny pod biurko. Doktor Weissman nie lubił, kiedy czytała w pracy; nie wyglądało to właściwie. Gdyby wyszedł z gabinetu, podczas gdy ona rozmawiała przez telefon, zwróciłby jej uwagę.

- Tu gabinet - powiedziała miłym głosem.

- Mówi pułkownik Rice ze szpitala w bazie. Proszę natychmiast połączyć mnie z doktorem Weissmanem.

- Przykro mi, sir, ale ma pacjenta - odparła SueBee. Nie знаła tego oficera, ale osoba z tym stopniem wymagała natychmiastowego szacunku.

- Połącz mnie z nim, do cholery! - warknął pułkownik. - Mamy tu wypadek!

- Tak jest, sir! - Sięgając do interkomu, zauważyła, że drżą jej ręce. Po łopatkach przebiegł jej zimny dreszcz. W bazie musiało wydarzyć się coś poważnego, skoro dzwonili ze szpitala po lekarza z zewnątrz. Wojskowi lekarze zazwyczaj radzili sobie z wszelkimi wypadkami.

W kilka sekund po odebraniu telefonu pułkownika, doktor Weissman przebiegł obok jej biurka do drzwi wyjściowych.

- Jestem w szpitalu w bazie! - krzyknął i zatrzęsął za sobą drzwi.

SueBee siedziała w milczeniu za biurkiem, myśląc o tacie. Zastanawiała się, czy mogłaby zadzwonić do niego do baraków i zapytać, co się stało. Przypomniała sobie, że miał manewry i wróciła do lektury. Tego dnia postanowiła nauczyć się na pamięć rozdziału o przywracaniu akcji serca.

Ponownie zadzwonił telefon. Dowódca kompanii sierżanta Slyde'a powiadomił SueBee, że jej ojciec miał wypadek. Powiedział, że wysła samochód, który miał ją odwieźć do domu. Ktoś z bazy dotrzyma jej towarzystwa.

Siadając w polowym sedanie w kolorze khaki nie przestawała drżeć. Kierowca nie odezwał się ani słowem, kiedy oddalili się od krawężnika i ruszyli na wschód w kierunku przyczep mieszkalnych. Nie musiał nic mówić. Miała przecucie, że ojciec nie żyje.

Ładna pani porucznik z insygniami sanitariuszki na mundurze czekała na SueBee stojąc na frontowych schodach. SueBee wysiadła z samochodu i potrząsnęła głową, dając znak sanitariuszce, żeby nic nie mówiła. Po wyrazie jej oczu poznała, co zamierzała powiedzieć, i nie chciała tego słyszeć. W ciągu całego życia widywała to spojrzenie w oczach ludzi, którzy wiedzieli, że nie miała matki. Nienawidziła tego spojrzenia, które sprawiało, że czuła się inna, nie taka, jak reszta ludzi. Nauczyła się odrzucać pomocną dłoń, ignorować słowa litości. Jeśli ludzie wypowiadali je po to, by czuła się lepiej, zamierzony efekt nie następował.

Przez całą noc ludzie przychodzili do małego domku na kółkach. Momentami robił się taki tłok, że stali na ogrodzonym podwórzu. Zjawił się też dowódca batalionu jej ojca razem z żoną. Sąsiedzi przynosili takie ilości potraw i talerzy z ciastkami, że nie było ich gdzie kłaść. Kumple od pokera przewalali się po mieszkaniu, z rękami wciśniętymi w jasne spodnie z poliestru.

Podczas czuwania SueBee siedziała z opuszczonym wzrokiem w kącie na klonowej kanapie, szarpiąc gruzłowatą tkaninę kapy.

Nikt nie powiedział jej, co się stało. Wiedziała, że ojciec doznał poważnych oparzeń, ale nikt nie potrafił jej wytłumaczyć, co robili z nim czy jemu. Początkowo usiłowała zadawać pytania, ale nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Nie wiedziała, co począć, więc pograżyła się w tępym milczeniu, skrywającym wewnętrzny krzyk.

W pewnym momencie, kiedy wpatrywała się w przestrzeń, odczuła bardziej niż spostrzegła, że ktoś klęczy przed nią z talerzem ciasteczek. W ciepłym nocnym powietrzu polewa czekoladowa zaczęła się topić, tworząc ciemnobrazową kałużę wokół talerza. Zapach był tak mdlący, że dotarł do świadomości SueBee. Rozpoznała twarz pani Carter, mieszkającej w dużej przyczepie RV na końcu alejki. W oczach pani Carter kryło się to spojrzenie, spojrzenie mówiące: „Moje ty biedne, bezradne maleństwo”.

SueBee usłyszała nagle znajomy głos, krzyczący:

- Przestań! Przestań! Przestań! - Ze zdumieniem stwierdziła, że głos należał do niej. Ręka wystrzeliła do przodu i uderzyła w spód talerza. Ciasteczka poleciały prosto w zszokowaną twarz pani Carter.

- Niech ktoś mi coś powie! - krzyczała SueBee. - Czy on się ugotował? Czy zeszła mu cała skóra? Czy widać kości? Co się dzieje z moim tatą? Na miłość boską, niech ktoś mi coś powie!

- Przycisnęła do piersi poduszkę i zaczęła kiwać się w tył i w przód.

- Dostała hysterii - szepnął ktoś obok.

- Cóż, nie można jej za to winić. Biedne maleństwo - powiedziała pani Carter, której udało się podnieść z podłogi, a teraz próbowała zebrać ciasteczka z pomarańczowego dywanu.

SueBee miała świadomość obecności ludzi, którzy tłoczyli się wokół niej beładnie i gapili się, tylko się gapili. Nikt nie chciał powiedzieć jej tego, co tak rozpaczliwie drażyło jej serce. Czy została sama na świecie? Czy jej ojciec miał umrzeć?

- On nie żyje, kochanie - dobiegł czyjś głos od otwartych siatkowych drzwi. Podniosła wzrok i ujrzała, jak do zatłoczonego pokoju wchodzi potężnej budowy mężczyzna w stopniu pułkownika, z krzyżykami kapelana w klapie. - Umarł około godziny temu. Jego ostatnie myśli dotyczyły ciebie.

Poznała pułkownika, któremu doktor Weissman robił proktoskopię. Tego samego, który płakał, dopóki nie pogładziła go po ramieniu.

SueBee nadal milczała, tuląc do siebie poduszkę i kiwając się. W jej sercu buzowała wściekłość. Jego ostatnie myśli dotyczyły jej. Myśli? Nie można usłyszeć myśli! Skąd ten człowiek wiedział, o czym myślał jej ojciec? Zresztą nie obchodziły jej jego ostatnie myśli. Obchodziło ją to, co zrobiono, by złagodzić jego ból. Nie pamiętała, by ojciec kiedykolwiek choćby skrzywił się z bólu. Widziała, jak trzasnął sobie młotkiem w paznokieć kciuka i nawet nie mrugnął. Kiedyś jego motor przewrócił się na zwirowanym podjeździe, ojciec przeleciał kilka metrów w powietrzu i wylądował na twarzy. Następnego dnia cały jego prawy policzek pokrywały otwarte rany.

- To wysypka motocyklowa - powiedział ze śmiechem. - To tylko wysypka motocyklowa, aniołku.

Nie można się było spalić na śmierć bez bólu. Jak bardzo musiał się czuć upokorzony. Umarł samotnie. Dlaczego jej do niego nie zabrano? Dlaczego jej nic nie powiedziano? Czy sądzili, że nie była na to dość silna? Myśleli, że jest tylko małą dziewczynką?

Cóż, nie jestem już małą dziewczynką, myślała, patrząc w noc, kiedy wszyscy sobie poszli. Całe jedzenie zjedzono lub pochowano, wypowiedziano wszystkie słowa litości. Pani Carter zaproponowała, że będzie jej towarzyszyć, ale SueBee odmówiła; została teraz sama, więc powinna się do tego przyzwyczajać. Jeśli będzie potrzebować pomocy, to na zatłoczonym placu przyczep w zasięgu szeptu mieszkało ponad dwadzieścia osób.

Siedziała i kiwała się dokonując analizy całego dotychczasowego życia. Czowała jak zabił ją się w niej wielka rana; pokrywa się blizną jej własnego postanowienia. Zanim poznała Weissmanów, miała tylko miłość ojca i jego surową opiekę. Teraz mogła żyć pracą u doktora Weissmana.

Musiała jednak wypłynąć na szersze wody, tam, gdzie mogłaby przetestować pewność, jaką zyskała od czasu, gdy założyła biały fartuch. Mimo że nie posiadała na czepku odpowiednich oznaczeń, zaświadczających, że ukończyła szkołę pielęgniarstwa, traktowano ją jak prawdziwą pielęgniarkę. Zdała swój własny egzamin; nowo zdobyte zaufanie do własnych umiejętności musiała poddać próbie. W jaki sposób? Jak miała tego dokonać bez Weissmanów? We troje zawiązali sprytną konspirację. Musiał istnieć sposób rozszerzenia jej. Ale jak?

Po pogrzebie z pełnymi honorami, który odbył się w kaplicy w bazie, po biurokratycznych formalnościach odwieziono ją do domu. Właśnie ukończyła osiemnaście lat, osiągając, zgodnie z prawem teksaskim, pełnoletniość, co znacznie upraszczało kwestie prawne. Nie potrzebowała opiekuna. W odpowiednim czasie mogła zainkasować ubezpieczenie ojca; jego przyczepa mieszkalna z umeblowaniem, motocykl i furgonetka marki Chevrolet należały do SueBee.

Poszła do kuchni i rozejrzała się za czymś do picia. Do połowy opróżniona butelka Seagram's stała opuszczona w kącie. Czemu nie, pomyślała. Powinna sprawdzić, jak smakuje alkohol. Nikt nie mógł jej zabronić. Nalała sobie tę samą ilość, jaką nalewał ojciec, dolała pół butelki schłodzonego 7up i usiadła na kanapie. Upiła łyk i nagle poczuła, jak się rozluźnia; ogarnęło ją przyjemne ciepło. Nie cierpiała smaku napoju, ale przypadło jej do gustu uczucie pewności i panowania nad sytuacją.

Nadszedł czas planowania. W wyobraźni wszystko, co posiadała, wysypała na stolik do kawy, po czym zrobiła remanent. Nie miała problemów finansowych. To się liczyło na plus. Nie była brzydka. Kolejny plus. Miała poważne kłopoty z czytaniem, z którym nie potrafiła sobie poradzić, toteż musiała markować. Duży minus. Po ujemnej stronie było jeszcze coś, na co zaczęła zwracać uwagę, przysłuchując się rozmowom Weissmanów. Naznaczało ją to w znacznie większym stopniu, niż niemożność odczytania słowa pisanego. Ludzie w telewizji nie mówili tak, jak ona, chyba że w programie „Grand Ole Opry”. Weissmanowie nigdy nie mówili „przyszłem”, ani „mogie”. Musiała znaleźć sposób na odmianę.

Włączyła telewizor w poszukiwaniu wzoru. Po sprawdzeniu kilku kanałów znalazła to, czego szukała. Katharine Hepburn piła szampana na przyjęciu gwiazdkowym,

rozmawiając z grupą kobiet. W podnieceniu, jakie ją opanowało, SueBee nie sprawdziła nawet tytułu filmu w programie telewizyjnym. Pobiegnęła do kuchni i zaczęła szperać w szufladzie z rupieciami, gdzie ojciec przechowywał taśmę izolacyjną, śrubokręty i wiertła. W głębi szuflady znalazła stary magnetofon, na którym puszczał kasety z muzyką ludową, kiedy pracował przy motocyklu. Pośród rupieci znalazła odpowiednie baterie i starą kasetę, załadował je do magnetofonu, po czym popędziła z powrotem do telewizora. Postanowiła nagrać wszystko, co powie Katharine Hepburn, a potem nauczy się tego na pamięć.

To był początek.

SueBee wyłączyła najnowszą kasetę z głosem Katharine Hepburn i postawiła magnetofon na podłodze obok łóżka. Po śmierci ojca przeprowadziła się do większego pomieszczenia na tyłach przyczepy. Miała tam podwójne łóżko i trzy okna. Poza tym czuła się bliżej ojca, śpiąc tam, gdzie spał przez całe życie.

Brakowało go jej, brakowało jej partnera do rozmów, mężczyzny, któremu gotowała i na którego czekała wieczorem.

Po śmierci ojca zaczęli przychodzić jego kompani od pokera; pukali w siatkowe drzwi przyczepy, chcieli, żeby SueBee ich wpuściła.

Teraz, kiedy nie opiekował się nią żaden mężczyzna, traktowali ją inaczej; zagadywali słodko, zapraszali na przejażdżkę albo do kina, czy na coś do jedzenia. Wiedzieli, o co im szło. Chcieli iść z nią do łóżka. Chcieli dotykać jej piersi i wsuwać języki w jej usta. Chcieli rozbierać się do naga, kłaść się z nią na łóżku ojca i wsuwać w nią członki.

Cóż, widziała, co można było przez to osiągnąć! Rany, ciężę, a czasem, jak sądziła, męża.

Na mężu zależało jej tak, jak na długim, włochatym ogonie. Zdążyła nagotować się i nasprzątać za pięćdziesiąt małżeństw, a miała dopiero osiemnaście lat.

Kiedy odmawiała, mężczyźni robili się wredni. Ale kto ich potrzebował? Hamowali jej pracę, zwalniali tempo realizacji planu. Zwłaszcza Elroy Tilley.

Wszyscy nazywali go Dużym Chłopcem. Miał ten sam kształt i tylko nieco mniejsze rozmiary, niż aluminiowa przyczepa Air Stream, stojąca tuż za przyczepą SueBee, gdzie mieszkał razem z dwoma jeszcze większymi braćmi. Wszyscy wiedzieli, że bracia Tilley są upośledzeni i omijali ich z daleka.

Duży Chłopiec nabrał zwyczaju przychodzenia do SueBee tuż po zmroku.

Doprowadzał ją do szału skrobaniem w siatkowane drzwi. Nie miał nawet dość manier, by przywitać się, jak należy; stał tylko i skrobał brudnymi paznokciami, patrząc, jak stoi przy zlewie i zmywa naczynia po kolacji. Miał zezowate oczy z czerwonymi obwódkami i duży brzuch, który przyciskał do siatki.

Ilekoć przychodził, mówiła mu, żeby sobie poszedł. W końcu, pewnej nocy, nie mogła znieść, że tak stoi w ciemności nie przestając skrobać. Bez ostrzeżenia podeszła i zatrzaskała mu wewnętrzne drzwi przed nosem. Nie obchodziło jej, że się wścieknie.

Przez cały następny tydzień leżała w nocy, nasłuchując jego głupiego skrobania. Kiedy nadeszła sobotnia noc, a Duży Chłopiec nie wrócił, zaczęła się uspokajać. Z

ulgą pomyślała, że wreszcie dostał nauczkę. Klepnęła w poduszkę, żeby zrobić w niej odpowiednie wgłębienie, po czym wtuliła w nią głowę.

- To strasznie kłopotliwe - powiedziała swoim najlepszym głosem Hepburn. - To wszystko jest strasznie kłopotliwe, kochanie. - Uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek nadarzy jej się okazja wypowiedzenia tych słów do drugiej osoby. Pograżyła się we śnie. Śniła, że coś szarpie za rąbek koszuli nocnej, usiłując ściągnąć ją z SueBee. Sennym ruchem sięgnęła do kostek i dotknęła czyjejs dłoni.

Usiadła jak rażona prądem. Na tle okna ujrzała potężną sylwetkę Dużego Chłopca. Pokój pachniał piwem i potem. Wyrwała mu się, szarpnęła koszulę nocną i włączyła lampę. Duży Chłopiec chrząknął ze zdziwienia i na moment zasłonił oczy owłosioną ręką. W drugiej dłoni trzymał ogromnego członka w stanie wzwodu, który wystawał z rozporzka jego brudnych dżinsów.

- Wynoś się stąd, Duży! - krzyknęła SueBee. - Wynocha, ty obleśniku!

- Przerznę cię - wybełkotał. Miał wilgotne usta i duże, ciemne kręgi potu pod pachami koszulki. Nie podchodził bliżej, tylko stał przy jej łóżku z wywieszonym członkiem.

Poczuła, że traci oddech. Strach dusił ją z taką siłą, że wiedziała, iż nie zdoła już krzyknąć. Przez chwilę myślała o tym, żeby rzucić w niego lampą, ale był to zbyt mały przedmiot, by zdołała wyrzucić mu jakąkolwiek krzywdę.

Potyając się wstała z łóżka, wycofała do kąta, aż zrozumiała, że znalazła się w pułapce. Nie mogła przebiec obok niego, ani wokół łóżka, bo zdążyłby ją złapać. Nagle wzrok SueBee padł na półkę nad łóżkiem, na której ojciec trzymał kolekcję pamiątek wojennych. Nad zakurzonymi hełmami i pasami z amunicją wisiała maczeta.

Zaczęła drzeć, rozumiejąc, że jej bezradność tylko rozjątrza Dużego Chłopca. Za chwilę rzuci się na nią i nie będzie ucieczki. Nie myśląc, sięgnęła po maczetę, zerwała ją z zardzewiałych haków i machnęła na oślep.

Duży Chłopiec nie krzyknął, w każdym razie nie natychmiast. Dopiero kiedy w powietrze trysnął obfity strumień krwi. Wtedy wydał najgłośniejszy, najżałośniejszy odgłos, jaki słyszała w życiu - ostre, przeszywające noc zwierzęce wycie. Potem padł twarzą na łóżko, przez moment dygotał, aż zamarł; Sue Bee nie wiedziała, czy stracił przytomność, czy umarł.

Dopiero, kiedy go obróciła, dowiedziała się dokładnie, co zrobiła. Przetoczył się na bok, a ona ujrzała, że wciąż trzymał w dłoni członek, w każdym razie kawałek.

Reszta stanowiła tylko zakrwawiony kikut.

W szoku przestąpiła Dużego Chłopca, zamknęła drzwi sypialni i poszła do łazienki. Czowała dziwny, oziębiający spokój, wchodząc pod gorący prysznic i patrząc, jak krew spływa wraz z wodą

Poruszając się jak robot, zdjęła z wieszaka czysty biały fartuch i włożyła go. Poszła do małej kuchenki, gdzie zaczęła wykonywać rutynowe poranne czynności, chociaż był środek nocy. Nalewając soku i zagotowując wodę na kawę, starannie unikała patrzenia w stronę drzwi sypialni. Obawiała się, że jeśli tam spojrzy, to usłyszy jakiś odgłos albo, co gorsza, zobaczy, że się otwierają. Może Duży Chłopiec

wykrwawił się już na śmierć. Może nie. Nie chciała o tym myśleć. W stanie szoku uważała, że dopóki nic nie zrobi, będzie tak, jakby nic się nie stało.

Dzwonek telefonu stojącego na kuchennym blacie przebił się przez zamglony umysł SueBee. Podeszła do niego jak lunatyczka.

Zrzuciła niestabilny telefon z blatu, podniosła go, po czym powiedziała do słuchawki:

- Mhm.

- To ty, SueBee? - Dzwonił doktor Weissman. Miała wrażenie, że jest zadyszany. - Przepraszam, że cię budzę. Ubierz się. Przyjadę po ciebie za pięć minut.

- Co? - spytała potrząsając głową próbując odzyskać jasność umysłu.

- Przyjadę karetką pogotowia. Spotkamy się na końcu alejki, dobrze?

- Co się dzieje, doktorze Weissman? Co się stało?

- Na autostradzie międzystanowej wydarzył się wypadek, niedaleko zjazdu do Wayleen. Duża cysterna złożyła się wpół i wpadła na kilka samochodów. Policja stanowa mówi, że ciała leżą rozrzucone po całej autostradzie.

- O mój Boże - krzyknęła SueBee, wreszcie w pełni przebudzona.

- Włóż fartuch, maleńka - ostrzegł doktor Weissman. - Chcę cię przeprowadzić ze sobą przez kordon policyjny.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała po sobie. Doktor Weissman uznałby ją za wariatkę, gdyby mu powiedziała, że już ma na sobie fartuch.

Recepcjoniści pracujący na nocnej zmianie w hotelu Fairmont w Dallas nie widzieli takich środków bezpieczeństwa od czasów Johnsona, kiedy w czasie wizyty prezydenta hotel roił się od agentów. W trwającej już od tygodnia konferencji uczestniczyły najwyższe osobistości z czterech kompanii wchodzących w skład Aramco. Był wśród nich nie tylko Henry Kissinger, ale także szejk Omar Zahidi Zaki, podróżujący z uzbrojoną świtą ludzi w białych szatach i groźnych okularach Ray Ban.

Spotkanie w apartamencie prezydenckim miało się zgodnie z planem zakończyć późnym popołudniem. Była jedenasta w nocy, a rozmowy wciąż się toczyły.

Rozciągający się na długość przecznicy rząd limuzyn przed wejściem czekał od wielu godzin, a kierowcy zaczęli się irytować i nudzić.

Danny Roebuck, szofer samochodu prowadzącego arabską delegację, rozpaczliwie pragnął drinka, ale wiedział, że posada w Limuzynach Królewskich była warta tego, by go sobie odmówić. Czekała go długa droga. Już od tygodnia pracował dla „ludzi w rękawkach na głowach”, jak pogardliwie nazywał stroje swoich pracodawców. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wyjedzie na szosę do Austin i pozbędzie się ich raz na zawsze. Kolejka burbona popita piwem z pewnością złagodziłaby nudę czekania.

Rzucił niedopałek do rynsztoka i syknął: „kurwa”, bo właśnie otworzyły się wszystkie przeszkłone drzwi hotelu. Przytrzymał je uzbrojeni ludzie, niektórzy w tych zwariowanych arabskich koszulkach nocnych, inni w ciemnych garniturach, z przewodami biegnącymi od uszu do dziurek od guzików. Uczestnicy konferencji przeszli przez hol i wylegli na ulicę. W grupie ludzi zmierzających wolno w jego stronę Danny dostrzegł głównego szejka, którego woził. Obiegł duży samochód i otworzył tylne drzwi. Szejk i trzech jego ludzi wsiedli do limuzyny. Danny zajął miejsce za kierownicą, zadowolony, że wreszcie mogli ruszyć.

Droga do Austin była długa i nudna. Nie dojadą przed świtem, ale co z tego: każda sekunda pracy miała teraz wartość platyny, a Danny zalegał z opłatą hipoteczną. Wprawnym ruchem wyprowadził dużą limuzynę na pustą ulicę i ruszył w kierunku wjazdu na autostradę międzystanową. Trzy pozostałe limuzyny wchodzące w skład oficjalnej ekipy szejka ruszyły za nim.

Danny zerknął w lusterko, żeby przyjrzeć się pasażerom za szklaną szybą. Trzech siedziało po obu stronach szejka, patrząc przed siebie spoza ciemnych okularów. Ochroniarz w garniturze trzymający karabin siedział na rozkładanym krzeselku. Kilka dni wcześniej Danny zapytał jednego z kierowców, o co chodziło Arabom z tymi ciemnymi okularami. Tamten nie wiedział, ale przypuszczał, że popsuli sobie wzrok od ciągłego patrzenia na piasek.

Zabawni ludzie, pomyślał. Podśledzał, że wszyscy mówili po angielsku jak Sean Connery, więc musieli chodzić do ekskluzywnych szkół. Wczoraj czytał w „Dallas Morning News”, że ten główny szejek, Omar jakimś tam, pochodził z Arabii Saudyjskiej. Był wysłannikiem króla, studiował na Harvardzie i w Oksfordzie. W gazecie pisali, że ręcznikowcy przyjechali do Teksasu za sprawą mediacji Kissingera. Spotkali się z ważniakami od ropy, żeby nakłonić rząd amerykański do cofnięcia poparcia dla Izraela. Dziwne, przecież Kissinger to Żyd i w ogóle, ale co to obchodziło Danny'ego? Żydzi, Arabowie, makaroniarze, czarnuchy... jeden pies. Dla niego liczyło się tylko to, że mieli dość forsy, by ich wozili przez cały dzień i całą noc, a po przyjeździe do Austin mógł liczyć na ładny napiwek.

Cholera, z jaką ochotą by zapalił. Całą noc na tej pieprzonej szosie! Danny pocieszał się, że nawet ci faceci musieli się czasem odlewać. Wtedy kupił kilka paczek. Może nawet strzelił sobie po kryjomu lufę.

Pasażerowie wkrótce spełnili oczekiwania Danny'ego. Kiedy światła limuzyny padły na znak PARKING WAYLEEN, bezosobowy głos z tyłu polecił Danny'emu, by zjechał na bok.

Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy może bezpiecznie zjechać na prawy pas. Ogromna, osiemnastokółowa cysterna jadąca środkowym pasem, była ostatnią rzeczą, jaką widział.

Kiedyś w telewizji pokazano wybuch propanu koło Amarillo. Jak tylko sięgało oko kamery, ziemię pokrywały wraki samochodów, poskręcany metal, śmieci i kałuże krwi. I ciała przykryte białymi płachtami. Dokładnie taki widok ukazał się oczom pielęgniarzy z pogotowia ratunkowego miasta Wayleen, kiedy wysiedli tylnymi drzwiami karetki w pobliżu zjazdu na szosę 1-40. Reflektory policyjne przecinały mrok nocy. Helikopter policji stanowej unosił się tak blisko ziemi, że nie sposób było usłyszeć nic poza jego warkotem. Kiedy doktor Weissman otworzył drzwi karetki, chłodny nocny wiatr odwiał mu włosy do tyłu. Sięgnął po wiszący na haczyku granatowy czepek pielęgniarzki i rzucił go SueBee, która stała za nim. Pilot helikoptera wyłączył silnik i usłyszała krzyki. Nie wiedziała, czy pochodziły od policjantów, czy od ofiar wzywających pomocy.

SueBee i doktor Weissman, ściskający w dłoni czarną skórzaną torbę, puścili się biegiem, potykając się na kamienistej trawie pobocza autostrady. Za nimi biegł

kierowca ze złożonymi noszami i pielęgniarz z ciężkim aluminiowym pudłem zawierającym przybory lekarskie.

W powietrzu unosił się zapach palącej się gumy, benzyny oraz słodki, mdlący odór, który znała z gabinetu, odór palącego się ludzkiego ciała. Nagle poczuła inny znany zapach, gryzącą mieszankę potu i zimnego, surowego mięsa, którą rozpoznała jako woń krwi. Ze zdumieniem spostrzegła, że brnie we krwi; oblepiała jej białe buty jak rozlana farba. SueBee i doktor Weissman podbiegli bliżej, a policjanci wskazali im wielkimi latarkami skupisko wirujących, mrugających świateł. Ludzie tłoczyli się na środku sześciopasmowej autostrady, obok olbrzymiej przewróconej cysterny, leżącej na boku jak ugodzona bestia. Odrzucona w tył wysoka stalowa szoferka przypominała skręcony kark. Pod cysterną leżała długa czarna limuzyna, której przód sterczał groteskowo w powietrzu.

- Jezus Maria! - krzyknął doktor Weissman, stając jak wryty. SueBee o mały włos na niego nie wpadła. Stała wpatrzona w złomowisko.

- Pan doktor Weissman? - zapytał gigantyczny policjant stojący po prawej.

- Tak jest. Jaka mamy sytuację?

- Cóż, limuzynę zmiotło. Cysterna wpadła w poślizg, okręciła się i przewaliła na limuzynę. Widzi pan. Wskazał na tył cysterny. - Ten duży kawał metalu oderwał się i...

- Chciałbym wiedzieć, ilu ludzi znajdowało się w tym samochodzie i czy nadal tam są - przerwał mu doktor Weissman.

- Trudno mi powiedzieć. Odcieśliśmy drzwi kierowcy. Nie żyje. Widać pasażerów z tyłu, ale dach opadł, więc...

Doktor Weissman przeszedł na drugą stronę cysterny, a pozostali ruszyli za nim.

- Widzę, że drzwi limuzyny po tej stronie są wyrwane. Czy możliwe, żeby kogoś wyrzuciło? Może ktoś jest tam w dole na poboczu?

- Nie ma mowy, doktorze. Już szukaliśmy. Jest tylko tych trzech z tyłu.

- A co z innymi samochodami?

- Zajmuje się nimi ekipa ratownicza Tempie. Lepiej skoncentrujmy się na tych gościach.

SueBee stała ściskając przód peleryny, którą narzucił na nią doktor Weissman. Z powodu wiatru i szybkości, z jaką wszyscy mówili, trudno było cokolwiek usłyszeć.

- Chodź, SueBee - krzyknął Weissman. - Jeśli ci ludzie żyją, będą w szoku.

Potrzebuję strzykawek z adrenaliną, glukozy, całego zestawu szokowego. - Wskazał na aluminiową skrzynkę. Pielęgniarz już klęczał i szarpał za klamkę samochodu.

Doktor Weissman zwrócił się do policjanta: - Jak szybko pańscy ludzie mogliby usunąć te pocięte drzwi? Muszę się dostać do tych ludzi teraz albo wcale.

W niespełna dwie minuty policjanci odcieśli drzwi. Odciegnęli je, a SueBee zajrzała na tylne siedzenie. Zobaczyła tylko coś, co przypominało stertę zmiętego prania duży stos materiału poplamionego krwią

- Na miłość boską co to jest? - krzyknęła, szarpiąc doktora Weissmana za rękaw.

- Mają na sobie jakieś szaty - odparł. - Jeden, dwóch, trzech - liczył. - Czekał, tam pod spodem jest ktoś jeszcze.

- Powinniśmy ich zacząć wyciągać - powiedział oficer do dwóch policjantów, którzy usunęli drzwi. - To nie wygląda zbyt apetycznie.

Kierowca karetki zaczął podawać SueBee lekkie, puste rurki, z których składało się rusztowanie do kroplówki. Chwytała rurki tak szybko, jak je podawał, umocowała górną klamrę i zawiesiła plastikowy woreczek z długim przewodem.

Ekipa pracowała gorączkowo, aż ze sterty skręconego metalu wyjęto wszystkie ciała. Usłyszała, jak Weissman mówił, że ktokolwiek siedział na składanym krzeselku, musiał zostać zmiażdżony, a wyglądało na to, że pozostali dwaj pasażerowie również nie żyją.

Policjant stojący przy szoferce cysterny krzyknął:

- Czy ktoś już zidentyfikował tych ludzi?

- Sprawdziliśmy numery rejestracyjne - odparł inny, trzymający przenośny telefon. - Samochód należy do wypożyczalni limuzyn z Dallas. Wynajęto go dla Aramco.

Wygląda na to, że mamy tu jakieś arabskie grube ryby. Wojskowy helikopter leci tu z konsulatu saudyjskiego w Austin.

Trzy ciała ułożono na noszach na skraju autostrady. Doktor Weissman szedł w milczeniu od jednego do drugiego, zasłaniając zmiażdżone głowy białymi płachtami.

- To koniec, SueBee - powiedział zmęczonym, pustym głosem. - Nie możemy już pomóc tym biednym draniom. Potrzebuję formularzy, które są w schowku.

- Przyniosę je - powiedziała gorliwie.

Najkrótsza droga wiodła wokół tyłu cysterny, gdzie duży arkusz blachy zwisał pod niebezpiecznym kątem. Ostrożnie obeszła w mroku jego poszarpane krawędzie.

Nagle otarła się o coś nogą. Zaskoczona, obawiając się, że straci równowagę, na moment opuściła wzrok i zobaczyła dłoń z palcami wykrzywionymi w skurczu agonii. Zmrużyła oczy, schyliła się, żałując, że nie ma więcej światła, a wtedy dłoń zacisnęła się wokół jej kostki. Nieskazitelnie biały mankiet zdawał się świecić w półmroku. SueBee nachyliła się bliżej i ujrzała pod mankietem złoty zegarek.

- Mój Boże, żyje - szepnęła. - Hej? - zawołała. Przesunęła dłońmi wzdłuż ręki, aż do metalu przygniatającego ciało. - Co z panem?

- Nie zostawiaj mnie... proszę... - wychrypiał męski głos. -Ja...

Dalsze słowa zagłuszył warkot kolejnego helikoptera lądującego na autostradzie.

Przez otwarte drzwi SueBee widziała dwóch mężczyzn ze schludnie przystrzyżonymi brodami, w ciemnych garniturach i okularach słonecznych. W panującym zgiełku nie sposób było usłyszeć żadnego wołania o pomoc. SueBee nie śmiała odejść.

- Proszę się trzymać! - krzyknęła w przestrzeń między ręką a metalem. - Postaram się stąd pana wyciągnąć. - Uklękła i wsunęła dłonie pod postrzępiony metal.

Dźwignęła ze wszystkich sił, czując, jak nabrzmiewają jej żyły na czole i szyi. Nic. Blacha nie przesunęła się nawet o centymetr. W desperacji wczołgała się między cysternę a arkusz blachy i resztką sił napała na niego.

Drgnął! Oddychała płytko, gorączkowo, żeby uspokoić panikę wzbierającą w jej piersi. Ratując nieszczęśnika w ten sposób, mogła go zmiażdżyć. Napała raz jeszcze, blacha uniosła się i odpadła.

Światła helikoptera omiotły ciało mężczyzny w białym stroju w rodzaju płaszcza i białej chuście na głowie. Jakimś cudem czarno-biały sznur mocujący chustę wciąż tkwił na miejscu.

SueBee przywarła do leżącego. Miał zamknięte oczy, a z kącików ust spływały strużki krwi i śluzu, krzepnąc na ciemnych wąsach i krótkiej brodzie. Szybkim ruchem sięgnęła do dużej żyły na szyi. Nie czuła nic, tylko zimną wilgotną skórę i kłujące włosy pod brodą. Przysunęła policzek do nosa mężczyzny. Nie oddychał. Opuściła głowę na pierś, przycisnęła ucho, nasłuchując raczej rytmicznej wibracji niż odgłosu. Cisza. Jeśli umarł, musiało się to stać w tej chwili. Jeszcze przed momentem jęczał.

Zacisnęła oczy, usiłując sobie przypomnieć obrazki z książki, którą dał jej doktor Weissman. Ujrzała pierwszą ilustrację z rozdziału o zatrzymaniu akcji serca - prosty rysunek człowieka wsuwającego palec w usta nieprzytomnej osoby. SueBee otarła palcem wskazującym krew i śluz z ust leżącego. Kolejny rysunek pokazywał, jak odchyła się głowę ofiary. Ściągnęła białe nakrycie głowy i nacisnęła na czoło. Wolną ręką uniosła mu tył szyi. Obrazki pojawiały się teraz jak na szkolnym pokazie przezroczy. Pstryk: położyła dłoń na czole mężczyzny, zatykając mu nos palcem wskazującym i kciukiem. Pstryk: przytknęła usta do jego ust. Pstryk: zrobiła wydech w jego usta, jeden drugi, trzeci, czwarty, cztery szybkie dmuchnięcia. Wzięła kolejny głęboki wdech i zaczęła po cichu skandować. „Dmuchać”. Dmuchnęła. „Przestań i powiedz «chryzantema», nasłuchując oddechu ofiary. To zajmuje mniej więcej sekundę”. Dmuchała, mówiła „chryzantema”, powtarzając te czynności tyle razy, aż zaczęło ją palić w płucach i musiała przestać.

Ogarnięta paniką ponieważ wciąż nie oddychał, przerzuciła nogę przez jego szeroką pierś. Nogi zaplątały jej się w pelerynę; rozdarła ją. Szarpnęła szatę mężczyzny, aż guziki posypały się na wszystkie strony. Położyła dłoń na dłoni i zaczęła się rytmicznie kołysać, napierając na obnażone, owłosione wgłębienie piersi mężczyzny; zwalniała ucisk i napierała znowu. Bez rezultatu.

Wyczerpała obrazki z książki. Uniosła ręce nad głowę. To już nie była jej książka; widziała, jak robił to Ben Casey. Splotła palce w jedną pięść i uderzyła w pierś ponad sercem z siłą, o którą się nie podejrzewała. Raz, drugi. Po trzecim uderzeniu mężczyźnie zagulgotało w gardle, a z ust pociekła krew. Otworzyła oczy i spojrzała w dół. Otworzył oczy. Oddychał!

- SueBee! SueBee! Gdzie ty, do cholery... - Głos doktora Weissmana dotarł do jej świadomości jak przez wielki kłęb waty. - Co, do kurwy! - Doktor Weissman przypadł do SueBee. -Jezu, dziewczyno, co tu się dzieje?

Wciąż klęcząc okrakiem na mężczyźnie, SueBee podniosła wzrok na doktora Weissmana.

- Znalazłam go tutaj - powiedziała przejęta. - Nie oddychał.

- Skąd, u Boga Ojca, wiedziałas... - Doktor Weissman ugryzł się w język, a potem krzyknął: - Nosze! Nosze! Tutaj!

Nagle otoczyły ją stopy, nogi i głosy mówiące jednocześnie. Ktoś ściągnął SueBee z leżącego mężczyzny i ułożył go na noszach.

- To tego faceta szukają - powiedział sanitariusz niosący nosze z przodu, zaczynając się ślizgać na nierównej ziemi.

- Uważaj. - Upomniał go idący z tyłu. - Uważaj.

- Kim jest ten sukinsyn, człowieku? Jakimś pierdolonym królem, czy co? - dopytywał się sanitariusz odzyskując równowagę.

- Zgadza się, człowieku. Dookoła jest niebiesko od glin, którzy go szukają. Spadają z pierdolonego nieba.

SueBee szła za nimi w stronę autostrady. Doktor Weissman szedł obok niej, próbując zbadać leżącego na noszach.

- Pochodzi z A-ra-bii - mówił pielęgniarz na przodzie. Jakiś członek rodziny królewskiej czy ktoś w tym rodzaju. Mamy go zanieść do tamtego helikoptera.

- Zalewasz, stary! To znaczy, że mamy tu jakiegoś pierdolonego czarnego króla? Ja piórkuję!

SueBee wlokła się za nimi, zastanawiając się, co by zrobili mężczyźni, gdyby odebrano im słowo „pierdolić”. Czy w ogóle potrafiliby mówić?

- Nie!

SueBee spojrzała na nosze. Mężczyzna patrzył prosto na nią.

- Nie! - wychrypiał ponownie.

- Poczekajcie! - krzyknęła do sanitariuszy, ale ci szli dalej.

- Proszę! - wołała biegnąc, żeby za nimi nadażyć. - On próbuje coś powiedzieć.

Sanitariusz na przodzie przewrócił oczami i stanął.

Leżący na noszach wyciągnął rękę i zamknął dłoń na przegubie SueBee.

Nie opuszczaj mnie - powiedział. Miał szeroko otwarte, czarne oczy. - Nie opuszczaj mnie, proszę.

- Nie opuszczę pana, sir. Obiecuję. Zabierają pana do helikoptera. Będę tuż obok - mówiła cicho. - Jest pan ranny. Ci ludzie panu pomogą.

- Nie! Chcę, żebyś ty mi pomogła.

- W porządku, w porządku. Jestem tutaj.

SueBee rzuciła spojrzenie doktorowi Weissmanowi i spytała:

- Co mam, na Boga, zrobić?

Musimy iść, dziecinko. Ten facet jest w ciężkim stanie. Odprowadź go do helikoptera; na pewno się uspokoi.

Kiedy zbliżyli się do helikoptera, podeszło do nich dwóch ludzi w garniturach; widziała, jak wylądowali wcześniej. Byli do siebie podobni, mieli ponure twarze i duże ciemne okulary. Jeden podsunął doktorowi Weissmanowi bloczek, a drugi nachylił się nad mężczyzną na noszach.

- Potrzebne nam krótkie oświadczenie, doktorze.

- Oświadczenie? - spytał z niedowierzaniem. - Tutaj? Nie ma na to czasu. Kim pan w ogóle jest?

- Pracuję dla konsulatu saudyjskiego, doktorze. Ten człowiek to szejk Omar Zaki, przedstawiciel króla. Potrzebujemy pańskiego sprawozdania dla lekarzy.

- Dokąd go zabieracie? - spytał doktor Weissman. SueBee widziała, że bynajmniej nie jest zadowolony. - Ten człowiek dopiero co przeżył zatrzymanie akcji serca!

- Tak, sir. Zajmiemy się nim.

- Niech pan posłucha, wezwano mnie do tego wypadku; mogę zostać obarczony odpowiedzialnością. Chcę wiedzieć, dokąd go zabieracie.

Zirytowany pracownik konsulatu wziął głęboki wdech.

- Samolot szejka czeka w Austin. Stamtąd przewieziemy go do szpitala akademii medycznej w Nowym Jorku, gdzie zajmą się nim lekarze saudyjskiej rodziny królewskiej. Będą obecni na pokładzie odrzutowca. Nie musi się pan niepokoić. Proszę napisać nam krótkie sprawozdanie z tego, co się stało. Doktor Weissman podrapał się w tył głowy.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, sir. Nie wiem, co się stało.

- Ale czy nie dowiedział się pan?

- Nie, sir. - Weissman uniósł podbródek w geście buntu. - Nie dowiedziałem się, za to zrobiła to moja pielęgniarka, panna Slyde. Więcej, ona uratowała mu życie.

Pracownik konsulatu wyrwał mu bloczek.

- Wobec tego ona napisze sprawozdanie - oświadczył gniewnie.

SueBee powoli wzięła bloczek. Poczula, jak wokół linii włosów zaczyna się perlic zimny pot paniki. Spojrzała na doktora Weissmana, krzyżąc bezgłośnie: „Pomóż mi! Pomóż! Wiesz, że nie umiem tyle napisać!”

Doktor Weissman spojrzał na SueBee. Czuł, że gorączkowo szuka wyjścia z sytuacji. Zdjęta wstydem, odwróciła wzrok. Oddała bloczek saudyjskiemu urzędnikowi i otuliła się zmiętą peleryną.

- Sprawozdanie nie będzie panu potrzebne, sir - powiedziała zdecydowanym tonem. - Obiecałam temu biednemu, rannemu człowiekowi, że go nie opuszczę. Lecę z wami. Położyła dłoń na ramieniu szejka Zakiego. Podniósł rękę i dotknął jej dłoni, patrząc na SueBee, jak nikt nigdy na nią nie patrzył.

SueBee i doktor Weissman szli po obu stronach noszy do helikoptera.

Widok bezradnego mężczyzny na noszach przypomniał SueBee o Dużym Chłopcu.

Szok i zamieszanie ostatnich godzin sprawiły, że umysł SueBee wyparł wszystko, co stało się przedtem. Zerknęła na doktora Weissmana. Nigdy nie umiałaby mu wyjaśnić. Mogła zrobić tylko jedno.

Nosze wniesiono do helikoptera, a SueBee wsiadła i zajęła miejsce obok nich. Doktor Weissman wsunął głowę przez otwarte drzwiczki.

- SueBee, jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - spytał z zatroskaną twarzą.

- Wiem - odparła zdecydowanie. - Ale chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił.

- Jasne - powiedział odsuwając się, żeby członek załogi mógł zacząć zamykać duże, środkowe drzwi. - Co takiego?

- Poszedł do mojej przyczepy. Tam chyba jest ktoś ranny. Na twarzy doktora Weissmana odmalowało się najwyższe zdumienie. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale duże drzwi zasunęły się, odgradzając go od SueBee. Słyszała, jak woła:

- Nie, SueBee! Nie rób tego!

Duże śmigło zaczęło wyc i stłumiło jakikolwiek inny dźwięk. Wznosili się w mrok nocy, a SueBee spojrzała w dół. Doktor Weissman machał gorączkowo, ale mała z każdą sekundą. Oparła czoło o chłodną rozedrganą szybę.

Poczuła, jak ciąży jej żołądek; helikopter nabrał wysokości, wyrównał kurs i z rykiem ruszył w noc. W dole migotały światła Wayleen. Kiedy w telewizji pokazywali Los Angeles czy Nowy Jork z lotu ptaka, światła rozciągały się na wiele mil, niczym wielki wyszywany cekinami dywan. Światła Wayleen tuliły się w skupisko jak mała migocząca chusteczka rzucona tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nigdy wcześniej nie uświadamiała sobie, jak maleńki skrawek ziemi zajmowało to miasteczko.

Pa pa, Weissmanowie - szepnęła do okna. Jej oddech tworzył na szybie mały kontur pary w kształcie ust. - Dziękuję wam za wszystko. Pa pa, Duży Chłopcze, mam nadzieję, że nie wykrwawiłeś się na śmierć. Pa pa, tato, kocham cię.

Mężczyzna leżący na noszach chrząknął cicho, gardłowo.

Niebo jaśniało, kiedy doktor Weissman zaparkował samochód na żwirowym podejździe przed przyczepą SueBee. Wszedł do środka i rozejrzał się. W zatłoczonym frontowym pokoiku nie zauważył nic podejrzanego. Przeszedł po jasnopomarańczowym dywanie, schylił się i dotknął palcem jednej z plam wielkości monety, ciągnących się od drzwi wejściowych do sypialni.

Krew, pomyślał, w dodatku świeża. Wszedł do sypialni i skrzywił się. Pokój wyglądał tak, jakby ktoś w nim zarzywał kurczaki. Łóżko, dywan, nawet ściana po prawej stronie łóżka były wymazane jasnymi smugami krwi. Ktokolwiek został tu ranny, nie wyszedł o własnych siłach; musiał mieć pomoc.

Po powrocie do gabinetu dowiedział się z elektronicznej sekretarki, że dzwonił Homer Tilley, mówiąc, że zabiera brata do szpitala. „Proszę natychmiast przyjść. Mojemu bratu ucięto fiuta”.

Doktor Weissman wiedział, że powinien powiadomić policję. Nie zrobił tego.

Rozdział siódmy

Dziennik Petera - Paryż, trzynasty czerwca 1990

Opowieść madame zawierająca najbardziej intymne szczegóły początkowego okresu życia SueBee zajęła nam tydzień. Madame posiada niezwykły talent narratorski. Najwyraźniej doskonale znała SueBee. Kiedy ją o to spytałem, odparła: „Wszystkie moje dziewczęta znałam bardzo dobrze”.

Zapytałem, czy SueBee kiedykolwiek dowiadywała się o los Dużego Chłopca. Madame odparła, że nie; powiedziała, że SueBee obawiała się, że go zabiła i miała nadzieję, że nikt z Wayleen - na przykład policja - nigdy nie dowie się, gdzie jest. Zafascynowało mnie to, co mówiła o Omarze Zakim. Kiedy pracował w ONZ w połowie lat osiemdziesiątych, przeprowadziłem z nim wywiad w jego apartamencie w hotelu Waldorf. Gazeta nazywała go „Saudyjczykiem z rozmachem”, a kiedy zobaczyłem, jak mieszka, uwierzyłem. Madame powiedziała mi, że był jej klientem przez trzydzieści lat i zamawiał dwa tuziny dziewcząt tygodniowo dla siebie, przyjaciół i współpracowników. Użyła wspaniałego sformułowania: „Zaki rozdawał kobiety jak cygara. Kiedy nacieszyłeś się swoją, mogłeś ją pstryknąć z balkonu; Zaki nie miał nic przeciwko temu. Oczywiście nikt tego nigdy nie zrobił. Nie z moimi dziewczętami!”

Zaki utrzymywał bliskie kontakty z saudyjską rodziną królewską a jego pieniądze pochodziły z handlu bronią. Wszystkie grupy terrorystyczne czy przestępcze na świecie robiły interesy z Zakim. Oczywiście najpierw musiały go znaleźć.

Madame pokazała mi z wielką dumą zegarek, który podarował jej Zaki. Już wcześniej zwróciłem na niego uwagę, ponieważ miał kilka tarcz. Każda z nich była nastawiona na czas innej strefy, by madame mogła bez trudu sprawdzić czas kraju, w jakim aktualnie znajdował się Zaki.

Na odchodnym zapytałem ją, dokąd Zaki zabrał SueBee, na co Cleo odparła: „Do Waldorf Towers”. Wstrzymałem oddech. W takim razie nie była moją Madeleine. Musiała być tą ładną blondynką w fartuchu pielęgniarki, która otworzyła mi drzwi, kiedy przyszedłem zrobić z nim wywiad. Czy Zaki, który prowadził międzynarodowe interesy, mógł chcieć, by madame o nim nie pisała (co przecież musiała zrobić)?

Czyżby to on stał za zamachem? Raczej nie, przecież nie uczestniczył w La Fantastique. Nie mógł być właścicielem zapalniczki, którą pokazała mi madame. Ale może dostał ją od SueBee? Czy ona miała powody, by zlikwidować Cleo? Może teraz, kiedy została wielką damą nie chciała, żeby świat dowiedział się o jej skromnych początkach w Teksasie, o dysleksji i obcinaniu fiutów. Może sam Mosby nie wiedział o przestępczej przeszłości żony, a była SueBee Slyde chciała, by tak pozostało.

Po powrocie do domu spostrzegłem, że konsjerżka kazała komuś zawiesić zasłony, co było bardzo miłe, aczkolwiek zbędne. Związałem je w węzeł mieszkańca kamienicy czynszowej. W dzień robi się tu gorąco. Dziś po południu mewy kłóca się o przestrzeń pod okapem; robią straszny rwetes.

Giselle, która przynosi mi pocztę razem z czasopismami od Wendy przyniosła mi dziś świeży chleb.

W przyszłym tygodniu zainstaluję tu faks, żeby wysyłać Wendy notatki. Dostaję paranoi, przechowując jedyne egzemplarz w tym łatwopalnym pomieszczeniu. Mam karaluchy - duże, czerwone, francuskie okazy, które latają. Dzisiaj podczas przerwy wspomniałem o nich madame. Była tym oburzona. Zadzwoiła do madame Solange; najwyraźniej pozostają w bardzo bliskich stosunkach. Kiedy skończyła rozmawiać, zapytałem, czemu taka stara kobieta zajmuje się domem, na co usłyszałem:

- Zainstalowałam ją tam wiele lat temu, kiedy przeszła na emeryturę. Solange też była madame.

Dzisiaj zadzwonili do mnie z policji i powiedzieli, że sprawdzili numery rejestracyjne samochodu napastników. Wypożyczono go na skradzioną kartę kredytową pracownika pewnej włoskiej firmy. Poprosiłem kumpla z rzymskiej „Corriere de la Sera”, żeby sprawdził tę firmę. Zakończyła działalność dwa lata temu.

Jutro madame zamierza mi opowiedzieć o dziewczynie imieniem Sandrine i o tym, jak złapała Jourdana Garna. Mimo że nie mogę się doczekać, aż Cleo zacznie mówić o własnej przeszłości, bardzo chcę usłyszeć jutrzejszą opowieść. Wiem, oczywiście, kim jest Garn; któż nie wie? Należy do dziesiątki naszych najbogatszych ludzi, a wtajemniczeni wiedzą też, że jest pierwszej klasy skurwielem. Z przyjemnością się dowiem, jak ta dziewczyna go złapała. Kiedy spytałem o to madame, odparła:

- Posłużyła się najszybszą i najstarszą ze znanych sztuczek. Siedzę, wyglądając na jasne paryskie niebo, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni są głupcami i uzależnionymi od seksu mięczakami? Czyżbyśmy padli ofiarą jakiegoś gigantycznego oszustwa, za pomocą którego wpojono nam przekonanie, że sprawujemy kontrolę nad światem? Im dłużej słucham madame Cleo, tym mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że nie mamy władzy i nigdy tak nie było. Sandrine była jedynym, nieśmiałym dzieckiem projektantki mody Tity Mandraki. Jej matka nie była sławna, ale rozpaczliwie jej na tym zależało; wiele czasu i energii poświęcała na szukanie mężczyzny, za którego mogłaby wyjść. Pierwszy, na którego zagięła parol, Otto Mandraki, był stary i bogaty - idealny kandydat, który zbił majątek na imporcie orientalnych dywanów. Wkrótce po zawarciu z nim znajomości Tita zaszła w ciążę, co oboje kochanków wprowadziło w ekstatyczną radość. Otto był zachwycony, ponieważ nie miał dziecka. Tita była w siódmym niebie, ponieważ dziecko zapewniało jej bezpieczeństwo finansowe.

Kiedy Sandrine miała cztery lata, jej ojciec padł twarzą na talerz małż w białym winie w klubie Lotos i zmarł, zanim pielęgniarze karetki pogotowia zdążyli wynieść nosze z windy towarowej. Zostawił więcej pieniędzy, niż wdowa potrzebowała, by rozpocząć karierę artystyczną, a także okazały spadek powierniczy dla ubóstwianej córeczki. Odsetki ze spadku miały przypadać Ticie do czasu, kiedy córka ukończy dwadzieścia pięć lat; Otto uważał, że do tego czasu wyjdzie za żonę i chciał, by dysponowała własnymi pieniędzmi. Spadek miał wtedy przypaść w udziale Sandrine.

Tita niezwłocznie przeniosła się do mieszkania na poddaszu w SoHo z córką i Martą Dyer, niańką Sandrine od początku jej życia.

Mieszkanie Tity stało się salonem odwiedzanym przez ludzi, którzy lubią się kręcić wokół artystów. Ticie nie brakowało talentu, a przy pomocy nowych przyjaciół zaczynała zdobywać pewien rozgłos.

Zanim Sandrine skończyła sześć lat, matka zdążyła poślubić i rozwieść się z trzema kolejnymi mężczyznami, z których każdy był młodszy od poprzedniego. Kiedy Sandrine skończyła osiem lat, osobliwa kolekcja Tity przyniosła jej sławę. Wkrótce po kolejnym rozwodzie przeniosły się do olbrzymiego apartamentu na poddaszu przy Park Avenue. Sandrine miała wreszcie własny pokój, a Marta służbówkę za kuchnią.

Dzieciństwo Sandrine było samotne. Nigdy nie zbywało jej na materialnych wygodach, ale wkroczyła w wiek młodzieńczy z uczuciem, że żyje na ruchomych piaskach, padając ofiarą zmiennych nastrojów, kaprysów i niespożytego zapалу matki. Jedyną rzeczą, która sprawiała dziewczynce przyjemność, były lekcje baletu klasycznego, które Tita uważała za część „treningu”. Kiedy jednak Sandrine weszła w wiek dojrzenia, a jej uroda rozkwitła w pełni, Tita zaczęła otwarcie rywalizować z córką. Lekcje baletu skończyły się. Sandrine wycofała się w książki i naukę; Marta Dyer musiała jej tłumaczyć wciąż zmieniający się system wartości, według którego żyła Tita.

Miała dwadzieścia jeden lat, kiedy ktoś inny niż niańka Marta powiedział Sandrine, że ją kocha. Było to najbardziej doniosłe doświadczenie jej życia.

Sandrine obserwowała uciekający krajobraz, usiłując się uspokoić. Na pociągowym siedzeniu obok niej spał spokojnie najpiękniejszy chłopiec, jakiego widziała. Poznała Jameya Graingera w pierwszym tygodniu ostatniego roku studiów w Hammelburg College. Od tamtej pory rzadko się rozstawali. Razem jedli, uczyli się i, ku radości Sandrine, sypiali ze sobą, kiedy mogli. Chociaż nie była już dziewczicą, nigdy wcześniej nie czuła się chciana, ceniona i kochana.

Musiała zadać sobie sporo trudu, żeby skontaktować się z matką i powiedzieć jej, że zaprosiła Jameya do domu na Gwiazdkę. Tita stale była w rozjazdach. Wreszcie, po tygodniu, Sandrine udało się ją znaleźć. Matka okazała pewne zdziwienie - Sandrine nigdy nie przyprowadzała chłopców do domu - ale także zadowolenie. Zakończyła rozmowę mówiąc, że umówiła się z kimś na lunch; Sandrine wiedziała, że miała znać tego człowieka i być pod wrażeniem. Nie była. Żadna z rzeczy mających dla matki znaczenie - przyjęć, ludzi, nazwisk, egzotycznych domów w modnych miejscach, plotek towarzyskich - nie robiła na Sandrine wrażenia. Biła z tego pustka. Jediną rzeczą, jaka liczyła się dla Sandrine, był Jamey. Przed pokazaniem go w domu pękała z dumy i niepokoju. Na samą myśl o przedstawieniu go matce pocily jej się dłonie.

Chciała, żeby wszystko wypadło doskonale, ale wiedziała, że prawdopodobnie tak się nie stanie. Od września matka żyła z pewnym Włochem, którego przywiozła z Rzymu. Był wysoki i lśniący. Miał lśniącą, ciemną skórę, lśniące czarne oczy i włosy. Nosił jedwabne lśniące marynarki, nie wsuwał rąk w rękawy i palił papierosy, trzymając je w dwóch środkowych palcach ze lśniącymi paznokciami. Sandrine zapałała do niego nienawiścią od pierwszego wejrzenia. Nie powiedziała Jameyowi o Vito, lśniącym Włochu, mając mimo wszystko nadzieję, że on wyjedzie na święta.

Pociąg mknął przez zimowy krajobraz Nowej Anglii, a Sandrine wyobraziła sobie Jameya i siebie pośród nagich drzew miasteczka uniwersyteckiego, gdzie spacerowali tego ranka. Oczami wyobraźni ujrzała ich schłodzone słowa unoszące się przed nimi w małych obłoczkach.

- Kocham cię, Sandrine - powiedział biorąc ją w ramiona. Powtarzanie sobie tych słów dodawało jej otuchy; mówiła sobie, że na Park Avenue nie będzie żadnych niespodzianek. Matka polubi Jameya, on polubi matkę, a ona sama uwolni się od niepokoju i nacieszy do syta najcudowniejszą rzeczą, jaka jej się przydarzyła. Dopiero po pewnym czasie zdołała go namówić do spędzenia z nią części świąt w domu rodzinnym. Skusiła go obietnicą, że odwiedzą lokale w SoHo, w których bywali artyści. Zgodził się spędzić z nią pierwszy tydzień ferii w Nowym Jorku, a potem miał pojechać do rodziny do Bostonu.

Spojrzała na śpiącego towarzysza podróży i uśmiechnęła się. Jamey skrzyżował ręce na zielonym swetrze L. L. Bean, który zamówiła dla niego na Gwiazdkę. Pod zamkniętymi powiekami okolonymi czarnymi rzęsami kryły się oczy w kolorze ciemnej zieleni, identycznej z odcieniem swetra. W obecności Jameya Sandrine czuła, jakby dokonała czegoś niezwykłego, jak schwytanie jednoroźca. Na jego widok swędziały ją opuszki palców. Pragnęła zanurzyć dłonie w gęstych ciemnych włosach, przytulić twarz do ciepłej, pachnącej cynamonem skóry między szyją a ramieniem.

- Jamey - szepnęła i pogładziła ukochanego po policzku, ulegając nieodpartej pokusie dotknięcia go. Poruszył się, nachylił do Sandrine i objął ją w pasie. W ciągu pierwszego miesiąca znajomości nie rozmawiała z nim o matce. Jamey oczywiście o nią pytał, ale Sandrine uciniała temat, twierdząc, że takie rozmowy ją nudzą. Nie lubiła, kiedy ludzie zachowywali się głupio, słysząc o sławie Tity i nie chciała patrzeć, jak z Jameyem dzieje się to samo. Kiedy zrozumiała, że interesowały go jedynie związki jej matki ze światem sztuki, zaczęła się otwierać i opowiadać o ich napiętych stosunkach.

Podczas jazdy taksówką ze stacji Grand Central Sandrine milczała. Potrafiła myśleć tylko o tym, jak wyglądało mieszkanie, kiedy je opuszczała. Na dzień przed wyjazdem dostarczono jakąś dziwną nagą rzeźbę, którą matka zamówiła w Rzymie. Leżała w foyer, czekając, aż złoży ją Włoch; miedziany tors pene complemento w jednym miejscu, stalowe pośladki w drugim. Dla dopełnienia efektu Tita zamówiła wysokie onyksowe wazony pełne spryskanych złotą farbą trzciny; całość, zdaniem Sandrine, wyglądała po prostu wulgarnie. Mogła jednak liczyć na jedno, i tylko to napawało ją otuchą: artystyczne kaprysy matki były równie zmienne, jak jej nastroje. Jeśli istniał Bóg, zarówno Włoch, jak i wystrój, zostały już wymiecione z mieszkania.

Sandrine i Jamey wysiedli z taksówki, a odźwierny uchylił czapki.

- Witamy w domu, panno Sandrine - powiedział z silnym irlandzkim akcentem.

- Dziękuję, Jimmy - odparła z uśmiechem.

- Proszę mi to dać. - Schylił się i wyjął z bagażnika plecak Jameya i jej małą torbę.

- Czy moja matka jest w domu? - spytała, kiedy szli za odźwiernym przez hol do windy.

- Nie wiem, panienko, miałem przerwę. Ale panna Marta jest na górze. Właśnie posłałem tam kolejną partię zakupów.

Weszli do windy, a Sandrine pozdrowiła windziarza w mundurze.

- To robi wrażenie - powiedział Jamey rozglądając się po wyłożonej mahoniem windzie.

- To cudowny, stary dom. Nasze mieszkanie należało kiedyś do rodziny Roebling, która zbudowała Most Brookliński - oznajmiła z dumą. - Jest dla nas za duże, ale matka lubi przestrzeń.

- Od jak dawna tu mieszkacie? - spytał obejmując ją w pasie.

- Wprowadziliśmy się po śmierci ojca - skłamała. - Dawno temu. - W rzeczywistości matka zdobyła mieszkanie po paskudnym, szeroko nagłościonym rozwodzie z jednym z mężów; nigdy się o tym nie mówiło. Sandrine nie musiała się przynajmniej obawiać, że matka skoryguje jej kłamstwo; Tita sama kłamała na ten temat.

Sandrine weszła do apartamentu, ale nie odważyła się spojrzeć. Otworzyła oczy, dopiero, kiedy usłyszała okrzyk Jameya.

- Kurczę! To jest piękne!

Przez chwilę myślała, że pomyliła mieszkania. Wystrój olbrzymiego foyer został całkowicie zmieniony; przypominał teraz scenografię teatralną. Zniknęły dziwaczne rzeźby i wazony z trzciniami. Wzdłuż ścian ustawiono tuziny srebrnych koszów wiklinowych z paprociami i ostrokrzewem. Na środku owalnego pokoju stała

choinka tak gigantycznych rozmiarów, że musiano ją opuścić z dachu. Drzewko przystrojono setkami białych porcelanowych aniołków i starych drewnianych ozdób. Całość zdawała się wisieć we mgle anielskiego włosia i płataninie lampek wielkości i jasności jednokaratowych diamentów.

Balustradę balkonową biegnącą wzdłuż trzech ścian foyer przystrojono grubymi girlandami wiecznie zielonych roślin, przewiązanych wielkimi białymi kokardami z mory. W mieszkaniu rozbrzmiewały dźwięki orkiestry symfonicznej, która cicho grała kolędy. Sandrine nie wierzyła własnym oczom.

- Chodź - powiedziała próbując ukryć zaskoczenie. - Coś cudownie pachnie.

Zobaczmy, co Marta szykuje w kuchni.

Serce Sandrine przepęliło uczucie ulgi, kiedy prowadziła ukochanego długim holem oddzielającym kuchnię od reszty pokoi na pierwszym piętrze. Jaki cud się wydarzył? Mieszkanie wyglądało jak angielska pocztówka gwiazdkowa; zawsze marzyła o takiej Gwiazdce i nigdy jej nie miała. Tita nie przywiązywała wielkiej wagi do świąt; nigdy, przenigdy nie miały choinki. Kiedy Sandrine była mała, Boże Narodzenie spędzały we Włoszech, Hiszpanii czy Nassau, zależnie od tego, czego chciał aktualny mężczyzna Tity. Kiedy dorosła, najprzyjemniejsze święta spędzała z Martą. Szły Piątą aleją na Pasterkę do Świętego Patryka. Sandrine nie była katoliczką, w ogóle nie była religijna; jednak Marta, jako komunikantka, zawsze miała bilety na sumę. Po mszy, ubrane w koszule nocne, siadały przed kominkiem w bibliotece, piły czekoladę na gorąco i jadły małe kanapki z kurczakiem. Dopóki żył starszy brat Marty George, przyłączał się do nich. Siedząc tak przy ogniu, z mężczyzną i kobietą, którzy kochali się i szanowali nawzajem, Sandrine udawała, że ma rodzinę. Tylko wtedy się tak czuła i wspomnienia te miały dla niej wielką wartość.

Pchnęła podwójne wahadłowe drzwi kuchenne i ujrzała Martę stojącą przy dużym czarnym piecu; miała czerwoną twarz i wyglądała na nieco zmęczoną. Przy pieńku rzeźniczym uwijało się trzech biało odzianych mężczyzn w kucharskich czapach, którzy kroili i układali na srebrnych tacach wielkie wędzone łososie.

Marta spostrzegła Sandrine w przejściu i w zachwycie uniosła w górę ręce.

- Dreennie! - krzyknęła uśmiechając się szeroko. - Wróciłaś!

- Dreennie? - spytał chichocząc Jamey.

- To moje imię niemowlęce, tylko Marta mnie tak nazywa - rzuciła przez ramię, a potem odwróciła się do Marty i powiedziała z dumą: - Marto, chciałabym, żebyś poznała mojego przyjaciela, Jameya Graingera.

Marta wytarła dłonie o fartuch i podała jedną Jameyowi. Jak się pan miewa, panie Grainger - zwróciła się do niego z należytą uprzejmością.

- Dzień dobry, Marto - odparł Jamey z uśmiechem, energicznie potrząsając jej dłonią. - Wspaniale tu pachnie.

Marta odgarnęła jasny kosmyk włosów z niebieskich, świdrujących oczu.

- Te piece buzują przez cały dzień - powiedziała zmęczonym głosem. - Cztery indyki, cztery szynki. Upiekłam już pół tuzina ciast, a jeszcze tyle mam to zrobienia.

- Dobry Boże, Marto! - zaśmiała się Sandrine. - Przyjechaliśmy tylko na kilka dni.

Jak myślisz, ile zdołamy zjeść?

Marta przyglądała jej się przez chwilę ze zdziwieniem, a potem powiedziała:

- Cóż, na przyjęcie przychodzi setka gości, a dalszych pięćdziesięciu na tańce. Mam nadzieję, że wystarczy jedzenia.

Sandrine poczuła, że twarz zaczyna ją palić.

- Ach... oczywiście - powiedziała słabo. - Chyba zapomniałam. - Wyprostowała się i uśmiechnęła wymuszenie. - Gdzie jest matka?

- Oczywiście u fryzjera - odparła Marta. - Obiecała, że wróci na szóstą.

- Zejdziemy ci teraz z drogi, dobrze? - Sandrine nachyliła się i pogładziła Martę po policzku, czując słaby zapach pudru z talkiem.

- Dobrze, kochanie. Witaj w domu.

- Dzięki - powiedziała niepewnie Sandrine. Zaprowadziła Jameya do biblioteki.

Gdyby zjrzała tam wcześniej, nie miałyby wątpliwości, że Tita planowała przyjęcie. Jakaż była głupia, myśląc, że wielkie przygotowania miały związek z jej przyjazdem. Obok kominka ustawiono bar, a między oknami wychodzącymi na Park Avenue zainstalowano podest dla orkiestry. Ogarnęły ją wątpliwości, czy matka w ogóle pamiętała o jej przyjeździe.

Posadziła Jameya z piwem przed wiadomościami o piątej, a sama wróciła przez spiżarnię. Marta stała przy pieńku rzeźniczym i sprawdzała długą listę z jakimś mężczyzną w smokingu.

- Przepraszam, Marto, czy możesz tu pozwolić na sekundę? - spytała cicho od drzwi.

- Oczywiście, kochanie - odparła Marta nie podnosząc wzroku. Przeprosiła mężczyznę i dołączyła do Sandrine w spiżarni.

- Przywiozłaś bardzo przystojnego młodzieńca. Zastanawiam się, gdzie go umieścić. Dwie dodatkowe sypialnie są pełne rzeczy, które przenieśli z parteru. Jest pokój gościnny, ale chyba potrzebowałabym pomocy, żeby wynieść z niego manele twojej matki.

- Dlaczego nie przygotowano pokoju? - spytała Sandrine marszcząc brwi.

- Ależ kochanie, nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz z gościem. Gdybyśmy wiedzieli...

- Mówiłam matce - powiedziała ostro. - Mówiłam jej to kilka tygodni temu! - Zdała sobie sprawę, że podnosi głos.

- Tak? - Marta wzruszyła ramionami. - Cóż, ona nic mi nie powtórzyła.

- Marto, czy ten Włoch wciąż tu jest?

Marta zaczęła układać srebrne widelce w równym, całkowicie zbędnym rzędku.

- Marto?

- Poszedł sobie - odparła matowym głosem, nie podnosząc wzroku. Potem dodała: - Dzięki Bogu.

- Kiedy?

- Mniej więcej miesiąc temu.

- Czy było... no, wiesz... źle?

Widelce leżały w równym rzędku, a Marta rozejrzała się za kolejną czynnością.

Sandrine widziała, jak oczy niani napelniają się łzami.

- Och, Dreenie - powiedziała w końcu, przygryzając dolną wargę. - O mały włos nie odeszłam. Wyobraź sobie, po tylu latach.

- Co się stało?

- Okropne bijatyki. Wrzaski w środku nocy. Trzaskanie drzwiami. Znasz mnie, Dreenie, nigdy nie podsłuchuję, to nie moja sprawa, ale mój pokój jest tuż obok, w końcu korytarza, musiałam słyszeć. Ten człowiek był prawdziwą pijawką. Pożyczył od twojej matki pieniądze, posługiwał się jej nazwiskiem, żeby brać sobie rzeczy za darmo. Zaprosił jakieś młode kobiety do Le Club na rachunek twojej matki. Kiedy zobaczyła, ile wydał... cóż...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała jej Sandrine. - Zbyt dobrze to znam.

- Podoba mi się twój młodzieniec - powiedziała Marta zmieniając temat, czego obie pragnęły.

- Prawdą że jest cudowny? - spytała Sandrine z ożywieniem.

- Owszem. Jesteś zakochana?

- Chyba tak - odparła z uśmiechem. - Chyba naprawdę jestem.

- Tworzycie wspaniałą parę.

- Dziękuję, Marto - powiedziała cicho Sandrine. - Jestem naprawdę szczęśliwa.

- Najwyższy czas - stwierdziła niania z konspiracyjnym uśmiechem. Delikatnie założyła sięgające ramion włosy Sandrine za jej prawe ucho. - Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przyprowadzisz mężczyznę do domu.

- Przez ciebie się rumienię.

- Denerwujesz się przed przedstawieniem go matce, prawda, kochanie?

Sandrine wpatrzyła się w kafelki podłogi, kiwając powoli głową.

- Wiesz, jaka ona jest. Nie polubi Jameya.

- Dlaczego tak mówisz, kochanie?

- Po prostu wiem. Znasz ją.

- Dreenie, jeśli jesteś na tyle odważna, żeby przyprowadzić go do domu, jesteś dość odważna, żeby zignorować jej zdanie.

- Nie jestem odważna, Marto. Jestem zakochana.

- W tym też jest pewien rodzaj odwagi, Sandrine. Zajmij się teraz swoim mężczyzną, a ja wrócę do pracy. Twoja matka za chwilę wróci do domu, a ja nawet nie zabrałam się za sałatki.

Tita już wróciła do domu.

Kiedy Sandrine weszła do biblioteki, matka siedziała na drugim końcu sofy i była pogrążona w rozmowie z Jameyem. Dyskutowali o sztuce.

Ten wieczór był ostatnim dniem świąt, w którym Sandrine spędziła więcej niż kilka minut sam na sam z Jameyem.

Wiosna miała być najbardziej ekscytującym okresem w życiu Sandrine. Za niewiele ponad miesiąc skończyła studia. Cały świat miał stanąć przed nią otworem, przed nią i Jameyem. Wiosną świat Sandrine zawalił się.

W sinym świetle wilgotnego kwietniowego poranka Sandrine siedząc przy brudnym parapecie pokoju w akademiku, odrętwiała z upokorzenia, obserwowała scenę rozgrywającą się pod oknem i z całego serca pragnęła zniknąć.

Nie, pomyślała, zniknięcie nie wystarczy. Chciała umrzeć.

W dole, przy chodniku, stała limuzyna matki, w której lśniącym dachu odbijały się sunące chmury. Tita Mandraki uwijała się po chodniku, wydając rozkazy dwóm ludziom, którzy pakowali rzeczy Jameya do bagażnika.

Tita Mandraki nie tyle biegła, co rzucała się krótkimi, szybkimi, silnymi ruchami, które irytowały obserwatora. W swoich najwcześniejszych wspomnieniach Sandrine widziała matkę rzucającą się po studio, by nałożyć czerwoną smugę na rozwieszonym u sufitu płótnie lub skaczącą zwinnie po nasłonecznionym apartamencie, by udrapować szyfonowy szal na szyi manekina. Rzucała się, latała, poruszała z energią, która całkowicie rozpraszała uwagę. Hipnotyzowała jak koliber. Zwiewną szkarłatną pelerynę Tity zdobiły lisie ogony długości stopy. Co pewien czas zatrzymywała się, by poprawić materiał, wyrzucając lisie ogony w powietrze. Włosy Tity miały barwę magenty. W okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy ukradła jej Jameya, miała włosy koloru bakłażanu.

Z ukłuciem bólu Sandrine przypomniała sobie tył głowy matki, siedzącej na kanapie w bibliotece z Jameyem. Bakłażan rozprawiający z namaszczeniem o sztuce. Taki był początek koszmaru. Oniemiała, bezradna, nie dowierzająca Sandrine przelykała gniew, podczas gdy matka mordowała jej duszę.

Tita śmiała się, chichotała, szczebiotała; mówiła Jameyowi, że po kształcie jego dłoni poznaje, jaki z niego wspaniały artysta; ujmowała dłonie jej ukochanego.

- Jeszcze szampana, Jamey? - pytała patrząc mu w oczy wielkimi ciemnymi oczami o srebrnych powiekach. - Zatańczysz ze mną, Jamey? - domagała się, opierając długą białą rękę na jego tweedowej marynarce J. Press, zginając palec w przyzywającym, usidlającym geście. Tej pierwszej nocy, nocy przyjęcia, Sandrine pobiegła w końcu do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz, a na dole, gdzie pulsowała muzyka, Tita Mandraki, artystka, projektantka, osoba z towarzystwa i złodziejka, odbierała córce jedynego mężczyznę, którego ta kiedykolwiek kochała. Sandrine sądziła, że matka chce się tylko przed nią popisać na przyjęciu, ale powolne zabijanie trwało przez siedem upiornych dni. Nawet wtedy się nie skończyło. Jamey został. Na domiar złego zachowywał się tak, jakby nic się nie stało; odnosił się do Sandrine jak dawniej, całował ją na dobranoc i na dzień dobry.

Po kilku początkowych dniach tortur Sandrine pobiegła z płaczem do Marty, błagając ją, by kazała matce przestać. Marta przynajmniej potwierdziła, że Sandrine nie uległa złudzeniom, jednak nic nie mogły poradzić.

Do Sandrine dochodziły dźwięki „Only the Lonely” Roya Orbisona, dobiegające z sąsiedniego pokoju. Dręczące słowa rozdzierały jej serce. Opuściła głowę na kolana, wspominając głos matki, która bezlitośnie i przebiegle odbierała jej Jameya.

- Jamey, chcę, żebyś dzisiaj zobaczył moje studio. Sandrine może pójść na zakupy. Moje stare studio nudzi ją śmiertelnie.

- Czy jeździsz konno, Jamey? Wybierzmy się na przejażdżkę po parku. Sandrine nie cierpi koni.

- Jamey, jem dziś lunch z Andym Warholem, czy chciałbyś go poznać? Zarezerwuję dla naszej czwórki stolik w Côte Basque na dwunastą trzydzieści. O, Boże, zapomniałam, umówiłam Sandrine z dentystą... na pierwszą.

Oczywiście, że Jamey chciał obejrzeć jej studio. Oczywiście, że chciał się wybrać na przejażdżkę konną po parku. Jaki początkujący artysta przy zdrowych zmysłach nie chciałby poznać Andy'ego Warhola?

Sandrine poszła do dentysty, ale po powrocie do domu zastała tam tylko Martę. Matka i Jamey wrócili grubo po północy. Rano nie było ani jego, ani matki. Sandrine położyła się po śniadaniu do łóżka, a o dziesiątej miała czterdzieści stopni gorączki. Marta opiekowała się nią przez resztę świąt, a kiedy gorączka wreszcie ustąpiła, powiedziała jej. Jamey i matka pojechali na Antiguę.

Sandrine uniosła głowę, żeby zobaczyć, jak z akademika wynoszą wielki kufer firmy Mark Cross należący do Tity.

Z pewnością był wyładowany rzeczami Jameya. W dalszej kolejności dozorca akademika i szofer limuzyny znosili po schodach mural, który Jamey zaczął malować przed świętami. Od tamtej pory nawet go nie tknął. Sandrine wiedziała, że za chwilę wyjdzie Jamey i nie mogła tego znieść.

Powlokła się na skotłowane łóżko. Na stoliku nocnym stała buteleczka Valium, którą zabrała z apteczki matki. Przynajmniej nie będzie musiała o tym czytać w kronikach towarzyskich i prasie bulwarowej. Nie będzie musiała świecić oczami przed znajomymi z roku i reporterami, którzy pojawiali się, ilekroć matka robiła coś skandalicznego. Nie musiała nawet pisać listu. Marta, jedyna osoba, którą to obejdzie, zrozumie, dlaczego Sandrine to zrobiła.

Instytut Grossmana w Pawling w stanie Nowy Jork utrzymywał całodobową straż wokół budynku nie tyle po to, by strzec pacjentów, ale by nie dopuszczać fotoreporterów z „National Enquirer”, „People” i „Star”.

Dopiero po blisko dwóch dniach licznych telefonów do bogatych i sławnych przyjaciół Ticie Mandraki udało się umieścić córkę w szpitalu. Gdyby Sandrine nie znajdowała się w stanie graniczącym ze śpiączką, Tita nie zdołałaby dokonać tego niemożliwego wyczynu. W końcu jednak przy pomocy lekarza i dwóch pielęgniarki z prywatnej karetki pogotowia przewieziono dziewczynę z lecznicy uniwersyteckiej do prywatnego szpitala psychiatrycznego.

W pierwszym tygodniu pobytu w instytucie Sandrine tylko spała. Spotkania z doktorem Herbertem Epsteinem zaczęły się w drugim tygodniu. Przed pierwszą sesją doktor wezwał matkę.

Był późnowiosenny poranek. Szum wentylatora stanowił jedyny odgłos w bibliotece-salonie, gdzie doktor Epstein siedział zgarbiony na obitej perkalem kanapie, czytając w skupieniu notatki sporządzone po pierwszym spotkaniu ze sławną projektantką.

Tita Mandraki była olśniewającą, kokieterijną, przesadnie czarującą kobietą. Oznajmiła mu, że kryzys córki przerwał jej miesiąc miodowy, ale zapewniła jednocześnie, że jej ostatnie małżeństwo w żadnym wypadku nie mogło stanowić przyczyny. Powiedziała, że nie miała pojęcia, czemu dziewczyna chciała się zabić; miała doskonale stopnie, cieszyła się popularnością wśród rówieśników, chociaż nawiązywanie trwałego związku z młodym mężczyzną nie przychodziło jej łatwo. Pomimo iż nieco zamknięta w sobie i nieśmiała, nigdy nie miała problemów psychicznych, nie nadużywała alkoholu ani narkotyków.

Matka miała denerwujący brak zdolności do siedzenia na miejscu; podczas rozmowy chodziła po małym gabinecie, krzyżując ręce na czymś, co wyglądało jak bardzo

drogi kostium. Z uporem twierdziła, że ich związek cechowała miłość i ciepło. Według jej słów, Sandrine była idealnym dzieckiem.

Pomijając kwestię dobrych stopni, doktor Epstein nie wierzył w ani jedno słowo kobiety.

Sięgał właśnie do szuflady po puszkę z tytoniem fajkowym, kiedy zabrzączał telefon.

- Kochanie? Czy przeszkadzam? - spytała jego żona.

- Oczywiście, że nie, Sheila. Właśnie czekam na kolejną pacjentkę. To ta córka projektantki, którą tak się podniecałaś.

- Tita Mandraki! Właśnie w tej sprawie dzwonię - powiedziała podekscytowanym głosem Sheila. - Czy masz tam najnowszy numer „Time'u”?

- Poczekaj - powiedział Epstein. Nachylił się i przewertował stertę czasopism na stoliku do kawy. Wyjął „Time” i sprawdził datę. - Mam.

- Otwórz na stronie sześćdziesiątej siódmej, rubryka „Ludzie”. Zdjęcie ślubu Tity Mandraki w Aspen.

- Poważnie? - spytał bez entuzjazmu, otwierając gazetę. - No więc? Wiedziałem, że niedawno wyszła za mąż.

- Popatrz na pana młodego.

Epstein złożył gazetę i podniósł do stojącej po lewej stronie lampy. U góry strony z kroniką towarzyską widniało małe kolorowe zdjęcie. Tita Mandraki w długiej jedwabnej tulei kremowego koloru, z welonem wpiętym w lśniące, ciemne włosy patrzyła w oczy wysokiego, przystojnego młodego mężczyzny. Bardzo młodego mężczyzny, zauważył Epstein.

- Interesujące.

- Herb! Przyjrzyj mu się, na miłość boską. Jest młodszy niż Daniel! - wykrzyknęła. Ich syn, Daniel, studiujący medycynę na uniwersytecie Cornell, właśnie skończył dwadzieścia pięć lat.

- Skąd wiesz? - spytał Epstein celowo oponując. Jego żona miała zwyczaj wyciągania pochopnych wniosków, jeśli idzie o ludzi. Fakt, że zazwyczaj miała rację, tylko wzmagił jego figlarną potrzebę nakłaniania żony do udzielania wyjaśnień.

- Przeczytałam artykuł pod zdjęciem - powiedziała cierpliwie, niezwykle z siebie zadowolona. - Ma dwadzieścia dwa lata, a ona, mój drogi, czterdzieści pięć.

- Hmm - mruknął.

- A ile lat ma jej córka?

Epstein przewrócił kartkę notatek i przeczytał u góry strony.

- Zobaczmy... też ma dwadzieścia dwa lata. - Ponownie podniósł gazetę i przeczytał na głos podpis pod zdjęciem. - Jamey... Jamey Grainger. Student akademii sztuk pięknych, Hammelburg College. Cichy ślub.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? - spytała żona.

- Dziękuję, kochanie. Bardzo, bardzo mi pomogłaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła ze śmiechem. - Nie zapomnij o Dickersonach, o ósmej. Gospoda Pod Czerwonym Dylizanssem. Zapraszają nas, to rocznica Heleny i Teda.

- Mhm - mruknął znowu, nie odrywając wzroku od zdjęcia. - Tak.

Skończył nabijać fajkę, zapalił i zaciągnął się głęboko. Może teraz, pomyślał, mam się czego trzymać.

Sekretarka Epsteina postawiła na stole w bibliotece cały serwis do herbaty: porcelanowe filizanki, srebrny czajniczek, cukiernicę, dzbanuszek do śmietanki i porcelanowy talerz pełen herbatników. Zawsze uważał, że przyjmowanie pacjentów w tych warunkach nie jest w pełni profesjonalne, ale zarząd instytutu kładł nacisk na luźną, nieformalną atmosferę. Prywatne sanatorium usprawiedliwiało astronomiczne ceny zapewnianiem swoim „klientom” domowej atmosfery, w której „pacjentów”, jak informowały broszury, „traktowano jak gości”.

Kiedy pielęgniarka wprowadziła Sandrine do biblioteki, Epstein wstał. Była ubrana w dzinsy szyte na zamówienie, buty z cholewami i golf. Miała gęste ciemne włosy i ładną, owalną twarz, podobną do matki. Twarz była pozbawiona zarówno makijażu, jak i wyrazu, z wyjątkiem ciemnych oczu, w których krył się niemal namacalny gniew.

- Dzień dobry, Sandrine - powiedział wyciągając rękę. - Jestem Herb Epstein. - Czekał chwilę, aż zrozumiał, że nie poda mu ręki, więc cofnął swoją. - Usiądź, proszę.

Milcząc usiadła na krześle, nie odrywając wzroku od oczu Epsteina. Usiadł, założył nogę na nogę i podniósł fajkę. Sandrine wodziła za nim oczami jak zwierzę za swoim prześladowcą.

- Sandrine, nie winię cię za to, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Nie mogę sobie wyobrazić, że ci się tu podoba. Dom musi być przyjemniejszy niż to miejsce.

Odniosł wrażenie, że dostrzegł błysk w oczach dziewczyny. Może była to tylko kwestia oświetlenia albo jego pobożne życzenie, ale nabrał otuchy, by kontynuować.

- Im szybciej mi zaufasz i powiesz mi cokolwiek, tym szybciej zdołamy cię stąd wypisać. Wiem, że jesteś doskonałą studentką a zatem jesteś inteligentna.

Spotkałem się z twoją matką która powiedziała mi...

- Moja matka tu była? - spytała Sandrine przerywając milczenie.

- Tak, naturalnie - odparł z niedowierzaniem. - Nie widziałaś się z nią?

- Nie.

- To mnie trochę dziwi, Sandrine. Sądziłem... - Doktor Epstein urwał. Jego myśli nie miały znaczenia; chodziło o myśli dziewczyny. - Jak myślisz, dlaczego twoja matka nie chciała się z tobą spotkać?

Sandrine wyprostowała się, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Niech pan zgadnie.

Po tym jednym słowie między lekarzem a pacjentką wytworzyła się sytuacja psychologicznego patu, która trwała przez pozostałe dwadzieścia osiem dni pobytu Sandrine w Instytucie Grossmana. Doktor Epstein nie zamierzał bawić się z nią w zgadywanki, a Sandrine nie zamierzała udzielać mu żadnych informacji. Jej gniew na matkę był najwyraźniej tak silny, że nic nie mogło go usunąć. Po upływie miesiąca Sandrine cicho spakowała swoje rzeczy i wsiadła do taksówki. Doktor Grossman odprowadzał ją wzrokiem z okna biblioteki, wiedząc, że wszyscy zawiedli, a w szczególności Sandrine.

Sandrine leżała w głębokich, miękkich fałdach kołdry puchowej na swoim łóżku z baldachimem i wodziła palcem po konturach kwiatów na zasłonach. Z wyjątkiem przytłumionego odgłosu popołudniowego ruchu na Park Avenue w mieszkaniu panowała cisza.

Dzisiaj, podobnie jak każdego dnia długiego lata po opuszczeniu Instytutu Grossmana, obudziła się grubo po piętnastej.

Nie miała powodu, by wstawać z łóżka. Donikąd się nie wybierała - ani z powrotem do szkoły, ani do pracy. Tylko coraz głębiej w poczucie straty i odrzucenia.

Jamey i matka wynajęli mieszkanie w Paryżu, gdzie najwyraźniej zamierzali pozostać na czas nieokreślony. Ani Marta, ani Sandrine nie miały sposobu, by dowiedzieć się tego dokładnie. Tita nie pisała ani nie dzwoniła. Jej adwokat płacił rachunki z Nowego Jorku. Sandrine odnosiła wrażenie, że jej „zbrodnię” polegającą na próbie samobójczej odczytano jako coś tak ohydneho, że uznano ją za osobę niewidzialną której pozwolono korzystać za darmo z sypialni luksusowego apartamentu przy Park Avenue. Czuła się niepotrzebna jak śmieć, którego nikomu nie chciało się zanieść do śmietnika.

Przewróciła się na brzuch i znowu spojrzała na zegar, pragnąc, by było później. Tęskniła za nocą w którą zmieniło się jej życie. Odkryła, że w nocy nie odczuwa bólu. Nowe, sekretne życie Sandrine rozpoczęło się całkiem niewinnie niedługo po jej wyjściu ze szpitala. Zadzwoniła do niej jedna z przyjaciółek ze studiów, pytając, czy zechciałaby się wybrać z grupą znajomych do klubu w centrum. W ciągu jednej nocy przed Sandrine otworzył się zupełnie nowy świat, w którym cieszyła się pełną wolnością. Nocny świat dawał jej anonimowość i zapewniał uwagę innych, ponieważ kiedy tańczyła w mroku klubu przeszywanym błyskającymi światłami, wszystkie oczy były skierowane na nią. Mogła wejść w ten świat sama, czuć się piękną i chcianą. Przeżyła najbardziej wyzwalające doświadczenie, którym wciąż nie mogła się nasycić.

Odrzuciła kołdrę i poszła długim holem do pustego pokoju matki. Stanąwszy przed długą szafą z lustrem, zaczęła się zastanawiać, jak chciała wyglądać tego wieczoru. Powoli otworzyła drzwi i dokonała przeglądu.

W pierwszej części szafy znajdowały się stroje wieczorowe od Galanosa, de la Renty, Yves Saint Laurenta i Scaasiego. W drugiej części wisiały rzędy spodni i jedwabnych bluzek z dopasowanymi pantoflami i butami. Dalej znajdowały się stroje do konnej jazdy.

Sandrine wróciła wzrokiem do strojów wieczorowych i wybrała krótką suknię bez ramion z naszywanymi paciorkami. Zanim ją podniosła do światła, wyglądała na czarną, ale potem zaślniła szarością stali karabinowej. Idealna, pomyślała z uśmiechem, kładąc suknię na wielkim łóżku. Spośród futer Tity wyciągnęła pelerynkę ze srebrnych lisów, a w części obuwniczej znalazła srebrne sandały. Zebrała wszystko i ruszyła do drzwi. Mijając wysoką komodę Sheraton, w której matka trzymała biżuterię, zatrzymała się i otworzyła najwyższą szufladę. Tam, na czarnym atlasie, lśnił bajeczny diamentowy naszyjnik, który matka zakładała tylko na specjalne okazje. Sandrine przyglądała mu się przez długą chwilę, rozważając, czy odważy się go wziąć. Wzruszyła ramionami, pomyślała: a co mi tam i zabrała naszyjnik.

Jak co noc, zanim się ubrała i wyślizgnęła z mieszkania, odczekała, aż Marta zaśnie głębokim snem.

Wiedziała, że Marta zdaje sobie mgliście sprawę z jej nocnych wypadów, ale nie chciała zachowywać się demonstracyjnie i martwić jedynej przyjaciółki, jaką miała. Czekała, aż odźwierny wezwie taksówkę, wpatrywała się w ciemnoszare niebo. W ciemnościach, otoczona światłami i pulsem miasta, czuła, jak łomocze jej serce. Mogła być kimkolwiek, osobą, za którą się podawała. Nikt tego nie sprawdzał, nikt nie miał prawa odprowadzać Sandrine do domu. Musieli jej wierzyć na słowo. Jednego dnia była aktorką z Broadwayu, innego adwokatem. Kilka wieczorów z rzędu spędziła z grupą ludzi, których poznała w nocnym klubie; mówiła z brytyjskim akcentem, przedstawiając się jako córka księcia. Innym razem udawała, że rozumie tylko po francusku. Zresztą nigdy nie lubiła dużo mówić; kiedy nie mówiła, zawsze uczyła się czegoś nowego, wzbogacała się o doświadczenie, które mogła spożytkować przy tworzeniu nowej roli, wykorzystała przy kolejnym spotkaniu. Czasami, kiedy była w nastroju, szła do łóżka z kimś, kogo poznała tej nocy; robili to w hotelu albo u niego w mieszkaniu. Zawsze było inaczej, w zależności od tego, kim była danej nocy. Zawsze opuszczała mężczyznę po cichu, kiedy spał, palił albo patrzył w inną stronę. Wymykała się w bezpieczną noc, zostawiając mu zagadkę kim była i czemu, w przeciwieństwie do innych dziewcząt, nie prosiła o pieniądze albo o kolejne spotkanie.

Nigdy nie podawała prawdziwego nazwiska ani numeru telefonu. Nigdy nie wierzyła w to, co mówili, zakładając, że kłamią podobnie jak ona. Nigdy nie poznała mężczyzny, którego chciałaby spotkać ponownie. Nigdy ich nie brakowało. Najbardziej upajające było to, że wreszcie, przebrana w zmysłową anonimowość nocy, czuła, że panuje nad sytuacją.

Sandrine zazwyczaj przychodziła do swego ulubionego klubu Pod Skrzydłami, mieszczącego się w obskurnym magazynie przy zachodniej Osiemnastej ulicy, przed północą. Zabawa w wielkim pomieszczeniu nie rozkręcała się przed drugą, ale lubiła przychodzić wcześniej, siadać cicho przy barze i oceniać sytuację przed nadejściem tłumów. Jak zwykle usiadła na stołku w końcu baru, skąd miała widok na parkiet. W tym momencie tłoczyli się na nim goście z prywatnego przyjęcia. Ilekroć siedziała sama przy barze, unosiła podbródek odwracając się profilem. Szczególnie kiedy miała na sobie strój odsłaniający plecy i ramiona, siedziała wyprostowana jak struna. Efekt zwał z nóg.

Gary, tradycyjny środowowy barman, podniósł wzrok znad metalowego zlewu, gdzie mył szklanki, i spostrzegł Sandrine uśmiechającą się do niego z końca baru.

Odwzajemnił uśmiech, podniósł czystą szmatkę i ruszył w jej stronę.

- Cześć, piękna! Dobrze wyglądasz - powiedział otwierając szeroko oczy, wyrażając podziw dla olśniewającej sukienki i diamentowego naszyjnika.

- Cześć, Gar - odparła słodko, odrzucając z oczu długie ciemne włosy. - Ty też.

Gary strzepnął szmatkę i wytarł dwie stopy kwadratowe blatu przed dziewczyną, nie odrywając wzroku od zagłębienia między piersiami. Ta mała była niezłą sztuką. Stała klientka, zawsze przychodziła sama. Nie było w tym nic niezwykłego; wiele kobiet zachodziło do klubu. Najczęściej były to prostytutki, wobec których

właściciele klubu prowadzili zdecydowaną politykę. Zazwyczaj nie udawało im się nawet przestąpić progu.

Z Sandrine sprawa przedstawiała się inaczej. Niezależnie od tego, w co grała, nie była prostytutką. Gary słyszał, że jest córką Tity Mandraki, ale nie wierzył. Raz zapytał ją o to, na co dziewczyna wybuchnęła śmiechem i powiedziała, że słyszała, iż Tita Mandraki to w istocie mężczyzna. Gary musiał jednak przyznać, że miała dość klasy, żeby być córką znanej osoby; ubierała się nienagannie i wyrażała elegancko, to znaczy, kiedy mówiła, co nie zdarzało się często. Gary odnosił wrażenie, że przychodziła tylko po to, żeby się napić, potańczyć i poznać nad facetami, którzy ślinili się na jej widok. Czasami wychodziła z jednym z nich albo z grupą. Kiedy Gary miał wolne, często natykał się na nią we wczesnych godzinach rannych, tańczącą w klubach o bardziej wyzwolonej atmosferze.

Pchnął w jej stronę serwetkę i jednym zręcznym ruchem opróżnił popielniczkę.

- To samo? - spytał, wiedząc, że rzadko zamawiała cokolwiek innego niż wódkę z lodem.

- Myślę, Gary, że dzisiaj szampana.

- Odradzałbym ci to, kochanie - mruknął półgębkiem. - Pomyje, które sprzedajemy na kieliszki, nie przypadną ci do gustu, a jeśli otworzę nową butelkę, uderzy cię to po kieszeni.

Zmieniła pozycję, założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się, nie otwierając ust, opuszczając jednocześnie powieki. Ten język ciała bogatej damy sprawił, że barman pognął do chłodziarki pod kontuarem.

Odkorkował butelkę M&C i napełnił cienki, smukły kieliszek.

Dziewczyna uniosła go, pozwalając, by światło znajdującej się nad nią żarówka padło na wznoszące się bąbelki.

- Życzę sobie wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - powiedziała cicho, po czym pociągnęła długi łyk szampana.

Gary przekrzywił głowę.

- Żartujesz?

- Nie.

- I spędzasz je sama?

- Nie jestem sama - odparła miłym głosem. - Ty tu jesteś, a poza tym wkrótce ta sala zapełni się ludźmi.

Gary odwrócił głowę. Jej słowa wydały mu się niewiarygodnie smutne. Ta piękna dziewczyna musiała chcieć być sama, skoro w ten sposób postanowiła spędzać urodziny.

- Gdzie jest twoja rodzina, Sandrine? - spytał cicho, mając nadzieję, że jej nie urazi. Sandrine popatrzyła na sufit.

- Moi rodzice nie żyją.

Czekał, aż powie więcej, ale milczała.

- Przykro mi - powiedział. Mógłby się zdobyć na coś więcej, ale odpowiedź dziewczyny nieco go zaskoczyła. - To znaczy, że, hm, mieszkasz sama?

- Tak jakby - odparła lekko.

Gary czekał, ale wyglądało na to, że powiedziała wszystko, co zamierzała.

Przynajmniej powiedziała mu coś o sobie - prawdziwy przełom po długim okresie skrytości. Postanowił nie nalegać.

- Cóż... - Uniósł pusty kieliszek, który polerował. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, dziecinko.

- Dziękuję, Gary - odparła z uśmiechem.

Nagle poczuł, że bardzo chciałby ją ochraniać. Żałował, że nie ma wolnego.

Zaprowadziłby ją gdzieś, postawił kolację, kupił balonik, zafundował przejażdżkę dorożką po parku, żeby wiedziała, że kogoś obchodzą jej urodziny.

W przeciwnym końcu sali zawarczały bębny i trzasnęły talerze; kapela obudziła się do życia, rozpoczynając występ od utworu z najnowszego singla Prince'a. W ciągu kilku sekund parkiet zapełnił się wirującymi ciałami, które zmateriałyzyowały się z mroku.

- Konwencja Amerykańskiego Stowarzyszenia Nafciarzy - skrzywił się Gary.

- Chyba zatańczę - powiedziała Sandrine ześlizgując się ze stołka. - Może dasz mi prezent urodzinowy?

Gary obejrzał się przez ramię i przysunął bliżej do dziewczyny-

- Mam czarne piękności, jeśli o to ci chodzi - szepnął. - Poza tym mam trochę dwójek i parę sztuk quaalude. Zostawiłem je sobie na po pracy.

- Myślę, że sytuacja wymaga czarnej piękności - stwierdziła Sandrine.

Wsunął rękę do kieszeni czarnych dżinsów, wyłowił kapsułkę z amfetaminą i położył ją na otwartej dłoni Sandrine. Wsunęła ją do ust i popiła szampanem.

Wiedział, że za kilka minut dziewczyna odleci. Siedziała jeszcze przez chwilę przy barze, dopiła szampana, potem wzięła torebkę, odwróciła się i ruszyła na parkiet.

Gary zauważył, że pstrykała palcami w takt muzyki. Proszek już zaczynał działać.

W ciągu tej nocy Gary zerkał od czasu do czasu na parkiet. Już wielokrotnie widział, jak Sandrine tańczy, i nigdy nie przestawało go to zdumiewać. Od chwili, kiedy wchodziła w wirujące światła i zaczynała poruszać się w takt muzyki, cała scena zaczynała przypominać „Gorączkę sobotniej nocy”. Pozostali tańczący nieodmiennie odsuwali się na skraj parkietu, by na nią patrzeć. Nawet ci nieliczni, którzy usiłowali z nią współzawodniczyć, wkrótce rezygnowali i przyłączali się do widzów. Zawsze tańczyła sama, odwracając się plecami do tych, którzy okazali się na tyle głupi, by próbować jej towarzyszyć. Poruszała się tak, jakby stanowiła jedno z muzyką; głowę trzymała prosto, nieco odrzuconą w tył, niczym w transie. Sukienka, którą wybrała tej nocy, jeszcze bardziej niż zwykle podkreślała długie, płynne linie jej ciała.

Dziewczyny nigdy nie brały Gary'ego, ale ilekroć patrzył na tańczącą Sandrine, dostawał erekcji. W nocnym świetle afiszowanie się własną seksualnością stanowiło po prostu opłatę za wstęp, a Gary nigdy nie widział nikogo, kto poruszałby się seksowniej niż Sandrine.

Amfetamina dotarła do mózgu Sandrine w chwili, kiedy dotknęła szpilkami parkietu. Czowała, jak jej umysł, tkanka mięśniowa, skóra i krew wygładzają się w ciągłą wstęgę i stapiają z muzyką. Jednak prawdziwy prąd elektryczny, który czuła na skórze, pochodził od setek skierowanych na nią oczu - obserwujących,

zazdrosnych, pożądlivych oczu, które unosiły ją coraz wyżej i wyżej, aż przestała czuć parkiet pod stopami. Wraz z każdym taktem muzyki w głowie Sandrine następował mały wybuch, który rozchodził się po całym ciele, dostarczając jej nowej energii, euforii, poczucia władzy, jakiej pragnęła. Panowała nad salą, światem, wszechświatem. Nikt nie mógł jej tknąć. Nic poza wyczerpaniem nie mogło jej zatrzymać. Poczucie kontroli było całkowite, bardziej zachwycające niż narkotyki czy alkohol, znacznie silniejsze niż seks, jakiego dotąd doświadczyła. Dotarła do miejsca, którego szukała, miejsca wolnego od bólu. Tu mogła odtworzyć swoją ulubioną fantazję: z oddali, z końca sali, samotna i ignorowana, przyglądała jej się matka, niezdolna do konkurowania z urodą Sandrine i uwagą, jaką jej poświęcano. Po upływie wieczności, kiedy nieprzerwana muzyka przeszła w wolniejszy, płynniejszy rytm, zeszła z parkietu i odnalazła stół, który zachował dla niej Gary, pomimo gniewnych spojrzeń ludzi tłoczących się gęsto przy barze. Tłum rozstał się, gdy podeszła ze szklanym wzrokiem, ciężko oddychając. Rozległy się pojedyncze brawa. Sandrine ignorowała pochlebne uwagi i zaproszenia od mężczyzn. Nie chciała, by ją wybierano. Ona podejmie decyzję we właściwym momencie, jeżeli przyjdzie jej ochota.

Nie pytając, Gary nalał jej drugi kieliszek szampana. Rojący się przy barze sprawiali, że żałował, iż nie ma trzeciej ręki. W gorączce pracy nie rozmawiał z Sandrine. Później, około drugiej, wcześniej jak na nią, pożegnała się z barmanem, wręczyła mu hojny napiwek i wyszła z mężczyzną w garniturze ze skóry rekina, o zaczesanych do tyłu czarnych włosach.

Sandrine ujęła go pod łokieć. Wybrała go, ponieważ obserwował ją uważnie ze skraju parkietu przez blisko dwie godziny. Kiedy przechodzili przez ciemny hol, zauważyła, że byli tego samego wzrostu. Odwrócił się, posłał jej skrzywiony, znaczący uśmiech, a wtedy ich oczy się spotkały.

- Dokąd, ślicznotko?

- Chcę iść do centrum i tańczyć - powiedziała odrzucając głowę w tył i biorąc haust nocnego wiatru.

- Daj spokój, moja piękna - jęknął. - Nie miałaś już dość? - Zawsze nazywali ją „piękną” albo „maleńką”, bo nigdy się nie przedstawiała. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - Może wstąpimy do jakiegoś cichego miejsca na kieliszek przed snem?

Sandrine wciąż czuła efekt proszku Gary'ego i nagle pomyślała, że drink to doskonały pomysł. Potem pójdą tańczyć. Nie obchodziło jej, gdzie w końcu wylądują. On też jej nie obchodził. Był przystojny, miał dobre zęby i paznokcie, używał przyjemnej wody toaletowej. Poza tym był tylko ramionami i butami, które mogły tańczyć.

Powiedziała mu, że ma na imię Desiree, nom de Juck na tę noc.

Mężczyzna podniósł rękę, a taksówka pędząca Osiemnastą zachodnią skręciła do krawężnika. Wsiadła do tyłu, wciągając za sobą futro, a jej towarzysz nachylił się ku otworowi w pleksi-glasowej szybcie i powiedział:

- Do Waldorfa, przyjacielu.

Sandrine wyprostowała się i spojrzała na niego gniewnie, kiedy zamknął drzwi i usiadł obok niej.

- Do hotelu Waldorf? Mówiłeś o kieliszku przed snem.

- Kieliszek w Waldorfie - odparł pogodnie. - Obiecałem kumplom, że dołączę do nich Pod Bykiem i Niedźwiedziem. Nie ma obawy.

- W porządku - szepnęła. - Ale tylko jeden. - Pomysł z Waldorfem był przyciężki. Ciche, duszne miejsce spotkań biznesmenów; trudno sobie wyobrazić większe przeciwieństwo muzyki i pulsujących świateł dyskoteki. Pocieszała się jedynie tym, że wykorzysta sytuację do wypróbowania nowej roli.

Rozluźniła się, pozwalając mężczyźnie trzymać się za rękę. Zastanówmy się, pomyślała, kim jest Desiree? Pod wpływem kaprysu i cielesnych doznań postanowiła, że Desiree jest napalona. Desiree pokaże temu człowiekowi, kimkolwiek był, że niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, ona pragnęła go bardziej. Nachyliła się i delikatnie musnęła go językiem w ucho, czując, jak przechodzi go dreszcz pożądania.

Pod Bykiem i Niedźwiedziem, przestronna, ciemna restauracja na parterze hotelu Waldorf, była o tej godzinie prawie pusta. Szef lokalu zmarszczył brwi, co miało oznaczać, że kuchnia jest nieczynna, na wypadek gdyby goście okazali się na tyle głupi, by oczekiwać jedzenia.

- Umówiliśmy się tu na spotkanie z grupą ludzi - oświadczył towarzysz Sandrine, podchodząc do szefa lokalu i przyglądając włosy.

- Mamy tu tylko jedną grupę, sir. Siedzi w końcu sali. O jakie nazwisko panu chodzi?

Mężczyzna wyrzwał spoza zasłaniającej mu widok paproci.

- O, widzę ich. Chodźmy, Desiree, siedzą tam przy oknie. Obeszła wysoką paproć i momentalnie zrozumiała, że nie taką zabawę miała na myśli. Przy długim stole pod oknem siedziało sześciu czy siedmiu mężczyzn. Jeden miał na sobie garnitur biznesmena, pozostali arabskie thoby, a na głowach coś na kształt ręczników umocowanych krążkami czarnego sznura. Wszyscy z wyjątkiem jednego czy dwóch mieli ciemne okulary. Na honorowym miejscu siedział na wózku inwalidzkim starszy Arab, a spod rękawa szaty wystawał mu złoty Rolex, który zdawał się ważyć dwa kilo. Kiedy podeszli do stołu, odwrócił się i powiedział coś do siedzącej tuż za nim ładnej, jasnowłosej pielęgniarki. Ta wstała i obróciła wózek tak, by Arab mógł powitać nadchodzących gości.

Sandrine skurczyła się w sobie. „Och, nie, nie mów mi, że mam siedzieć i rozmawiać z tą bandą. Ja umrę!” Zrozumiała, że chcąc dostać drinka, będzie musiała rezygnować z roli Desiree. Wyobrażała ją sobie jako dziewczynę szaloną i pozbawioną zahamowań. Desiree wskoczyłaby na stół i zadarłaby sukienkę przed tymi facetami w ręcznikach na głowach. Nagle poczuła, że nie ma na to dość energii. Irytowało ją, kiedy musiała zrezygnować z wybranej roli.

Zauważyła, że jej towarzysz zaczął się niepokoić, jakby i on oczekiwał czegoś innego. Przyciągnął Sandrine do siebie i szepnął jej na ucho:

- Ten człowiek na wózku to szejek Omar Zaki. Nie wiedziałem, że tu będzie. - Mówił tak szybko, że z trudem go rozumiała.

- Co z tego? - spytała, udając znudzenie obecnością jednego z najbogatszych ludzi świata.

- Widzisz tę pielęgniarkę?

- Tak.

- Idź i usiądź obok niej - szepnął.

- Zwariowałeś? Nie ma mowy - odparła gniewnie. Jak on śmiał, pomyślała, odsuwając się od niego. - Idę tańczyć. To twoje przedstawienie.

Towarzysz Sandrine chwycił ją za rękę i ścisnął bardzo mocno.

- Słuchaj, nie rób sceny. Ci goście nie lubią obecności kobiet w czasie załatwiania interesów. Idź i usiądź, a ja zaraz do ciebie przyjdę. Wtedy się napijemy.

Sandrine poczuła nieodpartą pokusę wybiegnięcia z sali, ale wtedy jej wzrok padł na pielęgniarkę. Coś w spojrzeniu, które posłała jej blondynka, sprawiło, że Sandrine się zawahała. Pielęgniarka zdawała się błagać, by Sandrine się do niej przysiadła. Mimowolnie uśmiechnęła się do nieznajomej, przypominając sobie, jak bardzo pragnęła drinka.

- Pięć minut - ostrzegła. - Pięć minut i spadam stąd. Myśl, że dała się tak wmanewrować napelniała Sandrine niesmakiem. Zamaszyście podeszła do stolika pielęgniarki, rzuciła torebkę i futro na puste krzesło i przysiadła naprzeciwko dziewczyny o słodkiej twarzy.

- Cześć - rzuciła nonszalancko. - Można?

- Oczywiście, proszę - odpowiedziała gorliwie pielęgniarka. - Miałam nadzieję, że podejdiesz. Bardzo tęsknię za towarzystwem. Siedzimy tu już od kilku godzin. Napijesz się czegoś?

- Jasne - odparła Sandrine, odwracając się do stojącego tuż za nią kelnera. - Przynieś mi wódkę z lodem, podwójną. - Odwróciła się do pielęgniarki. - Przyłączysz się?

- Poproszę jeszcze jedną herbatę z cytryną - powiedziała słodko z silnym południowym akcentem. Kelner przyjął zamówienie, skinął głową i zniknął.

Pielęgniarka spojrzała na Sandrine. - Mam na imię SueBee, SueBee Slyde. Jestem z Teksasu, a jedyni ludzie, których znam w tym mieście to ci, którzy tam siedzą.

- No, no! - zdziwiła się Sandrine i zastanowiła przez chwilę. Nie była już napaloną Desiree. Zdążyła ochłonać, a siedzenie z pielęgniarką Araba Pod Bykiem i Niedźwiedziem stanowczo nie było seksowne. Spojrzała na mężczyzn przy sąsiednim stoliku.

- Nazywam się Sandrine - szepnęła. - Ale nikomu nie mów. Temu facetowi, z którym przyszłam, powiedziałam co innego.

- Dlaczego? - spytała niewinnie SueBee.

- Nie wiem. - Sandrine wzruszyła ramionami. - Niespecjalnie go lubię.

- W takim razie dziękuję - powiedziała z uśmiechem SueBee.

- Za co?

- Za to, że powiedziałaś mi swoje prawdziwe imię.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Sandrine. Dziewczyna była miła. Może trochę naiwna, ale miła. - Czy siedzisz tu przez cały wieczór bez drinka?

SueBee nachyliła się do Sandrine i szepnęła.

- Nie piję. Nawet gdybym piła, nie mogłabym tego robić tutaj. Ci ludzie nie piją w miejscach publicznych, to sprzeczne z ich religią.

- Ale prywatnie piją? - zapytała ze śmiechem Sandrine.

- I to jak! - SueBee wciąż szeptała. - Przepadają za czerwonym Johnnie Walkerem, może dlatego, że nie mogą go dostać w swoim kraju. Powinnaś zobaczyć, jak chleją w apartamencie.

- Apartamencie? Chcesz powiedzieć, że tu mieszkacie? SueBee entuzjastycznie skinęła głową.

- Mhm, w Towers. Wszyscy z wyjątkiem mężczyzny w garniturze, który rozmawia z twoim przyjacielem. To adwokat szejka Zaki, w każdym razie jeden z adwokatów.

- Kim są pozostali?

- Ochroniarzami, oprócz tamtego niskiego ze szpiczastą bródką, który prowadzi samochód i nosi zegarki.

Sandrine opuściło znużenie; grupa mężczyzn zaczęła ją fascynować.

- Zegarki? - spytała, marszcząc z zaciekawieniem czoło.

- Szejek Zaki lubi rozdawać złote zegarki, no wiesz, jak napiwki.

- Są prawdziwe?

- Oczywiście, że tak - odparła SueBee. - Sama zobacz. - Wyciągnęła rękę. Pod białym, krochmalonym mankietem widniał cienki, złoty Piaget na bransoletce wysadzanej diamentami.

- Dał ci go? Jest piękny.

- Daje mi dużo rzeczy.

- Nie wątpię - odparła Sandrine, nie mając pewności, czy SueBee jej nie nabiera. Kątem oka zauważyła, że pan Rekinia Skóra przycupnął na brzegu krzesła, pochłonięty rozmową z człowiekiem w garniturze.

- To znaczy, że ten facet nie jest twoim chłopakiem? - spytała SueBee.

- Bynajmniej. To po prostu gość, którego poderwałam Pod Skrzydłami. Powiedział, że zaprasza mnie na drinka. Nie wiedziałam, że idziemy na spotkanie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Co to jest Pod Skrzydłami?

Jezu, pomyślała Sandrine, skąd ona się wzięła, z Plutona?

- Od dawna jesteś w mieście? - zapytała.

- Od prawie trzech miesięcy - odparła dziewczyna, nie zauważając sarkazmu w głosie Sandrine.

- Od trzech miesięcy siedzisz w Waldorfie? - spytała Sandrine z niedowierzaniem.

- Mhm. Śmiertelnie się nudzę. To całodobowa praca. Od przyjazdu tutaj nie rozmawiałam z nikim oprócz jego ludzi.

Kelner wreszcie wrócił i postawił na obrusie kieliszek wódki oraz filiżankę herbaty.

- Czy to wszystko? - zapytał.

Sandrine spojrzała na niego i zatrzepotała powiekami.

- Czy mógłbyś mi przynieść paczkę More'ow?

- Sklep w holu jest zamknięty - warknął. - Zobaczę, czy są w automacie. - Odwrócił się do odejścia.

- Ach... widzisz tego człowieka w szarym garniturze, który siedzi w końcu stołu? Poproś go o pieniądze. - Podniosła kieliszek i napiła się wódki, a kelner podszedł do sąsiedniego stolika, wziął kilka dolarów i zniknął.

- Lepiej, żeby się tak nie nabzdyczał, bo nie dostanie zegarka - zauważyła SueBee odprowadzając kelnera wzrokiem.

Nieskrywana niewinność SueBee wydała się nagle Sandrine przezabawna.

Odchyliła głowę i wybuchnęła tak donośnym śmiechem, że kilku mężczyzn przestało rozmawiać i spojrzęło na nią.

- Co cię tak śmieszy? - spytała SueBee, sama zaczynając chichotać.

- Och, nie wiem - powiedziała Sandrine uspokajając się. - Jak, na Boga, zadałaś się z tą bandą? Nie możesz pracować dla żadnej z tutejszych agencji, bo nie pozwoliliby ci siedzieć przez trzy miesiące w hotelu. To zakrawa na niewolnictwo.

- Niezupełnie - sprostowała SueBee. - Mieszkamy w ładnym apartamencie, który jest własnością szejka Zaki. Są tam cztery, może pięć sypialni, kominek, nawet biały fortepian, jak w kinie. On zatrudnia kucharza na pełnym etacie.

- A ty po prostu dotrzymujesz szejkowi towarzystwa? - spytała Sandrine, zdumiona nudą podobnej pracy.

- Ależ skąd. Karmię go, daję lekarstwo na serce, kąpię go i ubieram. Wiele czasu spędzamy na oglądaniu telewizji. Ma bzika na punkcie oper mydlanych i konkursów.

- Czy robisz dla niego coś jeszcze? - spytała znacząco Sandrine. - Oczywiście, jeśli to nie jest zbyt obcesowe pytanie.

- Owszem, robię coś jeszcze. Od tego lekarstwa, które zażywa, dostaje strasznego zatwardzenia. To może być bardzo bolesne, więc siedzę z nim w toalecie, czasami godzinami. Gramy w karty.

Sandrine z trudem przełknęła ślinę. Nie wiedziała, czy ma się czuć zszokowana czy rozbawiona.

- Gracie w karty, podczas gdy on siedzi w kiblu? Ile płacą za taką pracę, jeśli wolno spytać?

- Nie wiem. Właściwie nie mam pieniędzy. Kiedy ich potrzebuję, jeden z jego ludzi daje mi. Szejk powtarza, że kiedy wróci do zdrowia, to się mną zaopiekuje. Mówi, że nie powinnam się martwić.

- Ja bym się martwiła - powiedziała Sandrine pijąc kolejny łyk wódki. Ta dziewczyna była albo niedorozwinięta, albo całkowicie niewinna. Mimo to Sandrine ją polubiła. Była pierwszą szczerą osobą poza Martą, z którą rozmawiała od wielu lat.

- Sądzisz, że powinnam się martwić? - spytała SueBee z niepokojem.

Wyraz twarzy SueBee powstrzymał Sandrine od udzielenia jej surowej odpowiedzi.

Wyczuła za sobą czyjąś obecność. Zanim zdążyła się odwrócić, SueBee wstała i obesza stół. Sandrine odwróciła się powoli i ujrzała niskiego mężczyznę ze spiczastą bródką, który rozmawiał z SueBee zasłaniając usta dłonią. SueBee skinęła głową i z uśmiechem wróciła do stolika.

- On chce cię poznać - wyszeptęła.

- Mnie? - spytała zdziwiona Sandrine. - Kto?

- Szejek Zaki. Masz coś przeciwko temu? On naprawdę jest bardzo słodki. Poprosił pana Nereha, żeby cię przyprowadził. - Skinęła głową do nosiciela zegarków szejka. - Powiedział, że masz twarz anioła. Chce ci dać prezent.

Sandrine spojrzała na szejka. Przyglądał się jej, czekając, aż posłusznie podrepcze do niego. Zadarła podbródek, odrzuciła długie włosy z twarzy i odsunęła krzesło od stolika.

- SueBee - powiedziała wstając i podnosząc torebkę i futro. - Najlepszą częścią wieczoru było poznanie ciebie. Zadzwoń do mnie, kiedy stwierdzisz, że masz dość. - Wyjęła wizytówkę, którą jakiś facet wcisnął jej tego wieczoru i napisała na niej adres z numerem telefonu.

- Wychodzisz? - krzyknęła SueBee z niedowierzaniem. - A co z szejkiem Zakim? Sandrine zarzuciła futro na ramię i uśmiechnęła się.

- Powiedz swojemu szefowi, że już mam zegarek. Odwróciła się i przeszła przez pustą restaurację, zdając sobie sprawę, że wszystkie skierowane na nią oczy należały do mężczyzn, którzy nigdy nie spotkali kobiety odrzucającej propozycję poznania saudyjskiego miliardera, nie mówiąc już o złotym zegarku.

Wychodząc drzwiami obrotowymi na Park Avenue zauważyła, że pan Rekinia Skóra zbiega po schodkach i pędzi do niej przez hol.

- Poczekaj! - krzyknął, gorączkowo wymachując rękami. - Poczekaj, Desiree! Sandrine podeszła do jedynej taksówki stojącej przy krawężniku i otwierała drzwi, kiedy ją dogonił. Na zakolach perlił mu się pot.

- Co ty robisz?

- Usuwam się z nieprzyjemnej sytuacji - odparła wstawiając nogę do taksówki.

- Ale szejek Zaki chciał cię poznać! Nie wiesz, kim on jest?

- Oczywiście, że wiem. Ale kim ty jesteś, jego alfonsem?

- Desiree - powiedział tonem w rodzaju „jak mogłaś”. - Nie odchodź, proszę.

- Możesz uznać, że już mnie tu nie ma. - Usiadła z tyłu, a on wcisnął się obok niej.

- Dokąd jedziesz? - zapytał zatrzaszkując drzwiczki.

- Tańczyć. Taka była umowa.

- Jadę z tobą.

- Jak sobie chcesz - odparła Sandrine wzruszając ramionami. - Wiesz, gdzie jest Palladium? - spytała kierowcy.

- Jasne - odparł taksówkarz nie odwracając się, i ruszyli. Jechali do centrum w milczeniu, a Sandrine mogła myśleć tylko o odzyskaniu euforii, jaką czuła na parkiecie klubu Pod Skrzydłami. Jeśli ten facet chce się za nią wlec, proszę bardzo. Nie musiała jeszcze podejmować decyzji co do niego.

W kolejnych mrocznych, zadymionych klubach, które Sandrine odwiedziła tej nocy, wyciągały się do niej dłonie z czerwonymi, niebieskimi, zielonymi, żółtymi, fioletowymi - z całą tęczą proszków. Mimo to nie udało jej się odtworzyć euforii, jaką osiągnęła na początku wieczoru.

Kiedy wreszcie padła na łóżko pana Rekiniej Skóry w maleńkim, zatęchłym pokoiku hotelu Summit, odczuła mglistą nadzieję, że może za tym właśnie tęskniła. Jednak jej ciało, znajdujące się w innym wszechświecie, poza zasięgiem zmysłów, było

otępiało. Mężczyzna leżał na niej przez chwilę. Niedługo, w każdym razie nie na tyle długo, żeby ją obudzić.

Marta zbiegła po schodach, schylając się po porozrzucone jak zwykle rzeczy Sandrine. Na schodach leżał sandał na szpilce. Jedną z szytych na zamówienie sukni matki Sandrine przerzuciła niedbale przez poręcz u góry schodów. Porzucony czarny pas do pończoch, majteczki i jedna podarta czarna pończocha tworzyły szlak prowadzący do zamkniętych drzwi Sandrine.

Gdyby pani Mandraki i pan Jamey obudzili się, zanim zdążyłaby uprzątnąć bałagan, rozpętałoby się piekło. Na szczęście wrócili z Paryża we wczesnych godzinach rannych i pewnie nie pokażą się przed południem.

Marta nie miała pojęcia, o której dziewczyna w końcu wróciła do domu, ale wiedziała z doświadczenia, że musiało już być jasno, zbyt późno, by zwrócić jej uwagę, żeby się cicho zachowywała.

Teraz, kiedy pani Mandraki wróciła, może coś się uda zrobić z wybrykami Dreenie.

Sytuacja naprawdę wymykała się spod kontroli Marty. Niezależnie od tego, co dziewczyna knuła, znikając co noc, nie mogło to być nic dobrego, ale Marta wiedziała, że nie wolno jej się wtrącać. Dziewczyna i tak by jej nie posłuchała.

Kilkakrotnie zamierzała zadzwonić do pani Mandraki do Paryża, ale za każdym razem szła po rozum do głowy. Dziewczyna zasługiwała na to, by prowadzić własne życie; Bóg wie, że zapłaciła za to cenę. Jednak nie robiła tego we właściwy sposób.

Marta nie powiedziała pani o tym, że Sandrine używa jej rzeczy. Szkoda, żeby drogie, piękne stroje marnowały się w szafach w głównej sypialni. Zawsze starannie prała i prasowała ubrania, które wyciągała Sandrine, a potem odkładała je na miejsce. Kiedy odkryła należące do pani bransoletki z lapis lazuli taplające się w wodzie na umywalce Sandrine, zaczęła sprawdzać zawartość pudełka z biżuterią. Minionej nocy spostrzegła brak diamentowego naszyjnika, który zawsze leżał w górnej szufladzie komody pani Mandraki. Będzie musiała rozejrzeć się po sypialni Sandrine i znaleźć zgubę, zanim cała rzecz wyjdzie na jaw.

Uchyliła drzwi sypialni i ujrzała zarys jej ciała pod lnianymi prześcieradłami.

Ciemne włosy zakrywały poduszkę jak opadłe wstążki. Marta przeszła przez pokój na palcach i położyła zebraną odzież na ławie. Starła się poruszać cicho, odgarniała czasopisma i okładki płyt w poszukiwaniu naszyjnika. Sprawdziła na stoliku przy łóżku, na podłodze pod łóżkiem, a potem we wszystkich miejscach, które przyszyły jej do głowy. Nie znalazła naszyjnika ani w kieszeniach Sandrine, ani w torebce.

Właśnie kiedy przeszukiwała kosmetyki rozrzucone na blacie toaletki, usłyszała odgłos dobiegający z przeciwległej części mieszkania: pani Mandraki darła się w niebogłosy.

Marta odwróciła się na pięcie i pobiegła do drzwi. Przebiegła przez wyłożony dywanem korytarz tak szybko, jak jej na to pozwalały kapcie. Kiedy weszła do głównej sypialni, pani Mandraki stała przed pudełkiem z biżuterią przyciskała dłoń do ust i wciąż krzyczała. Pan Jamey w majtkach stał tuż za nią. Marta zastygła w progu.

- Wezwij policję, Jamey! Dzwoń na dziewięćset jedenaście! Mój bułgarski naszyjnik zniknął! Okradziono mnie!

Marta wiedziała że nie została zauważona przez żadne z nich. Odwróciła się szybko i ruszyła z powrotem do sypialni Sandrine. Musiała ją obudzić i uprzedzić, że matka wróciła.

Rozdział ósmy

Dziennik Petera - Paryż, dwudziesty trzeci czerwca 1990

Jest sobotni poranek - mój dzień wolny - a w mieszkaniu spiekota. Zabrałem więc laptopa i pojechałem taksówką do Tuilerów, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Tu, w parku kontrast między słońcem a cieniem jest tak duży, że w słońcu ledwo widzę z powodu oślepiającego blasku, a w cieniu ledwo widzę, taki panuje mrok. Usadawiłem się na ławce koło rzeźby Henry ego Moore 'a przedstawiającej nagą kobietę której szerokie uda rzucają akurat tyle cienia, ile trzeba. Będę musiał się przesuwac razem ze słońcem.

Miniony tydzień poświęciliśmy Sandrine Mandraki. Pod koniec tygodnia wykreśliłem ją z listy potencjalnych kandydatek na Madeleine. Madeleine miała w sobie niewinność, której nie wyczuwam w Sandrine. Myślę jednak że jest bardziej prawdopodobną kandydatką na zabójczynię madame niż SueBee. Sandrine jest cholernie zręczna, a poza tym zdolna do morderstwa. Problem z aprobatą ze strony matki, niskie mniemanie o sobie; zdecydowanie nie jest typem osoby, która chciałaby, żeby teraz, kiedy odniosła sukces, wyszło na jaw, że pracowała jako dziewczyna na telefon. Ponadto wyobrażam sobie stosunek Garna do całej sprawy. Jeśli nawet Sandrine tego nie zrobiła, to pewnie on.

Kiedy oświadczyłem, że podejrzewam ich oboje, madame wzruszyła ramionami i wysunęła dolną wargę, jednak nie zaprzeczyła, że uczestniczyli w La Fantastique. Postanowiłem wziąć Garna pod lupę. Matka Sandrine zainteresowała mnie z czysto plotkarskiego punktu widzenia. Tita Mandraki była jedną z najbardziej nieprzyjemnych kobiet, jakie poznałem w Nowym Jorku. Kiedyś byłem na premierze na Broadwayu, gdzie o mały włos nie zwała z nóg osiemdziesięcioletniej Vivian Roundtree, żeby wsunąć swoje fioletowe włosy przed kamerę telewizyjną. Chociaż widywałem Titę kilkakrotnie na kolacjach i przeczytałem o niej kilka artykułów, dopiero teraz dowiedziałem się, że ma dziecko! Sądziłem, że jej jedynym „dzieckiem” jest śliczniutki mąż-chłopczyk.

Po zniknięciu diamentowego naszyjnika zrobił się spory szum. Prasa pisała o tym przez dwa dni na pierwszej stronie. Musiała wyciągnąć krocie od firmy ubezpieczeniowej. Jakież to ciekawe, że odpowiedzialność ponosiła córka.

Odłożyłem już magnetofon i wkładałem płaszcz, kiedy madame oznajmiła pogodnie, że Tita Mandraki pracowała dla niej w końcu lat pięćdziesiątych i poślubiła jednego z najlepszych klientów, Ottona Mandraki. Kiedy Sandrine zaczęła dla niej pracować, Cleo poznała zarówno nazwisko, jak i podobieństwo między matką a córką. Cleo nie wspomniała ani słowem o swej szczególnej spostrzegawczości, ale zauważyłem, że ma prawdziwy talent.

Może za zamachem stała szurnięta matka? Nie, daj spokój, Shea, bo sam zwariujesz.

Przenieśliśmy nasze sesje do ogrodu na tyłach domu Cleo. Mały duszny pokoik stał się nie do zniesienia. Myślałem, że uduszę się pośród zasłon, atlasowych ścian, orientalnych dywaników na dywanie i lamp z jedwabnymi abażurami.

W ogrodzie jest przyjemnie; mnóstwo tu cienistych drzew, a obok naszych wygodnych wiklinowych krzeseł tryska fontanna.

Martin, asystent Cleo, wpadł, żeby posłuchać i dorzucić swoje trzy grosze o Sandrine. Nie uważa, by mogło jej przyjść do głowy zabicie madame. Odniosłem wrażenie, że on po prostu lubił tę dziewczynę.

Martin to kawał dziwaka. Potwornie ułożony i sztywny. Ciekawe, w jaki sposób zadał się z madame Cleo.

Tak więc... W poniedziałek zamierza opowiedzieć mi o ponownym spotkaniu Sandrine i SueBee, które odmieniło ich życie.

Nagie uda dłuta Henry 'ego Moore 'a przestały mnie chronić. Muszę się przenieść. Nazajutrz po spotkaniu Sandrine Pod Bykiem i Niedźwiedziem SueBee nie mogła przestać o niej myśleć. Po raz pierwszy od wyjazdu z Teksasu rozmawiała z osobą zbliżoną wiekiem do siebie. Ta dziewczyna była taka wytworna, tak pięknie się ubierała. SueBee spodobał się nawet nonszalancki sposób, w jaki traktowała mężczyznę, z którym przysła. Wyglądało na to, że Sandrine żyła na własny rachunek i nie musiała być zależna od nikogo, a zwłaszcza od mężczyzny. Siedząc na skraju łóżka Zakiego, wykonując rutynowe poranne czynności, po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać nad swoją sytuacją.

Drewniane wezglowie łóżka Zakiego wykonano na zamówienie w kształcie gigantycznego pióropusza pokrytego czternasto-karatowym złotem. Po obu stronach łóżka straż pełniły wysokie czarne lampy. Nogi Zakiego przykrywała wielka, starannie złożona w trójkąt narzuta z soboli. Powiedział jej kiedyś z dumą, że łóżko musiano wciągnąć po zewnętrznej stronie hotelu Waldorf, a także konieczne było usunięcie dwóch okien w sypialni.

SueBee zmieniła pozycję. W jednej dłoni trzymała buteleczkę z gliceryną i wodą różaną, drugą masowała pierś szejka Zaki, zostawiając wilgotne smugi na czarnych włosach.

- Czy zjedziemy dziś nieco niżej, SueBee? - spytał Zaki. Miał półotwarte usta i przymknięte oczy.

- Zobaczymy - odparła słodko nie podnosząc wzroku.

- Pan Pyton stęsknił się za tobą - powiedział chytrze.

- Mhm.

- Pan Pyton chce wyjść i sobie poigrać.

To była ich zabawa. Ilekroć go nacierała, zaczynał śpiewkę o panu Pytonie.

- Obróć się - rozkazała. Szejk Zaki wydał usta.

- Będę się musiał położyć na panu Pytonie, a on zaczyna wychodzić.

- Zapomnij o panu Pytonie - zbesztala go. - Muszę nasmarować ci plecy, bo inaczej nabawisz się okropnych odleżyn. Odwróć się.

Zaki obrócił się niechętnie na wielkim łóżku.

SueBee wyjęła mu poduszki spod głowy, żeby leżał płasko. Nalala na dłoń nieco gliceryny z wodą różaną i zaczęła nacierać ramiona szejka.

W trakcie pracy wróciła myślami do Sandrine. Może za dużo jej powiedziała o Zakim? Przynajmniej nie wspominała o zabawie w pana Pytona.

Zaczął się w nią bawić natychmiast po sprowadzeniu się ze szpitala do apartamentu. SueBee nie miała właściwie nic przeciwko temu - ot, przedłużenie nacierania pleców. Nie widziała w tym nic wielkiego, a zabawa zdawała się bardzo uszczęśliwiać Zakiego. A to stanowiło jej jedyne zabezpieczenie.

Sandrine wprowadziła ją w zakłopotanie mówiąc, że SueBee powinna się martwić o pensję. Co by, na Boga, zrobiła, gdyby Zaki i jego ludzie odlecieli do Arabii czy skąd tam oni się wzięli?

Potrzebowała pracy. Nie mogła liczyć na posadę pielęgniarki, ponieważ nią nie była. Bez pracy i dachu nad głową znalazłaby się w niemałych tarapatach. Szejk musiał płacić tym ludziom, którzy przesiadywali w salonie, czyścili sobie paznokcie małymi zakrzywionymi nożami i przyglądali się SueBee spoza ciemnych okularów.

Szwargotali między sobą w języku, którego nie rozumiała, więc o nic nie mogła ich spytać.

Kucharz Zakiego, potężny łysy mężczyzna z sumiastymi czarnymi wąsami, mówił po angielsku. Kiedyś, zaraz po wprowadzeniu się do hotelu, poszła do kuchni po tacę z kolacją Zakiego. Kucharz spojrział na nią złośliwymi oczami i powiedział, że jeśli „wie, co jest dla niej dobre, powinna wrócić do Teksasu”. Cóż, doskonale wiedziała, co jest dla niej dobre, a powrót do Teksasu z pewnością tym nie był.

Pograżona w tych rozmyślaniach dotarła do gumki spodni od piżamy Zakiego.

Długimi, posuwistymi ruchami nacierała mu plecy od krzyża do ramion.

- Pan Pyton jest taaaki samotny - zajęczał, a zabrzmiało to jak „siamotni”. Zawsze mówił jak dziecko, kiedy niecierpliwił się, żeby zacząć zabawę.

- Obróć się - powiedziała, klepiąc go żartobliwie u nasady kręgosłupa.

- Hę? - spytał Zaki odwracając głowę. W szeroko otwartych oczach kryła się nadzieja.

- Powiedziałam, odwróć się. Chcę cię o coś spytać.

- Dobrze odparł gorliwie.

- A kiedy porozmawiamy, może odwiedzę pana Pytona.

- Naprawdę?

- Cóż, to zależy - stwierdziła z udaną afektacją.

Od tej pory w każdy piątkowy wieczór sekretarz szejka Zaki, pan Hakim, chudy jak szczapa człowieczek o wystających zębach przypominających dłonie złożone do modlitwy, wypłacał SueBee, pielęgniarsce-towarzyszce Zakiego, trzy studolarowe banknoty. Wyjmował je z nesesera, z którym się nigdy nie rozstawał, a w którym znajdowały się, według słów Zakiego, pieniądze na drobne wydatki.

Za pierwszą „wypłatę” kupiła cztery nowiutkie fartuchy pielęgniarskie. Wyglądały skromnie, póki SueBee nie skróciła ich nad kolana i przerobiła górę tak, by ciasno przylegała do ciała. Wybiła otwory w pasku, by móc go ściągnąć i podkreślić swą pięćdziesięciocentymetrową talię, a długie rękawy skróciła do dziewczęcych bufek. Doppełniła kreację białymi lakierkami, które znalazła w magazynie Alexandra.

Nowy wygląd SueBee natychmiast podbił serce szejka, a chociaż co bardziej religijni członkowie jego ekipy zasłaniali oczy, kiedy wchodziła do pokoju, przyłapywała ich na podglądaniu przez pełne pierścieni palce.

Stan zdrowia Zakiego znacznie się poprawił; zaczął podróżować, jeździć na spotkania do innych miast i za granicę. Zawsze jednak wracał do Waldorfa i SueBee. Mówił, że nie czuje się dobrze i potrzebuje masażu, kąpieli w soli Epsom; wymyślał cokolwiek, byle tylko spędzić kilka dni w łóżku, napawając się jej niepodzielną uwagą.

Dwa razy poskarżyła mu się na nudę i oświadczyła, że musi się rozwijać, na co Zaki zrobił taką scenę, że trzeba było wezwać lekarza. Za pierwszym razem wpadł w furję i poczerwieniał na twarzy jak burak; chodził tam i z powrotem po pokoju, zapewniając SueBee, że umrze, jeśli ona go opuści. Za drugim razem złapał się za pierś, nachylił do przodu udając, że dostał zawału. Uwięziona i bezradna, z rezygnacją przystała na zostanie z nim na czas nieokreślony.

Wiosną 1985 r. otwarto sesję Narodów Zjednoczonych, a szejk Omar Zaki był członkiem delegacji saudyjskiej. Oznajmił swojej ekipie, że odtąd zamierza używać apartamentu zarówno jako mieszkania, jak i biura. SueBee odczuła ulgę. Przy najmniej teraz w ogromnych pomieszczeniach zacznie się przewijać więcej osób; pojawiają się nowe zajęcia poza oglądaniem telewizji i spacerami w parku.

W apartamencie zatętniło życie; organizowano nie kończące się spotkania, kolacje i przyjęcia, przeciągające się do późnych godzin nocnych.

Za dnia w apartamencie królowały słodczyce. Nadziewane daktyle, słodkie ciasta orzechowe i ociekające miodem ciasteczka -wszystkie ziarniste i tak słodkie, że po pierwszym kęsie SueBee ścisnęło się gardło. Oficjalnym gościom serwowano owocowe, bezalkoholowe napoje, tak słodkie, że raczej nie gasiły pragnienia.

W nocy sytuacja wyglądała inaczej.

Wieczorami SueBee patrzyła z kuchni, jak salon wypełnia się mężczyznami w ciemnych garniturach i długich thobach. Rozmawiali i flirtowali z najpiękniejszymi kobietami, jakie SueBee kiedykolwiek widziała. Miały na sobie stroje podobne do tych, które widywała w „Dynastii” i „Dallas” oraz biżuterię, którą oglądała na wystawach przy Piątej Alei. Nocą płynął alkohol, rzeki alkoholu podawanego z barku, do którego klucz przechowywał lekarz Zakiego.

Pewnej nocy SueBee leżała w łóżku w swoim pokoju za kuchnią, oglądając program Johnny'ego Carsona i licząc w myślach pieniądze, które zdołała odłożyć do stojącego pod łóżkiem pudełka po butach. Wcześniej próbowała zasnąć, ale z sąsiedniego pokoju dobiegała ogłuszająca muzyka z nowego sprzętu grającego.

Zespół Bee Gees grzmiał z taką siłą, że zaczęła się obawiać o bębenki. Ilekroć kasetę się kończyła, SueBee słyszała piski i śmiech kobiet, które Zaki sprowadził z jakiegoś nocnego klubu.

Ostatnio zaczął bywać przed północą w lokalach w rodzaju Regine's czy w Dębowej Sali w Plaza, a pod koniec wieczoru zapraszał wszystkich do siebie na dalsze picie. Kobiety po prostu przydarzały się Zakiemu. Kilkakrotnie siedziała w salonie oglądając film na wideo, gdy drzwi otwierały się gwałtownie i SueBee czmychała korytarzem. Kobiety lepiły się do Zakiego jak włosy do kawałka taśmy klejącej.

Wtaczał się do pokoju, jedną ręką obejmując dziewczynę, drugą rozrzucając pieniądze z nesesera na drobne wydatki.

SueBee umierała z pragnienia. Może bawili się tak szampańsko, że nikt nie zauważył, kiedy wślizgnie się do kuchni po puszkę pepsi.

Drepcząc boso korytarzem, zajrzała do salonu. Wszyscy mężczyźni siedzieli na długiej kanapie, pijąc Johnnie Walkera z otwartych butelek i oglądając filmy pornograficzne z wyłączonym głosem. Dziewczęta opierały się o meble jak wystrojone pieski. Piękne i znudzone, osuwały się na kanapy i krzesła, paliły papierosy z przymkniętymi oczami.

SueBee wyjęła pepsi z lodówki, uciekła z powrotem do siebie i wepchnęła pod drzwi zrolowany ręcznik, by odgrodzić się od hałasu. Wyłączyła telewizor, zatkała uszy chusteczkami higienicznymi i wpełzła do łóżka. Jeśli nakryje głowę poduszką, a na nią narzuci koc, może zdoła zasnąć.

Obudziła się tuż przed południem. Wzięła szybki prysznic i przebrała się w fartuch. Zaki zazwyczaj budził się w południe i domagał się tacy ze śniadaniem.

Znalazła ją schludnie przygotowaną na kuchennym blacie. Pozostawało jej tylko zagotować wodę na herbatę, wycisnąć sok i wyjąć z lodówki mleko do owsianki.

Czekając, aż woda się zagotuje, ułożyła na tacy pigułki Zakięgo: różowa na ciśnienie krwi, mała biała na podagrę, niebieska na mocz i tradycyjna torebeczka

sproszkowanego środka przeczyszczającego. Omiotła tacę fachowym spojrzeniem i uświadomiła sobie, że Zaki zażąda cygara. Lekarz mu na to nie pozwalał, ale

SueBee pomyślała, że jedno go przecież nie zabije. Zresztą jak cygaro mogło zabić człowieka, który przez całą noc pił Johnnie Walkera i chichotał z dziewczynami?

Pudełko w schowku kamerdynera było puste. Musiała pójść do salonu i wyjąć cygaro z dużego, chroniącego przed wilgocią pojemnika Dunhilla.

Kiedy tylko otworzyła drzwi kuchenne prowadzące na korytarz, SueBee uderzył zapach, od którego zapiekły ją oczy. Znajomy metaliczny aromat wczorajszego dymu, rozlanego alkoholu, perfum i ludzkiego potu.

- Boże - mruknęła z obrzydzeniem. - Czy nikt nie potrafi otworzyć okna?

Minęła pokój stołowy i weszła łukowatym wejściem do przestronnego salonu.

- Jezu Chryste! - krzyknęła na widok pobojuwiska.

Na środku olbrzymiego stołu do kawy w kształcie bumerangu stało wysokie szklane urządzenie, które mężczyźni wyjmowali podczas przyjęć. Był to rodzaj fajki, w której dym krążył i przechodził przez wodę. Zawsze, kiedy tego używali, robili się głupiutcy, co prawdopodobnie tłumaczyło chichoty minionej nocy.

Na szklanym stole do kawy stały brudne szklanki, przepełnione popielniczki, a na brązowy posążek konia ktoś naciągnął majteczki bikini i czarny pas do pończoch.

Pod kanapą SueBee dostrzegła pantofel, a na kanapie pod oknem, na rozrzuconych poduszkach, leżało czarne futro.

Ktoś coś stłukł. W gęstym białym dywanie lśniły odłamki szkła. Przed gigantycznym sprzętem grającym wałały się tuziny kaset. Na konsolce telewizora piętrzyły się w chwiejnej równowadze kasety z filmami pornograficznymi. Odtwarzacz wideo, nie wyłączony po ostatnim filmie, wpatrywał się w SueBee ślepym niebieskim okiem.

SueBee omiotła spojrzeniem pokój i powoli pokręciła głową.

- Hańba! - powiedziała. - Niech no tylko zobaczą to pokojówki.

W tym momencie od strony kanapy dobiegł jęk. Futro poruszyło się, a SueBee zrozumiała, że nie skrywało poduszek. Ktoś tam spał.

- Halo? - powiedziała do futra, chcąc sprawdzić, czy znowu się poruszy. Co za brak smaku, pomyślała. Co innego zostawiać taki bałagan, ale ciała?

- Przepraszam powiedziała. Lepiej żeby się w to nie mieszała. Weźmie tylko cygaro dla Zakiego i wyniesie się stąd.

Ze stojącego na regale pojemnika wyjęła cienkie cygaro, które lubił palić do porannej herbaty i wsunęła je do kieszeni fartucha. Kiedy przechodziła obok futra, żeby wyjść z pokoju, poruszyło się znowu.

- Przepraszam - zwróciła się do futra. Nie chciałam cię budzić.

- W porządku - wymruczał głos. Spod futra wyłoniła się głowa pełna skołtunionych czarnych włosów. Dziewczyna odgarnęła je, ukazując zmiętą twarz. Makijaż rozmazał jej się w ciemne kręgi pod oczami. Musiała być zmęczona i mieć upiornego kaca.

Podciągnęła futro pod brodę i spojrzała na SueBee.

- Gdzie ja jestem, do cholery?

- Nie wiesz?

Dziewczyna z wysiłkiem odsunęła futro i usiadła. Popatrzyła na SueBee, koncentrując wzrok na fartuchu.

- O, cholera - powiedziała i oklapła. - Jestem w szpitalu. SueBee zachichotała.

Odepchnęła brudne szklanki i przysiadła na brzegu stołu do kawy.

- Nie jesteś w szpitalu, tylko w Waldorf Towers - powiedziała z uśmiechem.

Dziewczyna miała mniej więcej tyle lat, co ona, a to był wystarczający powód, żeby usiąść i pogadać. -To apartament szejka Zaki, a ja jestem jego pielęgniarką. No, tak jakby. Byłam jego pielęgniarką, a teraz tylko się nim opiekuję.

- Ooooch - jęknęła dziewczyna, położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. - Nie mów mi, że przyszłam tu z jednym z nich.

- Czy mogę ci coś przynieść? - spytała SueBee, której zrobiło się żal dziewczyny. Nie wyglądała zdrowo. - Może soku albo kawy?

Dziewczyna powoli odwróciła głowę i przyjrzała się SueBee ze zdumieniem.

- Chryste, ja cię znam.

- Naprawdę?

- Jesteś tą pielęgniareczką z Teksasu.

- No, pochodzę z Teksasu, ale myśmy się chyba...

- Pod Bykiem i Niedźwiedziem. Jezu, ty ciągle tu tkwisz? -Znowu jęknęła i zasłoniła twarz rękawem futra. - Jak ty to znosisz? Jedna noc z tymi Arabami to za dużo.

- Oni są Saudyjczykami - poprawiła ją słodkim głosem SueBee.

- Jeden pies - dobiegł spod futra przytłumiony głos. - O, Boże... Teraz pamiętam.

Spotkałam ich w tym klubie, gdzie z sufitu zwieszają się huśtawki, a potem przyszliśmy tu, żeby palić to gówno i pić szkocką. Co za banda frajerów.

- Jeśli ci się nie podobali, to czemu z nimi poszłaś? - spytała łagodnie SueBee.

- Na jakim świecie ty żyjesz? - odparła dziewczyna przewracając oczami.

SueBee podniosła się ze stołu i wygładziła spódniczkę.

- Przepraszam, ale muszę iść do pracy.

Sandrine usiadła. Miała na sobie obcisłą bluzkę z cekinami, rozdartą na bocznym szwie.

- Nie odchodź - poprosiła. - Nie chcę zostawać sama. Chyba zwymiotuję.

Teraz, kiedy dziewczyna usiadła, SueBee przypomniała ją sobie. Jasne, pomyślała, to ta, która wyszła, kiedy Zaki chciał ją poznać.

- Sandrine, zgadza się? - spytała podniecona.

- Owszem - odparła Sandrine naciągając ramię.

- No... kurczę... cóż. Jak ci się powodzi? - spytała niepewnie SueBee, której nic innego nie przychodziło do głowy.

Sandrine puściła pytanie mimo uszu i rozejrzała się po zaśmieconym pokoju.

- Chcesz powiedzieć, że te dziwki uciekły i zostawiły mnie tutaj? - spytała ze złością.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Rozumiem, że przyszedł tu z koleżankami - powiedziała sztywno SueBee. Nie pochwałała takiego zachowania, ale było jej żal Sandrine. Wiedziała, czego trzeba dziewczynie: gorącej kąpieli, herbaty kminkowej i snu.

- Tak... z koleżankami. Czterema. Wszystkie pracujemy dla... - Urwała nagle, jakby przypomniała sobie coś ważnego i zaczęła gorączkowo przeszukiwać futro.

Wepchnęła dłoń do kieszeni, przenicowała ją, potem przeszukała drugą. - Niech to szlag! - warknęła. - Zniknął. Wiedziałam. Wiedziałam!

Wstała i zaczęła rozrzucać poduszki po kanapie, przewracając szklanki. Podniosła długą poduszkę-oparcie i cisnęła przez pokój. SueBee złapała stojącą na stole lampę, zanim zdążyła zlecieć na podłogę.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Słuchaj, nie rozrzucaj rzeczy, po obudzisz szejka.

- Mam nadzieję - krzyknęła Sandrine. - Co za skurwieli! - Podniosła dużą metalową popielniczkę z wizerunkiem saudyjskiej rodziny królewskiej i cisnęła nią w telewizor. Popielniczka odbiła się o krawędź i upadła na dywan, odłupując kawałek forniru z komody. - Twój szejek to gnój pierwszej klasy. Zapłacił nam po tysiąc dolarów, żebyśmy tu przyszły, a potem poszedł do łóżka. Założę się, że jeden z tych śmierdzących poganiaczy wielbłądów ukradł mi pieniądze!

- Nie sądzę, żeby jeździli na wielbłądach - zauważyła spokojnie SueBee. - Szejek Zaki ma nowy model Mercedesa, którego prowadzi pan Nebeh. - SueBee zaczęło świtać w głowie, że Sandrine wciąż jest pijana. Nie chciała jej zostawiać samej, ale jeśli nie zanieśie śniadania Zakiemu, zacznie dzwonić i wszystkich pobudzi. - Posłuchaj, Sandrine - powiedziała najspokojniej jak umiała. - Jeśli chcesz, no wiesz, odświeżyć się, to zaprowadzę cię do mojego pokoju. Na pewno znajdziemy dla ciebie coś do ubrania. Nie chcesz chyba wyjść na ulicę w takim stanie.

Sandrine spojrzała po sobie i zobaczyła podartą sukienkę.

- Cholera, cholera, cholera - powtarzała, a w końcu wybuchnęła płaczem.

SueBee podniosła futro Sandrine i ujęła ją za ramię.

- Chodź, umyjemy cię. - Wyjęła spod łóżka pantofel. - Czy to twój?

Sandrine skinęła głową, wzięła pantofel i założyła.

- Później przyjdę poszukać drugiego - obiecała SueBee, prowadząc Sandrine kuśtykającą w jednym pantoflu. - Pozwól tylko, że zaniosę szejkowi śniadanie. Wskakuj pod prysznic.

Sandrine pozwoliła potulnie, by SueBee zaprowadziła ją do swojej sypialni.

- Chyba zechcesz skorzystać z tego miejsca - powiedziała SueBee otwierając drzwi łazienki.

Sandrine usiadła na klapie sedesu i ukryła twarz w dłoniach.

- Dlaczego płaczesz? Chodzi o pieniądze?

Sandrine skinęła głową, odsunęła dłonie od twarzy i sięgnęła po papierowy ręcznik.

- No cóż - powiedziała SueBee odrzucając głowę. - Zobaczę, co się da zrobić.

Idąc korytarzem po tacę Zakiego, usłyszała szum wody pod prysznicem.

Zaki siedział na łóżku czytając „Financial Times”; okulary i wąsy tworzyły linie równoległe.

- Dzień dobry! - zaszczębiotała SueBee, zamykając drzwi obcasem. Postawiła tacę na sobolowej narzucie i zaczęła układać poduszki.

- Dzień dobry, kochanie - odparł z uśmiechem. - Czy dobrze spałaś?

- Owszem, dziękuję, - odparła SueBee, patrząc na szejka z lekką wymówką. - Chwilami.

- Czy przeszkadzało ci nasze małe przyjęcie? - spytał Zaki, składając gazetę i odkładając na bok.

- Zostało trochę resztek.

- Resztek? - spytał, przyglądając się tacy, którą postawiła mu na kolanach. - Jedzenie wygląda świeżo.

- Nie mówię o śniadaniu, ale o dziewczynie pod futrem w salonie.

- Naprawdę? - Zaki zmarszczył brwi.

- Mhm. - SueBee trzepnęła serwetą i założyła mu ją na czarną jedwabną piżamę.

- Powiem moim ludziom, żeby w przyszłości sprząkali - oświadczył chichocząc. - Mam nadzieję, że ją odesłałaś.

SueBee skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o słupek w nogach łóżka.

- Zrobię to. W tej chwili bierze prysznic. Jest trochę wzburzona.

Zaki zamarł z łyżką owsianki w połowie drogi do ust.

- Wzburzona? Czym?

- Pieniężmi. Twierdzi, że dałeś jej tysiąc dolarów, a teraz ona ich nie ma. Uważa, że kiedy spała, okradł ją któryś z twoich ludzi. To dużo pieniędzy.

Łyżka Zakiego ruszyła w dalszą drogę. Zanim odpowiedział, przeżuł starannie i przełknął.

- Nie dałem jej tych pieniędzy, ale zapłaciłem. Tyle sobie liczą te dziewczyny.

- Liczą? Jak to liczą?

- To były dziewczyny na telefon, kochanie. Tyle sobie liczą za dotrzymanie towarzystwa. Hakim wynajmuje je z pewnej agencji.

- Szejku Zaki, nie wierzę ci! To bardzo miła dziewczyna.

- Naturalnie - odparł niedbale Zaki. Napił się herbaty i spróbował ukryć torebkę metamucilu pod lnianą serwetą.

SueBee udała, że nic nie zauważyła.

- Kiedyś ją spotkaliśmy w restauracji na dole. Znam jej imię i w ogóle - mówiła z uporem. Wciąż myślała, że Zaki dał Sandrine tysiąc dolarów jako prezent w przypływie hojności. Nie chciała myśleć, że dziewczyna pracowała jako prostytutka.

- Ona mieszka przy Park Avenue.

Zaki odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Niektóre z najlepszych dziwek na świecie mieszkają przy Park Avenue.

- Cóż, uważam, że powinieneś się wstydzić - powiedziała żarliwie SueBee. Zdała sobie sprawę, że czuje się trochę zazdrosna. Nie żywiła w stosunku do Zakiego żadnych romantycznych uczuć, ale odpowiadała za niego. Był jej podopiecznym, jej pacjentem; do jej obowiązków należało zapewnianie mu komfortu. Nie wiedziała, czy większą przykrość sprawiła jej informacja, że Sandrine jest prostytutką, czy fakt, że Zaki płacił kobietom za robienie rzeczy, które ona bez trudu potrafi robić.

Podeszła do wezglowia łóżka i zaczęła podawać Zakiemu pigułki, które miał popić herbatą.

Kiedy połknął wszystkie, odepchnął tacę.

- Nie gniewaj się na mnie, SueBee - powiedział, patrząc na nią dużymi, smutnymi, czarnymi oczyma. - Nic nie robiłem z tymi dziewczynami.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła pociągając nosem. Wyjęła spod serwety torebkę ze środkiem przeczyszczającym, rozdarła ją i wysypała zawartość do soku.

- SueBee, dziewczyny na telefon spełniają w życiu bardzo istotną funkcję. Ułatwiają spotkania w sprawach interesów. Uprzyjemniają życie, podobnie jak dobry posiłek, nowy samochód albo, skoro o tym mowa... - Zaki wyciągnął rękę i skubnął kieszeń spodnicy SueBee - ...dobre cygaro.

SueBee cofnęła się spoza jego zasięgu.

- Wypij to! - rozkazała i skinęła głową na szklankę z sokiem. - Wiesz, że zawsze widzę, jak chowasz lekarstwo.

- To jest jak smarki z nosa - skrzywił się Zaki.

- Wypij to - powtórzyła. - A kiedy skończysz, możesz kazać Hakimowi przynieść pieniądze na drobne wydatki. Muszę dać tysiąc dolarów damie, która bierze prysznic.

- Musisz mi dać więcej soku, jeśli mam wypić to świństwo - powiedział Zaki ignorując ją.

SueBee podniosła słuchawkę.

- Zadzwoń do Hakima. Może przynieść zarówno sok, jak i pieniądze.

- Moja droga SueBee, jesteś kobietą wielkiego serca - powiedział z uśmiechem Zaki biorąc ją za rękę. - Będzie mi cię brakować.

SueBee odłożyła słuchawkę.

- Dokąd się wybierasz? - spytała oszołomiona.

- Do domu, kochanie. Król... cóż, zbyt wiele czasu przebywałem poza krajem.

- Ale... kto się tobą opiekuje? - pytała, usiłując zapanować nad paniką.

Zaki zachichotał klepiąc ją po dłoni.

- Dam sobie radę, kochanie. Zresztą tak świetnie się mną opiekowałaś, że nie będę już nikogo potrzebował.

- Wiesz, że sam nie bierzesz lekarstw - powiedziała wiedząc, że chwyta się tych argumentów jak tonący brzytwy. To nastąpiło tak nagle. Jak mogła być taka głupia, żeby myśleć, że ten układ będzie trwać wiecznie? - Czy nie mogłabym pojechać z tobą? - spytała i natychmiast pożałowała tych słów. Zawsze szczyciła się tym, że nie była natrętna ani zależna od kogokolwiek.

Zaki skubał koronkowe wykończenie prześcieradła. Nigdy wcześniej nie widziała na jego twarzy takiego smutku; miała wrażenie, że szejek zaraz się rozplacze.

- Musisz zrozumieć, SueBee, że mój kraj nie jest odpowiednim miejscem dla zachodnich kobiet. U nas kobiety muszą siedzieć w domu, zakrywać twarze, nie mają własnego życia. Ładna, niezamężna, jasnowłosa Amerykanka... cóż, obawiam się... - urwał, odwrócił wzrok i ciężko westchnął. Pod SueBee ugięły się nogi.

- Jestem oszołomiona - wyznała odwracając wzrok, by ukryć łzy.

Zaki podniósł się na łóżku i wskazał na telefon.

- Zadzwoń po Hakima - rozkazał szorstko. - Każ mu przynieść skrzynkę z dokumentami z górnej szuflady mojego biurka. Mam dla ciebie mały prezent na pożegnanie, ale nie otwieraj go przy Hakimie. Wiesz, jak potrafi zrzędzić.

SueBee i Sandrine siedziały naprzeciwko siebie w greckiej kawiarni przy Lexington Avenue.

- Do twarzy ci w tym kolorze - powiedziała SueBee, wskazując kiwnięciem głowy na czerwony golf, który pożyczyła Sandrine razem z niebieskimi džinsami i tenisówkami. Sukienka z cekinami oraz pantofel leżały w torbie obok Sandrine. - Szkoda, że nie znalazłyśmy drugiego pantofla.

Sandrine zatopiła wzrok w kawie.

- Zrobiłaś więcej niż dosyć, SueBee. Nie wiem, jak mam ci dziękować.

- Nie musisz mi dziękować, Sandrine. Zakiemu było przykro, że ktoś mógł ci zabrać pieniądze.

- Wszystko jedno - odparła Sandrine z uśmiechem. - Jestem ci po prostu wdzięczna za to, że się za mną wstawiłaś. Będę mogła zapłacić czynsz, jestem splukana.

SueBee wskazała skinieniem głowy na kelnerkę, która nalewała im świeżej kawy. Poczekała, aż odejdzie, po czym mówiła dalej.

- Jakim cudem mieszkasz przy Park Avenue, skoro jesteś splukana?

- Już tam nie mieszkam. Matka wyrzuciła mnie dawno temu.

- O, Boże - krzyknęła zszokowana SueBee. - Jak to się stało?

- Pożyczyłam sobie jej biżuterię i zgubiłam. Wkurzyła się, chociaż glinom i ludziom z firmy ubezpieczeniowej powiedziała, że to włamanie, bo tylko tak mogła dostać odszkodowanie. Pewnej nocy doszło do jednej z naszych kłótni o jej męża i zagroziłam, że powiem prawdę o naszym nikim - powiedziała Sandrine ze wzruszeniem ramion. - Wtedy mnie wyrzuciła.

- Dlaczego kłóciłyście się o jej męża?

- Kiedyś był moim chłopakiem. Przywiozłam go z college'u do domu, a ona z nim uciekła. Było spore zamieszanie.

- Matka wyszła za twojego chłopaka? - spytała SueBee z niedowierzaniem. - A ja sądziłam, że to mi było ciężko.

- Wszystko można przeżyć - odparła Sandrine ze słabym uśmiechem. - Dzień Matki nabrał nowych znaczeń.

Nonszalancka poza Sandrine nie zmyliła SueBee. Miała przed sobą bardzo nieszczęśliwą dziewczynę.

- Czy czasem ją widzisz?

- Tylko w gazetach. Treścią jej życia jest pozowanie do zdjęć - powiedziała Sandrine z kwaśną miną. - Któregoś dnia będę się z nią jednak musiała spotkać osobiście. Matka sprawuje kontrolę nad zostawionym przez ojca spadkiem powierniczym, który niedługo ma mi przypaść w udziale.

- Czy to będzie trudne?

- Najtrudniejsze ze wszystkiego - odparła Sandrine, a wyraz jej twarzy po raz pierwszy zdradzał, jak głęboko się czuła zraniona.

- Czy to dlatego pracujesz jako... - SueBee się zawahała.

- Dziewczyna na telefon?

- Mhm.

- Tak jakby. Robię to też dlatego, bo lubię.

- Lubisz sypiać z obcymi mężczyznami? Sandrine nachyliła się do przyjaciółki.

- Tak czy inaczej bym z nimi sypiała. Dlaczego nie brać za to pieniędzy? - powiedziała dobitnie, jak gdyby SueBee miała wadę słuchu.

- No tak - odparła SueBee, nie przekonana argumentem Sandrine. W jej rozumowaniu zdawało się brakować pewnej logiki, ale nie potrafiła dokładnie stwierdzić jakiej. Spojrzała na sałatkę z tuńczyka, którą postawiła przed nią kelnerka.

- Czy mogę dostać korniszona? - spytała.

- Masz go - odparła kelnerka i odeszła.

SueBee pogrzebała na talerzu i znalazła sflaczałego korniszona pod liściem sałaty.

- Tak to wygląda, SueBee - ciągnęła Sandrine. - Mogę pracować, kiedy mam na to ochotę. Dobrze zarabiam. Chodzę do najlepszych klubów i restauracji, a czasem nawet jadę w podróż do Aspen czy na Wyspy Karaibskie. Pracuję dla profesjonalnej agencji. Niektórzy klienci to ważni ludzie. Wierz mi, poznałabyś niektóre nazwiska. Widzisz, faceci inaczej cię traktują, kiedy ci płacą. To rodzaj perwersji. Zachowują się, jakby byli Bóg wie kim, bo zabawiają się z piękną i drogą kobietą, więc mają się czym pochwalić. Inni mężczyźni ich podziwiają, bo robią coś nieprzyzwoitego i na dużą skalę. Nigdy nie przychodzi im na myśl, że jesteś z nimi tylko ze względu na ich portfel i nic innego, a już z pewnością nie ich fiuty.

SueBee skrzywiła się na bezpośrednie słowa Sandrine, ale udawała, że jest to reakcja na kelnerkę, która przyniosła Sandrine kanapkę z szynką i jajkiem i postawiła na stole z głośnym łupnięciem. Następnie wyrwała rachunek z bloczku i upuściła go z wysokości pół metra na stół. Poszybował w powietrzu i wylądował w kałuży wody na blacie.

- Co jej jest? - spytała SueBee, kiedy kelnerka odeszła niedbałym krokiem.

- Tutejsze kelnerki tak się zachowują - wyjaśniła Sandrine. - Wiele z nas przychodzi tu na śniadanie po nocy spędzonej na mieście. Te kobiety uważają, że uczciwie

zarabiają na życie, a my jesteśmy tylko bandą ulicznic. Dowartościowują się, zacierając nosa.

- Czy to ci nie sprawia przykrości? - spytała SueBee. Sandrine zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem.

- Nie. Przykrość sprawiałaby mi praca kelnerki w zasyfiałej knajpie.

- Jak właściwie zaczęłaś? - spytała SueBee z autentycznym zainteresowaniem.

- Chodzi ci o tę bajeczkę: jak taka miła dziewczyna jak ty...?

- Przepraszam powiedziała SueBee z uśmiechem. - Jestem ciekawa.

- W porządku, wszyscy są ciekawi. Łaziłam po klubach, no wiesz, tańczyłam, uwielbiam tańczyć; wygłupiałam się, podrywałam facetów. Pewnej nocy najadłam się strachu, kiedy jeden z nich dostał szału. Następnej nocy przyszedłam do klubu z podbitym okiem i poznałam bardzo miłą kobietę, która powiedziała mi, że ktoś mnie w końcu zabije i że potrzebuję ochrony. Dała mi numer Angel, dziewczyny, która prowadzi agencję towarzyską. Spodobał mi się pomysł, że ktoś mnie pilnuje, no wiesz, nie dopuszcza do mnie świrów. Zaczęłam pracować dla Angel. Kiedy się z kimś umawiam, jestem strzeżona. Nikt mnie do niczego nie zmusza. Płacą mi dobrze i bynajmniej nie jest to tak obleśne, jak się ludziom wydaje. Tak czy inaczej sypiałam z facetami, a tak mam ochronę i pieniądze.

- Dlaczego w takim razie jesteś splukana? - spytała SueBee, która skończyła sałatkę z tuńczyka i wciąż czuła głód.

- Nie wiem, po prostu wydaję pieniądze. Ciuchy, biżuteria, takie tam. Potrafię przepuścić dziesięć kawałków w jedno popołudnie u Saksa. Może robię tak, bo wiem, że wkrótce dostanę spadek, a jeśli nie, mam plan awaryjny.

- Jaki, Sandrine?

- Prosty. Bardzo, bardzo bogaty facet. Chcę żyć lepiej, niż moja matka. Chcę mieć wszystko, a jedyny sposób to wyjść za kogoś, z górą szmalu i o nic więcej się nie martwić.

- Kurczę - powiedziała cicho SueBee, bo nic innego jej nie przychodziło do głowy. Takie pragnienie wydało jej się dziwne, ale spojrzenie w oczach Sandrine kazało jej uwierzyć. - Jesz to? - spytała, wskazując na nietkniętą kanapkę z jajkiem i szynką.

- Nie wiem, po co to zamówiłam. Nie jestem w stanie jeść. Zeszłej nocy paliliśmy tę arabską faję i wzięło mnie na jedzenie. Zjadłam cały talerz najobrzydliwszych słodczy - powiedziała Sandrine, popychając talerz w stronę SueBee.

- To arabskie rarytasy. Zakiemu dostarczają ich samolotem z ojczyzny. Ja też ich nie cierpię, ale mu tego nie mówię.

- Co właściwie robisz dla Zakiego?

- Nie wszystko. Podaję mu śniadanie, lekarstwa, układam mu poduszki tak, jak lubi, dotrzymuję mu towarzystwa. Drobiazgi.

- Tak, teraz sobie przypominam. Mówiłaś, że siedzisz z nim w kiblu. Myślałam o tym trochę.

- Czasem załatwiam sprawę ręką, żeby mógł zasnąć - powiedziała SueBee, biorąc kęs kanapki Sandrine.

Sandrine właśnie upiła łyk kawy. Słowa SueBee tak ją zaskoczyły, że dmuchnęła w kawę, rozpryskując ją w powietrzu.

- Ach tak! Tak myślałam! - krzyknęła. - Kiedy znalazłaś mnie dziś rano, zachowywałaś się dość wyniośle, jak na kogoś, kto obsługuje ręcznie Ali Babę!
- Raz czy dwa zrobiłam to ustami - powiedziała naturalnym tonem SueBee. - Tylko dlatego, że wiercił mi dziurę w brzuchu. Nie podobało mi się to. Smakowało jak Clorox.

Sandrine padła na stół i trzasnęła otwartą dłonią o blat. Kiedy uniosła głowę, zaciskała wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- O Boże, ale z ciebie numer, SueBee. Czy powiedziałaś mu o tym?

- Nie, nie chciałam ranić jego uczuć - odparła SueBee z pełnymi ustami. - Nie lubię mówić ludziom rzeczy, których wolą nie wiedzieć. Zresztą teraz to już nieważne.

- Dlaczego? - spytała Sandrine, zasłaniając dłonią szeroki uśmiech.

- Może najpierw skończ się śmiać, Sandrine, to wtedy ci powiem.

Sandrine odgarnęła włosy z twarzy i oparła się o skórzaną ściankę.

- Przepraszam, mała, nie śmiałam się z ciebie. Śmiałam się z tego, jak swobodnie o tym powiedziałaś. Proszę: zabawiasz się z jednym z najbogatszych ludzi świata i traktujesz to jak wydawanie hamburgerów w McDonalddie. Dziewczyny, które znam, zabijałyby się, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

- Nie jestem już na żadnym miejscu - powiedziała cicho SueBee. - Dziś rano Zaki oświadczył mi, że wraca do kraju. Muszę znaleźć pracę.

- Ależ jesteś pielęgniarką, na miłość boską - powiedziała Sandrine marszcząc brwi. - To miasto cholernie potrzebuje pielęgniarek. Znajdziesz pracę w minutę.

SueBee przestała żuć, przełknęła z trudem i odłożyła kanapkę.

- Nie jestem pielęgniarką, Sandrine - powiedziała cicho.

- Nie jesteś? Przecież...

- To wszystko oszustwo. W Teksasie pracowałam jako recepcjonistka u lekarza. Szejk Zaki miał wypadek w pobliżu miejsca, gdzie pracowałam i lekarz zabrał mnie do pomocy. Tak się złożyło, że miałam na sobie fartuch pielęgniarski. To wszystko zbieg okoliczności. Zaki mnie zatrudnił i od tamtej pory dla niego pracowałam. Nie miałam innej pracy.

- A może wrócisz do domu?

- Nie - odparła SueBee energicznie kręcąc głową. - Tuż przed wyjazdem ucięłam fiuta jednemu facetowi. Policja mogłaby się do mnie przyczepić.

- Co zrobiłaś?

- No, wywijał mi nim przed oczami i mówił chamskie rzeczy. Dziewczyna musi sobie radzić.

Sandrine zaniosła się od konwulsyjnego śmiechu. Kiedy wreszcie doszła do siebie, otarła oczy i powiedziała:

- Och, SueBee, dobrze się czuję w twoim towarzystwie.

- Naprawdę? Dziękuję - powiedziała uśmiechając się do nowej przyjaciółki.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. To się stało tak nagle, że nie zdążyłam się zastanowić.

Sandrine wyglądała przez okno przez kilka minut, a potem zwróciła się do przyjaciółki:

- Chcesz się do mnie wprowadzić do czasu, kiedy coś znajdziesz? Mogłybyśmy się składać na czynsz, to znaczy, jeśli masz pieniądze. Bo jeśli nie, to też w porządku.

- Jasne, że mam pieniądze - ucieszyła się SueBee. - Mam prawie wszystko, co dał mi Zaki. - Nagle przypomniała sobie o kopercie, którą Zaki dał jej tego ranka w sypialni. W zamieszaniu związanym z ubieraniem Sandrine i wyprowadzaniem jej z Towers na śmierć zapomniała o prezencie pożegnalnym. Domyślała się, że to pensja za kilka tygodni. - Poczekaj chwilę - powiedziała sięgając do torebki. - Może mam więcej niż przypuszczam. - Wyjęła wąską kopertę z grubego papieru, odwiązała sznureczek i sięgnęła do środka.

Z uczuciem zawodu ujrzała, że zamiast kilku dużych banknotów w kopercie znajdował się pojedynczy arkusz grubego papieru, na którym napisano coś na maszynie.

- Przeczytaj to - powiedziała niepewnie, wręczając papier Sandrine. - Jestem za bardzo zdenerwowana.

Sandrine przeczytała dokument, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- SueBee, to jest rewelacja! Czy wiesz, co on ci dał na pożegnanie?

- Co? - spytała SueBee nachylając się z wyczekiwaniem.

- Dwa konie arabskie. SueBee opadła na krzesło.

- Nie drocz się ze mną.

- Nie droczę się! Masz to czarno na białym: dwa konie arabskie w stajni na West Side. Wszystkie koszty utrzymania są pokryte. Co za świetny prezent!

SueBee wpatrywała się w przyjaciółkę w osłupieniu.

- Co ja, na Boga, zrobię z dwoma arabskimi końmi? Nigdy w życiu nie siedziałam na koniu!

- Może Zaki uważał, że każdy, kto pochodzi z Teksasu, musi mieć konia. Oglądał pewnie za dużo westernów - powiedziała Sandrine ze śmiechem.

- Cholera! - piekliła się SueBee. - Konie! Ja nawet nie wiem, którą stroną koń je. Co ja z nimi zrobię? - Odwróciła papier udając, że go czyta. Rozumiała kilka słów, ale całość wyglądała dla niej jak chińszczyzna. - Może mogłabym je sprzedać, jak myślisz?

- Nie! Nie rób tego. Właśnie doznałam olśnienia - krzyknęła z podnieceniem Sandrine, praktycznie podskakując na krześle. - To będzie świetne!

- Co będzie świetne, Sandrine? - jęknęła SueBee. Sandrine nachyliła się nad stołem i powiedziała z błyszczącymi oczami:

- Pomyśl o tym, maleńka: stroje! Te cudne małe kapelusiki z czarnego atłasu, obcisłe bryczesy, wysokie polerowane buty, biczyki. Hura! Doprowadzimy ich do szału! - krzyknęła tak głośno, że kilka głów odwróciło się w ich stronę. SueBee patrzyła na przyjaciółkę nic nie pojmując.

- Musisz mi to wyjaśnić, Sandrine. Nic nie rozumiem. Kogo doprowadzimy do szału?

- Mężczyzn, ty głupia! To wspaniały sposób na poznawanie mężczyzn! Bogatych mężczyzn!

SueBee przygarbiła się z rezygnacją.

- Nie wiem, Sandrine. Myślę, że nie spotkam już bogatszego mężczyzny, niż ten, którego miałam.

Rozdział dziewiąty

Dziennik Petera - dwudziesty dziewiąty czerwca 1990

Nie wiem, może przyczyna leży w tym, że znowu jestem w Paryżu i mam na głowie tylko tę pisaninę. Może za bardzo zaangażowałem się w sprawę madame; to dziwnie fascynująca kobieta. Nigdy nie znałem kogoś podobnego. Na każdą sesję przychodzę z silnym postanowieniem, by zapanować nad rozmową ale niezależnie od tego, jak bardzo chcę, żeby zaczęła mówić o sobie, nie jestem w stanie skłonić jej do zmiany tematu. Nie chodzi o to, że nie chcę słuchać tego, o czym mi opowiada. Wciąż interesuje mnie Madeleine i moja dawna praca, ale zacząłem sobie uświadamiać, jak trudno mi będzie skłonić madame do mówienia o sobie. To ma być przecież jej autobiografia. Wkrótce musimy przejść do sedna.

Wczoraj poprosiłem chłopaka z tutejszego biura „Herald Tribune”, żeby dostarczył mi wycinki na temat Cleo. Jestem pewien, że gdyby się o tym dowiedziała, dostałaby szału. Z wyjątkiem informacji o kłopotach podatkowych chłopak z Tribune przyniósł mi notatkę o aresztowaniu na początku lat pięćdziesiątych (natychmiast ją zwolniono) oraz wzmiankę z lat sześćdziesiątych, kiedy wprowadziła się do willi na Ile de la Cite. Poza tym można by sadzić, że ta kobieta nigdy nie istniała. W aktach nie ma nawet jej odcisków palców, a wymaga się tego od ludzi kupujących nieruchomości w Paryżu. Podejrzewam, że wysoko postawieni przyjaciele Cleo pomogli jej zachować maksymalną anonimowość.

Dzisiaj po południu listonoszka Giselle przyniosła czarne maliny wielkości poduszeczek na szpilki. Podejrzewam, że ma na mnie oko. Gdybym nie był taki zajęty, zabrałbym się do dzieła. Jestem tu od miesiąca. W normalnych warunkach odwiedziłbym jedną z moich dawnych dziewczyn. Ciało jest chętne, ale duch mdły. Zewsząd sypią się wiadomości o znanych osobistościach: Giselle ma ciotkę w Lyonie, która zna faceta, którego córka być może pracowała dla Cleo w latach pięćdziesiątych. Kiedyś poznałem faceta, który powiedział, że miał sąsiada, który wyprowadzał na spacer psa krawca Merva Griffina. Tak to się kręci.

W poniedziałek Cleo chce dla odmiany pójść na lunch do Ritza. Jestem jej za to wdzięczny. W ogrodzie na tyłach panuje już nie mniejszy skwar niż w domu. Mieszkanie przy Pięćdziesiątej Piątej wschodniej ulicy, do którego Sandrine zaprosiła SueBee, bynajmniej nie przypominało apartamentu w hotelu Waldorf. Jedyna sypialnia prosiła się o odmalowanie, a brudne okna wychodziły na oddalony o dwa i pół metra budynek po drugiej stronie zaułka pełnego butelek po Ripple i Night Train. Meble Sandrine mogły się prezentować dobrze na wyprzedazy Armii Zbawienia, ale stłoczone w małym mieszkaniu przedstawiały żaloszny widok. SueBee miała wrażenie, że wprowadziła się do Graceland.

Sandrine zamknęła książkę rachunkową, w której prowadziła drobiazgową dokumentację wydatków. Chociaż nie dysponowała rachunkami ani kartami kredytowymi, to prowadzenie takiej książki było koniecznością. Sandrine, jak wiele dziewcząt pracujących dla agencji towarzyskich, posługiwała się wyłącznie gotówką. Z punktu widzenia urzędu podatkowego i opieki społecznej dziewczyna nie istniała.

Rachunki płaciła przy pomocy gońca. Raz w miesiącu Pepe, miły Latynos, który handlował też trochę marihuaną, zachodził do Sandrine i zabierał koperty z pieniędzmi zaadresowane do ludzi, którym była winna.

Wsunęła książkę rachunkową do górnej szuflady biurka w salonie, a na stole przy drzwiach ułożyła zgrabną stertę białych kopert.

- SueBee? - zawołała w kierunku sypialni. - Obudziłaś się?

- Jestem w kuchni - odkrzyknęła śpiewnie SueBee w momencie, kiedy zaczął gwizdać czajnik z wodą na herbatę. - Nie chciałam ci przeszkadzać. Chcesz herbaty?

- Jasne, dzięki.

Kiedy SueBee weszła do pokoju w koszuli nocnej i kapciach, Sandrine siedziała na kanapie czytając czasopismo. SueBee postawiła różowy kubek na stoliku i usiadła obok przyjaciółki.

- Tak sobie myślałam - powiedziała Sandrine. - Potrzebna ci baza, frontowa weranda, żeby tak rzec.

SueBee napiła się herbaty i skrzywiła na znak, że była za gorąca, po czym odstawiła kubek.

- O czym ty, na Boga, mówisz? Jaka weranda?

- Świat musi cię oglądać. Jedynymi ludźmi, którzy wiedzą o twoim istnieniu, jest ten stary stajenny w stajniach Claremont i recepcjoniści w Gristede's. Ponieważ mój wielki plan koński jeszcze nie zaskoczył, myślę, że musisz się pokazać na innej scenie.

- Jestem gotowa - powiedziała SueBee.

- Ile pieniędzy masz w banku? - spytała Sandrine, zapalając się do planu, nad którym myślała ilekroć wracała z randki i zastawała przyjaciółkę uśpioną nad jakimś zadaniem szkolnym.

- Dużo, a dlaczego pytasz?

- Czy masz tysiąc?

- Jasne, ale po co?

- Ubieraj się.

- Ubierać się? Teraz?

- Najpierw wstąpimy do twojego banku - zarządziła Sandrine, odstawiając herbatę. - Potem pójdziemy na lunch do „21”. Możesz włożyć moją czerwoną sukienkę od Yves Saint Lauretta.

- Lunch w „21” kosztuje tysiąc dolarów? - spytała SueBee z niedowierzaniem. - Boże, chyba nie, Sandrine.

- Nie, kochanie - powiedziała powoli Sandrine. - Weźmiemy twoje tysiąc dolarów i damy je człowiekowi imieniem Charles.

- Sandrine, dlaczego miałabym dawać tyle pieniędzy nieznanemu?

- Ponieważ Charles jest szefem kelnerów w „21”, a tysiąc dolarów to odpowiedni napiwek dla człowieka, który ma zostać twoim najlepszym nowym przyjacielem.

Wystarczyły trzy lunche przy narożnym stoliku w głównej sali restauracji „21”, by plan Sandrine zaczął nabierać rumieńców.

Obsługa знаła Sandrine, która bywała tu wielokrotnie w towarzystwie znanych osób. Do zarezerwowania korzystnie usytuowanego stolika wystarczyła wzmianka,

że jej jasnowłosa przyjaciółka z Teksasu, panna Slyde (z tych Slyde'ow), spędzi dłuższy czas w Nowym Jorku i pragnie jadać wyłącznie w ulubionej restauracji swego tatusia.

- Charles, czy byłbyś tak dobry i zaopiekował się nią? - spytała Sandrine spod małej czarnej woalki Chanel, która zaplątała się uroczo w jej rzęsy. Dziewczyna zwinęła dziesięć studolarówek SueBee i wsunęła je do kieszeni na piersi nieskazitelnie skrojonego czarnego uniformu Charlesa. Pokażne wybrzuszenie sprawiło, że główny kelner pospiesznie zakrył kieszeń dłonią, co wyglądało, jakby składał przysięgę, że zaopiekuje się panną Slyde, z tych Slyde'ow od diamentów, ciężkiego sprzętu, wyposażenia szybów naftowych i czterech supertankowców. Zapamiętał te wszystkie szczegóły, na wypadek gdyby ktoś pytał. Charles widział już wielokrotnie, jak grano w tę grę, i znał zasady. Nie wątpił, że wystarczy by jasnowłosa przyjaciółka Sandrine przyszła kilkakrotnie na lunch, a zostanie zauważona.

Raz w tygodniu John Wesley „Black Jack” Ayler lubił jeść lunch samotnie przy tym samym stoliku pod ścianą w „21”. Lubiał obserwować życie dużej sali. Przez godzinę jego osoba przykuwała uwagę, a on nie musiał wdawać się w żadne rozmowy.

Rozwagał możliwość zamówienia drugiej brandy, choć wiedział, że nie powinien. O czwartej miał spotkanie z ludźmi od ochrony środowiska, a o szóstej umówił się na drinka z człowiekiem z Chase Manhattan w klubie Yale.

Nie postanowił jeszcze nic w kwestii kolacji. Może później zadzwoni do agencji towarzyskiej. Od ostatniego rozwodu zazwyczaj polegał na towarzystwie profesjonalistek, gdyż nie miał czasu ani ochoty na podboje. Po lunchu zawiadomi służącego, żeby przygotował kolację dla dwojga, potem zadzwoni do agencji. Kilka drinków z atrakcyjną damą, lekka kolacja i leniwy stosunek pozwolą mu zasnąć o północy. Nazajutrz musi być w formie. Tajny raport, który jego ludzie w Waszyngtonie zdołali zdobyć, dowiódł, że inżynierowie Aylera mieli rację. Tylko jego ekipa wiedziała, że wielka wieża Centrum Bankowego była przetykana azbestem. Ayler rozpaczliwie potrzebował sukcesu.

Przycisnął pięść do splotu słonecznego, by złagodzić ucisk, przeklinając się za zjedzenie nie dosmażonego steku. Nie był już młodzikem.

Dopiero kiedy kelner przyniósł mu rachunek, Ayler zauważył, że od dłuższego czasu przygląda się młodej blondynce siedzącej na ławie pod przeciwległą ścianą dokładnie naprzeciwko niego. Jack przychodził do „21” od blisku trzydziestu lat i wiedział, że tamten stolik rezerwowano dla znakomitości mających „ozdabiać” salę. To tam przedstawiono go księciu Windsoru, Katharine Hepburn i Johnowi F. Kennedy'emu. Te dwie kobiety musiały być kimś. Zauważył też, że Charles poświęcał im przesadną uwagę, przejmował je od kelnera i obsługiwał osobiście. Dziewczyny musiały być gwiazdeczkami albo kochankami mafiosów.

Jacka zafascynowała anielska twarz blondynki i jej całkowicie kobiece zachowanie. Zostawił rachunek na stole obok soli i pieprzu, zamówił kolejną brandy, wskazując na pusty kieliszek.

Patrzył, jak Charles wręcza kobietom karty. Blondynka była przypuszczalnie krótkowidzem, bo trzymała swoją bardzo blisko twarzy. Zauważył, że w końcu zamówiła tę samą sałatkę, co przyjaciółka, ale wina nie.

Poczuł, jak zaczynają w nim pulsować dawne soki; usiłował napotkać jej wzrok. W miarę, jak sala pustoszała, podśluchiwał urywki rozmowy. Mówiła głównie ciemnowłosa, ale Jack zignorował ją. Była zbyt wymuskana i chłodna. Za to spojrzenie anielskiej twarzy było wystarczająco ciepłe, by wprawić go w zachwyt. Kiedy kelner przechodził obok stolika, Jack poprosił, by zawołał Charlesa.

- O ile znajdzie trochę czasu - dodał z sarkastycznym uśmiechem, wskazując ruchem brwi na pierwszy stolik.

Charles podszedł natychmiast.

- Tak, panie Ayler - powiedział z troską. - Pański samochód czeka na dole, sir - dodał schylając się, żeby odsunąć stolik. - Czy mam powiadomić kierowcę, że pan schodzi? Jack podniósł dłoń.

- Jeszcze nie, Charles - powiedział cicho. - Nie po to cię wezwałem. Chciałem cię o coś spytać.

- Sir? - powiedział Charles, dostosowując głos do tonu Jacka i nachylając się bliżej.

- Kim jest ta różyczka przy pierwszym stoliku, dla której tak się uwijasz, że mało karku nie skręcisz?

W tym momencie Jack ujrzał, jak Charles, którego znał od lat, z którym upił się kilkakrotnie w kuchni, gdy ten skończył zmianę, któremu pożyczał pieniądze na opłacenie drogiego college'u dla syna i na prezent gwiazdkowy, gdy chciał swojemu pierworodnemu podarować drogi karabin, ten sam Charles zamienił się w Chrystusa na krzyżu.

- Przykro mi, sir - powiedział jak jakiś cholerny nadęty angielski kamerdyner. - Nie wolno mi powiedzieć.

- Cóż, skąd ona pochodzi?

Charles zastanawiał się przez chwilę, najwyraźniej biorąc pod uwagę ich długą i, z jego punktu widzenia, oplącalną znajomość.

- Panie Ayler, mogę panu jedynie powiedzieć, że pochodzi z Teksasu - wyznał w końcu, jak gdyby łamał obietnicę dochowania sekretu.

Jack Ayler nie zniósł lekko odmowy. Poczuł, że się czerwieni, z wysiłkiem próbował się opanować. Nienawidził, gdy mu odmawiano. Uczucie to przypominało cofanie się rogów podczas walki, kurczącą się erekcję niemal niewidocznego fiuta. Odsłonił się, a teraz musiał odzyskać dumę.

- Cóż - powiedział z cichym chichotem, sięgając do kieszeni na piersi, w nadziei że znajdzie tam wizytówkę. Było to, rzecz jasna, niemożliwe; wizytówkę Jacka Aylera stanowiła jego twarz. Ten mimowolny gest tylko wzmógł jego frustrację. - W takim razie przynieś tym damom brandy ode mnie - oświadczył, usiłując zbagatelizować całą sytuację.

- Nie radziłbym tego, panie Ayler. Prosiły, żeby im nie przeszkadzać.

Kuuurrrwa! zawarczało Aylerowi w gardle; usiłował stłumić wybuch, który tylko pogorszyłby sytuację. Brandy zaczynała mu uderzać do głowy. Wdał się w rywalizację; nie mógł ustąpić.

- Widzę, że z tobą nie wygram, przyjacielu - powiedział, mając nadzieję, że zabrzmiało to jowialnie i nonszalancko.

- Tak jest, sir - odparł Charles. - Jeszcze jedną brandy, sir?

- Nie, nie, dzięki. - Jack sięgnął ręką do kieszeni, wyłowił portfel, z którego wyjął banknot studolarowy. Był na tyle świeży, że strzelił mu cicho w palcach, kiedy wręczał go Charlesowi. -Zarezerwuj jutro dla mnie ten stolik.

Jutro, panie Ayler? spytał Charles.

Jack nie odpowiedział, ale podczas nudnego spotkania o czwartej marzył na jawie, wyobrażając sobie nieznaną blondynkę, przypominając sobie, jak podnosiły jej się kąciaki ust, kiedy mówiła. W klubie Yale stał ze szkocką przy barze, mieszał lód patyczkiem, wpatrzony w przestrzeń, aż gruba ryba z Chase Manhattan zapytała, czy dobrze się czuje.

Kiedy kamerdyner wpuścił Jacka do mieszkania przy Sutton Place, Ayler poszedł prosto do telefonu i zadzwonił do agencji towarzyskiej hrabiny de Marco - najlepszej w mieście, sprawnej, dyskretnej i szybkiej. Dziewczyny były niezmiennie urocze, a Angel, kobieta prowadząca agencję, traktowała Aylera jak jedyne go klienta; wybierała dziewczyny, o których sądziła, że mu przypadną do gustu, a nawet dzwoniła do niego, kiedy pojawiały się nowe. Podobało mu się to. Fakt, że dotarł do punktu w życiu, kiedy zaspokajano jego gust w kwestii kobiet, sprawiał mu pewną satysfakcję.

- Blondynkę z południa! - zdziwiła się Angel słysząc jego prośbę. - Jack, kochanie, zawsze wysyłam ci rude!

- Ale nie dzisiejszej nocy, Angel. Dzisiaj mam ochotę na blondynkę z południa, i to ładną, bardzo ładną.

Osobiście otworzył drzwi. W progu stała szczupła, krągła blondynka mówiąca z silnym akcentem z Missisipi. Odwołał kolację i zaprowadził ją prosto do sypialni. Podczas pospiesznego, pozbawionego radości spółkowania nazwała go „słodkim chilli”. Zapłacił jej, podziękował, a potem cicho odprowadził do drzwi, żeby nie przeszkadzać kamerdynerowi, który oglądał w kuchni telewizję. W pokoju stołowym nalał sobie drinka i poszedł na górę do sypialni.

W środku nocy obudził się zlany potem, uświadamiając sobie, że śnił o kochaniu się z blondynką z „21”.

Nazajutrz Charles naturalnie powtórzył dziewczętom rozmowę z Black Jackiem.

- Dobra robota, Charles - uśmiechnęła się Sandrine, a szef kelnerów poprawił ich stolik.

- Jeśli spojrzysz na drugą stronę sali, to zobaczysz, że przyszedł znowu - powiedział Charles, starając się nie poruszać ustami.

Sandrine odegrała skomplikowaną scenę, polegającą na zasłonięciu twarzy kartą i zerknięciu ponad nią.

- Czy to ten pod oknem? - spytała.

- Zgadza się.

- Patrzy na mnie - wyszeptała SueBee do swoich kolan. Sandrine odchrząknęła.

- Chcę go - mruknęła odkładając kartę.

- No, to bierz go, Sandrine - oświadczyła wielkodusznie SueBee. - Na miłość boską, to wszystko był twój pomysł.

- Chodziło mi o ciebie! - zauważyła urażona Sandrine.

- Nie jestem niewdzięcznicą, Sandrine - powiedziała SueBee, starannie rozkładając serwetę i wygładzając ją na kolanach. - Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli on cię interesuje, to proszę bardzo. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. - Pomimo wcześniejszych wątpliwości SueBee dobrze się bawiła. Imponowali jej ludzie zatrzymujący się przy ich stoliku. Wyglądało na to, że Sandrine zna wszystkich, nie tylko mężczyzn.

Kiedy Charles zapisywał ich zamówienie, koło Sandrine zatrzymała się jakaś kobieta, żeby się z nią przywitać. Miała płomiennie rude włosy, przezroczyste zęby i potrójny sznur szmaragdów pod kostiumem ze szmaragdowego atłasu. Z krótkiej rozmowy SueBee zdołała się zorientować, że ruda także pracowała dla agencji towarzyskiej. Przyszła z prezenterem telewizyjnym, którego SueBee natychmiast rozpoznała.

Dwie koleżanki plotkowały, a SueBee zerknęła na drugą stronę sali. Mężczyzna wciąż jej się przyglądał. Jego włosy, podświetlone filtrowanym światłem, zdawały się mieć kolor białoniebieski. Przystojna twarz o szerokich kościach policzkowych była młodsza niż włosy. SueBee spodobały się jego pełne, seksowne usta okolone dołeczkami, które pogłębiały się, kiedy się uśmiechał albo śmiał.

Nie spuszczał z niej wzroku. Spuściła oczy, czując jak rumieniec spływa jej po policzkach na szyję.

- Patrzyłaś na niego - mruknęła półgębkiem Sandrine, kiedy ruda odeszła.

- To jest silniejsze ode mnie odparła SueBee spuszczając głowę.

- Jutro - powiedziała Sandrine. - Jutro Charles zapracuje na swoje pieniądze.

Black Jack Ayler spieszył się. O dziesiątej miał spotkanie z zarządem i już był spóźniony. Ruszył do wyjścia, gdzie służący czekał z neseserem i płaszczem podbitym futrem wigonia.

- Dzień dobry, sir, jest dla pana wiadomość. Właśnie nadeszła.

- Tak? - spytał Jack, marszcząc brwi.

- Właśnie dzwonił Charles z „21” i mówił, żeby zjawił się pan przy wejściu na plac Fontanny Bethesda w Parku Centralnym między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą. Powiedział, że pan zrozumie.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - odparł Jack z szerokim uśmiechem idąc do samochodu. Zapomniał już o spotkaniu.

Na tylnym siedzeniu leżały schludnie ułożone numery „Wall Street Journal”, „Financial Times” i „New York Times”, ale Jack zignorował je i wyjrzał przez okno. Niebo barwy rtęci ponad East River przejaśniało się, podobnie jak jego myśli.

Kierowca skręcił z Sutton Place i ruszył w kierunku biura na Wall Street, ale Jack nacisnął guzik, opuszczający szybką działawą.

- Objedź park, Jerry. Chcę zabić trochę czasu. Kierowca obejrzał się przez ramię i skinał głową

Kiedy wjechali do parku od wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej, przez tylną szybę wpadła fala słońca, ogrzewając plecy Jacka. Wpadł w podniosły nastrój jak zawsze, kiedy wyruszał na polowanie.

Po upływie kilku minut przed samochodem przegalopowały dwie olśniewające młode kobiety na równie pięknych arabskich klaczach. Jack nachylił się do przodu, czując,

jak serce wali mu o klatkę piersiową. Wyglądało na to, że dziewczyna jadąca na jaśniejszym koniu ma kłopoty. Koń się spłoszył i zbaczał z drogi, ignorując jej niewprawne ruchy cuglami. Koń i jeździec znajdowali się w odległości najwyżej dwóch metrów od maski limuzyny.

To była ona! Blondynka siedząca przy pierwszym stoliku! Nachylił się na pluszowym siedzeniu i chwycił za krawędź szyby.

Jedź za tym koniem! - rozkazał, śmiejąc się z banalności polecenia. - Gdzie wyjeżdża się na koniach z parku?

Jerry zerknął we wsteczne lusterko, a dopiero potem odpowiedział.

- No cóż, sir, mogę jechać tylko po ścieżce dla koni. Jeśli wracają do stajni, to wyjadą na Dziewięćdziesiątą Trzecią.

- W takim razie pojedziemy do stajni i poczekamy.

- Już się robi, panie Ayler - odparł kierowca, skinąwszy głową

Niedługo potem Jack ujrzał obie kobiety wychodzące z podniszczonej stajni. Skreśliły w prawo i ruszyły w stronę Columbus Avenue.

Jego anioł z Teksasu miał na sobie obcisłe beżowe bryczesy, wysokie, polerowane czarne buty i obcisłą czarną marynarkę. Lśniące jasne włosy spięła z tyłu czarną atlasową kokardą. Idąc obok ciemnowłosej kobiety, z którą jadła lunch, niedbale uderzała się biczem po obutej łydce.

Jack oparł się na siedzeniu. Zasłużył na nią. Zapracował na trochę słodczy.

Ta dziewczyna z pewnością nie zaszła jeszcze daleko. Pragnął tego miękkiego, złocistego obłoczk; z jaką bojaźnią na niego patrzyła! Chciał się z nią kochać w tej sekundzie.

- Nie zgub ich - rozkazał kierowcy, kiedy brunetka przywołała taksówkę.

Limuzyna Jacka jechała za taksówką aż zatrzymała się na Pięćdziesiątej Piątej wschodniej ulicy przed budynkiem mieszkalnym koloru starej gumy do żucia.

Jack nie musiał zapisywać adresu; wypalił się na jego mózgu. Kiedy blondynka pchnęła przeszklone drzwi i uśmiechając się do odzwiernego weszła do holu, Jack oparł się na siedzeniu i głęboko odetchnął z ulgą. Odnalazł ją. Zdobędzie ją niezależnie od wysiłku i ceny. Koszty początkowe będą minimalne. Setka wręczona szybko odzwiernemu powinna wystarczyć.

Jak myślisz, kto może mieć limuzynę w tym obskurnym domu? - spytała SueBee, wyglądając przez okno w salonie na Pięćdziesiątą Piątą ulicę. Kilka razy w ciągu minionego tygodnia zauważyła dużą szarą limuzynę, zajmującą dwa miejsca na parkingu przed domem.

Przez otwarte drzwi łazienki widziała Sandrine moczącą się w wannie. Na oczach miała plastikową maseczkę, którą przechowywała w zamrażarce, a głowę opierała na wodoszczelnej poduszce. Ilekroć się poruszała, mydliny wylewały się powoli z wanny.

- Kurczę, Sue, nie wiem - powiedziała niewinnie. - Może jakiś gangster ma tu panienkę. Szczęściara.

- Czy gangsterzy mają tablice rejestracyjne robione na zamówienie? - pytała SueBee. - Stać widzę litery B... J... A. Łatwo zapamiętać. Wiesz co, Sandrine? W zeszły piątek widziałam ten samochód przed stajnią.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Pierwszy raz widziałam go koło fontanny Bethesda. Zapamiętałam go, bo wydawało mi się, że spłoszył konie. Potem widziałam ten wóz na Osiemdziesiątej Dziewiątej zachodniej, kiedy szłyśmy do Columbus. Stoi przed naszym domem od tygodnia. Ciarki mnie przechodzą, Sandrine. Myślisz, że to jest jeden z twoich... no, wiesz.

- Nie, ale podejrzewam coś innego. Poczekamy, zobaczymy. SueBee puściła zasłonę i wróciła na kanapę.

- Czy ty się ze mną droczysz?

- Musisz się uzbroić w cierpliwość - powiedziała Sandrine, po czym podniosła się z wanny. Do ciemnej kępkę włosów łonowych i do sutek przylgnęły mydliny.

- Witaj, mały bałwanku - zanuciła SueBee.

Sandrine owinęła się aksamitnym szlafrokiem i wsunęła stopy w kapcie.

- Boże, jak dobrze jest dla odmiany zostać w domu - westchnęła wchodząc do salonu. W tym momencie obie przyjaciółki podskoczyły na dźwięk dzwonka.

SueBee poszła do kuchni, nacisnęła guzik zwalniający drzwi na dole i wzięła z lodówki dwa rachunki.

- Jeśli zapomnieli o serze, odeślij wszystko! - krzyknęła Sandrine z salonu.

Otworzyły pierwsze wielkie pudło długich żółtych róż i wytrzeszczyły oczy. Kiedy goniec wniósł na ugiętych nogach dwunaste pudło, śmiały się histerycznie.

- SueBee, to jakiś świr - stwierdziła Sandrine, grzebiąc w cieniutkim zielonym papierze w poszukiwaniu wizytówki. Znalazła ją przymocowaną do łądygi w ostatnim pudełku. - „Dla Żółtej Róży z Teksasu. Nie mogę dłużej czekać. Zjedz ze mną kolację. Zadzwoń: 555-9289 i powiedz tak” - przeczytała na głos. - SueBee, kochanie, to dla ciebie, z kwaciarni przy Sutton Place. Muszę przyznać, że ten dzentelmen ma dobry gust. Maleńka, wybiła twoja godzina!

SueBee sięgnęła po wizytówkę i przyjrzała jej się z niedowierzaniem.

- To trochę przerażające - powiedziała. - Co mam zrobić?

- Zadzwoń, SueBee - poradziła doświadczoneym tonem Sandrine. - Twoja inwestycja w „21” wkrótce przyniesie zysk.

Nastąpiła ponura jesień, a grudzień nie przyniósł śniegu, lecz lodowaty deszcz, który siekł okna mieszkania przy Pięćdziesiątej Piątej ulicy. Sandrine siedziała samotnie na kanapie, okutana w duży aksamitny płaszcz kąpielowy, który wyprowadziła z apartamentu hotelowego jednego z klientów. Kiedy wróciła do domu, na elektronicznej sekretarce nie znalazła żadnych wiadomości, nawet od agencji towarzyskiej. Tej nocy mogła liczyć jedynie na nudną kolację ze stałym klientem, który nie lubił chodzić do klubów. Sandrine zaczynała odczuwać wrazenie, że cały świat oprócz niej wybierał się na tańce. Od tygodnia w kronikach towarzyskich i telewizji trąbiono o rozwodzie matki z Jameyem. Tita wytoczyła mu sprawę o kradzież, on wytoczył jej sprawę o oszustwo. Wszystko razem było zbyt przygnębiające, a Sandrine nie miała z kim porozmawiać.

Każdej nocy, gdy wracała od klienta, mieszkanie było ciemne i puste. SueBee po nocnym wypadzie z Jackiem wchodziła na palcach, by jej nie zbudzić. Czasami w ogóle nie wracała. Początkowo dzwoniła informując, że spędzi noc w domu Jacka

przy Sutton Place, więc Sandrine może być spokojna. Ostatnio już nawet nie dzwoniła.

Sandrine czuła się samotna. Była też zazdrosna. Nie dlatego, że SueBee dobrze się bawiła, ale ponieważ przeżywała prawdziwy romans. Na domiar złego Jack Ayler odebrał jej przyjaciółkę. Zresztą nawet gdyby nie wpłynął niszcząco na jej życie, Sandrine i tak by go nienawidziła. Och, początkowo sama go pragnęła, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, z jakim rodzajem męskiego zwierzęcia miały do czynienia. Dzięki Jackom Aylerom tego świata właścicielki domów publicznych i dziewczyny na telefon nie mogły narzekać na brak pracy. Byli to mężczyźni, którzy regularnie korzystali ich usług, chyba że aktualnie zajeżdżali jakąś niewinną duszę w rodzaju SueBee. Początkowo byli zabawni, kipieli energią emanowali pewnością siebie, która bierze się z poczucia kontroli. Panowie sytuacji, szybko wręczali duże napiwki i robili niespodzianki. Jak wszyscy mężczyźni nienawidzący własnych matek, byli uroczy, władczy i bez reszty próżni.

Jackowie Aylerowie zazwyczaj żenili się więcej niż raz. I to nie ze słodkimi, zgodnymi kobietami jak SueBee, ale z kobietami, które jeździły im po głowie, trwoniły ich pieniądze i unieszczęśliwiały. Martwiła się o SueBee i o to, jak sobie poradzi, kiedy ten konkretny Jack Ayler puści ją kantem.

Miniony tydzień okazał się najgorszy. SueBee towarzyszyła Jackowi w podróży w interesach do Paryża. Dwaj stali klienci Sandrine także wyjechali z miasta. Zgodziła się na randkę ze znanym muzykiem rockowym w hotelu Chelsea. Był zbyt naćpany, by prowadzić jakąkolwiek rozmowę, nie mówiąc już o seksie. Zapłacił jej i tak, ale zmarnowała wieczór i czuła się upokorzona. Natychmiast złożyła skargę do agencji, gdzie obiecano jej, że taka sytuacja się nie powtórzy.

Usłyszała ciche plaśnięcie gazety pod drzwiami i uśmiechnęła się. Wiedziała, że to musiał być Dawid z końca korytarza. Był wiecznie splukanym tancerzem. Odkąd się wprowadziła, regularnie podkradał poranną gazetę. Czytał ją potem starannie składał i zwracał. Raz ją nawet wyprasował. Sandrine nie miała nic przeciwko temu; kiedy przynoszono poranną prasę, zawsze spała. Uśmiechając się, podreptała przez salon i otworzyła drzwi.

Jej wzrok padł na podłogę holu i przestała się uśmiechać. Serce zabiło jej gwałtowniej. Duży czarny nagłówek „Daily News” krzyczał do Sandrine: HRABINA OD DZIEWCZĄT NA TELEFON ARESZTOWANA.

- O nie - szepnęła, podniosła gazetę i zamknęła drzwi nogą. Pod nagłówkiem widniało wielkie zdjęcie Angel, kobiety prowadzącej agencję.

- Hrabina? Od kiedy? - zwróciła się Sandrine do pustego mieszkania.

Angel Weinstein pochodziła z Brooklynu i miała nie więcej krwi hrabiowskiej niż Sandrine. Hrabina de Marco była tylko nazwą agencji. Nazwa dobrze brzmiała i ładnie prezentowała się okazale w książce telefonicznej. Prasa była zdumiewająca. Sandrine nie pamiętała, by kiedykolwiek czytała artykuł, w którym madame albo dziewczynę na telefon opisywano by jako brzydką czy głupią. A teraz proszę: Angel. Hrabina?

Wróciła na kanapę, walcząc z rosnącą paniką. Wtargnięcie policji zazwyczaj wiązało się z rekwirowaniem dokumentów. A jeśli Angel miała w biurze jakiś papier z nazwiskiem Sandrine?

Minionej nocy policja dokonała nalotu na ekskluzywną agencję towarzyską prowadzoną przez posagową włoską hrabinę. Od kilku tygodni policjanci z posterunku północnego obserwowali eleganckie mieszkanie kobiety podającej się za hrabinę de Marco. Rzecznik policji wyjawiał „News”, że otrzymali poufną informację o prowadzonej tam elitarnej agencji usług towarzyskich, której obroty sięgały miliona dolarów miesięcznie. Hrabina, olśniewająca rudowłosa piękność, została aresztowana. W jej obitym czarnym atłasem biurze znaleziono białe futrzane dywany i sprzęt komputerowy najwyższej klasy.

- Prowadzę legalną, skomputeryzowaną agencję towarzyską - oświadczyła dziennikarzowi spokojna i opanowana hrabina de Marco, opuszczając posterunek policji w towarzystwie swego adwokata, Barry'ego Rizza.

Sandrine ucieszyła się, że interesy Angel reprezentuje Barry Rizzo, jeden z najbardziej wpływowych adwokatów w mieście. Los Angel spoczywał w dobrych rękach, ale co z losem Sandrine? Pragnienie całkowitej niezależności towarzyszące Sandrine od chwili opuszczenia domu matki doprowadziło do tego, że nie miała się na czym oprzeć. Jej stali klienci zajmowali ważne pozycje w swoich światach, lecz Sandrine sprawowała niepodzielną kontrolę nad własnym. Większość klientów nie знаła nawet jej prawdziwego nazwiska, nie wiedziała, gdzie mieszka, ani że istnieje gdziekolwiek poza światem fantazji, który tworzyła za ich pieniądze.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer Angel. Został wyłączony. Siedziała przez długą chwilę na brzegu kanapy, zastanawiając się, do kogo zadzwonić. Może jedna z dziewczyn coś wiedziała. Musiała z kimś porozmawiać.

Szła do sypialni po notes z telefonami, kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi i głos SueBee:

- Sandy? Jesteś w domu?

Sandrine odwróciła się z obezwładniającym uczuciem ulgi i ujrzała SueBee wchodzącą do mieszkania w sięgającym do kostek ciemnym futrze, którego nigdy wcześniej nie widziała. Przez jedno ramię miała przewieszoną nową torebkę Chanel, a przez drugie torbę na zakupy ze sklepu wolnocłowego.

Sandrine oparła się pragnieniu, by podbiec do przyjaciółki i rzucić jej się na szyję. Na widok SueBee odżyło poczucie odrzucenia i osamotnienia. Oparła się o drzwi sypialni.

- No proszę, witaj, nieznajoma. Jak poszło?

SueBee upuściła torby, podbiegła do Sandrine i przytuliła ją.

- Tak się cieszę, że jesteś w domu, Sandy. Widziałam gazetę. Wszystko w porządku? Sandrine odwzajemniła uścisk.

- W porządku, bez obaw. - Odsunęła przyjaciółkę i obejrzała futro. - Całkiem nieźle. SueBee cofnęła się i okręciła, futro zafalowało wokół nóg: przycisnęła kołnierz do zarumienionych policzków.

- Czyż nie jest wspaniałe? Jack zrobił mi w Paryżu niespodziankę. Nawet nie wiem, co to jest. Po prostu zadrżałam trochę w swoim cienkim płaszczyku przed wystawą sklepową, a on natychmiast wprowadził mnie do środka.

- To sobole, SueBee - powiedziała Sandrine, śmiejąc się mimo woli. - Nie ma lepszego futra.

- Poważnie? - spytała SueBee, patrząc po sobie i wygładzając lśniąca, gęste futro. - W takim razie powinnam być dla niego dobra. - Podeszła do szafy przy drzwiach i delikatnie powiesiła futro.

- Chcesz kawy? - spytała Sandrine idąc do kuchni.

- Jasne - odparła SueBee opadając ciężko na kanapę. - Jestem skonana.

Sandrine nastawiła wodę i oparła się o blat.

- No więc? Jak było? - spytała, kiedy SueBee wyciągnęła się na poduszkach.

- Och, Sandy - westchnęła omdlewającym głosem SueBee.

- Zakochałam się w Paryżu! Czułam, jakbym żyła w filmie. Londyn był mokry i zimny. Prawie nie widywałam Jacka, stale miał zebrania.

- To co robiłaś?

- No... siedziałam w hotelu, wiesz, oglądałam telewizję. Nie było tak źle. W ostatni weekend pojechaliśmy do wielkiej wiejskiej posiadłości ze służbą, końmi i wszystkim. Coś okropnego - powiedziała z przygnębieniem. - Pasowałam tam jak garbaty do ściany.

- Jak to?

- Wszyscy tak przede mną zadzierali nosa, sama nie wiem. Wszystko było takie... eleganckie. Właściciel domu to jakiś książę, sir, czy ktoś. Jego żona mówiła, jakby miała usta pełne klusek. Robili te wszystkie specjalne rzeczy, jak uganianie się po deszczu i strzelanie do ptaków, obcinanie winogron nożycami w kształcie bocianów. W porze lunchu większość gości leżała już pod stołem. Podczas kolacji miałam obok talerza chyba osiemdziesiąt osiem widelców. Musiałam patrzeć na kobietę siedzącą naprzeciwko, żeby wiedzieć, co robić. Potem... - SueBee odwróciła się do Sandrine, wspierając się na łokciu i zaczęła chichotać. - Padniesz, Sandy. Każdy z gości miał własnego, no, tak jakby kamerdynera, takiego kelnera, który stał za krzesłem...

- Lokaje - poprawiła ją Sandrine. - Matka wynajmowała ich, kiedy wydawała kolacje.

- No tak, dzięki. Po kolacji ten mój postawił przede mną szklaną miskę z wodą, a ja myślałam, że to bulion z laską cynamonu. Podniosłam jedną z łyżek, które mi zostały, bo moje sztucce jakoś nie pasowały do potraw, a wtedy zobaczyłam, że goście zanurzają w miskach palce. To była woda do płukania rąk, a ja o mało jej nie wypiłam!

- Och, SueBee, to okropne! Czy ktoś to zauważył? - spytała Sandrine, stawiając na stoliku parujący kubek. Posunęła stopy SueBee, żeby móc usiąść.

- Chyba nie, ale daję słowo, poczułam, jak pot leje mi się po plecach. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, zaczynam nucić, żeby odpędzić to wspomnienie.

- Wiesz co, SueBee - powiedziała pogodnie Sandrine. - Chyba nie zaszkodziłoby tym ropuchom, gdybyś zrobiła taki numer.

- Potem ktoś zapytał mnie, z jakiego miasta pochodzę, a ja na to, że z Teksasu. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, więc udałam, że to właśnie zamierzałam powiedzieć. Ta podróż pokazała mi, że muszę się jeszcze mnóstwo nauczyć o zwyczajach bogaczy.

- A co z Jackiem? Jak się wam układało?

- Och, dobrze.

Sandrine usłyszała w głosie przyjaciółki pewien ton niepewności.

- SueBee?

- Sandy, czy powinnam się martwić tym, że Jack często wspominał o Zakim?

- Jak to?

- No, kiedy przedstawiał mnie ludziom, mówił na przykład: „SueBee jest bliską przyjaciółką szejka Omara Zaki”. A raz stałam w toalecie z jedną z kobiet, która powiedziała: „Słyszałam, że mieszkałaś z szejkiem Zakim?” Odparłam, że pracowałam jako jego pielęgniarka, na co ona obrzuciła mnie takim wzrokiem, jakby mówiła: „No jasne”.

- Skąd Jack wiedział o tobie i Zakim?

- Och, powiedziałam mu - powiedziała bez troski SueBee.

- Chyba nie powinnaś była tego robić.

- Cóż, to bez znaczenia, bo najlepszą wiadomość zachowałam na koniec.

- Tak? - spytała Sandrine unosząc brwi.

- Jestem prawie pewna, że Jack poprosi mnie o rękę. W samolocie zapytałam go o to, kiedy się pobierzemy, a on się uśmiechnął.

- SueBee! Kochanie... - powiedziała Sandrine, nie skrywając ostrzegawczego tonu.

- Co? Nie sądzisz, że to zrobi?

Sandrine westchnęła ciężko. Czowała się, jak oszustka, zatajając przed SueBee, że Jack Ayler nie żeni się z dziewczynami takimi jak ona. On tylko wykorzystywał ją w celu dotarcia do Zakiego. Było to ohydne, niskie i do przewidzenia.

- Jestem pewna, że cię ubóstwia, kochanie - powiedziała zamiast tego. - Opowiedz mi więcej o podróży.

- Francuski minister finansów wysłał po nas na lotnisko samochód. Mieliśmy pół piętra w Plaža Athenee z własną służbą. Pokojówka rozpakowała i wyprasowała moje rzeczy! Apartament w Dorchester w Londynie był większy niż Zakiego.

Ostatniej nocy w Paryżu podarował mi futro i nie poszedł na umówione spotkanie, żebyśmy mogli zjeść kolację we dwoje w apartamencie. Zamówiliśmy zrazy jagnięce, a potem kochaliśmy się na podłodze.

Sandrine wyobraziła sobie SueBee, która nie jadła w restauracji, dopóki Zaki nie kupił jej piezzonego indyka Pod Bykiem i Niedźwiedziem, jak siedzi odziana w kremowe atłasy, a osobisty francuski kamerdyner serwuje jej na przystawkę kanapeczki z pasztetem w apartamencie wielkości Penn Station.

- Mam nadzieję, że nie jadłaś tych papierowych majteczek, w które zawija się zrazy - zażartowała Sandrine.

- Wiesz co? Po kolacji zaczęliśmy się wygłupiać, a Jack założył je sobie na fiuta. O mało nie pękłam ze śmiechu.

„Na fiuta”. Boki zrywać, pomyślała Sandrine. Można się było spodziewać. Zdumiewał ją fakt, że na tym dekadencckim świecie wciąż nie brakowało kobiet, które śmiały się z takich rzeczy, a Jackowie Aylerowie o tym wiedzieli.

- Wyobrażam sobie - powiedziała beznamiętnie.

- Sandy, jestem taka zakochana - jęknęła SueBee. Obróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszki.

- Uspokój się, mała, nie daj się ponieść - ostrzegła ją Sandrine. - Czy naprawdę chcesz wyjść za Jacka Aylera?

Pod poduszkami przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie SueBee powiedziała cicho:

- Strasznie. - Odwróciła się na plecy i popatrzyła na Sandrine. - Jest coś, co muszę teraz zrobić, i musisz mi pomóc.

- Jasne - powiedziała zaciękawiona Sandrine. - Co takiego?

- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?

- Obiecuję.

- Naucz mnie czytać. Nie zdołam żyć w świecie Jacka, jeśli się nie nauczę - mówiła SueBee tak cicho, że Sandrine ledwo ją słyszała. - To nie będzie łatwe. Mam dysleksję.

A więc jednak miała rację. Wiedziała, że z SueBee coś jest nie w porządku. Ilekroć dawała jej listę zakupów, SueBee wracała z makiem zamiast mąki, z selerem, kiedy napisała ser. Sandrine zostawiała jej wiadomości na biurku w salonie, a SueBee udawała, że ich nie zauważyła. Sandrine poradziła jej kiedyś, żeby zbadała sobie wzrok, ale natychmiast pożałowała tych słów. SueBee spojrzała na nią tak, jakby przyjaciółka wymierzyła jej policzek. Teraz wszystko stało się jasne.

Dlatego właśnie SueBee nigdy nie zamawiała z karty, ale sprytnie prosiła o to samo, co ktoś inny zamówił.

- Nie wiedziałam - powiedziała Sandrine. - Och, SueBee, naturalnie, że ci pomogę.

Muszą organizować kursy dla takich jak ty, na przykład na uniwersytecie nowojorskim. Dowiem się - obiecała, patrząc z zakłopotaniem, jak SueBee się rumieni.

- Czy nie mogłabyś sama mnie nauczyć? - spytała gorączkowo. - Nie potrafiłabym wejść do klasy.

- Ależ oczywiście, że byś potrafiła! Wszyscy jechalibyście na jednym wózku.

- Nie, nie. Nie potrafiłabym, przynajmniej nie od razu.

- Dobrze - powiedziała Sandrine, poklepując SueBee po kostce. - Na początku popracujemy tu razem, a kiedy poczujesz się pewniej, może znajdziemy dla ciebie kurs. Teraz zejść ci z oczu, żebyś mogła się wyspać.

- W porządku. Jack powiedział, że może wpadnie po wywiadzie. Masz randkę?

Sandrine wstała i zaczęła zbierać kubki.

- W zasadzie nie, po prostu kolacja ze stałym klientem. Powinam być teraz dla nich miła. Jeśli Angel wypadnie z interesu, wszyscy będą mi potrzebni.

- Myślisz, że naprawdę może wypaść?

- Nie wiem. Dowiem się, kiedy porozmawiam z jej adwokatem.

- Po co ci adwokat? - spytała SueBee marszcząc brwi.

- Jakiś czas temu poprosiłam Angel, żeby się za mną wstawiła. Za miesiąc mam urodziny.

- Nie rozumiem.

- Wtedy mam dostać spadek po ojcu, a nie wydaje mi się, że dostanę go bez walki.

Jack Ayler założył nogę na nogę i strzepnął mankiety. Po przeciwnej stronie biurka siedział młody dziennikarz z czasopisma „Money”, któremu najwyraźniej bardziej zależało na zaimponowaniu Jackowi, niż na przeprowadzeniu z nim wywiadu. W tym momencie dzieciak głądził o swoim zainteresowaniu obligacjami. Jack mu nie przerywał. Zaczynał odczuwać efekty europejskiego wypadu z SueBee.

Prawdopodobnie popełnił błąd zabierając dziewczynę w podróż w interesach, a jeszcze większy błąd, zawożąc ją do wiejskiej posiadłości lorda Bentona. Sztywni Angole nie wyglądali na zachwyconych faktem, że gość przywiózł ze sobą aktualną flamę, zwłaszcza że mogła być wnuczką każdego z nich. Wcześniej czy później będzie musiał coś zrobić z tym związkiem. Na razie musi dobrnąć do końca tego męczącego wywiadu.

Mały złoty zegar z kurantem stojący na krawędzi biurka dał mu pretekst, by przerwać dziennikarzowi. Wstał i wyciągnął rękę.

- Przepraszam, mam ważne spotkanie. Może dokończymy innym razem.

Zdziwiony reporter wstał, uściśnął dłoń Jacka, przeprosił wylewnie, mówiąc, że umówi się z nim pod koniec tygodnia. Kiedy tylko drzwi gabinetu się zamknęły, Jack sięgnął do dolnej szuflady biurka, skąd wyjął jedno z małych pudełek z granatowej skóry. Otworzył wieczko i przyjrzał się bransoletce z chabrowych szafirów, myśląc, jak bardzo przypominały odcień oczu SueBee. „Tak, to załatwi sprawę”, pomyślał, kierując mentalną kamerę na linię jej policzka i szczęki; przypomniał sobie sposób, w jaki przekrzywiała szyję i przechylała głowę, kiedy go słuchała z lekko rozchyłonymi ustami, nie odrywając wzroku od jego oczu, jakby każde słowo było czymś cennym i pełnym znaczenia, co należało zapamiętać i hołubić. Wywołał w umyśle obraz jej podbródka i gardła, z maleńką zmarszczką u podstawy i odrobiną dziecięcego tłuszczu. Poniżej, gdzie zaczynały się wysokie, silne piersi, znajdowało się miejsce, w które uwielbiał wtulać twarz i czuć, jak głowę otula mu ciepłe, miękkie ciało. Była taka miękka. Każdy centymetr jej ciała był bardziej miękki, niż wszystko, co mógł sobie wyobrazić. Miękki i ciepły. Kiedy wtulał twarz między piersi SueBee, aromat rozgrzanego słońcem miodu przepajał go, zalewał, niemal miażdżył. Lizał ją między piersiami jak kociak, smakując skórę.

Zatrzasnął wieczko pudełka i westchnął. Szlag by to trafił. Wszystkie one były takie słodkie, pyszne, podniecające. Na początku. Dlaczego zawsze dzieje się tak samo?

Polowanie, namierzanie, pogoń, podbój - jakież to fascynujące. A potem... potem - niemal zbyt rozkoszne, by sobie to wyobrazić - strzał. Samo pójście do łóżka stanowiło czysty luksus. Ale, mój Boże, jak będzie tęsknił za przesuwaniem językiem między jej piersiami, a potem niżej, między nogami. Lubił ją lizać tak bardzo, jak ona to lubiła. Przypominało to tonięcie w musie cytrynowym.

Odchrząknął i rozprostował nogi, by zapobiec erekcji pulsującej w spodniach od garnituru z Savile Row. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek spotka kobietę, która zainteresuje go na dłużej niż tydzień? Miesiąc? Najwyżej rok?

Nachylił się i włączył telefon wewnętrzny. Wcisnął numer limuzyny i wsunął skórzane pudełko do kieszeni marynarki.

Za cenę bransoletki mógł kupić SueBee BMW, ale nie zapiąłby jej BMW na przegubie, przytulając się do niej całym ciałem. Jedna z teorii Jacka mówiła o tym, by wręczać kobietom takie prezenty, które mogły przyjmować w negliżu.

Zanim kierowca się zgłosił, zdążyło wybrzmieć zaledwie pół sygnału.

- Już wychodzę, Jeny. Muszę zatrzymać się na chwilę przy Pięćdziesiątej Piątej - warknął. - Możesz przejechać przez Park i zabrać Dentona MacGuire'a z żoną. Potem jedziemy do Metropolitan Club.

- Przyjałem, panie Ayler - odparł krótko kierowca.

Minał drzwi obrotowe, sieknął go po twarzy ostry podmuch wiatru. Wieczorny ruch uliczny nie wyglądał najgorzej. Jeśli gładko wyjadą na obwodnicę, zdążą bez trudu. Zastanawiał się, czy SueBee spodoba się bransoletka. Cholera, pewnie, że się spodoba, jak wszystko, co robił. Jack uśmiechnął się do siebie, nie po raz pierwszy zachwycając się energią, jaką czerpał z bycia uwielbianym. W Paryżu zadziwił samego siebie nieprzerwanym kochaniem się, które przeciągało się do błękitnego świtu. SueBee piszczała i krzyczała, dosłownie błagając go, by przestał, a potem, żeby nie przestawał. Jack stracił rachubę własnych orgazmów. Na początku SueBee wyznała, że doprowadził ją do pierwszego orgazmu w życiu. Ze zdziwieniem i zachwytem usłyszał, że była dziewicą. Oto coś wyjątkowego, coś, co przedstawiało dla niego dużą wartość. Mężczyzna nigdy nie zapomni o tym, że dał dziewczynie pierwszy orgazm, a potem powtarzał wyczyn wielokrotnie. Wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy po raz pierwszy osiągnęła szczyt, było warte ciężarówki futer z soboli i bransoletek.

Napełniało go to też pewnym smutkiem. Jaka szkoda, że nie mogli zostać razem, ale wiedział, że nie ma wyjścia. W chwili, gdy w samolocie zwróciła się do Jacka ze słowami: „Kiedy się pobierzemy...” - zrozumiał, że to koniec. Tak bardzo pochłonęło go planowanie wymigania się z sytuacji, że nawet nie usłyszał pozostałej części zdania.

Nachylił się do przodu i nacisnął guzik magnetofonu znajdujący się w polerowanej boazerii nad barkiem. W samochodzie rozbrzmiały bogate dźwięki kwartetu smyczkowego Mozarta.

Nie rozumiem - powiedziała SueBee wpatrując się w Jacka, który chodził tam i z powrotem po wytartym dywanie małego mieszkania, pełnego mebli od Armii Zbawienia i wyblakłych plakatów.

- Dlaczego musisz nagle lecieć do Los Angeles? Zamilkła, co Jack powitał z uczuciem ulgi. Nie lubił jej okłamywać. Wiedział jednak na podstawie długiego doświadczenia, że zrywanie związku pod pretekstem przebywania „poza miastem” oszczędzało mu telefonów w środku nocy i gróźb samobójczych. Nie oznaczało to, że SueBee zrobiłaby coś podobnego; była silnym dzieciakiem. Mimo to nie mógł ryzykować. Jack stał do niej plecami, zezując na plakat przedstawiający grecką plażę. Po bliższej inspekcji stwierdził, że dwie nagie dziewczyny w prawym rogu miały na sobie bikini.

- Chodź tutaj powiedział odwracając się. Wydał do przodu dolną wargę jakby mówił „chodź do tatusia”. Wyciągnął przed siebie ręce, odwracając zegarek cyferblatem do góry. Zgoda Dentona MacGuire'a na finansowanie kontraktu z Remingtonem miała decydujące znaczenie. Nie mógł kazać czekać jemu i jego żonie.

SueBee nie drgnęła. Siedziała w rogu okropnej pomarańczowej kanapy, z mocno ściśniętymi kolanami i dłońmi na podolku, w aksamitnym szlafroku należącym do jej współlokatorki. SueBee nigdy tego nie powiedziała, ale Jack nie miał wątpliwości, że tamta dziewczyna pracowała jako droga dziwka. Miała ten wygląd, połysk i sznyt. Z ruchów przypominała mu panterę, ledwo skrywającą gniew. Znienawidzili się od pierwszego wejrzenia, jak większość ludzi, która się przejrzała. Przyjrzał się znakowi hotelu Carlyle wyhaftowanemu na kieszeni nad prawą piersią SueBee. To typowe dla pannicy z zamożnego domu: świsnąć szlafrok hotelowy. Jakiś biedny dupek musiał wyłożyć dodatkowe dwieście, kiedy się wypisywał.

Jack nie cofnął rąk, aż uległa. Wstała z lekkim podskokiem i rzuciła mu się w ramiona. Boże.

Pachniała tak cholernie miło.

Przyciągnął ją do siebie, chwytając obiema dłońmi jej jędrny, mały tyłeczek, ocierając się o nią z lewa na prawo.

- Zadzwoń, obiecuję. Możemy to zrobić przez telefon.

- Co zrobić?

- Pieprzyć się przez telefon - powiedział konkretnym tonem. - Nigdy tego nie próbowałaś?

- Nie sądzę - odparła kręcąc głową. - Masz na myśli mówienie świństw czy coś w tym rodzaju?

- Mhm, to świetna rzecz, najlepsza po prawdziwym seksie.

- Nie wydaje mi się, Jack - powiedziała SueBee w jego ramię. - Nic się nie może równać byciu z tobą.

Kiedy przyszedł, właśnie wzięła prysznic, więc nie musiał się obawiać, że poplami sobie nowy garnitur makijażem. Tulił ją, myśląc o tym, że wystarczyłoby pół sekundy, by rozchylić szlafrok i nacieszyć się nią po raz ostatni. Zastanawiał się, czy miał czas na szybki numer. Musiałby się rozebrać, wziąć prysznic, znowu ubrać. A może wcale nie.

- Kochanie - powiedział, jawnie patrząc na zegarek. - Naprawdę muszę lecieć.

Umówiłem się w klubie na kolację i nie mogę się spóźnić.

- Mogłabym pójść z tobą - powiedziała potulnie. - Nie mam żadnych planów na wieczór.

Przygryzł wargę i spróbował się uśmiechnąć. Już zaczyna; dlaczego one zawsze zaczynały? Dlaczego kobiety nie rozumiały swego miejsca w całym planie?

Wyobraził sobie wyraz twarzy Lidii MacGuire, gdyby zjawił się na kolacji w towarzystwie SueBee.

Maleńka, maleńka, maleńka - gruchał w jej włosy pachnące mydłem Ivory. -

Zanudziłabyś się na śmierć. Pamiętaj tylko, że jesteś moim złotkiem, dobrze? -

Wiedział, że postępuje jak mięczak, ale nie potrafi powiedzieć otwarcie: skończone,

koniec kropka, dzięki za świetne rżnięcie, ale zabawa skończona. Jack Ayler podróżuje samotnie.

SueBee spojrzała na bransoletkę z szafirów okalającą jej przegub i skinęła głową.

- Podoba ci się bransoletka? - spytał.

- Tak, jest piękna - odparła cicho SueBee. - Dziękuję, Jack.

- Daj buziaka - powiedział, unosząc jej podbródek kostką. SueBee pocałowała go otwartymi, uległymi ustami. Podniosła ręce, żeby go objąć za szyję, a szlafrok sam się odsłonił. Gorące nagie piersi oparły się na jego jedwabnej koszuli. Ponownie poczuł poruszenie między nogami. Mógłby to zrobić naprawdę szybko; rzucić ją na kanapę i wsadzić jej. Gdyby uważał, może nie pogniótłby garnitur.

Wyobraził sobie, jak Denton MacGuire bębni palcami, które podpisują kontrakty, jego żona zrzędzi o chamstwie Jacka.

Wzdrygnął się i wyjął język z ust SueBee.

- Zadzwoń, ślicznotko. Muszę lecieć. Śnij o mnie, kochanie.

Patrzyła prosto na Jacka tymi chabrowymi oczami tak, jakby coś wiedziała. Dobięgi do windy i trzasnął pięścią w gumowy ochraniacz zamykających się drzwi. SueBee odprowadziła go bosą na korytarz. W za dużym szlafroku wyglądała jak jeden z siedmiu krasnoludków.

Kiedy drzwi windy zamknęły się, podwinęła rękaw szlafroka i przekręciła bransoletkę z szafirów. Wracając powoli do mieszkania, ostatnie słowa Jacka furkotały w jej głowie jak motyle o jasnych skrzydełkach. „Śnij o mnie, kochanie.” Oczywiście będzie śniła. Nie było chwili spędzonej z Jackiem, której nie próbowała przedłużyć, przytrzymać, utulić, jakby nigdy więcej nie miała się powtórzyć. Myślała o tym, jak łomotało jej serce, kiedy patrzyła na niego wchodzącego do pokoju czy restauracji.

Uwielbiała go, ale niezależnie od uczucia upojenia, miłość do Jacka nie ogłupiła SueBee. Wiedziała, co jej przed chwilą zrobił. Mężczyzna nie zabierał kobiety w podróż, z jakiej dopiero co wrócili, żeby wymknąć się bez niej na kolację w pierwszą noc po powrocie. Nie wierzyła, że wybiera się do Los Angeles. Podczas całej podróży powrotnej nie wspomniał ani słowem o takich planach. Ponadto SueBee wiedziała, kiedy to wszystko się zaczęło; poczuła to w chwili, gdy wspomniała o małżeństwie. Odniosła wrażenie, że spowiła ją lodowata chmura. Próbowała to zignorować, a potem wycofać swoje słowa, ale przez pozostałą część podróży prawie się do niej nie odzywał. Domyślała się powodu tego milczenia, ale duma nie pozwalała jej zapytać, czy w jakiś sposób go uraziła. Ona naprawdę chciała za niego wyjść. Dlaczego miałyby się tego wstydzić?

Pamiętała, że Zaki przechowywał w szafie sypialni zamykaną na klucz szkatułkę obitą zamszem. Zauważyła, że ilekroć wchodziła rano do jego sypialni i zastawała go w towarzystwie damy, przed jej odejściem Zaki kazał panu Hakimowi przynosić szkatułkę. Pewnego ranka SueBee tak długo bawiła się z nim w Pana Pytona, że Zaki tarzał się po łóżku piszcząc i mrucząc. Dała mu lekarstwo na serce, a kiedy się uspokoił, kazał jej przynieść szkatułkę z szuflady w szafie. Wręczyła ją Zakiemu, ten położył sobie szkatułkę na kolanach i otworzył wieko.

Na widok zawartości SueBee krzyknęła. W szkatułce znajdowały się same przepiękne przedmioty: wielkie szpile w kształcie gwiazd wysadzone diamentami, sznury pereł, długie zwoje złotych łańcuchów, kamienie w barwach szkarłatnych, błękitnych i szmaragdowych. Wszystko razem wyglądało jak skarb piratów z komiksów.

Zaki podniósł garść klejnotów, jakby to były świecidełka ze sklepu ze starzyzną.

- Co tylko chcesz, moja urocza - powiedział z promiennym uśmiechem. - Bierz.

SueBee stała przy łóżku, patrząc jak światło tańczy na klejnotach, które trzymał w dłoni. Wyciągnęła rękę i stanowczym ruchem zatrzasnęła wieko szkatułki.

- Nie, dziękuję, ale nie. Te rzeczy są dla twoich kobiet, a ja nie jestem jedną z twoich kobiet. Jestem sobą.

Zaki otworzył szeroko oczy, a SueBee przeraziła się, że go zraniła. Bez słowa wstał z łóżka i odniósł szkatułkę do szafy. W drodze powrotnej uśmiechnął się jednym z tych swoich pół-uśmieszków. Nie powiedział ani słowa, ale zrozumiała, że bynajmniej nie zraniła jego uczuć.

Żałowała, że zabrakło jej przytomności umysłu i nie powiedziała tego samego, kiedy Jack wręczył jej długie skórzane pudełko. W głębi serca wiedziała, dlaczego tego nie powiedziała. Podczas romansu z Jackiem uwierzyła, że ktoś kochał ją z tą samą szczerością, z jaką ona kochała. Do tej pory sądziła, że miłości nie dostępują tylko ci ludzie, którzy na nią nie zasługują.

Ból miał trwać długo, bardzo długo.

Przez tuman bólu usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu. Spróbowała usiąść, ale ręce i nogi sprawiały wrażenie przywiązanych do łóżka. Uniosła głowę, a wtedy dzwonięcie w uszach zagłuszyło wołanie. Opadła na przemoczoną i cuchnącą poduszkę.

- SueBee? - Znowu ten głos. Ktoś stał przy łóżku i krzychał. - SueBee! Coś ty z sobą zrobiła? O, mój Boże!

SueBee odwróciła głowę i otworzyła oczy. Sandrine klęczała przy łóżku zalewając się łzami. Ujrawszy, że SueBee otworzyła oczy, Sandrine chwyciła ją za rękę.

- Dzięki Bogu. Śmiertelnie mnie przestraszyłaś! - powiedziała ściągając zmięte prześcieradło. - Och, kochanie, spójrz na siebie. Zwymiotowałaś na swoje śliczne futro. Co, na Boga, robisz w łóżku w futrze? Co się stało?

SueBee spróbowała przemówić, ale język zachowywał się jak kawałek bolońskiej kiełbasy. Nie mogła go zgiać, żeby wyraźnie mówić.

- Valium - wymamrotała. - Połknęłam całą garść Valium. Znalazłam je w apteczce.

- Dlaczego, SueBee? - Ikała Sandrine.

- Jack ze mną zerwał.

- Nie, SueBee! Co powiedział?

- Przyszedł i dał mi to. - Wyciągnęła rękę, pokazując Sandrine bransoletkę. - Potem pognął na kolację, na którą mnie nie zaprosił.

- Ależ kochanie, może to nie była stosowna okazja. Spróbuj zrozumieć.

- Okłamał mnie, powiedział, że leci do Kalifornii - mówiła SueBee, ignorując słowa pocieszenia. - Nie leci do żadnej Kalifornii, po prostu wiem. Zbył mnie pocałunkiem,

i to po tym, jak kochaliśmy się... och, Sandrine, nie masz pojęcia, jak myśmy się kochali. - SueBee wtuliła twarz w pościel i zaczęła łkać.

- Och, kochanie... przestań. - Sandrine odgarnęła jej splecione włosy z czoła. - Tak mi przykro.

- Wiem, że już nigdy go nie zobaczę, Sandy - mówiła przez łzy. - Skończone. Dlaczego zrobił to w taki sposób?

- Ponieważ to menda. Nigdy nie był ciebie godzien. To stary człowiek, który posługuje się młodymi dziewczynami, zamiast brać zastrzyki z kozich hormonów.

- Wszystko mnie boli, Sandy, pomóż mi. Sandrine wstała.

- Co chcesz, żebym zrobiła, SueBee? Zrobię wszystko.

- Nie pozwól mi umrzeć. Posadź mnie, pociągnij za rękę. Jeśli dasz radę, pomóż mi wstać i każ mi chodzić. Nie pozwól mi usiąść.

- Spróbuję. O, Boże, to straszne.

- Zrób mi kawy, dużo kawy. Każ mi wypić, nawet jeśli będę się opierać.

- O, kurwa - zaklęła Sandrine. - Chyba skończyła nam się kawa.

- W takim razie przygotuj coś ohydneho. Jajka, ketchup, kwaśna śmietana, coca-cola; zmieszaj wszystko, co znajdziesz, i każ mi wypić. Muszę zwymiotować i wyrzucić to świństwo.

Sandrine zbladła.

- SueBee, sama nie dam rady. Pójdę po Juana. Widziałam go przy drzwiach, kiedy wchodziłam. Obiecuj, że się stąd nie ruszysz.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewniła SueBee zamykając oczy. - Dziękuję, Sandy, tak naprawdę to nie chciałam umierać. Chciałam tylko pozbyć się bólu. Chcę się znaleźć w jakimś wysokim, miękkim miejscu, gdzie nie ma bólu. - Słowa SueBee zaczynały przechodzić w bełkot, jak słowa pijaka tracącego przytomność.

- SueBee! - krzyknęła Sandrine od progu. - Proszę, nie umieraj! Sprowadzę Juana, zaraz wrócę. Poczekaj, SueBee, proszę.

Sandrine trzasnęła w przycisk, jakby siła mogła szybciej sprowadzić windę. Potem uznała, że szybciej zbiegnie schodami. Biegła po zimnych cementowych stopniach, łzy ciekły jej po twarzy i kłęła pod nosem.

- Sukinsyn. Skurwysyński, zasrany sukinsyn. Zabiję go. - Olśniło ją, że rzeczywiście bardzo chciała to zrobić. Najpierw potnie mu fiuta na małe kawałki; nawet nie musi pytać SueBee, jak się to robi. Potem go zabije. Każda ława przysięgłych, w której zasiądzie kobieta, uzna ją za niewinną.

Rozdział dziesiąty

Dziennik Petera - Paryż, trzeci lipca 1990

Proszę, proszę, proszę: świat coraz bardziej maleje!

Właśnie skończyłem długą rozmowę telefoniczną z Fiddle. Oboje jesteśmy dziko podnieceni pojawieniem się w opowieści Black Jacka Aylera. Boże, życie jest cudowne. Jeśli pożyjesz dostatecznie długo i będziesz miał oczy i uszy otwarte, przekonasz się że cały świat sprowadza się do dwustu osób, z których połowa albo spała z drugą połową albo ją oszukała.

Rozmawialiśmy przez ponad godzinę. Uświadomiłem sobie, że mi jej brakuje. Fiddle, jako jedyna z osób, które znam w moim pustelnicznym życiu, nadaje dokładnie na tej samej fali co ja. Zgadza się, że Hemingway to przereklamowany pisarz, a Madonna nie umie śpiewać. Właściwie rozmowa z Fiddle to rozmowa z samym sobą.

Uzgodniliśmy, że pewnego dnia muszę napisać artykuł o Aylerze. Naszkicowaliśmy już całość, poczynając od sceny w samolocie, w której robi minetę prostytutce, a potem cofając się w przeszłość i wykorzystując informacje udzielone przez Cleo. Dobry Boże, czy to może być prawda? Czyżbym mógł odkryć, że Jack Ayler, próbując ochraniać swoje interesy, usiłował sprzątnąć staruszkę? Panie Pulitzer, proszę dzwonić do biura; Peter Shea zdobył pańską nagrodę.

Muszą skontaktować się z Wendy i powiedzieć jej, żeby przyspieszyła całą sprawą; nastrój poprawił mi się o sto procent.

Nasza kolejna sesja ma dotyczyć tej Angel Weinstein i jej roli w całej historii. (Doszedłem do wniosku, że moja Madeleine w ogóle się nie pojawi. Smutne, chciałbym wiedzieć, co się z nią stało.)

Jutro biorę sobie wolne. Na rany Chrystusa, wciąż jeszcze jestem Amerykaninem i powinienem obchodzić urodziny mojej ojczyzny. Poświęcę ten dzień na szukanie faksu. Fiddle wyraziła przerażenie na wieść, że jeszcze się w niego nie zaopatrzyłem.

Giselle przyniosła mi „New Republic” sprzed tygodnia, rachunek za prąd z mojego nowojorskiego mieszkania i zielony groszek, tak słodki, że zjadłem go na surowo. Angel Weinstein, metr osiemdziesiąt wzrostu, z trudem wcisnęła się na tylne siedzenie żółtej taksówki. Opierając się na niewygodnym siedzeniu, poczuła, że do włosów przylepia jej się kawałek taśmy izolacyjnej, używanej do łatania winylowej tapicerki. Oderwała go i zerknęła na taksówkarza, gotowa coś powiedzieć, ale wtedy we wstecznym lusterku zobaczyła jego obleśnie uśmiechniętą twarz i zmieniła zdanie. Znała to spojrzenie. Widziała je w oczach mężczyzn, odkąd była jedyną dziesięcioletnią dziewczynką w swojej części Brooklynu, która miała piersi. Nie małe pączki okresu przedmłodzieńczego wypychające koszulkę, ale pełne kule, twarde jak piłki do koszykówki.

W trzynastym roku życia miała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wąską talię i bardzo długie nogi. Wraz z upływem lat ciemniała jej cera, nadając jej egzotyczny, śródziemnomorski wygląd. Postronny obserwator mógł ją wziąć za Włoszkę, Żydówkę czy Greczynkę, a takich obserwatorów było mnóstwo; często zaczepiano ją słownie, a czasem fizycznie, w zatłoczonych wagonach metra, windach i nieraz w budkach telefonicznych.

Te wczesne doświadczenia dodały Angel sił. W piętnastym roku życia w jej szeroko osadzonych ciemnych oczach czaiło się groźne ostrzeżenie: „Dotknij mnie, a jesteś martwy”. Jeśli oczy nie zdołały jej ochronić, usta i słownictwo pełniły rolę ciężkiej artylerii. Mężczyźni, którzy okazali się na tyle głupi, by obrazić Angel Weinstein, wkrótce żalowali, że nie minęli jej bez słowa. Przypominała piękną Amazonkę z zabójczym instynktem. Tylko Angel wiedziała, jak cienka jest ta przeraźliwa maska, pod którą kryła się przestraszona mała dziewczynka.

Spojrzenie, które zobaczyła we wstecznym lusterku, oznaczało, że wszelka wypowiedź dłuższa niż podanie celu zostanie uznana za zachętę. Nie miała cierpliwości na użeranie się z nachalnym taksówkarzem. Podała adres swego adwokata, rozmyślnie ścisząc głos, a potem oparła się na siedzeniu, żeby zastanowić się nad tarapatami, w jakie wpadła. Taksówka momentalnie utknęła w porannym korku na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i Piątej alei, a Angel z rezygnacją wsłuchiwała się w dźwięk rozbrzmiewający w jej głowie. Jej świat rozpadał się z łoskotem.

Wszystko zaczęło się minionej nocy, kiedy gliniarze wyważyli łomem drzwi mieszkania przy Pięćdziesiątej Dziewiątej wschodniej, gdzie prowadziła agencję towarzyską.

Sukinsyny! Wpadli do mieszkania ze śmiechem, potykając się o kawałki drewna i gipsu. Skurwiele! Kiedy aresztowali kolumbijskiego handlarza narkotyków albo wielokrotnego zabójcę, kłaniali się, drapali po głowach, mówili: „Przepraszamy, sir” i czytali mu jego pieprzone prawa. Kiedy jednak nowojorska policja robiła nalot na dom publiczny, wszystko zamieniało się w jedną wielką zabawę. Właścicielki burdeli były śmieciami. Nieważne, że wielu gliniarzy korzystało z usług Angel i nie wahało się przed proszeniem o darmowe numery. Kiedy przychodziło do zwinięcia jej czy którejkolwiek z kobiet z branży pracujących na East Side, gliniarze zamieniali się w postaci z „Mechanicznej pomarańczy”.

Rozmasowała przeguby, przypominając sobie, jak ciasno zapięli jej kajdanki.

Przynajmniej zanim ją odwieźli do centrum, pozwoli jej zadzwonić do Barry'ego.

Barry Rizzo był adwokatem Angel, a także klientem od czasu, gdy weszła do branży. Nie był doskonały, ale stał po jej stronie. Ulga Angel nie miała granic, kiedy pojawił się po kilku minutach, jednak jej wdzięczność znacznie się zmniejszyła, gdy ujrzała, jak Barry odpycha na bok policjanta, żeby stanąć przed kamerami programu „Na żywo o piątej”.

Nie wiedziała, kto wezwał dziennikarzy, Barry Rizzo czy gliny, zresztą to nie miało znaczenia. Liczyło się to, że rozgłos oznaczał klęskę, i to, że cała historia ją zrujnuje. Dawniej miała akurat dość pieniędzy, żeby utrzymać się na powierzchni. Tym razem przedstawią jej zarzuty kryminalne i wydojają do grosza.

Rozkręciła interes dzięki niebagatelnemu spadkowi. Jej ojciec, Aw, niech spoczywa w pokoju, pracował jako urzędnik podatkowy. Przez trzydzieści lat skrupulatnie odkładał łapówki, które cwaniacy wręczali mu za to, by dokonywał przeglądu spreparowanych ksiąg zamiast autentycznych. Po śmierci Awa Angel i jej matka otrzymały w spadku klucz do sejfów w banku Bowery Savings oraz sterty pośliskich banknotów studolarowych.

Matka, cierpiąca na arytmieję, wydała spadek w ciągu roku na opłacenie domu opieki w New Jersey. Angel zainwestowała swoją część w pierwsze przedsiębiorstwo, Agencję Towarzyską hrabiny de Marco. „Pozwólcie naszym pięknym aktorkom i modelkom towarzyszyć wam w podróży po migotliwym Manhattanie” - brzmiało ogłoszenie w książce telefonicznej. Nastąpiło pięć dobrych lat, z zaledwie kilkoma ciężkimi momentami. Przygotowywała się właśnie do wykupienia liczącej się, aczkolwiek podstarzałej madame w Londynie i wprowadzenia hrabiny de Marco na

arenę międzynarodową, kiedy cholerni gliniarze wylamali jej drzwi, porozrzucali akta i zapuszczowali ją.

Angel zaczęła pracę w siedemnastym roku życia, zaraz po ukończeniu szkoły. Zatrudniła się w komputerowej agencji towarzyskiej przy Lexington Avenue. Tam zrozumiała, ile samotnych ludzi żyje na świecie. Dowiedziała się też, co dzieliło płęć żeńską od męskiej. Było to zachęcająco proste: kobiety chciały wyjść za mąż, a mężczyźni iść do łóżka. Nie musiałaś być Miltonem Friedmanem, żeby wpaść na pomysł czerpania korzyści z tych dwóch sprzecznych pragnień. Interes dostarczający produktu, na który istniał stały popyt, mógł działać wiecznie, a interes, który satysfakcjonował klienta w blisko stu procentach, musiał się powieść. Angel postanowiła otworzyć agencję dziewczyn na telefon. Musiała tylko rozwiązać dwa problemy.

Po pierwsze, nie miała gdzie nauczyć się prowadzić takiego interesu. Drugi problem stanowiły pieniądze. Angel zdała sobie sprawę, że najszybszym sposobem zgłębienia tajników branży jest zatrudnienie się w niej. Poszła do fryzjera i manikiurzystki, w Alexander's kupiła nowy kostium i najwyższe szpilki, jakie mieli w sprzedaży, po czym stawiała się w agencji towarzyskiej, której adres znalazła na ostatniej stronie „Village Voice”. Jeszcze tej samej nocy poszła do pracy do hotelu Hilton, gdzie odbywał się Zjazd Producentów Sprzętu Przeciwpożarowego.

Nie przepadała za sypianiem z pijanymi obcymi, ale nie było to nudniejsze niż konieczność śmiania się z ich dowcipów. Sił dodawała jej myśl, że to praca przejściowa, środek do celu.

Kobiety prowadzące agencję w wieżowcu na East Side nie miały nic przeciwko temu, by Angel bez przerwy przesiadywała w biurze. Była dobrą kumpelką, miała poczucie humoru i niewyparzoną gębę, a kiedy zaoferowała, że może odbierać telefony, kiedy ktoś zachoruje, zaskarbiła sobie prawdziwą wdzięczność szefowych.

Nikt się nie zdziwił, gdy zgłosiła się na ochotnika na dyżur od siódmej rano do południa, najwolniejszy i najnudniejszy okres w biurze. Była wtedy sama, toteż mogła wertować akta i zapoznać się z zasadami funkcjonowania agencji.

Po miesiącu miała wszystko w małym palcu; poznała cały nieskomplikowany system. Wiedziała, kogo należy opłacić na miejscowym posterunku policji, którzy właściciele domów godzili się na prowadzenie działalności w ich budynkach, a przede wszystkim, które z dziewcząt zatrudnionych w agencji były niezadowolone. Na wiosnę umarł ojciec Angel. W tym czasie wiedziała już sporo o gotówce. Gotówka była lotną substancją; jeśli wpłacałaś JA do banku, zostawał ślad i musiałaś płacić podatki. Posługiwanie się czekami było niewygodne i niezręczne. Jedną z dziewczyn zatrudnionych w agencji posłała Angel do Barry'ego Rizza, którego prasa nazwała rzecznikiem mafii. Pobierając dziesięć centów od dolara, Barry „wyprał” spadek Angel, wpisując go do swych ksiąg jako inwestycję w nową agencję towarzyską. Narodziła się Agencja Towarzyska hrabiny de Marco. Głównie dzięki stałemu napływowi klientów napędzanych przez Barry'ego przedsięwzięcie odniosło fenomenalny sukces. Po sześciu miesiącach zaczęło przynosić zyski. Po upływie roku Angel dysponowała budżetym podziw rejestrem ponad dwustu „modelek/aktorek”.

Sądziła, że zadbała o wszystko, ale najwyraźniej, pomimo łapówek i wpływowych kontaktów, kogoś nie kupiono. Po pierwszym nalocie Barry wyciągnął Angel przed upływem doby. Każde kolejne aresztowanie trwało nieco dłużej. Po ostatnim Barry ją ostrzegł.

Korek u zbiegu Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i Piątej alei w końcu uwolnił taksówkę. Wyrwała do przodu, a sterta porannych gazet brukowych zsunęła się z kolan Angel na podłogę. Podniosła je, patrząc po raz kolejny na swoje zdjęcie na pierwszej stronie. Oto próbowała zasłonić okulary słoneczne chustką od Hermesa, trzymając pod rękę Barry'ego Rizza. Dziennikarze, tradycyjnie mijając się z prawdą, pisali o niej jako o włoskiej hrabinie, chociaż wiedzieli, kim w istocie była. W ten sposób jednak powstawały barwniejsze i seksowniejsze artykuły.

Podziękowała taksówkarzowi, płacąc mu dziesięć dolarów za pięciodolarowy kurs i myśląc, że wkrótce zostanie zmuszona do zrezygnowania z tego gestu w stosunku do klasy pracującej. Wysiadając na chodnik, poczuła na tyłku wzrok taksówkarza. Gwałtownie odwróciła głowę i wyprostowała środkowy palec. Uśmiech taksówkarza zniknął w ciągu sekundy.

- Puta - syknął po hiszpańsku i ruszył gwałtownie.

Angel stała na chodniku, patrząc w górę na dom Barry'ego i przypominając sobie, jak po raz pierwszy przyszła do jego biura. Jak bardzo liczyła wtedy na sukces. Posiadanie własnego przedsiębiorstwa było dla Angel wszystkim; kompensowało fakt, że nie miała nic innego.

Barry Rizzo podniósł wzrok znad szerokiego biurka i ujrzał Angel Weinstein wchodzącą rozkołysanym krokiem do biura. Jej włosy jak zwykle powiewały, a pełne piersi podskakiwały w takt kroków.

Energicznie podeszła do biurka i stanęła nad adwokatem.

- No więc? - zahuczała wyczekująco.

- Jak się dziś miewasz, hrabino? - spytał Barry, podnosząc „New York Post” i pozwalając opaść gazecie na biurko.

Angel opadła z jękiem na krzesło.

- Wierzysz w to gównu? Te pismaki rzucili okiem na moje mieszkanie i w ciągu nocy zostają włoską hrabiną! - Rozpostarła palce i przyczesła ciemnorude zmierzwiene włosy.

Zarzuty przeciwko Angel obejmowały nakłanianie i propagowanie prostytutki, a także stawianie oporu policji poprzez lżenie funkcjonariusza, który zakładał jej kajdanki.

- Dziś rano zadzwoniłem w kilka miejsc, kochanie - oznajmił Barry, zerkając na formularz na biurku. Sądzę, że zdołamy cię wyciągnąć wpłacając grzywnę, ale obawiam się, że powinnaś pomyśleć o zmianie specjalizacji. Może za rok czy dwa, kiedy szum przycichnie, będziesz mogła wrócić do branży.

Angel wsunęła palec wskazujący do pustej paczki po Camelach bez filtra, zmięła ją i cisnęła mniej więcej w kierunku skórzanego kosza na śmieci.

- Gównu i korupcja - warknęła. - Nie zasługuję na to. Rizzo przesunął wzrokiem po długich nogach, szerokich ramionach i silnych piersiach napinających czerwoną jed-

wabną bluzkę. Kosmiczny konstruktor, który złożył Angel Weinstein, dał jej ciało Lainie Kazan, a dla ochrony gębę Billy Martina.

- Cholera, Barry, co ja teraz zrobię? Jeśli wypadnę z interesu, stracę dziewczyny, a one są najlepsze.

Angel wpatrywała się w okno przez dłuższą chwilę. Wyglądała tak, jakby się miała rozplakać. W końcu odwróciła się do adwokata i jęknęła:

- Och, Barry, co ja teraz zrobię?

Barry wziął głęboki wdech człowieka pokonanego.

- Czy wiedziałaś, że od kilku tygodni miałaś telefon na podsłuchu?

- Podsłuchane rozmowy nie są brane pod uwagę w sądzie - warknęła.

- Oni nie chcą cię widzieć w sądzie, kochanie. Chcą nazwisk i numerów telefonów.

- Mogą je sobie wziąć, w niczym się nie połapią. Przez telefon rozmawiamy szyfrem - odparła. - Tylko ja wiem, kim są wszyscy. Mam to spisane w książce, którą trzymam w sejfie banku Marine Midland. Pieprzyć ich.

- Jasne, słodziutka, pieprzyć ich. Na co się zda książka, której nie ma gdzie użyć?

Angel wpatrzyła się w niego zamglonym wzrokiem. W kącikach oczu pojawiły się dwie wielkie łzy i spłynęły po idealnie umalowanej twarzy.

- Barry, tylko to potrafię robić. Dokąd mam iść?

Barry oparł się na krzesło, skrzyżował ręce na potężnej klatce piersiowej, czekając, aż Angel weźmie się w garść. Lubił ją, zawsze ją lubił; była silna, przedsiębiorcza, nie do zdarcia. Teraz jednak na nic jej się to nie mogło zdać. Policja nowojorska miała na nią haka i postanowiła dopilnować, by Angel wypadła z interesu na dobre. Co za hipokryzja. Kobiety w rodzaju Angel Weinstein oferowały czyste, godne zaufania, nawet stylowe usługi. Kiedy jednak lokalni politycy potrzebowali nagłówków świadczących o walce z przestępczością, zawsze uderzali w najsłabszych: właścicieli delikatesów, którzy nie zamiatali chodnika, oraz kobiety prowadzące domy publiczne.

Rozprostował ręce i oparł je na biurku.

- Już dobrze? - spytał ojcowskim tonem. Skinęła głową i rzuciła zmiętą chusteczkę do kosza.

- Przyjrzyjmy się twojemu kapitałowi, Angel - powiedział powoli. - Co posiadasz na własność?

Wyrzuciła w górę ręce.

- Nie wiem. Samochód, meble, futro, trochę biżuterii. To wszystko.

- Hmm. Żadnych akcji? Żadnych stałych dochodów?

- Stałych dochodów, Barry? Zejdź na ziemię. Agencja towarzyska to nie jest sprzedaż detaliczna. Obracamy wyłącznie gotówką, o czym dobrze wiesz. Dziewczyny przynoszą mi pieniądze, biorę swoją działkę. Rachunki płacę gotówką, podobnie jak dziewczyny.

- A książka, o której wspomniałaś?

- Książka?

- Tak. Wszystkie nazwiska, adresy dziewczyn i klientów. To jest coś warte.

- Daj spokój, Barry, z tym jest tak samo jak z biżuterią. Jest tylko tyle warta, ile ktoś zechce zapłacić - powiedziała, szukając w torbie nowej paczki papierosów.

Barry oparł się i założył ręce za głowę.

- Może znajdę klienta. Zarobiłabyś dosyć, żeby przetrwać trudny okres, zapłacić grzywnę, zaległe podatki, cokolwiek. Mogłoby to nawet prowadzić do ciekawej pracy.

- Pracy? Jakiej znowu pracy? - spytała Angel, przyglądając mu się podejrzliwie. - Jeżeli myślisz o powrocie na ulicę, to możesz się wypchać, Barry.

- To, o czym mówię, ma się do twojego wyobrażenia o prostytutce jak polski garnitur do światowej mody. Chodzi o grę na całość. Mogłabyś zarobić taką sumę pieniędzy, o jakiej ci się nie śniło.

- A twoje honorarium? - spytała Angel, unosząc brew nad zapaloną zapalniczką.

- Cóż - odparł, uśmiechając się powoli. - Zawsze mogę ci wysłać rachunek.

Angel otworzyła usta. Potoczyła po języku gęsty obłok dymu, który zsunął się leniwie ze lśniącej dolnej wargi i zniknął w nozdrzach przypominających lufę dubeltówki. Wstała i zdusiła papierosa.

Podeszła do biurka, a Barry odsunął krzesło, rozpinając rozporek. Stała mu między nogami.

- Możesz zaoszczędzić na znaczku - powiedziała z uśmiechem, powoli osuwając się na kolana.

Pod koniec stycznia Sandrine zrozumiała, że wpadła w ciężkie tarapaty. Z kryjówki w szafie w korytarzu wyjęła metalową skrzynkę i zniosła na kanapę. Otworzyła ją i spojrzała posępnie na coraz szczuplejsze oszczędności. W miesiącu, który nastąpił po aresztowaniu Angel, Sandrine straciła usługi Pepe, gońca, który płacił jej rachunki.

Teraz musiała to robić sama. Zalegała z opłatą za telefon, a ludzie z urzędu energetycznego zostawiali groźne wiadomości na elektronicznej sekretarce.

Jedynie dochody pochodziły od stałych klientów, których Sandrine zachowała po zamknięciu interesu przez Angel. Mogła układać własny harmonogram i pracować jako wolny strzelec, ale po stracie stałego klienta nie miała możliwości zastąpienia go nowym. Grecki pośrednik wrócił do Aten, ponieważ podpisał umowę z rządem na eksport oliwek. Prawnik z Connecticut, który płacił Sandrine za to, że się onanizowała, podczas gdy on siedział na kanapie i żuł ucho pluszowego misia, kandydował do Kongresu i wrócił do domu, by przygotowywać kampanię wyborczą. Inny ożenił się ze swoją dziewiętnastoletnią sekretarką. Sandrine wiedziała, że do niej wróci, ale zanim to nastąpi, skończą jej się pieniądze. Wpadała w coraz większe przygnębienie, martwiąc się o SueBee, która od miesiąca nie opuszczała sypialni będąc w stanie ciężkiej depresji. Całymi dniami spała i bezmyślnie oglądała telewizję. Nigdy więcej nie wspomniała o lekcjach czytania, o które tak żarliwie prosiła Sandrine.

Sandrine uciekała się do wszelkich sposobów, żeby wyciągnąć przyjaciółkę z mieszkania. Zaproponowała, by wybrały się na przejażdżkę. Zaraz pożałowała swoich słów. Konie przypominały SueBee o Jacku. Na wzmiankę o koniach wybuchnęła płaczem, chowając się pod kołdrą. Podobnie zareagowała na propozycję Sandrine, by wybrały się na lunch do „21”.

Teraz, zdesperowana i przestraszona, zrozumiała, że rada Barry'ego Rizzo może wcale nie była taka niedorzeczna.

Powiedział jej jasno, że nie widząc dokumentów dotyczących spadku, nic nie mógł zrobić. Tylko obejrzawszy niezbędne papiery, mógł stwierdzić, czy zdoła ominąć przysługujące matce prawo odmówienia Sandrine pieniędzy.

Kiedy powiedział jej, żeby osobiście porozmawiała z matką, ręce Sandrine pokryły się gęsią skórką. Na samą myśl o konfrontacji z matką i tłumaczeniu się jej Sandrine czuła się fizycznie chora. Wybiegła z biura Barry'ego bez pożegnania. Od tamtej pory nie przestawała myśleć o tym, co musiała zrobić.

Zamknęła skrzynkę i właśnie niosła ją z powrotem do szafy, kiedy usłyszała za plecami głos SueBee. Odwróciwszy się ujrzała przyjaciółkę stojącą w drzwiach sypialni. Trzymała pęk balonów związanych różową wstążką zwisającą do ziemi.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Sandy - powiedziała słabo.

Sandrine odstawiła skrzynkę na stół w holu i stała wpatrując się w SueBee.

- Mój Boże, SueBee, skąd tyś je wytrzasnęła?

- Poprosiłam Juana, żeby je kupił podczas przerwy - wyjaśniła, podchodząc niepewnym krokiem do przyjaciółki. - Kupił je dziś rano, kiedy zeszłaś na dół do pralni.

- Och, SueBee - wykrztusiła Sandrine, walcząc z uciskiem w gardle. Wyciągnęła rękę i wzięła balony. - Nie zamierzałam w ogóle obchodzić urodzin.

- Tak mi przykro. Czy nie gniewasz się, że pamiętałam? Nie chciałam ci sprawiać przykrości.

Sandrine usiadła na łóżku, ściskając balony.

- Nie sprawiasz mi przykrości, SueBee powiedziała cicho. - Jesteś jedyną osobą dzięki której czuję się dobrze. Gdyby nie ty... - Sandrine nie była w stanie mówić dalej. Oczy napełniły jej się gorącymi łzami. Popatrzyła na SueBee i potrząsnęła głową.

- Sandrine - powiedziała SueBee siadając na stoliku do kawy. - Tak mi przykro, nigdy nie widziałam, żebyś płakała.

- Przestań powtarzać, że jest ci przykro - powiedziała gniewnie Sandrine. - To nie twoja wina, że jestem taką niedojdą.

- Nie mów tak, Sandy. Co takiego zrobiłaś?

Sandrine wyciągnęła chusteczkę z pudełka stojącego obok lampy i głośno wytarła nos.

- Jestem niedojdą i tchórzem. Proszę: siedzę tu, prawie splukana, bez żadnych perspektyw. Moja najlepsza przyjaciółka od miesiąca nie wychodzi z pokoju, nie umyła nawet włosów. Mam dwadzieścia pięć lat i nawet nie mogę powiedzieć, że jestem dziewczyną na telefon. Jestem kobietą na telefon, która ma cholernie mało klientów, sto sześćdziesiąt siedem dolarów i matkę na Park Avenue, siedzącą na majątku, który w świetle prawa należy do mnie. - Sandrine zmięła chusteczkę i cisnęła przez pokój. - Nie, do nas, te pieniądze należą do nas. Jesteś chora, a mnie cholerna duma nie pozwala odebrać tych pieniędzy i opłacić ci dobrego lekarza.

- Nie jestem chora - powiedziała urażona SueBee.

- Właśnie, że jesteś, do cholery! Potrzebujesz psychoanalityka, który wyciągnie cię z tej historii z Jackiem. - Sandrine trzasnęła pięścią w oparcie kanapy. - Za każdym razem, kiedy myślę o tym sukinsynu, czuję smak krwi.

- Nie obwiniaj Jacka - powiedziała spokojnie SueBee. - Sami ponosimy winę za to, co się nam przydarza. Musimy wziąć życie w swoje ręce.

- He? - Sandrine rozdziawiła usta. - Nie wierzę własnym uszom. Od miesiąca użalasz się nad sobą, a teraz mówisz, że trzeba wziąć życie w swoje ręce! Co się z tobą dzieje?

SueBee spojrzała na nagie kolana i powiedziała coś, czego Sandrine nie usłyszała.

- Co?

- Oprah - powtórzyła nieco głośniejszym głosem, nie podnosząc wzroku.

- Oprah Winfrey? - Sandrine niemal krzyczała.

- Nie śmieć się - powiedziała bardzo poważnie SueBee. - Spędziłam tam mnóstwo czasu na oglądaniu jej programu. - Wskazała ręką na sypialnię. - Większość dotyczyła zdobywania szacunku do samego siebie, brania życia w swoje ręce. Zaprosiła pewną biedną kobietę, którą bił mąż. Oprah do niej: „Słuchaj, siostrze, musisz wziąć życie w swoje ręce”.

Naśladownictwo Winfrey było tak udane, że Sandrine padła na poduszki i zaniosła się śmiechem. SueBee siedziała patrząc na przyjaciółkę z przebiegłym uśmiechem. Sandrine zdołała się w końcu opanować i zapytała:

- I co ci to dało, moja SueBee?

- Powiem ci - odparła SueBee otwierając szeroko oczy. - Dzięki temu zwlokłam się z łóżka i wzięłam prysznic, więc przestań gadać o brudnych włosach. Dzięki temu zaczęłam myśleć, co mogłabym zrobić dla jedynej osoby, która mnie wspierała. Wtedy przypomniałam sobie o twoich urodzinach i opracowałam plan z Juanem, który, nawiasem mówiąc, myślał, że umarłam.

- A to dopiero - mruknęła Sandrine.

- Sandrine, co musisz zrobić, żeby uzyskać spadek? Sandrine przyglądała się swoim dłoniom.

- Ten adwokat twierdzi, że muszę zdobyć dokumenty.

- No więc?

- To znaczy, że muszę się spotkać z matką.

Nastąpiła długa chwila milczenia, w której SueBee myślała o tym, co taka konieczność oznacza dla przyjaciółki. W końcu przechyliła głowę i zajrzała jej w oczy.

- No i co zamierzasz zrobić, dziewczyno?

Sandrine wyrzuciła w górę ręce w udawanym geście obronnym.

- Dobra, dobra, nie zaczynaj.

- Czy chcesz, żebym z tobą poszła? Wiesz, że pójdę. Sandrine powoli pokręciła głową.

- Nie, SueBee, muszę to zrobić sama.

- To znaczy, że pójdziesz? - SueBee klasnęła w dłonie. Sandrine zapatrzyła się przed siebie. Skoro mała, przybita SueBee znalazła siłę, by wywlec się z łóżka, ona może pojechać taksówką na Park Avenue i rozpocząć walkę z matką.

- Tak - powiedziała zdecydowanie. - To będzie najtrudniejsza rzecz w moim życiu, ale pójdę.

- Kiedy? - nalegała SueBee.

- Dziś wieczorem. Wiem, że jest w domu. Wydaje jedno z tych swoich pawiających przyjęć; czytałam o tym w artykule Suzy, kiedy czekałam, aż pranie skończy się suszyć.

SueBee ujęła twarz Sandrine w obie dłonie i pocałowała ją w czoło z głośnym cmoknięciem.

Kiedy Sandrine ujrzała tłum pchający się do apartamentu Tity Mandraki, pożałowała, że nie ma z nią SueBee. Przydałoby się jej nieco moralnego wsparcia. Zespół muzyczny napełniał mieszkanie dźwiękami znanych utworów, a kelnerzy w białych frakach roznosili srebrne tace pełne kanapek i kieliszków szampana. Stała w foyer z płaszczem przerzuconym przez ramię i rozejrzała się dokoła. Wiele twarzy poznawała, ale nikogo nie знаła osobiście.

Zmieniono wystrój mieszkania; dominowały rozmaite odcienie lawendy i sceny pasterskie z licznymi stadami owiec.

Wiedziała, że matka znajdowała się przed kominkiem w bibliotece, gdzie zawsze przyjmowała gości. Sandrine nie czuła się jeszcze na siłach, żeby do niej pójść.

Rzuciła płaszcz na krzesło i ostrożnie pchnęła wahadłowe drzwi kuchenne. Znajomy zapach potraw nastroił ją nostalgicznie.

Marta stała przy piecu, zsuwając biszkopty z płyty.

- Marta - szepnęła Sandrine od progu.

Płyta opadła z brzękiem na piec. Marta odwróciła się i krzyknęła, wyrzucając ręce w górę.

- Dreennie! - Obeszła pień rzeźniczy i wyciągnęła do Sandrine ramiona. - Dzięki ci, Jezu! Moje dziecko żyje!

Sandrine padła w objęcia niani i pozwoliła się zalać falą miłości. Dawno nie czuła czegoś równie cudownego. Kiedy oparła głowę na bujnych, ubielonych mąką piersiach Marty, poczuła, jak cały duszony od dawna gniew opuszcza jej duszę.

Marta wypuściła ją nagle z objęć, odsunęła na długość rąk i spojrzała Sandrine w oczy.

- Nie mogłaś nikogo przysłać? - spytała surowo. - Nie mogłaś podać wiadomości, że nic ci nie jest? Walczysz z matką, a nie ze mną.

Sandrine spuściła wzrok.

- Wiem, Marto, zachowałam się okropnie. Nie gniewaj się na mnie, nie mogłam.

Poza tym bałam się. Czułam się tak zraniona, taka zła.

- Ja też.

- Strasznie za tobą tęskniłam. Proszę, spróbuj zrozumieć. Marta sięgnęła po stojący na piecu czajnik i zaczęła go napełniać wodą.

- Coś mi mówiło, że dzisiaj przyjdiesz - powiedziała weselszym tonem.

- Jak to możliwe? - spytała zdumiona Sandrine.

- Dziś są twoje urodziny.

- Och, pamiętałaś.

- Oczywiście, że pamiętałam, czemu miałabym zapomnieć? Ale nie dlatego tu przyszałaś, prawda? - spytała Marta, stawiając na stole dwa kubki. - Siadaj.

- Przyszałam porozmawiać z matką o spadku - wyjaśniła Sandrine siadając.

- Mhm - Marta wrzuciła do kubków po torebce z herbatą. -Posiedzę z tobą chwilę, została mi jeszcze jedna partia biszkoptów.

Sandrine przyglądała się uroczej, starzejącej się twarzy kobiety, która była dla niej matką bardziej niż prawdziwa.

- Myślisz, że mam szansę, Marto? Marta potrząsnęła głową.

- Nie sędzę, kochanie - odparła smutno.

Sandrine poczuła, jak po szyi i policzkach rozlewa się jej gniewny rumieniec.

- To są moje pieniądze, Marto, mój ojciec mi je zostawił. Na pewno chciał, żebym je dostała. Poza tym są mi potrzebne, jestem splukana.

- Wydaje mi się, że twoja matka może odmówić. Pan Mandraki kochał ją do szaleństwa, maleńka, i chciał, żeby tak właśnie było.

- Może nie powinnam jej o to prosić. Może nie powinnam jej dawać satysfakcji odmówienia mi - wyrzuciła z siebie Sandrine, z trudem powstrzymując się od krzyku.

- Mogłabyś wynająć adwokata.

- Mam adwokata, do cholery! Mówi, że musi obejrzeć dokumenty. Nie zdołam zdobyć tych pieprzonych dokumentów, jeśli nie poproszę o nie matki.

- Uważaj na słowa, Sandrine - upomniała ją Marta, marszcząc brwi.

Sandrine oparła podbródek na dłoni i uśmiechnęła się do niani.

- Ty się nigdy nie zmieniasz, co? - spytała z czułością. Czajnik zaczął gwizdać. Marta podniosła go i napełniła kubki.

- Jak ty żyjesz, Dreenie? Jak zarabiasz na życie? Jak sobie radzisz?

- Nie każ mi cię okłamywać, Marto.

- Wobec tego nie mów. W każdym razie, skoro potrzebujesz pieniędzy, nie możesz robić nic naprawdę złego.

- Nikogo nie krzywdzę, jeśli to masz na myśli.

- Mam na myśli to, czy nie krzywdzisz siebie?

- Nic mi nie jest - odparła Sandrine, wiedząc, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Marta zasługiwała na to, by wiedzieć, co robiła, ale Sandrine nie umiała jej tego powiedzieć. Stara niania przypuszczalnie domyśliła się prawdy i nie chciała jej słyszeć.

- Czy jesteś tutaj szczęśliwa, Marto? - spytała Sandrine, kiedy niania wstała, żeby wyjąć z pieca świeżą partię biszkoptów.

- Mnóstwo tu klótni - odparła odwracając głowę. - To nie jest szczęśliwy dom, Dreenie.

- Klótni?

- Mhm. Mimo że się rozwodzą, Jamey stale tu zachodzi. Krzyczy, ona krzyczy, on odchodzi. Potem wraca. Ona rzuca rzeczami i odchodzi. Potem wraca. Pan Jamey pije tu ze swoimi młodymi przyjaciółmi. Wiem, że biorą narkotyki, kiedy pani nie ma, ale o niczym nie mówię. Pewnie mają mnie za starą głupią babę, ale potrafię rozpoznać zapach narkotyków, bo wtedy w mieszkaniu panuje taki zaduch, że można powiesić siekiere.

- Jak ty to znosisz? - spytała gniewnie Sandrine.

Marta odwróciła się, wytarła ręce o fartuch i znowu usiadła.

- Pracuję tu od dnia, w którym przywieźli cię ze szpitala. Dwadzieścia pięć lat. Nie mam dokąd pójść. Gdybym odeszła, ona zatrzyma pieniądze, które odłożyła na moją emeryturę, Bóg wie, że już mi groziła. Gdzie się wtedy podzieje? Na ulicy, jak ta biedna wariatka na Trzeciej alei.

- Marto, przyrzekam ci, że nigdy do tego nie dopuszczę. Pewnego dnia, jak tylko się ustawię, przyślę po ciebie. Możesz spędzić resztę dni w spokoju, po prostu dotrzymując mi towarzystwa. Wynajmę dla ciebie kucharza i pokojówkę, nawet mały domek, co tylko zechcesz.

Marta posłała Sandrine zmęczony, smutny uśmiech.

- Masz wielkie marzenia, moja mała.

- To nie marzenie, przysięgam.

- Wchodzisz tam? - spytała Marta, skinieniem głowy wskazując bibliotekę.

- Chyba tak. Chcę to mieć za sobą.

- Jest pijana.

- Teraz?

- Mhm. Zaczęła pić po południu. Kiedy przyszedł pierwszy gość, już jej się dwoiło w oczach.

Sandrine ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże. Nie mogę z nią rozmawiać, kiedy jest pijana. Zaraz dojdzie do jakiejś okropnej sceny.

Marta wstała, oparła się o piec i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Trzyma dokumenty w sejfie w sypialni - powiedziała beznamiętnie.

- Wiem, zawsze je tam trzymała.

- Mogłabym je wyjąć, kiedy jak zwykle straci przytomność. Nie obudzisz jej wtedy nawet kijem baseballowym.

Sandrine spojrzała na nianię z bojaźliwym zdziwieniem.

- Zrobiłabyś to?

- Zrobiłabym - odparła Marta pozbawionym modulacji głosem.

Sandrine nie miała wątpliwości, że Marta dotrzymałaby słowa. Czyż nie osłaniała jej zawsze? Czy nie próbowała jej ochraniać podczas afery z naszyjnikiem? Matka domyśliła się, że Marta wiedziała, że to Sandrine go zgubiła i o mały włos jej nie zwolniła. Sandrine nie mogła ponownie narażać przyjaciółki na takie niebezpieczeństwo. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

- Nie mogę na to pozwolić, Marto - powiedziała kręcąc głową. - Po prostu nie mogę. Idę tam. Nie obchodzi mnie, czy jest pijana czy nie. Kiedyś muszę dorosnąć.

Wstała od stołu, odwróciła się i wypadła przez wahadłowe drzwi, potrącając kelnera.

Przecisnęła się przez tłum w foyer i dotarła do drzwi biblioteki. Usłyszała ryczący głos matki, zagłuszający pozostałe. Opowiadała jakąś długą historię, przerywaną wybuchami własnego śmiechu. Miała na sobie ciemnoniebieską atlasową suknię z krezą z piór w jeszcze ciemniejszym odcieniu, dopełnioną takim samym wachlarzem dyndającym na przegubie. Czarno umalowane oczy upodabniały ją do szopa pracza. Sandrine stanęła na wolnej przestrzeni pośrodku biblioteki, uniosła podbródek i spojrzała prosto na matkę. Tita ujrzała ją dopiero po chwili. Zamilkła, mrugnęła raz, drugi, trzeci, potem uniosła wachlarz i zaczęła wachlować twarz.

- Proszę... proszę... proszę - powiedziała, przesadnie przeciągając słowa. - Powrót córki marnotrawnej.

- Witaj, matko - przywitała ją nieco patetycznie Sandrine, ale spokojnym tonem. Drżały jej dłonie.

Matka ruszyła w jej stronę z szerokim uśmiechem przyklepionym do ust. Wyciągnęła przed siebie wachlarz, jakby chcąc zrobić sobie przejście. Zbliżywszy się do pozbawionej wyrazu twarzy Sandrine, syknęła przez zęby:

- Co ty tu robisz?

- Czy możemy porozmawiać chwilę na osobności? Sandrine czuła wionący od matki zapach alkoholu i cytrynowych cukierków odświeżających oddech.

Tita Mandraki ujęła Sandrine za ramię i bez słowa wyprowadziła ją przez podwójne drzwi biblioteki do dużej toalety po drugiej stronie foyer.

Sandrine usiadła w nogach pikowanego szezlongu.

Matka zaniknęła drzwi na klucz i odwróciła się do córki. Wciąż miała na twarzy szeroki, sztuczny uśmiech, składający się z zębów i słabo skrywanej furii. Nie sprawiała wrażenie tak pijanej, jak opisywała Marta, ale może nauczyła się to skrywać.

- No, cóż - powiedziała, po wzięciu głębokiego wdechu. - Kiki Boudreau mówiła mi, że jesteś prawdziwą damą.

- Kiki Boudreau? - spytała Sandrine marszcząc brwi. Nie знаła nikogo o tym nazwisku.

- Widziała cię w Doubles z mężczyzną mogącym być twoim ojcem.

Sandrine skorzystała z okazji. Nie zamierzała niepotrzebnie przeciągać tej przykłej rozmowy.

- Skoro o moim ojcu mowa: dzisiaj, chociaż z pewnością o tym nie pamiętasz, są moje dwudzieste piąte urodziny.

- Tak? - Tita uniosła brew.

- Nie próbuj sztuczek, matko. Ta rozmowa nie sprawia przyjemności ani mnie, ani tobie. Chcę pieniądze, które zostawił mi ojciec.

- Doprawdy? - spytała Tita wyniosłym tonem, którym, jak pamiętała Sandrine, zwracała się do niezdarnych kelnerów i aroganckich sprzedawczyń.

- Doprawdy - powtórzyła spokojnie Sandrine. - Wiem, że możesz mi przeszkodzić w uzyskaniu spadku, ale proszę cię, żebyś tego nie robiła. Zdaję sobie sprawę, że według ciebie nie mam prawa prosić o cokolwiek, ale te pieniądze są moją własnością i chcę je dostać.

- Nie owijamy w bawełnę, co?

Sandrine nie odpowiedziała. Kolana przestały jej się trząść, a w głowie czuła dziwną lekkość, jakby najgorsze miała już za sobą.

- W takim razie ja też nie będę owijać w bawełnę, Sandrine. Wiem, że oczekujesz, że odmówię ci tych pieniędzy. Musiałabyś nie mieć za grosz wrażliwości, żeby sądzić, że sprawiłaś mi przyjemność swoim zachowaniem. Zniknęłaś, ani razu nie zadzwoniłaś, ani razu nie odwiedziłaś starej niani, która tak cię kochała.

- Dalej, matko, wpędzaj mnie w poczucie winy, zasługuję na to.

- Nie muszę się zgadzać albo nie zgadzać z tym, czy masz prawo do tych pieniędzy. Tak czy inaczej nie są twoje.

- Co ty mówisz? Naturalnie, że są moje. Zostawił mi je mój ojciec.

Na pięknej twarzy Tity Mandraki pojawił się zimny uśmiech. Opuściła powieki i powiedziała rozwlekłym, protekcyjnym tonem:

- Sandrine, kochanie, Otto Mandraki nie był twoim ojcem. Sandrine odrzuciła głowę jak uderzona.

- Co ty wygadujesz? - wysyczała. - Oszalałaś? Oczywiście, że był moim ojcem.

- Kto może lepiej wiedzieć: ty czy ja? - spytała Tita niemal zbyt uprzejmie. - Mówię ci, że nie był twoim ojcem i nigdy nie zdołasz dowieść, że nim był. Proste jak drut.

- Nie wierzę ci - powiedziała Sandrine, a kolana i ręce znowu zaczęły jej drżeć.

- Mam zamiar podjąć te pieniądze i odkupić bułgarski naszyjnik - oświadczyła Tita oglądając swoje doskonałe czerwone paznokcie. - Ten, który ukradłaś.

Sandrine wstała i poprawiła na ramieniu łańcuszek torebki.

- Odsuń się, matko, i otwórz drzwi - rzuciła ostro. Matka nie drgnęła.

- Odsuń się, matko, i otwórz drzwi, albo rozerwę ci gardło.

- Proszę! - prychnęła Tita. - Czy w ten sposób załatwia się dziś sprawy na ulicy? - Odwróciła się i przekręciła klucz w drzwiach łazienki.

Sandrine minęła ją, nie podnosząc wzroku. Przecisnęła się przez tłum zaskoczonych gości, chwyciła płaszcz z krzesła i obiema dłońmi pchnęła drzwi kuchenne.

Odkoczyły za nią i uderzyły o ścianę.

Marta, która układała na srebrnej tacy kanapeczki z biszkoptów i szynki, podskoczyła.

- Co się stało, Sandrine?

- Powiedziała mi, że Otto Mandraki nie był moim prawdziwym ojcem.

Marta zakryła twarz dłońmi.

- Ta kobieta oszalała - wyszeptała. - Jak mogła powiedzieć coś tak okropnego?

- No więc był, czy nie, Marto? Ty powinnaś wiedzieć - Sandrine usiłowała opanować drżenie głosu.

Marta powoli wytarła dłonie w ściereczkę i usiadła na stolku. Sprawiała wrażenie zmęczonej i bardzo starej.

- Kochanie - powiedziała z westchnieniem. - Istnieje tylko jeden powód, dla którego o tym teraz wspomniala. Twój spadek to duża suma pieniędzy. Z pewnością nie ma sposobu, żeby ustalić, kto był twoim ojcem. Twoja matka miała wielu... cóż... nazwijmy ich „przyjaciółmi”.

Sandrine wydarła kartkę z leżącego przy telefonie notesu i napisała na niej numer telefonu.

- Marto, przyjmuję twoją propozycję, o której wcześniej rozmawialiśmy. Nawet jeśli Otto Mandraki nie był moim ojcem, zostawił mi te pieniądze i chciał, żebym je dostała - powiedziała, wręczając Marcie kartkę. - Zadzwoń do mnie. Mój adwokat będzie czekał.

Marta wsunęła kartkę do kieszeni fartucha i skinęła głową. W połowie holu Sandrine odwróciła się do niani.

- Przyślę po ciebie, Marto, bez względu na wszystko. Obiecuję ci z całego serca - powiedziała i wybiegła z mieszkania.

Następnej nocy Marta zadzwoniła do Sandrine z wiadomością, że wyjęła z sejfów matki dokumenty. Sandrine zawiadomiła o tym Barry'ego Rizza, który wysłał gońca. Ten odebrał od Marty dokumenty na rogu Park Avenue i Siedemdziesiątej Drugiej ulicy.

Minał cały tydzień, podczas którego Sandrine i SueBee czekały z niepokojem na opinię Rizza w kwestii jej praw do spadku. Sandrine powiedziała adwokatowi o oburzającym oświadczeniu matki, ale koniec końców usłyszała z ulgą, że prawdopodobnie nie będzie miało to znaczenia, czy Mandraki był jej ojcem czy nie. Chciał, żeby pieniądze przypadły jej w udziale.

Sandrine stała w kuchni i malowała lodówkę, bardziej w celu rozładowania napięcia niż dlatego, że istniała taka potrzeba, kiedy zadzwonił telefon.

- Odbiorę - krzyknęła do SueBee, która oglądała w sypialni lekcję czytania na wideo. Sandrine wytarła w dżinsy dłonie poplamione farbą i pobiegła do telefonu w salonie. Proszę, niech to będzie Barry, niech mi powie dobrą nowinę, modliła się, podnosząc słuchawkę.

- Halo?

- Dzień dobry - odezwał się męski głos z brytyjskim akcentem.

Sandrine zeszytniała. Od czasu nalotu na Angel nie miała pewności, kto może znać jej nazwisko i numer.

- Mówi Martin Bourke-Lyon. Przepraszam, że przeszkadzam pani w weekendzie. Czy byłaby pani tak uprzejma i poprosiła Sandrine?

- Jedną chwilę - powiedziała po chwili przerwy Sandrine, podnosząc głos o kilka tonów. - Czy będzie wiedziała, o kogo chodzi?

- Niestety nie, przepraszam. Proszę jej powiedzieć, że jestem współpracownikiem pana Barry'ego Rizza i dzwonię z jego polecenia.

Sandrine odetchnęła z ulgą. Jeśli to Barry dał jej numer, facet musiał być w porządku.

- Tu Sandrine - powiedziała wesoło.

- Och, to pani. Dzień dobry - powiedział chichocząc. - Sądziłem, że rozmawiam z pani sekretarką.

- Taki mniej więcej miałam plan.

- Bardzo rozsądnie - zauważył i odchrząknął. - Proszę pozwolić, że panią uspokoję. Reprezentuję pewną bardzo prywatną, bardzo poufną organizację. Pan Rizzo, który pracuje tu w Stanach dla mojej chlebodawczyni, zasugerował, że bym spotkał się z panią w sprawie posady u nas.

- Nie rozumiem, panie...

- Bourke-Lyon, z łącznikiem.

- No, tak. Nie rozumiem, dlaczego Barry sam do mnie nie zadzwonił.

- Chce pani powiedzieć, że nie dzwonił?

- Nie, panie Bourke-Lyon, nie dzwonił. Dopóki tego nie zrobi, chyba nie powinnam z panem rozmawiać - oświadczyła podejrzliwie.

- Obawiam się, że muszę znowu przeprosić. Najwyraźniej nastąpiło małe nieporozumienie. Pożegnaj się teraz i poczekaj, aż się z panią skontaktuje. Będę czekał na telefon od pani. Zatrzymałem się w Pierre, w apartamencie tysiąc czternaście.

Podniecona i zakłopotana, Sandrine podziękowała mu sztywno i odłożyła słuchawkę.

- Kto to był? - zawołała z sypialni SueBee.

- Jakiś facet - odparła Sandrine wruszając ramionami. Mówił, że jest współpracownikiem Barry'ego. Nie przyjacielem ani starym kumplem, ale współpracownikiem. Podejrzenie mi to pachnie.

- Czy chodziło mu o, no wiesz, pieniądze? - spytała SueBee.

- Nie, i nie wiem, dlaczego Barry do mnie nie zadzwonił - oświadczyła Sandrine, wciskając numer Barry'ego. Nigdy nie dzwoniła do niego do domu, ale to była ważna sprawa. Odebrał dopiero po siedmiu dzwonek. Sprawiał wrażenie zaspanego.

- Barry? Tu Sandrine. Czy znasz faceta nazwiskiem Bourke-Lyon, z łącznikiem?

- O, Jezus, zupełnie zapomniałem - jęknął. - Przepraszam, wróciłem bardzo późno.

Miałem zadzwonić do ciebie po południu. - Zaczynał się budzić; w jego głosie pobrzmiwała troska. - Słuchaj, Sandy. Obawiam się, że mam nieprzyjemne wiadomości.

- O, nie - wyszeptała Sandrine siadając na kanapie.

- Chodzi o twój spadek. Przystudiowałem dokumenty i wygląda na to, że obalenie zastrzeżenia twojej matki będzie wymagało więcej pracy, niż sądziłem. Jest to wykonalne, ale zajmie trochę czasu.

- I pieniędzy - dodała z rozpaczą Sandrine.

- Również. Właśnie dlatego chciałem cię skontaktować z tym Bourke-Lyonem. To może być twoja wielka szansa. Może spotkamy się z nim później na drinku? Na przykład w Jockey Club o szóstej, zgoda? Przerobimy tego Angoła.

- Chcesz powiedzieć, że on jest prawdziwy? - spytała zdziwiona.

- Najprawdziwszy.

- Czy ty i ja moglibyśmy się spotkać trochę wcześniej? Wyjaśniłbyś mi, o co chodzi.

- Jasne. W takim razie o piątej?

- Czy mam się ubrać?

- Aż po swoje perłowe ząbki! - odparł chichocząc. Ubierając się pospiesznie, powiadomiła SueBee, że idzie się spotkać z adwokatem. Powiedziała, że wynikała pewna trudność i że zadzwoni później.

Taksówka Sandrine zatrzymała się przed wejściem do Jockey Club w hotelu Ritz Carlton punktualnie o piątej. Kiedy wysiadła z samochodu, ktoś wpadł na nią od tyłu. Odwróciła się i ujrzała uśmiechniętą twarz Barry'ego. Miał na sobie groźnie wyglądający kapelusz borsalino z szerokim rondem i dwurzędowy płaszcz deszczowy.

- Idziesz w moją stronę, laleczko? - spytał, ścisząc głos.

- Barry, ty idioto - odparła ze śmiechem. - Myślałam, że ktoś mnie próbuje napastować.

- Słuchaj, mogę to załatwić, żaden problem - zapewnił z lubieżnym uśmiechem.

Tuż za Barrym do hotelu weszło dwóch mężczyzn. Byli jego wzrostu, ale potężniej zbudowani. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi, jakby czekając na instrukcje. Barry nie przedstawił ich Sandrine. Odwrócił się i warknął coś do jednego, ten skinął głową, ale się nie ruszył.

Późnym sobotnim popołudniem restauracja świeciła pustkami. Szef sali powitał ciepło Barry'ego i zaprowadził ich do stolika za barem. Dwaj mężczyźni usiedli przy stoliku w końcu sali. Barry zamówił dwie szkockie z sodą, nie pytając Sandrine, na co miała ochotę.

- Zawsze chodzisz z obstawą? - spytała z uśmiechem.

- Nie, nie zawsze - odparł, strzepując nie istniejące okruszki z nieskazitelnego obrusa. Podniósł wzrok i spojrzał na kostium Sandrine. - Hej, świetnie wyglądasz. To Chanel, tak?

- Mhm. To mój mundur przyzwoitej damy. W porządku?

- Więcej niż w porządku - powiedział z podziwem. - Co wy macie z tą Chanel, dziewczyny? To jak rodzaj mundurku.

- Niezupełnie, panie Rizzo - odparła Sandrine, odrzucając gęste ciemne włosy. -

Tylko dla tych, które mogą sobie na to pozwolić. Pozostałe noszą stroje od Adolfo.

- A co, lepiej wabią? spytał, poruszając brwiami, jak to mają w zwyczaju mężczyźni pokroju Rizza robiąc uwagę związaną z seksem.

- Lepiej biorą - odparła Sandrine mrugając.

Kelner przyniósł drinki, Barry sięgnął z ochotą po swojego.

- Mam nadzieję, że nie martwi cię zbyt to opóźnienie - zaczął poklepując ją przeprasza ją po dłoni. - Język dokumentów jest bardzo jednoznaczny, ale jestem pewien, że uda nam się znaleźć jakieś nieścisłości. Wszystko zależy od załatwienia odpowiedniego sędziego, kiedy sprawa trafi do sądu.

- Do sądu? - jęknęła Sandrine. - To może się ciągnąć latami.

- Z czego mam żyć do tego czasu?

Barry poprawił się na krześle i nachylił bliżej.

- Właśnie o tym chciałem z tobą mówić, zanim ten gość się pojawi. Ten Bourke-Lyon ma dojsca. Posiada niezwykle kontakty, nie mówię rozległe, ale liczące się w świecie. W pewnego rodzaju branży.

- Przestań kręcić, Barry - powiedziała stanowczo Sandrine.

- Co on robi?

- On jest... chwileczkę... o, nazwę to tak: jest wysokiej klasy poszukiwaczem talentów.

- Poszukiwaczem talentów? - spytała Sandrine marszcząc czoło. - I chce się spotkać ze mną? Nie mam żadnych tal... -Zawahała się. - Och, chyba zacznym rozumieć.

- Ten facet kupił książkę Angel.

- Kupił książkę Angel? O czym ty mówisz, Barry? - starała się ukryć niepokój.

Adwokat chwycił ją za przegub.

- Nie daj się ponieść, mała. Takie rzeczy są na porządku dziennym. Poczekaj, aż usłyszysz resztę.

- Cholera, chyba nie chcę tego słyszeć - powiedziała gniewnie. - Kto dał Angel prawo do sprzedawania mojego nazwiska i numeru telefonu? Kim są ci handlarze niewolnikami?

- Może byś się uspokoiła? - warknął. - Ci „handlarze niewolnikami”, jak ich nazwałaś, prowadzą najbardziej ekskluzywny biznes na świecie. - Obrócił się i położył rękę na oparciu ławy. - Pozwól, że cię o coś zapytam, maleńka. Czy interesuje cię podróżowanie prywatnymi odrzutowcami? Czy podnieca cię umawianie się na kolację z prezydentami państw i najbogatszymi ludźmi świata?

- Mów dalej - powiedziała pośpiesznie Sandrine.

- Ile pieniędzy udało ci się odłożyć, maleńka? Potrząsnęła głową i zakręciła szklanką.

- Tyle, co nic - odparła ponuro. - Wiesz dobrze. Czy zależałoby mi tak rozpaczliwie na spadku, gdybym cokolwiek miała?

- Zaciągnę dla ciebie pożyczkę, ale musisz myśleć o tym, co zrobisz, jeśli nie przyznają ci spadku. Co byś powiedziała o odłożeniu kilku milionów w twardej walucie, biżuterii, nieruchomościach, akcjach, czym tylko chcesz, w ciągu, powiedzmy, pięciu najbliższych lat? Co byś powiedziała na obracanie się w środowisku najważniejszych ludzi: znanych osobistości, przywódców państwowych, miliarderów? Nie mówię tu o schadzках w pokojach hotelowych czy kryjówkach, ale w ich domach, na ich jachtach i przyjęciach. Byłabyś jedną z nich, a nie jakąś ładną laską z agencji towarzyskiej. Kto wie, może taka ślicznotka jak ty mogłaby wyjść za jednego z tych gości. Nie byłby to pierwszy raz. No? No? Pytam cię.

- Nie podniecaj się, Barry - upomniała go Sandrine, uspokajając się, chociaż tylko trochę.

- Tak... cóż... - Barry sprawiał wrażenie dotkniętego.

- Domyślam się, że teraz mi powiesz, że wcale nie muszę się pieprzyć z tymi ludźmi? Że zależy im na moim wnętrzu.

Twarz Barry'ego pojaśniała.

- Tak się składa, Sandrine, że seks stanowi tylko drobną część umowy.

- Och, daj spokój, Barry - westchnęła przewracając oczami. - Bajki typu „wyślemy czek pocztą” i „wsadzę go tylko na centymetr” możesz opowiadać innym.

Rozmawiasz ze mną.

- Słuchaj, Sandrine - zaczynał tracić cierpliwość.. - Nic cię nie kosztuje rozmowa z tym facetem. Próbuje się tobą zaopiekować, maleńka.

Sandrine napiła się szkockiej.

- Chcesz powiedzieć, że będzie mnie przesłuchiwał? - spytała ostro. - To oburzające.

- Oni nie przyjmują byle kogo, mała, możesz to sprawdzić. Sam numer tej agencji kosztuje na wybrzeżu dziesięć patoli, a tutaj więcej. Zapytaj Angel. Z trzech tuzinów nazwisk, które im sprzedała, Bourke-Lyon zechciał się spotkać tylko z kilkoma. Ty jesteś jedną z nich. - Barry machnął ręką z niesmakiem. - A ja sądziłem, że robię ci przysługę.

- Dlaczego ja? - spytała podejrzliwie. Barry wymamrotał coś w szklankę.

- Co?

Spojrzał na Sandrine.

- Ponieważ ja cię poleciłem.

- Wspomniałeś o tym, kim jest moja matka, tak? - spytała, patrząc na niego gniewnie. - Barry Rizzo, jesteś szakalem.

Podniósł jeden palec.

- Zgoda, ale sprytnym szakalem, troskliwym szakalem, szakalem, który powiedział im też, że jesteś piękna, masz klasę i mówisz po francusku. Proszę, wytocz mi proces za to, że jestem szakalem - powiedział, wydymając usta. - Jestem twoim kumplem, mała. Zaufaj mi.

Sandrine milczała przez pewien czas, wpatrując się w przestrzeń. Wiedziała, że próbował jej pomóc. Wiedziała też, że próbował ją zaciągnąć do łóżka, ale duma nie pozwalała mu jej zapłacić. Ona nie zrobiłaby tego zresztą nawet za pieniądze. Barry był typem faceta, który zakochiwał się i przyczepiał jak rzep psiego ogona; podkradał bieliznę z pralni w piwnicy, żeby ją w domu wachać.

Pod wpływem panicznego lęku o pieniądze powiedziała mu, więcej niż powinna, o swoim niespokojnym życiu, o paralizującej nienawiści do matki, zwielokrotnionej ostatnio próbą Tity posiania w umyśle Sandrine wątpliwości co do osoby ojca.

Powiedziała mu nawet o SueBee i Jacku Aylerze oraz o tym, że chciałyby jakoś pomóc przyjaciółce.

Jeden element bezwzględnej propozycji Barry'ego zwrócił jej uwagę. Niezależnie od negatywnych stron planu dawał on Sandrine perspektywę i szansę znalezienia bogatego mężczyzny, który rozwiązałby jej problemy. Jakież to ironiczne, pomyślała, że matka zrobiła to samo. Przez całe życie Sandrine słyszała pochwały i peany na cześć „talentu” i pomysłowości matki, podczas gdy w rzeczywistości działalność Tity polegała na chwytności w pułapkę mężczyzn, którzy wspieraliby ją finansowo, bądź jak w przypadku Jameya łechtali jej nienasyconą pychę. Plan Barry'ego oferował przynajmniej szansę lepszego życia dla niej, Marty oraz, w jakiś sposób, dla SueBee.

- Kim są inne dziewczyny, z którymi on się spotyka? - spytała w końcu Sandrine.

- Nie wiem, czy już wszystkie wybrał - odparł Barry. - Ale, słuchaj, co powiesz na swoją sublokatorkę?

Sandrine cofnęła się zszokowana.

- Barry Rizzo! Czy postradałeś resztki małego, gangsterskiego rozumku? SueBee nie jest dziewczyną na telefon, ale słodką, niewinną istotą z Teksasu.

- Jasne. Mówiła mi, że żyła z Omarem Zakim.

- Barry, ona była jego pielęgniarką.

- Bzdura, znam Zakiego. Nie pozwoliliby ślicznej dziewczynie mieszkać razem z nim, chyba że bawił się z nią kielbaską.

- Boże, Barry, jakież ty jesteś lubieżny.

Dał znak kelnerowi, żeby uzupełnił mu szklanekę.

- Zostawmy żarty. Ten facet za moment się tu zjawi. Wchodzisz, czy nie?

- Co będzie, jeśli mnie zaakceptuje?

- Przeleć się Concorde do Paryża we Francji, żeby spotkać szefową. Wszystko zaklepałem. Możesz zabrać sublokatorkę, niezależnie od tego, czy interesuje ją to czy nie. No więc jak?

- Chyba tak - zgodziła się bez entuzjazmu. - Jaka rolę odgrywa w tym wszystkim ten facet? Jakiegoś śmieciarskiego euro-alfonsa?

- Nie, nie, nie, nie, nie - zaterkotał Barry jak karabin maszynowy. - On tylko przeprowadza wywiady z nowymi dziewczynami, a najlepsze rekomenduje szefowej. Wtedy ona zaprasza je na rozmowę.

- Ona? Co za ona?

- Nazywają ją madame Cleo.

Sandrine kreśliła kółka na obrusie patyczkiem od drinka. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo podnieciło ją to nazwisko. Każda dziewczyna z przynajmniej odrobiną ambicji wiedziała, kim była madame Cleo. Wiedziały to również wszystkie grające o duże stawki dziewczyny na świecie.

- Dobrze, Barry, polecę, chociażby po to, żeby sprawdzić, jak się leci Concorde. I, Barry...

- Tak, maleńka?

- Zrób coś dla siebie. To Paryż i tyle. Nie musisz dodawać Francji. Każdy wie, gdzie to jest.

Kiedy Sandrine otworzyła drzwi mieszkania, powitała ją ciemność. Przez otwarte drzwi sypialni dostrzegła niebieskie światło telewizora.

- SueBee? Jesteś tam?

Zapaliła stojącą obok kanapy lampę i weszła do sypialni. SueBee siedziała na łóżku, z podciągniętymi kolanami, na których opierała żółty zeszyt w linie. Nos SueBee prawie dotykał zeszytu, w kąciu ust wystawał język. Kreśliła po kartce ogryzkiem ołówka.

Sandrine odepchnęła nogi SueBee i usiadła na łóżku.

- Czy chciałabyś polecieć w piątek do Paryża? - spytała. SueBee zamrugła i wreszcie podniosła wzrok.

- Co?

- Do Paryża, ty i ja. Polecimy dużym srebrnym ptakiem.

- Kurczę - szepnęła SueBee. - Mówisz poważnie? Sandrine sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę.

- Concorde, samolot, którym latają wszystkie gwiazdy filmowe i milionerzy, bo podróż zajmuje tylko trzy godziny. Mamy rezerwację w Ritzu na cały weekend.

- O, mój Boże. Umarłam i poszłam do nieba! Co tu jest grane? Coś ty zrobiła?

- Mam tam wywiad w sprawie pracy, oni opłacili podróż. Barry powiedział, że mogę cię zabrać ze sobą.

- Nie mam w co się ubrać - stwierdziła SueBee. Sandrine zaniósła się od śmiechu.

- Teraz wiem, że doszłaś do siebie, Sue. To najzdrowsza rzecz, jaką powiedziałaś od kilku tygodni.

- Naprawdę, bardzo schudłam. Nic nie będzie na mnie pasować.

- Nie martw się, mam mnóstwo ciuchów. - Sandrine podeszła do szafy i otworzyła ją szeroko. - Wybieraj.

- Czy mogę założyć swoje futro? - spytała SueBee dziecinnym głosem.

- Tak, kochanie, możesz założyć futro. Zadzwoń do nich i powiem, że przyjeżdżamy.

Madame Cleo przeprowadzała wywiady z nowymi dziewczętami przez całą zimę. Rok osiemdziesiąty szósty zapowiadał się pracowicie. Stali klienci zazwyczaj składali zamówienia z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, toteż Cleo nie miała wątpliwości, że będzie potrzebowała co najmniej dwóch czy trzech nieprzeciętnych dziewcząt, co nie znaczy, że którakolwiek z zatrudnionych zasługiwała na miano przeciętnej. Cleo zależało na trzech nadzwyczajnych dziewczynach.

Od lat prowadziła poranne rozmowy w salonie na piętrze.

Dzięki wysokim, wychodzącym na Sekwanę oknom nawet w zimie miał znakomite światło, silne i niekorzystne dla wszystkich poza najpiękniejszymi. Bezlitosny blask ujawniał nawet najdrobniejszą skazę: lekką pulchność wokół szczęk, niedoskonałe udo czy obwisłe piersi.

Salon był na tyle duży, że dziewczyna musiała przejść kilka kroków, pozwalając Cleo ocenić jej postawę, piersi, sposób, w jaki trzymała głowę. Akustyka pozbawionych ozdób ścian i okien bez zasłon pozwalała ocenić timbre głosu, najdrobniejsze niuanse mowy.

To był męczący poranek. Cleo przyjęła i odesłała z kwitkiem pewną Hiszpankę, była modelką, którą zarekomendowała madame Lili; zbyt ciemna dla arabskich klientów, za stara dla Amerykanów, zbyt mało wyrefinowana dla pozostałych.

Przeprowadziła rozmowę ze Szwedką jej obwisłe piersi wymagałyby operacji, którą Cleo sfinansowałaby, gdyby dziewczyna nie wymagała intensywnej konsultacji psychiatrycznej.

- Martin - powiedziała do wewnętrznego telefonu, stojącego na małym biurku w stylu Ludwika XIV. - Kto jeszcze został?

- Przyszły Amerykanki - rozległ się bezcielesny głos asystenta.

- Amerykanki? Wspominałeś tylko o jednej.

- Czy mogę na chwilę wejść, madame?

- Oui, hien entendu - odparła rozłączając się. Wszedłszy do salonu, Martin stanął plecami do drzwi i odgarnął z czoła długi lok włosów koloru ananasa.

Madame, przyszła dziewczyna, z którą rozmawiałem w Nowym Jorku. Nie zgodziła się podróżować bez przyjaciółki.

Cleo przewertowała rozłożone na biurku teczki, podniosła jedną i przyjrzała się zawartości.

- Czy chodzi o Sandrine? - spytała.

- Owszem.

Cleo studiowała pobieżnie informacje.

- Rekomendowana przez Barry'ego Rizzo. Pracowała dla Angel. Studiowała w Hammelburg College. Matka, projektantka mody, Tita Mandraki. Doskonała tancerka. Żadnych narkotyków.

- Mówi po francusku. - Odłożyła teczkę i skinęła głową, stukając w nią końcem zamkniętego pióra Mont Blanc. - Mandraki - powiedziała w zamyśleniu. - Skąd ja znam to nazwisko, Martin?

- Pewnie stąd, że ma pani trzy suknie od Tity Mandraki. Beżową szyfonową, różową...

- Nie, nie, nie o to chodzi - przerwała mu, kręcąc głową. - No, cóż, później o tym pomyślę. Jak wyglądają wyniki badań tej dziewczyny?

- Jestem pewien, że nie ma tu powodu do obaw - stwierdził Martin, opierając się o drzwi.

- To jest zawsze powód do obaw, Martin - oświadczyła Cleo tonem wymówki. - Nie zapominajmy o tej uroczej wykładowczyni z Rhodes, Dianie, która zaraziła połowę dowództwa NATO, zanim ją namierzyliśmy.

- Tak, madame - zgodził się potulnie Martin. Nie zapomniał o Dianie, która kosztowała ich cholerny majątek.

- Mówisz, że przyszła z przyjaciółką? Nie widzę tu już nikogo w planie.

- Och, nie sądzę, żeby jej przyjaciółka przyszła w sprawie pracy, madame.

- Rozumiem, ale jak ona wygląda? Zawsze jestem ciekawa.

- Blondynka o bardzo słodkiej twarzy, z której mogłaby pani zjeść posiłek. Sprawia wrażenie zamożnej, a w każdym razie ma na sobie bardzo drogie futro.

- Hmm, niedobrze, nigdy nie mamy dość amerykańskich blondynek - stwierdziła Cleo. - A może przyjaciółka też zgodziłaby się na rozmowę? - spytała półzartem.

Brakowało jej blondynki, a pewien ważny klient, bogaty Włoch, domagał się jasnowłosych Amerykanek i zaczął się już niecierpliwić.

- Obawiam się, że to wykluczone - zaproponował Martin. - To nie jest pracująca dziewczyna... Mimo to coś się załatwi.

- Co ty knujesz, Martin? - spytała Cleo podejrzliwie.

- Nic takiego. Zajmę się tą sprawą.

- Zgoda. Jeśli zamierza czekać na przyjaciółkę, zaproponuj jej herbatę i dopilnuj, żeby było jej wygodnie.

- Czy mam poprosić Sandrine? - spytał Martin.

- Zrób to, proszę. Czas nagli.

Cleo obserwowała uważnie, jak Sandrine wchodzi do pokoju, przemierza przestrzeń dzielącą ją od stojącego na środku dywanu krzesła z prostym oparciem, po czym siada. Martin miał rację, poruszała się jak tancerka. Bardzo ładna, pomyślała Cleo, ale sprawdźmy, czy ma rozum.

- Bonjour, Sandrine. Czy mówisz po francusku? - spytała z uśmiechem.

- Oui, madame.

- Czy wolisz prowadzić tę rozmowę po francusku czy po angielsku?

- Jak pani sobie życzy, ale zrozumie pani moje odpowiedzi, jeśli nawet będę mówiła po angielsku - odparła słodko.

Cleo spodobała się ta odpowiedź. Dziewczyna była zrównoważona i pewna siebie.

- A zatem, Sandrine, Martin dostarczył mi twoje dość szczegółowe akta - powiedziała po angielsku. - Ocenia cię wysoko, podobnie jak pan Rizzo. W

późniejszym terminie przeprowadzimy z tobą bardziej szczegółową rozmowę, teraz jednak interesuje mnie kilka podstawowych spraw.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Wykonujesz ten rodzaj pracy już od pewnego czasu. Dlaczego chcesz ją kontynuować?

- Podoba mi się to życie. Lubię piękne rzeczy - odparła tonem równie spokojnym, jak jej spojrzenie. - Ten rodzaj pracy zapewnia mi z nimi kontakt. Lubię przygody i nowe doświadczenia, a poza tym, co chyba jeszcze ważniejsze, lubię mężczyzn.

- Tak - powiedziała madame Cleo, stykając dłonie opuszkami palców. - Zdajesz sobie sprawę, że wiele z moich dziewcząt pracując u mnie bardzo korzystnie wyszło za mąż.

- Słyszałam o tym.

- Czy ciebie też interesowałaby taka ewentualność?

- Jaka odpowiedź sprawiłaby pani większą przyjemność: „tak” czy „nie”? - spytała Sandrine z łobuzerskim uśmiechem.

Cleo wybuchnęła śmiechem. Nic dziwnego, że wszyscy rekomendowali tę dziewczynę. Postukała w teczkę Sandrine.

- Nie miałaś kłopotów z policją?

- Nie, nigdy.

- A co ze zdrowiem? Żadnych problemów?

- Nie, przywiązuję do tego dużą wagę.

- Tak, cóż... jak my wszyscy - zauważyła surowo Cleo. - Jakich mężczyzn preferujesz? Sandrine zastanawiała się chwilę, ściągając usta.

- Wytwornych, może nieco starszych. Mężczyzn z normalnymi skłonnościami seksualnymi.

- Jakie skłonności uważasz za nienormalne?

- Takie, które powodują ból. Mój albo mojego partnera.

- W porządku - odparła Cleo, powoli kiwając głową. - Mamy inne kobiety, które świadczą tego typu usługi. Jak byś określiła swoje specjalite?

- Dyspozycyjność - odparła Sandrine bez chwili wahania.

- Czy zechciałabyś to wyjaśnić? - spytała Cleo. Dziewczyna coraz bardziej jej się podobała.

Dotychczas Sandrine siedziała wciąż w tej pozycji, jaką przyjęła na początku rozmowy: kostki i pantofle razem, dłonie złożone lekko na kolanach drogiego kostiumu. Każdy lśniący ciemny włos znajdował się na swoim miejscu. Teraz, poproszona o wyjaśnienie, poruszyła się nieco i założyła nogę na nogę.

- Czuję, że płacą mi za to, żebym sprawiała przyjemność.

- A czy sprawiasz? - spytała Cleo.

- Nikt się nigdy nie skarżył. Och, mam swoją małą sztuczkę. Udoskonaliłam ją i najwyraźniej jest bardzo skuteczna.

Madame Cleo przekrzywiła głowę z zainteresowaniem.

- Cóż to takiego?

- Mogę doprowadzić się do orgazmu na zawołanie.

- To ładnie, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to być szczególnie skuteczne.

- Jest, jeżeli znajduję się w miejscu publicznym, całkowicie ubrana, a mężczyzna sądzi, że to on doprowadził mnie do orgazmu.

- Ach, rozumiem - odparła Cleo. - Rozbierz się, proszę.

Madame Cleo poprosiła ją o to tak nagle z bardzo konkretnych powodów. Była to próba, której poddawała wszystkie kandydatki. Reakcja dziewczyny mówiła Cleo nie

mniej niż jej widok w neglizju. Jeśli dziewczyna wzdragała się lub okazywała opór, madame jej nie angażowała. Ponadto dziewczyna mogła sprytnie wykorzystywać ubranie. Jednak najważniejsza w tej pracy była nagość, dlatego Cleo uważała, że rozsądnie jest prosić o to, o co właśnie poprosiła Sandrine. W ten sposób mogła dokładnie przyjrzeć się postawie kandydatki. Jeśli dziewczyna miała tendencję do garbienia się, robiła to rozebrana. Cleo chciała zobaczyć rozmiary talii, ocenić ułożenie piersi, stwierdzić, czy sutki miały barwę brązową czy różową. Brąz świadczył o tym, że dziewczyna urodziła kiedyś dziecko, a dla Cleo była to ważna informacja. Istotne znaczenie miał wzór włosów łonowych. Niektórzy mężczyźni nie lubili depilacji w stylu bikini, pozostawiającej tylko cienki pasek włosów. Inni klienci domagali się gęstego zarostu. Cleo musiała też zwracać uwagę na przykre dla oka znamiona, blizny, nierówności, owłosienie oraz ślady po igle, które pewne dziewczęta sprytnie skrywały. Madame nie tolerowała żadnej niedoskonałości niemożliwej do usunięcia za pomocą operacji plastycznej.

Sandrine nie sprawiła zawodu.

Wstała, małą pikowaną torebkę położyła na podłodze i zdjęła marynarkę. W ciągu kilku sekund stała naga, z wyjątkiem szpilek, które nasunęła po ściągnięciu pończoch i podwiązek. Bielizna stanowiła kolejną ważną wskazówkę. Cleo nie spotkała w swojej karierze prawdziwej profesjonalistki, która nosiła rajstopy. Cleo wsparła podbródek na dłoni, przyglądając się ciału Sandrine wzrokiem kustosza oceniającego dzieło sztuki.

- Przejdź się, proszę - poprosiła. - Do kominka i z powrotem.

Pewne spacerowanie nago w szpilkach w biały dzień sprawia trudność każdemu z wyjątkiem ekshibicjonistki. Sandrine podeszła do kominka, odwróciła się, uśmiechnęła uroczo i zatrzymała dla efektu. Uniosła ręce, jakby pokazywała drogę na pasie startowym, po czym znowu przeszła przez pokój. Sandrine mogła pracować jako modelka na wiosennych pokazach mody. Nosiła swoją nagość jak elegancką suknię. Miała gładką skórę, wolną od wszelkich skaz zabarwienia czy faktury. Linie bioder wyginały się delikatnie. Między udami widniała kępka w kształcie szerokiego trójkąta, ciemna i lśniąca jak futro norek. Przedstawienie Sandrine było zarówno erotyczne, jak i zrównoważone.

- Sandrine, w twojej teczce przeczytałam, że tańczysz - powiedziała Cleo. Sięgnęła za biurko i włączyła magnetofon. W pokoju rozbrzmiały dźwięki „Everybody Loves to Cha Cha Cha” Sama Cooke'a. - Zatańcz to - poleciła Cleo, wyciągając otwartą dłoń, jakby podawała propozycję na tacy.

Sandrine odrzuciła głowę i zawirowała. Przez kilka chwil tańczyła po pokoju świadoma tylko własnego piękna i muzyki. Po wyrazie twarzy dziewczyny Cleo poznała, że Sandrine uwielbia być obserwowana. Jeszcze bardziej ujmujący był jej bezgraniczny zachwyt własną doskonałością.

Wiele dziewcząt, z którymi robiła wywiady i z którymi pracowała, nienawidziło własnych ciał. Uważały je za coś zbrukanego, ponieważ często miały niedobre doświadczenia we wczesnym okresie życia. Cleo zdawała sobie sprawę z faktu, że wiele dziewcząt wybierało tę profesję w celu masochistycznego kontynuowania tego procesu. Był to jeden ze smutnych aspektów zawodu, ale Cleo się nad nim nie

rozwodziła. Nie wyzyskiwała swoich dziewcząt. Oferowała im niebagatelne wynagrodzenie finansowe oraz luksusowy styl życia. Wybór należał do nich. Na widok Sandrine rozśpiewało jej się serce.

Była kwintesencją dziewczyny Cleo: inteligentną, młodzieńczo świeżą i otwarcie seksualną.

Już teraz madame układała w myślach listę klientów, którzy zaczną zabiegać o Sandrine, najnowszą dziewczynę Cleo.

Nachyliła się i dwukrotnie nacisnęła guzik, dając Martinowi znak, żeby wszedł do pokoju. Kiedy drzwi się otworzyły i wszedł, bacznie przyglądała się reakcji Sandrine. Dziewczyny często mimowolnie zasłaniały krocze na widok Martina. Niekiedy biegły z powrotem do miejsca, gdzie zostawiły ubranie i chwyciły spódnicę czy bluzkę, żeby się okryć.

Na odgłos otwieranych drzwi Sandrine okręciła się o pół obrotu i stanęła twarzą do Martina, prawą dłonią zakrywając pierś, wysuwając w wyroku nogę zgiętą w kolanie na modłę modelek. Powieki opuściła w wyrazie prowokacji.

- Marveilleuse! - westchnął omdlewająco Martin. Madame Cleo wstała.

- Ubierz się, proszę, kochanie - poprosiła Sandrine, po czym zwróciła się do Martina:

- Dobrze się spisałeś, Martin. Ta dziewczyna mi się podoba.

- Czy nie mówiłem? - spytał podniecony.

- Tak, cóż, mamy jeszcze trochę spraw - powiedziała. - Martin, daj Sandrine nasz pakiet informacyjny.

Martin wyszedł bezgłośnie z pokoju, a Sandrine pozbierała rozrzucone części garderoby i ubierała się dalej.

- Czy masz dziś wolny wieczór, moja droga? Odpowiedź Sandrine była nieco przytłumiona, ponieważ właśnie zakładała spódnicę przez głowę.

- Tak, oczywiście, ale jestem z przyjaciółką. Dlaczego pani pyta?

- Lubimy zapoznawać nowe dziewczęta z przyjaciółmi domu, żeby tak rzec - powiedziała madame Cleo obchodząc biurko. - Może twoja przyjaciółka zechciałaby towarzyszyć Martinowi podczas kolacji. Przyszędłby po was do hotelu o ósmej.

- To byłoby miłe - odparła Sandrine, już ubrana. Założyła na ramię łańcuszkowe ramiączko torebki i wyciągnęła rękę. - Dziękuję, że mnie pani przyjęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Sandrine. Myślę, że świetnie będzie się nam pracować - odparła madame Cleo, przytrzymując jej dłoń o sekundę czy dwie dłużej, niż to było konieczne.

Cleo patrzyła z okna, jak obie kobiety wyszły z domu i zmierzały w stronę Petit-Pont. Dziewczyna, którą właśnie zatrudniła, była urocza. Jej drobna, jasnowłosa przyjaciółka podobnie, a może nawet jeszcze bardziej.

Sprawdziła w kalendarzyku, z kim jadła tego dnia lunch, potem poszła do małego, sąsiadującego z salonem foyer, gdzie pracował Martin.

- Martin, kochanie - powiedziała stając przy jego biurku. - Czy możesz zadzwonić do restauracji i uprzedzić, że się spóźnię?

- Oczywiście.

- Potem zadzwoń do pana Aylera w Meurice i powiadom go, że mamy dla niego na wieczór piękną nową dziewczynę. Zabierz też tę blondynkę. Chcę otrzymać pełne sprawozdanie.

- Wyprzedzam panią o kilka długości - odparł Martin ze znaczącym uśmiechem. - Już poprosiłem blondynkę, żeby nam towarzyszyła.

- Martin, ty szczywany lisie, wiem, co knujesz.

- Czy aprobuje to pani? Madame Cleo wzruszyła ramionami.

- Warto spróbować - stwierdziła.

- Nie sądzi pani, że ta nowa dziewczyna będzie rewelacyjna?

- Myślę, że przypadnie do gustu panu Aylerowi.

- Och, z całą pewnością - potwierdził z zachwytem Martin. - Wiem, jak uwielbia ujarzmić nowe.

Tego wieczoru wniebowzięty Jack Ayler przemierzył zdecydowanym krokiem hol hotelu Meurice. Samo przebywanie w Paryżu łądowało energią jego libido, przywołując na myśl wspomnienia o tych dawnych, upajających dniach podczas wojny, kiedy po raz pierwszy odkrył mały domek miłości madame Cleo. W tamtych czasach prowadziła działalność na znacznie mniejszą skalę, w hotelu przy ulicy St.-Denis. Była bardzo młoda, młodsza niż niektóre dziewczęta. Dopilnowała, by przestraszony, samotny amerykański porucznik policji wojskowej dostał lekcję miłości, która na resztę życia określiłaby jego gust w kwestii kobiet.

Jednym z najbardziej trwałych aspektów życia Aylera były kontakty, jakie utrzymywał z madame Cleo. Przez lata wydał na jej dziewczęta setki tysięcy dolarów i nie żałował ani centa.

Cieszył się szczególnie względami, do jakich upoważniała go wieloletnia przyjaźń z madame Cleo. Lepszy niż sezonowy bilet na mecze Lakersów, bardziej podniecający niż łoża nad linią pięćdziesięciu jardów w rozgrywkach Super Bowl był przywilej „wypróbowywania” nowej dziewczyny Cleo.

Zbliżywszy się do znajdującego się w kącie zdobionego holu wejścia do małego baru zwolnił kroku i pozdrowił skinieniem głowy rozbawioną parę - senatora Kenta Mendenhalla i wystrzałową rudowłosą. Stali tuż za progiem, czekając na stolik. Pewny siebie i swoich przywilejów w tym ekskluzywnym hotelu, minął senatora i jego towarzyszkę, po czym zlustrował salę wzrokiem, gładząc dłonią srebrny krawat. Szef kelnerów pospieszył do niego, kiedy tylko go zobaczył.

- Bonsoir, monsieur Ayler - powitał go. - Pański stolik jest gotowy, sir.

Jack skinął głową i pozwolił się zaprowadzić do jedyne go wolnego stolika w sali. Jego stolika.

Hotel Meurice, trzygwiazdkowy bastion cichej elegancji i nadzwyczajnej obsługi, był drugim domem Aylera. Ze względów sentymentalnych zawsze rezerwował apartament tysiąc sto osiem, z oknami wychodzącymi na Tuileries. W tych właśnie eleganckich pokojach mieściło się podczas nazistowskiej okupacji Francji biuro generała Cholitza. Apartament nieodmiennie przypominał Jackowi Aylerowi, jak długą drogę przebył.

Wieczorne wypady w miasto zawsze zaczynał od swego prywatnego przyczółka w kącie baru hotelu Meurice. Lubił stonowany przepych sali. Jasne eleganckie ściany i

oświetlenie bardziej zdecydowane niż w większości eleganckich lokali w Paryżu tworzyły atmosferę sprzyjającą raczej interesom niż flirtom. Koktajl wypity w tym barze pod koniec pracowitego dnia pozwalał Aylerowi rozluźnić się i zregenerować siły przed zanurzeniem się w morzu pokus, które Paryż chował w zanadrzu nawet dla tak zblazowanych jak on.

Zawsze kiedy czekał na nową dziewczynę Cleo, zajmował strategiczną pozycję z widokiem na salę, skąd mógł obserwować zachowanie dziewczyny przechodzącej przez hol.

Nie proszony kelner nakrył niski stolik serwetą na której postawił przed Jackiem wysoką szklankę Johnnie Walkera (czarna etykieta) z wodą sodową.

- Co tym razem sprowadza pana do Paryża, panie Ayler? - spytał kelner.

- Kolejna konferencja, Georges - odparł Jack, poprawiając doskonale ułożony węzeł krawata. - Po nudnym dniu trzeba spędzić noc w waszym mieście.

Kelner uśmiechnął się, zrobił dwa małe kroki w tył, po czym wrócił do pracy.

Jack napił się szkockiej i z radością zamknął oczy. W takie wieczory zbierał samą śmietankę. Mógłby się obejść bez obecności Martina, brytyjskiego totumfackiego, sekretarza i łowcy talentów Cleo, ale madame była nieprzejednana. Kiedy w grę wchodziły nowe dziewczęta, Martin dokonywał oceny części znajdującej się nad stołem. Ekspertyza Jacka dotyczyła części pod stołem.

- Jack?

Ayler otworzył oczy i ujrzał stojącego nad nim Martina. Włosy miał ściągnięte do tyłu w swój zwykły kucyk, podkreślający kanciastą twarz i wysokie kości policzkowe. Na ten wieczór założył beżowy garnitur od Armaniego oraz zapiętą pod szyję beżową koszulę tej samej firmy. Beżowe lakierki szczyły się mosiężnymi noskami i podwyższonymi obcasami.

- Och, Martin! - wykrzyknął zaskoczony Jack. - Wybacz, trochę odpoczywałem. -

Wstał i powitał Martina obiema rękami gestem silnego człowieka, ściskając prawą dłoń i łokieć młodszego mężczyzny.

Przemówiwszy w ten sposób męskim językiem ciała, Jack zerknął Martinowi przez ramię.

- Czy przypadkiem czegoś nie brakuje? - spytał z szerokim uśmiechem.

Martin schylił się, ujął palcami spodnie w kolanach, uniósł nogawki i usiadł obok Jacka.

- Dziewczęta są chwilowo w toalecie. Wiesz, jakie one są - dodał i mrugnął.

Jack pstryknął palcami na kelnera, po czym zwrócił się do Martina:

- Dziewczęta? To nadzwyczajne, wspominałeś o...

- Poproszę szampana - powiedział Martin do gorliwego kelnera, który na pstryknięcie Jacka obrócił się na środku sali jak pociągnięty za niewidzialny sznurek. Martin ściszył głos: - Słuchaj, twoją damą będzie brunetka. Blondynka to tylko une amie de la maison. Madame Cleo uznała, że będzie miło, jeśli zjemy kolację we czwórkę. Nowa dziewczyna poczuje się dzięki temu swobodniej.

- Jestem zachwycony - powiedział Jack, chociaż wcale nie czuł się zachwycony.

Wolał znajdować się w centrum uwagi, a towarzystwo czterech osób na to nie

pozwalają. - Opowiedz mi o tej nowej dziewczynie. - Poprawił się na krześle i nachylił do Martina, chłonąc każde jego słowo.

- Jest nadzwyczajna. Pozwól, że ujmę to tak: dziś po południu dane mi było obejrzeć całość, rozumiesz, co mam na myśli.

Jack uśmiechnął się promiennie.

- Czy jest Francuzką? Nie twierdzę, że ma to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie, tak się składa, że jest Amerykanką. Niezwykle wytworna, ciemne włosy, doskonale pochodzenie. Po prostu urocza. Nie doznasz zawodu.

Kelner postawił przed Martinem kieliszek szampana i talerz kanapek.

Jack podniósł szklankę.

- Twoje zdrowie, Martin, przyjacielu - powiedział wylewnie. Gdyby upuszczona przez Jacka szklanka nie uderzyła w krawędź talerza z kanapkami, spustoszenie byłoby mniejsze, a jasne spodnie Martina nie ucierpiałyby aż w takim stopniu. Jednak w wyniku uderzenia alkohol i lód chlusnęły szeroką strugą pełną anchois, tymbalików nadziewanych truflami i grzanek z wędzonym łososiem.

W barze zapanowała cisza, trwająca jedno uderzenie serca.

Dwaj kelnerzy i barman rzucili się na pomoc, przy małym stoliku zrobił się stanowczo nadmierny tłok.

- Merde! - Dał się słyszeć czyjś syk.

Jack upuścił szklankę na widok dwóch modnie ubranych, szczupłych, młodych kobiet, które stanęły w wejściu do baru. Najpierw zobaczył Sandrine, ale to na widok SueBee ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Dziewczyny patrzyły na rozgrywającą się w barze gorączkową scenę. Jeden z kelnerów nasącał czystą ściereczkę wodą sodową, by zmyć plamy ze spodni Martina, a barman uwijał się przy krawacie Jacka.

W ciągu zastygłej, surrealnej chwili Jack, Sandrine i SueBee przyglądali się sobie z niedowierzaniem. SueBee poruszyła się pierwsza, niemal niedostrzegalnie. Stała kilka kroków za Sandrine, z oczami przykutymi do Jacka. Powoli pokręciła głową i wyszeptała:

- Nic... nie... mów...

Jack, całkowicie wytracony z równowagi, opuścił wzrok i spostrzegł, że wysiłki barmana powiększają tylko ciemną plamę na srebrnym jedwabnym krawacie.

Kelnerowi borykającemu się ze spodniami Martina powodziło się jeszcze gorzej.

Jack niecierpliwie odepchnął rękę barmana.

- Chodźmy do mnie - rzucił. - Chłopiec hotelowy na moim piętrze lepiej się tym zajmie. - Chwycił Martina za ramię i pociągnął go do wyjścia.

- Wybaczcie, drogie panie, zaraz wrócimy - zawołał Martin przez ramię. - Zamówcie coś. Strasznie przepraszam.

Sandrine i SueBee odprowadzały mężczyzn w osłupiałym milczeniu. Zakłopotani kelnerzy kręcili się w pobliżu, nie wiedząc, co począć. W końcu ten, który wycierał spodnie Martina, wskazał na ławę.

- Proszę, czy mogę paniom podać coś do picia? Jestem pewien, że pan Ayler za moment wróci.

SueBee zdążyła odzyskać równowagę ducha.

- Tak, dziękuję - odparła, po czym spytała Sandrine: -Szampana?

Sandrine skinęła głową bez słowa i usiadła. Ujęła SueBee za rękę i pociągnęła do siebie.

- To okropne, SueBee - szepnęła.

- Co powinniśmy zrobić? - spytała SueBee patrząc w przestrzeń.

- Chcesz wyjść?

- Nie - odparła zdecydowanie SueBee. - A ty?

- Nie wiem, co mam zrobić - wyznała Sandrine, kręcąc głową. - Gardzę tym człowiekiem. Jak mam iść z nim do łóżka po tym, co ci zrobił? Dostaję gęsiej skórki. SueBee spojrzała na przyjaciółkę.

- On nie jest taki zły - zaprotestowała.

Przyjaciółki podniosły wzrok na kelnera stawiającego przed nimi kieliszki i odczekały, aż odejdzie.

- Przepraszam, SueBee, nie chciałam, żeby to tak wyszło. Po prostu... och, sama nie wiem. Nie chcę tego robić.

SueBee rozchyliła usta, potem zamknęła je i wykrzywiła twarz w grymasie.

- Co się stało?

SueBee zastanawiała się przez chwilę w milczeniu, a potem oświadczyła:

- Musisz to zrobić, Sandy.

- Dlaczego muszę? - spytała Sandrine, pociągnęła łyk szampana i przełknęła z trudem. - Gdybym wyjaśniła sytuację madame Cleo, jestem pewna, że...

- Słuchaj - przerwała jej ostro SueBee. - Przed odlotem z Nowego Jorku słyszałam od ciebie, jaka to wspaniała okazja pracować dla madame Cleo, o tym, że to idealny sposób na zarobienie furi pieniędzy, dostanie się do wyższych sfer, poznanie najbogatszych mężczyzn. Teraz spotykasz pierwszego i chcesz zrezygnować.

- Ależ, SueBee. Nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie przyszło mi na myśl, że jednym z tych mężczyzn może być Jack Ayler. - Sandrine wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

- Przestań, Sandy - rozzłościła się SueBee. - Jack jest uroczy w łóżku, zaufaj mi. Zresztą i tak go już nie kocham, skończone.

Wiem, że urwałam się z choinki, ale nie upadłam na głowę, a intuicja mówi mi, że zgłaszając się do tej pracy pozbawiłaś się praw do wybrzydzenia. Gdybyś była chirurgiem i przyniesliby ci twojego najgorszego wroga, czy nadęłabyś się i oświadczyła, że nie podejmiesz się tej pracy?

Sandrine wpatrywała się w przyjaciółkę oniemiała. Mrugnęła raz, potem drugi, jakby dopiero docierał do niej ten długi, jak na SueBee, wykład. Potem zaczęła się śmiać.

- No, muszę przyznać, że to ciekawy punkt widzenia.

- To jedyny punkt widzenia - oświadczyła SueBee tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Moja mała SueBee, niesłychany z ciebie numer.

- Dziękuję - odparła SueBee z lekkim skinieniem głowy. -Tak mi się wydaje.

- I rzeczywiście nie sprawia ci to żadnej różnicy? Mam na myśli Jacka?

- Najdrobniejszej, Sandrine, więc przestań używać tego jako wymówki.

- Masz rację, masz rację. - Sandrine machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. - Wiem, że masz rację, a mimo to trudno mi będzie udawać, że cała historia sprawia mi frajdę.

- Wcale nie. Przypomnij sobie tylko, dlaczego w ogóle przyjęłaś tę pracę.

- Co masz na myśli? - spytała zdumiona Sandrine. SueBee przysunęła się bliżej brzegu ławy i splotła ręce na stoliku.

- Oprah zaprosiła kiedyś psychoanalitka, który stwierdził, że nikt w rzeczywistości nie robi nic, na co nie ma ochoty.

- SueBee - jęknęła Sandrine. - Czy mogłabyś nie oglądać programu Donahue?

- Nie oglądałam. Ten psychoanalityk występował w programie Opry. Pomyśl tylko. Kiedy się kochasz, musi to wywierać na ciebie jakiś wpływ, bo w przeciwnym razie nie robiłabyś tego, a już z pewnością nie traktowałabyś seksu zawodowo. Z jakichś powodów robisz to, co robisz. - SueBee oparła się, coraz bardziej się zapalając. - Jak się czujesz, gdy idziesz z kimś do łóżka dla pieniędzy? Czy czujesz, że robisz coś, na co nie masz ochoty?

- Właściwie nie - odparła Sandrine po chwili namysłu. -W zasadzie czuję się dobrze. To mi daje, och, sama nie wiem, poczucie władzy, kontroli. Czuję się podobnie jak podczas tańca na parkiecie, kiedy światła są skierowane na mnie, wszyscy myślą o tym, jaka jestem piękna, pragną mnie. To podniecające. Jestem nakręcona, bo ich nakręcam. To jak spektakl.

- Czy myślisz o tym facecie, no, wiesz, kiedy to robisz?

- Szczerze? Nie. Obchodzi mnie tylko to, co on o mnie myśli. To jakby patrzył, jak tańczę.

- Świetnie! - wykrzyknęła SueBee, klaszcząc w dłonie. -Tylko na tym musisz się koncentrować. To pewna forma narcyzmu. Kochasz samą siebie, a co może być w tym złego?

- Narcyzm! Mój Boże, siostró, nawet nie spytam, gdzie się nauczyłaś tego słowa.

- Poczekaj chwilę - powiedziała SueBee i z przebiegłym uśmiechem sięgnęła do pikowanej torebki Chanel. - Nie nauczyłam się wszystkiego z programu Ophry. - Poszperała w torebce, wyjęła rulonik miętowych pastylek i wręczyła Sandrine. - Masz, weź to.

Sandrine wpatrywała się w rulonik cukierków.

- Dropsy do szampana? - spytała, marszcząc nos.

- Są na później. Włóż go sobie do ust na kilka minut, a potem wyjmij, tuż zanim zabierzesz się za Jacka. Doprowadzisz go do szaleństwa.

Sandrine rozdziawiła szeroko usta.

- SueBee Slyde, ty niegrzeczna dziewczynko! Siedzę w branży od lat, jakim cudem nie znam tej sztuczki? Nie, lepiej powiedz mi, skąd ty ją znasz.

- Zaki mnie nauczył - odparła SueBee spuszcżając oczy.

Jack nie mógł uwierzyć, że wieczór, który rozpoczął się całkowitą katastrofą, mógł wypaść tak wspaniale. Kiedy obaj mężczyźni (spodnie Martina przywrócono do porządku za pomocą suszarki do włosów) wrócili do baru, dziewczętom szumiało już w głowach od szampana.

Jack zdziwił się nieco, kiedy SueBee i Martin wyszli po trzeciej kolejce, ale w tym czasie był już tak odurzony Sandrine, że z radością został z nią sam na sam. W niczym nie przypominała wampa, którego spotkał w nowojorskim mieszkaniu SueBee. Przeciwnie, wydała mu się absolutnie czarująca. Nie chodziło tylko o kontrast między nie umalowaną dziewczyną w szlafroku a oszałamiającą kobietą w kostiumie od Chanel. Było coś w jej postawie, w delikatności ruchów dłoni, w sposobie, w jaki na niego patrzyła i słuchała. Okazywała autentyczne zainteresowanie tym, co mówił przez cały wieczór. Jej uwaga upajała Jacka w nie mniejszym stopniu niż szkocka, wyborne Bordeaux pite do kolacji i brandy na deser. Mówił za dużo, ale nie mógł przestać. Sandrine spijała słowa z jego ust.

Spojrzenia aprobaty, jakie posyłali mu kelnerzy podczas kolacji, oraz uśmiechy podziwu na twarzach członków prywatnego klubu w hotelu Ritz, dokąd poszli na drinka po kolacji, potwierdziły wysokie mniemanie, jakie Ayler wyrobił sobie o dziewczynie. Nawet szwajcar i windziarz uśmiechnęli się znacząco, gdy Jack i Sandrine wrócili do Meurice ramię w ramię.

Kiedy trzymając się za ręce jechali do jego apartamentu, Ayler zaczął układać w zamroczonym umyśle entuzjastyczne sprawozdanie, jakie zamierzał wręczyć nazajutrz madame Cleo.

Przy nadarzającej się okazji zapytał o SueBee, tak nonszalancko jak tylko umiał, ale Sandrine z wdziękiem odmówiła rozmowy na temat przyjaciółki. Aylerowi spodobało się to. Dziewczyna była nie tylko piękna, ale także lojalna i dyskretna.

Dopiero gdy leżąc na wielkim łóżku poczuł na końcu członka charakterystyczne mrowienie, znowu, na krótką chwilę, przypomniała mu się SueBee.

Sandrine prawie udało się położyć do łóżka, nie budząc SueBee, ale kiedy tylko klepnęła poduszkę, usłyszała, jak przyjaciółka poruszyła się w sąsiednim łóżku.

- Sandrine? - odezwała się rześko. - Hej, dziecinko.

- Mhmmm - wymamrotała Sandrine, przykrywając się kołdrą.

- Proszę, nie zasypiaj. Musimy porozmawiać.

Sandrine spodziewała się tego. Biedna SueBee, pomyślała z poczuciem winy. Jest tu pewnie już od wielu godzin, znudzona i samotna, ale Sandrine była wyczerpana.

- Później, Sue - jęknęła. - Na oczy nie widzę.

- Sandy, naprawdę musimy porozmawiać teraz. Myślę o tym od kilku godzin.

Sandrine poddała się i zapaliła lampkę nocną.

- Dobra - sieknęła, mrużąc oczy w jasnym świetle. - Bardzo krótkie zdania, zgoda?

SueBee opuściła gołe nogi z łóżka i oparła pięty o framugę pod materacem. Oplotła kolana rękami. Jedno ramiączko cienkiej niebieskiej koszuli nocnej zsunęło jej się z ramienia.

Sandrine wsparła się na łokciu i uśmiechnęła do przyjaciółki. SueBee zmyła ze swojej słodkiej twarzy cały makijaż, a zmierzwione jasne włosy kręciły się bujnie jak u Shirley Temple. W oczach przyjaciółki Sandrine dostrzegła nieznany błysk podniecenia.

- Jak poszło? - spytała SueBee.

- Hej? - Sandrine celowo uchylila się od odpowiedzi.

- No, wiesz.

- Właściwie było dobrze - odparła, wiedząc, że nie da się uniknąć tego tematu. - Poszliśmy do superekskluzywnej restauracji. Wydawało mi się, że przy stoliku z tyłu widziałam Alaina Delona. Jack był bardzo miły i...
- Dobra, dobra - przerwała jej SueBee. - Jak poszło w łóżku?
- Cóż, seks z nim to była błażostka. Ciężką pracą jest słuchanie facetów, udawanie, że otwierają przed tobą niebo, że ich każdy cholerny oddech jest bajeczny, interesujący i wyjątkowy. Na przykład ta restauracja, do której poszliśmy, La Seine czy coś takiego. Jeśli kiedyś ktoś cię tam zaprosi, możesz się z nim założyć, że na suficie sali od strony ulicy są dokładnie czterysta czterdzieści trzy niebieskie kafelki.
- Skąd ty to wiesz? - spytała ze śmiechem SueBee.
- Bo policzyłam je co do jednego, patrząc mu przez ramię, podczas gdy on opowiadał, w jakże licznych słowach, jaki jest mądry i fantastyczny. Miał krawat od Countess Mara! Boże, miej go w swojej opiece, Countess Mara! Ma takie małe wirki, które zaczynają się obracać w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, jeśli opuścisz wzrok i będziesz się im przyglądać dostatecznie długo.
- Nudziłaś się - stwierdziła krótko SueBee.
- Trafiałaś.
- Ale było w porządku. Żadnego grymaszenia?
- Prawa do wybrzydzenia, prawa do grymaszenia - jak słusznie powiedziałaś, to już przeszłość. Nie było inaczej niż w Nowym Jorku, tyle że lepsze pieniądze. Przykro mi, że czekałaś przez całą noc, żeby usłyszeć tak nudne nowiny. SueBee położyła się i przykryła.
- Ale ja właśnie to chciałam usłyszeć. Bo, widzisz, tak sobie myślałam. Czy mogłabyś... czy zrobiłabyś... coś dla mnie?
- Jasne. Co takiego?
- Tylko się nie śmieję, mówię poważnie.
- Dobra.
- Czy przekazałabyś coś ode mnie madame Cleo? Sandrine zmarszczyła brwi.
- Madame Cleo? No, chyba tak - odparła, zastanawiając się, co przyszło do głowy SueBee siedzącej samotnie w paryskim pokoju hotelowym. - Co wymyśliłaś?
- Chcę dla niej pracować - oznajmiła z uśmiechem SueBee. Sandrine poderwała się z łóżka.
- Co takiego?
- Chcę zostać dziewczyną Cleo.
- Poczekaj, poczekaj - mówiła Sandrine kręcąc głową. - Nie wierzę własnym uszom. SueBee naciągnęła krótką koszulkę nocną na kolana gestem pełnym wojowniczości.
- Nie musisz okazywać takiego zaskoczenia. Skoro ty możesz to robić, to czemu nie ja?
- O, Jezu - westchnęła ciężko Sandrine. - Tylko nie ty, Su. Zaslugujesz na inne życie.
- Inne? Na przykład jakie? - spytała gniewnie SueBee. - Ja też muszę zarabiać na pieprzone życie.
- Nie przeklinaj, SueBee.
- Dlaczego nie, do cholery?

- Bo... bo... - Sandrine szukała powodu, nie mając pewności, dlaczego tak bardzo poczuła się dotknięta pomysłem SueBee. -Przeklinanie nie przystoi damom, podobnie jak puszczanie się za pieniądze.

SueBee zerwała się na równe nogi i podbiegła do łóżka Sandrine.

- Skąd te muchy w nosie, panno Park Avenue? - wrzasnęła z twarzą czerwoną jak burak. - Nie jestem twoją własnością. Jesteś wspaniałą przyjaciółką, ale nie wyjeżdżaj mi z bajkami o „damach”. Może tego się wymaga od ciebie, ale to nie znaczy, że dotyczy także mnie. Wbito mi do głowy, że mam zarabiać na życie. Ty będziesz robić to, co robisz, dopóki nie pojawi się ktoś dostatecznie bogaty, by go capnąć. A co ze mną? Co zrobię sama w Nowym Jorku? Nie mam pracy, szmalu, kawałka kąta.

- SueBee, twoje słownictwo jest oburzające. Uspokój się i mów jak należy. Jeżeli masz chociaż blade pojęcie o pracy dla madame Cleo, to wiesz, że jej dziewczyny mają być... no, wiesz.

- Co wiem? - warknęła SueBee. - Powiedz to, dalej, powiedz. Sandrine milczała. Nie chciała odpowiedzieć, ponieważ musiałyby zranić przyjaciółkę.

- Muszą mieć klasę, tak? - powiedziała jej SueBee. - Muszą mieć styl, być gładkie jak tyłek niemowlęcia. Tak jak ty, co? Nie masz odwagi, żeby powiedzieć, że jestem zbyt pospolita.

- SueBee, przestań... SueBee uniosła rękę.

- Słuchaj, wiem, kim jestem. Proszą wieśniaczką, ciemnotą. Dopóki cię nie spotkałam, nie umiałam czytać. Nie potrafię elegancko jeść. Nie wydobyłabym mięsa z homara nawet za pomocą karabinu maszynowego i, na Boga, do dziś nie wiem, czy entree podaje się przed głównym daniem czy po, ale Sandy... - Urwała i uklękła w nogach łóżka Sandrine. - Z całą pewnością potrafię zadowolić mężczyznę. Umieję słuchać, umieję się śmiać z nieśmiesznych dowcipów i jak dwa i dwa jest cztery, umieję się pieprzyć.

Sandrine wzięła głęboki wdech.

- Nie chodzi tylko o... to, SueBee. Nie twierdzę, że nie mogłabyś pracować dla madame Cleo. Twierdzę, że nie byłabyś z tym szczęśliwa.

- Mylisz się! - odpaliła SueBee. - To ty nie byłabyś szczęśliwa, gdybym to robiła. Jesteś zazdrosna. Poza tym, jak można tego nie lubić? Dobre restauracje, cudowne podróże, piękne stroje. Mężczyźni, którzy zabierają cię do drogich hoteli i chędożą w czystej pościeli. Madame Cleo nie świadczy usług klientom, którzy rzną cię w bramach albo tłuką. Sama mi mówiłaś, że to dżentelmeni, którzy praktycznie zakochują się w tobie tylko dlatego, że jesteś dziewczyną Cleo.

- SueBee, nie krzycz. Obudzisz cały hotel.

- Cóż, przepraszam - krzyknęła jeszcze głośniejsze SueBee. -Łatwo ci wyznaczać dla mnie reguły. Miałaś lokajów, którzy stali za twoim krzesłem, i niańkę, która szykowała ci ubrania. Założę się, że kiedy pierwszy raz przespałaś się z facetem, zrobiłaś to z własnego wyboru. Ja nie, moja panno. Miastowy obleś wdarł się do mojego pokoju i próbował mi wepchnąć interes w usta.

Sandrine siedziała na krawędzi łóżka, poznając na nowo swoją łagodną przyjaciółkę. Dziewczynę, która potrafiła cierpliwie czekać godzinami, aż stary szejk się wysra.

Dziewczynę, która nigdy w trakcie ich znajomości nie powiedziała o nikim złego słowa. Sandrine uśmiechnęła się do SueBee, widząc ją nagle w zupełnie nowym świetle. Jak bardzo jej nie doceniała!

- Naprawdę chcesz pracować dla madame Cleo?

- Bardziej niż czegokolwiek - odparła szczerze SueBee. -Martin powiedział mi podczas kolacji, że madame lubi, kiedy każda z dziewcząt ma jakąś specjalność. Nie odkryłam twojej. Masz po prostu takie ciało, że samochody wjeżdżają na krawężnik, i potrafisz słodko gadać. Jednak z pewnością wiem, jaka jest moja specjalność. Sandrine rozbudziła się już całkowicie i słuchała zaintrygowana. Według niej specjalność SueBee polegała na byciu najśłodsza, najbardziej autentyczną dziewczyną pod słońcem.

- Jaka jest twoja specjalność? - spytała.

- Potrafię robić lewatywę - odparła SueBee najzupełniej poważnie.

Sandrine rzuciła się na poduszki, zanosząc się od śmiechu.

- Naprawdę, Sandrine - ciągnęła niezrażona SueBee. -Umiem udzielać pierwszej pomocy i robić dożylnie zastrzyki. Umiem przecinać czyraki, nastawiać złamane nogi, a jeśli ktoś ma wadę serca, potrafię rozpoznać wstrzymanie pracy serca z pięciominutowym wyprzedzeniem. Nie musisz być damą, żeby uratować komuś życie metodą usta-usta.

Sandrine słuchała tyrady przyjaciółki z zafascynowaniem. SueBee przytaczała przekonujące argumenty.

- Wiesz, co jeszcze powiedział mi Martin? Powiedział, że madame Cleo ma gdzieś w Anglii szkołę dla dziewczyn, które mają, no wiesz, kłopoty. - SueBee odwróciła wzrok z zażenowaniem.

- SueBee, nie wiem, co mam zrobić.

- Powiedz, że się zgadzasz, powiedz, że spytasz madame Cleo, czy mnie przyjmie. Powiedz jej, że gdzieś musi być jakiś bogaty inwalida, który potrzebuje trochę czułości.

- Albo żeby mu zrobić laskę buzią odświeżoną dropsami?

- Właśnie - odparła SueBee z szerokim uśmiechem. - Nie powiesz mi, że facet na wyciągu nie zapłaciłby słono za zrobienie mu laski w ten sposób.

Sandrine odrzuciła głowę i zawyla.

- Och, SueBee, kto mógł przypuszczać, że jesteś taka ambitna?

- Wiedzieć, czego się chce, to nie ambicja, Sandy - odparła SueBee, a uśmiech zniknął z jej twarzy. - Zawsze czułam, że życie nie powinno być nudne i jałowe.

Powinno być ekscytujące i pełne niespodzianek. Ale trzeba mu pomóc, trzeba podjąć ryzyko.

- I to właśnie myślisz o pracy dla madame Cleo.

- Dokładnie. Ona jest moim biletem do czegoś lepszego.

Wiedziała, że to coś na mnie czeka, gdy wskoczyłam do tego helikoptera. Nie uciekałam przed czymś, ale goniłam za czymś.

- Ale, kochanie, kiedy wsiadłaś do tego helikoptera, wiedziałaś, że będziesz mieć do czynienia z jednym mężczyzną. Praca dla Cleo oznaczałaby wielu.

- Wielu mężczyzn to wiele okazji. Posłuchaj... - SueBee odepchnęła kolana Sandrine, żeby usiąść bliżej. - Mój tata był zagorzałym karciarzem. Zawsze mi powtarzał, że nie możesz grać, jeśli nie siedzisz przy stole, i musisz wejść do gry, jeśli chcesz wygrać. Mnie zależy tylko na miejscu przy stole. Rozdaj mi karty, a ja zastanowię się, jak je rozegrać.

Sandrine zastanowiła się przez chwilę.

- A co się stanie, jeśli pewnego dnia się zakochasz, a on się dowie, że byłaś dziwką?

- To samo, co mówią w programie Ophry, kiedy pojawia się była prostytutka - odparła SueBee, przyciskając palec wskazujący do policzka i przekrzywiając głowę. - „Byłam młoda i potrzebowałam tych pieniędzy”. To zawsze działa.

Czemu nie? - pomyślała Sandrine z uśmiechem. Może SueBee nie miała największej ogłady, ale była strasznie słodka i potrafiła się o siebie zatroszczyć. Jeśli nie będzie się dalej zakochiwać, da sobie radę.

- Zgoda, Su, zgoda. Dzisiaj z nią pomówię. Po południu mam odbyć długą „biograficzną” rozmowę. Wtedy z nią porozmawiam.

SueBee pisnęła, klasnęła w dłonie i zeskoczyła z łóżka.

- Do jasnej cholery, nigdy nie zdołam ci się za to odwdzięczyć, Sandy.

- Jest tylko jedna rzecz, SueBee.

- Co?

- Zdajesz sobie sprawę, kto wypróbowała czasem nowe dziewczyny madame Cleo? - spytała Sandrine z nieco kwaśnym uśmiechem.

SueBee zastanawiała się przez chwilę, a kiedy sens słów Sandrine do niej dotarł, padła na łóżko i przeturlała się na plecy.

- Świetnie! - pisnęła radośnie. - Może Jack Ayler będzie moim pierwszym przypadkiem zawału.

Sandrine obudziła się i spojrzała na zegar. Spała zaledwie trzy godziny, a mimo to czuła się w pełni wypoczęta. Przypisywała to zakłóceniom związanym ze zmianą czasu, paryskim podnieceniem i pierwszą nocą pracy dla niesławnej madame Cleo. Zerknęła na SueBee, wciąż pogrążoną w głębokim śnie. Ze złotymi lokami opadającymi na zamknięte oczy wyglądała jak mała dziewczynka. Jeśli Sandrine miała jakiegokolwiek złe przeczucia co do projektu SueBee, to wszystkie zniknęły o świcie. Teraz przepelniał ją entuzjazm i nie mogła się doczekać popołudnia, kiedy umówi przyjaciółkę na rozmowę z madame.

Podreptała do telefonu w łazience i zadzwoniła do Martina z pytaniem, czy mogłaby wpaść. Kiedy powiedziała mu o SueBee, wpadł w zachwyt, ale nie okazał zdziwienia. Wyszła z hotelu parę minut po dwunastej. Na widok Sandrine przechodzącej przez drzwi obrotowe ugrzeczniony szwajcar wyskoczył na krawężnik i zagwizdał na taksówkę oddaloną o pół metra.

Zadzwoniła do drzwi willi i czekała. Po chwili w owalnej grawerowanej szybie frontowych drzwi pojawił się Martin. Sandrine nigdzie nie widziała hinduskiej służącej, która wpuściła ją poprzednim razem.

Martin chwycił klamkę i szarpnął bezceremonialnie.

- Witaj, kochanie - powiedział zadyszany, ponieważ zbiegł po schodach z piętra. - Przyszłaś wcześniej, niż się spodziewałem.

- Naprawdę? Przepraszam - odparła niepewnie Sandrine wchodząc do środka i wytrząsając gęste włosy z jasnej jedwabnej chusty, którą otuliła się przed wilgotnym zimowym powietrzem. - Czy rozmawiałaś z madame o mojej przyjaciółce?

- Owszem - odparł zamykając drzwi. - Powiedziała, żeby przyszła dziś po południu. Na razie mamy niespodziewanego gościa, który jest też twoją przyjaciółką. W tej chwili rozmawia z madame.

- Moja przyjaciółka? W Paryżu? Nikogo tu nie znam.

- Właśnie przyleciała dzięki uprzejmości naszego kumpla, Barry'ego Rizzo.

Sandrine wpatrywała się w Martina, zastanawiając się, o kim mówił.

- To Angel - szepnął zamykając drzwi i ruszając w stronę schodów.

- Angel?

- Nie kto inny - odparł wspinając się na schody po dwa stopnie naraz. - Chodź, możesz poczekać w mojej alkowie. Wkrótce powinny skończyć.

Sandrine ruszyła za nim na piętro. Wiedziała, że Cleo kupiła książkę Angel, ale dziwiło ją przypadkowe spotkanie w willi.

Martin dotarł na piętro, odwrócił się przez ramię i szepnął konspiracyjnym tonem:

- Madame jej chyba nie lubi.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona Sandrine. - Angel to szalona kobieta i świetnie zna się na interesie.

Martin usiadł za biurkiem i zerknął nerwowo na zamknięte drzwi.

- Proszę, usiądź - powiedział wskazując na krzesło stojące przed małym biurkiem. -

Nie chodzi o to, że ona jej zdecydowanie nie lubi. To znaczy, nic konkretnego nie powiedziała na widok Angel, ale ja znam Cleo, pracuję już dla niej od lat. Może

poszło o srebrnego liska - powiedział wzruszając ramionami. - A może o wzmiankę Angel, przepraszam za wyrażenie, o „pierdolonym żabojadzie-taksówkarzu”.

Sandrine jęknęła i zakryła dłonią oczy.

- O Boże. To cała Angel.

- Cóż - powiedział Martin, odgarniając z oczu kosmyk jasnych włosów. - Jeśli madame ją przyjmie, Angel będzie musiała pójść do naszej szkoły w Wellington Close.

Sandrine nie odpowiedziała. Wciąż uważała, że Martin jest nieco wyniosły. Mimo to SueBee miała rację; ona również pójdzie do Wellington Close.

Martin wertował przez chwilę papiery na biurku.

- Jak udał się wieczór z Jackiem Aylerem? - spytał nonszalancko.

Sandrine otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, kiedy drzwi się otworzyły i do alkowy wpadła Angel. Miała na sobie sięgający do pasa gruby żakiet ze srebrnych lisów,

zbyt obcisłą i zbyt krótką czarną dżersejową spódniczkę i pięciocalowe szpilki.

Ciemnorude włosy upięła byle jak do góry. W szpilkach była niemal groteskowo wysoka.

- Wezwij mi pierdoloną taksówkę - warknęła do Martina, stojąc plecami do Sandrine.

Martin nie drgnął.

- W Paryżu nie ma żadnej taksówki, która spełniałaby ten warunek, ale wezwę ci taką, która trochę jeździ.

- Witaj, Angel - powiedziała cicho Sandrine.

Angel odwróciła się, a na widok Sandrine otworzyła oczy jak koń na widok pożaru w stajni.

- Ja piórkuję! Sandrine - pisnęła. - Boże, tak się cieszę, że cię widzę.

Sandrine zerknęła na drzwi, przez które wpadła przed chwilą Angel. Zamykała je czyjaś niewidzialna ręka.

- Czy wszystko w porządku? To znaczy... - Wskazała ręką na sąsiedni pokój.

- Nie, nic nie jest w porządku - odparła Angel rzucając Martinowi mordercze spojrzenie. - Zostałam wyruchana po mistrzowsku. - Podeszła do biurka Martina i zwróciła się do czubka jego głowy: - Na rany Chrystusa, czy ona nie wie, kim ja jestem? W Nowym Jorku prowadziłam większy interes niż ten, a ona myśli, że może się do mnie zwracać jak do pomiotła.

Zanim Martin zdążył odpowiedzieć, rozdzwonił się telefon wewnętrzny.

- Martin, czy mógłbyś tu wstąpić - powiedziała madame po francusku.

- Co ona powiedziała? - spytała Angel, zerkając podejrzliwie na Sandrine.

- Chce, żeby przyszedł.

- Ach, doprawdy? - spytała Angel z przesadnym brytyjskim akcentem.

Martin wstał, zebrał papiery na biurku w nierówną stertę, po czym zwrócił się do Sandrine:

- Kochanie, proszę cię, sprowadź Angel na dół i pomóż jej znaleźć taksówkę. Nanti poszła na targ, a ja nie wiem, jak długo będę zajęty. Wróc może za jakąś godzinę na rozmowę z madame, dobrze, złotko? Wybaczcie, moje panie. - Poprawił krawat i pospieszył do gabinetu madame.

- Chodź - rzuciła ostro Angel ruszając w stronę schodów.

- Myślałam, że chcesz wziąć taksówkę - zawołała Sandrine idąc za nią.

- Po drodze widziałam postój przy moście - odkrzyknęła Angel z połowy schodów. - Nie potrzebuję tego jelenia. To on mnie w to wszystko wpakował.

Kobiety ruszyły nabrzeżem. Jedyne odgłosy był stukot szpilek Angel i pisk mew unoszących się nad rzeką.

Angel wpatrywała się w ziemię, wciskając dłonie w kieszenie zakietu z lisów.

- Pieprzyć ich - powiedziała w końcu, ale zabrzmiało to raczej jak szept pokonanej niż gniewna klątwa.

- Co się stało? - spytała łagodnie Sandrine.

- Och, nic takiego. Tylko mój pieprzony świat rozsypał się w drobiazgi.

- Tam? Z madame?

- Nie, w domu. Tylko dlatego tu przyjechałam, Sandy. Boję się.

- Z powodu nalotu?

Angel skinęła głową, wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać Sandrine, dlaczego postanowiła przyjechać do Paryża i wrócić do zawodu.

Barry Rizzo zdołał przekonać prokuratora okręgowego, żeby umorzył postępowanie przeciwko Angel w zamian za obietnicę, że wycofa się z zawodu. Z najwyższym trudem zorganizowała pieniądze na rozmaite grzywny i zaległe podatki. W tydzień po aresztowaniu zadzwonili do niej z domu opieki i oznajmili, że jej matka musi przejść operację. Musiała zwrócić się o pożyczkę do Barry'ego - ostateczne

upokorzenie. Spędziła tydzień w motelu w New Jersey, żeby być blisko matki, ale serce starej kobiety nie wytrzymało i zmarła w dzień po operacji. Po powrocie do mieszkania Angel znalazła wszystkie swoje rzeczy zwalone na chodnik. Pilnował ich arogancki odźwierny, który powiadomił ją, że właściciel domu „nie życzył sobie w budynku żadnych kurew” i postarał się o nakaz eksmisji.

- Na chodniku leżał cały mój dobytek - ciągnęła Angel. - Nawet tapeta z herbami hrabiny de Marco, rzucona na stary kufer Vuitton, który znalazłam w sklepie ze starzyzną. Wszystkie moje ciuchy, buty, bielizna, wszystko leżało w mokrej stercie, bo padało. Nikogo nie obchodziło, że coś się zniszczy, jak się stało z materacem i kanapą. Wielu przedmiotów brakowało. Domyśliłam się, że ludzie, którzy je znosili, wybierali sobie, co im się podobało. Z drogiego systemu telefonicznego, który zainstalowałam sześć miesięcy temu, został tylko jeden aparat.

- Och, Angel, to okropne - powiedziała Sandrine. - Wszystko naraz, twoja matka, potem mieszkanie. To fatalne.

- No, tak. Matka była rośliną przez ostatnie pięć lat. Zresztą nawet kiedy byłam mała, nie... przyjaźniłyśmy się. Ona była matką, a ja jej złą córeczką. Ale kochałam ją. Przeżyłam jej śmierć, ale mówiąc szczerze Sandrine, widok moich rzeczy, przemoczonych i obsranych przez psy, sprawił mi większą przykrość. George Carlin powiedział: „Szczęście to miejsce, gdzie się składa swoje rzeczy”. Miał rację. Kiedy ktoś tyka twoich rzeczy, dostajesz szału.

Mijały żelazna, ławkę stojącą nad rzeką. Wyszło słońce i wysuszyło zimną mgłę.

- Usiądziemy na chwilę? - zaproponowała Sandrine. Usiadły i założyły nogę na nogę. Angel rozpięła zakiet, pod którym miała bluzkę lamowaną złotem.

- Co w takim razie zrobiłaś? - spytała Sandrine.

- Jak już powiedziałam, dostałam szału. Zaczęłam wrzeszczeć jak obdzierana ze skóry i walić pięściami odźwiernego, bo tylko na nim mogłam się wyładować. Potem pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do Barry'ego. Przyjechał i zabrał mnie oraz resztki mojego dobytku do siebie. Zatrzymałam się tam na jakiś czas. Barry bez przerwy namawiał mnie, żebym zatrudniła się u madame Cleo. Pieniądze, które zapłaciła mi za książkę, zdążyły się rozejść; byłam spłukana. W końcu się zgodziłam. Jedną z rzeczy, która mnie przekonała, była konieczność robienia Barry'emu laski trzy razy dziennie. Poza tym, Barry powiedział mi, że ty się u niej zatrudniasz, i pomyślałam, że skoro dziewczyna z taką klasą może to robić, to chyba nie jest najgorzej. Gdybym nawiązała dobre kontakty, mogłabym znowu rozkręcić własny interes na dużą skalę. Nie ścierpię, że ta stara rura ma wszystko, czego ja chciałam.

- Czy to dlatego tak się tam wkurzyłaś?

Angel zerknęła na rzekę. W oddali przesuwał się długi przeszklony statek turystyczny. Sylwetki o niedostrzegalnych twarzach pomachały im z pokładu.

Sandrine odwzajemniła pozdrowienie.

- Wkurzyłam się, bo ta suka oświadczyła, że mogę dla niej pracować, jeśli pójde do jakiejś szkoły. Kurwa, daruj, to obraźliwe. Nie podoba jej się, jak mówię, nie podoba jej się mój sposób ubierania. Za kogo ona się ma, do cholery?

Sandrine starała się zachować obiektywność.

- Cóż, może twój strój jest dla niej zbyt... amerykański. Musisz zrozumieć, że ona jest bardzo wymagająca, jeśli idzie o nasz sposób mówienia i ubierania. Złota lamówka i częste używanie słowa „pierdolić” nie jest w stylu madame Cleo. Chyba że, oczywiście, jesteś z facetem, któremu się to podoba.

- O czym ty mówisz, Sandy? Prawie nigdy nie mówię „pierdolić”.

Sandrine nie chciała się spierać.

- Czy kazała ci się rozebrać? - spytała przyjaciółkę z uśmiechem.

- Tak, tak - odparła zniecierpliwiona Angel. - Nigdy nie prosiłam dziewczyny, żeby się rozebrała, nigdy. Według mnie to lesbijski numer, nie sądzisz?

- Właściwie nie. To chyba dobry zwyczaj. Ostatecznie naszym towarem są ciała.

Angel wzruszyła ramionami.

- Cóż, na widok mojego towaru zdębiała - powiedziała z zadowolonym uśmiechem. - Nie dawała mi żadnych szans, dopóki nie zobaczyła cycków. Miała taką minę, jakby widziała na sutkach znaki dolara.

- Angel, jesteś niesamowita - powiedziała ze śmiechem Sandrine. - W takim razie zrobisz to?

- A ty byś to zrobiła?

- Już zrobiłam. Zeszłej nocy miałam pierwszego klienta.

- Nie, mam na myśli szkołę. Sandrine zastanowiła się chwilę.

- No pewnie. Dlaczego nie? - spytała wesoło.

- Ile zarobiłaś zeszłej nocy?

- Pięć tysięcy - odparła Sandrine odwracając wzrok.

- Franków czy dolarów?

- Dolarów. Trzy tysiące pięćset jest dla mnie.

Angel zagwizdała przeciągle i powoli pokręciła głową.

- Ja pierdolę... To znaczy, chciałam powiedzieć, ja cię kręcę, dobry Boże.

- To już lepiej - stwierdziła Sandrine.

- Kiedy masz następnego?

- Dziś rano, kiedy zadzwoniłam do Martina, zapytał, czy mogłabym wieczorem polecieć do Rzymu. Prywatny samolot, jakaś kolacja z okazji wręczania nagród filmowych, jakaś godzina w Ritzu i z powrotem do Paryża.

- Kim jest ten leszcz?

- Klient jest amerykańskim producentem, który odbiera nagrodę.

Angel wpatrywała się w rzekę, a na ustach błąkał się jej lekki uśmieszek.

W końcu Sandrine wstała i chwyciła przyjaciółkę za przegub.

- Chodź, mała. Mam około godziny. Kupimy ci jakieś ciuchy, ja stawiam.

- Och, Sandrine, nie mogłabym.

- Owszem, mogłabyś. Za każdym razem, kiedy powiesz „pierdolić”, bardzo mocno cię uszczypnę. Jeśli w ciągu godziny nie zsiniejesz, comę wszystko, co powiedziałam.

Rozdział jedenasty

Dziennik Petera - Paryż, szósty lipca 1990

Wielkie święto Czwartego Lipca spędziłem sam. Spacerowałem po mieście, myśląc o tym, jak postać Angel odmieniła całą historię. Ze słów Cleo wynika, że to ambitna sztuka. Ma gangsterskiego adwokata (już dawno słyszałem o reputacji Rizza, od czasów, kiedy bronił Vinniego „Kciuka” Mancuso) i Bóg jeden wie, jakie więzy mogły łączyć jego klientów z madame. Nie mogłem przestać myśleć ani o Rizzu, ani o niej. Wstąpiłem na lunch do kafejki, w której nigdy wcześniej nie byłem. Spacerowałem nad Sekwaną jak turysta, szperając po sklepikach i straganach bukinistów. Czuję się tak, jakbym nigdy nie widział tego miasta. Uświadomiłem sobie, że kiedy przyjeżdżałem tu pracując dla WorldWide, oglądałem Paryż przez szybę wynajętego samochodu albo przez denko szklanki szkockiej.

Znalazłem faks w sklepie ze sprzętem elektronicznym przy Boul Mich, przyniosłem do domu, włączyłem i przesłałem swój numer Fiddle i Wendy. Poszedłem na najnowszy film Louis Maile'a. Po powrocie na podłozie w salonie, gdzie pracuję, znalazłem następujący gorączkowy faks od Fiddle: „Peter, kochanie: Wendy odchodzi od zmysłów. Właśnie dostała od ciebie najnowszą partię notatek i wpadła w histerię, ponieważ madame wciąż nie mówi o sobie. Wendy powiedziała, że materiały o dziewczynach, które przysyłasz, są w porządku, ale powinieneś pozbyć się obsesji na punkcie zamachowców i zacząć zapracowywać na duże pieniądze, które Wendy zorganizowała dla ciebie za biografią madame. Nie trać wiary. Fiddle. Ależ one mnie wkurzyły.

Wysłałem faks do Wendy, wyjaśniając, że już sam mam trochę dość użerania się z madame i zaproponowałem, że skoro reprezentuje nie tylko mnie, ale także madame, może powinna wyrzucić presję na SWOJĄ klientkę. Odpowiedź Wendy nie nadawała się do faksu - nie można wrzeszczeć przez faks - więc zadzwoniła.

Mówiąc w skrócie, uznała, że powinienem pilnować własnych spraw. Posyczeliśmy na siebie, posłaliśmy po parę wiązanek, potem ona rzuciła słuchawkę. Świetnie, teraz ona jest na mnie wkurzona, a ja na nią czyli pat.

Kiedy wczoraj wychodziłem od Cleo, powiedziała, że tematem kolejnej sesji będzie jej jedyna w swoim rodzaju szkoła dla dziewcząt w Anglii. Mam nadzieję, że to oznacza, iż zacznie więcej mówić o sobie.

Kiedy matka Martina, lady Jellica Bourke-Lyon, spisywała testament, nikt nie miał wątpliwości, że jej najstarszy syn, Martin, może liczyć tylko na skromniutki spadek. Swoim utracjuszowskim stylem życia - używaniem narkotyków w latach sześćdziesiątych, związkiem z hinduskim guru i pocraczną grupą rockową w latach siedemdziesiątych oraz, w latach osiemdziesiątych, kiedy umarła matka, tajemniczym aliansem z niesławną francuską stręczycielką, dowiódł, że nie zasługiwał ani na pieniądze, ani na posiadłości. Lady Bourke-Lyon przekazała majątek na cele charytatywne. Wellington Close, urocza siedemnastowieczna ceglana posiadłość otoczona sześćdziesięcioma pięcioma akrami parku przypadła w udziale Cyrylowi, młodszemu bratu Martina.

Po roku prób ogrzania ogromnego starego domu i utrzymania posiadłości we względny porządku Cyryl zwrócił się do brata z błagalną prośbą o pomoc

finansową. Martin wziął posiadłość w swoje ręce. Zaoferował Cyrylowi gotówkę, gotówkę madame Cleo.

Martin i Cleo zabrali się do organizowania w posiadłości jedynej w swoim rodzaju szkoły dla dziewcząt.

Zatrudniono nauczycieli przedmiotów wybranych przez madame Cleo. Uczennice rekrutowały się spośród dziewcząt, które fizycznie spełniały wysokie wymagania Cleo, ale wykazywały braki w określonych dziedzinach.

Odnowione stajnie służyły nie tylko do celów hippicznych, ale także odbywały się tam wykłady na temat zawilosci kupowania, sprzedawania i hodowli koni wyścigowych oraz seminaria z zakładów. W dawnej szklarni założono kasyno. Wielu czołowych krupierów oraz bankierów od bakarata i blackjacka spędzało wakacje w Wellington Close w zamian za szkolenie dziewcząt. Znajdujący się w pobliżu domu lasek wycięto i zbudowano tam tor wyścigowy, na którym dziewczęta uczyły się prowadzić drogie sportowe samochody i posługiwać się taktyką uników na wypadek znalezienia się w groźnej sytuacji w towarzystwie osobistości politycznej.

Atmosferę i plan zajęć w Wellington Close cechowała stonowana elegancja. Od wszystkich - uczennic, kadry i instruktorów - wymagano strojów wieczorowych podczas kolacji, którą podawano w wyłożonej boazerią jadalni. Po kolacji odbywały się grupowe wykłady ze sztuki, muzyki, baletu i opery, wybierania drogich gatunków win, cygar oraz garderoby męskiej od krawców z Saville Row. Udzielano wskazówek co do reguł takich sportów jak piłka nożna, baseball i futbol amerykański oraz takich gier jak brydż, backgammon i obowiązkowy kurs szachów prowadzony przez madame Cleo.

Dziewczęta uczono posługiwania się bronią palną zarówno w celach obronnych, jak i sportowo. Zakładano, że każda uczennica Wellington Close posiadała już odpowiednią wiedzę z zakresu makijażu i strojów, ale oczywiście zorganizowano wykłady z dziedziny mody paryskiej.

Wiele dziewcząt nie tańczyło nigdzie poza dyskoteką i nie potrafiło należycie dotykać partnera. W sobotnie noce nauczyciele pełnili rolę partnerów podczas lekcji samby, mambo, walca oraz wszystkich tańców, które mógł znać klient madame Cleo.

Zachodnie skrzydło domu podzielono na małe klasy, gdzie odbywały się zajęcia dzienne. Dziewczęta zdobywały tam praktyczną wiedzę z dziedziny sztuki, historii, geopolityki i gospodarki światowej.

Wymagano od nich podstawowej znajomości prawa, jako że liczne procesy stanowiły często powód przygnębienia klientów. Niejednokrotnie klient wynajmował dziewczynę Cleo jedynie po to, by słuchała jego skarg na sądownictwo.

Jeśli idzie o sztukę, oczekiwano od dziewcząt, by potrafiły rozpoznać płótno Rubensa czy Degasa na ścianie gabinetu lub biblioteki klienta, określić, czy złoty liść na suficie sypialni był prawdziwy czy namalowany oraz czy pościel, do której się wślizgiwały, pochodziła z domu towarowego czy z Porthault.

Wszystkie uczennice musiały co rano czytać londyńskiego i nowojorskiego „Timesa” oraz przynajmniej przejrzeć „Financial Times” przed włączeniem się w rozmowę o sprawach światowych, którą przy śniadaniu prowadził John Robert Conroy,

emerytowany profesor nauk politycznych na uniwersytecie oksfordzkim. Profesor Conroy był starym członkiem kadry Wellington Close, a także ekspertem w dziedzinie win.

Zajęcia rozpoczynały się punktualnie o dziewiątej i trwały do siedemnastej, z przerwą na lunch, podczas której dziewczęta wysłuchiwały wykładów o rozmaitych kuchniach narodowych. Między godziną siedemnastą a dziewiętnastą miały czas wolny, który poświęcały na naukę i ubieranie się na wieczór.

Był to długi i wyczerpujący dzień. Niektóre dziewczęta, nie przyzwyczajone do dyscypliny, były nieszczęśliwe; mogły odejść w każdej chwili. Inne, jak SueBee Slyde, kwitły.

Angel! Chodź szybko! Popatrz! - krzyknęła SueBee do przyjaciółki. Klęczała na krześle pod wykuszowym oknem pokoju, który dzieliły w Wellington Close.

- Po co? - warknęła Angel z łóżka.

- Pada śnieg!

- Coś podobnego - odparła Angel beznamietnie, poprawiając poduszki, na których się opierała. Oglądała jedną z kaset instruktażowych, przydzielanych każdej „studentce” z klasy. Kasetą Angel nosiła tytuł „Ważne osobistości”.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego - zachwyciła się SueBee. - Widzę stąd wszystko aż do jeziora. To jak obrazek w książce z bajkami.

- Daj spokój, SueBee. Za godzinę musimy zejść na dół, a ja muszę przejrzeć ten durny film.

- Przepraszam - odparła SueBee, schodząc z krzesła i wracając do biurka.

Angel i SueBee przyjechały do Wellington Close nazajutrz po rozmowie SueBee z madame Cleo. W tym czasie były jedynymi Amerykankami w szkole, dlatego Martin postanowił umieścić je w jednym pokoju. Początkowo zaistniały pewne problemy, ale teraz, po miesiącu, dziewczęta przyzwyczały się do dzielących je różnic.

Angel obserwowała, jak SueBee przystosowuje się do nowych warunków z nadzwyczajną pogodą ducha. Sandrine powiedziała jej o kłopotach SueBee z czytaniem, jednak SueBee została zachłanną czytelniczką a ponadto pracowicie prowadziła dziennik. Obszerne fragmenty dziennika przepisywała do długich listów do Sandrine, które podpisywała imieniem swoim i Angel. Sandrine odpowiadała na listy dzwoniąc raz czy dwa w tygodniu, zawsze z innego egzotycznego miasta, w którym aktualnie przebywała z polecenia madame Cleo.

Im szczęśliwsza czuła się SueBee w Wellington Close, tym bardziej nasilało się znudzenie i przygnębienie Angel. Pobyt w szkole traktowała jak odsiadanie wyroku w więzieniu.

SueBee poprawiła lampkę na biurku.

- Chcesz, żebym przepytła cię z tej kasety? - zaproponowała nie podnosząc wzroku. Angel nacisnęła guzik pilota, ścisząc głos. Pozbawione uśmiechu usta Lee Iaccoki poruszały się bezgłośnie na ekranie.

- Ależ to jest gówno - warknęła. - Każdy, kto ogląda wiadomości wieczorne, wie, kim są ci ludzie. Z tym jest tak samo jak z całą resztą rzeczy, które tu robimy: dziecinne pierduły. Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wydostanę.

SueBee odłożyła różowy flamaster, którym zaznaczała niezrozumiałe słowa. Aktualnie wgrzyzała się w książkę Mortimera J. Adlera „Arystoteles dla każdego - trudna myśl łatwo wyłożona”.

- Angel, wiesz, że możesz odejść, kiedy tylko chcesz. Nikt cię tu nie trzyma na siłę.

- Jasne. A co potem? - spytała Angel, opuszczając nogi z łóżka i naciągając grube skarpety. - Boże, ależ tu lodownia.

Podeszła do okna i spojrzała na śnieg. Musiała przyznać, że na dworze było ślicznie. Smutno, ale ślicznie.

- Chciałabym wyglądać na Park Centralny - westchnęła.

- Daj spokój, Angel. Pomyśl o wszystkich tych bajkowych miejscach, które zobaczymy, o przyjęciach i balach. Spójrz tylko, jakie życie prowadzi Sandrine.

- Zejdź na ziemię. Będziemy podróżować od hotelu do hotelu i pieprzyć bogatych starców.

- W porządku - odparła z uśmiechem SueBee. - Lubię starych mężczyzn.

Angel skoczyła z powrotem na łóżko. Miała na sobie długi staromodny szlafrok, którego nigdy nie zdejmowała w wiecznie nie dogrzanym pokoju.

- Wiesz co, SueBee? - powiedziała podpierając się na łokciu. - Kiedy madame oświadczyła, że muszę tu przyjechać, poczułam się urażona. Wtedy myślałam, że to prawdziwa szkoła. Teraz czuję się jeszcze gorzej, bo to zwykła ryfa. To gówniane miejsce ma tylko jeden cel: dać poczucie władzy madame Cleo i jej pedalskiemu przydupasowi Martinowi.

- Hej! - krzyknęła SueBee z uśmiechem. - Pomyśleć, że wysłali cię tu, żebyś popracowała nad słownictwem. Gdybyś powiedziała to tam na dole, zapłaciłabyś dziesięć dolarów za słowo na P i trzy za słowo na G. Za „ryfę” płaci się chyba dolara, nie pamiętam.

- Właśnie o to mi chodzi. Płacić pieniądze za używanie slangu. Herbatki, waczenie przygrywające nam, kiedy rozpoznajemy wino. Czy oni nie wiedzą, że mamy rok osiemdziesiąty szósty, a nie trzydziesty szósty?

- Czego się spodziewałaś, Angel?

Angel przeturlała się na plecy i spojrzała na sufit.

- Myślałam, że zobaczę, jak ta stara rura zorganizowała taki świetny interes.

Mogłabym to wykorzystać później, kiedy wrócę do branży.

- Masz wszystko przed nosem - oświadczyła SueBee.

- Co takiego?

- Spójrz na nas. Ona tak właśnie postępuje. Nic prostszego. Przez całe życie wyszukiwała dziewczyny z potencjałem. Dziewczyny takie jak ty, którym zależy na pieniądzach i władzy płynących z tej pracy, i takie jak ja, które szukają przygód. Zatrudnia nas, wygładza ostre kany i podnosi cenę, ponieważ dostarcza najlepszego towaru. Nie obraż się, ale gdybyś więcej obserwowała, a mniej narzekała, mogłabyś się mnóstwo nauczyć.

Angel usiadła na łóżku.

- Och, przepraszam bardzo - fuknęła. Wstała, podeszła do małej lodówki, wyjęła wodę sodową i pstryknęła zawleczkę.

- Wiesz, SueBee - powiedziała pijąc. - Kiedy prowadziłam agencję, nigdy nie miałam przydupasa, którego by obchodziło, czy moje dziewczyny wiedzą, która jest godzina, nie mówiąc już o portugalskim produkcie narodowym brutto czy o tym, jak się tańczy sambę. - Podniosła pilota i skierowała go na bezgłośny obraz. - Weź na przykład ten cholerny film.

SueBee odwróciła się i ujrzała jordańskiego króla Husajna, dokonującego przeglądu wojsk na pasie startowym lotniska, podczas gdy głos komentatora wymieniał dane statystyczne, świadczące o dokonaniach króla.

Angel przewinęła kasetę do przodu i zatrzymała na skrócie wystąpienia prezydenta giełdy nowojorskiej.

- Dlaczego my musimy to oglądać? Czy to są jacyś klienci madame Cleo?

- Nie - odparła SueBee. - Mamy potrafić ich rozpoznać, kiedy zobaczymy ich na jakiejś kolacji albo na czyims jachcie.

- Jasne. Właśnie skończę jeść rybę, podadzą sorbet do odświeżenia ust, a ja nie będę miała pojęcia, że siedzę obok króla Jordanii - prychnęła Angel, a potem dodała teatralnym głosem: - A tamten wielki, włochaty gość po drugiej stronie stołu to Królik Harvey, ale nie wiedziałabym o tym, gdybym nie chodziła do Wellington Close, szkoły dla kurew. Czy ty nic nie rozumiesz, SueBee? Ta cała impreza to bujda. Madame Cleo cierpi na jakąś formę psychozy, ma mesjanistyczny kompleks, żeby kontrolować nie tylko nasze ciała, ale i umysły.

SueBee wyszeptała słowo „mesjanistyczny”, podniosła zeszyt i pracownicy napisała „m-e-s-j-a-n-i-s-t-i-c-z-n-y”. Później sprawdzi w słowniku.

- Albo spójrz na to! - ciągnęła Angel, sięgając po oprawiony w skórę mały słownik francusko-angielski, który wręczano każdej dziewczynie po przybyciu do szkoły. - Czy wiesz, że ten słownik wydano w trzydziestym dziewiątym? Trzydziestym dziewiątym! To jedyne wydanie, którego pozwala nam używać madame Cleo, i mamy się go nauczyć na pamięć, jak Czerwonej Książeczki Mao.

SueBee odwróciła się do sterty książek na biurku.

- Kto to jest Mao? - spytała miłym głosem. - Czy jest na tej kasecie?

Angel przewróciła oczami i przewinęła kasetę do początku.

- Mogę się pierwsza wypryszcnicować? - spytała idąc do łazienki. Zmęczyło ją to całe gadanie. SueBee beznadziejnie zakochała się w tym wszystkim. Angel postanowiła, że jakoś przecierpi, licząc dni do końca kursu. - Pamiętaj - powiedziała naśladowac akcent brytyjski. - Punktualnie o dziewiętnastej koktajle i Vivaldi w Oranżerii, a potem wykład.

- Och! - krzyknęła SueBee z podnieceniem. - Zapomniałam sprawdzić w planie. Jaki dziś temat?

- „Odkrywanie jego potrzeb” - odparła Angel z opuszczonymi powiekami.

- Chodzi o to, że mężczyzna ma zawsze rację, tak? Dziewczyny rozmawiały o tym przy śniadaniu.

- Właśnie. Nie chciało ci się pawiuować?

- Angel, nie szkolimy się tu na stewardesy.

Mijając toaletkę, Angel zabrała butelki z szamponem i kremem do ciała.

- Zaraz wychodzę. „Odkrywanie jego potrzeb”. Boże, miej nas w swojej opiece. On chce pierdolić. Tylko to musiałam zawsze wiedzieć.

SueBee uśmiechnęła się i zamknęła zeszyt.

- Mam założyć czarną z ramiączkami? - zawołała w stronę łazienki. - Czy czarną z ramiączkami?

- Może załóż tę czarną z ramiączkami! - odkrzyknęła ze śmiechem Angel. Wsunęła kark pod silny strumień gorącej wody, opierając podbródek na piersi. Wycisnęła szampon na wilgotne włosy i zaczęła masować. Pewnego dnia, ślubowała, pewnego dnia wróć na szczyt. To tylko kwestia czasu.

Sandrine obudziła się w ciemnej sypialni trzypokojowego apartamentu. Przez dłuższą chwilę leżała z zamkniętymi oczami nasłuchując. Nie słyszała szumu prysznicu ani trajkotania telewizyjnych czy radiowych wiadomości porannych. Dobiegał ją tylko przytłumiony hałas ruchu ulicznego za zaciągniętymi zasłonami, zwietrzały kwaśny zapach cygar i whisky o temperaturze pokojowej.

Pomacała na nocnym stoliku w poszukiwaniu czegoś, co przypomniałoby jej, gdzie się znajdowała. Zawadziła dłonią o pudełko zapalek, zrzucając je na dywan. Schyliła się po nie i jęknęła z bólu. Miała wrażenie, że głowa jej eksploduje. Chwyciła pudełko i położyła się z powrotem. Otworzyła oko i spojrzała na adres na nalepce. Nazwę Claridge'a wypisano złotymi literami. Londyn. Była w Londynie. Być może. Opadła z powrotem na poduszki, usiłując sobie przypomnieć, jaki był dzień, jaki miesiąc. Sądząc po barwie liści na drzewach za oknem, musiała się już zacząć jesień. W ciągu kilku miesięcy pracy dla Cleo zdażyła zwiedzić wszystkie większe miasta Europy, była nawet w Istambule. Wjeżdżała i wyjeżdżała z Paryża z większą regularnością niż pociągi. Jej życie stanowiło beczasowy wir samochodów, samolotów, holów hotelowych, łóżek, trzygwiazdkowych restauracji, twarzy, dłoni i penisów, czasem w stanie erekcji, a czasem zwiotczałych, niezależnie od tego, jak zręcznie nimi manipulowała. Miała do czynienia z mężczyznami o uroczych manierach, lecz zdarzyło się kilku tak brutalnych i odrażających, że musiała wyjść do najbliższego telefonu i zadzwonić do madame Cleo. Miała dwa takie przypadki, ale zasady były wyraźne. Nie musiała przestawać z nikim, kto w jakikolwiek sposób wydawał jej się nieprzyjemny. Organizacja madame Cleo opierała się na podstawowej i dziwnie demokratycznej regule: pomimo iż madame i Martin umawiali klientów, wybór należał do dziewcząt. Sandrine zrozumiała jednak, że madame Cleo potrafiła iść na rękę dziewczynom, które współpracowały. Była przekonana, że dostawała tak wiele różnych zleceń, ponieważ niewiele z nich odrzucała.

Mimo to za dużo było picia, za dużą wagę należało przywiązywać do idealnego wyglądu i, Boże, uśmiechy! Uśmiech nie schodził z jej twarzy; wечно nachylała się, by uchwycić każde złote słowo mądrości, każdy nieśmieszny, grubiański, głupi dowcip. Seks był bułką z masłem w porównaniu z bezlitosną torturą, jaką była ciągła koncentracja. W łóżku czuła przynajmniej, że utrzymuje formę. W łóżku sprawowała kontrolę. Na ławie w restauracji, na tylnym siedzeniu limuzyny, na pokładzie jachtu była tylko rekwizytem, przedmiotem do wzięcia pod ramię, równie nieważnym i łatwym do strzepnięcia jak paproch. Sandrine określała ten stan

„graniem cipeczki”. Rozróżniała gwiazdeczki aspirujące do wielkich karier, zoneczki aspirujące do wspaniałych małżeństw oraz cipeczki. Aktualnie była cipeczką starającą przebić się do kategorii zoneczek. Kace po alkoholu i miękkich narkotykach, psychiczna i fizyczna mordęga zlały się w jednolitą plamę. Przynajmniej nauczyła się słuchać.

Odkryła, że im uważniej słuchała mężczyzny, tym bardziej się zdradzał. Nauczyła się rozpoznawać wskazówki, jakie mężczyzna wplatał do robionych w rozmowie dygresji; na tej podstawie dowiadywała się, czy był bogaty i jak bardzo czuł się nieszczęśliwy w aktualnym związku uczuciowym, jakie były jego preferencje seksualne i czy był wart jej zachodu.

Sandrine wiedziała, że gdyby znalazła się przy stoliku w towarzystwie mężczyzny, którego naprawdę by pragnęła, zdobyłaby go. Nie miało znaczenia, czy byłby żonaty. Każdy mężczyzna mógł się rozwieść. Myślała o znajomych kobietach, które biadały, ponieważ zakochały się w żonatych mężczyznach. Sandrine poznała jedną niekwestionowaną prawdę: naprawdę bogaci i wpływowi mężczyźni zawsze zostawiali żony dla profesjonalnych zoneczek.

Najwięcej wysiłku, poza słuchaniem mężczyzn, kosztowało ją dbanie o siebie. Niezależnie od modnych strojów, luksusowych warunków i faktu, że nigdy nie musiała nosić nic cięższego niż komplet do makijażu, praca była pracą. W każdej sekundzie doby musiała wyglądać olśniewająco. Oznaczało to, że paznokcie, włosy, zęby, skóra, sylwetka, stroje i akcesoria musiały być utrzymywane na najwyższym poziomie doskonałości i uwodzicielstwa. Od tak dawna nie miała na sobie dzinsów, tak dawno nie otwierała puszek z tuńczykiem ani nie włączała odkurzacza, że wątpiła, czy jeszcze by to potrafiła. Teraz, leżąc w wartej tysiąc dolarów koszuli nocnej w apartamencie hotelowym za dwa tysiące dolarów za dobę, marzyła o dniu spędzonym w brudnej bluzce do kolan, kapciach na nie umalowanych stopach, z lodówką pełną słodczy i smażonego kurczaka.

Poza marzeniem o dniu spędzonym w lenistwie nie tęskniła za prostszym życiem. Robiła to, co musiała, by przygotować się do kwantowego skoku w nirwanę zoneczki, małżeństwo z bogatym, wpływowym człowiekiem, najchętniej takim, który stale by podróżował i był stary. Bardzo stary. Tyle mogła jej zagwarantować madame Cleo. Dalej Sandrine musiała sobie radzić sama.

Najbardziej żałowała, że tak mało widuje SueBee i Angel. Ich drogi rzadko się krzyżowały. Czasami jedna z przyjaciółek dzwoniła, jak wtedy w maju, kiedy SueBee leżała chora na grypę w paryskim mieszkaniu, które wynajęła dla niej madame Cleo. SueBee znajdowała się pod troskliwą opieką służącego jednego z jej stałych klientów, który płacił jej nie za seks, ale za to, że słuchała, jak czytał wiersze, podróżując po Europie i wykupując przedsięwzięcia. Przyjaciółki rozmawiały wtedy kilka godzin.

SueBee najwyraźniej znalazła życie, które kochała. Czuliła się potrzebna, uszczęśliwiała ludzi i sprawiała im przyjemność. Skarżyła się tylko na to, że wolałaby to robić dla jednego mężczyzny, a nie tuzinów.

Sandrine spotkała Angel na lotnisku we Frankfurcie w sierpniu. Pomimo ciepłej pogody Angel była otulona od stóp do głów w wielkie futro z rudych lisów, którego

rąbek ocierał się o wysokie buty ze skóry aligatora. Na głowie miała tak ogromny i pierzasty kapelusz, że Sandrine by jej nie poznała, gdyby Angel nie zawołała jej po imieniu donośnym głosem, aż wszyscy pasażerowie w poczekalni pierwszej klasy Lufthansy odwrócili się, żeby zobaczyć, kogo napadnięto. Kiedy Sandrine padła w objęcia Angel, utonęła w futrze i zapachu perfum Obsession Calvina Kleina. W końcu Angel puściła ją i przestała piszczeć, a Sandrine mogła wreszcie przyjrzeć się przyjaciółce.

- Czy ty coś sobie zrobiłaś? - szepnęła po tym, jak Angel przedstawiła jej bardzo niskiego mężczyznę w mundurze generała armii tureckiej. Niziutki generał, wyczuwając, że kobiety chcą porozmawiać, przeprosił i zniknął.

Angel uniosła podbródek i zamknęła oczy.

- Jak ci się podoba? Zrobiłam to w zeszłym miesiącu w Rio. Prezent od chirurga plastycznego, który chciał się ze mną żenić.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała szczerze Sandrine. - Ale wiesz, że madame by za to zapłaciła. Zawsze proponuje.

- Wiem, wiem, ale nie chcę od niej niczego poza zleceniami. - Odwróciła się z uśmiechem do barmana. - Poproszę dwie Bloody Mary z lodem. Daruj sobie przyprawę i sok.

- Co to takiego? - zacięła się Sandrine.

- Wódka z lodem. On wie. Już mnie zna.

- Tak często tu bywasz? - spytała Sandrine rozglądając się po poczekalni.

Angel nachyliła się i ściszyła głos.

- Już drugi raz w tym tygodniu. Pracuję nad pewną sprawą.

- Jaka sprawa? Facet?

- Nie, nie, nie - powiedziała niecierpliwie Angel. - Nic z tych rzeczy. - Przysunęła się jeszcze bliżej i osłoniła dłonią usta. - Ani mru-mru, obiecujesz?

- Jasne - zapewniła Sandrine. O Boże, znowu to samo, pomyślała.

- Właśnie spotkałam się z dwiema największymi mesdames w Niemczech. Jedna kontroluje teren aż do Budapesztu. Obie są dość stare. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wykupię je.

- Dobry Boże, Angel. Jeśli madame Cleo się dowie, zrobi piekło.

- Nie dowie się - odparła Angel, pijąc wódkę. - Potrzebuję jeszcze tylko roku i zbiore pieniądze. Może wcześniej, jeśli przestanę kupować ciuchy. Dlatego zadaję się z tym małym Turkiem.

Sandrine rozejrzała się i zobaczyła towarzysza Angel, który rozmawiał przez telefon po przeciwnej stronie poczekalni.

- Co generał ma wspólnego z ciuchami?

- Och, nie jest żadnym generałem - prychnęła Angel. - Po prostu lubi się tak ubierać, bo wtedy lepiej go obsługują. Zajmuje się eksportem surowych futer, galanterii skórzanej, niezła rzecz. Kupuję od niego po cenach hurtowych, a moja krawcowa obrabia to w Paryżu. Podoba ci się to futro? - Angel wstała i okręciła się. Wyglądała jak gwiazda filmowa.

Sandrine wybuchnęła śmiechem. Intrygi zdawały się być żywiołem Angel.

- Podobasz mi się cała, kochanie - powiedziała wstając i całując przyjaciółkę w policzek. - Ale muszę lecieć. - Właśnie ogłaszano samolot Sandrine. Zostawiła Angel w drzwiach poczekalni. Idąc długim korytarzem do wyjścia na lotnisko zastanawiała się, czy przypadkiem Angel nie kładła na szali wszystkiego, co osiągnęła. Madam Cleo miała długie i wpływowe macki. Istniała możliwość, iż Angel zostanie przyłapana i wróci tam, gdzie się znajdowała w tamten zimny, ponury poranek, kiedy spacerowały razem na Sekwaną.

Sandrine przewróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę pachnącą perfumami, którymi skropiła się poprzedniego wieczoru. Pomyślała o małej SueBee, która siedziała na brzegu łóżka jakiegoś nudnego potentata słuchając jego nudnych wierszy. Pomyślała o wspaniałej Angel, która pieprzyła małego tureckiego eksportera w jakimś pokoju hotelowym, planowała krój nowej kreacji.

Zbliżyły się do swoich celów bardziej niż Sandrine.

W Nowym Jorku był teraz środek nocy. Zastanawiała się, czy nawet teraz, jej ukochana Marta czeka, aż zadzwoni telefon i Sandrine przekaże jej radosną nowinę, że ma bogatego męża i willę w Hiszpanii lub ogromne mieszkanie w alei Focha, gdzie mogą zamieszkać razem. Od kilku miesięcy powtarzała w głowie ten scenariusz. Kiedy zdobędzie już miliardera, piękny dom, a Marcie zapewni dostatnie życie, poprosi Barry'ego Rizzo albo, jeszcze lepiej, jednego z jego opryszków o owłosionych dłoniach, żeby przekazał jej matce, że może wziąć spadek Sandrine i jak delikatnie zasugerował Barry, „wsadzić go sobie tam, gdzie nie świeci księżyc”. Sandrine podparła się na łokciach i mocno potrząsnęła głową, by usunąć resztki dymu i alkoholu. Przypomniała sobie, że przyszła tu z sędzią i podziękowała Bogu, że udał się do swoich codziennych zajęć. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili pragnęła, było słuchanie go.

Sędzia stawał się jej stałym klientem. Był miły, bez trudu go podniecała i szybko zaspokajała, ale kariera żoneczki nie wchodziła tu w rachubę.

Zerknęła na telefon stojący po przeciwnej stronie łóżka. Nie zgłosiła się do Martina od przyjazdu; wiedziała, że będzie wściekły. Teraz, kiedy została sama, mogła to odfajkować.

W słuchawce rozległ się słodki głos Martina.

- Bonjour, Martin, kochanieeee - powiedziała swoim najseksowniejszym tonem.

- No, czas najwyższy! - prychnął. - Naprawdę nie powinnaś tak zniknąć, Sandrine.

- Nie krzycz na mnie, Martin - jęknęła. - Moja głowa tego nie zniesie. Wiesz, że to była trzydniowa impreza. Sprawdź na planie, jeśli nie wierzysz.

- Nie mam czasu na kłótnie. Jeśli jesteś już wolna, mam dla ciebie nową pracę na wieczór.

- Posłuchaj Martin, myślałam o tych trzydniowych zleceniach... Czy zarabiałabym więcej, gdybym brała codziennie innego faceta?

- Jasne - odparł bez entuzjazmu. - Dlaczego chciałabyś to robić?

- Pieniądze - odparła.

- No tak, pieniądze. Ale, kochanie, teraz zarabiasz sporo.

- Potrzebuję więcej niż sporo, Martin. Chcę, żebyś przez całą jesień umawiał mnie codziennie z kim innym, dobrze? W czasie Świąt Bożego Narodzenia spędzę jakiś

tydzień w Nowym Jorku, więc możesz mnie zacząć umawiać znowu od początku stycznia.

- Muszę porozmawiać z madame, Sandrine - odparł Martin pospiesznie wyrzucając słowa, jak zawsze kiedy nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

- Zrób to, kochanie. Powiedz jej, że myślę o tym śmiertelnie poważnie.

Odłożyła słuchawkę i usiadła na łóżku rozmyślając. Pieniądze rodzą pieniądze.

Wiedziała, że nigdy nie zarobi tyle, by pozwolić sobie na takie życie, jakiego pragnęła, ale postanowiła tak wyglądać i żyć, jakby było ją na to stać.

Na święta Bożego Narodzenia zatrzymała się w hotelu Plaža. Spała, chodziła na zakupy, starała się nie pić i nie palić za dużo. Zaprosiła Martę na wspaniały lunch do Sali Edwardiańskiej. Przy kawie i deserze wręczyła Marcie atlasowe pudełeczko ze sznurem prawdziwych, lśniących pereł wielkości wiśni. Kupiła je pewnego popołudnia w Genewie, kiedy musiała zabić czas między zleceniami.

Nie wiedziała, czy sprawiły to perły czy obietnica, że przyśle po Martę w ciągu nadchodzącego roku, dość że po uroczej, pomarszczonej twarzy niani popłynęły nagle łzy. Marta zasłoniła z zakłopotaniem twarz dłońmi, aż zdołała się opanować.

- Och, Marto - pocieszała ją Sandrine, poklepując po dłoni. - Przestań. Kelner pomyśli, że nie smakuje ci creme brulee.

Marta powoli opuściła dłonie.

- Wiem, co musiałaś robić, żeby kupić te piękne perły.

Sandrine dziubnęła łyżeczką deser. Nie zamierzała okłamywać ani przeproszać Marty. Wiedziała, że niania jej nie krytykuje, a tylko stwierdza fakt. Sposób zarobkowania Sandrine nie mógł zmienić ich bezwarunkowej miłości. Mimo to widząc smutek w oczach Marty, Sandrine poczuła, że jest jej winna pewne wyjaśnienie.

- To nie jest straszne życie, Marto. Podróżuję, zwiedzam piękne miejsca, poznaję fascynujących ludzi.

- Twoja matka robiła to samo, zanim się urodziłaś - oświadczyła Marta.

Gdyby Marta podniosła widelec i wbiła go Sandrine między oczy, dziewczyna doznałaby mniejszego szoku.

- Co powiedziałaś? - spytała, wiedząc dokładnie, co usłyszała, ale potrzebując czasu na przyswojenie sensu słów.

- Na początku lat pięćdziesiątych twoja matka pracowała w Paryżu dla kobiety imieniem Cleo.

- Skąd o tym wiesz?

- Pracuję dla niej od dawna. Słyszałam niejedno, wiem niemało.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wykrztusiła Sandrine.

- Nie chciałam cię ranić.

- To mogłoby mi pomóc. Marta wzruszyła ramionami.

- Czy to dla tej kobiety pracujesz, Dreennie? Sandrine bezradnie skinęła głową.

- Gniewasz się na mnie? - spytała Marta, wpatrując się w nią błagalnie.

- Oczywiście, że nie - zapewniła Sandrine, znowu poklepując dłoń Marty. - Pewnie i tak bym się domyśliła prawdy o matce. Szkoda tylko, że nie wiedziałam wcześniej.

Miałabym więcej amunicji w walce, jaką toczyłam z nią przez lata.

Sandrine odprowadziła Martę do taksówki czekającej przed hotelem. Schyliła się i pocałowała nianię w czoło.

- Zadzwoń po powrocie do Paryża, kochanie. Proszę cię, nie martw się o mnie.

Przyślę po ciebie, kiedy tylko będę mogła.

Patrzyła, jak Marta macha jej przez tylną szybę, gdy taksówka wjeżdżała na zachodnią Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicę i ruszyła w stronę East Side.

Sandrine zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem chcąc oczyścić umysł.

Odwróciła się i ruszyła do parku. Drzewa otaczające piękny stary hotel przyozdobiono tysiącami lampek. Przystrojono nawet konne powozy, czekające na turystów po drugiej stronie ulicy. Koń z lampkami wokół uprząży skinął jej głową. Poczuli się trochę mniej samotna.

Szła w zimnym, rześkim powietrzu, czując, jak przejaśnia jej się w głowie. Po raz pierwszy w życiu zrobiło jej się żal matki. Tita Mandraki skrywała tajemnicę przez tyle lat. Ile razy wchodziła do pokoju, zastanawiając się, czy rozpozna ją dawny klient? Ile razy szła na spotkanie czy uroczystość związaną z jej pracami albo do bankiera z prośbą o poparcie, bojąc się, że sprawdzą jej przeszłość i prawda wyjdzie na jaw?

Po raz pierwszy zrozumiała, że duchy matki nie różniły się od tych, które ona sama usiłowała od siebie odsuwać. Czy miał nadejść dzień, kiedy i ona będzie zmuszona do maskowania się i kłamania, do życia w strachu, że wszystko, co osiągnęła, zniknie w chwili, kiedy prawda wyjdzie na jaw? Czy pojawi się mężczyzna, którego zapragnie bardziej niż samego życia, mężczyzna, którego będzie musiała okłamywać?

Wiedziała, że musi się zabezpieczyć przed zdemaskowaniem w ten sam sposób co matka - za pomocą pieniędzy. Bogaci nie muszą odpowiadać na pytania. Bogaci mogą opłacić każdego szantażystę, uciszyć każdego krytyka. Może to wyjaśniało, czemu matka odmówiła jej spadku. Te pieniądze stanowiły pewną ochronę, na wypadek gdyby miłość czy talent zawiodły. Cóż, niech sobie weźmie ten cholerny spadek. Sandrine musiała zacząć budować coś własnego, coś, na czym nikt nie zdoła położyć łap.

Madame Cleo musiała wiedzieć. Musiała odczuwać swoistą perwersyjną przyjemność, zatrudniając córkę dawnej dziewczyny Cleo. Wiedza o tym sprawiła, że ze wszystkich kłamstw omijanie prawdy wydawało jej się najbardziej nieuczciwe. Posiadanie o kimś pewnej wiedzy i nie wyjawienie jej dawało poczucie władzy, wyższości. Zrozumiawszy to, Sandrine straciła resztki sympatii dla madame Cleo. Pewnego dnia stawi jej czoło.

Zawróciła i ruszyła z powrotem do hotelu. Wiedziała, że to, czego szuka, władza, która ochroni ją przed wszystkim i wszystkimi, znajduje się gdzieś w Europie. Rok 1987 miał być jej rokiem. Rokiem, w którym znajdzie mężczyznę zdolnego rozwiązać jej wszystkie problemy.

Wiosną i wczesnym latem 1987 roku w willi na Ile de la Cite panował gorączkowy zgiełk. Nowa grupa dziewcząt ukończyła Wellington Close, a w wynajmowanych przez madame Cleo domach mieszkalnych wokół Paryża zaczynało brakować miejsc. Cztery dziewczęta należało tymczasowo umieścić na piętrze w willi. Ich żądania,

trajkotanie, wieczne wchodzenie i wychodzenie sprawiały, że Martin odchodził od zmysłów. Błagał madame o przydzielenie mu kogoś do pomocy w prowadzeniu ksiąg; twierdził, że nie może być jednocześnie służącym i zarządcą.

Dokonał wstępnych obliczeń, z których wynikało, że trzema dziewczętami przynoszącymi największe zyski były Amerykanki: Sandrine Mandraki, SueBee Slyde i Angel Weinstein. Sandrine brała tyle podwójnych i potrójnych zleceń, że bez sprawdzenia na planie nie sposób było określić, w którym mieście się aktualnie znajdowała. SueBee stała się z jakiegoś powodu ulubienicą angielskiej arystokracji, a w minionym tygodniu tak dzielnie się spisala w królewskiej posiadłości w Ascot, że Martin zabukował ją aż do jesieni. Angel pracowała ciężko, ale jej zachowanie budziło coraz większy niepokój. Nie dotrzymywała terminów. Kilku klientów doniosło Cleo, że Angel zwróciła się do nich z propozycją, by zostali jej wyłącznymi, prywatnymi klientami. Widywano ją w miejscach, gdzie nie powinna bywać.

Wszystko to układało się w niebezpieczny wzór. Martin wiedział, że madame nie podobało się zachowanie Angel, ale natłok obowiązków nie pozwalał mu położyć temu kresu. Wiedział, że zbliżał się dzień konfrontacji. Tymczasem on i madame musieli planować La Fantastique; baron zadzwonił już i udzielił konkretnych instrukcji. Należało wybrać trzy dziewczyny do specjalnych zadań, a z uwagi na jej zarobki Angel z pewnością zażąda, by ją wybrano. Nazwiska dziewcząt wybranych na La Fantastique miano ogłosić podczas oficjalnej kolacji, którą madame tradycyjnie wydawała pod koniec czerwca. Coś należało zrobić z Angel, i to wkrótce. W ciepły czerwcowy poranek Martin siedział za biurkiem. Sterty ksiąg rachunkowych, rejestrów i wyników miesięcznych badań lekarskich poprzygniatał wszystkim, co miał pod ręką, by ochronić przed wiatrem dmuchającym przez wysokie okna za biurkiem.

Chwilowo w domu panował dla odmiany spokój. Mieszkające na piętrze dziewczęta wyszły albo spały. Nanti krzątała się bez celu na dole, udając, że odkurza. Martin miał wreszcie chwilę na rozmowę z madame w cztery oczy.

Podszedł do drzwi jej gabinetu i zapukał dwukrotnie.

- Oui, wejdz.

Pchnął drzwi i wsunął głowę. Czytała coś przy biurku i nie podniosła głowy.

- Czy ma pani chwilę? - spytał ostrożnie. - Chciałbym omówić kolację. Przed piątkiem musimy przekazać menu dostawcom.

- Wejdz - powtórzyła, wciąż nie podnosząc wzroku. Martin usiadł na swoim tradycyjnym krześle przed biurkiem.

O wiele bardziej wolał rozmawiać z nią w tym gabinecie. Był przewiewny i chłodny, nie tak jak jej kliteczka na parterze, gdzie dostawał klaustrofobii.

Ostatnio mały pokój na dole oddano do dyspozycji dwóm ludziom, których adwokat Cleo zatrudnił do przejrzenia jej ksiąg. Było to jeszcze jedno źródło napięć panujących w willi. Sprawy podatkowe madame zawsze stanowiły jej małą tajemnicę; rozmawiała o nich tylko z Jackiem Aylerem i adwokatem. Rząd twierdził, że płaciła im za mało, ale Martin odnosił wrażenie, że to wielkoduszne ujęcie sprawy. W ciągu wszystkich lat znajomości z madame nie widział, żeby zapłaciła chociaż jednego franka podatków. Jack Ayler składał częste wizyty w pokoiku na dole, a

kiedy Martin mijał go wieczorem w drodze do domu, często słyszał dochodzące zza drzwi odgłosy kłótni. Wiedział, że kroilo się coś niedobrego. Kolejna rzecz, którą trzeba będzie się zająć, myślał, czekając, aż madame skończy czytać.

W końcu zamknęła grubą teczkę i zdjęła z nosa małe okulary do czytania w złotych oprawkach. Miała napiętą twarz i usta ściągnięte w wąską linię.

- Mamy problem - oświadczyła bębniąc po teczce długimi paznokciami.

Martin miał nadzieję, że problem nie dotyczył ludzi na dole.

- Co się stało? - spytał.

- Czy sprawdzałeś ostatnio plan Angel?

- Owszem, sprawdzałem. Właśnie skończyłem przeglądać księgi. Świetnie sobie radzi, nawet lepiej niż w zeszłym roku. Dlaczego pani pyta?

- Czy śledzisz działalność, jaką prowadzi na własną rękę?

- Tak. Z tego, co mi wiadomo, płaci nam wszystkie należności. Oczywiście nie sposób wiedzieć tego, o czym nam nie mówi.

Madame westchnęła ciężko.

- Nie mogę powstrzymać dziewcząt od zarabiania trochę na boku. Tak było zawsze.

Jednak z tego, co tu przeczytałam... - Podniosła teczkę i rzuciła z niesmakiem. -

...wynika, że Angel całkowicie wymknęła się spod kontroli.

- Co pani czytała?

- Raport mojego bliskiego przyjaciela z Monachium. Od lat łączą mnie z nim interesy. Wygląda na to, że został prywatnym klientem Angel. Powiedziała mu, że zamierza wykupić madame Lili i z radością przyjmie jego patronat.

Martin oniemiał. W przeszłości zdarzało się, że dziewczęta próbowały podobnych sztuczek. Kiedy madame się o tym dowiadywała (a dowiadywała się zawsze; jej siatka informatorów mogłaby służyć za wzór Scotland Yardowi), dziewczyna wyla-tywała z pracy, zanim zdążyła wyjąć z włosów lokówki. Ponadto madame dawała jej wilczy bilet. Po takiej historii z Cleo, żadna szanująca się madame nie chciała mieć z dziewczyną nic wspólnego.

- Faktycznie zauważyłem, że zbyt często lata do Frankfurtu - przyznał Martin. - Jestem zszokowany, naprawdę zszokowany. Czy chce pani, żebym ją odszukał i wezwał?

Madame Cleo milczała przez dłuższą chwilę. Wyglądało na to, że układa jakiś plan.

- Jeszcze nie - powiedziała w końcu z rozmysłem. - Gdybym ją teraz zwolniła, mogłaby mi wyrządzić sporo szkód. Jeśli przyjmuje prywatnych klientów, kto wie, jak może podburzyć inne dziewczyny.

- Co możemy zrobić? - spytał Martin.

- Zadzwoń w kilka miejsc. Muszę ją przyłapać na gorącym uczynku. W ten sposób będę ją miała w garści i wyślę do najgorszego miejsca, jakie mi przychodzi do głowy. Martin ujrzał w wyobraźni setki miejsc na całym świecie, stanowiących piekło prostytutek: marokańskie bazary, pakistańskie burdele, chińskie spelunki opiumowe.

- To znaczy dokąd? - spytał.

Madame podniosła słuchawkę i zaczęła wciskać numer.

- Do Las Vegas - odparła takim tonem, jakby mówiła o ścieku paryskim.

Pracując dla madame Martin widywał dziewczyny, które karała grzywną zwalaniała, wzywała na dywanik i besztła za rozmaite przewinienia, takie jak kradzież czy narkotyki. Niektórym kazała nawet opuścić kraj i nie pokazywać się jej więcej na oczy. Przypadki te były bardzo rzadkie. Dziewczyna, która zawiodła zaufanie madame, wylatywała z pracy, chyba że była winna Cleo dużą sumę pieniędzy. Madame zazwyczaj wpadała we wściekłość i spisywała na straty tysiące franków, jakie wydała na operacje plastyczne i stroje, byle tylko pozbyć się dziewczyny, która ją zdradziła. Myśl o Angel Weinstein, wyniosłej i dumnej, pracującej w holu hotelowym w Las Vegas, intrygowała go niepomiernie. Madame uśmiechnęła się do Martina z za biurka. Znał ten uśmiech, całkowicie pozbawiony wesołości.

- Odszukaj Sandrine. Zamierzam zlecić jej i Angel specjalne zadanie.

- A co potem?

- Po prostu znajdź Sandrine. Resztę powiem ci później.

- Dziś rano poleciała do Londynu, gdzie nasz klient zamówił ją na wieczorne przyjęcie. Postaram się z nią skontaktować. Co potem?

- Powiedz jej, żeby rano poleciała do Zurychu. Mam tam klienta, który dostanie darmowy wieczór w towarzystwie dwóch wspaniałych dziewcząt.

Martin zadzwonił do hotelu, w którym zatrzymała się Sandrine, ale powiedziano mu, że wyszła na zakupy. Zostawił wiadomość, żeby oddzwoniła natychmiast po powrocie. Potem zatelefonował do Jeremy Wilksa, londyńskiego łącznika madame. Usłyszał elektroniczną sekretarkę.

- Cholera - zaklął pod nosem i odłożył słuchawkę. Zadzwonił do Angel i kazał jej się przygotować do specjalnego zlecenia. Przynajmniej ją udało mu się namierzyć. Przez całe popołudnie dzwonił do Londynu, wreszcie o szóstej złożył broń. Zostawił z pół tuzina pilnych wiadomości w hotelu Sandrine i na sekretarce Jeremy'ego.

Martin kręcił się po biurze prawie do północy w nadziei, że Sandrine albo Jeremy jednak się odezwą. Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, podskoczył i chwycił słuchawkę, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

- Gdzie ty się podziewasz? - zapytał nawet się nie przedstawiając.

- Na lotnisku, Martin - odezwał się znajomy głos. - Tutaj. Właśnie przyleciałam i pomyślałam, że się zgłoszę.

Martin opadł na krzesło.

- SueBee - westchnął. Nikt inny nie wymawiał jego imienia jak „Narty”.

- Co jest grane? Jestem ci potrzebna? Martin plasnął się w głowę.

- Poczekaj, kochanie, zaraz sprawdzę. Pospiesznie zadzwonił do buduaru madame na piętrze. Madame, która tradycyjnie zasypiała dopiero we wczesnych godzinach rannych, powiedziała, że owszem, może wysłać SueBee, jeśli nie ma Sandrine, choć jest to trochę niezręczne.

Klientem, który czekał w Szwajcarii na dwie dziewczyny Cleo, był szejk Omar Zaki. Sandrine wiedziała, że Martin chce się z nią skontaktować, i unikała go. Spędziła popołudnie u fryzjera, gdzie kazała sobie umyć i ułożyć włosy. Zafundowała sobie depilację woskiem, saunę, mycie ziołami, godzinny masaż, manicure, i pedicure. Na koniec kazała sobie zrobić profesjonalny makijaż.

Wyszła z salonu Ma Eglantine przy Oxford Street lśniąca i promienna. Pojechała taksówką do butik Chanel w Chelsea, gdzie za siedem tysięcy dolarów kupiła suknię, która leżała na niej jak druga skóra. W ciągu całego popołudnia kilkakrotnie zadzwoniła do hotelu i pytała o wiadomości. Wszystkie były od Martina, każda bardziej nagła od poprzedniej. Zadzwoniła do Jeremy'ego Wilksa i poprosiła, by nie rozmawiał z Martinem, gdyby ten telefonował. Wiedziała, że Martin mógł dzwonić tylko w sprawie pilnego zlecenia. Po każdym telefonie do hotelu dziękowała recepcjoniście i wracała, żeby robić się na bóstwo. Nic nie mogło jej odwieść od misji, jaką wyznaczyła sobie na noc.

Tego dnia rano, kiedy przyleciała z Paryża, Jeremy czekał na lotnisku. Podbiegł, by wziąć od niej torby, niemal piszcząc z podniecenia.

- Moja droga, wprost nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć ci o dzisiejszym przyjęciu.

- Och, Jeremy - jęknęła. - Co jest takiego podniecającego w głupim koktajlu z okazji nowego dzieła Andrew Lloyd Webera? Wiesz dobrze, że będzie nudno jak w grobie. Przyjęła to nagle zlecenie w Londynie tylko dlatego, że ktoś przepłacił za to, by kilka pięknych dziewcząt ozdobiło salę balową w Savoyu i było miłych dla wszystkich. Jeremy'emu zabrakło dziewczyny, więc zwrócił się do Martina o pomoc. Seks nie wchodził w grę, co prawdopodobnie oznaczało, że Sandrine miała wylądować na kolacji z jakimś nudnym starcem i złapać poranny samolot do Paryża bogatsza o kilka tysięcy dolarów.

Szli przez halę lotniska, a Jeremy przerwał jej tok myślowy.

- Zarezerwowałem dla ciebie miejsce w Ma Eglantine na popołudnie. Wolisz saunę czy parę?

- Po co to całe zamieszanie? Jeremy zrobił dramatyczną przerwę.

- Dzisiejszym gościem jest Jourdan Gam.

Słowa Wilksa odniosły zamierzony skutek. Sandrine stanęła i wlepiła w niego oczy.

- Niech mnie diabli.

- Przylatuje z Nowego Jorku prywatnym samolotem pełnym gości. Zatrzymuje się w swoim londyńskim domu, więc jeśli odpowiednio rozegrasz karty, możesz zobaczyć najbardziej elegancki dom w Belgravii. Nie mówiąc o znajomości z trzecim pod względem bogactwa człowiekiem na świecie...

Sandrine nie odpowiedziała; Jeremy wrzucił jej torbę do bagażnika swego Rollsa zaparkowanego przed biurem Air France.

Mój Boże, pomyślała, czując, jak zaczynają ją swędzieć opuszki palców. To mogło być to! Jourdan Gam! Widziała jego zdjęcie ze sto razy; czytała o nim w „Fortune” i w „Forbes”.

Kiedy zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, sprawdziła, czy szybka działowa była zamknięta, i zwróciła się do Jeremy'ego.

- Mogłeś to zlecić innej dziewczynie.

- Wiem - odparł Jeremy z lekkim uśmiechem. - Czuję, że na to zasługujesz. Dasz sobie radę z kimś takim jak Gam.

- Dzięki, Jeremy - odparła Sandrine, obdarzając go uśmiechem. - Masz rację. Wiem dokładnie, co z nim zrobić.

Punktualnie o siódmej tego wieczoru Jeremy przyjechał po nią do hotelu.

Zauważyła, że z trudem przełknął ślinę na jej widok. Bez słowa pomógł jej wsiąść do Rollsa i dopiero kiedy ruszyli, powiedział:

- Jourdan Garn nie będzie wiedział, co go rąbnęło. Sandrine miała wrażenie, że w każdym mieście, do którego przyjeżdżała, znajdował się klon Jeremy'ego. Wszyscy mężczyźni madame Cleo byli młodzi, szczupli i wysocy; fotografowie, artyści albo po prostu pieczeniarze, którzy dobrze prezentowali się w smokingach. Madame posługiwała się nimi jako chłopcami na posyłki. Jeśli mieli tradycyjne gusta seksualne, czasami pozwalała im pójść do łóżka z nową dziewczyną, żeby ją sprawdzić, podobnie jak faworyzowała w Paryżu Jacka Aylera. Jeremy nie należał do tej kategorii.

Im bardziej zbliżali się do Savoyu, tym większy ruch panował na Strandzie, toteż Rolls posuwał się w ślimaczym tempie.

- Myślisz, że będzie tam ktoś, kogo chciałbym poznać? - spytał Jeremy, kiedy Rolls utknął na dobre.

- Hm. Czy gustujesz w aktorach? - spytała Sandrine wyglądając przez okno.

- Raczej nie - odparł krzywiąc się.

- Cóż, działasz na własny rachunek, Jeremy. Ja już mam upatrzony cel na dzisiejszą noc.

- Rzeczywiście - powiedział z uśmiechem. - Czy chcesz, żebym coś zrobił?

- Tak, chcę, żebyś znalazł kogoś, kto nas sobie przedstawi. Garn nie musi wiedzieć, że jestem pracującą dziewczyną, nie od razu. Mężczyźni czują się lepiej, jeśli sądzą, że zdobyli cię własnym urokiem osobistym.

Jeremy odrzucił do tyłu długie, jedwabiste włosy i wybuchnął śmiechem.

- Dobrze, Sandrine, tak zrobimy.

Nagle Jeremy chwycił ją za rękę i otworzył drzwiczki samochodu, który od pięciu minut nie poruszył się nawet o centymetr.

Pójdziemy piechotą - oświadczył, ciągnąc ją za sobą. - Przy tym ruchu nigdy tam nie dojedziemy.

Sandrine wysiadła i poprawiła górę długiej sukni z czarnego atlasu sięgającej z przodu pod szyję. Na plecach zwieszał się miękki kaptur, odsłaniający alabastrową skórę na kilka centymetrów poniżej talii. Każdy, kto tańczył z Sandrine, musiał dotknąć chłodnej, jedwabistej skóry. Założyła wiktoriański naszyjnik składający się ze sznurów drobnych pereł, granatów i onyksów, które Jeremy wypożyczył z kolekcji biżuterii, przechowywanej przez madame Cleo w sejfie banku Courts przy Sloane Square. Przez ramię przewiesiła długą etolę z czarnych lisów z kolekcji futer, które Cleo wypożyczała od Harrodsa. Makijaż Sandrine był czystą doskonałością.

Kiedy wstąpili na czerwony dywan wiodący od krawężnika do obrotowych drzwi hotelu Savoy, reflektory kamer telewizyjnych obróciły się, omiatając ich oślepiającym blaskiem. Ktoś zaczął bić brawo i momentalnie przyłączyli się do niego inni gapie cisnący się do barierek policyjnych.

- To na pewno Raquel Welch. - Usłyszała Sandrine czyjś głos o silnym londyńskim akcencie.

- Nieee, ta laleczka jest za młoda. To Cybil Shepherd.

- Daj pan spokój - zaprotestował Londyńczyk. - Cybil Shepherd jest blondynką.
- W każdym razie ta dziewczyna musi być kimś!

Sandrine spojrzała na swoje małe czarne sandały i uśmiechnęła się do siebie. Uwielbiała, kiedy ludzie brali ją za kogoś sławnego. To, kim naprawdę była, jawiło jej się jako słodki, sekretny psikus zrobiony światu.

Powoli minęli wysokie otwarte drzwi, a Jeremy otoczył ją opiekuńczym ramieniem. Wszedłszy do holu, usłyszeli dobiegające z oddali dźwięki muzyki.

Przyjęcie odbywało się w olbrzymiej sali obok holu. Przez chwilę stali w drzwiach, chłonąc scenę. Wzdłuż obu ścian sali biegły suto zastawione bufety. Na początku i na końcu każdego z nich znajdowały się barki, gdzie rozgorączkowani barmani zapelniali tace kelnerów drinkami i kieliszkami szampana. W sali znajdowało się około dwustu niezwykle wytwornych osób. Mężczyźni mieli czarne krawaty lub mundury w pełnej gali. Nieliczne kobiety wyglądały jak aktorki lub modelki.

Sandrine zastanawiała się, ile z nich było, jak ona, profesjonalistkami.

Jeremy przeprowadził ją przez tłum do barku w głębi sali. Na małym podeście cicho grał kwartet smyczkowy. Jeremy chwycił dwa kieliszki szampana z tacy przemykającego nie opodal kelnera. Z kieliszkami w dłoniach ruszyli ku wolnej przestrzeni pośród tłumy. Wszystkie głowy odwracały się za Sandrine.

Stała bardzo blisko rękawa smokingu Jeremy'ego, rozglądając się niedbale po sali.

- Widzisz go? - spytał Jeremy ze znaczącym uśmiechem.

- Jeszcze nie - odparła spokojnie. - Sądząc ze zdjęć, chyba nie jest zbyt wysoki.

Trudno go będzie namierzyć w tym morzu pingwinów.

- Jakiego koloru włosów szukamy?

- Hmm, ciemnych. Ciemnobrazowych z siwymi skroniami. Zawsze jest opalony.

- Większość tych facetów jest łysa albo ma cerę koloru owsianki - stwierdził pogardliwie Jeremy, biorąc łyk szampana.

- To kwestia angielskiego powietrza - powiedziała Sandrine, nie przestając lustrować sali. Nagle zastygła. - Mam go!

- Gdzie?

- Tam, na prawo od tej wysokiej paproci. Widzisz?

- Poczekaj! - krzyknął Jeremy z podnieceniem. - Dopisuje nam szczęście. Rozmawia z sir Peterem Knightem. Pracowałem z nim, kiedy pisał dla „Express”. Lepiej się pospieszmy. Podali sobie ręce; wygląda na to, że sir Peter rusza dalej.

Jeremy ujął ją za łokieć i pociągnął skrajem parkietu ku ofierze.

Sandrine skupiła taksujący wzrok na Gamie. Był przystojny, miał smoking o europejskim kroju, głęboko wcięty pod pachami i zebrany w tali. Kiedy mówił, unosiły mu się nieco kąciaki pełnych ust. Z profilu przypominał młodego Brando, ale bez posępnej, marsowej miny. Sandrine wyprostowała plecy wzorem modelek, udając, że ktoś pociągnął za żyłkę przymocowaną do czubka jej głowy. To będzie bułka z masłem, pomyślała, czując znajomy przyływ energii, którego doznawała wchodząc na parkiet dyskoteki w Nowym Jorku. Dawniej celem Sandrine było ściągnięcie i utrzymanie niepodzielnej uwagi tłumy. Tym razem kierowała energię tylko na jednego mężczyznę. Nie miał najmniejszych szans.

Kiedy znajdowali się w odległości najwyżej piętnastu kroków od Garna, Sandrine złapała nagle Jeremy'ego za rękaw.

- Poczekaj.

- Co... - spytał w pół kroku.

- Podejdz sam i się przywitaj. Ja zostanę z tyłu. Zauważy, że jesteś ze mną, i poprosi, żebyś go przedstawił. Tak będzie lepiej.

Jeremy spojrział na nią sceptycznie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Mamy tylko jedną szansę. Nie możemy uganiać się za gościem po całej sali.

- Zaufaj mi - powiedziała Sandrine uśmiechając się powoli. Zrobiła dwa małe kroki w tył, pozwalając Jeremy'emu podejść do dwóch mężczyzn. Przysłuchiwała się, jak w niezwykle poprawnych słowach wita się z sir Peterem, składając mały pokłon. Sir Peter przedstawił Jeremy'ego Gamowi. Musiała przyznać, że Jeremy potrafił się znaleźć. Lekko pochlebił Garnowi, robiąc wzmiankę o artykule w „Timesie”, gdzie chwalono jego udział w nowym spektaklu Webera.

Mężczyźni rozmawiali, a Sandrine stanęła na linii wzroku Garna, czekając, aż zauważy, że mu się przygląda. Nie musiała czekać długo. Kiedy tylko jego jasnoniebieskie oczy spoczęły na jej twarzy, odbyły krótką, aprobującą podróż w dół jej ciała i z powrotem. Znowu spojrział na jej twarz, a Sandrine nawiązała kontakt wzrokowy, wysyłając tyle erogennych sygnałów, ile tylko zdołało przemknąć przez jej umysł. Minimalnie rozchyliła wargi, odrobinę opuszczając powieki.

Fala gorąca przemknęła jej po plecach i zatrzymała się pod piersiami. To działało! Garn wciąż mówił do Jeremy'ego, ale słowa traciły impet. Wreszcie zamilkł i posłał jej wyćwiczony, seksowny uśmiech. Sandrine powoli przygryzła kącik dolnej wargi, a potem, równie powoli, go puściła. Reakcja Gama powiedziała jej, że miała do czynienia z wytrawnym graczem. Stał przed nią mężczyzna całkowicie pewny własnej seksualności; cała jego postawa mówiła: „tylko powiedz, czego chcesz, kochanie”. Ten brak wątpliwości co do własnej atrakcyjności był sam w sobie pociągający. Sandrine знаła znacznie mniej przystojnych mężczyzn posiadających ten dar, który podniecał kobiety bez względu na pozycję takiego człowieka.

Pomyślała, że gdyby tylko wszystkie niezguły tego świata zrozumiały tę prawdę, spadłaby liczba gwałtów i morderstw.

W końcu Garn mrugnął. Przerwał kontakt wzrokowy.

Sandrine zwyciężyła.

Przez chwilę z zakłopotaniem usiłował grzecznie opuścić towarzystwo interlokutorów. Wiedziała, że podejdzie do niej nie dalej niż za kilka sekund. Garn uściśnął dłoń Jeremy'ego, a Sandrine odwróciła się i przeszła podwójnymi drzwiami po lewej do mniejszej, ciemniejszej sali, gdzie ukryła się za kolumną. Przez ramię ujrzała Garna, który stanął w oświetlonych drzwiach rozglądając się za nią.

Poczekala, aż odejdzie, potem wróciła wolnym krokiem do głównej sali i obeszała rozmawiających mężczyzn szerokim łukiem. Nagle poczuła na ramieniu czyjaś dłoń, odwróciła się i ujrzała Jeremy'ego, który przyglądał się jej spod zmarszczonych brwi.

- Co jest grane? - spytał z dezaprobatą. - Bawisz się w chowanego?

- Można tak to ująć - odparła ze śmiechem, pociągając go na parkiet. Miejsce kwartetu smyczkowego zajęła kapela, która właśnie rozpoczęła głośny numer rockowy. Sandrine przytuliła się do nakrochmalonej koszuli Jeremy'ego, pozwalając, by rytm udzielił się nogom. Znalazła się z powrotem w klubie Pod Skrzydłami; dała się ponieść muzyce. Odrzuciła głowę, rozluźniła stawy i zaczęła falujący taniec, wiedząc, że Jourdan Garn obserwuje ją z któregoś miejsca sali.

- Jezu - wykrztusił Jeremy, wytrzeszczając oczy, kiedy okrążyła go, stukając wysokimi szpilkami, wyginając plecy i unosząc ręce wysoko ponad głowę. Spojrzała na niego kokieteryjnie.

- Podoba ci się? - spytała, znając odpowiedź.

- Niewiarygodne - odparł, a potem obejrzał się przez ramię. - Oho, spodobałaś się jeszcze komuś, kochanie. Pan Garn stoi tuż za tobą i nie spuszcza ciebie z oczu.

- Taki miałam plan.

Jeremy wykonał szybki obrót, trącając ją żartobliwie biodrem.

- Chyba zaraz zaczniesz się ślinić. Uwaga, nadchodzi! Sandrine nie odwróciła się. Tańczyła dalej, aż poczuła czyjeś ciało ocierające się o nią od tyłu. Jednym zwinnym ruchem, w doskonałej synchronizacji z muzyką, obróciła się ładując w ramionach Garna.

Muzyka przeszła w wolny utwór, jakby prowadzący wyczuł rozgrywające się na parkiecie seksualne przedstawienie i chciał asystować tańczącym, którzy poruszali się niczym jedno ciało. Żadne z nich nie odezwało się słowem przez dwa kolejne utwory. Rozbrzmiewała tylko muzyka i oddech Garna przy uchu Sandrine.

Postanowiła, że musi odezwać się pierwszy.

Wreszcie przytknął usta do jej włosów.

- Kim jesteś? - spytał przeciągając słowa, jakby wymawianie ich przychodziło mu z trudem.

Odsunęła głowę i znowu spojrzała mu w oczy.

- Mam na imię Sandrine - odpowiedziała cicho.

- To wszystko?

- Mhm. - Uśmiechnęła się.

- Zgub tę ciotę - powiedział szorstko.

- Słucham?

- Tego fotografa. Przyszłaś razem z nim, prawda?

- Nie nazywaj go „ciotą” - powiedziała ostro. - Zresztą nie zostawiłabym go, nawet gdyby nią był.

- Dlaczego nie? - spytał Garn przesuwając dłoń niżej po jej plecach, aż namacał opuszkami palców wygięcie kręgosłupa.

- Ponieważ zawsze wracam z tańców do domu z tym samym mężczyzną, z którym przyszłam. - Nie zrobiła nic, by powstrzymać jego pieśczętę.

- Boże, jak cudownie jest cię dotykać - powiedział, przyciągając ją bliżej.

- Ciebie też - odparła przesuwając biodra tak, że jej prawe udo znalazło się między nogami Garna. - Zbyt cudownie. - Napięła mięśnie ud, aż zaczęły drżeć. Wiedziała, że musiał wyczuwać delikatną wibrację jej napiętego ciała.

Sandrine została nagrodzona cichym jękiem i twardym wybrzuszeniem w spodniach, które powiedziało jej, że strategia odnosiła pożądany efekt. Opuściła czoło na ramię Garna i szepnęła:

- Jestem taka zażenowana. Znowu zbliżył usta do jej włosów.

- Co się stało?

- Nie poznajesz?

- Co? - spytał bezgłośnie. - Co się dzieje?

Przestała tańczyć, objęła go w pasie i mocno otarła się o niego biodrami. Wydała krótki okrzyk, a jej ciało przeszył jeden długi, konwulsyjny dreszcz.

Garn tulił ją w zdumionym milczeniu, aż wydała cichy zwierzęcy odgłos i zwiśla bezwładnie w jego ramionach.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnął w oniemiałym zachwycie. - Czy stało się to, co myślę, że się stało?

Sandrine wciąż opierała mu głowę na ramieniu.

- Proszę, wybacz mi. Jestem przerażona - wyznała z cichym łkaniem.

- Przerażona? Kochana dziewczyno! Przeżyłaś orgazm, tak? Sandrine uniosła powoli głowę i odgarnęła z twarzy ciemną zasłonę włosów.

- Proszę, ja...

- Cśśś, maleńka, nic nie mów - uciszył ją, pocierając kciukiem dolną wargę Sandrine.

- Nie czuj się zażenowana, to piękne. Czy często ci się to zdarza?

- Nigdy! - zapewniła otwierając szeroko oczy. - Coś takiego nigdy mi się nie zdarzyło, nigdy.

- Naprawdę tak bardzo cię podniecam?

Sandrine wzięła głęboki wdech i skinęła głową, szukając wzrokiem Jeremy'ego.

Dostrzegła go roześmianego w kółku gości przy drzwiach.

- Muszę iść - powiedziała szybko. - To mnie napęlnia strachem.

Oderwała się od niego i pobiegła do Jeremy'ego, nie czując ani odrobiny strachu.

Wręcz przeciwnie, czuła się tak, jakby właśnie obwiązała świat wielką czerwoną wstążką.

Podbiegając do Jeremy'ego nie zwolniła kroku, ale chwyciła go za rękaw, okręciła i pociągnęła do drzwi.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał, kiedy wyciągnęła go z holu na ulicę. - Coś ty tam, do cholery, zrobiła?

- Spuściłam się - odparła rozglądając się za ich samochodem.

- Co takiego?

- Chodźmy - ponagliła go. - Tam jest samochód, szybko.

- Nie rozumiem - wydyszał Jeremy.

- On zrozumiał. Tylko poczekaj, to zobaczysz.

Na ich widok kierowca wyprężył się na baczność i otworzył tylne drzwiczki.

Szybko wsiedli do tyłu, a kiedy duży wóz wyjechał na ulicę, Sandrine zwróciła się do Jeremy'ego:

- Dobra, oto co chcę, żebyś zrobił: wracam do hotelu. Ty jedź prosto do domu. Kiedy do ciebie zadzwoni, musi się porządnie napracować, żeby wyciągnąć mój adres, ale w końcu masz mu powiedzieć.

- Jourdan Gam ma do mnie zadzwonić? Chyba żartujesz. On nie ma zielonego pojęcia, kim jestem.

- Zna sir Petera. Znajdzie cię, możesz mi zaufać. Zadzwoni do ciebie. Nie wolno ci się ruszać od telefonu, dopóki tego nie zrobi.

W niecałą godzinę później Sandrine odebrała w swoim apartamencie telefon.

Recepcjonista powiadomił ją, że pan Garn właśnie do niej jedzie.

Stała w otwartych drzwiach i patrzyła, jak wychodzi z windy. Szedł ku niej korytarzem z twarzą naznaczoną pożądaniem.

- Pakuj swoje rzeczy - rozkazał wchodząc do środka. -I nigdy więcej mi nie uciekaj.

Nazajutrz, pijany seksualnym wyczerpaniem, zostawił śpiącą Sandrine w pogniecionej atlasowej pościeli sypialni swego domu w Belgravii. Kiedy w południe wrócił ze spotkania, spragniony jej tak, jak nigdy nie był spragniony żadnej kobiety, Sandrine zniknęła.

Dotarcie do hali dla pasażerów lotniska Heathrow zajęło Angel i SueBee dobre pół godziny. Zanim przeszły przez halę główną, Angel zatrzymała się, by wdać się w ożywioną rozmowę z dwoma Egipcjanami w ciemnych okularach i z olbrzymimi Rolexami na przegubach.

Kiedy czekały, aż urzędnik sprawdzi ich torby, z kolejki wyszedł bardzo wysoki jasnowłosy Niemiec i chwycił Angel za łokieć. Rozmowa zajęła kolejne pięć minut. Nie przedstawiała SueBee nikomu w nadziei, że rozmowy będą krótkie. W końcu uwolniła się i przyjaciółki ruszyły do poczekalni pierwszej klasy.

- Dobry Boże, Angel - powiedziała ze śmiechem SueBee. -Czy ty znasz absolutnie wszystkich?

Angel odrzuciła włosy i poprawiła pasek torby podróżnej Gucciego zsuwający jej się z rękawa futra.

- Niezupełnie - odparła niedbale. - Ale oni mnie znają.

Południowy lot do Zurychu został opóźniony, toteż nie pozostało nic innego, jak się rozgościć. Angel ułożyła się obok biurka recepcjonisty, a jej futro zajęło połowę kanapy. Obie przyjaciółki musiały stanowić niemałą atrakcję dla pozostałych podróżnych: dwie piękne, bogato ubrane kobiety w futrach w czerwcu, z bagażem podręcznym wartym ponad tysiąc dolarów sztuka.

Angel próbowała udawać, że nie dba o poświęcaną jej uwagę, ale uwielbiała to.

Ludzie poznawali ją wszędzie i stanowiło to najprzyjemniejszą stronę pracy dla madame Cleo. Musiała tylko znaleźć sposób, by przełożyć prawione jej komplementy na coś bardziej konkretnego. Tą myślą nie dzieliła się jednak z SueBee.

Z zadowoleniem przyjęła zlecenie Martina. Lubiała SueBee, a od czasu Wellington Close rzadko ją widywała; podróżowanie z nią będzie frajdą. Martin nie powiedział dokładnie, z kim miały się spotkać, ale Angel nie robiło to różnicy. Wszyscy klienci zaczęli się do siebie upodabniać. Zapamiętywała tylko tych, którzy byli potencjalnymi klientami w jej planach na przyszłość.

Z niezadowoleniem stwierdziła, że punktem docelowym ich podróży nie był sam Zurych. Typowa niedokładność Martina, którego orientacja geograficzna ograniczała się do najbliższego lotniska. Kiedy przyleciały, podstawiono dla nich wynajęty samochód. Z lotniska miały pojechać do Klosters, ekskluzywnego kurortu

narciarskiego. Zarezerwowano im pokoje w Chesa Grishuna, gdzie miały czekać na telefon.

Samochód, lśniący czarny Porsche, czekał przy krawężniku przed wejściem do hali linii SwissAir. Angel automatycznie zajęła miejsce za kierownicą, a SueBee usiadła obok.

W milczeniu jechały w chłodnym, gasnącym świetle krętą górską drogą prowadzącą do Klosters. Przypominały dwóch znużonych komiwojażerów jadących do kolejnego klienta.

Angel nie była w najlepszym nastroju; czuła się zmęczona. Podczas ostatniego zlecenia obsługiwała poselstwo Trzeciego Świata w Brukseli, gdzie zasępieni mężczyźni w źle skrojonych garniturach oglądali na wideo pierwszą i drugą część „Ojca chrzestnego” i pili szkoocką.

- Jeśli wkrótce nie znajdę przy tej cholernej drodze miejsca do sikania, moja szpara zacznie jodłować - warknęła do SueBee, która wyglądała przez okno podziwiając krajobraz w niemym zachwycie.

- Boże, twoje słownictwo ani trochę się nie zmieniło.

- Owszem, zmieniło. Mówię tak tylko w towarzystwie przyjaciół.

- Cóż, masz ich całe masy, kochanie - stwierdziła SueBee z uśmiechem. - Samo przejście z tobą przez lotnisko to mordęga.

- A, tamci - westchnęła Angel, redukując bieg do jedyńki, żeby wziąć kolejny ostry zakręt. Kręta alpejska droga okazała się znacznie bardziej zdradziecka, niż to przewidział agent z wypożyczalni w Zurychu i chociaż była doświadczonym kierowcą, droga wymagała skupionej uwagi. - To nie są przyjaciele, maleńka. To pieniądze w banku.

SueBee podniosła kołnierz futra ze srebrnych lisów. Mimo iż było wczesne lato, skalisty krajobraz wciąż znaczył śnieg.

- „Szpara” to jednak takie wulgarne słowo, nie sądzisz? - nalegała SueBee.

- Wyluzuj się, SueBee - odparła Angel wyglądając przez przyciemnioną przednią szybę na wirujące płatki śniegu. - Za dużo zadawałaś się z Angolami.

- To takie męskie słowo - stwierdziła SueBee, nie chcąc zmienić tematu.

- Cóż - prychnęła Angel. - Znajdźmy określenie na nasze narzędzie pracy, które nie urazi twoich delikatnych uszu. Co powiesz na „pochwę”?

SueBee westchnęła ciężko i wyjrzała przez boczną szybę na szarą mgłę zalegającą w połowie wysokości gór. Pokrywający szczyty śnieg przybrał barwę granatową. W dolinie migotały światła kurortu narciarskiego. Balkony starych wiejskich domów i schronisk narciarskich miały ręcznie rzeźbione balustradki, a na pobielonych ścianach widniały prymitywne malunki.

- „Cipa”? - warknęła Angel. - Pasuje pani, pani Onassis?

- Co cię ugryzło? - spytała SueBee. - Masz zły humor? Angel spojrzała na przyjaciółkę. Błada twarz SueBee zdawała się falować w poblasku światła tablicy rozdzielczej. Futro wypożyczone z kolekcji madame Cleo łączyło się z jasnymi włosami SueBee, a reszta ciała zdawała się tonać w mroku pędzącego samochodu.

- Zaczyna mnie męczyć to życie, SueBee - powiedziała Angel przerywając milczenie.

- Zaczynam się czuć jak zgubiony bagaż. Oglądałam tylko lotniska i hotele. Pamiętasz

te wszystkie bzdury, które nam opowiadano w Wellington Close? Cóż, chciałabym wiedzieć, kiedy się to zacznie?

- Słucham?

- No wiesz, wspaniałe życie, przepych, śmietanka towarzyska, jacht Khashoggiego, królewski Gulf Stream, pierwszy stolik w Côte Basque. Co? Wszystkie te pyszności, które miały nam przypaść w udziale, jeśli będziemy pracować dla niesławnej madame Cleo? Czy tobie już się to przytrafiło? Bo ja wciąż czekam.

- Na miłość boską, Angel, jaka ty jesteś zgorzkniała. Jedziemy Porschem, ubrane w futra, mamy po tysiąc dolarów na wydatki, a dostaniemy jeszcze więcej. Jesteśmy w Szwajcarii i zaraz spotkamy się z bogatymi, bardzo wpływowymi ludźmi. Nie wiem, czy tobie, ale mnie wiele z tych rzeczy wydarza się po raz pierwszy. To co innego niż tłuc torebkami o latarnię na Times Square.

- A jeśli ci faceci okażą się zbrojeńcami?

- Nie okażą się. Martin powiedział, że są specjalnymi przyjaciółmi madame, a ona nie toleruje zbrojeńców. Jeśli się nam nie spodoba, to znajdziemy najbliższy telefon, zadzwonimy do Martina i powiemy: „Martin, kochanie, ci faceci to zbrojeńcy”. Musiałam to robić raz czy dwa. Wiem, że Sandrine to robiła. Żaden problem.

Angel westchnęła i potrząsnęła głową; niezmiennie pogodny charakter SueBee zaczynał ją męczyć.

- Kurczę, ale jej się poszczęściło - ciągnęła SueBee. Angel odwróciła gwałtownie głowę.

- Komu się poszczęściło? Co się stało? SueBee zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba mogę ci powiedzieć. Zadzwoniła do mnie dziś rano, kiedy wychodziłam. Po prostu piała z zachwytem. Poszła na jakieś eleganckie przyjęcie w Londynie, gdzie poznała Jourdana Garna. Dzwoniła z jego domu w Belgravii. Po tym jak Garn wyszedł rano na spotkanie, kamerdyner wszedł do sypialni ze śniadaniem na tacy. W pojemniku na jajko leżał sznur opali ze Sri Lanki z zapięciem z diamentów i szafirów. Tak ją to trzepnęło, że musiała komuś powiedzieć.

- Jourdan Garn jest klientem Sandrine? - Angel prawie krzyczała. - Jourdan z „Fortune”? Ten Udzielny Władca? Ten Prywatny Odrzutowiec Garn?

- To chyba ten sam - odparła krótko SueBee. - Ale on nie jest jej klientem. Poznała go na tym przyjęciu.

- Jasne.

- Naprawdę, Angel - nalegała SueBee. - Nie zdradziła mu jeszcze, że jest profesjonalistką. Powiedziała kamerdynerowi, że woli jajko gotowane przez cztery minuty i kazała mu odnieść opale do kuchni.

- Zwariowała?

- Nie. Gra na zwłokę - wyjaśniła SueBee.

- Gra na zwłokę? W jakim niby celu?

- Oczywiście w celu małżeństwa.

- Daruj sobie, kurwa - krzyknęła Angel. - Sandrine jest dziewczyną na telefon.

Jourdan Garn ma się ożenić z dziewczyną na telefon? Chyba jak Sandrine to sobie narysuje.

- Cóż - powiedziała przeciągle SueBee z uśmiechem. - Nie lekceważ Sandrine. Właściwie, Angel, nie lekceważ dziewczyn na telefon, a już na pewno dziewcząt Cleo.

- Och, daj spokój. - Angel odrzuciła głowę.

- Uważaj!

Angel szybko spojrzała na drogę. Z całej siły chwyciła kierownicę i szarpnęła w prawo, minimalnie mijając duży ciemny przedmiot leżący na środku drogi.

- Co to, kurwa, było? - wykrztusiła, wyrównując kierownicę.

SueBee odwróciła się i wyjrzała przez tylną szybę.

- Fuuu, to jakieś zwierzę, koza czy coś takiego. Ktoś musiał przejechać biedactwo.

- Boże - jęknęła Angel. - Kiszki rozrzuciło po całej drodze. Chyba zwymiotuję.

- Ohydne jest tylko to, że to biedne zwierzę nie żyje.

- Ale my żyjemy - warknęła Angel. SueBee zaczynała jej grać na nerwach tą swoją świętoszkowatością, wesołością, a przede wszystkim wiecznym optymizmem.

Zachowywała się tak w Wellington Close i ani trochę się nie zmieniła. W głębi serca Angel wiedziała, że jej problem polegał na tym, iż zazdrościła SueBee. Zazdrościła jej szacunku do własnej osoby i niewyczerpanej ciekawości życia. Zabolęła ją wiadomość, że Sandrine zadzwoniła z taką osobistą nowiną do SueBee, a nie do niej. Angel znała Sandrine dłużej niż SueBee. Boże. Jak długo miała jeszcze czekać na swoją złotą okazję związaną z pracą dla madame Cleo? Nie czuła się tak przygnębiona od wyjazdu z Nowego Jorku.

SueBee praktycznie zniknęła w kołnierzu futra, zamknęła oczy i zasnęła, kołysana muzyką rockową nadawaną przez jakąś niemiecką stację.

A więc Sandrine znalazła swojego miliardera, pomyślała Angel. Musiała przyspieszyć w pogoni za sukcesem.

Niski rumiany recepcjonista pracujący na nocnej zmianie w Chesa Grischuna podniósł wzrok i ujrzał podchodzące dwie piękne kobiety w podobnych czarnych kombinezonach narciarskich i jasnych futrach. Za nimi biedził się bagażowy, z trudem pchając wózek załadowany na wysokość dwóch metrów czarnymi torbami z krokodylej skóry ze złotymi zawiasami, zamkami, rogami i rączkami.

Kobiety stanowczo nie pasowały do alpejskiego wystroju, zegarów z kukułką, zasłon w biało-czerwona kratę i drewnianych stropów przytulnego holu. Ludzie odwiedzający Klosters przyjeżdżali tu na narty, lecz te kobiety z całą pewnością nie były sportsmenkami.

Podeszły do recepcji, a urzędnika spowił obłok drogich perfum. Zbliżył się z zawodowym uśmiechem powitania.

- Rezerwacja dla hrabiny de Marco - powiedziała rudowłosa zmysłowo.

Uśmiech zastąpił na ustach recepcjonisty.

- Proszę pozwolić, że sprawdzę,, madame - powiedział wyniośle i zniknął za wahadłowymi drzwiami na tyłach.

- O, kurwa - mruknęła Angel.

- Co takiego? - spytała SueBee.

- Zamierza nas sprawdzić.

- Skąd wiesz? - dopytywała się SueBee z irytacją.

- Bo cholerna książka leży tutaj - odparła, wskazując głową na leżącą na blacie otwartą książkę meldunkową.

Recepcjonista podszedł do telefonu znajdującego się najdalej od drzwi i zadzwonił do willi dyrektora, położonej na wzgórzu tuż za hotelem.

- Przepraszam, że przeszkadzam panu w kolacji, sir, ale kazał mi pan zadzwonić, kiedy zjawi się hrabina de Marco. Właśnie przyjechała. - Słowa „hrabina de Marco” wymówił z przesadnym naciskiem, dając do zrozumienia, że potrafił rozpoznać podejrzanę nazwisko. Słuchał przez chwilę, a jego nastrój ulegał radykalnej zmianie. - Tak jest, sir... tak, sir. Natychmiast, sir. Ale prosił pan, by... - Zamilkł, żeby przyjąć kolejne instrukcje. - Każę służbie zanieść drinki do pokoju. Natychmiast, sir. Dziękuję, dziękuję.

Odłożył słuchawkę z twarzą czerwoną jak burak.

- Goście szejka Zaki - powiedział do siebie, przedrzeźniając ton głosu przełożonego. - Proszę im okazać najwyższą gościnność. - Cholerni rękownikowcy i ich drogie dziwki, myślał wracając do recepcji. Odkryli tę cichą wioskę przed dwoma laty i choć ich petrodolary były tu mile widziane, to obecność Arabów obrażała ludzi, którzy nie aprobowali ich zachowania, ani nie widzieli na oczy pieniędzy, które ci tak hojnie wydawali.

Recepcjonista bez słowa zaprowadził dziewczęta do pokoju na najwyższym piętrze. Kiedy odszedł, Angel stanęła na środku pokoju, rozglądając się dokoła. Obok nocnych lampek z abażurami ozdobionymi falbankami stały szwajcarskie litografie, haftowane poduszki i wazony łąkowych kwiatów. Lnianą tapetę w kwiaty dopasowano do zasłon. Na dwóch łózkach leżały puchowe kołdry przypominające metrową warstwę śniegu.

- Jezu, to wygląda tak, jakby Śpiewacza Rodzina Trappów puściła pawia - stwierdziła z niesmakiem Angel.

SueBee wydała okrzyk i rzuciła się na jedno z łóżek, niemal niknąc w pierzynie.

- Boże! Dałabyś wiarę? - spytała Angel.

- Według mnie to słodkie - zawołała SueBee z głębi puchu.

- Brakuje tylko gęsi w czepku - Angel opadła na drugie łóżko i wybuchnęła śmiechem. Śmiały się tak głośno, że usłyszały dopiero czwarty sygnał telefonu.

Angel gorączkowo machnęła ręką do SueBee.

- Cicho! - rozkazała, sięgając po telefon, przewracając obwiązany wstążkami koszyk miniaturowych różowych różyczek.

- Taaak? - spytała głosem tak niskim, że praktycznie ociekał obietnicą. Zaraz potem powiedziała sztywno: - Tak, tak, jest. Jedną chwilę. - Bez słowa wręczyła słuchawkę SueBee.

SueBee wzięła ją z wyrazem zdumienia, bezgłośnie szepcząc: „Do mnie?”

- Halo? - powiedziała do słuchawki. Słuchała przez dłuższą chwilę, po czym zerwała się z łóżka. - Nie wierzę! O, mój Boże!

- Kto to? - syknęła Angel.

- Zaki! - Zakryła dłonią słuchawkę i powiedziała z podnieceniem: - To Zaki! - Potem znowu odezwała się do słuchawki:

- Dlaczego się śmiejesz, Zaki? Ty głuptasie - zachichotała, bliska łez szczęścia. -
Gdzie jesteś? Chyba zemdleję, taka jestem podniecona. Och... cudownie -
powiedziała w końcu. - W takim razie do ósmej, nie mogę się doczekać. - Odłożyła
słuchawkę, zakryła dłońmi usta i pisnęła cicho.
- Jestem pod wrażeniem - powiedziała sarkastycznie Angel.
- Jest w mieście od pięciu minut i już kogoś zna.
- Oszłamiające - westchnęła SueBee siadając.
- To był twój dawny szef, szejk Omar Zaki? Arab z Waldorf Towers cierpiący na
zatwardzenie? Skąd, do diabła, wiedział, że tu jesteś?
- Pewnie od recepcjonisty. Zaki jest naszym dzisiejszym klientem, Angel -
oświadczyła radośnie SueBee, maszerując do łazienki z przyborami do makijażu.
Widzę ich - szepnęła Angel, kiedy weszły do hotelowej restauracji. - Założę się, że to
tamci dwaj w ciemnych okularach.
- Zgadza się, to Zaki - potwierdziła SueBee zerkając przyjaciółce przez ramię. -
Ciekawe, kim jest jego przyjaciel.
- Wspaniale, witajcie w mieście frajerów - jęknęła Angel przewracając oczami.
- Zachowuj się grzecznie, Angel. Zaki był dla mnie bardzo dobry.
- Wobec tego możesz pieprzyć ich obu - warknęła Angel.
- Jak sobie życzysz - odparła nonszalancko SueBee, uniosła podbródek i ruszyła w
stronę dwóch mężczyzn w garniturach od Armaniego siedzących na ławie pod
ścianą.

Kiedy kobiety podeszły do stolika, Arabowie wstali na powitanie. Szejk Zaki obiema
dłońmi przytrzymał lnianą serwetę na okazałym brzuchu. Na małym palcu
prawej ręki miał wielki złoty sygnet, a na twarzy tak radosny wyraz, jakby witał
aniola.

- Moja droga dziewczyno - powitał SueBee podchodzącą do stolika z wyciągniętą
ręką. Ujął jej dłoń i przesunął po wierzchu ustami.

- Szejku Zaki, pozwól, że przedstawię moją przyjaciółkę, Angel de Marco -
powiedziała, okazując grzeczność nieznanemu.

Zaki puścił rękę SueBee i ujął dłoń Angel.

- Hrabino - powiedział niskim, pełnym szacunku głosem. - Chciałbym przedstawić
księcia Ali Ben Dadiego. - Wskazał na stojącego za nim mężczyznę. Książę był co
najmniej o dwadzieścia lat młodszy i trzy odcienie ciemniejszy niż Zaki; kolor jego
skóry przypominał Angel słodką masę z orzechów włoskich, którą matka
przygotowywała na święto Paschy. Matowe okulary całkowicie skrywały mu oczy.
Uśmiechnął się, odsłaniając rząd bardzo równych, olśniewająco białych zębów, co
Angel niezwykle się spodobało. Przywiązywała dużą wagę do zębów mężczyzny;
nawet jeśli się z nim nie całowała, zęby były ważne. Księciunio jest milusi,
pomyślała, prostując plecy, by uwydatnić biust.

Kiedy zajmowali miejsca przy stoliku, Angel zerknęła na szejka SueBee, zwracając
uwagę na popękane naczynka krwionośne w okazałym nosie oraz lekkie drżenie
rąk. Spróbowała sobie wyobrazić SueBee w fartuchu pielęgniarki, jedną dłonią
karmiącą szejka zupą, a drugą trzepiącą mu kapucyna; w końcu musiała stłumić
śmiech.

- Ma pani piękny uśmiech, hrabino - zauważył księżę przesuwając rękę po oparciu. Angel niemal poczuła ciężar jego ręki na ramieniu. Po drugiej stronie stołu Zaki nachylał się do przodu, ściskając dłonie SueBee i szepcząc jej coś do ucha.

- Dziękuję, księżę - odparła słodko.

- Nie musisz mnie nazywać księciem - powiedział, chichocząc wstydliwie. - Zaki przedstawia mnie tak, bo chce być sprytny. Mów mi Al.

Angel odwróciła się do niego, opuszczając powieki.

- Al - powiedziała powoli. - Doobrze, Al. Czym się zajmujesz, Al?

- Jestem szoferem Zakiego.

Angel nie włożyła wielkiego wysiłku w ukrycie sztuczności uśmiechu.

- Szoferem - powtórzyła sucho.

- Tak - odparł z uśmiechem i podniósł wzrok na kelnera, który, nie proszony, pojawił się z szampanem w srebrnym kubku. Postawił go na stole i zabrał się do rozstawiania świeżych kieliszków.

Kiedy kelner rozlał szampana, szejk Zaki poprawił serwetę na kolanach i uniósł kieliszek.

- Za piękne dziewczęta - wznosił toast uśmiechając się najpierw do SueBee, a potem zwracając się do Angel.

Angel uśmiechnęła się do swego szampana, zastanawiając się gniewnie, jak powinna zaplanować wieczór. Zaki miał miliony. Zaki podarował SueBee dwa konie arabskie i nadal płacił za ich utrzymanie w stajni nowojorskiej. Opowieści SueBee urozmaicały wiele nudnych wieczorów w Wellington Close.

Szofer nie wchodził w grę; chciała Zakiego. Uśmiechnęła się słodko i zaczęła snuć plany podboju. Wystarczyło, że dostanie go tylko na godzinę. Kiedy skończy, Zaki będzie gotów pójść na kolanach na księżyc, byle tylko dała mu jeszcze trochę. Jeśli tak długo opiekował się SueBee zaledwie za kilka prac ręcznych i karmienie łyżką, Angel zadowolona, jeżeli Zaki podeśle jej kilku bogatych przyjaciół. Odepchnęła od siebie myśl o tym, jak słodko będzie podkraść madame Cleo jednego z jej wieloletnich klientów. Przyjdzie jeszcze czas na napawanie się zwycięstwem.

Kelner wrócił z kartami dań wielkości i grubości tac, po czym rozdał je gościom.

Angel zerknęła spoza menu, obserwując z niesmakiem pełne pocałunków spotkanie SueBee z rozanielonym Saudyjczykiem.

Dopiero kiedy przyjrzała się liście potraw i wzrok Angel padł na nadziewane figi, przypomniała sobie fragmencik historii SueBee, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Rozmowa przy kolacji sprowadzała się głównie do wspominków SueBee i Zakiego o dawnych czasach w Nowym Jorku. Posłuszna elementarnej regule szkoły Cleo, SueBee pozwalała Zakiemu mówić. Angel musiała jej oddać sprawiedliwość. Nigdy wcześniej nie widziała przyjaciółki w akcji, ale musiała przyznać, że SueBee nauczyła się niemało. Zadawała tylko takie pytania, które prowadziły do błyskotliwych, chępliwych odpowiedzi. Udając, że zapomniała o pewnym incydencie, w którym Zaki wystąpił jako gwiazda, poprosiła, by opowiedział go znowu; mówiła, że chce odświeżyć pamięć o wspaniałych czasach w hotelu Waldorf. Angel wiedziała doskonale, że SueBee o niczym nie zapomniała.

Co pewien czas dłoń Zakiego nurkowała pod stół, a SueBee chichotała uroczo, nie stawiając najmniejszego oporu.

Kiedy podano kawę i brandy, Angel skoncentrowała całą uwagę oraz niebagatelne wdzięki na zachwyconym, choć nieco zaskoczonym szoferze Alu. Spojrzała na niego ciemnymi, doskonale umalowanymi oczami i poprosiła cicho:

- Opowiedz mi o sobie.

Wraz z nadejściem północy mężczyznom zaczęło się palić do wyjścia. Zaki zaproponował, żeby wstąpili do dyskoteki i sprawdzili, kto jest w mieście, a Al nie mając innego wyjścia, zgodził się z chlebowcą.

Dziewczęta przeprosiły towarzyszy i poszły do toalety. Angel zaniknęła za nimi drzwi, opadła na małe miękkie krzeselko przed toaletką i ukryła twarz w dłoniach.

- Och, SueBee, chyba umrę - jęknęła z przekonującym drzeniem głosu. - Co ja zrobię?

SueBee przestała zaczesywać włosy. Odwróciła się i spojrzała na Angel z niepokojem.

- Co się stało, kochanie?

- Ten książę Ali... on... on... o Boże. - Urwała, nie będąc w stanie mówić dalej.

SueBee uklękła na posadzce przed Angel i odciągnęła jej dłonie od twarzy.

- Angel?

- On ma problem, a ja po prostu nie mogę tego zrobić, nie mogę - wyznała Angel kręcąc głową, aż włosy opadły jej na oczy.

- Na miłość boską, czego nie możesz zrobić? Czy on jest jakimś zbrojcem?

Angel zrobiła dramatyczną pauzę.

- Nie, nie zbrojcem. Jest po prostu chory. Och, SueBee, to takie smutne. O tym rozmawialiśmy przez cały wieczór, podczas gdy ty migdałiłaś się z Zakim.

- Miałam wrażenie, że świetnie wam idzie - zauważyła SueBee.

- Tak było, dopóki mi nie powiedział, co mu się przydarzyło. Widzisz, on brał udział w jakimś konflikcie arabsko-izraelskim i został ranny. Boże, opisał mi to szczegółowo. Powrót do zdrowia trwał wiele miesięcy, a tymczasem żona i dzieci zginęły w jakimś wypadku. Nie wiem, same okropne rzeczy. Matka mu umarła, zanim wyszedł ze szpitala, więc nie mógł jej pochować. - Angel widziała, że jej historia odnosi pożądany efekt, ponieważ twarz SueBee coraz bardziej się wydłużała. Wzięła głęboki wdech i zaryzykowała: - Tak czy inaczej, w wyniku tej rany brzucha nie może dostać erekcji, jeśli ktoś nie...

- Tak? Jeśli ktoś nie robi czego?

- SueBee, ja po prostu nie mogę tego zrobić - powiedziała błagalnie Angel. Skrzywiła się, a potem wzdrygnęła z niesmakiem. - Mówiłaś, że umiesz to robić. Mówiłaś, że robiłaś to Zakiemu.

- Angel... ja... Och, na miłość boską, czy mówisz o lewatywie? Czy o to chodzi? - spytała spokojnie SueBee, jak gdyby Angel oświadczyła, że facet prosił o laskotanie go po jajach miotelką z piór albo o drapanie go po plecach.

- SueBee, ja bym umarła. Po prostu nie mogę. Pomóż mi, proszę. Oddam ci całe pieniądze, jakie tu zarobię. Błagam.

SueBee odgarnęła Angel włosy z twarzy.

- Nie martw się, maleńka, nie ma powodu do hysterii. Wyjaśnię to jakoś Zakiemu. Spodoba ci się. Jest miły... i szybki - dodała, puszczając do niej oko.

- Och, nie mów Zakiemu o tym, co ci powiedziałam. Powiedz, że mam na niego ochotę, czy coś takiego.

- Dobrze - odparła SueBee i skinęła głową. - Tak będzie lepiej, to mu się spodoba. A teraz zbierajmy się. Muszę poznać księcia trochę lepiej, żeby się rozluźnić.

Martin ślęczał nad przedstawionymi przez dostawcę propozycjami potraw na przyjęcie madame, kiedy usłyszał dochodzący z gabinetu brzęk upuszczanej łyżeczki i krzyk:

- Co zrobiła?!

Siedzący przy swoim biurku w foyer Martin rzucił długopis i mruknął:

- Gównu na patyku. Co się znowu stało? - Nasłuchiwał przez chwilę, by zdecydować, czy powinien tam wejść. Madame od pół godziny rozmawiała przez telefon, słuchając sprawozdania Zakiego, który właśnie wrócił z misji w KJosters. Najwyraźniej madame nie spodobały się nowiny.

W ciągu ostatnich kilku dni w willi panowało ogromne napięcie. Sandrine zniknęła z człowiekiem, którego poznała podczas zlecenia w Londynie; Jeremy Wilks utrzymywał, że chodziło o miliardera Jourdana Garna. Od samego początku swojej pracy Sandrine należała do najlepszych dziewcząt Cleo. W minionym roku pracowała ciężiej, przyjmowała więcej zleceń, zarabiając więcej pieniędzy niż którakolwiek z dziewcząt. Ostatnie zachowanie było dla niej nietypowe i budziło niepokój. Madame planowała wysłać Sandrine na La Fantastique, toteż myśl, że mogłaby odejść przed imprezą wprawiła Cleo w irytację i fatalny humor. Ponadto wyglądało na to, że obecnie zbliżała się konfrontacja z Angel.

- Chodź tu, Martin! - zawołała madame, nie uciekając się do pomocy interkomu, co zdarzało jej się tylko w chwilach najwyższego wzburzenia.

Obiegł biurko i otworzył drzwi gabinetu. Wciąż rozmawiała przez telefon; dała Martinowi znak ręką, żeby wszedł i usiadł.

- Rozumiem, rozumiem - mówiła, wściekle notując coś w liniowym zeszycie. Wokół biurka walały się przesiąknięte herbatą chusteczki higieniczne. Martin wstał, żeby uprzątnąć bałagan, ale madame powstrzymała go kolejnym ruchem ręki.

- Niedopuszczalne - warknęła. - Natychmiast się tym zajmę. Dziękuję, Zaki, bardzo, bardzo dziękuję. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Czy mam powiedzieć Martinowi, żeby kazał Justynie lecieć do Zurychu? Jest twoja na tak długo, jak sobie życzysz. Na koszt firmy. Czy mogę przysłać kogoś dla twojego kierowcy? Mam wyborną Wietnamkę, po prostu wyborną.

Przez chwilę słuchała, potem skinęła głową i tak mocno trzasnęła słuchawką, że Martin podskoczył po raz drugi.

- Oburzające! - wykrzyknęła, odgarniając dłońmi włosy z twarzy.

- Równie oburzające jak wówczas, gdy ten były Króliczek, którego zatrudniliśmy, strzelał w Cannes do balkonu Felliniego? - spytał Martin, próbując obrócić wszystko w żart, ale nie docenił zarówno powagi sytuacji, jak i nasilenia wściekłości madame.

- Miałam rację - wycodziła przez zęby. - Próbuje zadać mi cios w plecy. Nigdy nie powinnam była zatrudniać tej Angel.

Martin zrozumiał, że wydarzyło się coś poważniejszego i poczuł skrytą radość, że Angel powinęła się noga. Nigdy jej nie ufał. W przeszłości mieli do czynienia z kilkoma dziewczynami pokroju Angel, dziewczynami, które zatrudniały się tylko po to, by poznać interes od kuchni, a potem próbowały wysadzić madame z siodła. Żadnej się to nie udało, nie miał wątpliwości, że Angel nie stanie się wyjątkiem.

- Próbowała nam wykraść Zakiego, tak? - spytał. Madame wyrzuciła w górę rękę.

- Wykraść? - krzyknęła. - Zwróciła się do niego z prośbą o pieniądze na otworzenie własnego interesu. Obiecała, że przeciągnie na swoją stronę najlepsze dziewczyny, włącznie z Sandrine i SueBee. Zaki miałby wszystko za darmo. Postąpiła sprytnie, bo wiedziała, że zainteresuje go każda wzmianka o SueBee.

- Dobry Boże - wykrztusił Martin, oszołomiony bezczelnością posunięcia Angel. -

Zaki musiał się poczuć rozdarty - powiedział, tylko połowicznie żartując.

Madame nie była w nastroju do żartów. Nagle wydała mu się bardzo stara i zmęczona.

- Ona mogłaby to zrobić, Martin. Mając poparcie kogoś takiego jak Zaki, mogłaby mnie wysiudać. Gdyby wykupiła Lili albo kogoś innego na kontynencie. Ostatecznie prowadziła jedną z najlepszych agencji w Stanach.

- Nikt nie może się z panią równać, madame.

- Nie bądź taki pewien - odparła tonem bardziej znużonym niż gniewnym.

- Co zamierza pani zrobić? - spytał Martin, wyjął papierosa z luksusowej papierošnicy Faberge, stuknął nim o biurko, zapalił i wypuścił długą smuzkę dymu.

- Daj mi jednego - poprosiła.

Wręczył jej papierosa, przyglądała mu się przez chwilę.

- Co to za gatunek? - spytała marszcząc brwi.

- Scarborough Ovals, angielskie, robione na zamówienie. Madame zmarszczyła nos i zapaliła papierosa.

- Sądzę, że powinniśmy poczekać do przyjęcia pod koniec miesiąca. Pozwolimy jej myśleć, że jedzie na La Fantastique. W ten sposób nie dopuścimy, żeby podkradła nam inne dziewczyny. - Zdusiła papierosa w wielkiej kryształowej popielniczce na biurku. - Mon Dieu, to smakuje jak końskie łajno.

Martin wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę, wydymając usta. Nie ufał Angel, ale utrzymywanie jej w przekonaniu, że jedzie na La Fantastique, uważał za wredność. Wyznaczone dziewczyny dostawały ogromną premię, a znając Angel, domyślił się, że wyda wszystko, zanim się dowie, że nie jedzie.

- Czy chciałeś coś powiedzieć, Martin?

- Nie, właściwie nie - odparł, wciąż wpatrując się w podłogę.

- Martin? - ponagliła groźnie.

- Cóż, zawsze denerwuję się przed tym weekendem u barona.

- Denerwujesz się? Dlaczego, na miłość boską? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile wynosi nasze honorarium?

- Nie o to chodzi. Wie pani, że baron zawsze wykorzystuje jedną czy dwie dziewczyny dla swoich sprawek. Mam szczególną słabość do SueBee i Sandrine; uważam, że na to nie zasługują. Powinny mieć możliwość dobrej zabawy w takim towarzystwie, jakie sobie wybiorą.

Madame machnęła ręką.

- Nie martw się o to, kochanie. Minęły już dawne czasy, kiedy po imprezie baron przesłuchiwał dziewczyny. Na starość niezwykle wysubtelniał.

Jasne, pomyślał Martin, wysubtelniał. Nie dalej jak w zeszłym roku baron wrobił brytyjskiego posła do parlamentu, który podpadł mu z jakiegoś powodu. Później, podczas rozprawy rozwodowej tego biedaka, dziewczynę Cleo wezwano pod karą na świadka. Jej zdjęcie ukazało się w całej prasie brukowej.

- Zdażyła pani zapomnieć o Cyntii - stwierdził. - Z ostatnich nowin, jakie o niej miałem, wynikało, że pracuje w Stanach jako hostessa w naleśnikarni.

- Tak, cóż, to było niefortunne - powiedziała dziarsko madame. - Zwłaszcza dla nas. Należała do naszych najlepszych dziewcząt.

- Podobnie jest z SueBee i Sandrine. Może co do nich baron też ma pewne plany.

- Nie martw się, kochanie - uspokoiła go, zapalając cygaretkę. - SueBee została już przydzielona mojemu przyjacielowi, Billowi Mosby, który wyświadczył baronowi wiele przysług.

- A Sandrine?

Madame otworzyła księgę i przesunęła palcem w dół strony.

- Tu także nie ma powodu do zmartwień - oświadczyła czytając jakieś notatki. -

Baron zaprosił jakiegoś amerykańskiego dziennikarza, którego poprosi wkrótce o przeprowadzenie z nim pochlebnego wywiadu. Pewnie wtedy, kiedy znowu wpadnie w tarapaty. Facet nazwiskiem Shea, zaraz, tak, Peter Shea z Worldwide. -

Zamknęła księgę, oparła się na krześle, a twarz rozjaśnił jej uśmiech zadowolenia.

- Dlaczego się pani uśmiecha? - spytał Martin wstając.

- Właśnie myślałam, jaka to strata. Taka piękna dziewczyna jak Sandrine ze zwykłym dziennikarzem, który nigdy nie mógłby sobie na nią pozwolić, biedny frajer.

- Biedny? Dlaczego?

- Ponieważ nigdy jej nie zapomni.

Rozdział dwunasty

Dziennik Petera - Paryż, trzynasty lipca 1990 r.

A więc to tak. Kobieta moich marzeń, o której nie potrafiłem zapomnieć, okazała się dziewczyna potrafiącą wywołać u siebie orgazm na zamówienie. Madeleine to, rzecz jasna, Sandrine Mandraki Garn. Początkowo zareagowałem osłupieniem. Sie-
działem w ogrodzie na tyłach willi madame słuchając, jak kolejny odcinek opowieści „Kto próbował zabić madame Cleo” zmienia tytuł na „Wzlot i upadek Petera Shei”. Czułem się tak, jakbym został uduszony, jakby pętla, która oplatała luźno moją szyję od początku tego przedsięwzięcia, została gwałtownie, boleśnie zadzierzgnięta. Madame relacjonowała misję Sandrine na La Fantastique. Podczas tego fragmentu opowieści naśladowała brytyjski akcent Martina, a historia tak ją zaabsorbowała, że pytanie „Czy coś się stało?” zadała tym samym akcentem.

- Czy wiedziała pani, że przez ten weekend straciłem pracę? - spytałem, kiedy wreszcie odzyskałem mowę. Czułem narastający w piersiach gniew i rozpaczliwie starałem się go zwalczyć.

- Nie wiedziałam - odparła takim tonem, jak bym spytał, czy wiedziała, że na jej rękawie siedzi końska mucha.

- Od początku wiedziała pani, że to ja byłem z Madeleine, przepraszam, z Sandrine.

- Tak - odparła krótko.

Czekałem, aż powie coś więcej, aż wyjaśni, dlaczego tak długo mnie zwodziła.

Milczała. Patrzyła tylko na mnie tymi wilczymi oczami, jakby mówiąc: „No i kto tu jest durniem, ty tępaku? To mój występ, a nie twój. Przeczytaj umowę”.

Wstałem. Chyba zachowałem się grubiańsko, ale gdybym został jeszcze chwilę, tobym ją udusił. Nie byłoby to trudne; wystarczyłoby chwycić za ten jej długi sznur pereł, skręcić i szarpnąć. W ciągu paru sekund wyzionęłaby ducha, a ja spędziłbym resztę życia w więzieniu.

Wyszedłem bez słowa tylko po to, żeby ratować własną skórę.

Teraz, siedząc znowu w tym ciasnym mieszkanku (dzięki Bogu, dziś w nocy wieje wietrzyk), myślę nieco klarowniej i zamierzam ci coś wyznać, mój przyjacielu z zielonym ekranem, a jest to trudniejsze niż przyznanie, że sprzedałem się za milion doliczów: widzę, że ta kobieta rozmyślnie ze mną igrała od samego początku tej chujówki. Pytanie „dlaczego” doprowadzi mnie do szaleństwa.

Fiddle, Fiddle, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? Chcę ci powiedzieć, jak bardzo miałaś rację, mówiąc mi, że bym nikomu nie ufał. Byłem gotów nie ufać tej stręczycielce. Udawało mi się to - zgoda - przez dzień czy dwa, ale ona wydawała się taka otwarta, taka szczerą.

W ciągu tylu lat pracy w fachu dziennikarskim szczyłem się umiejętnością zachowania dystansu do opisywanej historii i byłem wierny żelaznej zasadzie: Nigdy się nie angażuj.

Otóż zaangażowałem się, i to po sam tyłek, o którym Wendy mówi, że świat się wokół niego nie kręci.

Wczoraj w nocy przerwałem w połowie akapitu, ponieważ nie byłem w stanie pisać dalej. Musiałem pójść na spacer. Gdybym został, nie powstrzymałbym się od zadzwonienia do Wendy, Fiddle, Billa Mosby'ego, Dawsona Segury i tych śmieciarskich adwokatów. Byłbym wtedy już tak pijany, że zadzwoniłbym do kumpla z „New York Timesa” i podyktowałbym mu artykuł, który nagłośniłby całą tę historię. Wendy nie jest jedyną osobą w tym siedlisku złodziei, która potrafi puszczać farbą. Jednak podczas spaceru coś mi się przydarzyło - nic dramatycznego, żaden wstrząs duchowy. Kroki zaprowadziły mnie na znajome terytorium. Stałem przed małym hotelem, gdzie w innym życiu poważnie zajmowałem się piciem, hotelem, gdzie Ava Gardner flirtowała podobno z Sinatrą

W środku było pusto, a za barem nie stał Ronnie. Poza tym nic się nie zmieniło.

Siedząc przy barze nad szkocką i zastanawiając się, co robić, spojrzałem na swoje buty - włoskie mokasyny, miękkie jak masło i cudownie uszyte, można je złożyć wpół i schować do zamszowego futerału. Kupiłem je w pierwszym tygodniu po przybyciu do Paryża. Nigdy wcześniej nie miałem takich butów, pewnie dlatego, że

kosztują sześćset dolarów. Miałem też na sobie lnianą koszulę, lekką jak chusteczka, tak że prawie jej nie czułem na skórze. Monogram był mały i dyskretny. Za każdym razem, kiedy ją miałem na sobie, strzepywałem przód koszuli, sądząc, że maleńkie PS to kawałek nitki. Spodnie i koszulę kupiłem u Armaniego; uszyto je tak doskonale z wyśmienitego materiału, że nie trzeba ich było prasować.

Jednak buty okazały się decydujące. Chciałbym spędzić resztę życia nosząc buty w rodzaju tych mokasynów.

Doszedłem do wniosku, że madame Cleo wyjawiała mi tę część historii, ponieważ wiedziała, że nie zdołam się oprzeć wysłuchaniu reszty, a chcąc to osiągnąć, będę musiał kontynuować rozmowy.

Cóż, może madame ma swój plan, ale teraz, dzięki lękowi przed stratą butów, ja mam swój.

Wróć tam w poniedziałek, zachowując się tak, jakby nic się nie stało. Powiem jej, że wyszedłem nagle, ponieważ rozboleła mnie głowa. Kobiety to robią, więc mogę i ja. Teraz przynajmniej znam fakty; jestem przepelniony wolą zwycięstwa.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy Sandrine wróciła i wyjaśniła, że poznała mężczyznę, nie będącego klientem Cleo, z którym chciała spędzić nieco czasu. Cleo przyjęła to wyjaśnienie bez komentarza. Sandrine uznała zgodne zachowanie Cleo za dowód na to, że madame uważała ją za zbyt cenny nabytek, by ją besztać czy karać. Dlaczego w przeciwnym razie wysyłałaby Sandrine na La Fantastique?

Zauważono w Sandrine pewne zmiany. O ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej wypiękniała. Emanowała pogodą i spokojem, które nie uszły uwagi madame i Martina; uznali je za rozmarzone roztargnienie kobiety zakochanej. Prawdę znały tylko Sandrine i SueBee.

Sandrine nie była zakochana. Ona wygrywała.

Przez siedem dni i nocy bawiła się z Jourdanem Gamem w kotka i myszkę, to pędząc do niego, to uciekając; stawała się nieosiągalna, a potem pojawiała się znowu, kipiąca erotyzmem, spijająca słowa z jego ust. Nawet gdyby Jourdan nie powiedział jej tego kilkakrotnie, wiedziałyby, że nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona. Mówiła mu o sobie niewiele, wołając pozostać osobą tajemniczą. Wreszcie, ostatniej nocy w Londynie, opowiedziała mu o madame Cleo, o tym, że pracowała jako dziewczyna na telefon zarówno w Nowym Jorku, jak i tu, w Europie, i że nadszedł dla niej czas powrotu do pracy. W nadchodzącym tygodniu miała zlecenia w Rzymie i Hiszpanii, więc musiała wracać.

Oślupiały Garn próbował jej zapłacić. Odmówiła przyjęcia pieniędzy równie zdecydowanie i wdzięcznie, jak odrzucała jego drogie prezenty, mówiąc, że była z nim dlatego, że chciała, a nie dlatego, że jej płacono.

Nastrój Garnu uległ wtedy zmianie; najwyraźniej znowu był sobą. Tej nocy jeszcze raz poszła z nim do łóżka w jego błyszczącym białym domu w Belgravii, gdzie kochała się z nim tyle razy, że w końcu legł w stanie wyczerpania i euforii.

Nazajutrz patrzył, jak się ubierała, zbyt słaby i oniemiały, by protestować. Leżąc w zmiętej pościeli, wpatrywał się w Sandrine błagalnie i zapytał, jak ma ją odnaleźć.

- To ja cię znajdę, kochanie - powiedziała i to były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał. Wiedziała, jaki wywrą efekt. We wszystkich dotychczasowych związkach z

mężczyznami Sandrine czuła doskonale, kto sprawuje kontrolę. W tym właśnie kryła się tajemnica wyrazu oczu, jaki zabrała z powrotem do Paryża; jaśniały pewnością, a włosy i skóra lśniły jak namaszczone tajemnym eliksirem. Sandrine wyprodukowała eliksir kontroli. Wiedziała, że wcześniej czy później Jourdan Garn będzie jej.

Wróciła do mieszkania w małym domu, dawnym hotelu, gdzie ona, SueBee i Angel mieszkały na tym samym piętrze. Małe apartamenty zamieniono na mieszkania z maleńką kuchenką w kącie, na tyle dużą, by schłodzić szampana czy zgotować wodę na herbatę. W mieszkaniu znajdował się funkcjonujący kominek i dość szaf, by pomieścić drogie stroje.

Dziewczętami opiekowała się wiekowa konsjerżka, madame Solange, która krzątała się wokół nich jak kura wokół kurcząt. Jak zwykle, gdy jedna z dziewcząt wracała z podróży, madame Solange przysłała do pokoju, żeby pomóc jej w rozpakowaniu rzeczy. Pomagała właśnie Sandrine, kiedy zadzwoniła SueBee z wiadomością, że wybrano ją na La Fantastique.

- Mnie też! - pisnęła z zachwytem Sandrine. - Dowiedziałam się dziś rano. Przyjdź do mnie, to oblejemy.

- Jestem w kuchni - zawołała Sandrine usłyszawszy, jak madame Solange wpuszcza SueBee.

- Cześć, słoneczko - krzyknęła SueBee. Sandrine wysunęła głowę z kuchni.

- Cześć. Chcesz drinka?

SueBee klapnęła na foteliku przed kominkiem.

- Nie, dzięki. Tęskniłam za tobą.

. Sandrine wyszła z kuchni z bardzo ciemnym drinkiem w dłoni. Miała na sobie szlafrok, a włosy jeszcze nie wyschły po kąpieli. Usiadła obok SueBee i napiła się.

- Jestem taka podniecona, że obie jedziemy do barona.

- Ja też, ale dziwię się, że ty jedziesz.

- Dlaczego? - spytała zdumiona Sandrine.

- Sądziłam, że chcesz być z nim.

- Z kim? - spytała Sandrine, udając głupią oparła podbródek na ramieniu i zatrzepotała rzesami.

- Przestań, Sandy. Baron zaprasza do siebie bardzo ważnych ludzi. Co się stanie, jeśli jakiś znajomy Jourdana Gama powie mu, że cię tam widział? Nie boisz się, że może się dowiedzieć?

- W porządku - odparła spokojnie. - Już o mnie wie.

- Wie? - wykrztusiła SueBee. - Powiedziałaś mu?

- Mhm - odparła z łobuzerskim uśmiechem.

- I co on na to?

- Najpierw zdębiał, ale potem to go chyba zaczęło kręcić. Tej nocy kiedy mu powiedziałam, tak się puszył, jakby wygrał na loterii.

- Kurczę - pokręciła głową SueBee. - Wiesz, miałam do czynienia z takimi mężczyznami. Rozumują tak: „Ja ją mam, a ty nie”. Radzę ci jednak uważać, kochanie. Pamiętasz Annę Lizę, tę, która wyszła za bogatego Szweda? Najpierw ją kochał, ale potem zaczął być zazdrosny i ją wyrzucił.

- Hmm - mruknęła Sandrine sącząc drinka. - W moim przypadku to się nie stanie.

- Skąd ta pewność?

- Jourdan Garn nie jest jakimś głupim Szwedem. To bogaty, wpływowy człowiek. Nie trzeba starać się przypodobać bogaczom, a właśnie wszyscy to robią. Musisz stanowić dla niego pewien problem. Moje życie podnieca Gama. Wie, że nigdy go nie znudzę i pragnie tego bardziej niż czeokolwiek, co może zdobyć za pieniądze. - Sandrine zagrzechotała lodem w szklance i ruszyła do kuchni. - Chodź, zrobię ci herbaty. Wychodzisz?

- Później - odparła SueBee. - Diana ma grypę, więc obiecałam Martinowi, że ją zastąpię. To tylko kolacja z jakimś typem z korporacji. Czekając, aż woda się zagotuje, Sandrine napiła się łyk szkockiej z butelki, a dopiero potem naląła sobie kolejnego drinka.

- O rany, jak miło - westchnęła SueBee podciągając nogi na poduszki. - Prawie jak na wschodniej Pięćdziesiątej Piątej, co?

- A, stare złe czasy.

- Nie takie złe. Bawiłyśmy się nie najgorzej. Ciemną stroną był tylko Jack Ayler i bieda.

- SueBee - powiedziała Sandrine w zamyśleniu wracając na kanapę z herbatą i drinkiem na tacy. - Sprawy przybiorą wkrótce lepszy obrót, niż to sobie wyobrażałyśmy.

- Wiem, słyszałam niesamowite historie o La Fantastique. Martin mówił, że zjeżdżają się tam najważniejsi ludzie świata.

- Kochanie, ja nie mówię o La Fantastique. Mówię o stałej pracy na etacie pani Jourdanowej Garn.

SueBee zapatrzyła się w przyjaciółkę, otwierając szeroko usta.

- Oświadczył się? - wykrztusiła. Sandrine uniosła dłoń.

- Jeszcze nie... jeszcze nie. Wkrótce.

Oparła się wygodnie i zaczęła relacjonować przyjaciółce wydarzenia ostatnich dni, które kazały jej przypuszczać, że Jourdan Garn miał się wkrótce poddać. Sandrine podróżowała po Włoszech i Hiszpanii od klienta do klienta, a na każdym lotnisku, w każdym hotelu czekały na nią liściki, kwiaty, małe i drogie prezenty od Jourdana Garn. Ignorowała liściki, a biżuterię odsyłała do nadawcy.

Pewnego popołudnia, kiedy wyszła z salonu mody w Maladze, zauważyła śniadego mężczyznę w skórzanej wiatrówce i okularach słonecznych Porsche'a, opierającego się o ścianę sklepu po przeciwnej stronie ulicy. Rozpoznała w nim człowieka, którego zauważyła poprzedniego dnia w holu swego hotelu w Rzymie. Jeszcze wcześniej widziała go na lotnisku w Barcelonie, a przedtem u Simpsona w Londynie, gdzie była z Garnem. Mężczyzna siedział o kilka stolików dalej, udając, że ich nie widzi. Tylko połowicznie rozzłoszczona, uznała, że ma dosyć. Torby z zakupami założyła na ramię, na wypadek, gdyby musiała go gonić, po czym podeszła prosto do obcego. Nie próbował uciekać. Sandrine zatrzymała się w odległości kilku centymetrów od jego nosa i powiedziała:

- Przekaż Jourdanowi podziękowania za drobiazgi, ale powiedz, że jeśli chce wiedzieć, co robię, powinien sprawdzić to osobiście. - Następnie spojrzała na krocze

nieznajomego i dodała: - Powiedz mu też, żeby nie powierzał chłopczkowi męskiej pracy.

Twarz nieznajomego, dotąd całkowicie beznamiętna, rozjaśniła się w uśmiechu.

- Zgoda, powiem mu to - odparł i odszedł.

Następnej nocy, po wykonaniu zadań, wróciła samolotem do Paryża. Kiedy wychodziła z terminalu lotniska Charlesa de Gaulle'a, spostrzegła Jourdana Gama w płaszczu z wielbłądziej wełny i szarym homburgu. Ręce trzymał w kieszeniach i miał bardzo złą twarz.

SueBee zakryła usta dłonią.

- O...mój...Boże - szepnęła. - Ja bym umarła.

- Czekał, czekał - krzyknęła z podnieceniem Sandrine. - No więc złapał mnie za przegub. Myślałam, że zamierza zrobić mi scenę na lotnisku. Zapytał, dlaczego odsyłam jego prezenty, na co odparłam, że nie przyjmuję biżuterii od mężczyzn, do których nie należę. Zaczął mówić o tym, że fakt, że spotykam się z innymi mężczyznami, doprowadza go do szału. Ja na to słodko, że to moja praca. Potem udałam bardzo urażoną tym, że kazał mnie śledzić. Muszę przyznać, że grałam doskonale.

- Skąd wiedział, gdzie cię znaleźć?

- Jestem pewna, że zadzwonił do madame Cleo.

- Powiedziałyby mu, gdzie cię szukać?

- Naturalnie, przecież jest bogaty. Cleo uwielbia, kiedy bogaci faceci zaczynają szaleć za jedną z jej dziewczyn.

- Sandrine, ty diablico. Co za biedny człowiek.

- Taki biedny jak ja święta! Wiesz, że jest żonaty.

- No i co z tego. Mężczyźni stale się rozwodzą w każdym razie tego pokroju co on. To nigdy nie stanowi przeszkody dla prawdziwej łowczyni posagów.

- Wiem - odparła Sandrine marszcząc brwi.

- Mów dalej, mów - ponagliła SueBee.

- Zapewnił, że jego rozwód to kwestia najbliższego czasu. Bujać to my. W każdym razie, nawet nie mrugnęłam okiem, co go chyba doprowadziło do szału. Jourdan Gam nie jest człowiekiem, któremu się dyktuje warunki.

SueBee odstawiła filiżankę z herbata.

- Kurczę, Sandy, co chciałaś, żeby ten biedak zrobił? Chyba go chcesz, tak?

- Oczywiście, że go chcę, ale chcę, żeby poprosił mnie o rękę. Chcę, żeby wszystko było powiedziane jasno i publicznie. Mówienie o tym, że się rozwiedzie, mówienie, że nie znosi mojego spotkania się z innymi facetami, to bzdety. Ja chcę złowić grubą rybę. Muszę mu teraz wykręcić jeden ostry numer, a będzie mój.

- Ależ Sandy - zaoponowała SueBee, wstawiając się za Garnem. - Ten człowiek kazał cię śledzić. Przyjechał do Paryża, żeby się z tobą spotkać. Najwyraźniej za tobą szaleje.

- „Szaleje” to za mało.

- A co powiesz na laskę dynamitu? - spytała chichocząc SueBee.

Sandrine wstała i znowu ruszyła do kuchni.

- Mam coś takiego - rzuciła przez ramię. Co takiego? - spytała SueBee.

- La Fantastique.

Martin w okazałym białym krawacie, ogromnym kołnierzu, przepasany czerwoną ceremonialną szarfą, która nie wyrażała nic, ale dodawała mu elegancji, obserwował je ze szczytu schodów.

Na dole zbierała się atlasowa armia madame Cleo. W głównym holu willi na Ile de la Cite roilo się od kobiet ubranych piękniej niż podczas jakiegokolwiek przyjęcia z udziałem mężczyzn. Stary dom, zazwyczaj pogrążony w ciszy i mroku, jarzył się światłami i rozbrzmiewał echem śmiechów i pisków szczęśliwych spotkań.

Martin mimowolnie pomyślał przez chwilę o drobnym kryzysie, jaki musiał zaistnieć, kiedy setki niecierpliwych mężczyzn w różnych punktach świata dowiedziało się, że dziewczyna madame Cleo jest zajęta, w każdym razie do północy. Widok dorocznego przyjęcia nigdy nie przestawał go zdumiewać. Raz do roku dziewczęta madame Cleo zbierały się, żeby wdzięczyc się, plotkować, taksować się wzrokiem, porównywać notatki i uczestniczyć w polityce profesji w jej najbardziej luksusowym wydaniu.

Kolacja stanowiła sprawdzian dla aktualnie pracujących dziewcząt oraz sentymentalne spotkanie tych, które doszły już do czegoś w życiu.

Martin często snuł fantazje o tym, jakby to było, gdyby dawne dziewczyny na telefon mogły urządzać konwencje, tak jak lekarze, prawnicy czy sprzedawcy sprzętu rolniczego. Gdyby tak było, w sali pojawiłyby się twarze znane z filmu i telewizji, kobiety prowadzące znane salony oraz żony wielkich osobistości z całego świata.

Mimo to dzisiaj widział w willi jedną czy dwie znajome twarze. Pewna piosenkarka z nocnych klubów przychodziła co roku; dzisiaj wystąpiła w czerwonej sukni z cekinami, w kapeluszu z piórami. Felicity, właścicielka sieci dyskotek rozciągającej się od Los Angeles po Marrakesz, także wróciła. Należała do tych nielicznych kobiet, które wykorzystały dawną znajomość z madame Cleo dla rozreklamowania własnego przedsiębiorstwa.

Martin uśmiechnął się do kobiet wstępujących po schodach do sali balowej, rozbawiony ironią płynącą zarówno z tego, kto się zjawił, jak i z tego, kto nie przyszedł.

Tego wieczoru Martina traktowano jako wynajętego pomocnika, nie grającego ważniejszej roli niż kelnerzy czy barmani. Niewiele kobiet zdawało sobie sprawę, że to on czuwał nad wystrojem sali balowej. Wypełnił ją lasem pomalowanych na srebrno drzew, ozdobionych miriadami migoczących lampek. Otaczające salę filary i wysokie okna udrapowano przezroczystym tiulem i wstęgami ze złotego atlasu. Na stołach porozstawianych pośród drzew paliły się świece w srebrnych kandelabrach, a w misach z pozłacanego srebra bielily się wielkie róże.

Kelnerów kazał przebrać za nubijskich niewolników. Mieli biało-złote spodnie haremowe, byli nadzy od pasa w górę, klatki piersiowe lśniły oliwą, a turbany ozdobili klejnotami i piórami.

Martin odpowiadał za bufet. Umieszczony między udrapowanymi gazą oknami podkowiasty stół uginał się od pokruszonego mięsa krabów, wielkich krewetek i trzykilowych puszek perłowszarej bielugi. Na każdym z barów stały wysokie srebrne kubelki ze schłodzonym szampanem i zimną rosyjską wódką. Później, po

krótkim powitaniu wygłoszonym przez madame, miano podać makaron z truflami i homara na zimno. Zdecydowanie największą popularnością podczas dorocznych kolacji cieszył się, ustawiony nieco z boku, specjalny bufet dla dziewcząt, które spędzały więcej czasu w trzygwiazdkowych restauracjach niż w łózkach. Przy pomocy amerykańskiego kucharza, który pracował w pułapce na turystów niedaleko Centrum Pompidou, przygotowywano teksaskie chili, podwójne cheesburgery, sałatkę ziemniaczaną makaron i Velveete, a także -boską ambrozję. Dla tych, które żywiły się duszoną cykorią i młodymi marchewkami - olbrzymi półmisek klusek z tuńczykiem ze smażoną cebulką z puszki. W ciągu nadchodzącej nocy wiele chudych jak patyki piękności zamierzało opychać się bez opamiętania.

Drugi stół po przeciwnej stronie sali zastawiono lukrowanymi ciastkami, ptifurami, wazami z zimną i gorącą polewą czekoladową do ciast, lodami, musami oraz poziomkami w szampanie.

Przy kawie podanej po kolacji kelnerzy mieli roznosić niezliczone tace słodczy. Martin już dawno zrozumiał, że kobiety nie miały żadnych skrupułów przed opychaniem się deserami. Tylko w towarzystwie mężczyzn udawały powściągliwość. Większość kobiet mijająca go u szczytu schodów, pozdrawiała Martina skinieniem głowy albo dmuchała w jego stronę całusa. Niektóre ignorowały go lub odwracały wzrok, wciąż pamiętając o jakiejś scysji czy niedopatrzaniu, o którym dawno zapomniał.

Jedna była piękniej ubrana od drugiej. Większość wystąpiła w długich kreacjach wieczorowych, niektóre w koktajlowych sukniach lub kostiumach haute-couture. Większość włożyła kapelusze, wyszukane konstrukcje z woalkami lub ozdobione biżuterią. Martin domyślał się, że zrobiły to z szacunku dla nieco staroświeckiego poglądu madame, że tak właśnie postępują damy.

Zaproszono dwieście cztery kobiety, z czego przybyły dwieście dwie. Problemy z narkotykami nie pozwoliły Carlotcie opuścić sanatorium w Berlinie, a sfuszerowany lifting twarzy zatrzymał Yvette w Palm Springs.

Biżuteria - część posiadana na własność, część pożyczona, całość z pewnością prawdziwa - migotała w świetle lichtarzy porozmieszczanych wzdłuż zakrętu schodów. Nikomu nie przyszłoby do głowy pojawić się w fałszywej biżuterii na przyjęciu madame Cleo, gdzie każde oko stawało się jubilerską lupą

O dziewiętnastej sala balowa wypełniła się. Martin podszedł do najbliższego baru, skąd wziął kieliszek szampana. Poziom decybeli w sali permanentnie narastał. Kobiety gromadzące się w większych grupach miały tendencję do ożywiania się i wydobywania z siebie specyficznego odgłosu nieszczególnie przyjemnego dla ucha. Fala wysokich tonów wydawanych po niemiecku, francusku, angielsku, włosku i hiszpańsku wkrótce zalała Martina, docierając do punktu ucha środkowego, skąd zaczął emanować fizyczny ból. Unoszące się wokół jego głowy aromaty perfum wartych tysiące dolarów wzmagwały dyskomfort Martina, aż musiał podejść do otwartego okna, by zaczerpnąć świeżego powietrza i ogarnąć wzrokiem swoje dzieło. Madame miała się pojawić o dwudziestej i przemówić do gości. Lubiała stawać na podwyższeniu przed kominkiem, wygłaszać krótkie powitanie, a następnie kazać kelnerom, by rozdali gościom po drobnym upominku.

Tego roku Martin kupił partię broszek z pozłacanego srebra w kształcie kota z okiem z drogiego kamienia. Po kolacji kobiety, które wybrano na La Fantastique, otrzymywały dodatkowo prezent, zrobiony na zamówienie barona. Tego roku wybranki dostaną złote zapalniczki Cartiera z herbem barona.

Madame bardzo podobał się doroczny gest barona, stający się przyczynkiem do zgadywanki: kogo wybrano na ekskluzywną imprezę i komu powierzono pewną szczególną intrygę.

- Zdziwiał się - usłyszał za sobą czyjś głos. - W całej sali nie ma ani jednej pończochy z oczkiem.

Martin odwrócił się i ujrzał Angel lustrującą wzrokiem salę.

Miała na sobie długą czarną jedwabną suknię od de la Renty z krezą odsłaniającą jej imponujące wcięcie biustu.

- Jest jeszcze wspanialej niż w zeszłym roku, Martin, ty stary pierniku - zauważyła, najwyraźniej w doskonałym nastroju. - Przeszedłeś sam siebie.

- Dziękuję, Angel - odparł Martin, może nieco zbyt entuzjastycznie, gdyż próbował ukryć zdenerwowanie. Chciał unikać jej tak długo, jak to będzie możliwe. Madame postanowiła odbyć nieprzyjemną rozmowę z Angel po kolacji.

- Widziałeś Sandrine i SueBee? - spytała Angel rozglądając się po sali.

- Są tam. - Skinął głową w stronę baru w końcu sali.

Przyjaciółki plotkowały i śmiały się z Delią i Dalią niemieckimi bliźniaczkami w czarnych atlasowych sukniach bez ramion od Scaasi. Bliźniaczki razem mówiły, śmiały się, jadły, spały i pracowały.

- Błę - jęknęła Angel. - Słuchają niemieckiego stereo. Poczekam. Chciałam z nimi porozmawiać o tym, co powinnyśmy zabrać na La Fantastique, a Niemki nie jadać prawda?

- Prawda - odparł sztywno Martin. Nie chciał dać się wciągnąć w rozmowę na temat La Fantastique, wiedząc, że Angel nie przypuszcza, iż tam nie pojedzie.

Ponownie spojrział na dwie przyjaciółki. SueBee wystąpiła w czarnym atlasie, a Sandrine w kremowym szyfonie. Po raz kolejny zdumiał się tym, jak bajecznie wyglądała Sandrine od powrotu z „urlopu” z Jourdanem Garnem.

Madame zachęcała na razie Martina do dalszego zlecenia Sandrine wielu klientów.

Gdyby, co mało prawdopodobne, Jourdan Gam zechciał wyrwać Sandrine z profesji, w grę wchodził albo bezpośredni wykup albo nabycie akt Sandrine. Niewiele dziewcząt Cleo zdołało wymazać swoją przeszłość za pomocą pieniędzy.

Nagle plotki ucichły. Wszystkie głowy zwróciły się do drzwi, w których pojawiła się madame. Dopiero w tym momencie Martin uświadomił sobie, że większość obecnych rzadko widywała ją na co dzień. Cleo stanowiła niewidzialną siłę w ich życiu, jako że głównie kontaktowały się z nią i to telefonicznie. Jeśli dziewczyna dobrze pracowała i zachowywała się należycie, nie było powodu, by spotykała się z madame. Dla większości pozostawała enigmą, dla wielu idolem, dla niektórych śmiertelnym wrogiem. W sali balowej nie było osoby, której życie nie zostałoby nieodwołalnie zmienione przez tę drobną kobietę idącą przez wiwatujący tłum.

Tego wieczoru przeszła samą siebie: dla odmiany ubrała się kolorowo, co stanowiło miłe odejście od tradycyjnego beżu i szarości. Miała na sobie długi pluszowy kostium

od Yves Saint Laurenta w kolorze kobaltowym, z kołnierzem i mankietami z futra czarnego lisa. Włożyła, rzecz jasna, tradycyjny podwójny sznur pereł, a do tego brylantowy naszyjnik. Za madame kroczył jeden z najprzystojniejszych Nubijczyków, niosący ozdobioną drogimi kamieniami torebkę, w której z pewnością znajdowały się jej akcesoria do palenia, a także, być może, zapalniczki, które miała wręczyć wybrankom.

Kiedy wstąpiła na mały podest przed kominkiem, w sali zapanowała cisza. Nawet barmani i kelnerzy zamarli w bezruchu.

- Dobry wieczór, moje ślicznotki - powiedziała słodko po angielsku. - Dzisiaj wszyscy wyglądają nadzwyczajnie, czyż nie?

W sali rozległy się śmiechy, a potem brawa; kobiety odwracały się, by spojrzeć na sąsiadki z uśmiechem aprobaty.

- Tego wieczoru - ciągnęła madame - o czym pamiętają te spośród was, które liczą a ja liczę, liczę pieniądze, dni i błogosławieństwa, tego wieczoru obchodzę trzydziestą piątą rocznicę pracy. Dwadzieścia lat spędziłam tu, w tym pięknym domu. Każdej z was jestem winna podziękowania za szczęście, jakie mi dopisało; mam nadzieję, że zdołałam się wam odwdzięczyć. Proszę, bawcie się dobrze, a po kolacji, jeśli zdołacie się oderwać od niewątpliwie najśodszych plotek w całym Paryżu, zapraszam każdą z was do mojego stolika. Teraz, proszę, rozluźnijcie się, spróbujcie naszego wybornego szampana, a jeden z naszych uroczych „niewolników” rozda wam prezenty, stanowiące dowód mojego szacunku i wdzięczności. - Odwróciła się z kokietyjnym uśmiechem, a inny Nubijczyk podszedł do podestu ze srebrną tacą pełną pudełeczek z niebieskiego pluszu.

Tłum wydał zbiorowe westchnienie. Madame skinęła głową i podziękowała uśmiechem za kolejne brawa. Pochwyciła wzrok Martina i dała mu dyskretny znak, przechylając głowę na bok.

Przepchnął się przez tłum, podszedł do madame, a Nubijczyk niosący torebkę cofnął się o krok.

- Poproś Angel na dół, dobrze? - szepnęła madame.

- Teraz? Przed kolacją? - spytał zdziwiony.

- To jest zbyt miły wieczór, by psuć go sobie taką historią. Chcę to mieć za sobą. Martin skinął głową i odwrócił się, by odszukać Angel. Znalazł ją w głębi sali, gdzie stała w gronie obejmującym między innymi Sandrine i SueBee. Niemieckie bliźniaczki zniknęły. Ktoś powiedział właśnie coś zabawnego i grono zataczało się ze śmiechu.

Kiedy Martin podszedł, wszystkie się odwróciły, nie przestając się śmiać. Zbliżył się do Angel i powiedział jej na ucho:

- Madame chce się z tobą widzieć na dole.

- Teraz? - spytała marszcząc brwi. - W jakiej sprawie?

- Chodzi chyba o La Fantastique.

To wyjaśnienie uspokoiło Angel. Przeprosiła przyjaciółki i wzięła Martina pod ramię.

Kiedy schodzili na dół do gabinetu madame, Angel nie powiedziała nic, co wskazywałoby na zakłopotanie z powodu wezwania.

Martin pchnął drzwi bez pukania. Madame siedziała za biurkiem. Jedyne źródło światła stanowiła stojąca obok jej łokcia lampa z purpurowym abażurem. W głębi pokoju Martin dostrzegł sterty ksiąg rachunkowych zalegających na wszystkich płaskich powierzchniach - dowód pozostawiony przez szarych urzędników, którzy wciąż ślęczeli nad księgami.

Przytrzymał drzwi dla Angel, która przepłynęła obok z wysoko uniesionym podbródkiem, a jedwab sukni wydawał cichy szelest.

- O, Angel - powiedziała miłym tonem madame i wstała. -Dziękuję, że zechciałaś zejść. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Ja też - odparła Angel, bezceremonialnie siadając na krześle przed biurkiem. Założyła nogę na nogę i oparła się łokciem o biurko madame.

Martin chrząknął, pragnąc jej dać do zrozumienia, że nie przyjęła najodpowiedniejszej postawy, ale bez skutku.

- Od razu przejdę do rzeczy, Angel - oświadczyła madame siadając. - Nie potrzebujemy tu już twoich usług.

Angel mrugnęła i spojrzała na Martina.

- Co?

- Zawiodłaś moje zaufanie. Rozumiem, że kiedy zaczęłaś dla mnie pracować, mogłaś czuć, że zrobiłaś krok w tył. Doceniam twoją działalność jako madame w Stanach i jestem wdzięczna za dziewczęta, które do nas przysłałaś. Jednak twoja ostatnia działalność nie pozostawia mi...

Na twarzy Angel zakwitł rumieniec.

- Jedną chwilę, do kurwy nędzy - warknęła z wściekłością. - Nie możesz mi tego zrobić. - Odwróciła się do Martina, który przycupnął na oparciu kanapy. - Ty mały gnojku - wycedziła. -Powiedziałeś, że chodzi o La Fantastique.

Martin uniósł ręce i opuścił w geście bezradności.

- Istotnie chodzi o La Fantastique, Angel - przerwała jej madame Cleo. - Nie jedziesz tam.

Angel rozchyliła szeroko oczy w niedowierzaniu, otworzyła usta i przesunęła dłonią po misternie zmierzwionych włosach.

- Co ja zrobiłam, hę? Co takiego zrobiłam, czego nie zrobiło sto innych dziewczyn? Pytam cię.

- Przykro mi, Angel - odparła madame. - Sto innych dziewcząt nigdy nie zawiodło mojego zaufania tak jak ty. Szczerze mówiąc, w ciągu wszystkich lat mojej pracy żadna z dziewcząt nie zamierzała wykupić innych mesdames i odebrać klientów, by rozmyślnie podkopać moją pozycję. Na przykład szejk Zaki powiedział mi, że zwróciłaś się do niego z prośbą o pokaźną pożyczkę w celu powrotu do branży. Dał mi też do zrozumienia, że obiecałaś mu usługi moich dwóch najlepszych dziewcząt, SueBee i Sandrine. Z pewnością musiałaś wiedzieć, że przyjaźnię się z Zakim od ponad trzydziestu lat.

- Ten obleśny mały gnój - wybuchnęła Angel. - Teraz łapię. Wystawiłaś mnie, żeby mnie zakapował!

Madame westchnęła i spojrzała smutno na Martina.

- Angel stanowi żywy dowód na to, że należy zmodyfikować program nauki w Wellington Close.

Angel zerwała się z krzesła.

- Ty stara świętoszkowata rajfuro! Ze wszystkich nadętych, sztucznych, gównianych...

Martin wstał i przerwał jej w pół zdania:

- Poczekaj, Angel. Nie ma potrzeby...

- Czy SueBee o tym wiedziała? Czy brała udział w tej intrydze z Zakim? - darła się Angel.

- Nie wiedziała - odparła madame, wpatrując się w nią lodowato.

- Nie wiedziała. - Martin energicznie potrząsnął głową.

- A Sandrine? Kapowała na mnie? Martin wygładził szarfę.

- Żadna z nich nie miała z tym nic wspólnego, Angel. Nie musimy się przed tobą tłumaczyć, ale madame nie opiera się na informacjach pochodzących od innych dziewcząt. A tak do twojej wiadomości, Sandrine i SueBee są twoimi najlepszymi przyjaciółkami.

- Jeszcze nigdy nie wpadłam w takie gówno - stwierdziła Angel nieco łagodniejszym tonem; zaczęła rozumieć własną klęskę. - Pracowałam bardzo ciężko. A tak przy okazji, jesteście mi winni premię, złodzieje.

- Chwileczkę... - zaproponował Martin rumieniąc się. Madame uciszyła go mchem dłoni.

- W porządku, Martin, usiądź. Angel przysługuje premia. -Zwróciła się do Angel łagodnie: - Angel, pracowałaś dużo, nawet za dużo. Może nie zamierzałaś mnie zrujnować, ale nie mogę pozwolić, żeby ktoś niszczył dzieło mego życia.

- Nie wyrządziłam ci nawet dziesiątej części szkód, które wyrządzi ci rząd - mruknęła Angel.

- Co takiego? - spytał z wściekłością Martin.

Angel spojrzała na piętrzące się za biurkiem księgi rachunkowe.

- Wiem, co tu się dzieje od miesiący - oświadczyła, wskazując na księgi podbródkiem.

- Dokładnie rozejrzałam się w sytuacji. Wygląda na to, że sama jesteś w niezłych tarapatach, madame. - Angel oparła się z uśmiechem na twarzy.

Martin wstrzymał oddech, czekając na wybuch madame, ale Cleo ku jego zdumieniu nic nie powiedziała. Sięgnęła po cygaretkę, postukała nią o biurko, po czym przesunęła przed nią złotą zapalniczką.

- Muszę przyznać, że podziwiam twoją przedsiębiorczość, Angel - powiedziała spokojnie. Zatrzasnęła zapalniczkę i nachyliła się do przodu. - Proszę, weź to na pamiętkę. Jesteś godnym adwersarzem, ale nie powinnaś mi grozić. Zagrażały mi już poważniejsze siły niż rząd francuski i wyszłam z tego cało.

Martin wiedział, że Cleo grała. To, co się działo w małym pokoiku w ciągu dnia, było powodem do zmartwienia, ale Angel nie musiała tego wiedzieć.

Angel wzięła zapalniczkę, przyjrzała się jej, po czym schowała w dłoni.

- A więc już bardziej nie zbliżę się do La Fantastique.

- Cóż - odparła madame w zamyśleniu. - Posiadłość barona leży na południowy zachód od Paryża Twój samolot przeleci pewnie dokładnie nad nią.

- Samolot? Dokąd niby lecę?

- Martin? - Madame Cleo odwróciła się i podała asystentowi grubą kopertę. Odwiązał sznurek, sprawdził zawartość, po czym wręczył kopertę Angel.

- Masz tu bilet w jedną stronę na pierwszą klasę na wieczorny lot do Nowego Jorku - oświadczył Martin. - Ktoś będzie tam czekał i dopilnuje, żebyś się przesiadła. Spakowaliśmy twoje rzeczy, są w samochodzie. Masz tu też czeki podróżne na sumę dziesięciu tysięcy dolarów. Kiedy dotrzesz na miejsce, będzie cię oczekiwał znajomy pana Rizzo. Zrobiliśmy ci rezerwację w najlepszym hotelu. Masz pracę. Życzymy ci jak najlepiej.

Angel położyła sobie kopertę na kolanach, nie sprawdzwszy zawartości.

- Dokąd mam lecieć? Czy może to jest tajemnica i nie możecie mi powiedzieć.

Martin spojrzął na madame, która skinęła głową.

- Do Las Vegas.

Angel wpatrywała się przed siebie.

- Kurwa - zakląła i wstała. - A więc, gady, nie tylko mnie wylewacie, ale w dodatku wydajecie mnie w łapy mafii. Ależ z was milusińscy. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę się pożegnać z przyjaciółkami.

Madame Cleo wstała.

- Owszem, mam coś przeciwko temu.

- Co? - spytała Angel odwracając się.

- Masz wyjść natychmiast. Nie wolno ci z nikim rozmawiać, a w szczególności z innymi dziewczętami - oświadczyła madame Cleo i nacisnęła dzwonek na biurku.

- Co wam jest? Boicie się, że je ukradnę?

- A jeśli spróbujesz? - odpowiedział pytaniem Martin, podszedł do drzwi i otworzył.

W progu stało dwóch potężnych, namaszczonych oliwą Nubijczyków, jednak bez tac, które roznosili na górze. - Odprowadźcie tę damę do samochodu.

Angel uniosła podbródek i odwróciła się na pięcie. Bez słowa przepchnęła się obok dwóch półnagich mężczyzn i pobiegła w stronę drzwi frontowych.

- Nie zawracajcie sobie głowy - powiedział Martin do mężczyzn, którzy spojrzeli na niego pytająco, czekając na instrukcje. - Zrobi, co jej kazaliśmy. - Po czym dodał pod nosem. - Na razie.

Madame Solange otworzyła drzwi, kiedy SueBee była w połowie schodów. Przez cały dzień robiła zakupy na weekend w zamku barona i słała się ze zmęczenia.

Madame Cleo zawsze dawała dziewczynom czas na przygotowanie się. Byłyby to radosne dni, gdyby nie fakt, że Angel nie jechała z nimi.

Dowiedziały się o tym podczas krótkiego spotkania w willi w dzień po przyjęciu i były zrozpaczone. Nie wierzyły w zapewnienia Martina, że Angel została tylko ukarana i pewnego dnia madame wezwie ją z powrotem.

SueBee przesunęła torby i weszła bokiem do mieszkania.

- Panienko SueBee - szepnęła zaaferowana madame Solange. - W pani mieszkaniu czeka pewien dżentelmen. Otrzymałam polecenie, żeby go wpuścić.

SueBee zmarszczyła brwi. Nikogo się nie spodziewała.

- Polecenie? Od kogo? Nie może być klientem. Nie śmieliby go przysłać tutaj.

- Polecenie madame - brzmiała nieśmiała odpowiedź. SueBee wiedziała, że choć konsjerżka rozpieszczała dziewczęta, to przede wszystkim była lojalna wobec madame Cleo.

- Dobrze, idę na górę - odparła SueBee wstępując na schody. Jeśli jakimś cudem rzeczywiście przyszedł klient, postanowiła, że szybko się z nim uwinie. Pragnęła tylko wziąć gorący prysznic i przespać się.

SueBee pchnęła drzwi swego mieszkania, ale nie ustąpiły. Coś je blokowało. Sądząc, że madame Solange znowu rozwiesiła pranie na klamce, naparła na drzwi ramieniem. Otworzyły się ze zgrzytem.

Kiedy przeciskała się przez szparę razem z torbami, coś otarło się o jej twarz.

Odepchnęła to i nagle spostrzegła, że salon był pełen kwiatów. Kwiaty w doniczkach, kwiaty w wazonach, kępa kwiatów blokująca drzwi, kwiaty leżące w pudłach, wszystkie obwiązane metrami różowej wstążki.

- Co to, na Boga, znaczy? - spytała na głos.

- W Paryżu zabrakło żółtych róż - dobiegł głos z kuchni. SueBee odwróciła się gwałtownie i ujrzała mężczyznę stojącego plecami do światła.

- Jack Ayler - wykrztusiła. - Niech to szlag. - Nic innego nie przyszło jej do głowy. Już dawno nie znajdowała się sam na sam z tym człowiekiem. Przypomniała sobie wspólnie spędzone chwile i ból. Poczowała dziwne odrętwienie.

- Witaj, maleńka - powiedział uśmiechając się szeroko. Brzmienie jego głosu, wyraz twarzy przyprawiły ją o lekkie mdłości. Zastanawiała się czy inne kobiety czuły się tak samo spotykając dawnego kochanka. Czy, jak ona, zadają sobie pytanie: „Co ja w nim widziałam?”

SueBee postawiła torby na stole przy drzwiach.

- Jack, teraz jestem profesjonalistką - oświadczyła najbardziej konkretnym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Jeśli zamierzasz tu zostać, będziesz mi musiał zapłacić.

- SueBee, SueBee, SueBee powiedział, sięgając po otwartą butelkę szkockiej. -

Przyszedłem tu jako twój przyjaciel. Cleo była na tyle uprzejma, by kazać konsjerżce mnie wpuścić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Chciałem cię zobaczyć.

- Dlaczego się nie umówiłeś, Jack? - spytała chłodno, odgarniając wilgotne włosy. - Teraz jestem pracującą dziewczyną.

- SueBee, kochanie, przestań - zaproponował Jack. Wiedziała, że w jego przekonaniu sposób, w jaki to powiedział, niezwykle wolno, był bardzo seksowny. SueBee wydało się to jedynie sprośne. - Chodź, napij się ze starym Jackiem. On bardzo się za tobą stęsknił.

Westchnęła i zdjęła pantofle. Nie cierpiała, kiedy mężczyźni mówili o sobie w trzeciej osobie. Tacy nadawali też imiona swoim członkom; zawsze był to „Potwór”, „Wąż” albo „Zabójca”.

- Jack - powiedziała z przesadną cierpliwością. - Jutro czeka mnie długa podróż.

Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Jeśli nie przyszedłeś tu w interesach, sugeruję, żebyś skończył drinka i poszedł.

- A, tak, słynny weekend u barona - powiedział.

- Wiesz o tym - stwierdziła krótko, niezadowolona, że wiedział cokolwiek o jej sprawach.
- Ależ oczywiście. Madame zostawia w gabinecie mnóstwo rozmaitych notatek.
- Czy wie, jaki jesteś wścibski? - spytała szorstko. Jack uśmiechnął się.
- Madame wspominała mi, że chodziłaś do tej jej śmiesznej szkoły. Rzeczywiście poważnie traktujesz tę sprawę, moja mała SueBee. - Otworzył lodówkę, wyjął kilka kostek lodu, które wrzucił do swojej szklanki.

Kiedy odwrócił się do niej plecami, SueBee zerknęła na butelkę szkockiej. Była do połowy opróżniona. Najwyraźniej czekał tu na nią już od pewnego czasu. Ostrożnie przeszła pomiędzy dwiema dużymi donicami z terakoty i wzięła ze stołu korespondencję. Nie przyszło nic poza rachunkami, więc rzuciła je z powrotem, zastanawiając się, jak bardzo musi być niegrzeczna, żeby się go pozbyć. Już dawno nie odnosiła się niegrzecznie do mężczyzny; stwierdziła, że to całkiem przyjemne uczucie.

Skrzyżowała ręce na piersiach i stanęła na środku dywanu, nie chcąc siadać, ponieważ mógłby to odczytać jako zaproszenie.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - spytała konkretnym tonem, w nadziei, że jej słowa przebiją się przez alkoholową mgłę, która zaczynała przesłaniać mu oczy. - Chcesz skorzystać z łazienki? Z telefonu?

- Chcę ciebie - odparł, nie ruszając się od drzwi kuchennych.

- Teraz chcesz mnie - powtórzyła SueBee, wolno kiwając głową. Wiedziała, że były to ostatnie spokojne słowa, które miała do niego powiedzieć. Czowała wzbierający gniew.

- Pamiętasz dawne czasy? - spytał, uśmiechając się krzywo. - Nieźle się bawiliśmy, co, SueBee?

Odchrząknęła i wskazała na kanapę.

- Usiądź, Jack.

Oczy Aylera rozbliły się lubieżnie; uznał, że mu uległa. Podszedł do kanapy ze szklanką usiadł i wyciągnął rękę.

- Chodź, usiądź przy mnie.

- Dziękuję, postoję - odparła. - To, co mam do powiedzenia, nie zajmie wiele czasu.

- Och, misiaczek jest zły.

Gniew zaczął ją dusić. Misiaczek, pomyślała, jakież to urocze. Nigdy nie nazywał mnie misiaczkiem. Musiało mu to zostać po ostatniej dziewczynie, którą puścił w trąbę.

- Nie wiem, kim jest misiaczek, Jack. Ja jestem SueBee Slyde z Wayleen w stanie Teksas.

- Przestań, lalczko - powiedział, wysuwając dolną wargę i poklepując leżącą obok poduszkę. - Chodź tutaj i porozmawiaj z tatusiem.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Dlaczego tu przyszedłeś? Czy dlatego, że teraz mi płacą? To cię musi podniecać. Pomyślałeś, że weźmiesz mnie za darmo. Czy nie w ten sposób madame płaciła ci przez te wszystkie lata za twoje usługi?

- Nie, kochanie, stęskniłem się za tobą. Kiedy madame Cleo powiedziała mi...

- Nie kłam - przerwała mu, siłąc się na spokój. - Pracujące dziewczyny cię podniecają Jack?

- No, pewnie, mała. - Ayler wzruszył ramionami. - Co w tym złego?

- Nic, pod warunkiem, że ja nie mam z tym nic wspólnego - powiedziała i zaczęła chodzić po mieszkaniu. - Posłuchaj, Jack. Kiedyś strasznie się w tobie kochałam. Zraniłeś mnie. Teraz nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Ayler zrobił taką minę, jakby uderzyła go w twarz zdechłą rybą. Otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale SueBee uniosła palec.

- Jeszcze nie skończyłam. Świetnie sobie wyobrażam, jak się podnieciłeś, gdy odkryłeś, że mała SueBee sprzedaje wszystko, czego jej nauczyłeś. Sądziłeś, że tylko tu wejdiesz, a ja się rozkraczę, prawda? Cóż, nie interesujesz mnie ani ty, ani twoje spaczone libido.

Jack klepnął się w kolano i wybuchnął śmiechem.

- Doktor Freud się kłania - krzyknął. - Czy to w szkole madame uczyłaś się o libido?

- Pewnie tak - odparła spokojnie. - Uczyłam się też o Kancie, Heglu, Shelleyu i Keatsie. Wiem o Disraelim i wojnie krymskiej. Nie jestem w nastroju do rozmowy o wydarzeniach światowych, ale możesz mi wierzyć, że gdybyś chciał usłyszeć moją opinię o wszystkim, od sprawy Iranu do możliwości trzęsienia ziemi w Peru, usłyszałbyś ją.

- Przestań SueBee. Czy nie możemy się po prostu zabawić? Tylko my dwoje, jak za dawnych czasów? Moglibyśmy wrócić do punktu, w którym przerwaliśmy w Nowym Jorku.

- Wrócić? - powtórzyła SueBee stając przed nim i zaglądając mu w twarz. - Żebyś znowu traktował mnie jak szmatę? Okłamywał? Przestań Jack, bo cała drzę z podniecenia.

Ayler poczerwieniał nagle z wściekłości.

- I kto to mówi - wrzasnął. - Jesteś dziwką, na rany Chrystusa! Pierdolisz się za pieniądze!

- Zgadza się, za pieniądze, a nie kwiaty - odparła kopiąc jedną z doniczek. - Za pieniądze, nie obietnice. Za pieniądze, nie kłamstwa. A teraz jestem zajęta.

- Którego z ważniaków będziesz pieprzyć w ten weekend? Słyszałem, że dostałaś specjalne zlecenie.

Cholera, pomyślała, wyciągając walizkę na środek pokoju i otwierając zatrzask. Ten skurwiel musiał przejrzeć wszystkie teczki w gabinecie madame. Nie miała zamiaru mu mówić, że chodzi o Billa Mosby'ego.

- Nie wiem - powiedziała. - Mam jednak nadzieję, że to ktoś, kto cię zna, żebym mogła mu powiedzieć, iż masz fiutka mniejszego od kciuka.

Jack wstał niepewnie i sięgnął do rozporoka.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda - powiedział rozpinając suwak. - Pozwól, że odświeżę ci pamięć.

SueBee znalazła się nagle z powrotem w małej przyczepie mieszkalnej w Wayleen. Ujrzała przed sobą twarz Dużego Chłopca. Wstała, podniosła nóż do listów leżący obok korespondencji i wymierzyła go w rozporek Jacka.

- Zrób to, a stracisz go - ostrzegła. - Nie po raz pierwszy obciąłabym takiego starego, pomarszczonego dzyndzla.

Oparła się o krawędź stolika do kawy i nachyliła do Aylera.

- Mogłabym cię śmiertelnie przestraszyć, Jack. Co byś powiedział na zawał? Załatwię ci go. Spróbuj mnie pieprzyć, a wyniosą cię stąd w plastikowym worku. Czy widziałeś już, jak ktoś dostał zawału? Jeśli pomoc nie nadchodzi szybko, język czernieje. Możesz być pewien, że ja poczekam. Będę sobie malować paznokcie i patrzeć. Ból jest podobno niewiarygodny, większy niż przy jakiegokolwiek innej nagłej chorobie. Czasami ból jest tak wielki, że jeśli starczy ci sił, złapiesz ten nóż do papieru i spróbujesz się zabić, zanim twoje serce zrobi to za ciebie.

SueBee cofnęła się, żeby przepuścić Jacka, który trzasnął drinkiem o stolik do kawy i zaczął się przeciskać między kanapą a stolikiem. Runął do drzwi, gdzie na krześle wisiała jego marynarka. Zerwał ją i otworzył drzwi.

- Ty zwariowałaś - rzucił. - Kompletnie ci odbiło.

Po kilku sekundach SueBee wpatrywała się w zamknięte drzwi. Zniknął.

- Cholera - powiedziała na głos. - Ten skurwiel mógł przynajmniej zostać, żebym mu powiedziała o tym, jak się traci panowanie nad zwieraczami i obsrywa się od góry do dołu. Dopiero się rozkręcałam.

Czarny Bentley z matowymi oknami sunął wolno ulicą St.-Denis. Słabe światło latarni ulicznych nie ułatwiało zadania kierowcy. Opuścił szybę, by sprawdzać numery domów. Przy numerze czterdzieści dwa duży samochód podjechał do krawężnika.

Umundurowany szofer wysiadł, wspiął się na schody i nacisnął dzwonek mieszkania numer siedem. Poczekał chwilę, zadzwonił znowu, po czym wrócił do samochodu, gdzie pasażer coraz bardziej się niecierpliwił.

- Przykro mi, panie Garn - powiedział, uchylając czapki. - Pod siódmką nikt nie odpowiada.

- Zadzwoń do konsjerżki - zadudnił gniewny głos. Szofer skinął głową wrócił do foyer i odnalazł dzwonek z napisem: „Dexia Solange, konsjerżka”. Po kilku dzwonekach w końcu drzwi uchylily się i wyrzała bardzo stara kobieta o jasnorudych włosach.

- Oui? - zaskrzeczała.

- Hmm, mademoiselle Sandrine? - zapytał niepewnie szofer. - Czy ona jest w domu?

- Wyjechały - odparła po angielsku.

- Jakie „one”? - zapytał ktoś. Szofer odwrócił się i ujrzał stojącego obok niego Jourdana Gama.

- Mademoiselle SueBee i mademoiselle Sandrine - odparła stara. - Pojechać. Wieś. Duży samochód. - Zamachała rękami, by podkreślić duże zamieszanie, jakie towarzyszyło wyjazdowi kobiet.

Garn odepchnął szofera i zwrócił się bezpośrednio do kobiety.

- Kiedy wyjechały? Dokąd wyjechały? - krzychał, jak to mają w zwyczaju ludzie nie mówiący po francusku, chcąc, by Francuzi ich zrozumieli.

Konsjerżka jeszcze bardziej przykneła drzwi, teraz widać było tylko jedno, umalowane czarnym tuszem oko.

- Na wieś. Nie wiem nic poza tym. Idźcie. Idźcie - powiedziała i zatrzaskała drzwi. Szofer pomógł Garnowi wsiąść do samochodu.

- Dokąd teraz, sir?

Cholerny Feliks, co za sukinsyn. Do diabła z nim i z jego cholernym przyjęciem. W tym roku, jak zwykle, Gam postarał się o zaproszenie, ale nie pojechał. Nie wierzył, że Sandrine tam będzie. Praktycznie obiecała mu, że nie pojedzie, ale czy rzeczywiście? Teraz, kiedy gniew przejaśnił mu w głowie, zrozumiał, że podczas ostatniego spotkania niczego mu nie obiecała. Uśmiechnęła się tylko, opierając podbródek pod pępkiem Garna, a potem zaczęła kreślić koniuszkiem języka maleńkie kółka na jego włosach łonowych.

Przesunął dłonią po oczach, próbując odpędzić te myśli, a potem wyjrzał przez okno na opustoszałe paryskie ulice. Wiedział, że wytrzyma bez niej najwyżej jeszcze kilka godzin.

- Do doliny Loary - polecił kierowcy. - Zamek barona Feliksa d'Anjou. Na La Fantastique.

Od dnia, kiedy Sandrine podeszła do niego na parkiecie w Savoyu, życie Garna znajdowało się w rozsypce. Nie mógł się skupić, nie mógł myśleć, stracił trzy ważne okazje zawodowe i sześć kilogramów.

Nie nabrała go nawet na jedną cholerną chwilę. Szła na całość. Odsyłanie biżuterii, znikanie, upieranie się przy pracy dla madame Cleo - wszystko stanowiło część gry, i to gry bezwzględnej. W świecie dostępnych, łaszących się kobiet nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Sandrine. Kiedy z nim była, sprawiała, że wierzył, iż jest jedynym mężczyzną na świecie, jedynym, który potrafi zaspokoić jej nienasycone potrzeby seksualne. Nigdy wcześniej nie miał kobiety, którą potrafiłby doprowadzić do dwóch, trzech, czterech orgazmów w ciągu nocy. Widząc ją wchodzącą do pokoju, czuł, że serce wyrwie mu się z piersi i trzaśnie o ścianę. Musiał ją mieć. Za żadne skarby nie chciał spędzać reszty życia w nudzie i przesycie. Na co mogły się zdać wszystkie pieniądze, które zgromadził, skoro nie było kogoś, kto chciałby je wydać? Cóż, Sandrine mogłaby to zrobić. Garn nie miałby nic przeciwko temu, żeby porzuciła je na ziemi i tarzała się w nich, jeśli tylko zgodziłaby się z nim być. Aż zbyt dobrze znał mężczyzn zapraszanych na przyjęcie barona. Myśl o Sandrine kopulującej z którymkolwiek z nich sprawiała, że Gamowi pulsowała duża żyła na skroni.

Musiał przestać o niej myśleć, jeśli nie chciał zwariować. Postanowił, że odszuka Sandrine i da jej, czego ona zapagnie. W kieszeni płaszcza miał jedyny klejnot, którego mu nie zwróci.

Rozwód z Edytą był nieunikniony i, do cholery, jeśli chcąc mieć Sandrine dla siebie, musiał się z nią ożenić, zrobi to. Najzwyczajniej w świecie nie potrafił przeżyć bez niej dnia.

SueBee nie mogła spać. Siedziała pod oprawionym w ołów oknem pokoju Billa Mosby'ego i patrzyła, jak słońce wschodzi nad winnicami. Jeśli to w ogóle możliwe, zamek barona położony pośród pofałdowanego francuskiego krajobrazu przewyższał urodą nawet Wellington Close.

Usłyszała, że Mosby się poruszył, więc wróciła do łóżka, wślizgnęła się pod prześcieradła i oparła głowę na poduszce. Przyjrzała się uśpionej twarzy Mosby'ego. Oddychał płytko i z trudem. Już zeszłego wieczoru, kiedy nakładała mu makijaż, zauważyła rumieńce na twarzy; wiedziała, że oznaczały wysokie ciśnienie.

Postanowiła, że kiedy się obudzi, osobiście zamówi dla niego śniadanie.

Najwyraźniej jadł same niewłaściwe rzeczy.

Nie chcąc go budzić i wiedząc, że nie zaśnie, znowu wstała z łóżka. Ubrała się szybko i czując się nieco głupio w eleganckiej czarnej sukni Chanel o tak wczesnej porze, podreptała w pończochach długim, ciemnym korytarzem. Bardzo chciała się zobaczyć z Sandrine; miała nadzieję, że przyjaciółka już wróciła.

Zapukała raz i drugi, po czym pchnęła drzwi. Sandrine stała przy umywalce w łazience i czesała włosy. Wciąż miała na sobi tę samą suknię co wczoraj w bibliotece.

- Hej, jesteś tutaj - zaszczębiotała SueBee, stawiając pantofle na krześle. - Dlaczego? Sądziłam, że ty i ten dziennikarz jeszcze ciągle działacie.

Na dźwięk głosu SueBee Sandrine odwróciła się z okrzykiem i rzuciła jej się na szyję.

- SueBee! Zrobiłam to! Zrobiłam! Zrobiłam! SueBee uściśnęła ją zdumiona.

- Oczywiście, że zrobiłaś. Przecież po to tu przyjechałyśmy - Objęła Sandrine w talii i zakręciła przyjaciółką w zaimprowi zwanym tańcu. - „Musisz to zrobić, mała, bo forsory nie zobaczysz. Jeżeli nie dasz klientowi, to ci nie zapłaci” - zaśpiewała Sandrine wyrwała się i klapnęła na łóżko.

- Nie mówię o seksie, Sue - powiedziała podniecona. Mówię o małżeństwie. Zimna woda, panna młoda!

- Zaraz, zaraz - powiedziała SueBee, wciąż śmiejąc się z zaraźliwej wesołości Sandrine. - Małżeństwo, kto, co...

- Jourdan Garn - wyszeptła Sandrine. - Czeka na mnie dole. To podziałało, siostró, podziałało.

- O, mój Boże - wykrztusiła SueBee, kiedy przyjaciół podetknęła jej pod nos lewą dłoń. Na serdecznym palcu widniał największy kamień, jaki SueBee widziała w życiu. - Co to jest?

Sandrine uniosła dłoń i przyjrzała się pierścionkowi.

- Nie wiem, chyba brylant. Co mi tam. Najważniejsze, że g złapałam.

- Ale jak to się stało? Kiedy cię widziałam ostatni raz, wychodziłaś z biblioteki z tym dziennikarzem.

- Dziś rano odźwierny wbiegł na górę z wiadomością, że ktoś chce się natychmiast ze mną widzieć na dziedzińcu. Zbiegłam na dół, a tam, w dużym samochodzie z otwartymi drzwiczkami, z jedna nogą na ziemi siedział Jourdan Gam! - Sandrine wykrzyknęła jego nazwisko i zawirowała na orientalnym dywanie.

- Chcesz powiedzieć, że przyjechał taki kawał tylko po to...

- Tylko po to, żeby się oświadczyć, SueBee - krzyknęła Sandrine podskakując. - Nie przywitał się, nie zapytał, jak się miewam, ani czemu przed nim uciekłam. Złapał mnie tylko, pocałował z językiem, jakby chciał się dostać do moich migdałków, a kiedy zaczerpnęłam powietrza, powiedział - uważaj - powiedział: „Dłużej tego nie zniosę. Muszę cię mieć. Czy wyjdiesz za mnie?”

- Jasny gwint - szepnęła oniemiała SueBee. Chciała się cieszyć ze szczęścia przyjaciółki, ale z jakiegoś powodu ta historia wydawała jej się taka... taka... sztuczna. Nigdy nie słyszała, żeby Sandrine mówiła, że kocha Jourdana Gama. Mówiła tylko: „Zamierzam go przyhaczyć i wiem, jak to zrobić”.

- Co teraz będzie, Sandy? Wrócisz razem z nim?

- Absolutnie - odparła Sandrine, ściągając sularę przez głowę. - Tylko się ubiorę i spakuję. Jego samolot czeka na prywatnym pasie na Orly. Jeszcze dziś w nocy będziemy w Nowym Jorku.

Sandrine rzuciła suknię do otwartej torby, rozpięła stanik i poszła z powrotem do łazienki, mając na sobie tylko pończochy i podwiązki. W drzwiach odwróciła się do SueBee.

- Jedź ze mną - powiedziała cicho. - Wracaj ze mną, SueBee, aż do Nowego Jorku. Nie chcę brać ślubu samotnie.

- Nie mogę, Sandy.

- Dlaczego? - spytała urażona Sandrine. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie cieszysz się, że mi się udało?

- Oczywiście, że się cieszę - odparła SueBee, wciąż nie mając pewności, co czuła. - Ale obiecałam Mosby'emu, że wybiorę się z nim dzisiaj na konną przejażdżkę.

- Ach, w takim razie bardzo przepraszam - powiedziała sarkastycznie Sandrine, ściągając pończochy i podwiązki. - Wobec tego rzeczywiście nie możesz towarzyszyć najlepszej przyjaciółce w podróży do Nowego Jorku i pomóc jej w zaplanowaniu ślubu z jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce.

- Przestań Sandy, to nie tak. Czuję, że ten weekend powinnam spędzić z Billem.

- Dlaczego? Miałaś tylko pójść z nim do łóżka. Nie sądzisz, że tym razem madame Cleo by ci wybaczyła? - spytała Sandrine, zaplatając ręce na piersiach i opierając się, naga jak ją pan Bóg stworzył, o framugę drzwi łazienki.

- Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale lubię go. On ze mną rozmawia. Ma lekkiego hopla na punkcie przebierania się, ale co z tego? Miewałam dziwniejszych facetów. - SueBee spojrzała na kapę na łóżku i zaczęła ją skubać w roztargnieniu. - Poza tym, nie umie o sobie dbać.

- Mosby jest dosyć stary, prawda? SueBee wzruszyła ramionami.

- Mhm, chyba tak, ale czuję, że mnie potrzebuje, a to mi się podoba. Chce spędzić ze mną tydzień w Paryżu. Powiedział, że nie miał wakacji od piętnastu lat i żeby wyrwać się na tak długo, będzie musiał wyrzucić wszystko do góry nogami. Nie mogę go zawieść.

- Dobrze, kochanie, rozumiem - powiedziała Sandrine bez przekonania. - Ale obiecaj, że przyjedziesz, kiedy to się stanie.

- Czyli kiedy?

- Jak tylko dostanie rozwód - odparła Sandrine, ruszając brwiami. - Może nie dalej niż za miesiąc.

- Przyjadę - obiecała SueBee wstając z łóżka.

Sandrine owinęła się prześcieradłem kąpielowym i podeszła do przyjaciółki. Ujęła SueBee za dłonie i spojrzała jej w oczy.

- Zawsze tego chciałam, sestro - powiedziała cicho.

- Wiem, maleńka, wiem. Dopięłaś swego i bardzo mnie to cieszy. Jaka będzie pierwsza rzecz, którą zrobisz po powrocie?

Na twarzy Sandrine pojawił się wyraz skrajnej determinacji. Ani trochę nie przypominała dziewczyny snującej ślubne plany.

- Znajdę sposób, żeby powiedzieć matce, że może się wypchać.

- Mówisz to poważnie, prawda, Sandy?

Sandrine pocałowała ją w policzek i ruszyła z powrotem do łazienki.

- Jak najpoważniej - rzuciła przez ramię i zamknęła drzwi.

SueBee podniosła pantofle, słysząc szum prysznica. Po powrocie zastała pusty pokój, a na poduszce leżała kartka następującej treści: „Kochanie, zszedłem na śniadanie. Kazałem służącemu skompletować dla ciebie przybory jeździeckie; są w szafie. Do zobaczenia w stajniach w południe. Twój Oczarowany Billy”.

SueBee rozebrała się i wślizgnęła pod kołdrę w koszuli Billa, którą zostawił przewieszoną na słupku łóżka. Pograżyła się we śnie, myśląc z dezaprobatą o kielbaskach, jajkach i grzankach z masłem, które z pewnością leżały na talerzu Billa Mosby'ego.

Dwudziestego dziewiątego lipca Sandrine Mandraki w długiej ozdobionej paciorkami sukni od Givenchy, z dwoma białymi storczykami we włosach i trzema warstwami brylantów w uszach, stanęła przed sędzią Sądu Najwyższego w biało-złotej sali hotelu Plaža i poślubiła Jourdana Gama. Kwartet smyczkowy grał dyskretnie melodie, które towarzyszyły spotkaniu Sandrine i Gama w Londynie. Jourdan zapamiętał wszystkie.

Na znak sędziego Sandrine odwróciła się i wręczyła bukiet SueBee. Nachylając się szepnęła:

- Zadzwoń!?

SueBee skinęła głową odebrała bukiet i szepnęła:

- Wszystko gotowe.

Uroczystość dobiegła końca. Z tuzin zaproszonych gości, samych przyjaciół i znajomych Jourdana podeszło do młodej pary, składając odpowiednie życzenia. Potem zjawili się kelnerzy i nalali wszystkim szampana. Zaplanowano kolację w Doubles, klubie w Sherry Netherland, toteż po jednym toaście goście ruszyli w stronę klubu, który znajdował się nie opodal, po przeciwnej stronie Plaža.

Kiedy Sandrine i Jourdan wyszli na Piątą aleję, gapie i dziennikarze zaczęli rywalizować o korzystniejsze miejsca. Przy krawężniku czekał biały powóz zaprzężony w dwa araby z wysokimi białymi piórami na głowach.

Woźnica w białym smokingu i białym cylindrze zeskoczył z ławki i podał rękę panie młodej.

- Niech mnie licho - wykrztusił zdziwiony Jourdan Garn. - Co to wszystko znaczy? Sandrine odwróciła się do męża z uśmiechem.

- To był pomysł SueBee. To jej konie. Czyż nie są cudowne?

- Jak najbardziej - odparł z zachwytem Jourdan. - Ale idziemy tylko na drugą stronę ulicy, kochanie. Te konie się zbyt nie napracują.

- Chodź - powiedziała ujmując go pod ramię. - Zrobimy mały objazd.

Jourdan tylko uśmiechnął się i dał prowadzić. Najwyraźniej nie dbał o to, co knuła. Należała do niego.

Młoda para zajęła miejsce w powozie, a Sandrine skinęła głową do woźnicy wcześniej wtajemniczonego przez SueBee. Odprowadzany brawami tłumu, który

wyszedł za nowożeńcami z hotelu, powóz wyjechał na zachodnią Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicę i ruszył na zachód.

- Dokąd jedziemy? - spytał oszołomiony Jourdan.

- Zobaczysz - odparła Sandrine nie posiadając się z zadowolenia.

Powóz dojechał do rogu Park Avenue i skręcił na północ. Kiedy stanęli na światłach przy wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej, Sandrine zobaczyła je: dwie kobiety, jedna pięknie ubrana w czerwoną jedwabną suknię i wielki czerwony kapelusz; druga w prostej sukience z niebieskiego materiału z białym kołnierzem i mankietami i w niebieskim słomkowym kapelusiku.

Powóz minął światła i stanął przy krawężniku przed kobietami. Woźnica wyciągnął rękę i pomógł kobiecie w niebieskiej sukience wsiąść do powozu. Kiedy kobieta w czerwonej sukni wyciągnęła do niego rękę, woźnica cofnął swoją i zaciął konie.

Powóz włączył się w ruch na Park Avenue, nabierając szybkości, a Sandrine nie obejrzała się na matkę, stojącą na krawężniku z rozdziawionymi ustami. Spojrzała na ukochaną Martę i powiedziała:

- Witaj w domu, Marteczko. Proszę cię, nie płacz.

SueBee, Sandrine, Jourdan, Marta i dwóch asystentów Jourdana polecili jego prywatnym samolotem do Londynu natychmiast po weselnej kolacji.

Podczas przyjęcia w klubie Doubles SueBee przerwano taniec, informując, że dzwonił lord Mosby. Teraz, gdy Jourdan i Sandrine, rozchichotani i pijani, poszli do sypialni na tyłach samolotu, SueBee powiedziała stewardowi, że chce zatelefonować. W chwilę później na stoliku przed nią postawiono biały telefon. SueBee sprawdziła, czy siedząca o kilka foteli dalej Marta zasnęła, po czym nakręciła numer, który podał jej Mosby.

Kiedy odebrał, usłyszała go głośno i wyraźnie.

- Witaj, Billy - powiedziała cicho. - Jestem w niebie.

- Ja też, chociaż w innym sensie - odparł chichocząc. - Czy zastanowiłaś się nad tym, o co cię prosiłem?

- Właściwie nie.

- Czym się martwisz, kochanie? Obiecuję, kiedy tylko zapadnie decyzja, a to nie powinno zająć więcej niż kilka miesięcy. Przecież chcesz ze mną być, prawda, SueBee?

- Chcę tego bardziej niż czegokolwiek. W tym właśnie problem. Gdybym wyrządziła ci jakąkolwiek krzywdę, nie zniosłabym tego.

- Co mi się może stać?

- Billy - powiedziała błagalnie. - Co powiedzą ludzie?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Co będzie, jeśli wszystko się wyda? Mam na myśli madame Cleo.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Ale mnie tak. Bardzo mnie to obchodzi... ktoś na twoim stanowisku.

- Mogę zrobić dla ciebie to samo, co zrobił Garn dla twojej przyjaciółki, ale to nie będzie konieczne. Wystarczy, że zadzwonię w jedno miejsce i sprawa załatwiona.

- Wobec tego zrób to, najdroższy. Gdyby cokolwiek się wydało, umarłabym. Nie chodzi mi o mnie, ale o ciebie. Nie zniosę, żeby ktokolwiek źle o tobie myślał.

- W takim razie załatwione - powiedział zdecydowanie. -Wyjadę po ciebie na lotnisko. Co zrobiłaś z końmi?

- Znalazłam kogoś w stajni, kto je dla mnie sprzeda. To nie było uczciwe, żeby Zaki płacił za ich utrzymanie. Kazałam Martinowi odszukać Zakiego i zadzwoniłam do niego z pytaniem, gdzie mam przesłać pieniądze. Powiedział, żebym zatrzymała je jako posag. Był bardzo słodki.

- Dokąd jadą nowożeńcy, kiedy cię dostarczą na miejsce?

- Jourdan ma willę na Korfu. Marta jedzie z nimi.

- A ty zostajesz ze mną na zawsze.

- Tak, Billy, na zawsze.

- Kocham cię, SueBee. Jesteś moim sercem.

- Ja też cię kocham, najdroższy - szepnęła, widząc stewarda zbliżającego się do niej między fotelami. Odłożyła słuchawkę, oddała mu telefon i podziękowała. Nie mogła się doczekać, żeby wyjawić nowinę Sandrine. Gdyby nie leżała w tym okrągłym łóżku, robiąc sztuczki żony, powiedziałyby jej to teraz. Naciągnęła na ramiona kaszmirową narzutę z monogramem i zasnęła. Kiedy się obudzi, spotka się z jedynym mężczyzną od czasów taty, który naprawdę ją kochał.

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem 1987 roku przyjaciel Cleo piastujący wysokie stanowisko w rządzie francuskim poinformował ją przez telefon, że przygotowywano przeciwko niej rozmaite zarzuty, wszystkie dotyczące zaległych podatków i dochodów ze stręczycielstwa, poczynając od roku 1950. Przyjaciel ostrzegł Cleo, że mogło to doprowadzić do jej aresztowania. Nazajutrz zaczęła działać. Najpierw skontaktowała się z Andre Guibbaudem, swoim wieloletnim adwokatem, który spisał dokumenty, na mocy których madame miała otrzymać „pewną sumę” za zatajenie, że Sandrine Garn kiedykolwiek dla niej pracowała. Następnie zadzwoniła do Billa Mosby'ego, chcąc go zapytać, czy nadal jeździ na golfa do Szkocji ze swoim przyjacielem z francuskiego urzędu podatkowego. Cleo potrzebowała więcej informacji.

Telefon do Billa nie przyniósł żadnego rezultatu. Mosby i SueBee wzięli przed tygodniem cichy ślub w Londynie i polecili do Amsterdamu. Później Cleo dowiedziała się, że Mosby i SueBee spędzili miesiąc miodowy w amsterdamskiej dzielnicy rozpusty, oglądając filmy porno i pływając się w rozkoszach cielesnych, o jakich Mosby dawniej tylko śnił.

Cleo zadzwoniła do Zakiego, żeby sprawdzić, czy ma jakikolwiek wpływ na prezydenta Francji. Zaki powiedział jej, że w związku z niepowodzeniem pewnych kombinacji w dziedzinie nieruchomości na Lazurowym Wybrzeżu prezydent mógł nie chcieć z nim rozmawiać, ale obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy.

Następnie zatelefonowała do Barry'ego Rizza w Nowym Jorku i Jeremy'ego w Londynie, którym poleciła aktywnie zatrudniać nowe dziewczęta. Niedobory finansowe należało zrekompensować maksymalną liczbą nowych pracowników. Przez dwa kolejne lata, dzięki sprytnym i kosztownym machinacjom prawnym oraz zółwiemu tempu francuskiego aparatu sądowego, udawało się trzymać psy sprawiedliwości, jeśli nie na smyczy, to przynajmniej na dystans.

Wiosną 1990 r. madame Cleo i jej prawnicy wyczerpali wszystkie możliwości. Policjanci przyszli do willi na Ile de la Cite i aresztowali ją przed kolacją. Nazajutrz Martin wykupił ją za kaucję, spodziewając się ujrzeć przerażoną, złamaną kobietę. Cleo powzięła jednak silne postanowienie, by zrobić coś, cokolwiek, i nie ujrzeć już nigdy więzienia. Następnego dnia w gabinecie Andre Guibbauda zwołano pilne spotkanie na szczycie. Właśnie tam padła propozycja nie do odrzucenia, a madame po raz pierwszy usłyszała nazwisko Wendy Klarwine. Jediną rzeczą, jaką mogła sprzedać, a która stanowiła autentyczną prawną własność Cleo, była historia jej życia.

Dziennik Petera - Paryż, drugi sierpnia 1990

Gotowe, zrobiłem to! Chciałbym jednak cofnąć się nieco w przeszłość.

Ostatnio moje spotkania z madame stały się rzadsze; twierdzi, że w sierpniu jest szczególnie zajęta, ponieważ wszyscy mają wakacje. Moje zniecierpliwienie systematycznie narastało, toteż kiedy spotkaliśmy się wczoraj po południu, nie byłem w najlepszym nastroju.

Zakończyliśmy rozmowę około osiemnastej (nadal spotykamy się w jej ogrodzie). Martin przyłączył się do nas z butelką szczególnie zaciepłego Graves, nalał nam po kieliszku i gderał przez jakiś czas. Ja milczałem. Postanowiłem uderzyć, kiedy wyczuję, że nastrój odpowiednio się rozluźnił. Wiedziałem, że madame powiedziała mi już wszystko, co wiedziała o dziewczynach. Dostatecznie dużo. Odniosłem wrażenie, jakby nasze ostatnie spotkania odświeżyły jej pamięć.

Kiedy Martin nalał trzeci kieliszek, zaatakowałem:

- No tak - zaczajem nonszalancko. - Czy nadal uważa pani, że jedna z dziewcząt próbowała panią zabić?

- Tak - odparła.

Wziąłem los w swoje ręce i choć musiałem czekać na właściwy moment, wreszcie odrzuciłem wszelkie zahamowania.

- Madame Cleo - powiedziałem zerkając na Martina, jak zwykle wyczułonego na wszelkie niezwykle niuanse głosu. - Gównu mnie obchodzi, kto próbował panią zabić. - Fakt, że po raz pierwszy odezwałem się wulgarnie w jej obecności, zwiększył moją determinację: - Jestem skłonny przypuszczać, że nigdy nie zamierzała pani opowiedzieć mi o sobie. Dlatego teraz żądam od pani całkowitej szczerowości albo zrezygnuję z całego przedsięwzięcia i pozwolę, żeby rząd francuski zamknął panią do więzienia. Nie lubię, kiedy robi się ze mnie frajera.

Martin wydał cichy okrzyk i zakrył usta dłonią - reakcja, której się w pełni spodziewałem. Zdumiała mnie natomiast reakcja madame.

Wstała z dużego fotela, odwróciła się i bez słowa weszła do domu. Po chwili wyszła Nanti, nieziemski hinduska służąca, która oświadczyła, że „madame est tres fatigued” i nie może ze mną dłużej rozmawiać.

Pokazano mi drzwi. Wyrzucono mnie jak służącego, który obrzygał dywan Aubusson.

Chcąc nie chcąc, odstawiłem kieliszek, zebrałem swoje rzeczy i ruszyłem do domu. Martin tańczył wokół mnie jak duży odrażony pies, przeprasząc za nią,

przepraszając za wszelkie nieporozumienia, przepraszając za to, że żyje, bredząc o tym, że ktoś powinien był mi powiedzieć, że madame nigdy nie mówiła o swoich początkach czy odległej przeszłości. Uważała, że urodziła się w dniu, w którym została madame Cleo. Jak to możliwe, że wydawcy tego nie wiedzieli? Jak to możliwe, że nie wiedzieli tego jej adwokaci? Ple, ple, skomlu, skomlu.

Dotarliśmy do drzwi frontowych, odwróciłem się do Martina i wrzasnąłem co sił w płucach:

- Gównu prawda!

Martin, który z pewnością spotkał się już z tym wyrażeniem, zrobił taką minę, jakbym faktycznie rzucił mu w twarz ekskrementami. Następnie zrobił coś zupełnie niesłychanego: rzucił mi się na szyję i załkał. Chyba nigdy nie czułem się tak niezręcznie. Obróciłem go i zaprowadziłem do małej kanapki przy drzwiach.

Opanowawszy się w końcu, zaczął mówić dalej o tym, że madame nigdy nie chciała wydawać tej książki, że działała pod wpływem panicznego strachu przed więzieniem. To adwokaci ją do tego namówili. Później zaczął błagać, żebym nie rezygnował z pisania. Madame Cleo była całym jego życiem, a kiedy pójdzie do więzienia, Martin zostanie zrujnowany.

Wtedy, sądząc, że postąpiłem wrednie (biedak kompletnie się rozsypał), powiedziałem mu, że pierdołę. Pierdołę jego, ją i książkę. Zrobiłem dość, by zapracować na wypłacone mi pieniądze, a w każdym razie dość, by kupić sobie kilka nowych par butów zrobionych ze skóry z tyłeczków włoskich dzieciaków.

Nie złapał sensu zdania o butach, ale najwyraźniej zrozumiał, co mówiłem. Wpadł w histerię i zaczął krzyczeć:

- Ona nigdy nie powie ci o sobie. Czy tego nie rozumiesz? To zbyt bolesne!

Uznałem, że to nie czas, by wygłaszać wykład na temat bólu - własnego.

Odwróciwszy się do wyjścia, kątem oka ujrzałem Cleo stojącą w cieniu u szczytu schodów. Zauważyłem, że słucha, więc podniosłem głos. Powiedziałem Martinowi, że moim zdaniem madame grała na zwłokę, czekając, aż ktoś ją wyratuje; myślała, że będzie mnie wodzić za nos tak długo, jak zechce, ponieważ zależy mi na pieniądzach. Ludzie czekali latami na to, by książka ujrzała światło dzienne. Wszystko układało się w logiczną całość; madame funkcjonowała w świecie, gdzie za pieniądze kupowało się wszystko i wszystkich, także pisarzy z Nowego Jorku. Potem dodałem, że z faktu, iż przez całe życie miała do czynienia z kurwami, nie wynikało, że i ja byłem jedną z nich.

Pomyślałem, że zakończę przemowę na tej efektownej kwestii, zwłaszcza że madame nie drgnęła.

Wybiegłem z domu i zrobiłem jedyną rzecz, w jakiej jestem dobry w chwilach kryzysu. Wróciłem do swego baru na Lewym Brzegu, gdzie znieczuliłem się pernodem przeplatany brandy, która to mieszanka wysłała mnie na planetę Zork szybciej, niż wypowiada się słowa: „W jaki sposób człowiek ma zapanować nad własnym życiem?” Tak właśnie zagadnąłem kobietą pijącą samotnie w końcu baru. Miała zepsute zęby i podarte pończochy pełne drobnych cer.

Piła podwójną wódkę, którą postawił przed nią barman (wkrótce zrozumiałem, że to ja ją nabyłem) i słuchała. Opowiadałem jej, że pogodziłem się z faktem

ureczywistnienia mojej własnej Zasady Petera, osiągnąłem poziom własnej nieudolności, sądząc, że jestem utalentowanym czarodziejem, podczas gdy w istocie byłem bostońskim cwaniakiem irlandzkiego pochodzenia, któremu się wydawało, że powinien nad wszystkim zapanować. Nie wierzyłem we własne słowa, ale chciałem, żeby ktoś się nade mną użalił. W końcu barman podszedł do mnie i rzucił półgębkiem, że kobieta nie rozumie ani słowa po angielsku. Wtedy poszedłem do domu.

Jakimś cudem łaska ochraniająca dzieci i pijaków sprawiła, że po drodze do mieszkania nikt nie nadepnął mi na palce.

Wydaje mi się, że zanim urwał mi się film, zadzwoniłem do Fiddle. Głowy nie dam. , Obudziłem się późnym popołudniem.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział trzynasty

Peter wyłączył laptopa i powoli opuścił wieko. Umierał z głodu. Dziewczyna przynosząca mu korespondencję i jedzenie wyjechała na wakacje toteż w maleńkiej kuchni świeciło pustkami. Musiał wyjść coś zjeść, bo w przeciwnym razie groziła mu podróż do Rygi.

Lekka mżawka, która zaczęła padać po południu, nie ustawała. Zerwał z wieszaka płaszcz deszczowy, wsunął bosc stopy w sfatygowane buty sportowe i powłókł się schodami w dół.

Pociągnął stare drzwi frontowe, ciężkie od licznych warstw farby i wstąpił w wilgotny wczesny wieczór.

Kiedy zszedł ze schodków, ujrzał wysiadającą z taksówki tęgą kobietę w jaskrawozielonym płaszczu deszczowym i chuście w czarno-białe pasy. Kołnierz płaszcza, wyglądający jak fioletowy winyl, postawiła na sztorc.

- Przepraszam - powiedziała po francusku z silnym akcentem amerykańskim. - Szukam numeru czterdzieści dwa.

Peter zamarł.

- Fiddle?

- Cześć, Peter - powitała go znajomym gardłowym głosem.

- Co, u licha... Dopiero z tobą rozmawiałem.

- Prawie dwadzieścia cztery godziny temu, kochanie.

- Ale co ty tu, do diabła, robisz?

- O Boże - westchnęła poważnie. - Komórki pamięci wysiadają jako pierwsze. Nie pamiętasz? Rzeczywiście sprawiałeś wrażenie lekko podciętego. Na koniec rozmowy kazałam ci się trzymać i powiedziałam, że lecę do ciebie.

Peter podszedł do niej, rozłożył ręce i objął przyjaciółkę.

- Fiddle, nic nie pamiętam. Boże, jak się cieszę.

Odwzajemniła jego uścisk, obejmując go w pasie. Była ciepła, miękka i pachniała jakimiś cytrynowymi perfumami. Delikatnie odsunął Fiddle od siebie i przyjrzał się jej.

- Jesteś inna w dotyku - stwierdził zdumiony. Fiddle posłała mu krzywy uśmiech.
- Skąd możesz to wiedzieć, Peter? Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek dotykali.
- Moja strata - odparł, czując gorący przypływ uczucia. Wiedział, dlaczego przyleciała aż z Nowego Jorku. Nie po to, by ratować interes, który w istocie nic dla niej nie znaczył. Przyleciała, ponieważ troszczyła się o niego w chwili, gdy potrzebował pomocy. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś się o niego troszczył, nie mówiąc już o tym, by ktoś przeleciał dla niego przez ocean. Nic takiego nie mógł sobie przypomnieć. Nigdy się to nie wydarzyło.

Obrócił Fiddle i położył jej rękę na ramieniu.

- Chodź, szefowo - powiedział z szerokim uśmiechem. -Znam miejsce, gdzie robią najwspanialsze cassoulet w Paryżu.

- Skoro tak mówisz.

- Czy byłaś tu już kiedyś, Fiddle?

- Nie byłam w Queens, dopóki nie pojechałam tam taksówką, żeby złapać ten samolot.

- Nigdy nie była w Paryżu - westchnął, obejmując ją w talii i prowadząc między kałuzami. - Proszę panią, pokażę pani Paryż. Pomyślisz, że umarłaś i poszłaś do nieba.

Uśmiechnęła się do niego, a Peter przypomniał sobie, jaki cudowny miała uśmiech.

- Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę nie poszłam?

Wszystko było tak jak należy: właściwe miasto, deszczowy wieczór, dwoje samotnych ludzi w cichej kafejce na wybrukowanym kocimi łbami Lewym Brzegu, koronkowe firanki w oknach, ogień płonący na kominku, zapach pieczonego jedzenia.

Wszystko sprzyjało temu, by dwoje zdrowych ludzi posłuchało naturalnych instynktów i zakochało się w sobie.

Gdyby w życiu było tak jak w kinie, ale, oczywiście, nie było. Nie byli w pełni zdrowymi ludźmi. Fiddle miała pewne zahamowania emocjonalne, a Peter wiedział dobrze, że i on nie jest od nich wolny. Łączyła ich praca. Siedząca naprzeciwko Fiddle wyglądała bardzo kusząco - właściwie dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił - jednak był zbyt słaby, by posunąć się choćby o krok.

Ostatnim razem odwiedził tę restaurację z francuską modelką, równie neurotyczną seksualnie jak on. Pamiętał, że spotykał się z nią, chociaż była nie do wytrzymania, tylko dlatego, że podobało mu się, jak wyglądali razem.

Nigdy nie myślał o Fedalii Nuli w kontekście seksualnym. W jego mniemaniu łączyła ich wyłącznie praca; ich relacje cechował wzajemny szacunek, humor, a także lęk. Wiedział, jak długą drogę przeszła, i trochę się jej bał.

Nie, pomyślał, z jego doświadczeń wynikało, że umiejętność rozmawiania i śmiania się z inteligentną kobietą, nie mówiąc już o banii się jej, nie stanowiły dobrej pożywki dla romansu.

Kelner ceremonialnie zaprezentował i nalał im wino. W milczeniu wymienili ponad kieliszkami znaczące spojrzenie. Uśmiechnęła się, a Peter zrozumiał, że i ona doświadczała podobnego uczucia banalności atmosfery i okoliczności.

W końcu Fiddle opuściła wzrok.

- A więc, skoro mój przewodnik poleca cassoulet, to nie będę musiała tego tłumaczyć. Jestem posłuszna - oświadczyła, odkładając menu i sięgając po wino.

Zamówił dla nich obojga, zamawiając na przystawkę dwie porcje pasztetu en croute. Z każdą chwilę czuł się coraz lepiej.

- Fiddle, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tu jesteś - powiedział. - Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci miasto. Poza oprowadzeniem cię po Paryżu, obawiam się, że przysporzyłem ci niepotrzebnie samych kłopotów.

- Nie, jeśli osiągnę cel - odparła żywo.

- Jaki cel?

- Ten, który przyświeca mojej wizycie.

- Tak? Sądziłem, że przyleciałaś, żeby mnie pocieszyć po katastrofie.

Fiddle spojrzała mu prosto w oczy.

- Bynajmniej nie przyleciałam tu, żeby cię pocieszyć, Peter. Przyleciałam - ściszyła złowrogo głos żeby cię kopnąć w ten irlandzki tyłek.

- To poważna sprawa - stwierdził, widząc narastający w jej oczach gniew.

- Poważna jak rak, koleżko. Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co powiedziałeś mi przez telefon?

- Nie - przyznał nieśmiało Peter. - Przepraszam. Domyślam się, że opowiedziałem ci o scenie, jaką zrobiłem Martinowi.

- Owszem, z barwnymi szczegółami. Domyślam się, że nie pamiętasz, co odpowiedziałam.

Peter potrząsnął głową.

- Świetnie. Wobec tego dobrze zrobiłam, że tu przyleciałam.

- Jestem zażenowany, że o to pytam. Jak zareagowałaś?

- Powiedziałam, że popełniłeś potworny błąd. Kobiet w rodzaju madame Cleo nie wolno ponaglać, nie wolno na nie krzyżeć ani stawiać im ultimatum.

- Fiddle - powiedział błagalnie. - Siedziałem tu przez całe lato. Godzinami nagrywałem tę kobietę na magnetofon, a potem przepisywałem na maszynie. Nie twierdzę, że to było nudne i że się wiele nie nauczyłem, ale ona tak dokładnie ukryła swoje życie, że nie potrafię go znaleźć. Scena, którą zrobiłem, stanowiła część planu. Sądziłem, że nie pozwoli mi odejść.

- Mówiłeś mi to - stwierdziła Fiddle znudzonym głosem, kiedy kelner przyniósł pasztet. Fiddle wbiła widelec w swoją porcję, włożyła do ust pokąsny kęs, przeżuła i połknęła. - Robienie sceny było beznadziejnym planem, jeśli nie miałeś niczego w zanadrzu, Peter.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że się tak zaprze.

- Och, Peter, Peter, Peter - jęknęła Fiddle, powoli kręcąc głową

- Nigdy nie powinienem był przyjmować tych pieniędzy powiedział, ignorując jedzenie, chociaż burczało mu w brzuchu Postanowił się bronić. - Nie powinienem był się zgadzać na granie roli popychadła. To wszystko było niezwykle upokarzające.

- To się nazywa praca, Peter. Ciężka praca dla błyskotliwego pisarza za nadzwyczaj korzystne wynagrodzenie.

- Zwróć te pieniądze - odparł, nienawidząc się za taką drażliwość.

- Proszę, zwróć je. I tak napiszesz tę historię - w formie książki, artykułu, serialu, czegokolwiek. Nie pozwolę ci się wykręcić, bo odnoszę wrażenie, że zawsze kiedy zostajesz przyparty do muru, poddajesz się. Wykręcasz się, tchórzysz, podwijasz ogon, pędzisz do symbolicznej mamusi i mówisz: „to wina tamtego chłopaka”. - Skończyła pasztet i skinęła głową, kiedy kelner zaproponował dolanie wina. - Zjedz to - rozkazała, wskazując widelcem na talerz Petera. - Albo ja to zrobię. Peter podniósł posłusznie widelec i zaczął jeść. Pasztet, o którym wiedział, że jest najlepszy w Paryżu, smakował jak trociny.

- Co chcesz, żebym zrobił, Fiddle? - zapytał pomiędzy łykami. - Wyczerpałem wszystkie możliwości. Chyba po prostu nie rozumiem kobiet. Nie wiem, jak myślicie, na co reagujecie.

- W takim razie zdradzę ci tajemnicę, Peter - powiedziała nachylając się bliżej. - Wprawiamy cię w zakłopotanie, ponieważ nie gramy według reguł facetów. Oczekujesz od nas męskich reakcji. Gdybyś sterroryzował faceta, tak jak zrobiłeś z madame, chociaż za pośrednictwem Martina, taki facet musiałby stanąć do walki. Madame powinna zejść z tych schodów i unieść pięści. W pokoju zrobiłoby się gęsto od testosteronu, a ty i tak byś przegrał. Jednak Cleo jest kobietą, która przez lata skrywała bolesną przeszłość. Nie dotrzesz do niej, zadając jej jeszcze więcej bólu. Zwinie się wtedy w mały, niedostępny kłębek, a ty zostaniesz wystawiony do wiatru.

- Co w takim razie mam robić, o Potężny Czarnoksiężniku, o Najwyższy Mistrzu?

- Grać według reguł kobiecych.

- Jak to się, do diabła, robi? - spytał Peter w udręce.

- Wystarczy, żebyś znał podstawową regułę gier kobiecych, a jest nią brak jakichkolwiek reguł. Jeśli bardzo czegoś chcesz, sięgnij po to. - Podniosła wzrok na kelnera zbliżającego się z dwoma parującymi talerzami. - O, jedzenie - powiedziała, a twarz jej się rozjaśniła.

Jedli w milczeniu. Peter nie wiedział, co powiedzieć. Wyszedł na głupca, myśląc, że Fiddle przyleciała, żeby go pocieszyć. Jak na razie robiła coś dokładnie przeciwnego.

- Podarujmy sobie deser - powiedziała nagle. - Ja zapłacę. Garcon, l'addition, s'il vous plait.

Fiddle wyjęła z torebki kartę kredytową i plasnęła nią o stół.

- Mam lekkiego kaca po samolocie. Naprawdę muszę się przespać. Chwycił płaszcz i wyszedł za nią z restauracji. Po wyjściu na ulicę powiedział:

- To wszystko? Przyleciałaś taki kawał drogi tylko po to, żeby mi zmyć głowę? A co z Paryżem nocą? Miałem ci pokazać miasto.

Fiddle odwróciła się do niego, wpatrując się w kocie łby.

- Peter, nigdy się nie wtrącałam do pracy pisarza, nigdy. Jednak po twoim pijackim telefonie poczułam, że muszę wkroczyć.

- O czym ty mówisz? - spytał, wciskając się w płaszcz deszczowy.

- Zobacysz, Peter. Idź do domu, porozmawiamy rano - powiedziała, wpatrując się w zaulek. - Paryż nocą może poczekać.

- Czego szukasz?

- Taksówki - odparła.

- One nigdy nie jeżdżą tym zaułkiem. Pójdziemy do Boul Mich. Fiddle wsunęła dwa palce do ust i nocne powietrze przeszył przeraźliwy gwizd. Taksówka zmierzająca na północ skręciła nagle w lewo i ruszyła w ich stronę.

Peter wrócił sam na ulicę St.-Denis. Zaczerpnął haust nocnego powietrza i powiedział sobie, że plan Fiddle, jakikolwiek by był, na nic się nie zda. Wszystkie możliwości zostały wyczerpane. Stara była oszustką całe przedsięwzięcie - oszustwem, nawet on, który tak długo w nim uczestniczył, zasługiwał na miano oszusta.

Zamknął drzwi frontowe i spojrzał w długi, ciemny korytarz W szparze pod drzwiami madame Solange zauważył światło, co było nietypowe. Zazwyczaj hałas telewizora konsjerżki cichł na długo przed północą.

Znajdował się w połowie schodów do swego mieszkania, kiedy bardziej wyczuł, niż dostrzegł, postać stojącą przed jego drzwiami. Zdumiony, szybko wspiał się na resztę schodów.

- Tak, czy mogę w czymś pomóc? - spytał.

- Myślę, że jest akurat na odwrót - odparł kobiecy głos z lekkim rozbawieniem.

Peter mrugnął; zabrakło mu tchu.

- O, mój Boże. To ty.

Madeleine - Sandrine Gam - podeszła do niego z uśmiechem.

- Miło cię znowu widzieć - przywitała go spokojnie. Peter próbował zachować maksymalne opanowanie. Fiddle!- pomyślał. To robota Fiddle. O tym myślała, mówiąc, że wkroczyła. Jezus, Maria i wszyscy święci. Odszukała Sandrine Gam. Nie wiedział, czy ma się czuć przerażony czy podniecony.

- Tak... no, cóż - wykrztusił, zastanawiając się, jak się ma do niej zwracać. - Proszę - powiedział, dzwoniąc kluczami. -Otworzę drzwi.

- Są otwarte - odparła lekko Sandrine. - Madame Solange mnie wpuściła. Jesteśmy starymi przyjaciółkami.

- Jak... hm, jak miło, że wyszłaś mi na spotkanie - powiedział słabym głosem.

- Sądziłam, że czekanie na ciebie na twojej kanapie nie jest najlepszym pomysłem.

- Oczywiście, oczywiście - odparł Peter, popychając otwarte drzwi. Kiedy sięgnął obok Sandrine, żeby zapalić światło, zapach perfum sprawił, że ugięły się pod nim kolana. - Wejdz, wejdz, no...

- Możesz mnie nazywać Sandrine - powiedziała, ciągle się uśmiechając. Podeszła do kanapy i usiadła. - Czy nie masz przypadkiem kropelki brandy?

- Naturalnie. Usiądź, proszę. A, już siedzisz. Jedną chwilę. Zaraz wrócę. To mi zajmie sekundę... - zamilkł bezradnie.

- Rozluźnij się, Peter - zaproponowała spokojnie. Założyła nogę na nogę, a Peter usłyszał cichy szelest pończoch. - Powinnam była zadzwonić, ale Fiddle poradziła mi tego nie robić.

Peter odwrócił się, wdzięczny, że może się skoncentrować na czym innym niż zdziwienie i szok, które starał się ukryć za wszelką cenę.

- Skąd znasz Fiddle?

- Właściwie jej nie znam - odparła Sandrine. - No, teraz już znam. Nie możesz przelecieć przez ocean siedząc obok kogoś i zupełnie go nie poznać. Peter odchrząknął. Kobięce reguły, pomyślał. Oto, co miała na myśli Fiddle. A żeby to pokręciło. Czuł się osaczony.

- Siedziałaś w samolocie obok Fiddle?

- Czy nie szedłeś po brandy?

- Ach, tak, przepraszam. - Ruszył do kuchni. Cholera, pomyślał, walcząc z całych sił z lękiem, że zrobi z siebie kompletnego głupca. Na górnej półce znalazł butelkę Remy Martin ze sklepu bezcłowego i dwa prawie czyste kieliszki. Dmuchał w nie, wytarł w rękaw i zaniósł do salonu. Dopiero po drugim łyku poczuł, że zwalnia mu serce. Za żadne skarby nie miał zamiaru robić wzmianki o ich jedynym spotkaniu, o piwnicy, zamku, o niczym. Nie zamierzał nawet przyznać, że cokolwiek o niej wiedział - choć wiedział praktycznie wszystko - do chwili, kiedy ujrzał jej dłoń.

Odważył się na nią spojrzeć, jak piła brandy. Dobry Boże, pomyślał, jest jeszcze piękniejsza, niż pamiętałem. Miała na sobie prosty beżowy kostium Chanel, bez tych wszystkich łańcuszków, pereł i innych śmieci, które noszą bogate Paryżanki. Włosy zaczesła do tyłu jak balerina, a skóra wyglądała tak, jakbyś mógł przez nią patrzeć.

- A więc? - zagaił niezręcznie, siadając na drugim końcu kanapy i żalując, że krzesło z twardym oparciem nie znajdowało się w zasięgu ręki. - W jaki sposób skontaktowałaś się z Fiddle Null?

- Martin Bourke-Lyon zadzwonił wczoraj do twojej nowojorskiej agentki. Był bardzo zdenerwowany. Powiedział jej, że wystawiłeś madame do wiatru, więc Wendy kazała mu zadzwonić do Fiddle.

Peter nachylił się do przodu.

- Nie wystawiłem jej do wiatru, do cholery. To ona mnie wystawiła!

Sandrine uniosła dłoń. Na palcu miała żółty brylant wielkości pudełka zapalek.

- Pozwól mi skończyć, a wtedy opowiesz mi swoją wersję.

Peter wziął głęboki wdech i skinął głową.

- Mów dalej - powiedział.

- Martin i Fiddle długo dyskutowali o tym, co dalej robić. W końcu Fiddle zasiadła do telefonu, odszukała mnie i przedstawiła problem.

Peter wielokrotnie miał okazję widzieć, jak Fiddle polowała. Kiedy chciała kogoś znaleźć, nie miała sobie równych.

- A ty po prostu wskoczyłaś do samolotu, tak? - zapytał, nieco bardziej sarkastycznie, niż zamierzał.

- Cóż, tak, mniej więcej - odparła, wyciągając pusty kieliszek, który Peter napełnił bez słowa. - Widzisz, Peter, madame Cleo jest dla mnie bardzo ważna. Nie chcę, żeby poszła do więzienia. To całe przedsięwzięcie może się udać, ale istnieje pewien sposób dotarcia do madame. Obawiam się, że twoja metoda nie odniesie skutku.

Peter wstał gwałtownie. Wreszcie czuł coś innego niż tylko kompletne oszłomienie. Wpadł w złość.

Może powiesz mi, do cholery, co jest grane? Wygląda na to, że wszyscy wiedzą wszystko, tylko nie ja. To ja piszę tę pierdoloną książkę, a przynajmniej do niedawna tak było. Przepraszam za słownictwo.

Sandrine znowu błysnęła ogromnym brylantem.

- W porządku, już słyszałam to słowo - odparła spokojnie. - Nie złość się. Usiądź i posłuchaj.

Peter pomaszerował do biurka, chwycił krzesło i obrócił je. Usiadł naprzeciwko Sandrine i dopiero wtedy spostrzegł, że nie sięga do kieliszka brandy stojącego na stoliku do kawy.

- Posłuchaj, Peter powiedziała, podając mu kieliszek. - Czuję się częściowo odpowiedzialna za tarapaty, w które wpadłeś.

Peter nie chciał pytać dlaczego. Gdyby zrobiła wzmiankę o La Fantastique, musiałby powiedzieć coś o ich spotkaniu, a bał się tego przeraźliwie. Zaakceptował jej stwierdzenie i zapytał:

- Więc?

Więc Fiddle i ja odbyliśmy długą rozmowę i wpadliśmy na pewien pomysł.

Peter głośno wypuścił powietrze. Odgarnął kosmyk włosów, który mu opadł na czoło, i czekał.

- Jest pewna osoba, która wie wszystko o madame Cleo. Mogę cię do niej zaprowadzić, ale musisz być bardzo miły, bardzo delikatny. Nie wolno ci jej przestraszyć.

- O czym ty, kurwa, mówisz? - spytał, jeszcze bardziej rozłoszczony. - Kiedy ja nie byłem miły? Nie straszę ludzi, na rany Chrystusa. Wy, dziwki. Czasami...

- Dziwki? - Sandrine przekrzywiła głowę, jakby nie dosłyszała. Dziwki? - powtórzyła.

- Kiedyś byłem kurwą, Peterze Shea. Ale wierz mi, nikt mnie nigdy nie nazwał dziwką. Nie jestem nawet pewna, że wiem, co to znaczy.

Peter zamachał rękami, jakby chciał wytrzeć nieszczęsne słowo z powietrza.

- Przepraszam. Po prostu czuję, że robi się ze mnie durnia. Mam bardzo poważny problem, a wy, kobiety, najwyraźniej nie traktujecie mnie ani jego poważnie.

Sandrine oparła się na poduszkach, a jej cudną twarz powoli rozjaśnił uśmiech.

- Wręcz przeciwnie, Peter, dokładnie wiem, jak się czujesz. To bardzo bolesne doświadczenie, kiedy ludzie nie traktują cię poważnie. My, „dziwki” - powiedziała, kreśląc w powietrzu cudzysłów - bardzo dobrze je znamy. A teraz, jeśli ze mną pójdziesz, pokażę ci, jak bardzo jesteśmy poważne.

Kiedy rozprostowała nogi, Peter poczuł, że oblewa się rumieńcem. Miała modną krótką spódnicę, a on przeklął się za to, że nie może powstrzymać spojrzenia wędrującego na alabastrową skórę między udami. Z przerażeniem pojął, jak bardzo pragnął Sandrine Garn i że absolutnie nic nie mógł z tym zrobić.

Oszołomiony wstał z krzesła, a wtedy spostrzegł, że Sandrine szła do drzwi.

- Dokąd idziemy? - spytał z niepokojem.

- Niedaleko. Tylko piętro niżej. - Wskazała na otwartą butelkę brandy. - Lepiej to weź, może się przydać. Podobnie jak magnetofon.

Mieszkanie madame Solange okazało się większe, niż oczekiwał. Staruszka najwyraźniej się go spodziewała. Kiedy weszli do małego foyer prowadzącego do zatłoczonego salonu z ciężkimi zasłonami, skłoniła się lekko i uśmiechnęła.

- Proszę wejść. Proszę się rozgościć, panie Shea - powiedziała madame Solange cichym, modulowanym głosem.

Peter stanął w słabym świetle rzucanym przez lampy z ciemnymi abażurami. Czuł się głupio, trzymając w ręku otwartą butelkę brandy.

- Proszę mi to dać - powiedziała madame Solange, delikatnie odbierając mu butelkę.

- Jak to miło, że pan pamiętał. Mam w domu tylko odrobinę szkockiej.

Poszła do kuchni, przypuszczalnie po kieliszki, a Peter rozejrzał się po pokoju. Na ścianach salonu wisiały setki wyblakłych fotografii przedstawiających chyba sceny z dawnych spektakli.

- Dexia była przed wojną bardzo znaną aktorką - powiedziała Sandrine od drzwi. - Jestem pewna, że wszystko ci opowie.

- Dexia? Tak ma na imię? Tak mam się do niej zwracać?

- Lepiej nie - odparła półszepem Sandrine. - To wielka dama. Miała też bardzo ciężkie życie, więc bądź miły.

- Posłuchaj, Sandrine - powiedział Peter, po raz pierwszy wymawiając jej imię, podekscytowany tym, czego najwyraźniej miał się dowiedzieć. - Ja nie zjadam dzieci na śniadanie, na miłość boską. Naprawdę jestem bardzo miłym facetem.

- Wiem - odparła Sandrine, unosząc brew.

Peter znowu się zarumienił, ale zanim zdążył odpowiedzieć, madame Solange wróciła z dwoma kieliszkami i małą porcelanową miseczką orzeszków, którą postawiła na stole obok kanapy. Peter patrzył przez chwilę na kieliszki, potem spojrział na Sandrine.

- A ty nie pijesz? - spytał niezręcznie.

- Nie zostaję, Peter. Ty i madame Solange macie mnóstwo pracy.

- Ale... - zaprotestował.

- Nie martw się - uspokoiła go Sandrine. - Ona wie dokładnie, po co tu jesteś. Nie powinniście mieć żadnych problemów. - Szybko podeszła do madame Solange siedzącej na kanapie. Schyliła się, pocałowała staruszkę w policzek, szepnęła coś po francusku, odwróciła się i minęła Petera po drodze do drzwi.

- Czy jeszcze cię zobaczę? - spytał zdławionym głosem, znowu czując zapach jej perfum.

- Może - odparła przez ramię z uśmiechem. - Nigdy nic nie wiadomo.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pomachała mu palcami i zamknęła drzwi.

Czując się dziwnie niezręcznie w tym zatłoczonym mieszkaniu w towarzystwie obcej kobiety, Peter stał przed madame Solange, czekając na instrukcje.

- Uroczą dziewczyną - powiedziała staruszka. - Mieszkała w tym domu, wie pan?

Kiedy pracowała dla mojej przyjaciółki.

Nie proszony, Peter usiadł na krześle naprzeciwko kanapy.

- Mówi pani o madame Cleo? Czy była bardzo dobrą przyjaciółką?

- Tak - odparła, nalewając im brandy. - Przez wiele lat. Była dla mnie bardzo dobra, podobnie jak dziewczęta. Kocham te Amerykanki. Niektóre, cóż, prowadzą inne

życie i nie mogą mnie znać, ale nie mademoiselle Sandrine. Na każde Boże Narodzenie, każde urodziny, zawsze o mnie pamięta. - Westchnęła głęboko i napiła się brandy. - Ale pan nie przyszedł, żeby słuchać o Sandrine - powiedziała energiczniej, przełknąwszy alkohol. - Przyszedł pan, żeby słuchać o madame Cleo, prawda?

- Tak. - Peter skinął głową, czując rosnące podniecenie. Z kieszeni marynarki wyjął magnetofon i wyciągnął go nad stołem. - Czy można?

- Oczywiście, nie ma problemu.

- Czy ona wie, że pani ze mną rozmawia?

Wysunęła dolną wargę, bardzo podobnie do madame Cleo kiedy chciała zlekceważyć jakąś uwagę.

- To bez znaczenia. Robię to dla mademoiselle Sandrine. Jestem starą kobietą której niewiele pozostało do dania. Jeśli moja amerykańska przyjaciółka chce, żebym z panem rozmawiała, to proszę włączyć to małe urządzenie i zaczniemy.

Peter sprawdził, czy ma zapas czystych kaset; miał ich dość. Umieścił magnetofon przed madame Solange, ustawił mikrofon, przypominając sobie tysiące wywiadów, w których rozmówca nie zgadzał się na jego użycie; przypomniał sobie, jak spocony ze zdenerwowania ukrywał mikrofon na ciele. Teraz kobieta, która zdawała się sprawować kontrolę nad jego życiem, wręczała mu najważniejszą historię, z jaką się zetknął, a na dodatek osoba zainteresowana domagała się podania rewelacji do publicznej wiadomości.

Do świtu nagrał sześć godzinnych kaset.

Pierwsze dni czerwca 1940 roku były dość chłodne. Bronna Charnov szła na poranne lekcje do akademii i poczuła dym. Zapiekły ją oczy; zauważyła, że powietrze przybrało kolor ołowiu.

Przez całą noc armia francuska gorączkowo niszczyła magazyny z paliwem, żeby nie dostały się w ręce Niemców. Przez całą noc jej rodzice siedzieli przy radiu w biurze ich hoteliku przy ulicy St.-Denis. Bronna wraz z siostrą leżały na górze, nie mogąc zasnąć, zastanawiając się, co się z nimi stanie. Rankiem wszyscy wiedzieli, że wkroczenie znienawidzonej wrogiej armii do stolicy jest tylko kwestią godzin. Idąc zatłoczonymi ulicami, ukradkiem szukała wzrokiem znajomych wśród opuszczających miasto. Od wielu dni na wszystkich ulicach, alejach, drogach wychodzących z miasta tłoczyły się samochody, ciężarówki, wozy i bryczki. Ludzie uciekali na południe na wszystkim, co miało koła. Inni oblegali stacje kolejowe, przepychając się, szturchając, walcząc o miejsce w każdym odjeżdżającym pociągu. Lekarze, adwokaci, kupcy i nauczyciele, każdy, kto miał pieniądze, znajomości lub miejsce, gdzie mógł się schronić z rodziną i dobytkiem, ratował skórę. Obejrzała się przez ramię na wóz trzeszczący pod ciężarem fortepianu i antycznego zegara. W ślad za nim jechały trąbiące samochody z łózkami przywiązаныmi do dachów i obrazami umocowanymi do zderzaków. W środku siedziało po dziesięć osób. Niektórzy stali na zewnątrz, inni szli obok. Panowała atmosfera strachu.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin ponad dwa miliony ludzi opuściło Miasto Światła.

Nie wszyscy jednak wyjechali. Ci, na których barkach spoczywał obowiązek podtrzymywania życia miasta - policjanci, pracownicy elektrowni i telekomunikacji, część lekarzy i personelu szpitalnego, a także wielu studentów - zostali, by stawić czoło przerażającej, niepewnej przyszłości.

Ojciec Bronny, Jasza, zwalisty pięćdziesięcioletni mężczyzna o zmęczonych oczach i swobodnym stylu bycia, kochał swe zaadoptowane miasto i nieugięcie odmawiał opuszczenia go w potrzebie. Jako młody człowiek wymknął się już śmierci na Ukrainie, uciekając przed czystkami i prześladowaniami, które nastąpiły po rewolucji bolszewickiej. Podobnie jak wielu innych, przedarł się do Paryża i nowego życia. Jeździł taksówką pracował jako kelner, nosił meble, imał się każdej pracy, by utrzymać rodzinę. Wreszcie zdołał odłożyć trochę pieniędzy i kupić hotelik na ulicy St.-Denis.

Hotel był jego marzeniem, wszystkim, co posiadał. Hotel i rodzina. Ślubował, że zostanie, nikomu nie podpadnie i przeczeka Niemców. Reszta świata z pewnością nie opuści Francji w potrzebie. Jasza nie zajmował się polityką pochłaniała go praca. Przypuszczał, że zostawia go w spokoju, bez względu na to, kto będzie zarządzał miastem. Dziewczynki nadal będą chodzić do szkoły, a on i żona prowadzić hotel. Jeśli zajdzie potrzeba wynajmowania pokoiów Niemcom, trudno. Dopóki będą zachowywać się jak dżentelmeni i płacić, mógł się z tym pogodzić. Pomimo przestróg przyjaciół mniej ufnych niż on, pomimo błagań żony Jasza Chamov pozostał w mieście.

Rankiem czternastego czerwca Niemcy wkroczyli do Paryża.

Bronna, jasnooka i krucha, z długimi brązowymi kucykami, które sprawiały, że wyglądała na mniej niż swoje siedemnaście lat, tuliła się do boku ojca w milczącym tłumie stojącym wzdłuż Trocadero i patrzyła. Niektórzy mieli zapłakane twarze; płakali jawnie ze wstydu i gniewu. Inni po prostu patrzyli, niemi i nieruchomi, wściekli na słabych przywódców, którzy poddali miasto wrogowi. Armia okupacyjna zajęła Paryż bez jednego strzału.

Wszyscy paradyjący przed Bronną mężczyźni wyglądali identycznie. Czarne buty lśniły w jasnym wiosennym słońcu. Obcasy uderzały o bruk w tym samym rytmie, w jakim biło jej serce; czarne, wyprasowane mundury wyglądały tak, jakby włożyli je po raz pierwszy. Hełmy z dziwnymi łyżkowatymi zagięciami z tyłu poruszały się w górę i w dół, tworząc wrażenie fali, na widok której zbierało jej się na mdłości. Miarowy odgłos zastąpiło charakterystyczne wycie silników. Nadjeżdżała z rykiem formacja wojsk zmotoryzowanych. Każdy z motocykli miał przyczepę, w której jechał żołnierz z karabinem maszynowym gotowym do strzału.

Jedna z maszyn przejechała z hukiem tak blisko, że podwiała nad kolana rąbek jej kraciastej spódnicy. Żołnierz jadący w przyczepie, jasnowłosy bóg o niebieskich oczach, spojrział Bronnie prosto w twarz, uniósł dłoń w czarnej rękawicy i pomachał. Została wychowana na grzeczne, przyjazne dziecko, więc instynktownie odwzajemniła pozdrowienie.

Momentalnie poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Ojciec, który nigdy nie zrobił nic gwałtowniejszego niż uderzenie zaklinowaną nakrętką słoika szczawiu o krawędź stołu, wymierzył Bronnie tak silny policzek, że zabrakło jej tchu w piersiach. Wyrzaz

jego twarzy i piekący ból policzka powiedziały jej więcej niż wszelkie jego słowa o uczuciach jakimi darzył armię okupacyjną.

W ciągu lata, które nastąpiło, Paryż został ogłoszony miastem otwartym, a okupanci zachowywali się na razie poprawnie. Nie plądrowali, nie aresztowali, nie konfiskowali majątków. W metrze i autobusach żołnierze ustępowali miejsca starszym i uśmiechali się do młodych dziewcząt, nie próbując ich zaczepiać. Zachowywali się jak turyści; robili sobie zdjęcia na tle znanych miejsc, a w barach i kafejkach zachowywali się należycie.

Dla Bronny świat jednak bardzo się nie zmienił. Wciąż pojawiały się pogłoski o potwornościach, jakie w innych częściach miasta przydarzały się ludziom, których nie znała. Bito ich i aresztowano za rozmaite przewinienia ale o tym rozmawiali dorośli. Bronna i jej siostra, Alyssia, wróciły do szkoły; Bronna przygotowywała się do nudnego egzaminu końcowego. Życie toczyło się normalnie, jeśli pominąć napięcie panujące w małym mieszkaniu na tyłach hoteliku Charnovow.

Ojciec nieustannie narzekał na brak mięsa i świeżych warzyw, ale i tak nie mieli wielu gości. Ludzie podróżujący w interesach i turyści przestali odwiedzać Paryż.

Pod koniec lata Chamov zamknął hotelową restaurację.

Stale nękały ich zaciemnienia i przerwy w dopływie prądu. Papier toaletowy, mydło i nowa pościel stały się niemal nieosiągalne. Dodatkową niedogodnością były biurokratyczne formalności i pozwolenia, których wymagano od wszystkich, chcących prowadzić działalność w zniechęcającym reżimie. Bronna próbowała ignorować zaniepokojone rozmowy, które rodzice prowadzili szeptem długo po jej pójściu do łóżka. Dni wolne od szkoły spędzała z siostrą na pracy w hotelu.

Pokojówki uciekły do rodzin w wolnej Francji, a majster do wszystkiego zniknął.

Wczesnym wieczorem w lipcu do recepcji podszedł wysoki mężczyzna w mundurze niemieckiego oficera. Miał wysokie czoło i świdrujące oczy. Wszedł tak cicho, że kiedy się odezwał, siedząca w recepcji Bronna podskoczyła. Niskim głosem o silnym akcencie oświadczył, że chce się widzieć z właścicielem, i przedstawił się jako major Josef von Kessel.

Gestapo.

W uszach Bronny słowo to zabrzmiało jak świst noża. Przestraszona pobiegła szukać ojca. Znalazła go w biurze, gdzie w komodzie, pod stertą koców, ukrył zakazane radio. Powiedziała mu, że w holu czeka na niego niemiecki oficer. Jasza Chamov zaczął drzeć.

- Czego on chce?

- Nie wiem, tato.

- Wymienił moje nazwisko? Bronna zastanowiła się chwilę.

- Nie, tato. Mówił, że chce się widzieć z właścicielem.

- Czy ktoś z nim przyszedł?

- Nie, jest sam.

Ojciec powoli odsunął krzesło.

- Zostań tutaj. Jeżeli nie wrócę w ciągu pięciu minut, masz pójść do matki i powiedzieć, że jestem na komisariacie policji.

- Dlaczego, tato? - krzyknęła z przerażeniem.

- Rób, co ci każe - odparł szorstko. Założył czarną marynarkę, w której zawsze chodził poza biurem, i pospiesznie wyszedł.

Kiedy Jasza wszedł do recepcji, oficer leniwie wertował stare broszury.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał uprzejmie Charnov. Major drgnął i odwrócił się.

- Ach, tak, mam nadzieję. Czy ma pan w hotelu wolny apartament, sir? Coś większego niż zwykły pokój?

Był jeden na ostatnim piętrze, rzadko używany i w nie najlepszym stanie. Jednak Jasza wiedział, że lepiej nie odmawiać.

- Owszem, mamy jeden, bardzo ładny i dopiero od niedawna wolny. Dwa przyjemnie umeblowane pokoje, salon i mała kuchnia.

- Doskonale! - ucieszył się major, wyjmując z kieszeni mion banknotów. - Chciałbym panu zapłacić za pierwszy miesiąc.

Jasza wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Niemiec? Płaci za coś? Nie wierzył własnym oczom i uszom. Gdyby ten oficer zechciał, mógł zarekwirować cały hotel.

- Na miesiąc, sir? - spytał z niedowierzaniem.

Major zaczął odliczać nowe franki, kładąc je na kontuarze dłonią w czarnej rękawicy.

- Może na dłużej, zobaczymy. - Podniósł pieniądze i wręczył zdumionemu właścicielowi. - Czy to wystarczy?

Jasza wziął banknoty, złożył starannie i był w stanie tylko skinąć głową.

- Chodzi o apartament dla jednej osoby, majorze?

- Hm, tak... dla jednej, ale będę ją odwiedzał.

- Jakie nazwisko mam wpisać? - spytał Jasza otwierając księgę meldunkową.

- Gdyby był pan tak miły, wolałbym, żeby nie wpisywał pan żadnego nazwiska - powiedział Niemiec ścisząc głos. - Jednak dziś wieczorem może się pan tu spodziewać madame Solange.

Major podziękował zaskoczonemu hotelarzowi, dotknął daszka czapki, przeszedł przez hol i zniknął w mroku nocy.

Bronna, która nasłuchiwała pod drzwiami, o mały włos nie zemdląła z ulgi, gdy ojciec wrócił do biura i osunął się na krzesło.

Czy wszystko w porządku, tato? - wykrztusiła. - Czy on sobie poszedł?

- Tak, tak - westchnął, ocierając czoło wierzchem dłoni. - Poszedł.

- Czego chciał?

- Do pokoi na ostatnim piętrze wprowadzi się nowy gość. . Idź szybko do matki i powiedz jej. Weź siostrę, pomożecie matce.

- Apartament? Ktoś wynajął apartament?

- Tak, pewna dama, przyjaciółka majora. Idź już, jest mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Późnym wieczorem, kiedy kobiety kończyły gorączkow przygotowania, do hotelu dostarczono olbrzymi kufer Vuitton z mosiężnymi okuciami. Do kufra dołączono kartkę z poleceniem, by zawartość wypakować w apartamencie.

Matka uklękła na wytartym dywanie w holu i otworzyła wieko. Bronna z siostrą podbiegły, żeby zajrzeć. Aromat, jaki wydobył się z kufra, sprawił, że dziewczyny pisnęły z zachwyty.

Wewnątrz znajdowały się bajkowe skarby. Kremowe, grube prześcieradła kąpielowe, lina pościel obrębiona koronką jedwabne koszule nocne i suknie tak cienkie, że można je było przeciągnąć przez obrączkę ślubną. Każda zwiewna jak pajęczyna warstwa została oddzielona rzędami pachnących mydełek, lakierowanych pudełeczek z perfumowanym talkiem oraz wszelkiego rodzaju kremów. Na dnie kufra znalazły szczotki, grzebienie oraz lusterka oprawione w skorupę żółwia i osadzone w srebrze.

W oczach Lily Chamov zabłysły łzy, kiedy w dłonie zniszczone myciem naftą i szarym mydłem ujęła puszek do pudru wielkości królika.

- Spójrzcie, dziewczynki - szepnęła. - Powąchajcie. Bronna zanurzyła twarz z miękkich strusich piórami, upajając się zapachem perfumowanego talku.

- Och, mam - westchnęła, oddając puszek siostrze. - Kimkolwiek jest ta madame Solange, musi być bardzo ważna.

Odkąd Bronna pamiętała w każdy piątek rodzina Chamow jadła kolację w jadalni hotelu. Zawsze był to wieczór świąteczny. Przyjaciele przychodzili często na zapalenie świec i modlitwy. Podczas świąt bywało jeszcze więcej ludzi; grała muzyka, rozlegały się śpiewy, płynęło słodkie wino; ojciec opowiadał o dawnych czasach w Rosji. Tak było, zanim zaczęły się dziać straszne rzeczy.

Odkąd madame Solange zamieszkała w apartamencie na ostatnim piętrze, kolacje szabasowe nie odbywały się już w jadalni, ale w mieszkaniu, w ciszy, przy zamkniętych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach. Nikt nie musiał mówić Bronnie, że działo się tak z powodu częstego gościa madame Solange.

Po kolacji gromadzili się wokół ukrytego radia, by słuchać audycji Wolnej Francji nadawanych z Anglii. Przy takiej właśnie okazji Bronna po raz pierwszy usłyszała słowo *resistance*. W całej Francji ludzie wszystkich kategorii społecznych zaczęli się otrząsać z początkowego marazmu. Podejmowali walkę.

Dzieliła się wiadomościami usłyszczanymi przez radio z małą grupą szkolnych przyjaciół, lecz oni reagowali milczeniem i powściągliwymi, znaczącymi uśmiechami. W pewne chłodne jesienne popołudnie, kiedy wychodziła po zajęciach, dogonił ją Maxim Boisolette, którego znała jeszcze ze szkoły podstawowej.

- Bronna, poczekaj. Przyjdiesz na demonstrację z okazji Zawieszenia Broni, prawda? Wszyscy tam będą.

- Jacy wszyscy? - spytała przyglądając mu się podejrzliwie.

- Cała szkoła. Spotykamy się przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Zbiorą się studenci z całego Paryża.

- Naprawdę nie mogę - odparła niepewnie. Ojciec dostałby szału, gdyby zaangażowała się w coś tak niebezpiecznego. Demonstracje były zakazane pod groźbą rozstrzelania.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Maxim, czerwieniejąc ze złości. - Jesteś Żydówką jak ja. Nie wiesz, że w nocy aresztują Żydów? Są już obozy koncentracyjne w Le Vernet, Argeles, Rivesaltes i Gurs. Jak możesz beczynn timer przyglądać się tym mordercom?

- Mój ojciec jest Żydem, matka nie - odparła, wiedząc, że to słaba, haniebna wymówka.

- Ha! Żyjesz w świecie marzeń, Bronno - prychnął zwalniając kroku, żeby iść obok niej. - Nie słyszałaś nowej definicji Żyda? Według Komisariatu do Spraw Żydowskich jeśli troje spośród rodziców twoich rodziców jest Żydami, to się kwalifikujesz. Jeśli dwoje spośród nich jest Żydami, a ty poślubiłaś Żyda, też się kwalifikujesz.

Bronna zastanowiła się chwilę i powiedziała:

- Wobec tego ja nie podpadam pod tę kategorię. Tylko rodzice mojego ojca są Żydami, a ja nie wyszłam za Żyda. Wniosek: nie jestem Żydówką

- Ale twój ojciec tak - odparł Maxim. - Nie tylko jest Żydem, ale i cudzoziemcem. Tych biorą jako pierwszych. Tysiące takich siedzi już w obozach. Pewnej nocy przyjdą też po niego.

Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Mój ojciec prowadzi mały hotel, nie robi nic złego. Nie zajmuje się nawet polityką od lat jest lojalnym Francuzem. Moja siostra i ja jesteśmy Francuzkami, tak jak nasza matka! - Urwała tylko dlatego, że zaczęła płakać i zrozumiała, jak głupio brzmiały jej argumenty.

- Bronno, musimy trzymać się razem - powiedział ostro Maxim. - Musimy im pokazać, że jesteśmy gotowi umrzeć, nawet jeśli nie odważą się strzelać do setek dzieciaków.

- Nie mogę, Maxim. Mój ojciec... - Zamilkła, pojmując, że jej słowa odbijają się od niego jak groch od ściany.

- Jak sobie życzysz - odparł sucho i szybko odszedł. Przez cały dzień nie opuszczało jej poczucie winy. Kiedy podczas kolacji spróbowała poruszyć temat studenckiej demonstracji, napotkała kamienne milczenie ojca. Matka kopnęła ją mocno w kostkę pod stołem.

W nocy leżała obok śpiącej siostry. Gniew nie pozwalał jej zasnąć. Była zła na sposób, w jaki jej rodzina musiała żyć, zła na to, że świat zewnętrzny traktował ją jak niepełnoprawnego człowieka, a rodzice mieli ją za dziecko. Jej pojedynczy głos nie znaczył nic, ale tysiące głosów złączonych w słusznym proteście mogły coś znaczyć. Jeśli Maxim i inni się nie bali, dlaczego ona miała się bać?

Nazajutrz odszukała Maxima po lekcji i powiedziała mu, że pójdzie razem z innymi. Dziesiątego listopada, w przeddzień demonstracji, nauczyciele oznajmili uczniom, że nazajutrz nie będzie żadnego święta, ale zwykle lekcje. Nikt nie zostanie usprawiedliwiony. Obwieszczenie spotkało się z gniewnymi pomrukami uczniów; szeptano i przesyłano sobie kartki z wiadomościami.

Maxim i kilku innych przywódców spotkali się po lekcji na szkolnym dziedzińcu, gdzie postanowiono, że przyjdą do szkoły jak zwykle, poczekają, aż zostanie sprawdzona lista obecności, po czym wyjdą i pomaszczą grupowo do grobu.

Następnego dnia, widząc, że znajomi się wymykają, Bronna spakowała podręczniki i przyłączyła się do nich. Szli aleją w stronę Place de l'Etoile, a coraz to nowi uczniowie zasilali ich szeregi. Kiedy zbliżali się do Grobu Nieznanego Żołnierza, liczba młodych demonstrantów znacznie przekroczyła tysiąc. Szli w sposób uporządkowany; nie wznoszono okrzyków, nie wymachiwano transparentami.

Zaplanowali milczący protest, pragnąc, by sama ich liczba dała wyraz oburzeniu.

Mieli dotrzeć do grobu w dziesięcioosobowych szeregach i stać tam przez pewien czas z opuszczonymi głowami, jako sumienie młodzieży francuskiej oplakujące ofiary wojny.

Szli aleją. Bronna maszerowała w połowie pochodu, ujmując pod ramiona Maxima i Jeana Copeau, rumianego chłopca, z którym chodziła na zajęcia z historii średniowiecznej. Znajdowali się mniej więcej o przecznicę od placu przed grobem, kiedy rozległy się krzyki. Na przedzie ujrzeni grupę niemieckich żołnierzy, którzy pilnowali grobu. Ze swego miejsca w pochodzie Bronna nie potrafiła ocenić, kto wszczął zamieszanie, studenci prowadzący pochód czy żołnierze.

Młodzi ludzie zwolnili, uświadamiając sobie, że wybuchła bijatyka. Otaczający ją studenci zaczęli się tłoczyć i przepychać, by zobaczyć, co dzieło się z przodu.

Nagle Bronna spanikowała. Chwyciła Maxima za kurtkę na plecach, usiłując wyciągnąć go z szeregu.

- Uciekajmy stąd! - krzyknęła, ciągnąc go do krawężnika. Przeciskała się przez tłum z opuszczoną głową. Kiedy podniosła wzrok, stała przed niemieckim żołnierzem.

- Wracaj! - warknął. - Wracaj.

Obejrzała się przez ramię; nie miała dokąd uciekać. Ujrzała gromadzących się na chodniku żołnierzy, odcinających uliczki dochodzące do placu.

- Trzymaj, schowaj to do torby - krzyknął Maxim, wręczając jej podręczniki związane skórzanym pasem. - Złap się dołu mojej kurtki i nie puszczaj. Spróbuję się precisnąć.

Wrzuciła jego książki do torby, założyła pasek na szyję i chwyciła kurtkę Maxima, powierzając mu swoje życie.

Nieoczekiwanie dobiegły ich odgłosy wystrzałów. Bronna nie potrafiła stwierdzić, czy żołnierze strzelali w powietrze czy prosto w ludzi. Przerazona, puściła kurtkę Maxima i znalazła przejście w tłumie ogarniętym histerią. Na odgłos strzałów ludzie wpadli w zupełną panikę; przewracali się nawzajem, miotali się na wszystkie strony, wrzeszczeli. Opuściła głowę, zgarbiła i rzuciła się między ludzi przed sobą. Zorientowała się, że wywalczyła nieco miejsca, więc puściła się biegiem. Nagle coś uderzyło ją w pierś, głowa podskoczyła jej do góry i poczuła, że upada na plecy. Żołnierz uderzył ją kolbą w pierś; Bronna zwinęła się z bólu i runęła nieprzytomna na ziemię.

Kiedy otworzyła oczy, siedziała w czymś, co się poruszało. Stęchłe powietrze cuchnęło wymiotami i świeżą krwią. Spróbowała się wyprostować, ale poczuła, że ręce ma związane sznurem, który do czegoś przymocowano. Odwróciwszy głowę, spostrzegła Maxima i Jeana siedzących po jej obu stronach. Byli związani.

Naprzeciwko nich, na drewnianej ławce siedzieli żołnierze niemieccy, niewiele starsi od nich, z karabinami między kolanami.

To szaleństwo, pomyślała Bronna. Czowała pulsowanie w głowie i rozdzierający ból w piersiach. Na pewno posłużą się nimi jako przykładem, żeby odstraszyć innych uczniów od demonstracji. Pewnie spiszą ich nazwiska udzielą nagany i odeślą do domów. Bała się tylko o to, co powie ojciec, dowiedziawszy się, że zaangażowała się w coś tak daremnego.

Kiedy ciężarówka się zatrzymała, wpędzono ich do budynku, który rozpoznała jako posterunek policji. Na ścianach wisiały czerwone flagi z czarnymi swastykami. Pomiędzy rzędami flag widniało naturalnej wielkości zdjęcie Adolfa Hitlera w mundurze Trzeciej Rzeszy. Dopiero wtedy zdjął ją paniczny strach. Spróbowała się uspokoić. Byli tylko studentami; nic złego nie zrobili. Po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Na pewno zostaną tylko pouczeni. Może najważniejszy żołnierz wezwie jej ojca, żeby odebrał córkę.

Żołnierze, którzy przyjechali z nimi ciężarówką zgromadzili ich pod ścianą. Zauważyła, że Jean ledwo szedł. Kuśtykał obok Bronny, spętany wspólnym sznurem, usiłując nie przenosić ciężaru ciała na zwisającą bezwładnie, martwą nogę. Próbował skakać, lecz idący za nim żołnierz popychał go kolbą. Jakiś oficer kazał im stanąć pod ścianą i milczeć. Podchodził kolejno do każdego, żądając dowodu tożsamości.

Stali pod ścianą przez ponad godzinę. Wkrótce spostrzegła, że każdy ruch sprawia jej ból. Być może zawiadamiali ich rodziców. Próbowała przekonać samą siebie, że za chwilę w drzwiach pojawi się ojciec. Już nie dbała o to, jak bardzo będzie zły.

Chciała tylko wrócić do domu.

W końcu podszedł do nich jeden z żołnierzy; stanął przed Bronną tak blisko, że czuła jego czosnkowy oddech. Sięgnął za nią i nożem przeciął sznur.

- Chodź ze mną - rozkazał brutalnie, chwytając ją za łokieć.

Zaciągnął ją do drugiego pokoju, gdzie przy małym, zagraconym biurku siedział komisarz. Spojrzał na Bronnę z szyderczym uśmiechem, podsunął jakiś formularz i rozkazał: - Wypełnij to i podpisz.

Próbując opanować drżenie rąk, sięgnęła po formularz. Miała wpisać nazwisko, adres, imiona rodziców i wyznanie. Po raz pierwszy oficjalnie domagano się od niej czegoś podobnego. Poza tym formularz wyglądał niegroźnie. U dołu strony widniał jakiś tekst, ale za bardzo się bała, żeby go przeczytać. Wypełniła formularz najlepiej, jak potrafiła, podpisała i oddała komisarzowi. Ten spojrzawszy na kartkę, skinął głową i poinformował Bronnę, że została aresztowana. Tak po prostu. Nikt jej nie powiadomił o zarzutach; nikt jej nie powiedział, co zrobiła.

Bez dalszych wyjaśnień odprowadzono ją z powrotem do ciężarówki. W nocy znajdowała się już w więzieniu Cherche-Midi.

Przez długi czas leżała zwinięta w kłębek na nierównym materacu, pokrytym tak grubą warstwą brudu, że wydawał się zimny i mokry. Słuchała otaczających ją odgłosów. Zza ściany dobiegało czyjeś łkanie.

Spróbowała zanalizować ból w piersiach. Nie sądziła, by miała złamaną kość; to chyba tylko ciężkie stłuczenie. Podniosła się powoli i rozejrzała, mrużąc oczy. Cela miała około dwóch i pół metra szerokości i trzech długości. Ściany pokrywała sadza ze świec. Dostrzegła małe zakratowane okno oraz klozet, umywalki nie było. Na półce pod okienkiem stała świeczka, jedyne źródło światła.

W celi panował potworny chłód. Rozejrzała się za prześcieradłem, kocem, czymkolwiek nadającym się do przykrycia, byle tylko przestała się trząść. Nie znalazła niczego poza cienką kurtką, którą miała na sobie.

W końcu materaca zauważyła ciemny pakunek. Jej torba! Jakimś cudem uznali, że nie warto jej konfiskować. Rzuciła się na nią jak na ciepły posiłek, rozpięła i wysypała zawartość na materac. Nie było tego wiele: grzebień, dwa ołówki, mały notes i pusty portfel. Żołnierze zabrali jej pieniądze na lunch.

Kolejny cud! Związane postrzępionym skórzanym paskiem leżały książki, które dał jej Maxim do noszenia. Przejrzała grzbiety. Pierwszą książką był słownik angielsko-francuski najwyraźniej Niemcy nie przywiązywali politycznego znaczenia do słowników. Drugą książką okazał się podręcznik do gry w szachy; Bronna nigdy w tę grę nie grała ani jej nie rozumiała. Trzecią książką był atlas świata, nudny podręcznik, w który kazano im się zaopatrzyć w szkole.

Odłożyła książki, zdolna myśleć jedynie o położeniu, w jakim się znalazła.

Pomyślała o rodzicach, o tym, jak bardzo musieli się niepokoić, kiedy nie wróciła ze szkoły. Być może Jean i Martin zostali wypuszczeni. Z pewnością powiadomią jej rodziców o miejscu pobytu Bronny. Stopniowo przekonała samą siebie, że uczucia rodziców znajdowały się poza jej kontrolą. Skoncentrowała się na głodzie, ponieważ nie miała nic w ustach od wczesnego ranka. Rozpraszał ją też bezlitosny ból w pierśsiach i paraliżujące zimno.

Zdjęła z półki świeczkę i zaniósła na materac, gdzie ostrożnie osłoniła pryskający płomień. Przysunęła zdrętwiałe palce do świecy, potem zmarznięte dłonie, aż płomień prawie spalił jej skórę. Ogrzawszy ręce, wsunęła je pod koszulę, potem dotknęła skroni i przegubów. Naciągnęła na nogi cienki materac i zmusiła się do zaśnięcia. W dzień na pewno ktoś przyjdzie i ją wypuści. To była tylko studencka demonstracja; nie zrobiła nic poza tym, że chodziła ulicami. Jeśli aresztowali tyle ludzi, z pewnością potrzebowali cel dla więźniów, którzy dopuścili się znacznie poważniejszych przestępstw.

Życie Bronny nie przygotowało jej do okoliczności, w jakich się znalazła może z wyjątkiem głodu, którego zaznała w okresie okupacji. Nigdy wcześniej nie poznała fizycznego bólu, toteż nie miała punktu odniesienia dla tego, co czuła obecnie.

Przekonała samą siebie, że ból był minimalny. Zwinęła się w kłębek i przykryła dzięki czemu zrobiło jej się niemal ciepło; zmęczenie pozwoliło jej zapaść w półsen, w którym jej umysł zajął się lękami.

Lęk przed biciem zajmował wysokie miejsce na liście Bronny. Wykluczała możliwość rozstrzelania. Znała brutalność nazistów, ale nie przypuszczała, że ją zastrzelą. Z tego, co wiedziała, rozstrzelali ludzi z konkretnych powodów politycznych, ludzi, którzy dopuścili się wykroczenia przeciwko nowemu reżimowi. Siedemnastoletniej dziewczyny chodzącej ulicami z pewnością nie karano śmiercią.

Było coś jeszcze. Niedawno podsłuchiwała, jak matka szeptała ze sprzątaczką hotelową o czymś, co żołnierze robili więźniarkom. Bronna nie zrozumiała tego w pełni. Coś takiego przydarzyło się żonie piekarza z sąsiedniej ulicy, który pracował dla ruchu oporu. Aresztowali go, a potem przyszli szukać żony. Bronna domyśliła się, że spotkało ją coś takiego jak pobicie, ale że było to znacznie gorsze, tak poniżające i barbarzyńskie, że można było o tym mówić tylko w sekrecie.

Czy jej może się przydarzyć coś równie strasznego? Nie wiedziała co, więc bała się tym bardziej.

Im dłużej rozdzielala i badała pasma lęków, tym bardziej zagłębiała się w siebie. Nawet w tym upiornym miejscu potrafiła zapanować nad umysłem. Nie śmiała płakać. Płacz uszczupliłby jej siły. Postanowiła, że nie będzie wołać ani krzyczeć. Ślubowała, że będzie żyła po minucie. Jeśli stwierdzi, że po upływie minuty nadal żyje, uzna to za zwycięstwo i przeżyje kolejną. Od tej chwili, aż do momentu wydostania się z tego rynsztoka, z tego mroźnego, ciemnego, cuchnącego piekła, będzie żyła po minucie, wewnątrz siebie, panując nad sytuacją.

Z głębokiego snu obudził ją chrobot otwieranych ciężkich metalowych drzwi. Serce zabiło jej gwałtownie; przyszli ją uwolnić. To wszystko okazało się biurokratyczną pomyłką. Przekreśliła się na plecy, usiłując wstać, kiedy pięść uderzyła ją w usta, odrzucając Bronnę na ścianę. Znowu spróbowała usiąść, ale była zbyt oszołomiona. W ustach poczuła ciepłą krew o mięsny smaku.

Odniosła wrażenie, że było ich dwóch. Brutalne ręce zdzierały z Bronny ubranie, a inne ręce rozwarły jej nogi. Zaczęła gwałtownie dygotać. Poczowała kwaśny, cuchnący whisky oddech i szorstki materiał munduru. Odgłos rozpinanego rozporaka, a potem dotyk ciała. Mężczyzna klęknął na dziewczynie okrakiem i wepchnął jej między nogi coś miękkiego, a jednocześnie twardego. Wchodził w nią coraz głębiej, aż poczuła, że rozdziera ją na pół. Ból sprawił, że ujrzała pod powiekami małe błyski światła. W końcu jęknął, zsunął się z niej, a jego miejsce zajął drugi.

Bronna skupiła się na własnym oddechu. Skoro oddychała, to znaczyło, że wciąż żyje. Wchodzili w jej ciało, ale nie mogli wejść do jej umysłu. Niewiele wiedziała o mężczyznach i o tym, co robili, wiedziała jednak, że nie mogło to trwać wiecznie. W końcu musieli skończyć to mokre, bolesne plaskanie ciałem o ciało i pójść sobie. Pomyślała o domowym cieple, o zapachu kuchni przed świąteczną kolacją o wielkim czarnym piecu, wypełniającym pokój otulającym ciepłem.

Drugi mężczyzna mamrotał dziwne, niemieckie słowa, których nie rozumiała. Kiedy skończył, wstał i splunął na Bronnę. Poczowała gęstą wilgotną plamę wżerającą jej się w policzek i z całych sił zamknęła oczy, aż usłyszała szuranie butów po brudnej podłodze i zamykanie drzwi. Bardzo długo leżała sparaliżowana, zwinięta w pozycji płodowej, nasłuchując odgłosów, mogących świadczyć o ich powrocie.

Otuliła się podartym ubraniem i spróbowała zasnąć. Kiedy na niej leżeli, było jej przynajmniej ciepło.

O świcie usłyszała odgłos otwieranych drzwi i przywarła do ściany. Metal zachrobotał o podłogę, odwróciła się i ujrzała strażniczkę, stawiającą obok materaca puszkę brudnej, letniej zupy i czerstwą bagietkę. Bronna rzuciła się na to jak zwierzę i zjadła, zanim zdążyła poczuć smak.

Przez cały dzień leżała twarzą do ściany, czekając, od czasu do czasu marząc o swoim prawdziwym życiu. Strażniczka znowu przyniosła zupę i chleb. Tym razem Bronna zjadła wolniej.

Dzień przeszedł w noc, ale ona się nie poruszyła. Zakończenia nerwowe nie pozwalały jej koncentrować się na czymkolwiek innym niż ostrzegawcze odgłosy, świadczące o powrocie mężczyzn.

Przychodzili przez trzy kolejne noce. Ulegała w milczeniu, odrywając umysł od ciała, dopóki nie odeszli. Później dochodziły do głosu wszystkie zwyczaje higieny, jakie jej wpojono. Spuszczała wodę w klozecie, a potem, maczając w wodzie rąbek podartej sukienki, obmywała twarz i ręce. Twardymi okruchami chleba, który przynoszono jej dwa razy dziennie, szorowała zęby. Grzebień służył nie tylko do rozczesania pokrytych tłuszczem i sadzą włosów, ale także do wydłubywania brudu spod paznokci.

Właśnie czyściła paznokieć kciuka, kiedy przyszło jej do głowy, że jeśli będzie odpychająco brudną być może mężczyźni przestaną przychodzić. Schowała grzebień pod materac i przestała dbać o czystość. Straciła rachubę nocy. W końcu przestali przychodzić.

Nazajutrz po dniu, kiedy mężczyźni przestali przychodzić do celi, Bronna obudziła się ze zdumiewająco jasnym umysłem. Dotychczasowa panika i nienawiść zmieniły się w swego rodzaju zimną rezygnację zasilaną dumą. Żyła. Była zdrowa. Nie zaczęła krzyczeć.

Panowała nad sytuacją.

To, co zrobili jej mężczyźni, nie było najgorszą rzeczą jaka się mogła wydarzyć. Nie lubiła, kiedy ją bili, ale reszta, chociaż początkowo wstrętna i bolesna, nie doprowadziła do złamania kości ani otwartych ran. Ciało nic już dla Bronny nie znaczyło. Było ważne tylko o tyle, o ile wspierało głowę, gdzie znajdował się umysł. Umysł pozostał czysty i cały.

Poranne słońce wpadało przez zakratowane okno długim, ukośnym stożkiem złotego światła. Było słabe i nie dostarczało ciepła ale oświetliło podłogę obok materaca, napełniając serce Bronny niewypowiedzianą radością.

Znowu się umyła. Potem przesunęła brudny materac na słońce i wyciągnęła podręcznik do gry w szachy Martina. Powoli, mrużąc oczy w słabym świetle, zaczęła czytać.

Tego ranka na dziedzińcu po raz pierwszy rozległy się krzyki i odgłosy wystrzałów, być może plutonu egzekucyjnego. Bronna przez chwilę słuchała, czekając, aż będzie mogła czytać dalej. Kiedy ponownie zapadła cisza, powróciła do lektury.

W miarę upływu dnia wkraczała w świat fantazji, wchodziła na dwór królów i królowych, koni i gońców. Świat strategii i zręczności, matematyki i nie kończących się intryg.

Wciąż czytała, kiedy strażniczka przyniosła zupę i chleb Bronna nie próbowała nawet ukryć książki.

Strażniczka przeszła przez celę, postawiła cynowy talerz i kubek, zapalając świeczkę parsknęła z niesmakiem na Bronnę, wreszcie wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Bronna uśmiechnęła się. Kiedy gruba nazistowska świnia przekręcała klucz w drzwiach, dziewczyna zrozumiała, że wydarzyło się coś bardzo ważnego. Gdyby strażniczka próbowała odebrać jej książki, Bronna byłaby gotowa za nie umrzeć.

Czuła się słaba, a mimo to udusiłaby tę kobietę gołymi rękami. Przyszliby po Bronnę, wyprowadzili na dziedzińiec i zastrzelili. Umarłaby z jakiegoś powodu.

Kiedy ciemność nie pozwalała jej już czytać, zaniósł świeczkę do materaca, powtórzyła rytuał ogrzewania płomieniem zmarzniętych rąk, po czym wróciła do

pierwszej strony. Przeczytawszy książkę powtórnie, stwierdziła, że zna ją już na pamięć.

W nocy śniła jej się gigantyczna szachownica.

Podniecona, rozstawiła na niej figury i dokładnie odtworzyła gambity opisane w podręczniku.

Nazajutrz obudziła się w stanie upojenia, wolna od lęku, gotowa rozpocząć dzień. Jeśli to było piekło, myślała, to nie znajdowało się ono w niej. Piekło zostało jej narzucone z zewnątrz. Nie czuła się już samotna. Zaludniła celę swoją zdolnością myślenia i uczenia się.

Jeżeli przeżyła ten koszmar, nie mogło się jej przydarzyć już nic gorszego.

Zacząła odkładać trochę chleba z każdego posiłku, mieszać okruchy z woskiem świecy i chować w spódnicy. Po jakimś czasie zgromadziła dosyć surowca, by zacząć lepić nieporadne figury szachowe. Najpierw zrobiła króla i królową, starannie modelując im korony. Potem zajęła się gońcami i wieżami. Pionkami były proste trójkąty zwieńczone kulkami chleba.

Wykreśliła na podłodze szachownicę o boku dwóch stóp. Za pomocą sadzy ze ściany poczerniła pola i figury. W końcu dzieło było skończone. Aby je ukryć, zakryła szachownicę materacem.

Posługując się grzebieniem i ołówkiem zdołała wydłubać szparę w skruszałym gipsie ściany i ukryć figury. W końcu wróciła do pierwszych zadań z podręcznika Martina i zaczęła grać sama ze sobą.

Mijające dni nie ciągnęły się już bez końca. Była tak zaabsorbowana zgłębianiem tajników skomplikowanej gry, że podniosła wzrok z niedowierzaniem, gdy strażniczka przyszła zapalić świecę. Znienawidzona kobieta znowu parsknęła. Przez dłuższą chwilę przyglądała się szachownicy na podłodze, potrząsnęła głową, stwierdzając, że więźniarka postradała zmysły, po czym zatrzęsnęła drzwiami.

Umysł Bronny na cały dzień opuszczał brudną celę, gdy przesuwała figury po zaimprovizowanej szachownicy. W nocy, przy blasku świecy, czytała słownik Martina, hasło po haśle, ucząc się na pamięć języka, którego nigdy nie słyszała.

Pewnego ranka strażniczka powiedziała jej, że było Boże Narodzenie. Tego dnia po raz pierwszy od czasu uwięzienia usłyszała ludzką mowę, nie będącą jej własnym głosem powtarzającym angielskie słowa lub szeptane modlitwy.

Strażniczka oznajmiła Bronnie, że z okazji świąt chrześcijańscy więźniowie otrzymają specjalny posiłek złożony z pieczonej wieprzowiny, gotowanych ziemniaków i ciastka czekoladowego. To rzekłszy, wręczyła dziewczynie tradycyjną miskę zupy i skórkę chleba. Bronna skwapliwie wsunęła chleb do kieszeni. Jeden z czarnych pionków się rozsypał; teraz mogła go zastąpić nowym.

Przyszło ocieplenie; przez okienko wyczuwała wiosnę. Ściany nie pokrywały się już taką wilgocią i wcześniej robiło się jasno. Właśnie kończyła poranne mycie, kiedy otworzyły się drzwi celi, a w progu stanął strażnik, którego nigdy wcześniej nie widziała.

- Wychodzić! - rozkazał.

Bronna wstała niepewnie z klęczek i spojrzała na strażnika, mrugając, starając się pojąć sens rozkazu.

- Zabieraj swoje rzeczy i idź, zanim się rozmyślą - warknął. Nie bardzo wierząc własnym uszom, Bronna wyciągnęła książki i torbę spod materaca, minęła strażnika i wyszła z celi.

Z całkowitym spokojem, bez śladu niepokoju czy lęku, zrozumiała, że mieli ją zastrzelić.

Strażnik poprowadził ją długim korytarzem, pełnym cichych cel, minęli podwójne drzwi i kolejny korytarz. Strażnik otworzył bramę więzienia i brutalnie wypchnął Bronnę na zewnątrz.

Blask słońca i świeży zapach wiosny były tak obezwładniające, że zatoczyła się na ścianę więzienia. Brama zatrzasnęła się z trzaskiem.

Była wolna.

Początkowo szła niepewnie. Od wielu miesięcy nie przeszła więcej niż dwa metry w jedną stronę. Po każdym kroku spodziewała się usłyszeć krzyk, poczuć na ramieniu dłoń, usłyszeć odgłos wystrzału i poczuć, jak kula uderza ją w plecy. Jednak nic podobnego się nie wydarzyło. Zaczęła biec znajomymi bocznymi ulicami, pamiętanymi bulwarami, do domu - aż ból w piersiach stał się nie do zniesienia i kazał jej zwolnić.

Minęła róg swojej ulicy, po każdym kaszlnięciu czując smak krwi. Przechodnie odwracali wzrok na widok tego bosego, brudnego stworzenia, szkieletu w łańcuchach, który dyszał i charczał krwią. Napatrzili się już na zbyt wiele okropności, by mogło to na nich robić większe wrażenie.

Dotarłszy do schodów hotelu ojca, nie miała już siły, by iść dalej; poddała się osuwając nieprzytomnie na kamienne stopnie.

Cśśś!

Bronna usłyszała ten odgłos i spróbowała otworzyć oczy. Nie miała siły, żeby unieść powieki.

Usłyszała czyjś szept. Pod powiekami ujrzała migotanie świecy na pokrytych sadzą ścianach celi.

- Nie budź jej, potrzebuje snu - powiedział łagodny głos bardzo blisko jej głowy. W powietrzu rozchodził się jakiś cudowny zapach, podobny do fiołków. Aromat nasilił się; poczuła na twarzy łagodny oddech, a na czole zimny materiał. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo jej było gorąco - jak po dniu spędzonym w skwarnej słońcu, kiedy skóra emanuje ciepłem.

- Chyba się budzi - powiedział zatroskany kobiecy głos. Powoli, z bólem, Bronna otworzyła oczy. Nie znajdowała się w celi, ale w wytapetowanym pokoju. Wzór tapety wydał jej się znajomy, podobnie jak nachylająca się nad nią kobieta. Miała ładną, łagodną twarz o nieco pulchnym podbródku i dużych, dramatycznych oczach.

- Dzień dobry - powiedziała słodko kobieta. - Jak się czujesz?

Bronna była w stanie tylko jej się przyglądać.

- Mam na imię Dexia. Jak się czujesz?

Podniosła ręcznik z czoła Bronny i zamoczyła go w metalowej misce stojącej na stoliku.

- Gdzie ja jestem? - spytała załamującym się głosem. Coś zaświstało jej w piersiach i zanosła się silnym kaszlem. Spróbowała zakryć usta dłońmi i ze zdziwieniem zdała

sobie sprawę, że są grubo zabandażowane. Spazmatyczny kaszel w końcu minął, a Bronna opadła wyczerpana na poduszkę.

- Co mi się stało? - spytała słabo.

- Masz zapadnięte płuco - odparła kobieta. - Przez pięć dni leżałaś nieprzytomna, z okropną gorączką spowodowaną zakażeniem, ale mamy na to lekarstwo.

- Moje ręce! Co jest z moimi rękami?

- Były ciężko poparzone i również zainfekowane. Bronna przyglądała się pięknej twarzy kobiety.

- Pani jest madame Solange - powiedziała. Początkowo nie poznała kobiety, której nigdy nie widziała z rozpuszczonymi gęstymi włosami o barwie mahoni i bez makijażu. - Jestem w pani pokoju, poznaję tapetę. Wciąż pani tu mieszka.

Tak, kochanie. Tylko ja zostałam - odparła smutno. - Ale czy ja cię znam?

Zanim Bronna zdążyła odpowiedzieć, ktoś odezwał się u wezłowania łóżka:

- Nikogo więcej już nie ma.

Bronna spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła młodą ciemnoskórą kobietę w długiej, powłóczyściej szacie, jaką widziała na obrazkach w atlasie, w części poświęconej Indiom.

- To jest Nanti - powiedziała madame Solange, kiwając głową na młodą kobietę. - Opiekuje się mną i pomaga ubierać się do teatru. Tobą też się opiekowała.

- Gdzie są moi rodzice? - spytała Bronna, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Kobiety wymieniły pytające spojrzenia.

- Gdzie są wszyscy? - dopytywała się Bronna. Coś było bardzo nie w porządku. -

Gdzie jest mój ojciec, matka, siostra? Gdzie oni są?

- Nanti! Mon Dieu. - Madame Solange przycisnęła dłonie do policzków. - To musi być córka monsieur Charnova - wykrztusiła z zakłopotaniem. - Kochane dziecko, nie poznałam cię.

- Ależ, madamel - krzyknęła zaskoczona Nanti. - Monsieur Chamov myślał, że jego córka nie żyje.

- Biedactwo! - zawołała madame Solange. - Gdzieś ty była?

- W więzieniu, od zeszłej jesieni. Aresztowano mnie podczas demonstracji studenckiej. Ale gdzie są moi rodzice? Czy wiedzą, że żyję?

Madame Solange ścisnęła mocno rękę Bronny, a w oczach zabłysły jej łzy.

- Odeszli - powiedziała cicho. - Wszyscy odeszli.

- Już to pani mówiła, ale dokąd? Czy pojechali na południe? Moja matka miała siostrę w Rouen. Nie wierzę, że ojciec porzucił hotel.

- Nie, kochanie, aresztowali ich kilka miesięcy temu. Z tego, co wiem, wywieźli ich do obozu w Gurs. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Z pewnością już nie żyją.

Bronna zaczęła płakać. Z piersi wyrывało się jej potężne, dławiące łkanie. Za każdym razem, kiedy próbowała złapać oddech, czuła, jakby napierała ramionami na betonowy blok. Jeśli chciała uśmierzyć ból, musiała przestać płakać. Przycisnęła kostki dłoni do zębów, przełknęła z trudem, usiłując oddzielić umysł od ciała, jak to robiła w więzieniu.

- Moja siostra też? - spytała cicho. Kobiety przytaknęły.

- O Boże... co się stało?

- Nie było mnie tu, ale mi opowiadano - powiedziała smutno Dexia. - Przyszli z karabinami pewnej nocy w listopadzie. Znaleźli radio twojego ojca i oskarżyli go o przynależność do ruchu oporu. Wsadzili wszystkich do ciężarówki. Kiedy wróciłam razem z Nanti z teatru, zastałam pusty hotel. Wpuścili nas tylko dlatego, że byłam z moim przyjacielem, majorem von Kesselem.

- Major - powtórzyła Bronna.

- Oui - potwierdziła zdziwiona madame Solange. - Znasz majora?

- Widziałam go - odparła, zamykając oczy. - Tutaj... dawniej... - Ujrzała ciemne sylwetki mężczyzn wchodzących do celi i mosiężne guziki mundurów wbijające się w jej nagi brzuch. - Pani jest jedną z nich, prawda? - wyszeptała.

- Co masz na myśli? - spytała madame Solange, puszczając rękę Bronny.

- Nazistką, pani musi być nazistką. Nie aresztowali pani. Nie zastrzelili ani nie wysłali do obozu ze względu na pani przyjaciela. Dlatego ma pani takie cudowne kremy, mydełko, czekoladę na gorąco i jedwabne stroje, których nikt inny nie ma. Pani jest nazistką.

- Mylisz się, moje dziecko - odparła spokojnie madame Solange. - Robię to, co muszę. Zrozumiesz to może, kiedy wrócisz do zdrowia.

Bronnie wydało się, że utonie w nienawiści za to, co zrobiono jej, rodzicom, jej niewinnemu, spokojnemu życiu. Wzięła głęboki wdech, żeby krzyknąć, ale bez skutku. To było tak, jakby próbowała pić przez dziurawą słomkę. Próba krzyku spowodowała kolejny atak spazmatycznego kaszlu. Maleńkie kropelki krwi zaplamiły koronkowy haft śnieżnobiałej pościeli.

- Czy mam wezwać lekarza, madame? - szepnęła Nanti, przechodząc na drugą stronę łóżka i obejmując Bronnę, chcąc ją ukoić.

- Nanti - upomniała ją ostro jej pani. - Jeśli ktoś się dowie, że tu jest, wszyscy wpadniemy w straszne kłopoty, a ją zabiorą.

- Oui - powiedziała Nanti. Nalała zimnej wody do szklanki i przytknęła do ust Bronny. Kiedy kaszel ustał, Bronna oparła się z powrotem na atlasowych poduszkach, wyczerpana, nie będąc w stanie mówić. Po raz pierwszy zrozumiała, jak ciężko zachorowała.

Madame Solange stała obok łóżka, patrząc na dziewczynę. Była wyższa, niż Bronna zapamiętała. Miała bielszą niż mleko skórę i ciemnorude włosy opadające wzdłuż wysokich kości policzkowych, ładnie wymodelowane. Nosiła się dumnie i była najcudowniejszą kobietą jaką Bronna widziała poza ekranem filmowym.

Madame Solange odwróciła się i podeszła do stojącej pod ścianą szafy. Otworzyła ją i zaczęła wyjmować ubrania.

- Dzisiaj mogę się ubrać sama, Nanti. Zostań tu przy dziecku. - Potem zwróciła się do Bronny, która nie spuszczała z niej wzroku. - Czy masz jakiś dowód tożsamości? Bronna powoli pokręciła głową.

- Nie, zabrali mi je na posterunku, kiedy podpisałam jakiś formularz.

- Podpisałaś coś? - zapytała zaskoczona madame Solange.

- No, tak. Nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie. Madame Solange spojrzała na Nanti, która zagryzała pełne, jaskrawoczerwone wargi.

- Cóż, chyba wiem, co trzeba zrobić - oświadczyła tonem rezygnacji. - Nanti, musimy jej wyrobić nowe dokumenty. Nie masz się czym martwić, kochanie, wszystkim się zajmę. Skoncentruj się na powrocie do zdrowia. Wkrótce dostaniesz nowe nazwisko.

- Ależ ja nazywam się Bronna Charnov! Madame Solange położyła jej palec na ustach.

- Nie, nie, nie, kochanie, nigdy więcej. Już nigdy nie wolno ci wymawiać tego nazwiska.

Czarny samochód z hitlerowskimi flagami po obu stronach zderzaka podjechał do krawężnika przed hotelem, który kiedyś należał do Jaszy Charnova. Dexia Solange, grająca główną rolę w sztuce Moliera w teatrze Odeon, podeszła do krawężnika.

Sztukę grano stale przy pełnej sali niemieckich oficerów, sympatyków reżimu i ich kobiet. Po przedstawieniu, odziani w to, co zgromadzili w szafach przed zamknięciem przemysłu tekstylnego, szli do Maxima, Ritza lub Lido.

Tępi Niemcy nigdy nie prowadzili tak bogatego życia towarzyskiego. Według ich własnego, mdlącego określenia, czuli się freulich wie Gott im Frankeich, szczęśliwi jak Bóg we Francji.

Dla większości paryżan życie było znacznie mniej przyjemne. Coraz bardziej topniały zapasy paliwa, a także jedzenia, ubrań i spokoju ducha. Z każdym upływającym dniem brutalny obcas nazistowskiego buta coraz mocniej miażdżył kruche życie Miasta Światła.

W tych mrocznych czasach Dexia Solange musiała zrezygnować z talentem aktorskim poza sceną niż na niej. Na pozór otaczające ją ciężkie życie nie wywierało widocznego wpływu na piękną aktorkę. W rzeczywistości przepełniała ją nienawiść i pragnienie zemsty. Córka Chamovow powracająca do zdrowia w jej apartamencie nie była jedyną osobą osieroconą z winy nazistów. Piękny brat Dexii, Laval, zginął pod Dunkierką kiedy armia francuska została pokonana.

Pozwalała sobie na publiczne pokazywanie się z majorem von Kesselem. Jego ochrona miała wielkie znaczenie, a przywileje wynikające z tej znajomości liczyły się bardziej niż słodko pachnące mydło do kąpieli i świeże mięso na stole Dexii.

To major przekonał władze, by hotelik przy St.-Denis przekazać Dexii Solange. Przy pomocy robotników, o których postarał się major von Kessel, przerabiała parter hotelu na kabaret i klub dla oficerów Rzeszy.

U szczytu schodów czekała na nią Nanti. Wzięła od pani atlasową pelerynę koloru miedzi i futrzaną mufkę.

- W holu jest doktor Gautier - szepnęła Dexii na ucho.

Kiedy weszła do holu, pomieszczenie wydało jej się opustoszałe. Pod świeżo pomalowanymi na ciemnoczerwono ścianami ustawiono meble w futerałach, wyglądające jak duchy. W połowie drabiny pod ścianą w głębi holu stał mężczyzna w ogrodniczkach i robociarskiej czapce, który pracowicie polerował porcelanowy zyrandol.

- O, madame Solange - powitał z uśmiechem podchodzącą do drabiny Dexię. - Czy podoba się pani moja praca?

- Zejdz, Edmundzie - rozkazała tłumiąc uśmiech. - Skręcisz kark.

Doktor Edmund Gautier, dyrektor szpitala chirurgicznego w Neuilly, odłożył brudną szmatkę i powoli zszedł z drabiny. Uchylił czapki i uklonił się.

- Znam się też na oknach i stolarce, madame - oświadczył, składając przesadny ukłon.

- Bardzo sprytnie - powiedziała Dexia, w końcu się uśmiechając. - Kto wpadł na ten genialny pomysł?

- Pani pokojówka - odparł, skubiąc ogrodniczki. Uniósł głowę i spojrzał na zatroskaną Dexię. - Prowadzicie niebezpieczną grę, dziewczęta. Jeśli ktoś się dowie, że dziewczyna nie umarła, jak to pani powiedziała, wtedy nawet przystojny major nie zdoła pani pomóc.

- Cśśś! - syknęła Dexia. - Nie mogę teraz o tym myśleć. Jakie nowiny pan przynosi?

- Wszystko gotowe. Mogę operować jutro wieczorem w szpitalu. Moja żona jest pielęgniarką więc będzie mi asystować. Nikomu innemu nie ufam.

Dexia popatrzyła na lekarza z miłością i smutkiem. Ilość siwych włosów w jego schludnej hiszpańskiej bródce zaczynała przewyższać ilość czarnych, a na przystojnej twarzy pojawiły się nowe, głębokie bruzdy. Edmund Gautier i Dexia byli kiedyś kochankami i pozostali bliskimi przyjaciółmi. Dexia, która wiedziała o podejrzeniach nazistów o przynależność Gautiera do ruchu oporu, stale niepokoiła się, że ich towarzysze, ponoszący rany z zatrwającą częstotliwością, mogą zostać pozbawieni jego nieocenionych zdolności medycznych. Kiedy ktoś ranny, postrzelony lub okaleczony dowiadywał się, że Gołąb (pseudonim Gautiera) był w drodze, czuł, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Przed włączeniem go w plan przemienienia Bronny Chamov w swoją „kuzynkę z Lyonu” nękały ją wątpliwości, ale nie miała innego wyjścia. Dziewczyna już dość wycierpiała. Teraz Dexia ponosiła za nią odpowiedzialność.

- Podaj mi szybko szczegóły, Edmundzie - poprosiła, zamykając drzwi. - Obawiam się, że ludzie, z którymi jestem zmuszona jeść kolację, wymagają punktualności.

- Rozumiem.

- Jak my to zrobimy? - spytała Dexia, opierając się na pokrytym futerałem barze. Doktor Gautier ścisnął palcami skronie i zaczął mówić:

- Dobrze. Właśnie ją zbadałem. Wciąż ma niebezpieczną niedowagę, ale płuca są czyste. Jeśli chodzi o ręce, niewiele możemy poradzić. Oparzenia zostały fatalnie zaniedbane, a wtarty воск ze świecy spotęgował skutki zakażenia. Mamy do czynienia z bliznami, których nie zdołamy usunąć.

- Co to oznacza na dłuższą metę? Czy będzie mogła posługiwać się rękami? - spytała Dexia.

- Och, tak, ale na zawsze straciła czucie w opuszkach palców, a także linie papilarne. Biorąc wszystko pod uwagę, to może korzystna sytuacja.

Dexia skinęła głową.

- Jesteś pewien, że ma dość sił, by przejść taką operację?

- Hmm, może nie fizycznie, ale w sensie psychicznym z pewnością. Zważywszy na to, przez co przeszła, twierdzę, że jest do tego zdolna.

Dexia zmarszczyła brwi.

- Miała dość sił, żeby wrócić do świata żywych, Edmundzie. Z pewnością drobna operacja plastyczna... - urwała, wiedząc, że daje się ponieść przesadnemu optymizmowi.

- Nie nazwałbym tego drobną operacją plastyczną. Musisz zrozumieć, że ta technika jest jeszcze w powijakach. Operacja wymaga kilku godzin znieczulenia, a dziewczyna wciąż waży zaledwie trzydzieści pięć kilo. Chociaż uszkodzone płuco w pełni się podniosło, nadal jest słabe i może nie wytrzymać wpływu środka znieczulającego na oddychanie. Jestem gotów zaryzykować, ale byłoby lepiej, gdybyś poczekała.

- Nie mamy czasu, Edmundzie. Muszę otworzyć klub, a już zapowiedziałam, że siostrzenica przyjeżdża z Lyonu, żeby mi pomóc. Musi się pokazać zgodnie z planem.

- Rozumiem, że masz dla niej nowe dokumenty.

- Tak, tak - odparła pospiesznie Dexia. - Mam dokumenty na nazwisko Cleo AuCoin, jej rówieśniczki, która zmarła na tyfus. Dzięki naszym przyjaciółom papiery są doskonałe. Teraz potrzebuję tylko zdjęcia.

Lekarz oparł się o drabinę.

- Muszę ci powiedzieć, Dexio, że stanowczo odradzam powiększanie piersi. Nie dysponujemy niezbędną tkanką. Mogę za to zmienić jej nos, szczęki i policzki. Nabraliśmy wielkiej praktyki, pracując nad okaleczonymi twarzami naszych żołnierzy.

- A co z jej włosami? Chcę je zmienić najbardziej, jak to tylko możliwe. Absolutnie nikt nie może jej poznać. Wystarczy, że jedna osoba przypomni sobie małą Bronnę Chamov i... cóż, znasz cenę.

Doktor Gautier machnął lekceważąco ręką.

- Nie potrzebujesz mnie do pracy nad jej włosami, Dexio. To może zrobić każdy, kto dysponuje cierpliwością i pincetką. Jeszcze lepiej będzie, jeśli zmienisz jej kolor włosów i uczesanie.

Dexia spojrzała nerwowo na drzwi, a potem na zegarek.

- Czy będzie wyglądała zupełnie inaczej?

- Absolutnie - odparł z uśmiechem. - Nie gwarantuję, że okaże się na tyle piękna, by podawać się za twoją krewną, ale nie możemy mieć wszystkiego.

Dexia spuściła wzrok i powiedziała cicho:

- Dziękuję, Edmundzie.

Gautier ujął jej rękę, odwrócił i delikatnie pocałował wnętrze dłoni. Był to tak prosty, tak intymny gest, że poczuła drgnienie dawnej namiętności.

- Nie wiem, moja droga, dlaczego decydujesz się na takie ryzyko. Mam nadzieję, że znasz powody - powiedział. Odwrócił się, objął Dexię i ruszyli w stronę drzwi. - Posłuchaj, co chcę, żebyś zrobiła.

W ostatnim akcie „Mieszczanina szlachcicem” Moliera postać grana przez Dexię Solange prawie nie schodziła ze sceny.

W dzień po spotkaniu z doktorem Gautier Dexia wystąpiła jak zwykle, pocąc się pod obcisłym stanikiem sukni z lejącego jedwabiu i wysoką pudrowaną peruką. Była to głupia sztuka, pełna nonsensów i biegania po scenie, ale morze oficerów wypełniających widownię co wieczór dowodziło, że nie była zbyt głupia dla Niemców.

Dexia podeszła do rampy, by wygłosić idiotyczny końcowy monolog, który mówiła osiem razy w tygodniu od kilku miesięcy. Kiedy dotarła do skraju sceny, chwyciła się za gardło, odrzuciła głowę, dramatycznie przewróciła oczami i osunęła się na scenę. Obfita suknia złagodziła upadek. Zamknawszy oczy, nasłuchiwała reakcji. Widownia krzyknęła uni-sono. Rozległ się tupot kroków, a inspicjent Raymond gorączkowo wołał za kulisy, żeby ktoś opuścił kurtynę.

Dexia leżała z zamkniętymi oczami na chłodnej scenie, aż Nanti przypadła do niej, zgodnie z planem, i zaczęła wydawać polecenia. Poczuli, jak podnoszą ją silne ramiona i zanoszą za kulisy. Kiedy nieśli ją korytarzem do garderoby, usłyszała, jak Raymond woła do kogoś, żeby wezwał karetkę.

Dwaj aktorzy niosący Dexię położyli ją na szezlongu w garderobie, a Nanti natychmiast wyprosiła wszystkich za drzwi. Po chwili zapukał do drzwi doktor Gautier, który siedział na widowni.

Nanti zdjęła perukę Dexii i rozpięła suknię, a doktor Gautier podszedł bez słowa do szafy i pomógł wyjść Bronnie.

Kiedy tylko Dexia zdjęła suknię, Nanti zarzuciła ją Bronnie przez głowę. Zwisiała z jej chudych ramion i płaskiej piersi jak draperia. Później przyszła kolej na perukę. To, że nic nie pasowało, nie miało znaczenia. Położono ją na noszach, przykryto kocami, spod których wystawały tylko lśniące loki i wyniesiono tylnymi drzwiami do karetki w asyście przebranej Dexii i Nanti.

Tej nocy, kiedy doktor Gautier wraz z żoną pracowali przy blasku świec w pozbawionej okien sali operacyjnej na przedmieściach Paryża, urodziła się Cleo AuCoin.

Twarz Cleo goiła się szybko, a w okresie poprzedzającym jej debiut Dexia poddawała ją surowym próbom.

- Nie, nie, nie, nie w ten sposób! Ramiona do tyłu, podbródek w górę i wciągnij tyłek. Faites attention et comptes de un d cinq. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Zwrot i...

- Dexio, błagam, czy mogę odpocząć? - spytała Cleo osuwając się na kanapę w elegancko przemeblowanym salonie Dexii.

- Czy wolno mi odpocząć! - poprawiła ją Dexia.

- Czy wolno mi odpocząć?

- Tak. Idzie ci doskonale, chérie. Jeszcze kilka lekcji i zaczniesz chodzić jak modelka z Vionnet. Pamiętaj tylko, żeby ściągać ramiona do tyłu. Wyobraź sobie, że do czubka głowy przywiązano ci sznurek, za który ktoś ciągnie do góry, ciągle do góry... Unieś podbródek, wyprostuj szyję. Twoja postawa ma wpływ na to, jak ludzie na ciebie reagują.

- Staram się, Dexio - westchnęła Cleo. - Naprawdę się staram.

- Wiem, kochanie, ale postawa jest bardzo ważna. Teraz muszę pędzić do fryzjera. Wieczorem zaprowadzę cię na dół i pokażę ci, co zrobiliśmy. Nie poznasz hotelu.

Cleo opadła na stojące pod oknem krzesło i pozwoliła słabemu, zimowemu słońcu zajrzeć w twarz, na co nie pozwalano jej przed całkowitym zagojeniem się blizn.

Przez cały dzień czekała z podnieceniem na chwilę, gdy wreszcie opuści apartament i zejdzie na dół po raz pierwszy od operacji.

Podczas pobytu na piętrze przebyła długą drogę. W niczym nie przypominała złamanej, brudnej, ważącej trzydzieści pięć kilo dziewczyny, która zemdlała na schodach hotelu. Była wtedy odwodniona, groziła jej gruźlica, a organy płciowe zaatakowało zakażenie weneryczne, powodując wysoką gorączkę, od której dostawała konwulsji.

Znalazła się pod czułą delikatną opieką Nanti, która nauczyła się tego typu kobiecych spraw na ulicach Kalkuty.

Patrząc w lustro, prawie się nie poznawała. Dawniej owalna twarz przybrała bardziej kanciasty kształt. Lekarz podwyższył jej kości policzkowe, upodabniając Cleo do Dexii, a także uwydatnił szczękę. Nowy podbródek sprawiał, że usta wydawały się pełniejsze, a porcelanowe nakładki na zęby zakryły szkody spowodowane przez wiele miesięcy niedożywienia i szorowanie skórkami chleba. Stres wywołany pobytem w więzieniu oraz nędzna dieta zabiły i odbarwiły brązowe włosy, które zwisały bezładnie ze skroni i czoła.

Czarodziejskie maści i kremy nakładane przez Nanti usunęły brązowy kolor, nadając jej włosom barwę jasnosrebrzystą. Następnie Nanti ostrzygła zmierzwioną, rzadną czuprynę, modelując ją w prawdziwy hełm Joanny d'Arc, z prostą grzywką zakrywającą brwi i podkreślającą jasne oczy. Eksperymentowały z aktorskimi kosmetykami Dexii, chociaż zapasy chudły. Antymon do oczu i róż do warg były równie trudno dostępne, jak świeża marchew czy zielony groszek. Wszystkie luksusowe towary, jakimi się cieszyły - mydło, pończochy, papier toaletowy i czekolada - pochodziły od niemieckich „przyjaciół” Dexii albo z zakupów Nanti na czarnym rynku.

Dochodząc do zdrowia, Cleo zabijała czas uczeniem Nanti gry w szachy. Nanti, która przed zatrudnieniem się u Dexii pracowała w New Delhi jako niańka u brytyjskiej rodziny, uczyła Cleo angielskiej wymowy. Lekcje angielskiego udzielane przez Hinduskę francuskiej dziewczynie owocowały ciekawym akcentem.

Często przerywały naukę na urządzenie starych hotelowych sypialni. Cleo nie знаła przeznaczenia tych pomieszczeń aż do dnia, kiedy Nanti wróciła z naręczem ciężkiego materiału, który nabyła drogą handlu wymiennego w opuszczonym magazynie na przedmieściach.

Cleo leżała w łóżku i jak zwykle czytała.

- Och, Nanti - powiedziała podnosząc wzrok. - Jaki piękny materiał. Co z niego będzie?

Nanti rzuciła beł materiału na krzesło i odetchnęła z ulgą.

- Draperie i baldachimy na łóżka. Ukradli to z jakiegoś magazynu. Miałam szczęście, że zdobyłam wystarczającą ilość.

Cleo odłożyła książkę.

- Draperie i baldachimy? To bardzo eleganckie.

- Te świny będą tyle płacić za godzinę w tych pokojach, że muszą być eleganckie - odparła Nanti, mrużąc ciemne oczy.

- Za godzinę? Nie rozumiem - powiedziała zdumiona Cleo. - Ludzie nie zatrzymują się w hotelu na godzinę.

Wyraz twarzy, z jakim Nanti się jej przyglądała, powiedział Cleo, że Hinduska zastanawiała się, czy powinna ją wtajemniczyć. Zsunęła z głowy cienkie sari i zanosła się głośnym śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała urażona Cleo. Nanti podeszła do łóżka.

- Wybacz mi, mała Cleo, nie śmieję się z ciebie. Śmieję się z tego, że mogłaś tu spędzić tyle czasu, nie wiedząc, co się dzieje na dole.

Cleo upuściła książkę na koldrę.

- Cóż, nie wiem. Może byś mi wyjaśniła.

- Jesteśmy w burdelu, przyjaciółko, najbardziej eleganckim burdelu w Paryżu. Zamierzamy serwować najlepsze wina, jakie może zapewnić Rzesza i najlepsze jedzenie, jakie nasięci zdołają ukraść ludziom głodującym na ulicy. Dysponujemy najpiękniejszymi dziewczętami, a nasięci zapłacą słono za godzinę, spędzoną z nimi w naszych pięknych, nowych sypialniach.

- Macie zamiar to robić w domu mojego ojca? - spytała zdumiona Cleo.

Ładna twarz Nanti pociemniała.

- Nigdy nie wolno ci tak mówić. To jest dom madame Solange, nigdy o tym nie zapominaj.

Cleo przyszło nagle do głowy, że wcale nie wyjaśniono jej powodów przemiany, jakiej ją poddano.

- Nanti - powiedziała ostrożnie. - Czy ja mam... no, wiesz. Czy dlatego Dexia tyle dla mnie zrobiła? Żeby mnie zmienić? Czy mam chodzić z oficerami do tych łóżek z baldachimami?

- Och, nie! - krzyknęła zszokowana Nanti. - Nigdy. Nie brakuje kobiet chcących pracować dla madame Solange. Od kilku tygodni przychodzą na rozmowy. Madame Solange cię kocha. Jesteś jej rodziną!

- Jesteś pewna, Nanti?

- Jestem pewna, Cleo - odparła Hinduska, odwijając materiał do zmierzenia.

Od tej pory, aż do całkowitego powrotu do zdrowia, Cleo nie pytała o to, co się działo na dole. Wystarczało jej jedzenia, dostawała nowe książki do czytania, a wkrótce miało rozpocząć się jej nowe życie. Sądząc po tym, co Nanti opowiadała o życiu na zewnątrz, była bardzo szczęśliwą dziewczyną.

Kiedy madame Solange wprowadziła „kuzynkę” do nieskazitelnej nowej kuchni i głównej jadalni, Cleo krzyknęła z zachwyty. Za czasów ojca było to dość obskurne pomieszczenie z wyblakłymi tapetami w kwiaty i słabymi żarówkami w zwykłych metalowych oprawkach. Dexia i inspicjent Raymonda dokonali czegoś zdumiewającego. U sufitu zwieszała się draperia z grubego, czerwonego pluszu z ogromnym żyrandolem z weneckiego szkła pośrodku. Ustawione wzdłuż ścian ławy obito czarną skórą z mosiężnymi ćwiekami. Każdy ze stolików nakryto sięgającym podłogi różowym jedwabiem, na który położono szklane blaty. Przez nowe łukowate drzwi Cleo ujrzała mniejsze pomieszczenie do koktajli pomalowane czarno-białym lakierem. Na końcu znajdował się podest dla orkiestry i maleńki parkiet.

- No? Co o tym myślisz? - spytała Dexia, kiedy skończyły obchód i stanęły na środku dawnego holu.

- Myślę, że to zdumiewające - odparła szczerze Cleo. Nigdy nie przypuszczała, że można zrobić coś takiego z hoteliku na uboczu, gdzie wyrosła.

- Ja również - powiedziała z uśmiechem Dexia. Wzięła Cleo za rękę i zaprowadziła do sali koktajlowej. - Usiądź na chwilę, Cleo. Musimy porozmawiać.

Cleo usiadła, zastanawiając się, o co mogło chodzić; wciąż myślała mgliście o pokojach na piętrze. Przycupnęła na brzegu ławy. Dexia nachyliła się nad stołem i nacisnęła guzik, jakby chciała wezwać kelnera.

- Czy ktoś tu jest? - spytała Cleo rozglądając się po pustej sali.

- Tak, ktoś bardzo ważny i chcę, żebyś go poznała. Podniósłszy wzrok, Cleo ujrzała potężnej budowy mężczyznę wchodzącego kuchennymi drzwiami na tyłach. Był młody, miał przypuszczalnie niewiele ponad dwadzieścia lat, ale zdołał już zapuścić sumiaste wąsy z dramatycznie zawiniętymi do góry końcami. Zamiast kelnerskiego smokinga, który spodziewała się ujrzyć Cleo, miał na sobie czarne spodnie i czarną skórzaną kurtkę założoną na zwykły biały podkoszulek.

- Dzień dobry, Dexio - powiedział niskim, donośnym głosem. - Czy poznam wreszcie twoją kuzynkę?

- Usiądź, Jacques - powiedziała Dexia z uśmiechem, a potem zwróciła się do Cleo: - Cleo, to jest nasz przyjaciel, Jacques, nasz główny kelner, czy jak tam zechce się tytułować. W godzinach pracy hotelu będzie podlegał tobie.

- Mnie? - spytała Cleo, przyciskając otwartą dłoń do piersi.. - Co masz na myśli? Ja nie wiem...

- Pozwól mi skończyć - przerwała jej niecierpliwie Dexia. -W pozostałych okresach, kiedy będziesz wykonywać rzeczywistą pracę, ty będziesz podlegała jemu, podobnie jak dziewczęta zabawiające nazistowskich oficerów. Jacques jest szefem naszego maquis. Ma pseudonim Lis. Kiedy trochę z nim popracujesz, zrozumiesz dlaczego. Prawda, Jacques?

Jacques skinął głową i usiadł obok Dexii naprzeciwko Cleo.

- Czy chcesz, żebym wyjaśniła ci resztę?

- Tak, proszę - powiedziała Cleo. - Po pierwsze, co to jest maquis?

- Jest to oddział ruchu oporu. Jacques dowodzi naszym. Cleo nie wierzyła własnym uszom. A więc o to chodziło!

Poczuła ogromną miłość do Dexii. Dla niej Cleo gotowa była zaakceptować kolaborację z reżimem nazistowskim jako sposób przetrwania. Teraz zrozumiała, co się naprawdę pod tym kryło.

Jacques wysunął krzesło i usiadł na nim okrakiem, zakładając długie ręce na oparcie.

- Potrzebujemy cię, Cleo - powiedział. - Dotąd Dexia nie mogła mówić, bo musieliśmy się upewnić, czy można ci zaufać. Teraz czujemy, że tak.

- Dziękuję - odparła Cleo.

- Pozwól, że wyjaśnię ci, jak zamierzamy pracować. Wszystko, czego dowiemy się od naszych, nazwijmy ich gośćmi, zostanie przekazane do Anglii.

- W jaki sposób potraficie się porozumiewać z Anglią? spytała zafascynowana Cleo. - Nie rozumiem.

- Tak - powiedział z uśmiechem Jacques. - Czy mogę jej pokazać? - spytała Dexii.

- Oczywiście, idźcie na górę. Ja pójdę do kuchni. Przywieźli nową dostawę Bordeaux, więc powinnam policzyć butelki.

Jacques zaprowadził Cleo na piętro, gdzie weszli do maleńkiej klatki windy. Kiedy wjeżdżali na dach, Cleo milczała. Była podniecona faktem, że obdarzono ją zaufaniem, wtajemniczając w coś tak niebezpiecznego i ważnego.

Jacques pchnął ciężką klapę prowadzącą na dach i dotknął palcem wąsów.

- Postaraj się cicho zachowywać. Jeżeli je obudzimy, podniosą straszny rwetes.

Cleo wyszła na dach i spojrzała w mrok. Widziała jedynie dziesiątki klatek majaczących na tle nocnego nieba.

- Co to jest? - spytała zdumiona.

Jacques podszedł do jednej z klatek, wysunął skobel i wyjął małego ptaka.

Nastroszył pióra i gruchał, leżąc w jego dłoni. Jacques ujął w palce nóżkę ptaka.

- Popatrz.

Ptak miał na nóżce małą tulejkę wielkości połowy Gauloise'a.

- To są gołębie pocztowe. Mamy ich tu tuzin, przemieszanych z innymi ptakami.

Musisz wiedzieć, że Dexia planuje rozslawić restaurację pieczonymi gołąbkami.

Dzięki temu nikt nie nabierze podejrzeń w stosunku do tych klatek na dachu.

Cleo skinęła głową.

Jacques podniósł do góry zdeorientowanego gołębia i powiedział:

- Taki ptak potrafi dolecieć do Dover w ciągu sześciu godzin. Nasi ludzie zdejmują wiadomość, zakładają własną i rzucają go w powietrze. W ciągu jednego dnia wymieniamy ważne informacje, które przywrócą wolność Francji.

Cleo spojrzała na miasto. Jak zwykle leżało pogrążone w całkowitej ciemności, z wyjątkiem nielicznych błysków światła spoza niedokładnie zaciągniętej zasłony zaciemniającej czy świateł niemieckiego patrolu. Ostatnim razem była na dachu z siostrą. Chowały się tu w upalne letnie noce. Wtedy miasto rozciągało się niczym diamentowa płachta. Po jednej stronie widziały rozświetloną wieżę Eiffla, a po drugiej Sekwanę, ciemną i lśniącą jak atlasowa wstęga. Teraz najjaśniejsze były gwiazdy migające spoza wysokich nocnych chmur. Miasto umarło. Jej cała rodzina zginęła. Gdyby nie niezwykły akt dobroci madame Solange, Cleo też by umarła albo całkowicie oszalałaby z udreki.

Przypomniała sobie dzień, kiedy Nanti wróciła z tradycyjnego myszkowania wśród zaułków Lewego Brzegu. Opowiadała z podnieceniem, że słyszała o Żydach zabieranych do obozów, gdzie ich zagazowywano i wrzucano nagich do wielkich pieców. Mężczyźni, kobiety, dzieci, niemowlęta szli z dymem, zanim zdążyli pojąć, co im się przydarzyło.

Cleo słuchała oniemiała. Później, kiedy Nanti wyszła załatwiać dalsze sprawunki, ukryła twarz w dłoniach i załkała. Dopiero po dwóch dniach mogła znowu mówić.

Brakowało jej słów, by wyrazić ból, a nienawiść odebrała jej mowę.

Teraz miała przynajmniej szansę spożytkowania swej bezpłodnej wściekłości. Odda cios dręczycielom, a przy okazji spłaci częściowo dług wobec Dexii.

Wciągnęła głęboko nocne powietrze. Cuchnęło brudem, strachem i ludzkim okrucieństwem. Patrząc na miasto zmieniała się z małej Bronny Chamov, uczennicy z kucykami, dla której najważniejszą sprawą było zdanie egzaminu końcowego, w

dojrzałą kobietę, mającą niewiele złudzeń co do tego, do czego byli zdolni ludzie, zarówno w sferze dobra, jak i zła.

- Jak mogę pomóc? - spytała Jacquesa po dłuższej chwili.

Uśmiechnął się po raz pierwszy, szerokim, promiennym uśmiechem, który błysnął białą w nikłym świetle.

- Na początek napiszesz nocny komunikat i przyniesiesz go tutaj. Pokażę ci, jak się obchodzić z ptakami. Inni ludzie robią to samo w całej Francji, więc będziesz podpisywać wiadomości pseudonimem. Wybrałem dla ciebie imię „Anya”.

Cleo nigdy nie widziała takich kobiet, jakie przyszły pracować u madame Solange. Jedna była bardziej egzotyczna od drugiej, ale nie w sposób, jakiego oczekiwała.

Przed inwazją niemiecką widywała już prostytutki. Razem z siostrą szeptały i chichotały na ich widok, przyglądając się krzykliwym, obcisłym strojom, odsłoniętym fragmentom ciała, ekscentrycznym fryzutom. Dziewczęta zatrudnione przez madame Solange wyglądały tak, jakby wyszły z filmów, które Cleo oglądała przed wojną.

Były absolutnie piękne.

Przechadzały się między stolikami klubu i restauracji niczym majestatyczne kwiaty. Ich śmiech dochodzący z ław brzmiał jak wiatrowe kuranty; nigdy nie przekraczał pewnego, bardzo dyskretnego poziomu. Każda potrafiła patrzeć na mężczyznę tak jakby był jedyny na ziemi; nigdy nie mówiły, gdy wyczuwały że on chciał mówić; zanim zdążył poprosić, zapalały mu cygaro napełniały kieliszek.

Cleo przyglądała się im bojaźliwie, wiedząc, że Dexia wybrała dziewczęta spośród wielu kandydatek, doceniając ich urodę smak i styl. Dexia nadała im imiona stosowne do osobowości dziewcząt.

Ivory miała skórę i ramiona niczym puch łabędzi. Jonqui była złota, o tygrysiach oczach. Długie czarne włosy Violet lśniły indygowo, a oczy Jade miały barwę szmaragdów. Meli sanda, Domineaux, Monique, delikatna blondynka imieniem Fleur - każda była niepowtarzalna i mówiła przynajmniej dwoma językami - po francusku i niemiecku. Niektóre znały także angielski i hiszpański. Nie pochodziły z paryskiego marginesu. Były między nimi takie, które rozpoczynały karierę aktorską na początku wojny, inne pracowały jako tancerki. Niektóre, zdaniem Dexii, zapowiadały się obiecująco.

Nanti znalazła wiele z nich, przeczesując bulwary i kafejki, szepcząc dziewczynom, że mogły liczyć na ciepły posiłek i przyjazne słowo, jeśli pójdą z nią do hotelu na rozmowę z madame Solange, której nazwisko pojawiała się coraz częściej w dyskretnych rozmowach w kafejkach i eleganckich klubach.

Dexia zatrudniała zaledwie jedną dziewczynę na dziesięć z tych, które przychodziły do hotelu. Chodziło jej o szczególny typ. Dziewczyny musiały być wysokie, mieć świetne figury i być chętne do szkolenia. Dexia nie interesowała się tym, co robiły w sypialniach na piętrze; w tej dziedzinie niczego ich nie zamierzała uczyć. Troszczyła się o to, co nazywała „salonową prezencją” dziewczyny. Jak wpływowy mężczyzna miał się otworzyć przed nudną pozbawioną wdzięku kobietą niezależnie od jej urody i tego, co robiła w łóżku?

L'hotel odniósł natychmiastowy sukces. Początkowe obawy Cleo w stosunku do seksualnego aspektu przedsięwzięcia wkrótce ustąpiły miejsca fascynacji informacjami zdobywanymi w klubie i perfumowanych sypialniach. Goście nonszalancko udzielali informacji o ruchach wojsk, ukrytych bazach łodzi podwodnych wzdłuż wybrzeża Normandii, leśnych składach amunicji oraz o tym, co gestapo wiedziało na temat działalności ruchu oporu. Informacje miały nie mniejszą siłę niż seks. Im więcej ktoś miał informacji, tym bardziej panował nad sytuacją. Mimo to nie należało umniejszać znaczenia seksu. Pieniądze i wpływy płynące z seksu żywiły wszystkich mieszkańców hotelu, podczas gdy na zewnątrz ludzie głodowali. Zapewniały im ciepło, kiedy cały Paryż marzł. Dostarczały prądu do ogrzewania wody, oświetlania luster do makijażu, przyrządzania wysmienitego jedzenia i prasowania sukni dziewcząt.

Jednak nic nie przekonało Cleo dobitniej, że informacja stanowiła większą siłę niż seks, od komunikatu BBC o wysadzeniu przez ruch oporu w Dordogne niemieckiego pociągu pełnego uzbrojonych żołnierzy. Zaledwie dwa dni wcześniej Cleo umieściła informację o godzinach i trasie pociągu (znalezioną w szatni w kieszeni peleryny pewnego oficera) w tulejce, założonej na nóżkę gołębia, którego rzuciła w niebo. Obudziwszy się, Cleo spojrzała na zegarek. Zbliżał się świt. Miała akurat czas, żeby się umyć, uczesać i szybko ubrać. Przed wyjściem skropiła szyję i przeguby wodą kolońską

Jacques miał czekać na dachu. Nie widziała go od wielu dni.

W ciągu kilku miesięcy wypracowali niezwykle skuteczny system. Jeśli należało wysłać wiadomość, Cleo wychodziła o północy kuchennymi drzwiami i niezauważona szła do windy. W swoim pokoju, sąsiadującym z gabinetem Dexii, rozszyfrowywała nocną wiadomość, po czym zapisywała jej treść atramentem sympatycznym, czego nauczył ją Jacques. W skład atramentu wchodził odczynnik chemiczny, który reagował tylko z moczem ich angielskiego agenta, w kilka godzin po połknięciu przez niego odpowiedniej pigułki. Jeśli coś przytrafiało się łącznikowi, zmieniali atrament. Cleo miała spisać wiadomość, wsunąć do tulejki i ukryć w rąbku sukienki, by później założyć na nóżkę ptaka.

O świcie Jacques zamykał restaurację, a zanim zrobiło się jasno, wychodził na dach i odbierał wiadomość od nadlatującego gołębia.

Początkowo, kiedy zaczęła się z nim spotykać o świcie, gniewał się na Cleo, mówiąc, że narażała się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. W końcu zdołała go przekonać, że o świcie była równie niewidoczna, jak o północy.

Nie znaczyło to, że goście l'hotel nie interesowali się młodą kuzynką madame Solange o jasnych włosach i wyprostowanej postawie, ale było w niej coś odpychającego. Aura, zachowanie świadczące o wyniosłym braku zainteresowania. - Nikt nie sięga po oset w ogrodzie pełnym chętnych róż - odpowiadała Jacquesowi, kiedy pytał ją o mężczyzn przychodzących do hotelu.

Uśmiechnął się na jej słowa i wrócił do pracy, ujmując gruchającego gołębia z niezwykle delikatnością jak na tak silnego mężczyznę.

Często, w zależności od wiatru i pogody, występowały opóźnienia, a dwoje spiskowców czekało na dachu.

Pewnego dnia, tuż przed świtem, Jacques wziął ją za rękę i z taką swobodą jakby uczył zabawy w kocią kołyskę, nauczył Cleo zabijać.

Pokazał jej, jak zabić człowieka ciosem czterech wyprostowanych palców pod serce, a także jak odciąć dopływ powietrza, umieszczając mały palec w kącie ust, wyciągając kciuk do ucha i szarpiąc w tył. W ten sposób odsłaniało się gardło ofiary i zadawało szybki, śmiertelny cios krawędzią dłoni w grdykę. Zademonstrował Cleo, jak za pomocą prostego uściśnięcia dłoni mogła przerzucić przez ramię człowieka dwukrotnie od niej cięższego.

Niekiedy Jacques opuszczał hotel bez zapowiedzi. Madame Solange tłumaczyła gościom, że pojechał na wieś w celu zdobycia poziomek, lepszych gęsiich wątróbek czy wina. Cleo wiedziała, że niezależnie od tego, co robił, narażał się na niebezpieczeństwo. Stwierdziła, że coraz bardziej za nim tęskniła i odczuwała coraz większą ulgę, gdy wracał.

Wyszła na dach, wiedząc, że czeka tam na nią i zadrżała, choć letnie powietrze nie ochłodziło się zbyt podczas nocy. Poczula silny powiew wiatru. Niezbyt sprzyjające warunki do lądowania, pomyślała, odgarniając grzywkę z czoła.

Ujrzała go, wspartego na łokciu na niskim obramowaniu dachu. Nad głową Jacquesa, mniej więcej od strony Notre Dame unosiła się w niebo spirala dymu. Nie miał na sobie smokingu, ale czarną rozpiętą pod szyją koszulę i spodnie. Na widok Cleo, odrzucił papierosa. Szła do niego cicho, nie chcąc zbudzić ptaków w klatkach.

- Dzień dobry - szepnęła, patrząc mu w oczy, zażenowana tym, że skropiła się wodą kolońską której zapach zdawał się nasilić w cieple.

Spojrzał na nią bez uśmiechu i nic nie powiedział.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała, dostrzegając zmarszczki biegnące od kącików oczu Jacquesa, poznając, że nie spał w nocy.

Odwrócił wzrok i popatrzył na miasto.

- Jest coraz gorzej - odparł śmiertelnie znużonym głosem.

- Tak?

- Nie słyszałaś? BBC i Francuska Służba w Algierii nie mówią o niczym innym.

- To prawda, od poniedziałku. Jest straszny ruch, ale zwróciłam uwagę na zmianę nastroju gości. Przychodzą wcześniej i piją coraz więcej. Piją albo dlatego, że myślą, że wygrywają, albo, że przegrywają. Ten pułkownik, którego dziewczyny nazywają Świnką, powiedział Jade, że w całym mieście sabotują elektrownie.

- Tak, maquisards sieją zamęt. Robią jednak coś, co sprawia, że niepokoję się o ciebie, Dexię i dziewczęta.

- Co takiego?

- W ciągu minionego tygodnia nasi ludzie zabili dziesiątki Francuzów popierających nazistów. Zeszłej nocy zaatakowali magazyn pod Chartres. Zabrali trzech ludzi, którzy sprzedawali benzynę kierowcom niemieckich ciężarówek.

- Ależ z pewnością nic nam nie grozi, Jacques - powiedziała zdumiona Cleo. - Muszą wiedzieć, co robimy.

Jacques wolno odwrócił głowę.

- Niekoniecznie, Cleo. Oczywiście wie o tym kilku ludzi w dowództwie, ale co będzie, jeśli coś im się stanie? Kto wystąpi w waszej obronie?

- Ty! - szepnęła gniewnie. - Ty im powiesz!
- A jeśli mnie się coś stanie?

Cleo zamilkła. Smuga dymu nad Notre Dame zniknęła, a jej miejsce zajęło pierwsze, postrzępione pasmo świtu. Spróbowała sobie wyobrazić życie bez Jacquesa, bez ich przyjaźni, bez tych spotkań w ciemności. Nigdy nie kochała nikogo z wyjątkiem rodziny, madame Solange i Nanti. Nigdy nie zanalizowała swoich uczuć do Jacquesa. Traktował ją jak młodszą siostrę, przydatną asystentkę. Nigdy, nawet wtedy, gdy uczył ją zabijać, gdy czuła na szyi jego oddech i obejmowały ją silne ramiona, nie dał Cleo do zrozumienia, że jest kimkolwiek innym niż uczennicą otrzymującą użyteczną lekcję. Ze swojej strony Cleo nigdy nie okazała mu, jak działał na nią jego dotyk. Wolałaby umrzeć niż przyznać się Jacquesowi, że ciepło jego ramion nie pozwalało jej zasnąć przez wiele nocy.

Nagle zdjęło ją przerażenie na myśl, że mogła go stracić. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarz do piersi Jacquesa. Natychmiast, kiedy poczuła na policzku dotyk gładkiego materiału koszuli, zdjął ją paniczny strach. Próbowwała się odsunąć, a wtedy ją objął.

Cofnął głowę, uniósł podbródek Cleo i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Już dawno powinniśmy byli to zrobić - powiedział, a jego głos zabrzmiał inaczej, był napięty i podniecony.

- Co zrobić? - spytała, patrząc, jak jego usta coraz bardziej się zbliżają.

Pozwoliła sobie zatopić się w pocałunku, w jego ramionach i ciele, poddając się nieznanemu uczuciu, chcąc, żeby trwało wiecznie.

- Chodź - powiedział, wypuszczając ją z objęć. - Chodźmy na dół.

- Dokąd?

- Do twojego pokoju.

Właśnie taką odpowiedź pragnęła usłyszeć.

Kiedy się kochali, było tak, jakby nikt wcześniej jej nie dotykał. Upiorne wspomnienia z celi rozwiały się w nicość. Dotyk Jacquesa był lekki jak powietrze, a delikatne pocałunki, którymi okrył każdy centymetr jej ciała, sprawiły, że najpierw poczuła łaskotanie, a potem poszybowała. Kiedy ich napiętość się wyczerpała, Cleo się rozpląkała. Radość bycia kochaną, upojenie wyzwoleniem wykraczało poza wszelkie znane dotąd uczucia. Leżała w jego ramionach w ciemnym pokoju i w godzinach porannych powiedziała mu, jako pierwszemu człowiekowi o tym, co jej zrobiono w więzieniu. Opowiadała mu o nocach przerażenia, a Jacques głaskał Cleo po włosach. W końcu rozpląkała się tak jak nigdy dotąd. Jacques nie wypuszczał jej z objęć.

Wreszcie zamilkła, czując zmęczenie i ulgę, wsparła się na łokciu i spojrzała na Jacquesa.

- Czy to właśnie robią w tutejszych pokojach? - spytała.

- To? Przytulanie się? - spytał z uśmiechem.

- Nie, to, co robiliśmy przedtem.

- Oczywiście, że nie - odparł ze śmiechem. - Oni nie kochają się w tych pokojach, moja kochana Cleo.

- Nie rozumiem.

- Owszem, rozumiesz. Seks uprawiany w pokojach na dole jest kupowaniem i sprzedawaniem ulgi. Seks, którego doświadczyłaś w więzieniu, stanowił formę zabijania. Tamci ludzie chcieli zabić twoją duszę. - Podniósł ją delikatnie położył na poduszce i nachylił się nad nią. - Ja daję ci tutaj swoją - powiedział w jej otwarte usta.

Nikt nie mówił jej nigdy takich rzeczy. W okresie powracania do zdrowia czytała poezję, zachwycając się jej muzyką zdolnością tłumaczenia rzeczy w piękny sposób, który sprawiał, że jej serce wzbijało się wysoko. Słowa Jacquesa tak właśnie na nią działały.

Znowu poszybowali razem. Czują, jakby unosili się jak jedno ciało na długiej, spokojnej rzece. Jedynymi realnymi rzeczami było brzmienie jego słów, słodki ciężar ciała i jej obezwładniające pragnienie Jacquesa.

Wiosną 1944 r. w Paryżu zapanował głód.

Dostawy jedzenia, lekarstw, wszystkich możliwych do spożycia produktów podtrzymujących życie, były na wyczerpaniu.

Brakowało mleka w proszku, ziemniaków, nie starczało chleba. Jajka i olej stanowiły taką rzadkość, że ludzie nie mieli sił, by stać w nie kończących się kolejkach. Jediną dostępną jarzyną była rzepa pastewna. Kawę, jeśli można tak nazwać ów napój, parzono z żołądźi zbieranych na ulicach i w parkach. Tylko najbardziej zdesperowani pili ten ohydnie gorzki wywar. Elektryczność ograniczono do cennych trzydziestu minut dziennie. Jedynymi środkami lokomocji pozostały nogi i rowery.

Oficerom niemieckim i elicie kolaborantów żyło się w Paryżu znacznie lepiej. U Maxima i w Szecherezadzie rezerwowano wszystkie stoliki. Edith Piaf śpiewała dla wypełnionej po brzegi sali w Moulin Rouge, podobnie jak jej młody protegowany, Yves Montand.

Podczas weekendów niedożywione konie nadal ściagały się w Longchamps i Auteuil, gdzie zakładano się o papierosy.

Hotel madame Solange funkcjonował na zasadach prywatnego klubu. Szarża i wpływy były potrzebne nawet do uzyskania kieliszka wina przy barze, więc każdego dnia gromadził się tam trzyczęściowy tłum niemieckich oficerów. Klatki na dachu nadal dostarczały soczystego mięsa gołębi. W biurze uruchomiono mimeograf.

Zakończywszy wieczorne drukowanie kart dań na dzień następny, Cleo odbijała na maszynie gazetkę podziemną redagowaną przez członków ich maquis.

Część dziewcząt z początkowego składu odeszła z hotelu. Dexia zwolniła Ivory za używanie narkotyków. Morfiny dostarczał jej nazistowski lekarz, podczas gdy połamane kości więźniów gestapo zrastały się bez środków znieczulających.

Domineaux wyszła za mąż za nazistowskiego oficera i zamieszkała w Berlinie, skąd napisała że tańczyła z fuhrerem na przyjęciach i balach. Jonquil odeszła do pracy w chórze w Gaumont Palace, popularnym klubie muzycznym. Star, w której naziści rozpoznali Żydówkę, popełniła samobójstwo, kiedy przyszli ją aresztować, nie wiedząc, że Dexia stawiała im czoło i odesłała.

W czerwcu, po lądowaniu sił alianckich w Normandii, w hotelu zapanował niespotykany nastrój. Na piętrze, w apartamencie Dexii rozlegały się przytłumione

odgłosy świętowania. Jacques sporządził słuchawki i Dexia mogła słuchać radia na falach krótkich, pomimo niemieckich prób zagłuszania. Kiedy podano wiadomość o lądowaniu, Dexia, Nanti i Cleo uściskały się i rozplakały z radości.

- Trzeba wznieść toast - zawołała z podnieceniem Dexia. - Nanti, czy mamy tu szampana generała Volgrena?

- Całą skrzynkę! - pisnęła z zachwytem Nanti i klaszcząc pobiegła do lodówki. Hotel miał obecnie własny prąd, wytwarzany przez umieszczoną na dachu prądnicę, którą Jacques „zdjął” z ciężarówki pozostawionej bez straży niedaleko hotelu.

Nanti nalala im po kieliszku najlepszego szampana we Francji.

- Vive la France, vive la Americains - szepnęła Dexia, unosząc kieliszek.

Cleo napiła się i zapatrzyła w przestrzeń, myśląc o niedawnej rozmowie z Jacquesem.

- Co się stało, Cleo? - spytała Dexia ze swego ulubionego miejsca na sofie pełnej brokatowych poduszek z frędzlami. - Nie cieszysz się?

Cleo znieruchomiała, a potem odstawiła kieliszek.

- Co się stanie, kiedy przyjdą Amerykanie?

- Nic! Zastąpimy dużych jasnowłosych nazistów dużymi jasnowłosymi kowbojami - odparła nonszalancko, polerując kieliszek.

Cleo zauważyła, że Dexia piła więcej, odkąd przestała grywać w teatrze. Twierdziła, że hotel wymaga jej stałej obecności. Cleo sądziła, że teatr wydawał jej się nudny w porównaniu z nocnymi intrygami knutymi w słynnym lokalu.

Bała się o Dexię bardziej niż o siebie. Ona już przeżyła nazistowskie więzienie i pamiętała o objawieniu w celi. Nie może jej się przydarzyć już nic gorszego. Dexia nie przeszła jeszcze takiej próby. Była taka piękna i nieświadoma cierpienia. Jak Cleo mogła ochronić ją przed złem?

- Co będzie, jeśli przyjdą po nas ludzie, którzy nas nie znają? - spytała.

- Dlaczego mieliby po nas przychodzić?

- Dlatego, że jesteśmy kolaborantami - powiedziała Cleo.

- Zaufaj mi - odparła Dexia, wyciągając do Nanti pusty kieliszek.

Cleo uśmiechnęła się i porzuciła ten temat. Zawsze ufała Dexii.

Cleo obudziła się gwałtownie. Zasłony w oknach jej pokoju falowały cicho na wietrze, który zerwał się chyba tuż przed świtem. Zdjęła z nagiej piersi rękę Jacquesa, uważając, żeby go nie zbudzić. Stanąwszy obok łóżka, spojrzała na śpiącego kochanka. Skończyli się kochać dobrze po drugiej. Ich miłości zawsze towarzyszyła żarliwość, która była jednocześnie ekscytująca i smutna, jakby robili to po raz ostatni. Schyliła się, żeby pocałować go w usta, a wtedy usłyszała ten odgłos i zamarła. Przerażona, podbiegła do okna, żeby posłuchać.

Ptaki! Słyszała je na dachu, dwa piętra wyżej. Ciskały się o klatki, gruchając tak, jak nigdy dotąd nie słyszała. Spojrzała na zegar i pobiegła po ubranie, klnąc cicho.

Jacques uprzedził ją kiedyś, że jeśli jeden z gołębi pocztowych z Anglii przyleci nieoczekiwanie, ptaki w klatkach podniosą rwetes.

Mój Boże, pomyślała, zapinając bawełnianą spódnicę drżącymi rękami. Obudzą cały dom.

Wepchnęła stopy w buty i chwyciła sweter z oparcia krzesła przy drzwiach. Wybiegła na korytarz i ujrzała, jak otwierają się drzwi innego pokoju. Zamarła. Major von Kessel wyszedł na korytarz i zaskoczony spojrzął na Cleo, która zacisnęła usta, by zdusić panikę.

- Dzień dobry, sir - powiedziała najuprzejmiej, jak umiała. Powoli przesunęła wzrokiem po skórzanych pantoflach, długim jedwabnym szlafroku, wreszcie po jego twarzy. Nanti wspominała, że major zostawał czasami na noc w apartamencie Dexii na ostatnim piętrze, ale Cleo zobaczyła go teraz po raz pierwszy.

Przyglądał jej się w milczeniu, a jego twarz przypominała pięść. Krzaczaste brwi opierały się na okularach bez oprawek.

- Co się tutaj dzieje? - spytał cichym, groźnym głosem.

- Tutaj? - powtórzyła, grając na zwłokę.

- Te ptaki mnie obudziły.

- Przepraszam. Zazwyczaj karmię jej przed świtem. Zaspałam.

Nie wyglądało na to, by major zamierzał zejść na dół. Stał na klatce schodowej, z dłonią na klamce.

- Do kogo należą te ptaki? Co one tu robią?

- Trzymamy je na użytek kuchni - odparła stanowczo Cleo.

- Kłamiesz - stwierdził major, nie spuszczając z niej oczu.

- Dlaczego miałabym kłamać, sir? Wiele razy jadł pan tu pieczone gołąbki, sama widziałam. - Natychmiast pożałowała tych słów. Za bardzo się spoufalila. Major miał ją tylko za hotelową służącą, choćby nawet była kuzynką Dexii. - Przykro mi, że pana obudziły. Proszę nie mówić madame, że zaspałam.

- Rozumiem, czyli to madame Dexia odpowiada za te gołębie. Bardzo ciekawe.

Cleo zrobiła krok w stronę drzwi na dach.

- Czy mogę przejść? - poprosiła miłym głosem. - Naprawdę muszę do nich pójść.

Uspokoją się, kiedy dam im pokarm i wodę.

Z ogromną ulgą zobaczyła, że major odsunął się i pozwolił pchnąć skrzypiące drzwi - lecz za chwilę z przerażeniem spostrzegła, że wychodzi za nią na dach.

Ptaki, jakby odbierając tajemny sygnał, wyczuły obecność Cleo i przestały się miotać. Zaczęły spacerować po klatkach, przekrzywiając na nią główki i cicho gruchając. Cleo omiotła spojrzeniem dach. Na klatce stojącej pod niskim obramowaniem siedział nowo przybyły gołąb, z tulejką wyraźnie widoczną na nóżce. Zaszło jakieś nieporozumienie; nie oczekiwali żadnych wiadomości o tak wczesnej porze.

Podeszła sprytnie do opartego o ścianę dużego worka z ziarnem, ustawiając się między majorem a klatkami.

- Kiedy są głodne, robią straszny rwetes. - Chciała, by zabrzmiało to przekonująco. Sięgnęła do worka po cynowy kubek, którym nasypywała ziarna do karmników w klatkach. Major stał tak blisko, że Cleo czuła zapach perfum Dexii na jego mundurze.

Napełniła kubek i podeszła do klatki pod przeciwległą ścianą, możliwie najdalej od nowego gołębia. Otworzyła klatkę i zwróciła się do majora, w nadziei, że odwróci jego uwagę:

- Są bardzo delikatne. Czy chciałby pan jednego potrzymać? - Szybko sięgnęła do środka, chwyciła najbliższego ptaka i podała majorowi.
Nawet nie dotknął ptaka, a tylko odwrócił się powoli:
- Chciałbym zobaczyć tamtego - oświadczył, wskazując na gołębia przechadzającego się po klatce, kiwającego niewinnie główką.
Cleo zerknęła na gołębia, jakby nie miała pojęcia, o czym mówił.
- Którego? - spytała. Serce biło jej tak głośno, że zastanawiała się, czy major to słyszy.
Chwycił ją za rękę.
- Pokażę ci - powiedział, prowadząc ją do ściany. Tulejka na nóżce ptaka była tak boleśnie widoczna, że Cleo musiała coś przedsięwziąć.
Odgłos kubka, który upuściła, zaskoczył ich wszystkich: majora, Cleo i spacerującego ptaka.
- Mon Dieu! - krzyknęła, udając, że patrzy na rozsypane ziarno, ale dostrzegła gołębia, który rozpostarł skrzydła i poszybował w niebo.
Major ścisnął ją mocniej za rękę.
- Ty idiotko! Zrobiłaś to celowo, prawda? Spojrzała na niego i mrugnęła.
- Oczywiście, że nie - krzyknęła, a potem spojrzała pod nogi. - Proszę spojrzeć na ten bałagan. Teraz muszę zejść na dół po miotłę.
- Nigdzie nie pójdziesz, młoda damo - warknął. - Wiem, co tu knujecie. Tamten ptak... - Wskazał na niebo. - ...był gołębiem pocztowym. Bierzesz mnie za głupca?
- Jaki ptak? - spytała Cleo udając skrzyżowanie niewiniątka z imbecylem.
Z jakiejś dziwnej przyczyny spodziewała się uderzenia i odczuła wdzięczność, że wielka dłoń majora była otwarta, a nie zamknięta. Przyłożyła dłoń do piekącego policzka i spojrzała na Niemca ze łzami w oczach.
- Ty mała idiotko! - wrzasnął. - Odbieracie tu wiadomości. Od kogo, ty dziwko? To sztuczka maquis. Te ptaki wzlatają z całego miasta i lecą do Anglii, lecą na południe, aż do Hiszpanii! Ty! Ty mała dziwko! Jesteś zdrajczynią.
Cleo przełknęła z trudem, czekając, aż jego wściekłość osłabnie.
- Sir - powiedziała, kiedy przerwał, żeby nabrać tchu. - Pana francuski jest bardzo dobry, ale zdrajca to ktoś, kto zdradza swój kraj. Ja nie zdradziłam swojego kraju. Karmię tylko te ptaki dla kucharza.
Nie słuchał jej wyjaśnień. Chodził tam i z powrotem, chrzęszcząc pantoflami po ziarnach rozsypanych na papie dachu.
- Czy to jest sprawka madame Dexii? - spytał, przypatrując się gniewnie Cleo.
- Madame ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż dogłądanie prac kuchennych, sir - odparła gładko Cleo.
- Boże! - Splunął z niesmakiem. - Ty jesteś tylko małą służką... zwykłą pracownicą burdelu. Nie robisz tego sama. - Podeszedł do Cleo i znowu uderzył. - Mów! Z kim pracujesz?
Cleo ukryła twarz w dłoniach, by dać sobie kilka cennych sekund do namysłu.
Wolała umrzeć niż wydać Dexię, która w nie mniejszym stopniu niż matka dała jej życie.

A Jacques? Nigdy. Pomyślała o kochanku, śpiącym spokojnie w jej łóżku, dwa piętra niżej, z długimi czarnymi rzęsami przyciśniętymi do twarzy, którą uwielbiała.

- Mów, albo każę cię zastrzelić na ulicy, żeby dać nauczkę innym - powiedział major. Powoli opuściła dłonie i wytarła nos rękawem swetra.

- Czy pozwoli mi pan odejść, kiedy powiem panu jedyną rzecz, którą wiem?

Major stanął między Cleo a drzwiami.

- Nie możesz stawiać żadnych warunków.

- Nic nie wiem o gołębiach pocztowych. Tak jak pan mówi, jestem tylko pokojówką w burdelu. Nie powierzono by mi nic bardziej odpowiedzialnego niż pranie przesiąkniętych sperma prześcieradeł. Nic nie wiem o polityce czy tajnych wiadomościach. Ale nie jestem głucha. Słyszę różne rzeczy.

Po tym, że mały mięsień na prawej skroni majora, przestał drgać, poznała, że przykuła jego uwagę. Wyraz twarzy Niemca uległ tej nieuchwytniej zmianie, jaka zachodzi, kiedy mózg zaczyna słuchać.

- Czy zna pan dziewczynę imieniem Fleur? - spytała, grając na zwłokę. Nic nie wiedziała o Fleur, ale przypuszczała, że wzmianka o kimś, kogo znał, odwróci jego uwagę.

Podszedł do ławeczki pod ścianą, gdzie Jacques trzymał narzędzia do naprawy klatek. To się stało tak szybko, jakby obserwowała siebie z zewnątrz. Major schylał się, by usiąść na ławce. Uwagę Cleo przykuły jego wygięte plecy. Trzema zwinnymi krokami podeszła do ławki, podniosła śrubokręt i z całej siły zatopiła go w klatce piersiowej majora tuż pod sercem. Śrubokręt zagłębił się w ciele ze zdumiewającą łatwością. Major odrzucił głowę w tył, a jego oczy wyrażały wciąż to samo zainteresowanie, jakie okazał, kiedy wspomniała o Fleur. Osunął się na bok pod ścianę. Nie żył. Nawet nie zamknął oczu.

Obudziła Jacquesa i opowiedziała mu o wszystkim.

Major pasował dość dobrze do stojącej na dachu drewnianej skrzyni z pokarmem, z wyjątkiem stóp. Jacques kazał Cleo zejść na dół, obiecując, że zajmie się tym problemem.

Zniknęła w drzwiach, a Jacques ujął ciężkie nożyce. Kiedy do niej dołączył, były poplamione krwią.

Marie Toulet ostrożnie schodziła po schodach mieszczących się z tyłu domu w podmiejskiej dzielnicy Neuilly. Aby ulżyć kruchemu, siedemdziesięcioletniemu ciału kosz z mokrą bielizną oparła na poręczy. Była zbyt stara, żeby pracować ręcznie. W dawnych czasach - zanim przyszli Niemcy, zanim świat się zawalił - miała pralkę, a także sprzątaczkę. Wtedy nie brakowało jej jedzenia ani opału do ogrzania domu, który zostawił jej mąż. Teraz wszyscy odeszli. Mąż zmarł, synowie zginęli - jeden w pierwszych, potwornych dniach wojny, kiedy Niemcy rozbili wyczerpaną armię francuską, drugi podczas eksplozji okrętu u wybrzeży Normandii. Samotna i zmęczona, żyła teraz w jednym pokoju dużego domu.

Szła ścieżką przez coś, co niegdyś było jej ogrodem, pachnącym ziołami, które urozmaicały ich posiłki i spokojne życie. Teraz nie było komu go uprawiać, toteż, podobnie jak ziemia wokół domu, zarósł chwastami i wysechł na brąz.

Na końcu trawnika, między dwiema wierzbnami płaczącymi przewiesiła sznur do suszenia bielizny. Westchnęła głośno, postawiła wiklinowy koszyk na ziemi, a potem wyprostowała się, by zdjąć ze sznura klamerki. Krzyknęła.

Ręce związane wokół drzewa za przeguby, które miały równomierny, jasnoczerwony kolor, jak pomalowane. Drżąc obeszła drzewo. Mężczyzna po lewej był nagi, a głowa zwieszała się nienaturalnie na bok. Zdarto mu skórę z całego ciała.

Oczy zaszyły jej mgłą poczuła, jak wszystko, co jadła tego dnia, podchodzi jej kwaśno do gardła. Nie знаła mężczyzny po lewej. Mężczyzną po prawej był jej ukochany sąsiad, doktor Edmund Gautier, który okazał tyle dobroci podczas choroby męża Marie. Poznała go tylko po czarno-siwej hiszpańskiej bródce, przylegającej do tego, co dawniej było twarzą. Dokładnie między oczami widniał otwór po kuli.

Czy „obłupiony” to znaczy obdarty ze skóry, jak obdziera się zwierzę? - spytała Cleo, dowiedziawszy się, co się stało z Gołębkiem oraz mężczyzną którego kochała. Nanti zmarszczyła brwi. Głos dziewczyny brzmiał niesamowicie w swojej chorobliwej, pogodnej ciekawości. Nanti siedziała przy dobrze oświetlonym stole, na najwyższym piętrze hotelu, usiłując zaszyć jedną z najpiękniejszych sukni madame Solange.

W dniach, które nastąpiły po dotarciu wiadomości o podwójnym morderstwie w Neuilly, Cleo w kółko zadawała te same pytania. Nanti zaczynała wpadać w rozpacz. Gdyby już przyszli Amerykanie. To była tylko kwestia czasu. Jakoś by im pomogli. Przecież żołnierze musieli mieć lekarza, a ten jakieś lekarstwa. Nanti była przekonana, że Cleo postradała zmysły.

- Czy najpierw go zabili, czy zdjęli z niego skórę? - spytała, uśmiechając się do Nanti ze swego miejsca pod oknem. Nie robiła nic poza zadawaniem pytań i wyglądaniami przez okno. Na dachu nie było już gołębi, którymi się zajmowała. W przeddzień znalezienia ciała Jacquesa i lekarza, przyszła czterech żołnierzy gestapo, którzy pozabijali gołębie. Nie pomogły protesty, że niszczyli ulubioną potrawę naczelnego dowództwa.

Później znaleźli majora, z brutalnie uciętymi stopami, wepchniętego do starej skrzyni na dachu.

Kiedy przyszli po Jacquesa, leżał z Cleo w łóżku. Jeszcze dziś, po tylu dniach, Nanti słyszała jej krzyki.

Usłyszała je znowu. Odłożyła wyszywaną cekinami suknię i nastawiła uszu. To nie były krzyki ale śpiewy! Z ulicy dochodziły śpiewy i wiwaty.

Nanti podbiegła do okna i wyjrzała. Na wąskiej ulicy przed hotelem tłoczyli się rozradowani, wiwatujący ludzie. W oddali ujrzała jak ktoś powiewał sporządzoną naprędce flagą amerykańską.

Podbiegła do Cleo i objęła kościste ramiona dziewczyny.

- Przyszli! Mon petit chou, Amerykanie! Nadeszli!

Cleo, niema i zagubiona w żalu, tylko delikatnie pogłaskała nagą rękę Nanti.

Przez kolejne dwie noce na ulicach wokół hotelu tłoczyli się ludzie. Dziewczęta nie chciały pracować; przyłączyły się do gigantycznego przyjęcia, które objęło cały Paryż.

Dexia zapadła właśnie w płytki, niespokojny sen, kiedy rozległo się łomotanie do drzwi w holu. Narzuciła szlafrok na nagie ciało i zeszła po wyścielonych dywanem schodach ku gniewnym głosom.

Kiedy zeszła na niższe piętro, na schody wbiegła Eleni, dziewczyna pracująca w szatni restauracji. Cała dygotała, a na widok Dexii wybuchnęła płaczem.

- Oni chcą pani, madame - szepnęła przerażona. - Zabrali już Eglantine i Babette.
- Zabrali? Kto? Przecież nie Amerykanie!

Eleni podniosła na nią oczy, duże i czarne jak greckie oliwki.

- Ludzie z maquis

- Maquis? Niemożliwe! Przecież wiedzą że ja... - Dexia urwała, gdyż przerażona dziewczyna odwróciła się na pięcie i zbiegła ze schodów.

Dexia zeszła do holu, gdzie z pół tuzina mężczyzn w ciemnych strojach, w czapkach naciągniętych na oczy ruszyło do niej wrzeszcząc niemal chórem:

- Zdrajczyń! Kolaborantka!

Nie należeli do maquis; poznałyby przynajmniej jednego. To były zwykłe uliczne rzezimieszki, oszalałe i spragnione zemsty.

Wyciągnęli Dexię na ulicę. Zdarli z niej cienki szlafrok i pociągnęli tak, że ledwo dotykała stopami ziemi. Na środku małego parku naprzeciwko hotelu ustawiono krzesło z prostym oparciem. Przyciągnęli ją bliżej, a Dexia spostrzegła wokół nóg krzesła okrągłą stertę czegoś miękkiego. Obcinali włosy dziewczynom z hotelu.

Obnażano je i strzyżono, karząc za zadawanie się ze znienawidzonymi Niemcami. Teraz przyszła kolej Dexii. Dobry Boże! - pomyślała, kiedy ktoś wiązał jej dłonie z tyłu krzesła. Dlaczego nie kazała Eleni, żeby się schowała? I Cleo, zaraz wywłoka biedną, oszalała Cleo, która spała w pokoju.

Oprawcy podeszli do krzesła, lecz Dexia zdołała się wyrwać i odepchnąć łokciami trzymających ją mężczyzn. Wstała, odrzucając w tył głowę i ramiona.

- Róbcie, co chcecie - krzyknęła swoim najbardziej dramatycznym głosem, w nadziei, że ktoś w tłumie ją rozpozna. - Wolę stać.

W tłumie rozległy się pomruki. Na tyłach zaczęto wołać, żeby ją puścić, ale gniew odebrał tłumowi rozsądek. Jeden z potężniej zbudowanych mężczyzn podszedł do Dexii.

- Puście ją! - Rozległ się przeraźliwy krzyk. - Zabiła nazistowskiego majora, widziałam na własne oczy! Na dachu! Tym!

Zdumiony tłum odwrócił się jak jeden mąż i patrzył na drobną postać przepychającą się do Dexii. Cleo trzymała w górze nożyce ogrodnicze. Człowiek, który podszedł, potwierdził, że były poplamione zaschniętą krwią. Wszyscy dobrze wiedzieli, że w skrzyni na dachu hotelu znaleziono martwe, okaleczone ciało majora von Kessela. Tłum zafalował, najwyraźniej zastanawiając się, co zrobić, kiedy młody żołnierz amerykański zaczął sobie torować drogę między ludźmi. Miał pistolet przypięty do pasa, a na ramieniu czarną opaskę z literami MP. Energicznym krokiem podszedł do Dexii i okrył jej ramiona resztkami szlafroka.

- Nic pani nie jest? - spytał cicho.

- W porządku - odparła Dexia po angielsku. - Dziękuję, sir.

- Dobra, wy wszyscy! - krzyknął do tłumu. - Rozejść się! Rozejść się! Koniec przedstawienia. - Otoczył Dexię ramieniem i poprowadził z powrotem do hotelu.
- Jestem porucznik Ayler, Policja Wojskowa Armii Stanów Zjednoczonych.
- Dexia Solange. Proszę wejść, poruczniku, jest pan naszym gościem. Wszystko, co mamy, jest do pana dyspozycji.

W trzy tygodnie później do hoteliku przy St.-Denis przyszło kilku dalszych policjantów wojskowych, tym razem po to, by aresztować młodego porucznika za nieusprawiedliwoną nieobecność. Kiedy wszedł do hotelu, nie chciał już wyjść. W wieku dziewiętnastu lat nie wyobrażał sobie lepszego miejsca na ziemi niż przybytek madame Solange, pełen doskonałego jedzenia, rozrywki i kobiet.

Dexia dowiedziała się później, że został zdegradowany i zwolniony z wojska, ale później, kiedy zdobył bogactwo i wpływy, wytarł tę niechlubną kartę. Został dozgonnym przyjacielem madame Cleo i zawsze pamiętał o madame Solange w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Rozdział czternasty

Fiddle odebrała swoją torbę z recepcji hotelu Georges V. Po przyjeździe tak bardzo spieszyła się na spotkanie z Peterem, że nawet się nie zameldowała.

Po wejściu do pokoju zignorowała migające światelko telefonu, znalazła coca-colę i położyła się, zbyt wyczerpana, żeby zasnąć, usiłując zebrać rozproszone myśli. Wciąż na nowo odgrywała pełną napięć rozmowę z Peterem.

Spojrzała na stojący obok łóżka zegar. Peter spotkał się już z Sandrine i dowiedział się, ile trudu zadała sobie Fiddle, by uratować sprawę książki.

Spiknięcie go z Sandrine było pewnie chwytem poniżej pasa, ale cel uświęca środki. Gdyby Peter zrezygnował z pisania, już nigdy nie dałoby to spokoju ani jemu, ani Fiddle. Tego rodzaju ostre postawienie sprawy nie sprawiłoby jej w takie zdenerwowanie, gdyby nie była w nim zakochana.

Wiedziała, że myślenie, że Peter wciąż czuł coś do Sandrine, było irracjonalne, ale ta kobieta miała w sobie tyle zręczności, gładkości i wiedzy o mężczyznach. Fiddle zrozumiała już dawno, że istniały na tym świecie kobiety, z którymi nie warto było rywalizować. Były istotami z innej planety, dysponującymi tak zniewalającą mocą uwodzicielską, że zwykle śmiertelniczki nie mogły się z nimi równać. Kobiety w rodzaju Sandrine mogły mieć każdego mężczyznę, którego zechciały. Oczywiście Fiddle nie myślała o tym wszystkim, gdy dzwoniła do niej w Nowym Jorku, ale teraz, gdy znowu zobaczyła Petera i praktycznie pchnęła mu Sandrine w ramiona, oszalała z zazdrości. Wiedziała, że przez pozostałą część nocy będzie zadrećcać się wyobrażaniem sobie nieprzyzwoitych scen, w których Peter i Sandrine toną w objęciach. Dopiero rano miała się dowiedzieć, czy jej plan się powiódł.

Sandrine zdumiała ją gotowością współpracowania w spisku, w samolocie do Paryża oświadczyła, że z powodów, których na razie nie będzie ujawniać, chce, by Peter napisał tę książkę. Powiedziała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by pomóc, że ma za granicą „sprawę” do załatwienia i z radością rzuci wszystko, by towarzyszyć Fiddle w podróży do Paryża.

Spotkały się w saloniku dla VIP-ów, a cały bagaż Sandrine stanowiła torebka, płaszcz deszczowy oraz numer „Vogue”. Na pytanie Fiddle o bagaż wzruszyła ramionami i odparła, że wszystkie potrzebne rzeczy miała w paryskim mieszkaniu Jourdana. Fiddle mogła zaproponować nagłą podróż do Rzymu, Londynu, Zurychu czy na południe Francji, a Sandrine wzięłaby tylko przybory do makijażu. W połowie posiłku w samolocie Sandrine napomknęła niedbale, że pomimo łatwego dostępu do jego domów znajdowała się w trakcie sprawy rozwodowej z Jourdanem Garnem. Zaskoczona Fiddle żałowała, że nie знаła tej plotki przed opuszczeniem Nowego Jorku. Mogłaby ją sprzedać jakiemuś dziennikarzowi z zyskiem dla swego czasopisma.

Fiddle słuchała Sandrine przez kilka godzin. Przed tym lotem cała jej wiedza o Sandrine Garn sprowadzała się do zamieszczanych w kronikach towarzyskich informacji o jej olśniewającej matce oraz o tym, co czasopisma biznesowe pisały o nieprzyzwoicie bogatym mężu Sandrine. Początkowo Fiddle uważała Sandrine za latawicę, jednak podczas lotu odkryła w towarzyszce podróży głębię, która zadawała kłam pierwszemu wrażeniu. Z rozmowy wynikało jasno, że matka wyrządziła jej wielką krzywdę i nawet uroda nie była w stanie zrekompensować bólu Sandrine. Przypomniałszy sobie o tym, jak piękna była Sandrine, Fiddle znowu zawyła i zaczęła okładać poduszkę pięściami. Aż do bólu pragnęła zadzwonić do Petera, żeby dowiedzieć się, co się działo. Czy wciąż byli razem? Czy, zgodnie z obietnicą, zaprowadziła go do madame Solange, czy została na noc w mieszkaniu Petera, a sprawa książki utonęła w morzu wskrzeszonej namiętności?

Zbyt surowo potraktowała Petera. Pozwoliła mu myśleć, że przyleciała do Paryża wyłącznie w interesach. Nie mógł wiedzieć, jak marzyła o zobaczeniu go. Tęskniła za tym, by spojrzeć na nią innymi oczami.

Wszystko się zmieniło, gdy znaleźli się w uroczej restauracji. Ich oczy spotkały się na chwilę ponad kieliszkami wina i w tej sekundzie pojęła, jak zawstydzająco dziecinne były jej marzenia o Peterze, Paryżu i odnowieniu ich znajomości.

Zrozumiała to zaraz po tym, jak wspomniała o kopaniu w tyłek. Czy nie rozumiała już, że żaden mężczyzna nie mógł zareagować przychylnie na podobne oświadczenie?

W tym momencie nie patrzyła na obiekt miłości, ale na pisarza, którego rozpieszczała, o którego się troszczyła i wypromowała na gwiazdora. Na człowieka, któremu podała na tacy ważny temat, tylko po to, by dał się zastraszyć i zbić z tropu. Zaufanie do samego siebie, które z takim trudem udało jej się odbudować w Peterze, jakimś cudem wyparowało, kiedy podpisał kontrakt na milion dolarów. Czy nie miało to wyglądać na odwrót? Czy poczucie bezpieczeństwa finansowego nie dawało człowiekowi sił i pewności?

Madame Solange stanowiła jej ostatnią szansę. Fiddle wiedziała, że postąpiła słusznie, nie mówiąc o niej przy kolacji. Gdyby to zrobiła, wywiązałyby się długa dyskusja o tym, dlaczego nie był to dobry pomysł. Wiedziała już, że człowiek, który potrafił sobie kiedyś wmówić, że jest przegrany, przy nadarzającej się okazji zrobiłby to ponownie.

- Cholera! - zakląła gniewnie. Sen okazał się niemożliwy. Spuściła nogi z łóżka i sięgnęła po telefon.

Fiddle wielokrotnie dzwoniła do Vickie. W redakcji panowało panoptikum. Okładka październikowego numeru miała przedstawiać cztery piękne żony bogatego kuwejckiego potentata naftowego. Sfotografowano je w Kuwait City, gdzie opierały się o różowe, opatrzone monogramami helikoptery przed liczącym trzysta pokoiów domem z alabastru i brązu. Gdyby Peter był wolny, Fiddle zleciłaby mu ten temat - hymn do przesadnego bogactwa i chciwości, który sprawiał, że tęskniło się za latami osiemdziesiątymi.

Fiddle dowiedziała się od Vickie, że podczas gdy ona zajmowała się swoim małym transatlantyckim dramatem, Irak zaatakował Kuwejt. Różowe helikoptery wysadzono w powietrze, a Gwardia Republikańska założyła w trzystupokojowej posiadłości kompletne centrum dowodzenia, włącznie z kozami i krowami.

- Czy to oznacza, że żołnierze nie mogą liczyć na towarzystwo tych żon? - spytała półzartem Fiddle, wiedząc, że musiała zmienić okładkę. - Połącz mnie z redaktorem graficznym.

Czuła się zbyt wyczerpana, by wymyślić nowy projekt okładki. Zleciła to działowi graficznemu i jednemu z redaktorów.

Z nastaniem świtu jej postanowienie, by pozostawić Petera jego własnemu losowi, zaczęło słabnąć. Nie mogąc się opanować, wystukała jego numer. Po trzech dzwonekach usłyszała tę samą, nudną wiadomość, którą nagrał zaraz po przyjeździe do Paryża. Po sygnale kilkakrotnie wykrzyknęła jego imię. Gdyby spał, z pewnością by go to zbudziło.

Zamówiwszy do pokoju kawę i sok, zadzwoniła znowu. Bez rezultatu. Zdumiona, wystukała numer, który podała jej Sandrine.

Usłyszała męski głos, który odpowiedział po francusku, a kiedy Fiddle zapytała o Sandrine, przeszedł na angielski.

- Madame Gam zostawiła wiadomość, żeby jej nie przeszkadzać - oświadczył wyniośle.

Wtedy zmęczenie Fiddle wzięło nad nią górę.

- Proszę powiedzieć, że pani Nuli dzwoni w pilnej sprawie. Po długiej chwili ciszy w słuchawce rozległ się zaspany głos

Sandrine.

- Przepraszam, Sandrine, ale się niepokoję - powiedziała Fiddle, dając głową znak kelnerowi, żeby postawił tacę ze śniadaniem na toaletce. Przycisnęła słuchawkę policzkiem do ramienia, by podpisać się na rachunku i dopisać napiwek.

- W porządku - jęknęła Sandrine. - Co jest grane?

- Chodzi o Petera. Nie odbiera telefonu. Jest po dziewiątej. Nie mam pojęcia, dokąd mógł pójść.

- Do Londynu.

- Słucham? - spytała zaniepokojona Fiddle.

- Jest w drodze do Londynu. Kamerdyner mówił mi, że Dexia zostawiła mu wiadomość około siódmej. Peter powiadomił ją żeby się nie niepokoiła. Za kilka dni wróci po swoje rzeczy.

- Dexia?

- Madame Solange.

- Czy przeprowadził z nią wywiad?
- Chyba tak - odparła beznamiętnie Sandrine. - Tam go zostawiłam.
- Co on, na Boga, wyrabia? - wściekła się Fiddle.
- Nie mam pojęcia, Fiddle.

Fiddle zastanowiła się chwilę, odnosząc silne, przykre wrażenie, że mimo szczerej, kobiecej rozmowy w samolocie Sandrine coś przed nią ukrywała.

- Sandrine, czy wiesz coś, czego ja nie wiem? - zapytał ostrożnie.

W słuchawce nastąpiła krótka ale nabrzmiała podejrzliwość przerwa.

- Posłuchaj, Fiddle, dzisiaj spotykam się z moim adwokatem w Londynie. Gdzie Peter może się tam zatrzymać? Skontaktuj się z nim i oddzwonię do ciebie.

Fiddle poczuła, że dławi się z wściekłości.

- Dziękuję ci bardzo, Sandrine - powiedziała z nadzieją że wściekłość zabrzmiała wyraźnie w jej głosie. - Sama się tym zajmę. Byłaś niezwykle miła.
- Jak sobie życzysz - odparła Sandrine z ziewnięciem, którego pozazdrościłby perski kot. - Bądźmy w kontakcie.

Fiddle trzasnęła słuchawką. Chciała w coś walnąć. Opróżniła szklankę soku pomarańczowego, po czym rzuciła nią o ścianę nad lustrem. Wydała niezadowolający brzęk i spadła na dywan.

- „Gdzie Peter może się tam zatrzymać? Skontaktuję się z nim i oddzwonię do ciebie”
- warknęła. Jasne, laleczko, mówiła w myślach. Dowiesz się miejsca pobytu Petera żeby mu usiąść na twarzy. Czy ona nie sądzi, że sama potrafię zadzwonić do Londynu?

Wyjęła z torby szczotkę i gwałtownie zaczęła czesać włosy. Niepokój o to, co wydarzyło się minionej nocy, jeszcze bardziej się nasilił. Nigdy nawet nie pocałowała Petera Shei, jednak doskonale potrafiła sobie wyobrazić siebie w roli Sandrine, której twarz pokrywał pocałunkami, błagając ją żeby poszła z nim do łóżka.

Sandrine z pewnością wyrwała się z jego objęć, mówiąc: „Nie, nie, jeszcze nie teraz, kochany. Później, spotkamy się w Londynie”.

W seksualnym zapamiętaniu Peter na pewno zapomniał podać Sandrine nazwę hotelu, więc teraz próbowała ją dyskretnie wyciągnąć. Fiddle zapomniała już, że to ona obudziła Sandrine telefonem.

- I zostawił mnie samą w tym pieprzonym hotelu - krzyknęła Fiddle do pustego pokoju. Szczotka uderzyła o ścianę zaledwie o cal od wgłębienia które zostawiła szklanka.

Wcześniej tego ranka, kiedy jedyną oznakę dnia stanowiła cienka smuga światła słonecznego, wpadająca między ciężkimi zasłonami madame Solange, Peter odstawił filiżankę kawy, którą poczęstowała go, zanim zasnęła. Wsunął magnetofon do kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła.

Przyjrzał się uśpionej twarzy Dexii. W półblasku świtu dostrzegał więcej niż tylko ślad dawnej urody. Leżące na przejrzystej skórze policzków ciemne rzęsy wciąż były gęste i lśniące.

Opowiadając tę niezwykłą historię, madame Solange kilkakrotnie płakała. Nie łkała, nie krzyczała, ale ciche łzy płynęły jej po pomarszczonych policzkach. Płakała

tak, jak płaczą niekiedy piękne, odważne damy, wspominając sprawy zbyt bolesne, by o nich zapomnieć.

Więcej niż raz w ciągu nocy Peter zastanawiał się, czemu madame Cleo nie mogła sama opowiedzieć tej historii. Czy możliwe, by determinacja niezbędna do powtórnego wymyślenia siebie uniemożliwiła Cleo ujawnienie prawdziwego ja? W końcu, kiedy nawiązała się między nimi nić zaufania, zapytał Dexii, czego, według niej, madame Cleo się bała.

Umocował słuchawki do magnetofonu i przewinał taśmę, by usłyszeć odpowiedź.

- Obnażenia - mówiła madame Solange. - Jeśli świat zna twój ból, jesteś bezbronny.

Na początku ta Klarwine przekonała Cleo, że amerykańskiemu wydawcy chodzi tylko o pieprzne kawałki dotyczące handlu ciałem pośród śmietanki towarzyskiej.

Madame by się do tego nie przyznała, ale może mi pan wierzyć, że ona czyta te wszystkie książki-spowiedzi, w których wy, Amerykanie, tak się lubujecie. Wiele jej byłych dziewcząt wydało takie wspomnienia. Cleo sądziła, że prawda nie miałaby znaczenia, dopóki w książce znalazłoby się dosyć seksu. Musi pan zrozumieć, że życie madame Cleo miało bardzo niewiele wspólnego z czymś tak frywolnym jak seks. Kiedy zaczął pan wypytywać Cleo o jej biografię, zaczęła pojmować, że zamierza pan napisać zupełnie inną książkę. Praca z panem oznaczała cofnięcie się do czasu, kiedy była sterroryzowaną, półżywą dziewczynką, która dowlokła się do moich drzwi przed półwieczem. Nie pozwalała jej na to duma.

Litość to upokarzająca rzecz, panie Shea. Czy kiedykolwiek był pan przedmiotem litości? To jedno z najbardziej poniżających doświadczeń.

W tym miejscu Peter musiał wyłączyć magnetofon i skierować rozmowę na inne tory, w obawie, że zacznie mówić o sobie. Kiedy madame Solange zaczęła mówić o tym, co wydarzyło się po wojnie, westchnął z ulgą i ponownie włączył magnetofon.

Opowiedziała mu o tym, jak w końcu wróciła na scenę. Prowadzenie hotelu przekazała Cleo, która w latach pięćdziesiątych odkupiła go od Dexii. Później, zarobiwszy dużą sumę pieniędzy, umówiła się z jednym z klientów, by kupił willę na swoje nazwisko, przeniosła się razem z Nanti na Ile de la Cite i zatrudniła Martina do prac związanych z zarządzaniem, którym gardziła.

Po przejściu madame Solange na emeryturę ze względu na słabe serce, Cleo przerobiła hotel na dom mieszkalny i zapewniła Dexii stałe miejsce zamieszkania.

O ile wiedziała, madame Cleo już nigdy nie interesowała się żadnym mężczyzną, chyba że, oczywiście, chodziło o zamożnego klienta. Poświęciła się całkowicie doskonaleniu dziewcząt i chronieniu siebie od bolesnej przeszłości.

Peter nachylił się i cicho zadał Dexii najważniejsze pytanie w całej rozmowie.

- Czy, poza Sandrine, miała pani kontakt z którąkolwiek z dziewcząt, pracujących tu w osiemdziesiątym siódmym?

- Pyta pan o kogoś konkretnego?

- Czy nie było dziewczyny imieniem SueBee?

- A, SueBee. - Madame Solange uśmiechnęła się szeroko. - Co za urocze, słodkie dziecko. Czytałam, że wyszła za przyzwoitego Anglika i ma dziecko.

- Ktoś jeszcze?

- Była tu Angel. Tak się składa, że pojawiła się na dzień czy dwa przed pańskim przybyciem. Przyjechała po jakieś rzeczy pozostawione tu po jej wyjeździe z Paryża. Ludzie, którzy opróżniali jej pokoje, rzeczywiście coś zostawili. Zniosłam wszystko do piwnicy i zapomniałam o tym.

- Angel? Przyszła tutaj? - zdziwił się Peter.

- Mówiła, że wraca właśnie z Londynu ze spotkania z innymi dziewczętami.

- Spotkanie po latach? Słyszałem o wielkim letnim przyjęciu madame Cleo, ale czy dziewczęta organizują inne spotkania?

- Angel tak to nazwała. Powiedziała, że Sandrine zadzwoniła do niej do Las Vegas, gdzie Angel pracuje. Trochę mnie tym rozczarowała, bo dziewczęta madame Cleo zazwyczaj nie kończą w Las Vegas.

Peter wiedział, że wpadł na jakiś trop. Nie chcąc okazać przesadnego podniecenia, poprosił o kolejną kawę.

Kiedy Dexia wróciła z kuchni, zapytał ją, czy pamięta wzmiankę w paryskiej gazecie mówiącą o książce madame Cleo.

Ku jego zdumieniu szybko wstała z kanapy i podeszła do półki między oknami. Wyjęła pękaty, oprawiony w skórę album, położyła go na stole przed Peterem i otworzyła.

- Czy to ten? - spytała, wyjmując wycinek. - Nie mam okularów.

Peter zmrużył oczy; on także nie miał okularów.

- To ten. - Spojrzał na album. - Przechowuje pani dużo wycinków?

- Tylko jeśli dotyczą dziewcząt. Niektóre z nich stały się sławne. Lubię śledzić ich kariery.

- Czy można? - spytał, podnosząc album.

Madame Solange skinęła głową z uśmiechem, najwyraźniej zadowolona z jego zainteresowania.

- Proszę - odparła.

Peter kartkował album, myśląc, że ta jedna książka pozwoliłaby mu zająć się szantażem i żyć po królewsku.

- Bardzo chciałbym przejrzeć ten album, kiedy będę miał więcej czasu i okulary - powiedział, delikatnie odkładając go na stół. - Pamięta pani może, czy to, hm, spotkanie, na które przyleciała Angel, odbyło się przed ukazaniem się tej wzmianki w gazecie czy po?

- Och, po - odparła Dexia z przekonaniem. - Angel i ja rozmawialiśmy nawet na ten temat. Dziwiłyśmy się, że madame zgodziła się zrobić coś takiego.

Peter ścisnął palcami nos; zmęczenie zaczynało mu mącić myśli.

- Madame Solange, jeśli zechce mi pani poświęcić jeszcze chwilę. To była długa noc.

- Bardzo miła noc, panie Shea - odparła wielkodusznie.

- Ten artykuł ukazał się w gazecie na dzień czy dwa przed spotkaniem dziewcząt w Londynie. Oznacza to, że być może spotkały się z powodu artykułu, a nie tylko po to, by wspominać dawne czasy.

- Możliwe - powiedziała tonem równoznacznym ze wzruszeniem ramion.

- Czy słyszała pani o zamachu na Cleo, jaki miał miejsce wcześniej w tamtym tygodniu?

- Ah, oui! Horrible. Na Place de la Concorde.

Peter nachylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Widzę to w następujący sposób: artykuł ukazał się tu w poniedziałek, dziewczęta spotkały się we wtorek lub środę w tym samym tygodniu. Angel przyleciała do Paryża po rzeczy, powiedzmy w czwartek?

Madame Solange zastanowiła się chwilę.

- Tak, w czwartek. Tego samego dnia, kiedy Martin przyprowadził tu tych dwóch ludzi.

Peter chodził po wytartym dywanie, załując, że już nie pali. Papierosy zawsze pomagały mu się skoncentrować.

- Dwóch ludzi? - spytał zwyczajnie, pilnując, by nie podnieść głosu i pamiętając u upomnieniu Fiddle, by nie wywierać presji.

- Przyjaciół szejka Zaki, wieloletniego przyjaciela Cleo.

- Na jak długo się tu zatrzymali?

- Tylko na jedną noc. Umieściłam ich w podwójnym pokoju na najwyższym piętrze. Mili ludzie. Niższy przyniósł mi fiołki, kiedy wrócili z kolacji. Odjechali następnego ranka, kiedy tylko przysła przesyłkę.

- Jaka przesyłka? - Peter zmrużył oczy.

- Och, taka gruba brązowa koperta - odparła, rozkładając dłonie na odległość około trzydziestu centymetrów, by zademonstrować jej wielkość. - Martin powiedział, że mam się za nią rozejrzeć, bo będzie adresowana do mnie i że mam im ją przynieść, kiedy tylko nadejdzie.

- Czy pamięta pani, skąd nadeszła? - spytał Peter.

- Przepraszam, ale nie miałam wtedy okularów. Dlaczego tak to pana interesuje? Peter zachichotał wymuszenie.

- Bez powodu. Tak długo pracuję już z madame, że interesuje mnie chyba każdy drobny szczegół mogący mieć z nią związek.

Potem madame Solange zaparzyła kawy, rozmowa zaczęła zamierać. Zauważywszy, że Dexia zasnęła, wyszedł na palcach z mieszkania.

Popędził do siebie, przeskakując po dwa stopnie, pchnął drzwi i wyrzucił garść kaset magnetofonowych na stolik do kawy. Zastanowił się, czy zadzwonić do Fiddle w hotelu Georges V i zameldować jej o postępach, ale wcześniej musiał załatwić jeszcze jedną sprawę.

Kiedy Giselle otworzyła drzwi frontowe tyłeczkiem i rzuciła torbę z listami na stół, Peter czekał u szczytu schodów. Zbiegł na dół, żeby się z nią przywitać.

Dziewczyna szperała w torbie, a Peter wyjaśnił jej, w czym rzecz.

- Pas de probleme - zapewniła go.

Musiała tylko skorzystać z jego telefonu. Peter pomyślał, że jedynie biurokracja w rodzaju francuskiej poczty mogła przechowywać rejestr nocnych przesyłek przez okrągły rok. Po chwili Giselle odwróciła się do Petera, trzymając w dłoni kawałek kartki.

- Adres nadawcy na przesyłce wysłanej wtedy do madame Solange brzmi: D-5 Albany, Piccadilly W1, Londyn.

Peter zarzucił jej rękę na szyję i ucałował.

Hol hotelu Ritz w pobliżu Piccadilly Circus był pełen przygnębionych Kuwejtczyków, Saudyjczyków i innych bogatych wygnańców, którzy uciekli przed Irakijczykami. Na opalonych twarzach pod śnieżnobiałymi nakryciami głowy malował się niepokój. Bez celu przechadzali się po hotelu, w znudzeniu czekając na kolejne bezowocne spotkanie.

W dawnych czasach Peter rzuciłby wszystko i postarałby się znaleźć możliwie jak najbliżej wydarzeń w Zatoce. Dziś jednak interesowało go tylko to, czy w recepcji czekała na niego wiadomość.

Ku jego zdumieniu szóstka niemożliwych do odróżnienia recepcjonistów odniosła się do niego z ogromnym szacunkiem i dopiero po chwili zrozumiał, że to nie jego osoba wywarła na nich takie wrażenie. Wiadomość, którą mu wręczono, brzmiała: „Lady Susanna Mosby przyjmie pana o dziewiętnastej w swoim mieszkaniu - D-5 Albany”. Dwukrotnie przeczytał wiadomość, czując ulgę i podniecenie. Obawiał się, że mogła zmienić zdanie od czasu krótkiej rozmowy, jaką odbyli tego dnia rano. Nie powiedział jej, że dzwonił z Heathrow. Usiłując nadać głosowi możliwie najkonkretniejsze i najbardziej energiczne brzmienie, zapytał, czy zechciałaby się z nim spotkać w związku z artykułem, który pisał dla „Fifteen Minutes”.

Odpowiedziała bardzo miło, że zna jego nazwisko i czytała kiedyś ten artykuł. Powiedziała jednak, że nie ma pewności, czy zdoła się z nim spotkać w tak krótkim terminie. Najwyraźniej zdołała wygospodarować nieco czasu. Peter nie wątpił, że natychmiast po skończeniu rozmowy z nim zadzwoniła do męża z pytaniem, czy może spotkać się z dziennikarzem.

Niezależnie od tego, co wpłynęło na jej decyzję, miał wreszcie możliwość dotarcia do sedna całej masy sprzecznych informacji i ustalenia, co znajdowało się w grubej przesyłce wysłanej do dwóch ludzi, którzy zatrzymali się na noc u madame Solange. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, zadzwonił do Georges V, wciąż czując się winny, że nie skontaktował się z Fiddle przed wylotem z Paryża. Z rosnącym niepokojem słuchał, jak recepcjonista z Georges V informował go, że się wymeldowała. Peter wiedział, że bez względu na to, gdzie się znajdowała, była na niego wściekła.

Postanowił, że jej to wynagrodzi, i to już wkrótce.

Przygotowując się do spotkania z SueBee, układał w myślach fragmenty historii, którą tak szczerze opowiedziała mu madame Solange.

Nie miał wątpliwości, że od samego początku ktoś zamierzał utracić projekt pisania książki i że miało to jakiś związek z jego udziałem. Wszystko szło jak po maśle, dopóki gazety nie podały, że madame Cleo zamierza pisać książkę.

Przypomniawszy sobie, że najlepsze wywiady przeprowadzał wtedy, kiedy strugał głupka, postanowił, że taką taktykę przyjmie wobec SueBee Slyde Mosby. Nie wątpił, że była ona jedną z autorek całego tego cholernego spisku.

Stanął przed lustrem, podniósł rękę i zakreślił w powietrzu kształt namiotu.

- „Spisek łabędzi” - powiedział do swego odbicia. Starannie włożył ciemny garnitur, który korytarzowy zwrócił mu po wyprasowaniu. Przyglądał włosy na skroniach, zauważył, że musi pójść do fryzjera, zawiązał najlepszy srebrny krawat i wyszedł z hotelu z uczuciem antycypacji.

Albany, okazały stary dom w zaułku, znajdował się niedaleko hotelu Ritz. Petera przyjmowano tam w przeszłości od czasu do czasu. Sara Jane miesiącami mówiła o jednym z mieszkań w tym domu. Odwiedzili wtedy Londyn po raz pierwszy. Byli młodzi, biedni i nie przypuszczali, że ludzie faktycznie tak mieszkają. Mieszkania w Albany były większe niż w przeciętnych domach - obszerne, onieśmielające przestrzenie, skąd nie wyprowadzał się nikt, kto miał dość szczęścia czy koneksji, żeby się wprowadzić. Wszyscy doskonale wiedzieli, że liczące dwadzieścia cztery pokoje mieszkanie Mosbych należało do rodziny lady Seleny Mosby. Dzięki zręcznym manewrom w trakcie rozwodu Billy Mosby zatrzymał je dla siebie. Kiedy Peter wysiadł z windy na prywatnym piętrze Mosbych, kamerdyner, zawiadomiony przez odźwiernego, stał w otwartych drzwiach mieszkania.

- Dobry wieczór, panie Shea - powitał go, składając dyskretny ukłon.

Kamerdyner zaprowadził go długim korytarzem do chłodnego, aromatycznego pomieszczenia, które jaśniało. Utrzymane było w kolorach jasnobrzoskwiniowym, żółtym i rozmaitych odcieniach kremowego, urozmaicone niezwykłą ilością porcelany oraz starych wazonów pełnych dzikich kwiatów.

Nad szerokim marmurowym obramowaniem kominka wisiał powiększony portret olejny Mosby'ego w mundurze wojskowym. Artysta okazał wielkoduszność. Nieco zakłopotany, Peter stał na środku dywanu o barwie i chłodzie cytrynowego sorbetu, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

- Powiem madame, że pan przyszedł - oświadczył kamerdyner i zniknął.

Peter podszedł do stojącego między wysokimi oknami stołu ze szklanym blatem, nakrytego jedwabnym, jasnym obrusem. Całą przestrzeń stołu zajmowały oprawione w srebro zdjęcia zwiewnie pięknego jasnowłosego dziecka.

- Widzę, że znalazł pan Hildy - rozległ się za jego plecami cichy, ale silny głos. Odwrócił się i ujrzał kobietę marzeń swojej młodości.

W roku, jaki nastąpił po chorobie, nie mogąc uczestniczyć w zabawach sportowych, wiele czasu spędzał w kojącym mroku pobliskiego kina. Właśnie tam dowiedział się, że najpiękniejszą najbardziej niedostępną istotą na ziemi była Grace Kelly. Teraz ujrzał ją znowu. Podobieństwo było tak zdumiewające, że wstrzymał oddech.

- Pan się zapatrzył, panie Shea - powiedziała, śmiejąc się lekko i podchodząc z wyciągniętą ręką.

- Tak? - spytał i odchrząknął. - Proszę mi wybaczyć.

- Jestem Susanne Mosby - przedstawiła się, ściskając jego dłoń. - Wszyscy mówią do mnie SueBee. - Puściła dłoń Petera i podeszła do kominka, gdzie zwisał koronkowy sznureczek od dzwonka. - Napijemy się tu i trochę pogadamy, tak?

Peter skinął z uśmiechem głową. Mówiła z prawie brytyjskim akcentem. Najwyraźniej włożyła wiele wysiłku, by ukryć nosowy akcent teksaski. SueBee miała na sobie atłasowy strój wieczorowy w kolorze cytrynowym; nie był to ani szlafrok, ani suknia. W każdym razie leżał tak, że wyobraźnia patrzącego nie miała już wiele do roboty.

- Proszę usiąść - powiedziała wskazując na jedną z obitych kwietnym perkalem kanap przed kominkiem. - Nie mógł pan przyjść w bardziej stosownym momencie.

Peter sądził, że miała na myśli porę dnia. Mosby był poza domem, a dziecko najwyraźniej znajdowało się pod opieką niańki. Usiadł i rozejrzył się dookoła.

- To wspomniała pokój - powiedział.

- Dziękuję - uśmiechnęła się SueBee. - To „futrzak”, na cześć pomarańczowego dywanu w przyczepie w Wayleen.

Usiadła na miękkim krześle stojącym prostopadle do kanapy. Kolana SueBee znajdowały się kłopotliwie blisko jego własnych. Nerwowo poprawił krawat, nie wiedząc, jak zareagować na jej wzmiankę o przeszłości.

Właśnie miał coś powiedzieć, kiedy pojawił się kamerdyner z tacą, na której stała kryształowa szklanka ze szkocką z lodem. Peter przyjął ją i zwrócił się zdziwiony do SueBee:

- Skąd pani wiedziała, że piję szkocką?

- Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny, który nie lubiłby szkockiej - odparła ze słodkim uśmiechem.

Wiedząc o dawnym zawodzie SueBee, nie musiał odpowiadać. Ostatecznie znajdował się w towarzystwie specjalistki.

Peter nie wiedział, czy powinien się napić czy nie. Kamerdyner nie przyniósł nic dla niej.

SueBee wyczuła chyba jego zakłopotanie.

- Proszę pić. Zrezygnowałam z alkoholu, kiedy byłam w ciąży, a potem po prostu już doń nie wróciłam. Zresztą nigdy za tym nie przepadałam. Proszę się nie krępować. Zaledwie dotknął ustami szklanki, SueBee podciągnęła kolana i oparła się na poręcz krzesła.

- Przyszedł pan, żeby rozmawiać o madame Cleo, prawda? Ta cała sprawa książki musiała przysporzyć panu wielu kłopotów.

O mało się nie zakrztusił.

- No... tak, zdecydowanie - wyjąkał. - Lady Mosby, proszę mi wybaczyć to kłamstwo o pisaniu artykułu.

SueBee odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Proszę dać spokój, panie Shea - powiedziała z przesadną afektacją. - To nie było kłamstwo, ale podstęp. Według mnie podstępny są społecznie dopuszczalne.

Rozumiem, że musiał się pan ze mną zobaczyć. Co chciałby pan wiedzieć?

- Wszystko i cokolwiek. Może zacznijmy od początku. - Formułował w myślach pytanie o przesyłkę, którą wysłała do ludzi Zakiego w Paryżu, ale odezwała się pierwsza.

- Nie mam pojęcia, co się stało z Dużym Chłopcem, ale nie zamierzam się zwracać do policji w Wayleen, żeby się dowiedzieć.

Peter znowu przełknął ślinę.

- Nie planowałem cofać się aż tak daleko. Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że madame wiele o pani mówiła.

- Madame Cleo opowiedziała panu o mnie wszystko - odparła z uśmiechem.

- Kontaktowała się z nią pani przez cały czas? Podparła dłonią podbródek.

- Mhm, podobnie jak Sandrine i Angel.

- Może zechciałaby to pani wyjaśnić - poprosił, wdzięczny, że może zadawać pytania wprost.

- Szczerze mówiąc uczestniczyliśmy w tym od początku. Peter sięgnął po drinka, którego teraz naprawdę potrzebował.

- Obawiam się, że ma pani nade mną przewagę, lady Mosby - powiedział. Musiała mieć na myśli spotkanie w Londynie przed zamachem na madame, ale nie chciał jeszcze odkrywać kart.

- Już drugi raz tak się do mnie zwracasz, Peter - zauważyła, lekko trącając dłonią jego kolano.

Nagle w holu rozległy się kobiece głosy i perlisty śmiech.

- O, wreszcie przyszły. W samą porę - krzyknęła wesoło SueBee, zrywając się z krzesła.

Obejrząwszy się przez ramię, Peter zobaczył, jak do pokoju wkroczyły dwie stylowo ubrane kobiety, o twarzach zasłoniętych szerokimi kapeluszami. Obie nosiły się podobnie jak SueBee, niczym najwyższej klasy modelki. Każda miała na ramieniu lśniąca torbę z eleganckich sklepów na Oxford Street.

SueBee przebiegła po cytrynowym dywanie i ucałowała kobiety.

- Gdzie się podziewałyście? - spytała tonem wymówki. - Mówiłam wam, że pan Shea ma przyjść punktualnie o siódmej.

Niższa z kobiet postawiła pakunki i zdjęła kapelusz.

- Poszliśmy do Browna na herbatę i zaczęliśmy chichotać. Przepraszam, kochanie. Ten głos. Należał do Sandrine. Ale jak... pomyślał Peter, a potem poczuł się głupio, zdając sobie sprawę, że mogła przylecieć do Londynu równie szybko i łatwo jak on. Na jej widok poczuł, jak serce przyspiesza, staje, a potem rusza dalej.

- SueBee, nie uwierzysz, kogo widziałyśmy - powiedziała rudowłosa towarzyszka Sandrine. - Pamiętasz tę dziewczynę z Nowego Jorku? Tę, której silikonowe piersi zaczęły się przemieszczać po ciele?

- Poczekaj, poczekaj - przerwała jej SueBee, kładąc rękę na ramieniu wyższej kobiety i odwracając ją do Petera. - Najpierw poznaj mojego gościa. Panie Shea, chciałabym panu przedstawić jedną z moich najbliższych przyjaciółek, Angel Rizzo, która przypadkiem przyleciała do Londynu na miesiąc miodowy.

Peter wyciągnął rękę, a nazwisko Angel rozbrzmiewało mu w uszach.

- Gratuluję, pani Rizzo - powiedział, z najwyższym wysiłkiem starając się zachować pokerową minę.

- Oczywiście zna pan Sandrine - ciągnęła SueBee, dotykając ręki przyjaciółki. - Sandrine przyleciała tu, by spotkać się z adwokatami w sprawie rozwodu.

Sandrine skrzywiła się do SueBee.

- Czy przypadkiem nie za dużo papłasz, kochanie? To bardzo osobista sprawa.

SueBee dotknęła ramieniem podbródka i opuściła powieki.

- Już wkrótce przestanie taka być.

- Witam ponownie - uśmiechnęła się Sandrine, podając mu rękę. - Słyszałam, że zeszłej nocy odbył pan zadowalającą rozmowę z madame Solange.

Peter uściśnął jej dłoń. Była chłodna i gładka; miał wrażenie, że jego ocieka potem.

- Rozmawiała pani z Dexia?

- Mhm - odparła Sandrine niezobowiązująco, idąc do sofy.

- Oto jesteśmy - powiedziała Angel i klapnęła na kanapę naprzeciwko Petera. - Dwa przeciwne bieguny małżeństwa.

Peter napił się szkockiej, czekając, aż Sandrine i SueBee usiądą.

Sandrine stała przed stolikiem do kawy. Lampka oświetlała zarys jej ud i bioder pod cienką letnią sukienką. Spojrzała na szklankę Petera.

- SueBee, Peter ma drinka - powiedziała z wyrzutem.

- Sandrine, ile drinków wypijaś na „herbatce”? - spytała SueBee tonem wymówki.

- Dwa - odparła Sandrine, wydymając usta i siadając obok Angel.

- Cztery. Wiem, bo płaciłam - sprostowała Angel, wachlując się spódnicą. - Jezu, ale upał.

- Chcesz coś, Angel? - spytała SueBee. Angel nie przestawała się wachlować.

- Powiedz Roverowi, Gloverowi, czy jak on się tam nazywa, żeby przyniósł jeden z tych waszych angielskich syfonów i popsikał mi pod spódnicę.

Kamerdyner, który przez cały czas stał w dyskretnej odległości w foyer, podszedł do drzwi.

- Madame - zapytał.

- O, Glover, przynieś, proszę, po trochu wszystkiego i więcej lodu. Same się obsłużymy - powiedziała SueBee.

- I syfon - dodała Angel, wachlując się torebką.

Kiedy kamerdyner zniknął, SueBee zwróciła się do Angel:

- Angel, jako pani domu, leży mi na sercu twoja wygoda, ale zanim Billy zatrudnił Glovera, pracował on u księcia Ali Khana. Nie psika kobietom syfonem pod spódnicę.

- Szkoda - stwierdziła Angel ze znudzonym brytyjskim akcentem.

SueBee znowu usiadła na krześle i zwróciła się do Petera:

- Przypuszczam, że powinniśmy cię przeprosić za to, że tak cię obsiadłyśmy.

- Cóż... w porządku - powiedział, czując się jak mały chłopiec, który zaplątał się do damskiej toalety w hotelu Waldorff.

- Jestem pewna, że masz jakieś pytania.

- Około tysiąca.

- Strzelaj - zachęciła go SueBee.

- Jasne, strzelaj - zawtórowała Angel.

- Skoro o strzelaniu mowa... - podsunęła Sandrine.

- Właśnie, zacznijmy od tego - zgodził się Peter. - Kto próbował zastrzelić madame Cleo?

Kobiety spojrzały po sobie, jakby starały się wyłonić rzeczniczkę.

- Wynajęta pomoc - powiedziała SueBee, obejmując dowodzenie.

- Jasne, jasne - odparł zniecierpliwiony Peter. - Kto ją wynajął?

- Ja - rozległ się za jego plecami znajomy głos.

Obejrzał się gwałtownie i zobaczył stojącą w drzwiach madame Cleo. Miała na sobie szarą szyfonową suknię i nieodłączne perły. Peter zerwał się na równe nogi.

- Madamel - Czyżby spodziewał się kogokolwiek innego? Łabędzie zebrały się razem, wezwane najwyraźniej przez łabędzicę, która teraz płynęła przez pokój.

Madame dała Peterowi znak, żeby usiadł, a sama podeszła do jego kanapy i usiadła na drugim końcu.

- Jestem panu winna przeprosiny, panie Shea. Chcąc odwrócić pana uwagę i zyskać sympatię, dopuściłam się okropnej rzeczy. To ja wynajęłam dwóch ludzi Zakiego, by upozorowali zamach na moje życie. Przykro mi, że strzelec okazał się takim partaczem, że zranił mojego kierowcę w rękę. - Mówiła cicho, jasno i konkretnie.

- A SueBee im zapłaciła - zaszczebiotała Angel.

- Zamknij się do - zareagowała szybko SueBee, patrząc na nią groźnie.

- Co to za język? - zdziwiła się Angel.

- Wydaje mi się, że ona posługuje się nim w obecności Hildy, żeby maleństwo nie uczyło się brzydkich słów - stwierdziła Sandrine. - Może teraz niech wszyscy si ędo zamkną do i pozwolą madame wyciągnąć Petera z opresji.

- Nie jestem w opresji - zaprzeczył Peter. - Tylko całkowicie zafascynowany. Od lat się tak świetnie nie bawiłem.

- W takim razie przygotuj się na irytację - uprzedziła go Angel podchodząc do tacy z drinkami, którą Glover postawił na barze. - Robiono cię w ogromnego balona, a wszystko to nasza wina.

Madame Cleo zaczęła metodycznie wykladać na stolik całą zawartość torebki: papierośnicę z cygaretkami, małą wysadzaną drogimi kamieniami szkatułkę i złotą zapalniczkę.

- Pamięta pan to? - spytała Petera, podnosząc zapalniczkę i odwracając ją tak, by zobaczyć herb barona.

- Jezus, czyż to nie był genialny pomysł - jęknęła Angel wracając na miejsce z wysoką szklanką ciemnego płynu. - Oczywiście nie chciałyście mnie słuchać. Barry Rizzo miałby tuzin lepszych pomysłów niż podsuwanie zapalniczki jako śladu.

- Angel - powiedziała groźnie SueBee.

- Barry Rizzo? - powtórzył Peter, patrząc po twarzach kobiet. - On też był w to zamieszany?

- Właściwie nie - odparła Angel. - Ale on po prostu umie wykręcać takie numery. My jesteśmy strasznymi amatorkami.

- To znaczy, że na miejscu strzelaniny nie było żadnej zapalniczki? - zdziwił się Peter.

Sandrine klepnęła w koronkową poduszkę i włożyła ją sobie za plecy.

- Owszem, była. Poprzedniej nocy madame dała jedną ludziom Zakiego. Chodziło nam o to, żeby policja znalazła zapalniczkę na miejscu zamachu, a wtedy madame Cleo mogłaby podsunąć ci pomysł, że to jedna z nas. Pozwoliłyśmy, by opowiedziała ci szczegółowo nasze historie, zakładając, że potrwa to co najmniej kilka miesięcy. Potem ogarnęła nas lekka panika. Miałyśmy nadzieję, że do końca lata znajdziemy inne, pewniejsze rozwiązanie jej problemu podatkowego.

Peter wychylił się do przodu.

- I to wszystko zostało postanowione tutaj, podczas spotkania w maju, tuż po ukazaniu się artykułu w gazecie?

SueBee i Sandrine skinęły twierdząco głowami.

- Na szczęście dla mnie - powiedziała Angel, oglądając paznokcie. - Gdybym nie przyleciała na to spotkanie, nie wpadłabym na Barry'ego. Szłam przez hol hotelu Claridge'a, kiedy usłyszałam ten dudniący nowojorski głos: - Jo! Laleczko, kiedy widzę, jak idziesz, przypominam sobie, że muszę nakręcić zegarek. No więc...
- Angel - przerwała jej SueBee. - Zamilcz, na miłość boską. Pana Shei nie obchodzi, jak spiknęłaś się znowu z Barrym Rizzo.

Peter zaśmiał się.

- Tak się składa, że mnie obchodzi. Teraz jednak naprawdę chciałbym, żeby madame Cleo mi wyjaśniła, co według niej miało się stać pod koniec lata, gdy wciąż nie znałbym jej historii.

Madame Cleo spojrzała po twarzach dziewcząt, chcąc się upewnić, że nikt jej już nie przerwie, po czym powiedziała do Petera:

- Miałam szaloną nadzieję, że będzie miał pan dość i sobie pójdzie.

- Czy nie tak właśnie się stało? - spytał.

- Owszem, ale z niewłaściwych powodów - powiedziała madame Cleo. - Nie spodziewałam się, że tak bardzo będzie pan nalegał na osobiste szczegóły. Sądziłam, że dam sobie z panem radę, ale okazał się pan jeszcze lepszym dziennikarzem niż mnie ostrzegano.

Zapadła długa chwila ciszy. Wydawało się, że wszystkie kobiety czekają, aż Peter zada kolejne pytanie. Ten spojrzał na Sandrine, ale zwrócił się do madame Cleo:

- Proszę mi powiedzieć, madame, czy zdaje sobie pani sprawę, że rozmawiałem z Dexia Solange?

- Tak - odparła Cleo, wpatrując się w swoje kolana. Peter gwałtownie odwrócił się do niej i zapytał zdumiony:

- Wiedziała pani?

- Tak. Sandrine zadzwoniła do mnie z Nowego Jorku z pytaniem, czy może zorganizować takie spotkanie.

Peter ponownie spojrzał na Sandrine, która uśmiechnęła się słabo i wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: „Co innego miałam zrobić?”

Peter popatrzył oszołomiony na madame Cleo.

- Dlaczego pozwoliła pani, by Dexia Solange powiedziała mi rzeczy, które chciała pani przede mną zataić? Przecież nie zapomniała pani własnego życia.

Zanim Cleo odpowiedziała, w jej oczach pojawił się błysk.

- O niczym nie zapomniałam - powiedziała ostro. - Pamiętam każdą chwilę mojej młodości. - Wyciągnęła przed siebie dłonie, czego nie zrobiła nigdy podczas ich spotkań. Na opuszku każdego z palców widniał gładki ślad wielkości perły. - Stale mam przy sobie dziesięć rzeczy, które mi o tym przypominają, panie Shea.

Peter odwrócił wzrok z zażenowaniem.

- Trudno mi o tym mówić zarówno panu, jak i komukolwiek innemu - ciągnęła madame Cleo. - Kiedyś, w młodości, doświadczyłam ogromnego bólu. Postanowiłam, że jedynym sposobem zachowania zdrowia psychicznego jest uznanie przeszłości za zamkniętą kartę. Nigdy nie mówiłam o sobie. Znacznie łatwiej było mi pozwolić, żeby Dexia to panu opowiedziała.

- Ale dlaczego właśnie teraz? - spytał Peter.

- Dojdę do tego, panie Shea. Najpierw chciałabym coś wyjaśnić. Musimy się cofnąć do dnia, w którym zadzwoniła do mnie Wendy, mówiąc, że ma dla mnie pisarza. Widzi pan, włączenie się pana do całej sprawy bardzo wszystko skomplikowało.

- Ależ pani mnie nawet nie знаła - powiedział bezradnie Peter.

- Nie, ale wiedziałam o panu. Był pan znanym dziennikarzem. Gdybym panu odmówiła, wyglądałoby to podejrzanie. Kiedy zgodziłam się opublikować książkę, nie mieliśmy pisarza. Nie wiedziałam, że Wendy znajdzie go tak szybko, i to takiego, któremu nie zdołam odmówić. Niestety informacja o naszej współpracy ukazała się w prasie - podejrzewam, że to robota Wendy, która chciała zamknąć mi drogę odwrotu. Ten artykuł zelektryzował nas wszystkich. Musieliśmy znaleźć sposób na przeszkodzenie panu w pracy.

- My? - spytał Peter. - To znaczy wasza czwórka?

- Oraz Martin, on też w tym uczestniczył - powiedziała Cleo, kreśląc palcem po dużym zielonym liściu na poduszce, leżącej na jej kolanach. - Sandrine, która dzięki swemu przypadkowemu małżeństwu może korzystać z prywatnych samolotów i gotówki, zorganizowała nasze spotkanie tu, u SueBee. Może pan to nazwać naradą wojenną.

- Żeby ustalić, co począć ze wścibskim amerykańskim pisarzem, który pomaga pani uniknąć więzienia - dokończył Peter, nie dbając o to, że w jego głosie zabrzmiała lekka uraza.

- Nie obwiniam pana, jeśli odczuwa pan irytację - powiedziała Cleo. - Zaraz usłyszysz pan coś jeszcze gorszego.

- Proszę mówić - odparł Peter, kiwając głową do SueBee, która sięgnęła po jego szklanekę, żeby ją uzupełnić.

- Podczas tamtego spotkania SueBee i Sandrine przypomniały mi, że uczestniczył pan w La Fantastique w osiemdziesiątym siódmym roku. Dzięki temu miał pan słaby punkt.

Nie mogąc się powstrzymać, Peter zerknął na Sandrine. Uśmiechała się do niego. W geście tak dyskretnym i znaczącym, że uderzył w niego jak grom, uniosła dłoń i pomachała mu palcami.

- Nie pamiętam, żebym widział SueBee w zamku - powiedział, wciąż patrząc na Sandrine.

SueBee opowiedziała dalszą część historii.

- Nie spotkaliśmy się, ale fakt, że tam byłam, ma duże znaczenie. Czy pamiętasz poranek, kiedy wyjeżdżałeś z zamku?

- Mgliście - przyznał Peter. - Dlaczego pytasz?

- Idąc korytarzem zajrzałeś do pokoju sąsiadującego z twoim. Zobaczyłeś, jak pomagam Billy'emu się ubrać. Miał makijaż i suknię.

- To był Mosby! Nigdy nie przyszło mi na myśl... - Pet zamilkł, szczerze zszokowany.

- Dobry Boże. Aż do dziś o tym nie myślałem.

- Cóż, mój mąż bardzo się zmartwił tym, że widziałeś go w tej sytuacji. Nie miał gwarancji, że nie wykorzystasz informacji przeciwko niemu. Musiał coś przedsięwziąć, toteż, może niezbyt rozsądnie, zwrócił się o pomoc do najlepiej sytuowanej osoby, jaką znał. - Tu SueBee wskazała na madame Cleo.

- Billy zatelefonował do mnie z Paryża i prosił, bym skontaktowała się z Warrenem Bracknellem, który od kilku lat by moim klientem - wyjaśniła Cleo.
- Dyrektor WorldWide? - spytał Peter z najwyższym zdumieniem, przypominając sobie dawny telefon od Gordona Jimisona, który mówił mu, w jaką wściekłość wpadł Bracknell.
- Tak. Swoją byłą żonę poznał na La Fantastique - powiedziała Cleo. To wyjaśniało furię Bracknella. Ich trwające od maja do grudnia małżeństwo zakończyło się burzliwym rozwodem, który znalazł odbicie w wyjątkowo paskudnych nagłówkach prasowych.
- Cynthia Bracknell pracowała jako dziewczyna madame Cleo? - spytał Peter zdziwiony, ale i jednocześnie nie zdziwiony. Jej wątpliwa przeszłość „międzynarodowej modelki” doskonale pasowała do tej wersji.
- Jedną z moich najlepszych - oświadczyła z dumą madame Cleo.
- Peter, nie zrozum nas źle - włączyła się SueBee. - Nie wylano cię z pracy, ponieważ Billy sądził, że widziałeś go w przebraniu. Do tego nigdy nie doszło. W chwili, kiedy Warren Bracknell usłyszał, że uczestniczyłeś w La Fantastique, ciągnano go po sądach, a jego nazwisko znajdowało się na pierwszych stronach wszystkich brukowców od Wapping do South Street. Musiał wylądować na kimś złości, więc cię wylał, pozwalając ci myśleć, że zrobił to, ponieważ się skompromitowałeś. Madame Cleo chciała tylko, żeby Bracknell z tobą pomówił. Próbowwała ochronić starego przyjaciela, ale sprawy wydostały się spod kontroli. Niestety zostałeś niewinną ofiarą.
- Jasne - zgodził się Peter, zdumiony tym, co słyszał. - Co postanowiliście robić dalej?
- Kontrolować cię - powiedziała SueBee.
- Ująć cię w karby - dorzuciła Sandrine.
- Włączyć cię do całej historii - uzupełniła madame Cleo. - Mężczyzna, który był z dziewczyną Cleo, nigdy o tym nie zapomina. Wiedziałam, że opowiadając o dziewczętach, mogłam przykuwać pana uwagę, przynajmniej do czasu, kiedy zaspokoi pan ciekawość.
- Jeszcze jedna rzecz nadal mnie irytuje, SueBee – przyznał Peter. - Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, żeby wyłączyć mnie z gry. Czy nie mogłaś po prostu poprosić męża, żeby nie publikował tej cholernej książki?
- Wiesz dobrze, że kto inny by to zrobił - odparła SueBee.
- Poza tym Billy nie chciał antagonizować stosunków z tobą. Pamiętaj, że wierzył, że widziałeś nas na La Fantastique. Wciąż się ciebie bał. Gdyby pozbawił cię kontraktu na milion dolarów, mógłbyś chcieć się zemścić. Wtedy my wszystkie postanowiłyśmy wziąć sprawę w swoje ręce.
- I spróbować nakłonić mnie do tego, żebym sam zrezygnował - dodał Peter.
- Ta część planu chyba się udała, co, dziewczyny? - spytała Angel z szerokim uśmiechem.
- Nie sądziłyśmy, że Martin odejdzie - powiedziała SueBee.

- Pokazał nam, jaka to głupota rzucać ci kłody pod nogi. Dał nam jasno do zrozumienia, że wiedziałeś dostatecznie dużo, żeby napisać tę książkę na własną rękę i wystawić madame do wiatru.

Angel, która do tej pory nie uczestniczyła w rozmowie, z wyjątkiem wtrącania dowcipnych uwag, nachyliła się do przodu i powiedziała z całą powagą:

- Musisz zrozumieć jedno, Peter, jeśli jeszcze tego nie złapałeś: motywacją w naszym życiu zawsze były pieniądze. Trudno nam uwierzyć, że nie wszyscy funkcjonują na tej zasadzie. Kiedy zdałyśmy sobie sprawę, że zamierzasz zrezygnować, zrozumiałyśmy, że pieniądze nie mają dla ciebie znaczenia; dotarło do nas, że chcesz albo wykonać tę pracę dobrze, albo wcale. Gdybyś odszedł wściekły, z reputacją walczącego dziennikarza, który pisuje artykuły, nie zostawiające na ludziach suchej nitki, wpadłybyśmy w tarapaty. Billy Mosby nie jest jedynym, który się ciebie boi. Sama znam faceta w Vegas, który stracił licencję na kasyno z powodu artykułu, który o nim napisałeś. Teraz sprzedaje tanie garnitury na Vegas Strip.

- Cicho, Angel - poprosiła SueBee.

- Tej nocy, kiedy Martin zadzwonił rozhisteryzowany do Fiddle Null, włączyła mnie do całej afery - powiedziała Sandrine. - Zadzwoniłam do pozostałych i zgodziłyśmy się, że jeśli historia madame ma się ukazać, powinna zostać napisana jak należy, a nie przez zeźłonego dziennikarza. Zrozumiałyśmy, że musimy uratować tę książkę. Na początek uznałyśmy, że musimy skontaktować cię z madame Solange. Madame Cleo przyznała, że co prawda nie jest w stanie opowiedzieć ci o sobie, ale może to zrobić madame Solange. Był to jedyny sposób dostarczenia ci informacji, na której ci zależało, a tym samym uratowania książki.

- Posłuchaj, Peter - włączyła się SueBee. - Próbujemy ci tu powiedzieć, że znalazłyśmy odpowiedź, rozwiązanie wszystkich naszych kłopotów. Teraz, kiedy masz wszystkie informacje, musisz napisać książkę, ale nie w formie autobiografii madame.

- Nie w formie autobiografii? - powtórzył Peter, patrząc to na SueBee, to na Cleo. - W takim razie jak?

Dziewczęta spojrzały na madame Cleo, czekając, aż odpowie.

- Napisz ją w formie powieści, kochany - powiedziała. - Powieści.

SueBee nachyliła się do Petera i w podnieceniu ścisnęła go za kolano.

- Czy to nie idealny pomysł? W ten sposób możesz wykorzystać nasze historie, jak tylko chcesz. Po prostu pozmieniam nazwiska.

- Chcemy ci powiedzieć, Peter, żebyś pisał dalej - powiedziała Sandrine. - Proszę cię.

- No, dalej, Peter. Bez urazy - zaszczebiotała Angel.

- Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta - przerwała im madame Cleo, machając firką. - Dosyć. Pozwólcie panu Shei złapać oddech. Nadszedł chyba czas, żeby podzielić się z nim naszym nowym planem.

- Nowym planem? Czy to znaczy, że znalazłyście rozwiązanie kłopotów podatkowych madame? - spytał Peter.

- Nie wiedziałyśmy, jak zareagujesz, więc zajęłyśmy się tym - powiedziała SueBee, zrywając się i znowu pociągając za sznurek dzwonka. - Napijmy się szampana. Z tego nie zrezygnowałam. Jeśli o mnie chodzi, to szampan jest jedzeniem.

- Dla mnie też - dodała z uśmiechem Sandrine. - Jedźmy.

- Wiesz co, Sandy - powiedziała Angel. - Teraz, kiedy przestałaś być więźniarką miłości, mogłabyś spróbować odstawić alkohol.

Sandrine zignorowała Angel, a SueBee poleciła Gloverowi, by przyniósł butelkę Dom Perignon. Kiedy wszyscy mieli pełne kieliszki, SueBee wzniosła swój do madame Cleo.

- Za ostateczne wyzwolenie madame Cleo.

Wszyscy, z wyjątkiem bohaterki toastu, wznieśli kieliszki.

- Wyzwolenie? - spytał zdziwiony Peter.

- Od Francji i przeraźliwego urzędnika podatkowego - wyjaśniła Sandrine, uśmiechając się znad kieliszka.

- Opuszcza pani Francję? - spytał madame Cleo.

- Wygląda na to, że to rozsądny krok - odparła lekko.

- Ale co z pani domem? Co z pani... rzeczami?

- Phi! - prychnęła madame Cleo, wyrzucając w górę ręce. - Ustalenie, kto jest właścicielem tego wszystkiego, zajmie rządowi całe lata. Dobrze im tak.

Peter się uśmiechnął. W ciągu czterdziestu kilku lat działalności madame nie zapłaciła ani centyma podatków, ale bynajmniej nie czuła, że jest coś winna swemu krajowi.

- Madame może zastąpić wszystko, czego nie zdoła spakować - powiedziała Sandrine. - Taka właśnie jest nasza rola. Pod koniec miesiąca uwolnię się od Jourdana. Właśnie znalazłam w Knightsbridge uroczy dom z przerobionych stajni, gdzie madame może otworzyć interes.

- A ja kupiłam pięć zabójczych kostiumów - dorzuciła Angel. - Potrzebuję nowych strojów, żeby otworzyć filię w Nowym Jorku.

- Angel też bierze w tym udział? - spytał Peter madame Cleo. - Czy nie powiedziała mi pani, że doszło między wami do kłótni?

- Wszystko zostało przebaczone - oświadczyła madame Cleo, uśmiechając się słodko do Angel.

SueBee zachichotała.

- Angel jest nam potrzebna. Barry ma w Nowym Jorku wspaniałe kontakty.

- Ach tak? Nie chciałybyście mnie, gdybym nie była poślubiona mafii? - spytała ze śmiechem Angel.

Sandrine także wybuchnęła śmiechem.

- Bardzo cię kochamy, Angel, ale twoje małżeństwo z Barrym okazało się bardzo pomocne. Takie są dziewczynskie reguły, jak wyjaśniła mi niedawno nowa przyjaciółka.

Peter wlepił wzrok w Sandrine.

- Czy twoją nową przyjaciółką jest przypadkiem Fiddle Null?

- Zgadza się - potwierdziła z zachwytem. - W takim razie wiesz wszystko o dziewczynskich regułach.

- Nie wiedziałem - powiedział z ironicznym uśmiechem. - Ale nie wątpię, że zafundujecie mi przyspieszony kurs. Powiedzcie, jakie miejsce zajmuje w tym wszystkim Martin?

- Jedzie razem z nami - odparła Cleo. - Martin, Nanti i ja zajmiemy się urządzeniem nowego domu. Jest bardzo podniecony powrotem do Anglii.

Sandrine podniosła rękę, prosząc o uwagę i słowa uznania.

- Kiedy Jourdan zapłaci mi odszkodowanie, odnowimy Wellington Close i urządzimy tam coś w rodzaju kurortu.

Angel krzyknęła na wiwat.

- Nasze nowe dziewczęta będą mogły siedzieć w łaźni i powtarzać słówka w rodzaju: „zaiste”, „modyfikacja” czy „Charlotte russe”.

- Dlaczego właśnie teraz postanowiłaś rozwieść się z Jourdanem Gamem? - zapytał Peter Sandrine.

- Sandrine - włączyła się Angel. - Musisz mu powiedzieć, z kim się żeni Jourdan. Sandrine jęknęła.

Angel zasłoniła usta dłonią i szepnęła:

- Jourdan żeni się z matką Sandrine.

- Z Titą Mandraki - wykrztusił Peter. - Jak to się, na Boga, stało?

Sandrine wzruszyła ramionami.

- Po spotkaniu z dziewczynami w maju zrozumiałam, że muszę wyplatać się z małżeństwa, które mnie zabijało. Jourdan był jednak tak zaborczy, że nie wiedziałam, jak to przeprowadzić. To madame wpadła na genialny pomysł, żeby przedstawić Jourdana mojej matce. Tita nie mogła przepuścić takiej okazji.

SueBee poklepała Sandrine po ramieniu.

- Kochanie, jesteś bezwstydna.

- Ale pozbyłam się go, nieprawdaż? - odparła Sandrine. - Wysłałam za niego tylko dla pieniędzy. Teraz je mam.

Cleo zwróciła się ponownie do Petera:

- Dochodzimy do twojej roli w tym wszystkim.

- Mojej? O Boże, nie, ja wysiadam - zastrzegł się Peter, unosząc dłonie, jakby chcąc się odgradzić od wszelkich dalszych komplikacji wynikających ze współpracy z tą grupą nieprzeciętnych kobiet.

- Wysłuchaj nas - poprosiła madame Cleo, po czym skinęła głową do dziewcząt: - Czy mam mu powiedzieć?

- Jasne - odparły chórem.

- Jeśli zgodzisz się napisać tę książkę w formie powieści, nie roszczę sobie żadnych pretensji. Pieniądze są twoje. Po tym, co ci zrobiłyśmy, w pełni ci się należą.

Peter odstawił kieliszek i spojrzał na madame Cleo.

- Co pani mówi?

- Właśnie to, co powiedziałam.

Peter milczał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie zapytał:

- SueBee, czy twój mąż opublikowałby tę książkę jako powieść?

- Już go o to pytałam - odparła zdecydowanym tonem. - Powiedział, że tak. Byłoby z tego mniej pieniędzy, musisz z nim omówić szczegóły. Ponieważ jednak nie musiałbyś się dzielić z madame, zarobiłbyś więcej niż pisząc jako jej „murzyn”. Billy uważa, że powieść to świetny pomysł. Wszyscy wiedzą, że to ty współpracowałaś z madame, więc według niego będzie to doskonały chwyt reklamowy.

Peter wstał.

- Dziękuję wam wszystkim, ale to po prostu wykluczone. -Nigdy nie pisał beletrystki; nie wiedziałby, od którego końca zacząć. Był reporterem, starym rutyniarzem, który za żadne pieniądze nie nauczyłby się nowego fachu. Spojrzawszy na Sandrine zauważył, że wpatrywała się w podłogę. Poszedł za jej wzrokiem, zaciekawiony, co ją tak zainteresowała.

- Ładne buty - powiedziała nie podnosząc wzroku. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Drogie buty - podkreśliła. - Założę się, że nigdy wcześniej takich nie nosiłeś.

Peter zamknął na chwilę oczy. Dobry Boże, pomyślał, musiałem to wszystko wypaplać Fiddle w tym rozpaczliwym pijackim monologu.

Zastanawiał się, czy powinien się czuć zdradzony, czy podejść do całej sprawy z humorem. Skoro tyle kobiet wychodziło ze skóry, żeby ułatwić mu życie, dlaczego miał wrażenie, że tonie? Nigdy w pełni nie podzielał opinii Wendy Klarwine, że nie ma żadnych tajemnic, ale doświadczenie nauczyło go, że nie było tajemnic między kobietami, kierującymi się dziewczęńskimi regułami.

Myślał o tym, co jeszcze Fiddle powiedziała o nim Sandrine i co Sandrine wyjawiała podczas ich długiego lotu, kiedy pędziły mu na ratunek. Dobrze wiedział, do czego posuwali się mężczyźni, opisując swoje podboje seksualne. Nigdy dotąd nie wziął pod uwagę upiornej możliwości, że kobiety mogły robić to samo, tyle że w bardziej rujnujący sposób. Przecież one otwierały przed sobą serca! Podczas gdy mężczyźni popisywali się anatomią i potencją kobiety szeptały sobie o męskich słabych stronach.

A więc Fiddle opowiedziała Sandrine o jego butach. Czy Sandrine zrewanżowała się opowieścią o ich wspólnej nocy w zamku? Wyjąwszy dyskretne pomachanie mu pałacami, ani razu nie zrobiła aluzji do tamtej La Fantastique. Być może jego niepokój był nieuzasadniony. Być może Sandrine w ogóle nie pamiętała o tamtej nocy. Był dla niej tylko kolejnym klientem.

Musiał wyjść, nie mógł już myśleć. Musiał zostać sam. Pragnął powietrza.

- Madame Cleo - zaczął, nieco chwiejnie wstając z krzesła. - Dziękuję za pani szczerść, ale naprawdę muszę już iść.

- Rozumiem. Proszę jednak o przemyślenie tej sprawy. Mam na myśli powieść.

Tylko tak mogę się panu odwdzięczyć za okazaną mi cierpliwość.

- Kluczowym słowem jest tu „przemyślenie”, madame -powiedział, biorąc płaszcz deszczowy od Glovera. - Pomyślę o tym.

Podziękował SueBee za zaproszenie, pożegnał się z pozostałymi. Glover odprowadził go do drzwi i pokazał, gdzie jest winda.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, usłyszał za sobą stukot szpilek na polerowanej posadzce korytarza. Odwróciwszy się, zobaczył Sandrine, która spieszyła w jego stronę, odgarniając włosy z twarzy.

- Ja też wychodzę. Mogę z tobą zjechać?

- No... no... oczywiście - wydukał, zbity z tropu.

- Chcę z tobą porozmawiać na osobności. Pod Peterem ugięły się kolana.

- Chcesz? To znaczy, jasne, jasne. Hm, może wstąpimy na drinka?

- Dziękuję, nie. Czy możemy po prostu trochę porozmawiać? Nie odzywali się do wyjścia na ulicę.

Nocne powietrze pachniało roślinnością i wilgocią. Nagła ulewa, która przeszła, kiedy siedzieli u SueBee, orzeźwiła powietrze, zostawiając lśniąca kałuże na chodniku.

- No tak - powiedziała Sandrine, przerywając w końcu milczenie. - Czy po powrocie do Nowego Jorku nadal zamierzasz pisać artykuł o Jacku Aylerze?

Peter odwrócił się do niej gwałtownie.

- Skąd wiesz o tym, że zamierzałem pisać o Jacku Aylerze? Od Fiddle?

- Nie, od tej kobiety, którą spotkałyśmy z Angel na herbatce dziś po południu - powiedziała chichocząc.

- Od tej z wędrującymi piersiami? - spytał, myśląc, że powinien kogoś spytać o zasady tego zjawiska.

- Christine. Kiedy wspomniałam, że idziemy na spotkanie z tobą, powiedziała: „Uważaj na tego faceta”. Na wiosnę utknęła w kiblu w samolocie razem z Jackiem Aylerem. Powiedziała, że ty też leciałeś tym samolotem.

- O, mój Boże - jęknął Peter. - Ciągłe jestem otoczony.

- Mówiła, że zobaczyła, jak robisz notatki i domyśliła się, że zamierzasz napisać artykuł o Jacku.

- Wy, kobiety jesteście zdumiewające. Sandrine delikatnie dotknęła rękawa Petera.

- Dlaczego, w takim razie, o nas nie napiszesz, Peter? Wydaje mi się, że książka, która odniosłaby sukces, zmieniłaby twoje życie.

- Nie jestem pewien, czy chcę je zmienić - stwierdził Peter.

- Oczywiście, że chcesz. W przeciwnym razie, dlaczego w ogóle byś się zgadzał na ten projekt?

Peter zatrzymał się, wpychając dłonie do kieszeni.

- Z wielu powodów, o czym powinnaś wiedzieć. Przyznaję, że pieniądze odegrały tu dużą rolę.

- Żebyś mógł sobie pozwolić na ładne rzeczy? - spytała, wskazując na jego buty.

Onieśmielony, Peter przekrzywił but, a potem wyprostował go znowu.

- Zawsze mogę sobie pozwolić na buty - zaprotestował.

- Po sześćset dolarów za parę? Jourdan uwielbia te buty, ale nawet on krzywi się na cenę.

- Potrafię zarobić na życie - oponował Peter.

- Jest życie i jest szczęście. Kiedy dopisuje nam szczęście, pozwalamy sobie na rzeczy, na które w innym przypadku nie byłoby nas stać.

- Szczęście - powtórzył. - Czy tym jest dla ciebie odszkodowanie od Jourdana?

Sandrine potrząsnęła głową.

- Nie. Jeśli o mnie chodzi, są to pieniądze zarobione i swobodnie zainwestowane.

Szczęściem byłby mój spadek. Gdyby matka mnie nie oszukała, pozwoliłabym sobie na zostanie tancerką na zostanie kimś.

- Dla mnie jesteś kimś - powiedział Peter.

- Dzięki - odparła z uśmiechem.

Nagle wydała mu się taka krucha i potwornie samotna. W świetle latarni ulicznej zauważył cienie pod oczami Sandrine, których nie widział nigdy przedtem. Gdyby tylko zdobył się na porozmawianie o wspólnie spędzonej nocy, może zdołałby się od niej wyzwolić.

Sandrine odwróciła się i powoli ruszyła dalej.

- Tak bardzo bym chciała, żebyś napisał tę powieść. Jeśli napiszesz, to może, w imię dawnych czasów, nazywaj mnie Madeleine.

Peter wstrzymał oddech. Wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale coś go powstrzymało. Jej słowa rozbrzmiewały mu w głowie, teraz oczyszczonej przez świeże powietrze i spokojne, ciemne ulice.

Sandrine Mandraki Garn uciekała się do wszystkich sposobów, żeby osiągnąć to, czego pragnęła; odwoływała się bezpośrednio do jego emocji.

W takiej grze muszą brać udział dwie osoby, pomyślał. Popatrzył jej prosto w oczy i zapytał:

- Ile zapłacił ci baron za pójście ze mną do łóżka, Madeleine?

Sandrine spojrzała w ciemne niebo i ściągnęła usta.

- Niech pomyślę, po odjęciu należności madame, myślę, że starczyłoby na tuzin włoskich mokasynów. Wszyscy mamy coś, co jest warte pieniądze, Peter. Zależy tylko, za ile chcemy to sprzedać.

- Czy to dziewczynska reguła?

- Mhm. Chyba tak.

Skinął głową i objął ją w talii.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

- W apartamencie w Berkeley, należącym do mojego, już wkrótce byłego, męża.

- Chodź, odprowadzę cię do taksówki.

Szli w milczeniu do postoju na rogu. Podał kierowcy nazwę hotelu, pomógł jej wsiąść i zamknął drzwi.

- Wiesz, mógłbyś pojechać ze mną - powiedziała, uśmiechając się do niego przez otwarte okno. - W imię dawnych czasów.

Wsunął rękę przez okno i pogładził ją po policzku.

- Dzięki, Sandrine, ale dawne czasy minęły.

Wreszcie, pomyślał, patrząc na tylne światła taksówki znikające za rogiem. Poczul nagłą lekkość, wynikającą ze świadomości, co mógł zrobić.

- Fiddle - powiedział na głos. - Daj mi kilka dni. Wracam do domu.

W Wigilię 1990 r. światła w biurze Fiddle paliły się długo po tym, jak wszyscy wyszli, żeby kupić ostatnie prezenty i pędzić do domów.

Fiddle czekała, jak zwykle, na telefon kończący dzień. Czekając, przeglądała zdjęcia szejka Omara Zaki, którego nowa, jakże godna otyłość zajmowała trzy miejsca na ławie podczas otwarcia nowego klubu w centrum. Po obu stronach szejka wylegiwały się dwie dziewczyny Rizza w nadzwyczaj skąpych strojach. Od jesieni stały się one największą sensacją w mieście. Fiddle zostawiła wiadomość Vickie, żeby dowiedziała się nazwisk tych kobiet. Bóg jeden wiedział, dokąd mogły zajść w przyszłości.

Kiedy zadzwonił jej prywatny telefon, podskoczyła i odebrała po połowie sygnału.

- Mówi Fedalia Nuli - powiedziała, przytrzymując słuchawkę ramieniem, wsuwając zdjęcia z powrotem do koperty.

- Mówi Peter Shea - odparł Peter tym samym tonem.

- Chwała na wysokościach, Peter.

- Pójdźmy wszyscy do stajenki. Masz ochotę na obiad?

- Coś okropnego i tuczącego - odparła.

- Mam dla ciebie prezent.

- Co? Co? Co?

- Gotową książkę.

- O, mój Boże - wyszeptała. - Nie wierzę.

- Na tydzień przed terminem. Nie mogę się doczekać, kiedy ją przeczytasz.

- Przynies ją do herbaciarni. Mój stolik, za pół godziny - wyrzuciła Fiddle z podnieceniem.

- Nie możesz tego tam przeczytać - powiedział ze śmiechem Peter.

- Nie chcę jej czytać, chcę ją utulić. To nasze dziecko.

- Kocham panią pani Shea.

- I ja pana kocham, panie Shea - odparła cicho.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła porządkować papiery na biurku, przypominając sobie inne Boże Narodzenia. Nie zdawała sobie wtedy sprawy z własnej samotności. Miała pracę; wydawało się, że to dosyć.

Po powrocie Petera z Paryża Fiddle zachowywała telefoniczne milczenie. Nie chodziło już o to, że czuła się zraniona. Według niej Peter był jej coś winien za to, że skontaktowała go z madame Solange. Najwyraźniej spotykał się z Sandrine w Londynie. Jak inaczej wytłumaczyć jego nagłe zniknięcie z Paryża i trzy dni spędzone w Ritzu?

Wiedziała. Rachunki, które Peter płacił kartą American Express, przychodziły do redakcji. Fiddle zadzwoniła do hotelu z prośbą żeby przysłali rachunek, z którego wynikało, że Peter spędził tam resztę tygodnia. Jednak najbardziej znaczącą pozycją był rachunek za służbę hotelową. Opiewał na blisko siedemset dolarów! Bez wątplenia za dziesiątki litrów szampana do wanny i kawior rozsmarowywany na cyckach Sandrine, czy inne seksowne numery, które wymyślały byłe dziwki Cleo. Nie odbierała jego telefonów, ponieważ nie chciała słyszeć tego, co miał jej do powiedzenia; prawda i kłamstwo zraniłyby ją w równym stopniu.

Ustawiła Vickie na barykadach, tak że nie musiała odbierać jego telefonów w biurze, a w domu strzegła jej elektroniczna sekretarka.

W tydzień po powrocie Petera złośliwie poleciła Vickie odwołać jego najnowszy artykuł.

- Nie mamy w planie żadnego artykułu Petera Shei - powiedziała Vickie, podnosząc wzrok od rozłożonego na biurku terminarza.

- A co z artykułem o Aylerze? - spytała z wściekłością Fiddle.

- Nigdy oficjalnie nie zleciłaś mu artykułu o Aylerze, Fiddle. Zapominanie nie jest do ciebie podobne. Co się stało?

Wtedy Fiddle straciła panowanie. Ukryła twarz w dłoniach i załkała spazmatycznie.

- Tęsknię za nim - wykrztusiła, a Vickie stała przed biurkiem w cichym zdumieniu.

- Fiddle, jeśli tak za nim tęsknisz, to czemu nie odbierasz jego cholernych telefonów? Ten biedak próbuje się z tobą skontaktować w dzień i w nocy od samego powrotu. Fiddle sięgnęła po garść chusteczek higienicznych i głośno wytarła nos.

- Nie mogę - powiedziała. - Nie chcę, żeby mnie okłamywał.

- W jakiej sprawie miałby cię okłamywać?

- W sprawie kitłaszenia się w Ritzu z Sandrine Garn.

- Co? - spytała zdezorientowana Vickie.

- Popatrz - powiedziała Fiddle, otwierając szufladę biurka i wręczając sekretarce faks rachunku z hotelu Ritz. - Śliczny, co?

Vickie przebiegła wzrokiem kolumnę pozycji i cicho gwizdnęła.

- Kurczę, popatrz na służbę hotelową. Musiał zaprosić na herbatę strażników królowej.

- Jasne - warknęła Fiddle. - Zaprosił Sandrine Garn na maraton wymieniania śliny. Najwyraźniej po czymś takim chce się jeść.

- Raczej nie - odparła powoli Vickie w zamyśleniu. Fiddle wepchnęła rachunek z powrotem do szuflady.

- Ach tak? Taka jesteś sprytna?

- Ten cały rachunek zgadza się co do pensa z czekiem, który przyniósł właśnie goniec.

- Z czekiem? Skąd? Za co? - spytała Fiddle, poprawiając rozmazany tusz, przed szybką zegara na biurku.

- Czek od Petera Shea, który zwraca koszty redakcji.

- Ha - prychnęła Fiddle. - Nic mi to nie mówi. On po prostu wie, że nie może podciągnąć tej Sandrine pod wydatki służbowe.

- Nawet jeśli to prawda, Fiddle - powiedziała Vickie, zbierając zmięte chusteczki i wrzucając je do kosza - on nie musi odpowiadać przed tobą za życie osobiste. Fiddle milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu wzięła głęboki wdech, od którego się wzdrygnęła.

- Masz rację, Vicksburg. Masz rację, rację, rację. Ale mógł przynajmniej...

- Zadzwoń - dokończyła za nią Vickie. - On dzwoni, maleńka. On dzwoni! Porozmawiaj z tym facetem!

- Nie krzycz.

- Przestanę krzyczeć, kiedy zejdziesz z krzyża. Odczep się od tego faceta. On nic nie jest ci winien.

- Jest mi winien, do cholery - powiedziała Fiddle i trzasnęła dłonią w blat biurka. - Jest mi winien pełne wyjaśnienie, dlaczego zrezygnował z książki o Cleo. Wszystko dla niego przygotowałam. Próbowałam uratować tę książkę.

Vickie odwróciła się i podeszła do biurka.

- Wiem, że byłaś zbyt zdenerwowana, żeby zauważyć, że Wendy Klarwine od pewnego czasu nie próbuje nam niczego sprzedać.

- Co to ma znaczyć? - spytała pośpiesznie Fiddle.

- Nie czytałaś dziś rano artykułu Liz Smith. Zaraz ci przyniosę.

Po chwili Vickie wróciła z gazetą poranną, otworzyła na kronice towarzyskiej i wręczyła Fiddle. Artykuł o dołu strony został zakreślony na czerwono.

- „Superagentka” - zaczęła czytać na głos Fiddle. - Jezu, nikt już nie może napisać „agentka”. Koniecznie musi być „superagentka”.

- Czytaj - ponagliła ją Vickie. Fiddle westchnęła.

- „Superagentka Wendy Klarwine, siedząca przy swoim stoliku w Aurorze nie mogła przestać mówić o tajnej umowie, jaką jej tajny klient zawarł przed kilkoma dniami na tajnym spotkaniu w tajnym miejscu w Londynie. Klarwine powiedziała, że po trzech dniach nieustannych negocjacji ona i jej klient uzyskali rekordową zaliczkę od angielskiego wydawcy za pierwszą powieść. Wiemy, kim są wszyscy, ale obiecaliśmy, że zachowamy to, ćśśś, w tajemnicy”.

- Wiesz, co według mnie jest prawdziwą tajemnicą? - spytała Vickie.

- Co? - spytała Fiddle, oddając jej gazetę.

- W jaki sposób ktoś taki jak Wendy Klarwine, która waży czterdzieści kilo, mając na sobie cztery kilo biżuterii, mogła zjeść za sumę, na jaką opiewa rachunek za służbę hotelową.

Fiddle otworzyła szeroko oczy.

- Połącz mnie z Liz Smith.

W dziesięć minut później Fiddle oparła się z uśmiechem na krześle. Wiedziała, że nazajutrz w kronice Liz Smith ukaże się informacja, że Sandrine Gam brała cichy rozwód z Jourdanem Garnem, który miał jej zapłacić olbrzymie odszkodowanie.

Fiddle dokonała uczciwej wymiany informacji.

Zadzwoiła do Vickie i oświadczyła triumfalnie, z uczuciem olbrzymiej ulgi:

- Następnym razem, kiedy zadzwoni Peter Shea - mruknęła do interkomu - natychmiast połącz go ze mną.

Umowa, jaką zawarli Wendy i Peter, rzeczywiście stanowiła precedens pod względem wysokości zaliczki, ale przede wszystkim pod względem swobody, jaką dawała autorowi.

W dniu, kiedy Wendy, na prośbę Petera, przyjechała do hotelu Ritz, dostarczono mu przesyłkę zawierającą podpisane upoważnienia od adwokata, reprezentującego Cleo Charnov, Sandrine Mandraki Gam, Angel Weinstein Rizzo oraz lady Susanne Slyde Mosby, przyznające Peterowi Shea i jego wydawcy pełne prawa do wykorzystania ich biografii w sposób, jaki autor uzna za stosowne.

W kilka godzin po poznaniu szczegółów „nowej” książki Petera, Fiddle podniosła wzrok znad biurka i zobaczyła innego Petera Shea niż ten, którego zostawiła w Paryżu. Wydawał się wyższy. Miejsce szarej bladeści, na którą zwróciła uwagę podczas krótkiej kolacji na Lewym Brzegu, zastąpiły zdrowe rumieńce. Z twarzy zniknęło napięcie; poruszał się szybciej, pewniej. Miał na sobie przepięknie skrojony lniany garnitur i nowe, drogie włoskie mokasyny.

- Kurczę, świetnie wyglądasz - powiedziała Fiddle.

- Mogłaś to zobaczyć już kilka dni temu, moja droga - powiedział Peter nachylając się nad biurkiem i całując ją lekko w policzek.

Fiddle spuściła w onieśmieleniu wzrok.

- Wiem - szepnęła. - Użałam się nad sobą.

- Nie jest ci do twarzy z tą miną - powiedział Peter siadając na jednym z szezlongów.
- Porzuciłeś mnie, Peter - powiedziała potulnie.
- Wiem, ale nie to cię zmartwiło. Sądziłaś, że jestem w Londynie z Sandrine Garn.
To mi pochlebia, ale nie byłem.

Fiddle zmarszczyła brwi.

- Dlaczego myślisz...

Peter uniósł dłoń gestem policjanta kierującego ruchem.

- Nie zaprzeczaj. Teraz jestem ekspertem w sprawach kobiet. Wiem, jak myślą, wiem, jak funkcjonują. Gdybyś pogniewała się na mnie za to, że cię porzuciłem, podniosłabyś słuchawkę i zmieszałabyś mnie z błotem.

- Aha - odparła Fiddle, gotowa mu uwierzyć.

- Poza tym, powiedziała mi o tym Vickie.

- Vickie ci powiedziała! Ta mała... - Fiddle sięgnęła po interkom, wściekła na sekretarkę.

Peter powstrzymał jej rękę.

- Nie gniewaj się na Vickie, Fiddle. Musisz zrozumieć, że spędziliśmy wiele czasu na rozmowach telefonicznych. Vickie konsekwentnie stała po twojej stronie. Po prostu wspomniała o rachunku hotelowym i cóż, od słowa do słowa...

- Jestem zażenowana.

- Niepotrzebnie. Zaproszenie Sandrine do Ritza byłoby czymś bardzo nieprofesjonalnym. Jako moja szefowa, miałabyś pełne prawo wściec się na mnie.

- Dziękuję - odparła, czując ulgę, że Peter uwalniał ją od emocjonalnej motywacji.

- Czy dasz się zaprosić jutro na kolację?

Fiddle uśmiechnęła się, zachwycona, że zmienił temat.

- Jasne. Dokąd?

- Do gospody w Montauk.

- Montauk? To cztery godziny jazdy samochodem, Peter.

- Nie ma problemu. Zrobiłem rezerwację na weekend. Myślę, że potrzebuję tyle czasu, żeby opowiedzieć ci o moim niezwykłym spotkaniu z atlasową armią madame w Londynie.

- Atlasowa armia - powtórzyła z uśmiechem. - Podoba mi się to.

- Mnie też się spodobało, kiedy to usłyszałem. Nie jest to oryginalne określenie. A więc zgadzasz się?

Fiddle poczuła mrowienie na plecach, które rozpoznała jako seksualne podniecenie. Dobry Boże, pomyślała, prosi mnie, żebym z nim wyjechała do gospody w Montauk. Przytulny pokój, wino, świece, długie spacery po plaży. Jezu, co ja na siebie włożę?

- Czy wciąż tu jesteś? - spytał Peter chichocząc. Fiddle drgnęła.

- Och, tak, jasne... Montauk, weekend. Peter, to brzmi wspaniale... hm, zróbmy to.

Peter wstał i zapiął marynarkę.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie o piątej. Wynająłem mały kabriolet. Możemy udawać parę nastolatków. Do zobaczenia za parę godzin.

- Dobra - odparła Fiddle, unosząc kciuki.

- Fiddle? - powiedział Peter od drzwi. - Tęskniłem za tobą... bardzo.

- Tak? - spytała, unosząc brwi.

- Nie miałem z kim rozmawiać.

Tej nocy, w pokoju z oknami wychodzącymi na wilgotną burzliwą plażę, przemoczoną jedną z ulew, które nawiedzają w sierpniu czubek Long Island, zjedli przyniesioną przez służbę kolację, wypili dwie butelki wina i rozmawiali.

Rozmawiali i rozmawiali. Kiedy nie rozmawiali, śmiali się. Kiedy przestali rozmawiać i śmiać się, przytulił ją tak mocno, że zaczęła płakać. Nie było to pełne złości, duszące łkanie, jakim zaniosła się przed Vickie w biurze, ale łzy wyzwolenia. Łzy, którymi płaczą kobiety, wyczerpawszy mniej odpowiednie sposoby wyrażenia uczucia, jakie rodzi się ze znalezienia antidotum na ból samotności.

Następnego dnia czytali i spacerowali po mokrej plaży, trzymając się za ręce i znowu rozmawiając. Opowiedział jej historię madame i Sandrine, historię SueBee, Angel, Jourdana Garna, Barry'ego Rizzo. Opowiedział jej o Martinie i Wellington Close, o tym, jak Duży Chłopiec stracił fiuta, jak Jack Ayler złamał serce SueBee i jak Angel straciła pracę za próbę przekupienia Zakiego. Powiedział jej wszystkie nazwiska, którymi chciał zastąpić prawdziwe.

Zgodnie z obietnicą Peter zabrał ją na kolację do gospody, a potem, kiedy padli na łóżko wyczerpani, skopując na ziemię niedzielne wydanie „Timesa”, stało się tak, jak piszą w romansach - pasowali do siebie jak dwie łyżki.

- Zdajesz sobie sprawę, że będę mógł użyć w tej książce takiego określenia? - spytał Peter, opierając głowę na jej piersi.

- Jakiego? - spytała Fiddle, której kręciło się w głowie od wina, morskiego powietrza i miłości.

- „...i pasowali do siebie jak dwie łyżki”.

- Ani mi się waży.

Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Będę musiał - zaprotestował. - Nie zdołam napisać powieści o kobietach, miłości i seksie bez pomocy pewnych charakterystycznych zwrotów.

- A kto powiedział, że masz pisać o kobietach, miłości i seksie? Będziesz pisał o kobietach, seksie, chciwości, ambicji, zakłamaniu, mściwości i zbrodni. Żadnych pulsujących członków, żadnego czucia jego męskości czy wilgoci ogarniającej napierające jądro jego istoty.

Peter położył się na niej.

- „...a kiedy w nią wszedł, w końcu przestała mówić” - powiedział, wchodząc w nią. Fiddle przestała mówić.

Peter poprosił ją o rękę w dniu, kiedy wpłacił zaliczkę na konto w banku Manufacturer's Hanover. Jedli lunch w herbaciarni, ale nie przy tradycyjnym stoliku.

Ku zdziwieniu Fiddle, Oona zaprowadziła ich do sali na piętrze, gdzie tłoczyli się turyści. Fiddle nic nie powiedziała, wiedząc, że Peter musiał dokonać tej zmiany z jakiegoś powodu, przypuszczalnie chcąc uniknąć ludzi zatrzymujących się przy ich stoliku, stojącym przy drzwiach wejściowych. Teraz, kiedy książka Petera miała się wkrótce ukazać, zaczynał tracić cierpliwość do składania wyjaśnień i wydawania uprzejmych odgłosów.

Zamówił dla nich po kieliszku białego wina i podniósł menu, które znał na pamięć.

- Zróbmy to - powiedział zza menu.
- Co? Zamówmy bliny?
- Nie chodzi mi o jedzenie.
- Nie o jedzenie? A o co? Co mamy zrobić?
- Nie mogę tego powiedzieć - wyznał, opuszczając menu. -To brzmi zbyt prostacko.
- Na miłość boską Peter, co się z tobą dzieje? - spytała Fiddle. Kiedy podniosła wzrok na kelnera, stawiającego wino, wydało jej się, że u szczytu schodów ujrzała Vickie. Odwróciła się gwałtownie i otworzyła szerzej oczy. To była Vickie! - Peter - powiedziała ostro. - Co tu robi Vickie?
- O Boże - jęknął - przyszła za wcześnie.
- Peter, za chwilę zacznę krzyczeć. Co się tu dzieje? Peter wyciągnął ręce i ujął dłonie Fiddle.
- Fiddle, pobierzmy się.
Fiddle z trudem przełknęła ślinę i obejrzała się, czy ktoś podsłuchiwał.
- Dlaczego mielibyśmy to robić? - spytała oszołomiona, czując w uszach łomotanie serca.
- Ponieważ jesteśmy zespołem. Ponieważ się kochamy. Ponieważ nie powinniśmy żyć osobno. Nie chcę sublokatorki, chcę partnerki. I jeszcze, dobrze... powiem to. Ponieważ pasujemy do siebie jak dwie łyżki.
Fiddle przygryzła wargę, żeby pohamować drżenie. Zdołała tylko skinać głową.
- Czy to oznacza „tak”? - spytał Peter.
- Tak - odparła, kiwając energiczniej głową. - Taki ruch głową oznacza „tak”.
Peter odwrócił się i dał znak Vickie, która wciąż stała u szczytu schodów.
W mgnieniu oka znalazła się przy ich stoliku.
- Co powiedziała? - zapytała pełna ciekawości Vickie.
- Powiedziała, że się zgadza - odparł Peter promieniejąc.
- Czy najpierw zjecie?
- Taki miałem zamiar.
- Dobra, poczekam.
Fiddle patrzyła to na Petera, to na Vickie. Peter wciąż trzymał jej dłonie.
- Zadzwoń do sędziny Lowry. Czeka u siebie. Myślałem, że zechcesz, by Vickie była twoim świadkiem.
- Jasne - odparła Fiddle, przewracając oczami. - Czemu nie? Nie mam nic przeciwko temu. A kto będzie twoim?
- Mój odźwierny.
- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.
- Spieszyłem się.
- Wciąż się spieszysz - powiedziała ze śmiechem Fiddle. -Boisz się, że zmienię zdanie?
- Tak jakby.
- Wykluczone. - Pociągnęła go za rękę. - I żadnego lunchu. Chodźmy.
Uroczystość trwała zaledwie pięć minut. Wrócili do biura, otworzyli szampana, którego Vickie schowała w lodówce i zaprosili na toast wszystkich, którzy jeszcze nie poszli do domu.

Weekend spędzili znowu w gospodzie w Montauk. Rozmawiali i rozmawiali, śmiali się, kochali, czytali gazety, fragmenty powieści Petera, planowali okładkę kolejnego numeru „Fifteen Minutes” i znowu się kochali, pasując do siebie jak dwie łyżki. Teraz, pakując gwiazdkowe prezenty, które zamierzała wręczyć Peterowi przy kolacji, Fiddle wyjrzała przez okno biura. Zaczął padać śnieg; zrobiła się prawdziwa Gwiazdka. Pierwsza Gwiazdka, kiedy Fiddle miała jedyne dwie rzeczy, jakie naprawdę liczą się w życiu: miłość i pracę.